

Spencer LaVyrle

Słodycz i gorycz

Jak nauczyć serce znowu kochać? Maggie, atrakcyjna czterdziestolatka, która straciła męża w katastrofie lotniczej i samotnie wychowuje dorosłą córkę, postanawia wrócić w rodzinne strony, otrząsnąć się z depresji i rozpocząć nowe życie. Stanąć z nim twarzą w twarz. W dodatku spotyka Eryka - swoją dawną, szkolną miłość. Niestety, Eryk jest żonaty... Oboje jednak pragną, by powróciły marzenia sprzed lat. Będą musieli pokonać wielkie trudności, by wreszcie przekonać się, że sprzyja im los...

Rozdział 1

W pokoju stała mała lodówka, w niej sok jabłkowy i woda mineralna, dwupalnikowa maszynka, gramofon oraz ustawione w krąg wygodne, choć zniszczone, krzesła i zielona tablica z napisem kredą:

GRUPA TERAPEUTYCZNA

2.00 – 3.00

Maggie Stearn weszła o pięć minut za wcześnie, powiesiła na wieszaku płaszcz nieprzemakalny i zajęła się przygotowywaniem herbaty. Zanurzając torebkę w plastikowym kubku z wrzątkiem, powoli przeszła przez pokój.

Wyjrzała przez okno. Woda w kanale poniżej, sfalowana powiewem pierwszego sierpniowego monsunu, wydawała się gęsta i oleista.

Wieżowce Seattle istniały tylko w pamięci, a mokra kurtyna szarości skrywała Puget Sound. Nadzarty rdzą tankowiec przesunął się ociężale przez mętny kanał ku oceanowi; jego balustrady i urządzenia nawigacyjne smagała ulewa.

Na szarym pokładzie stali nieruchomo marynarze - niewyraźne żółte kukły, w sięgających bioder ceratowych kurtkach.

Deszcz. Tak wiele deszczu i nadchodząca zima - taka sama.

Westchnęła na myśl o tym, że będzie musiała sama stawić temu czoło, i odwróciła się. od okna akurat w chwili, gdy weszły dwie kolejne osoby z grupy.

- Cześć, Maggie! - rzuciły jednocześnie od drzwi. Dianę, trzydziestosześcioletnia kobieta, której mąż zmarł na wylew, gdy wdrapywali się na Whitbey Island z trojgiem swoich dzieci, i Nelda, sześćdziesiąt dwa lata, której mąż spadł z dachu (właśnie go naprawiał) i nigdy już się nie podniósł. Maggie nie wyobrażała sobie, jak przeżyłaby bez Dianę i Neldy ostatni rok.

- Cześć - odpowiedziała z uśmiechem. Przechodząc przez pokój Dianę zapytała:

- Jak się udała randka? Maggie skrzywiła się.

- Nie pytaj.

- Aż tak fatalnie?

- Jak zapomnieć o tym, że się już nie jest mężatką? Był to problem, z którym wszystkie się zmagają.

-Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Nelda. - Poszłam

w końcu na bingo z George'em - pamiętacie, mówiłam wam, ten faet z kościoła. Cały czas miałam wrażenie, że oszukuję Lou. Grając w bingo. Możecie to sobie wyobrazić?

Rozmowę przerwało wejście mężczyzny, chudego i łysiejącego, dobrze po pięćdziesiątce, w spodniach z niemodnymi kantami i w wytartym swetrze, który obwisał na jego kościstych ramionach.

- Cześć, Cliff.

Zrobiły mu miejsce. Cliff skinął głową. Był najnowszym członkiem grupy. Jego żona zginęła w wypadku. Wjechała na skrzyżowanie na czerwonych światłach, prowadząc wóz pierwszy raz po operacji oczu, która spowodowała zaburzenia w widzeniu peryferycznym.

- Jak ci minął tydzień? - zapytała Maggie.

- Och... - Westchnienie i wzruszenie ramion, nic więcej. Maggie pogładziła mężczyznę po plecach.

- Niektóre tygodnie bywają lepsze. Trzeba czasu.

W tym pokoju niejednokrotnie głaskano ją po plecach; знаła uzdrawiającą moc ludzkiego dotknięcia.

- A co u ciebie? - Nelda skierowała uwagę na Maggie. -Córka wyjeżdża w tym tygodniu do college'u, prawda?

- Tak - odpowiedziała Maggie z fałszywą bez troską.

Przechodziłam przez to ze swoją trójką. Zadzwoń, kiedy poczujesz się okropnie, dobrze? Wybierzemy się na jakiś męski striptiz albo coś w tym rodzaju.

Maggie uśmiechnęła się. Nelda nie poszłaby na żaden striptiz, podobnie jak ona.

- Nie miałabym pojęcia, co robie z takim facetem. Wszyscy się roześmiali. Łatwiej było śmiać się z braku seksu w życiu, niż naprawdę dawać sobie z tym radę.

Wszedł doktor Feldstein z notatnikiem w jednej ręce i kubkiem parującej kawy w drugiej. Rozmawiał z Claire, która straciła szesnastoletnią córkę w wypadku motocyklowym. Pozdrowił wszystkich, zamknął drzwi i ferował się do swego ulubionego krzesła. Kawę postawił na stoliku obok. - Zdaje się, że są wszyscy. Możemy zaczynać.

Zajęli miejsca, przerywając rozmowy. Grupa terapeutyczna troszczących się o siebie wzajemnie ludzi. Maggie usiadła na brązowej kanapce między Cliffem na podłodze, na grubej niebieskiej poduszce, a Claire na krześle po prawej ręce doktora Feldstema.

To Maggie spostrzegła, że brak jednej osoby. Rozglądając się zapytała:

- Czy nie powinniśmy poczekać na Tammi?

Tammi była najmłodsza z nich, zaledwie dwudziestoletnia, niezamężna, w ciąży, porzucona przez ojca dziecka i miłująca przyjść do siebie po niedawnej utracie obojga

Była ulubienicą wszystkich, zastępczą córką każdego w grupie

Doctor Feldstein położył notatnik na podłodze i oznajmił: . - Tammi dzisiaj nie przyjdzie.

Wszyscy utkwili w nim Wzrok, ale nikt o nic nie zapytał. Feldstein oparł łokcie o drewniane poręcze krzesła i złożył dłonie na brzuchu.

- Tammi przedawkowała dwa dni temu pigułki nasenne i jest ciągle na oddziale intensywnej terapii. Omówimy to dzisiaj.

Milczeli, zaszokowani. Maggie miała wrażenie, że w jej żołądku wybuchła mała bomba, wywołując gwałtowny skurcz wnętrzości. Patrzyła na pociągłą, inteligentną twarz doktora, twarz z lekko zakrzywionym nosem i pełnymi, czerwonymi ustami pośród gęstego, czarnego zarostu. Oczy Feldsteina zatrzymywały się kolejno na każdym z członków grupy - bystre, czarne, z fiołkowymi plamkami w głębi - obserwując reakcję zgromadzonych tu osób.

Maggie przerwała wreszcie milczenie, aby zadać pytanie, które nurtowało wszystkich:

- Czy będzie żyła?

- Jeszcze nie wiemy. To zatrucie tylenolem, więc może być tak i tak.

Z zewnątrz dotarł słaby głos syreny przeciwmgielnej na statku przepływającym kanał. Członkowie grupy siedzieli, nieruchomo, walcząc ze łzami. Claire nagle zerwała się i podbiegła do okna. Obiema pięściami uderzyła w ramę.

- Do diabła! Dlaczego ona to zrobiła?

-Dlaczego nie zadzwoniła po kogoś z nas? - zapytała Maggie. - Przecież byśmy jej pomogli.

Zmagali się już z tym przedtem - z bezsilnością czy raczej z bezsilnym gniewem. Każdy odczuwał to samo, bo niepowodzenie któregośkolwiek z nich było niepowodzeniem wszystkich. Inwestowali czas i łzy w siebie nawzajem, powierzali sobie najgłębiej skrywane cierpienia i obawy.

Myśl, że tak wielki wysiłek emocjonalny mógł zostać odrzucony, równała się poczuciu zdrady.

Cliff siedział bez ruchu, mrugając oczyma. Diane westchnęła głęboko i oparła głowę o uniesione kolana. Doktor Feldstein sięgnął w tył, za krzesło, i wziął paczkę kleenek-

sów z pokrywy gramofonu, aby położyć je na stoliku w zasięgu wszystkich.

- Dobrze, zacznijmy od spraw zasadniczych - zaczął stanowczym tonem. - Skoro postanowiła nie dzwonić do nikogo, nie sposób było jej pomóc.

- Ale ona to my - zaproponowała Margaret, rozkładając ręce. - Przecież wszystkim nam chodzi o to samo, prawda? I wydawało się, że robimy postępy.

- Więc jeśli ona to zrobiła, to znaczy, że żadne z was me jest bezpieczne? - rzucił doktor Feldstein, po czym natychmiast sam odpowiedział na swoje pytanie: - Nieprawda. Chcę, żebyście to sobie wyraźnie uświadomili. Tammi dokonała wyboru. Każde z was dokonuje wyboru, codziennie. Możecie słusznie się gniewać, że to zrobiła, ale nikt z was nie powinien stawiać siebie na jej miejscu.

Rozmawiali o tym długo. Dyskusja, pełna pasji i współczucia, stawała się coraz bardziej ożywiona. Swoją gniew przemieniali w litość, a z uczucia litości czynili bodziec, który mógł dopomóc w ulepszeniu ich własnego życia. Kiedy uporali się ze swymi odczuciami, doktor Feldstein oznajmił:

- Przeprowadzimy dziś pewne ćwiczenie, coś, do czego wszyscy, moim zdaniem, jesteście przygotowani. Jeśli nie - w porządku, nie będzie żadnych pytań. Ale tym, którzy chcą się pozbyć uczucia bezradności, jakiego doświadczyli w związku z samobójczą próbą Tammi, powinno to pomóc.

Wstał i przesunął twarde drewniane krzesło na środek pokoju.

- Powiemy do widzenia komuś czy czemuś, co opóźniało nasze wyleczenie. Komuś, kto opuścił nas przez swą śmierć lub inaczej, z własnej woli, albo czemuś, z czym me potrafiliśmy sobie poradzić. To może być miejsce, do którego me jesteśmy w stanie wrócić, lub dawna uraza, zbyt mocno utrwalona. Cokolwiek by to było, ma się znaleźć na tym krześle, głośno pożegnane. A kiedy już powiemy do widzenia, powiadomimy tę osobę czy sprawę, co zamierzamy te-

raz zrobić, aby nasze życie stało się szczęśliwsze. Czy wszyscy zrozumieli? - Kiedy nikt nie odpowiedział, doktor Feldstein oświadczył: - Ja sam zacznę. - Stał przed pustym krzesłem, otworzył szeroko usta i obiema dłońmi przygładził brodę. Zaczerpnął głęboko powietrza, spojrzał na podłogę, a następnie na krzesło. - Chcę powiedzieć raz na zawsze „żegnajcie” moim papierosom. Rzuciłem palenie przed dwoma laty, ale ciągle sięgam po nie do kieszeni na piersi. Dlatego kładę je na tym krześle i powiadam: żegnajcie! Mam zamiar stać się szczęśliwszy, nie ulegając rozdrażnieniu wywołanemu brakiem nikotyny. Od tej chwili, kiedy tylko sięgnę do kieszeni, zamiast zakląć po cichu, że jest pusta, zamierzam w duchu podziękować za podarunek, który sobie daję. - Skinął dłonią w stronę krzesła. -Do widzenia, moje papierosy! - Wrócił na miejsce i usiadł.

Łzy zniknęły z twarzy zebranych. Gościł na nich teraz wyraz szczerzego zainteresowania.

- Claire? - zachęcił łagodnie doktor Feldstein.

Całą minutę Claire siedziała bez ruchu. Nikt nie powiedział ani słowa. Wreszcie wstała i spojrzała na krzesło. Ponieważ nadal milczała, Feldstein zapytał:

- Kto jest na tym krześle, Claire?

- Moja córka, Jessica - wyrzekła Claire z trudem.

- I co chciałabyś jej powiedzieć?

Claire przycisnęła ręce do bioder i przełknęła ślinę. Wszyscy czekali. Wreszcie zaczęła:

- Bardzo mi ciebie brakuje, Jess, ale już nie pozwolę, aby to ważyło na całym moim życiu. Mam jeszcze wiele lat przed sobą i chcę być szczęśliwa, a wtedy twój tata i twoja siostra także będą szczęśliwi. Na początek mam zamiar pójść do domu, wyjąć rzeczy z twojej szafy i oddać je jakiejś instytucji dobroczynnej. To pożegnanie, Jess. - Ruszyła w stronę swego krzesła, ale odwróciła się ponownie. -Och, i jeszcze chcę ci przebaczyć, że nie włożyłaś tamtego dnia kasku, bo wiem, że bez tego nie zdołam się wyzwolić. - Uniosła dłoń. - Do widzenia, Jess!

Maggie czuła, jak pieką ją oczy, i widziała niby przez mgłę, że Diane zajmuje miejsce Claire.

- Na tym krześle siedzi mój mąż, Tim. - Diane mocno przetarła oczy papierową chusteczką. Otworzyła usta, ale zamknęła je i podparła głowę ręką. - To takie trudne - wyszeptała.

- Może wolisz odłożyć sprawę? - zapytał doktor Feldstein.

Diane znów otarła oczy z upartą determinacją.

- Nie, chcę przez to przejść. - Skupiła spojrzenie na krześle, wciągnęła policzki i zaczęła: - Naprawdę zrobiłeś

mnie w konia umierając, Tim. Przecież chodziliśmy ze sobą od szkoły i planowałam kolejne pięćdziesiąt lat razem, wiesz? - Znów przetarła oczy kleeneksem. - Więc chcę, żebyś wiedział, że już nie czuję się wrobiona, bo ty też pewno planowałeś następną pięćdziesiątkę, więc jakie mogę mieć prawo... A co chcę zrobić... - Otworzyła dłoń i mocno przesunęła po niej paznokciem kciuka drugiej ręki, po czym spojrzała w górę. - ...co chcę zrobić, żeby poczuć się lepiej? Zabrać dzieci do naszego domku na Whitbey podczas tego weekendu. Prosiły mnie, ale ja zawsze odpowiadałam „nie”, ale teraz się zgodzę, bo jeśli ja nie poczuję się lepiej, jak one mogą być szczęśliwe? Więc żegnaj, Tim. I trzymaj się! Szybko wróciła na swoje miejsce i usiadła.

Wszyscy ocierali oczy.

- Cliff? - zachęcił doktor Feldstein.

- Rezygnuję - szepnął Cliff, patrząc w podłogę.

- W porządku. Neida? Neida oznajmiła:

- Ja się już pożegnałam z Carlem dawno temu. Rezygnuję.

-Maggie?

Maggie wstała powoli i podeszła do krzesła. Widziała, że siedzi na nim Phillip, trochę zbyt ciężki, z dziesięciofuntową nadwagą, której nie mógł zrzucić od ukończenia trzy-

dziestki, o oczach, których zieleń przechodziła w brąz, z jasnymi niczym piasek włosami, które należało przystrzyc (jak wtedy gdy wsiadał do samolotu) i w swoim ulubionym podkoszulku firmy Seahawks, którego nie prał, ale czasem, zdejmując z wieszaka w szafie, wachał. Była przerażona swoją rezygnacją z rozpaczy, przerażona, że jeśli jej tego zabraknie, nie pozostanie nic i ogarnie ją wypełniona apatią pustka, uniemożliwiająca jakiegokolwiek uczucie. Oparła dłoń o dębową poręcz krzesła i zaczerpnęła powietrza. - Phillipie, to już cały rok - zaczęła - więc najwyższa czas. Chyba czuję się trochę jak Dianę, wrobiona, bo odleci ciążę tym samolotem z tak głupiego powodu - wycieczka, żeby pograć, a przecież jedyna rzecz, której nie mogłam u ciebie ścierpieć, to było twoje zamiłowanie do hazardu. Nie, to nieprawda, nie mogłam znieść także tego, że umarłeś akurat, kiedy Katy kończyła szkołę, więc my moglibyśmy więcej podróżować i cieszyć się swobodą. Ale przyrzekam, że otrząsnę się i zacznę podróżować bez ciebie. Wkrótce. I przestanę myśleć o tych pieniądzach z ubezpieczenia, że są splamione krwią, tak żebym mogła zacząć się nimi trochę cieszyć. Spróbuję też jeszcze raz z mamą, bo wydaje mi się, że będę jej potrzebować teraz, gdy Katy wyjedzie. - Cofnęła się o krok i pomachała otwartą dłonią. - A więc do widzenia, Phillipie. Kochałam cię!

Kiedy Maggie skończyła, długo siedzieli w milczeniu. Wreszcie doktor Feldstein zapytał: - I jak teraz? Odpowiedzi nie padły natychmiast.

- Jestem zmęczona - oświadczyła Dianę.

- Lepiej mi - przyznała Claire.

- Czuję się odprężona - powiedziała Maggie.

Feldstein dał im chwilę na przystosowanie się do nowego stanu uczuć, po czym pochylił się do przodu i przemówił swoim dźwięcznym, donośnym głosem:

- To już odeszło, wszystkie te odczucia, które nosiłyście w sobie tak długo i które nie pozwalały wam na odrodze-

nie. Pamiętajcie o tym. Myślę, że teraz będziecie szczęśliwsze, bardziej otwarte na pozytywne myśli. Wyprostował się na krześle.

- A jednak czeka was niełatwy tydzień. Będziecie się martwić o Tammi i ten niepokój może się przerodzić w depresję, dlatego dam wam jeszcze jedną radę. Chcę, żebyście wszyscy zrobili następującą rzecz: odnajdźcie dawnych przyjaciół, im dawniejszych, tym lepiej, przyjaciół, z którymi utraciliście kontakt - zadzwońcie do nich, napiszcie, postarajcie się z nimi zobaczyć. -To mają być przyjaciele z lat szkolnych? - zapytała Maggie.

-Oczywiście. Porozmawiajcie o dawnych czasach, po-śmiejcie się z tych wszystkich głupstw, które robiliście, kiedy byliście młodzi i głupi. Tamte dni to w naszym życiu czas największej beztroski. Tak naprawdę musieliśmy tylko chodzić do szkoły, przynosić w miarę przyzwoite stopnie, czasem starać się o jakąś dorywczą pracę, no i bawić się ile wlezie. Dzięki powrotowi do przeszłości często udaje się spojrzeć z perspektywy na terażniejszość. Spróbujcie tego i zobaczymy, jak się poczujecie. - Spojrzał na zegarek. -Porozmawiamy o tym na następnym spotkaniu. Dobrze?

Odgłos odsuwanych krzeseł oznaczał zakończenie sesji. Odprężeni uczestnicy odkładali wilgotne kleeneksy.

-Dużo dziś zrobiliśmy - powiedział doktor Feldstein wstając. - Myślę, że poszło nam bardzo dobrze. Maggie wsiadła do windy razem z Neldą. Czuła się bliższa jej niż innym, bo znajdowały się w podobnej sytuacji. Nelda mogła wydawać się chwilami zbyt roztrzepana i gadatliwa, ale miała złote serce i niezawodne poczucie humoru.

- Czy utrzymujesz kontakt ze znajomymi z dawnych lat? - zapytała Nelda.

- Nie, chyba że przypadkiem. A ty?

-Dziewczyno, ja mam sześćdziesiąt dwa lata! Nie jestem nawet pewna, czy zdołam kogoś odnaleźć.

- A masz zamiar spróbować?

- Może. Zobaczę.

W hallu zatrzymały się, aby włożyć płaszcze, i Nelda uścisnęła Maggie na pożegnanie.

- Pamiętaj, co powiedziałam. Kiedy córka wyjedzie, zadzwoń do mnie.

- Dobrze, obiecuję!

Na dworze lało, ostre bicze deszczu wywoływały miniaturowe eksplozje w ulicznych kałużach.

Maggie otworzyła parasol i ruszyła do samochodu. Kiedy do niego doszła, buty miała przemoczone, z płaszcza spływały strugi wody, a ona czuła się na wskroś przemarznięta. Włączyła silnik i przez chwilę siedziała z dłońmi wsuniętymi między kolana, patrząc, jak para z jej oddechu zasnuwa szybę, zanim nie osuszy jej powiew ciepłego powietrza.

To była wyjątkowo wyczerpująca sesja. Tyle do przemyślenia: Tammi, pożegnanie z Phillipem, dotrzymanie tego, co sobie przyrzekła, wyjazd Katy. Nie próbowała nawet tego uporządkować, choć groziło to zniweczeniem wszystkiego, co zdołała osiągnąć w minionym roku.

Pogoda też nie pomagała. Boże, deszcz był taki męczący!

Ale Katy była ciągle w domu i miały przed sobą jeszcze dwie wspólne kolacje. Może dzisiaj przyrządzi jej ulubione danie, spaghetti z kulkami mielonego mięsa, a potem rozpalą ogień w kominku i zaczną snuć plany na Dzień Dziękczynienia, kiedy Katy będzie miała ferie i wróci do domu.

Maggie włączyła wycieraczki i wjechała na most Mon-tlake, który wibrował pod kołami niby bormaszyna u dentysty, a następnie skręciła na północ do Redmond. Kiedy samochód zaczął wspinać się na wzgórze, poczuła ostry, żywiczny zapach sosen napływający z zewnątrz. Minęła bramę klubu Bear Creek, do którego przez lata należeli oboje z Phillipem. Po jego śmierci niejednym z żonatych członków klubu próbował się do niej zalecać. Klub całkowicie stracił dla niej atrakcyjność.

Z Lucken Lane zjechała na podjazd przed domem w stylu rancho, zbudowanym z drzewa cedrowego i wypalanych

pomarańczowych cegieł, i stojącym na stoku wzgórza, typowym dla klasy średniej, ze starannie utrzymanym gazonem nagietek wzdłuż ścieżki i doniczkami geranium po obu stronach schodów. Kiedy automat podniósł drzwi garażu, Maggie zauważyła rozczarowana, że nie ma samochodu Katy. Ciszę w kuchni zakłócały tylko odgłosy wody spływającej z rynny i zgrzyt zamykających się drzwi garażu. Na stole, obok nadgryzionej bułki i jaskraworozowej spinki do włosów leżała nabazgrana pośpiesznie kartka na podstawce w kształcie niebieskiej stopy.

Pojechałam na zakupy ze Smitty i po więcej pustych pudeł Nie szukaj dla mnie kolacji. Całuję. K.

Usiłując zwalczyć rozczarowanie, Maggie zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie. Przeszła hall i zatrzymała się przed drzwiami pokoju Katy. Wszędzie leżały rozrzucone ubrania, zmięte i pozwijane, ciśnięte na wypełnione w połowie walizki Dwa ogromne czarne plastikowe śmieciami tkwiły między otwartymi drzwiami szafy. Sterta dżinsów i kolorowych podkoszulków oczekiwała na odniesienie do pralni. Widoczna była tylko górna część lustrza toaletki, bo dół przesłaniał stos magazynów ..Seventeen i kosz pralniczy, wypełniony starannie złożonymi ręcznikami i pościelą wciąż jeszcze w plastikowych opakowaniach, gotowy do przewiezienia do Chicago. Na podłodze walały się skarby siedemnastolatki: kartonowe teczki zamalowane z wierzchu kolorowymi graffiti, a w nich szkolne papiery; czapka i rękawica do gry w softball dla dwunastolatki; dwa staniki, jeden sprany i pożółkły, drugi w herbaciane, roze, które nie straciły jeszcze koloru; zakurzony plakat Bruce'a Springsteena; pudełko po butach pełne kart z zaproszeniami i podziękowaniami; drugie pełne buteleczek po perfumach; czapka z daszkiem - w niej płatanina kolczyków i tanich plastikowych pereł; stos gumowych zwierzaków; futerał od rożka francuskiego; fiołkowy koszyk zawierający niedawną korespondencję z Uniwersytetem Northwestern.

Northwestern, uczelnia jej i Phillipa, po drugiej stronie Ameryki. Dlaczego Katy nie wybrała tutejszego uniwersytetu? Żeby uciec od matki, która w ostatnim roku nie była najweselszym towarzyszem?

Czując wzbierające łzy, Maggie się odwróciła, zdecydowana nie załamać się przez resztę dnia. We własnej sypialni unikała spojrzenia na podwójne łóżko, aby nie budzić wspomnień. Podeszła prosto do szafy z lustrem, otworzyła drzwi, wyjęła podkoszulek Seahawks Phillipa i wróciła do pokoju Katy, aby zagrzebać go w jednym z worków ze śmieciami.

Potem w swoim pokoju włożyła rozciągnięty dres z czerwono-białym znakiem Pepsi, pomaszerowała do łazienki, gdzie znalazła tubkę z resztką make-upu, i zaczęła nakładać go na sine cienie pod oczami. Ale w połowie tej czynności znowu poczuła napływające łzy i bezsilnie opuściła ręce. Kogo chciała oszukać? Wyglądała jak czterdziestodwuletni strach na wróble. Od śmierci Phillipa jej biust zmniejszył się o cały numer, kasztanowe włosy straciły połysk, bo przestała się odpowiednio odżywiać. Nie dbała ani o gotowanie, ani o powrót do pracy, ani o sprzątanie domu czy staranny ubiór. Robiła teraz makijaż, ponieważ wiedziała, że powinna; nie chciała skończyć jak Tammi. Patrzyła w lustro. *Tęsknię za nim i tak cholernie chce mi się płakać.*

Po piętnastu sekundach żalu nad sobą wyrzuciła make-up do kosza, zgasiła światło i wybiegła z łazienki.

W kuchni wytarła mokrą ścierką okruchy po posiłku Katy i szła do zlewozmywaka; ale po drodze popełniła błąd: ugryzła kawałek słodkiej bułki. Smak cynamonu i rodzynek pomieszany z masłem orzechowym - ulubiony przysmak Katy i jej ojca - wywołał reakcję tak silną, że już nie mogła się powstrzymać. Raz jeszcze spłynęły przekłete łzy - gorące, wręcz palące.

Cisnęła resztkę bułki do pojemnika z taką siłą, że kawałek pieczywa odbił się i upadł obok pudła z mąką. Maggie chwyciła się ręką za brzeg blatu i zrobiła głęboki skłon.

Do diabła, Phillipie, dlaczego wsiadłeś do tego samolotu? Powinieneś być tutaj. Razem powinniśmy przez to przechodzić!

Ale Phillipa nie było. Katy wkrótce też me będzie. I co wtedy? Samotne kolacje przez resztę życia? W dwa dni później Maggie stała na ścieżce obok samochodu Katy i obserwowała, jak jej córka upycha ostatnią torbę za siedzeniem. Powietrze przed świtem było chłodne, mgła tworzyła otoczki wokół świateł garażu. Samochód Katy był nowy i drogi, kabriolet z wszelkimi możliwymi udogodnieniami, spleacony co do grosza pieniędzmi z ubezpieczenia za śmierć Phillipa, nagrody pocieszenia od linii lotniczej dla Katy, która pozostanie bez ojca do końca życia.

- Udało się! - Katy odsunęła oparcie siedzenia i odwróciła się do Maggie - śliczna młoda kobieta z brązowymi oczyma swego ojca, z zarysem policzków matki i kosmiczną burzą włosów odpowiednią na okładkę powieści science fiction, do czego Maggie nigdy nie mogła się przyzwyczaić. Patrząc na te włosy teraz, w godzinie rozstania, przypomniła sobie ze smutkiem czas, kiedy były tylko puszystym meszkiem, który zaczesywała w loczek na czubku głowy córki.

Katy przerwała przygnębiające milczenie. -Dzięki za orzechowe bułeczki, mamó. Będą świetnie smakowały gdzieś przy Spokane!

- Zapakowałam też trochę jabłek i parę puszek wiśniowej coli dla każdej z was. Jesteś pewna, że masz dość pieniędzy?

- Mam, ile trzeba, mamó.

- Pamiętaj, co mówiłam o przyspieszaniu na autostradach międzystanowych.

- Nie martw się, włączę automatyczną kontrolkę. - I kiedy poczujesz się śpiąca...

- Niech prowadzi Smitty. Wiem, mamó.

- Tak się cieszę, że jedzie z tobą i będziecie razem!

- Ja też.

- No cóż...

Rozstanie stało się rzeczywistością. Bardzo zbliżyły się do siebie przez ten rok, który upłynął od śmierci Phillipa.

- Pojadę już - powiedziała cicho Katy. - Obiecałam Smitty, że będę przed jej domem punktualnie o wpół do szóstej. - Tak, jedź.

Ich oczy spotkały się, wilgotne od łez, ale smutek pogłębiał tylko rozwierającą się przepaść.

- Och, mamusiu... - Katy z całej siły rzuciła się w objęcia matki, wciskając się w fałdy jej długiej sukni. - Będę tęskniła. - Ja też, kochanie.

Tuląc się wzajemnie do siebie pośród zapachu nagietek w gęstym powietrzu, pośród kropeł spadających z dachu na grządki kwiatów, pożegnały się serdecznie.

- Dzięki, że pozwoliłaś mi jechać, i dzięki za wszystko, co mi kupiłaś.

Maggie skinęła tylko głową, gardło miała zbyt ściśnięte, aby wykrztusić choć słowo.

- Nie chcę zostawiać cię tutaj samej!

- Wiem. - Maggie trzymała córkę mocno czując, jak łyzy - jej własne? czy Katy? - spływają ciepłą strużką wzdłuż szyi i jak Katy kołysze nią w objęciach. - Kocham cię, mamusiu.

- Ja też cię kocham.

- 1 przyjadę do domu na Święto Dziękczynienia.

- Liczę na to. Bądź ostrożna i dzwoń naprawdę często.

- Będę. Obiecuję ci.

Podeszły do samochodu, nie rozluźniając uścisku.

- Wiesz, trudno uwierzyć, że jesteś tą samą małą dziewczynką, która urządziła taką scenę, kiedy po raz pierwszy zostawiłam ją w przedszkolu!

Maggie pogładziła ramię Katy

Katy roześmiała się z przymusem, wsuwając się na miejsce za kierownicą.

-Będę świetnym psychologiem dziecięcym, bo rozumiem, co znaczą takie dni. - Podniosła głowę, aby spojrzeć na matkę. - A także takie jak ten. Ich oczy wymieniły ostatnie pożegnanie.

Katy włączyła silnik, Maggie zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie obiema rękami. Reflektory przebiły stożkami złotego światła gęstą mleczną mgłę między drzewami. Przez opuszczoną szybę Maggie pocałowała córkę w usta.

- Trzymaj się - powiedziała Katy.

Maggie zrobiła porozumiewawczy, znany w rodzinie gest.

- Cześć - szepnęła jeszcze Katy.

Maggie spróbowała to powtórzyć, ale poruszyła tylko wargami.

Silnik warczał ponuro, gdy samochód zjechał z podjazdu, zmienił kierunek, zatrzymał się i ruszył ponownie. A potem już go nie było, Maggie słyszała tylko opony szurające po mokrym asfalcie, a przed oczyma miała wciąż wspomnienie dziewczęcej dłoni machającej przez uchylone okno.

Sama pośród ciszy, Maggie skrzyżowała ramiona, odchyliła do tyłu głowę najdalej, jak mogła, i wpatrzyła się w niebo, szukając oznak świtu. Szczyty sosen pozostawały niewidoczne. Krople dalej spadały na grządki nagietek. Doznała wrażenia dziwnej lekkości, wyzwolenia z własnego ciała, jakby była Maggie Stearn stojącą na zewnątrz siebie, obserwującą własne reakcje. Gdyby upadła, byłaby to katastrofa. Zaczęła więc obchodzić dom wkoło, nurzając pantofle w mokrej trawie i zaczepiając suknią o gałęzie. Nie bacząc na to, przekraczała romboidalne plamy światła padającego z okna łazienki, gdzie Katy brała ostatni prysznic, i kuchni, gdzie jadła ostatnie śniadanie.

Przetrzymam ten dzień. Tylko ten. Następny będzie łatwiejszy. A następny jeszcze łatwiejszy.

Na tyłach domu wyprostowała krzaczek petunii przygnieciony przez deszcz; zmiotła dwie sosnowe szyszki z se-

kwojowego podestu; wsunęła na miejsce trzy szczapy drewna do kominka, które wypadły z sągu pod ścianą garażu.

Aluminiowa składana drabina leżała pod drugą ścianą.

Musisz ją odstawić. Leży tutaj od dnia, kiedy obcinaliśmy gałęzie ostatniej wiosny. Co by Phillip na to powiedział? Ale poszła dalej, zostawiając drabinę porzuconą w tym samym miejscu.

W garażu zaparkowany był jej nowy samochód, luksusowy lincoln, kupiony z ubezpieczenia Phillipa. Przeszła obok, kierując się na ścieżkę między nagietkami. Usiadła na schodach, skulona, ze skrzyżowanymi ramionami, obojętna na wilgoć przenikającą suknię od mokrego betonu.

Przerażona. Samotna. Zrozpaczona.

Myślała o Tammi, o tym, jak taka samotność doprowadzić może do kresu. I czuła lęk, że sama się nie zorientuje, kiedy nastąpi taki moment.

Ten pierwszy dzień spędziła w szkole Woodinville, zajęta porządkami w pokojach do zajęć praktycznych. Budynek wydawał się opuszczony, czynna była tylko administracja, nauczyciele mieli wrócić dopiero za półtora tygodnia.

Sama w jasnych, obszernych pomieszczeniach, naoliwiła maszyny do szycia, wypucowała kilka zlewów, zebrała trochę śmieci i papierów oraz udekorowała tablicę ogłoszeń.

WZORY UBRAŃ Z PRAWDZIWEGO DRELICHU NA JESIEŃ.

Nie obchodził jej ani drelich, ani wzory. Perspektywa jeszcze jednego roku, podczas którego będzie uczyła tego samego co przez ostatnich piętnaście lat, przedstawiała się równie bezsensownie jak gotowanie dla jednej osoby.

Po południu oczekiwał ją dom, wiecznie pusty, rozbrzmiewający drażniącymi wspomnieniami codziennej krzątaniny trzech osób.

Zadzwoiła do szpitala w sprawie Tammi i dowiedziała się, że jej stan nadal jest krytyczny.

Na kolację zrobiła sobie dwie francuskie grzanki i usiadła, aby je zjeść przy kuchennej ladzie barowej, oglądając jednocześnie wieczorne wiadomości w dziesięciocalowym telewizorze. Nieoczekiwanie

zadzwoił telefon. Rzuciła się, aby odebrać, spodziewając się, iż usłyszy głos Katy, która powie, że wszystko w porządku i że są w jakimś motelu blisko Butte w stanie Montana. Zamiast tego usłyszała głos z taśmy, wyszkolony baryton mówiący ze sztucznym ożywieniem po każdej mechanicznej pauzie: „Halo...mam ważną wiadomość...”

Rzuciła słuchawkę i spojrzała na nią z odrazą, jakby wysłuchiwała jakiejś obscenicznej kwestii. Odsunęła się, z pewną obawą uświadamiając sobie, że aparat, którego sygnał tak często był w przeszłości źródłem irytacji, może teraz sprawić, iż w oczekiwaniu na dzwonek jej puls ulegnie przyśpieszeniu.

Wzrok Maggie padł na pozostawiony kawałek grzanki. Nie próbowała go nawet wyrzucić, tylko przeszła do gabinetu i usiadła w głębokim fotelu Phillipa z zielonej skóry, ręce położyła na bocznych oparciach, a głowę na poduszce, tak jak on często siadywał.

Gdyby miała podkoszulek Phillipa, pewno by go włożyła, ale został wyrzucony. Zamiast tego zadzwoniła do Neldy. Sygnał rozległ się trzynaście razy, ale nikt nie podniósł słuchawki.

Spróbowała następnie zadzwonić do Diane, znów czekała i czekała, zanim dotarło do niej, że Diane jest pewno na wyspie Whitbey z dziećmi. U Claire ktoś odebrał telefon, ale to była jej córka, która poinformowała Maggie, że matka jest na jakimś spotkaniu i wróci późno.

Odłożyła więc słuchawkę i siedziała, gryząc kciuk i wpatrując się w aparat.

Cliff? Oparła głowę na podglówku. Biedak nie jest w stanie poradzić sobie z własną stratą, cóż więc mówić o pomocy innym.

Pomyślała o matce, ale wywołało to tylko dreszcz. Dopiero kiedy wszystkie możliwości zostały wyczerpane, przy-

pomniała sobie radę doktora Feldsteina. „Zadzwońcie do starych przyjaciół, im dawniejszych, tym lepiej, przyjaciół, z którymi utraciliście kontakt...” Ale do kogo?

Odpowiedź, która się pojawiła, wydawała się oczywista: do Brookie.

To imię wywołało wspomnienia tak żywe, jakby wszystko działo się wczoraj.

Ona i Glenda Hołbrook - dwa alty - stojące obok siebie w pierwszym rzędzie szkolnego chóru, bezlitośnie denerwujące dyrygenta, pana Pruitta, cichym nuceniem zakazanej nuty w finałowym akordzie. Zamieniały czyste C-dur na drażniące, jazzowe cis.

„Czyż nie jest to dobra nowina, o Panie, dobra noooowina?”

Czasami Pruitt zezwalał na tę twórczą zamianę, ale częściej wzdrygał się i groził palcem, każąc przywrócić czystość akordu. Pewnego razu przerwał próbę i nakazał: „Hołbrook i Pearson, proszę wyjść do hallu i tam bawić się swoimi dysonansami do woli. Kiedy będziecie gotowe śpiewać tak, jak jest w nutach, proszę wrócić”.

Glenda Hołbrook i Maggie Pearson trzymały się od pierwszej klasy razem. Już drugiego dnia szkoły zostały postawione do kąta za szeptanie. W trzeciej klasie dyrektor skarcił je za wybicie przedniego zęba Timothy'ego Ostmeiera kamieniem rzuconym podczas gry w żołędzie, choć żadna z dziewcząt nie chciała powiedzieć, która z nich go cisnęła. W piątej klasie panna Hartman przyłapała je podczas południowej przerwy z wypchanymi biustami. Panna Hartman, sama o płaskich piersiach, zmiętej twarzy starej panny i z zezem jednego oka, otworzyła drzwi łazienki, w chwili gdy Glenda mówiła: „Gdybyśmy miały takie cycki, byłybyśmy gwiazdami filmowymi!” W szóstej klasie razem z Lisą Eidelbach zdobyły nagrodę za odśpiewanie w tercecie piosenki „Trzy białe gołąbki pofrunęły ku morzu” na dorocznym spotkaniu. W średniej szkole chodziły razem na

zajęcia z Biblii i zakreślały w swoich egzemplarzach jasne, brutalne w swej bezpośredniości odpowiedzi na trudne pytania. Na marginesach podręczników do przyrody rysowały nieprawdopodobnie seksowne męskie ciała, zanim jeszcze się dowiedziały, jak one wyglądają. W ostatniej klasie należały do grupy klakierskiej i kołły ból mięśni sportowców po pierwszych ćwiczeniach w sezonie, produkując niebiesko-złote pompony, jeżdżąc z drużyną autobusami i pozostając na tańcach w salach gimnastycznych po meczach. Umawiały się we dwie z chłopcami, zamieniały się ubraniami, dzieliły tysiące sekretów i zostawały jedna u drugiej na noc w swoich domach z taką regularnością, że w obu trzymano dla nich zapasowe szczoteczki do zębów. Brookie i Maggie - przyjaciółki na zawsze, jak wówczas myślały. Ale Maggie wstąpiła na Uniwersytet Northwestern w Chicago, poślubiła inżyniera lotnictwa i przeniosła się do Seattle, podczas gdy Glenda uczyła się w szkole kosmetycznej w Green Bay, wyszła za mąż za farmera uprawiającego wiśnie w Door County w stanie Wisconsin, przeniosła się tam i urodziła sześcioro - a może siedmioro? -dzieci, po czym noga jej nie stanęła w salonie kosmetycznym. Od jak dawna nie miały już ze sobą kontaktu? Przez jakiś czas, po zjeździe klasowym na dziesięciolecie, pisywały do siebie regularnie. Potem przerwy między listami zaczęły się wydłużać, aż skończyło się na kartach świątecznych, zanim i te się urwały. Maggie brakowało tego związku, który przetrwał dwadzieścia jeden lat, i podczas niezbyt częstych odwiedzin u rodziców żałowała zawsze, że nie natknęła się nieoczekiwanie na Brookie. Zadzwoić do Brookie? I co powiedzieć? Cóż jeszcze mogą mieć wspólnego? Z czystej ciekawości wychyliła się z zielonego fotela Phillipa i przycisnęła literę H w metalowym indeksie telefonicznym. Pokrywka odskoczyła, odsłaniając zapisy wykaligrafowane starannym pismem Phillipa. Niewątpliwie po-

winno to być tutaj, pod panięńskim nazwiskiem: Holbrook Glenda (mąż Eugene Kerschner), R.R.I, Fish Creek, WI 54212. Pod wpływem impulsu Maggie wykręciła numer. Po trzecim sygnale ktoś odpowiedział. „Halo?” To był męski głos, młody i dźwięczny.

- Czy jest Glenda? - Mamo! - rozległ się okrzyk. - Do ciebie!

W telefonie szcęknięło, jak gdyby słuchawka została rzucona na drewnianą powierzchnię, i po krótkiej przerwie zabrzmiał głos kobiety.

-Halo?

- Glenda Kerschner?

- Tak.

Maggie już się uśmiechała.

- Brookie, to ty? - A kto...

Maggie na odległość wyczuwała zaskoczenie Brookie.

- Maggie, czy to ty? - Ja.

- Gdzie jesteś? W Door? Możesz przyjść?

- Chciałabym, ale jestem w Seattle.

- Do licha. Chwileczkę. - Słysząc było, jak Brookie krzyczy do kogoś: „Todd, wyłącz to i zabierz do innego pokoju, bo wszystko mi zagłusza”. - Przepraszam, Maggie. Todd produkuje tutaj popcorn z bandą swoich kolegów, a wiesz jacy hałaśliwi są chłopcy. Mów, jak się masz?

- W porządku. - Czy naprawdę, Mag? Słyszeliśmy o śmierci twojego męża w tej katastrofie. Był artykuł w „Advocate”. Chciałam ci wysłać kartę kondolencyjną, nawet kupiłam, ale gdzieś mi się zapodziała i w końcu jej nie wysłałam. Zaczął się sezon wiśniowy, a wiesz, jakie panuje tu wariactwo w porze zbioru. Maggie, tak mi przykro. Myślałam o tobie tysiące razy!

- Dzięki, Brookie.

- Więc jak dajesz sobie radę?
- Och. Jedne dni są lepsze, inne gorsze.
- Dziś masz zły dzień? - zapytała Brookie.
- W pewnym sensie... tak. Bywały gorsze, ale... - Nagle Maggie poddała się. - Och, cholera, Brookie!
- Oparła się łokciem o stół i zakryła oczy. - Jest okropnie. Katy właśnie wyjechała do Chicago, kobieta z mojej grupy terapeutycznej próbowała w zeszłym tygodniu popełnić samobójstwo, a ja siedzę w pustym domu i rozmyślam, co się, do diabła, stało z moim wspólnym życiem!
- Och, Maggie... Gryząc palce, Maggie powiedziała:
-Mój psychiatra radził, żeby porozmawiać z dawnymi przyjaciółmi, że to dobrze robi... Pośmiać się ze wspomnień. Więc właśnie wypłakuję się na twoim ramieniu, jak w czasach, gdy chodziłyśmy do szkoły i miałyśmy kłopoty z chłopakami.
- Och, Maggie, powinno się mnie zabić za to, że nie odezwałam się do ciebie pierwsza. Kiedy ma się tyle dzieci, zapomina się czasem o całym świecie poza kuchnią i pralką. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, że się nie odezwałam. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Maggie, jesteś tam? -W głosie Brookie brzmiał niepokój. - Tak - wykrztusiła Maggie.
- Och, Maggie... tak bym chciała być przy tobie!
- Ja też. Są dni, kiedy dałabym wszystko, żeby móc usiąść razem z tobą i po prostu się wygadać.
- Maggie... proszę, nie płacz!
- Przepraszam. Wydaje mi się, że tylko to robię cały rok. Wszystko jest tak cholernie trudne!
- Wiem, kochanie, wiem. Chciałabym być z tobą... ale powiedz mi wszystko. Nic mnie tu nie goni. Maggie otarła oczy wierzchem dłoni i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.
- Wiesz, musieliśmy odbyć takie ćwiczenie w naszej grupie terapeutycznej w tym tygodniu, wyobrażaliśmy sobie,

że na krześle siedzi osoba, z którą trzeba się pożegnać. Posadziłam na tym krześle Phillipa, powiedziałam mu do widzenia i przypuszczam, że to podziało, bo, wreszcie uświadomiłam sobie, że odszedł i nie wróci. Tak łatwo było mówić do Brookie. Lata oddalenia jakby nie istniały. Maggie powiedziała jej wszystko - jaka szczęśliwa była z Phillipem, jak usiłowała przekonać go, żeby nie leciał na tę karcianą wycieczkę, jak w końcu przekonał ją obiecując, że zaplanują wspólny wyjazd na Florydę na Wielkanoc, i o tym, jakiego doznała szoku na wiadomość o katastrofie samolotu z pięćdziesięcioma sześcioma osobami na pokładzie, o męce wysyłania danych o jego użębieniu i o oczekiwaniu na potwierdzenie listy ofiar, o niezwykłym wrażeniu kompletnej nierealności, kiedy brała udział w żałobnej uroczystości bez zwłok, a kamera śledziła twarze jej i Katy.

A także o tym, co zdarzyło się potem.

- To naprawdę dziwne, co się z tobą dzieje, kiedy zostajesz wdową. Najlepsi przyjaciele traktują cię jak trędowatą. To ty dostajesz miejsce bez partnera przy stole. Piąte koło u wozu. Pasażerka bez pasa bezpieczeństwa. Należeliśmy z Phillipem do country clubu, ale i tam się zmieniło. Z naszych przyjaciół - to znaczy brałam ich za przyjaciół, dopóki Phillip żył - dwóch złożyło mi nieprzyzwoite propozycje, zaledwie ich żony zdążyły odsunąć się o dwadzieścia stóp. Zrezygnowałam wtedy z golfa. Ostatniej wiosny pozwoliłam się w końcu namówić jakiemuś nauczycielowi na randkę. -1 jak było?

- Koszmarnie.

- Tak jak z Frankie Petersonem?

- Z jakim Frankie?

- Chyba pamiętasz Frankie Petersona! Palec w każdym otworze!

Maggie wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak bardzo, że aż osłabła i opadła na fotel ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do ucha.

- Dobry Boże, zapomniałam o Frankie Petersonie!
- Jak dziewczyna z ostatniej klasy szkoły Gibraltar może zapomnieć Franka Korbkę! Wyginał się lepiej niż kapela z Green Bay!
- Śmiały się jeszcze i dopiero kiedy paroksyzm minął, Brookie zapytała poważnie:
 - Więc opowiedz mi o tym facecie. Próbował się do ciebie dobierać, prawda?
 - Właśnie. O pierwszej nad ranem. I to na moich schodach, do licha! To było okropne. Człowiek traci wprawę w opędzaniu się od nich, wiesz. To było takie krepujące, upokarzające... i wiesz., naprawdę się wściekłam, Brookie!
 - I co, zepchnęłaś go ze schodów czy co?
 - Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem, poszłam do kuchni i zrobiłam sobie kulki mięsne!
 - Kulki... mięsne! - Brookie tak się śmiała, że nie mogła wypowiedzieć słowa.
- Po raz pierwszy Maggie dostrzegła śmieszny aspekt sytuacji, która wtedy wydawała jej się tak obraźliwa. Śmiała się razem z Brookie oczyszczającym śmiechem z głębi brzucha, który zapierał jej dech i zmuszał do masowania obolałych mięśni, kiedy skręcała się, leżąc na plecach i gapiąc się w sufit. - Boże, jak wspaniale się z tobą rozmawia, Brookie. Nie śmiałam się tak od miesięcy!
- W końcu przydałam się do czegoś poza prokreacją! Nowy wybuch śmiechu, zanim się nie uspokoiły i Maggie nie zrobiła się na powrót poważna.
- To prawdziwa zmiana. - Moszcząc się wygodnie, rozbujała fotel. - Człowiek jest taki spragniony - nie seksu, ale uczucia. Potem idziesz na randkę i kiedy on cię próbuje pocałować, spinasz się i robisz z siebie wariatkę. Zdarzyło mi się to jeszcze raz w ubiegłym tygodniu.
- Znowu randka w ciemno?
- Niezupełnie. Ktoś, kto pracuje w supermarkecie, gdzie kupuję, i kto parę lat temu stracił żonę. Znałam go

tylko przelotnie, ale wyczuwałam, że mnie lubi. W każdym razie moja grupa naciskała, żebym zrobiła pierwszy krok, więc się w końcu zgodziłam. Nie powiesz mi, że człowiek nie czuje się wtedy okropnie. Zawsze kiedy się umawiałam, zapraszali mnie mężczyźni. Ale teraz to ja musiałam prosić i kiedy próbował mnie pocałować, po prostu... po prostu zmroziło mnie!

- Hej, nie śpiesz się z tym, Mag. To podobno trochę trwa, a ty miałaś na razie tylko dwie randki.

- No tak... - Maggie westchnęła, potarła czoło palcem i wyznała: - Człowiek robi się przewrażliwiony, wiesz, a to utrudnia osąd. - Posłuchaj, przewrażliwiona staruszeko, czy teraz, kiedy to przyznałaś i nie umarłaś z powodu szoku, nie czujesz się lepiej?

- Nieskończenie!

- Co za ulga!

- Doktor Feldstiein miał rację. Powiedział, że rozmowa z dawną znajomą czy znajomym dobrze nam zrobi, że przeniesie nas do czasów, kiedy nie mieliśmy za wiele trosk. Dlatego zadzwoniłam, a ty mnie nie zawiodłaś.

- Cieszę się z tego. Dzwoniłaś do innych? Do Fish? Lisy? Tani? Wiem, że bardzo by się ucieszyły.

- Już tyle lat z żadną nie rozmawiałam...

- Ale to myśmy były Plagą Seniorek, wszystkie pięć. Wiem, że każda by ci pomogła, gdyby tylko wiedziała. Dam ci ich telefony.

- Masz je? Każdej z nich?

- Już dwa razy podejmowałam się wysyłania zaproszeń na zjazdy klasowe. Wybrano mnie, bo mieszkam w pobliżu i mam pół tuzina dzieciaków, które mogą pomóc przy adresowaniu kopert. Fish mieszka w Brussels, w stanie Wisconsin, Lisa w Atlancie, a Tani w Green Bay. Poczekaj chwilę, podam ci numery ich telefonów!

Kiedy Brookie poszła szukać notesu, Maggie zaczęła sobie przypominać twarze: Lisa, miejscowa królowa piękno-

ści podobna do Grace Kelly; Carolyn Fisher, czyli Fish, z zadartym nosem, którego nienawidziła i zamazywała na zdjęciach bazgrołami; Tani, rudowłosa i piegowata.

- Maggie, jesteś tam? - Tak.

- Masz coś do pisania?

- Mów.

Brookie podyktowała numery dziewcząt i zapytała:

- Mam tu jeszcze parę. Co powiesz na Dave'a Christiansona? - Na Dave'a?

- Do diabła, a dlaczego nie miałybyś też zadzwonić do chłopaków? Przecież się przyjaźniliśmy, prawda? Dave ożenił się z dziewczyną z Green Bay i prowadzi fabrykę łożysk kulkowych czy coś takiego.

Maggie zapisała numer Dave'a, następnie Kenny'ego Hedlunda (ożenił się z dziewczyną z niższej klasy, Cynthią Troy, i mieszkają w Bowling Green, Kentucky), Barry'ego Breckholdta (w Nowym Jorku, żonaty, dwoje dzieci), a także Marka Mobridge'a (Mark, powiedziała Brookie, jest homoseksualistą i mieszka w Minneapolis, gdzie poślubił faceta imieniem Greg).

- Czy ty to zmyślasz? - zapytała Maggie, szeroko otwierając oczy.

- Ależ skąd! Posłałam im życzenia z okazji ślubu. Co, do diabła, żyj i pozwól żyć innym! Bardzo się śmialiśmy z Markiem na wyjazdach z orkiestrą.

- Więc jednak nie bujałaś, że masz telefony wszystkich!

- Zaraz, jeszcze jeden dla ciebie, Eryk Severson. Maggie wyprostowała się w fotelu. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Eryk? - Tak. KL 5-3500, ten sam kod co do mnie.

Po kilku sekundach milczenia Maggie oświadczyła:

- Nie mogę zadzwonić do Eryka Seversona. - Dlaczego?

- Bo... - Bo dawno temu, w ostatniej klasie, Maggie Pearson i Eryk Severson byli kochankami. Niepewnymi, całkiem zielonymi kochankami, przerażonymi możliwością odkrycia przez innych swego związku, i możliwością ciąży; na szczęście jakoś się udało uniknąć jednego i drugiego.
 - Mieszka tutaj, w Fish Creek. Czarteruje łódź z Gills Rock, tak jak jego ojciec.
 - Brookie, powiedziałam ci, że nie mogę zadzwonić do Eryka.
 - Dlaczego nie? Bo z nim chodziłaś? Maggie wstrzymała oddech.
 - Brookieeee! Brookie roześmiała się.
 - Nie opowiadałyśmy sobie jednak tak zupełnie wszystkiego, prawda? I nie zapominaj, że byłam na łodzi jego ojca w dzień po promocji. Co wy dwoje mogliście robić tyle czasu w kabinie? Ale co to teraz za sprawa? Eryk jest na miejscu, równie miły jak zawsze, i wiem, że byłby szczęśliwy, gdybyś się do niego odezwała. - Jest żonaty, prawda?
 - Tak, ma piękną żonę. Ona naprawdę zwraca uwagę swoją urodą, i o ile wiem, są ze sobą bardzo szczęśliwi.
 - No i dobrze. Amen.
 - Maggie, na litość boską, daj spokój! Jesteśmy już dorośli!
- Maggie usłyszała zaskakujące słowa, które sama wypowiedziała:
- Ale co miałabym mu powiedzieć?
 - Może: cześć, jak leci, Eryku? - Maggie niemal widziała, jak Brookie wymachuje ręką. - Skąd mam, u diabła, wiedzieć, co mu powiesz? Po prostu dałam ci jego numer telefonu razem z innymi. Nie myślałam, że to będzie taki problem!
 - Bo nie jest.
 - Więc nie rób z tego sprawy!
 - Ja... - Maggie przemilczała dalsze argumenty. - Posłu-

chaj - dziękuję ci, Brookie. Dziękuję bardzo, z całego serca. Byłaś dokładnie tym, co przepisał mi na dziś doktor. - Wypchaj się, Pearson. Nie dziękuj się przyjaciółce za coś takiego. Lepiej ci teraz? Nie utopisz się w sedesie, spuszczać wodę, ani nic w tym rodzaju?

- Czuję się o sto procent lepiej.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Dobra, muszę kończyć. Powinam położyć dzieciaki do łóżek.

- Dzwon do mnie, dobrze?

- Będę, ale ty też!

- Dobra. Cześć, Mag.

- Cześć, Brookie.

-Po odłożeniu słuchawki Maggie leniwie rozparła się w fotelu, uśmiechając się do siebie. W myślach powracały nadal miłe wspomnienia - o niej samej i o dziewczętach, o Fish, Tani, Lisie i Brookie.

Zwłaszcza o Brookie. Brookie nie była taka znowu bystra, a przecież ogólnie lubiana, bo obdarzona wspaniałym poczuciem humoru i traktująca wszystkich jednakowo. Nigdy nikogo nie krytykowała i nie obmawiała za plecami. Jak to cudownie wiedzieć, że się nie zmieniła, że jest wciąż tam, w Door County, Brookie łączniczka z przeszłością, utrzymująca wszystkie kontakty.

Maggie przysunęła fotel do biurka i zaczęła wpatrywać się w listę numerów telefonicznych w świetle stojącej lampy. Fish, Lisa, Tani, Dave Christianson, Kenny Hedlund. Eryk Severson. Me, *nie mogłabym!*

Odsunęła się od biurka i zaczęła się bujać w fotelu. Po dłuższej chwili namysłu w końcu wstała i podeszła do półki z książkami. Szukała jakiś czas, zanim wyciągnęła cienki tom oprawny w kremową skórę, z brzegami kartek pokrytym i imitacją złota, dawno już startego. Gibraltar, 1965.

Odchyliła okładkę i ujrzała swoje własne kanciaste pismo. Była to uwaga w nawiasie: (Zachować dla Brookie), a niżej bazgroły Brookie.

Droga Maggie,

Udało nam się, co? Boże, nigdy nie myślałam, że damy radę. Byłam przekonana, że kochana Morrie nakryje nas na picciu piwa i wyleje przed skończeniem szkoły. Wypiliśmy trochę, nie? Nigdy nie zapomnę ubawu, jaki miałyśmy tańcząc i jeżdżąc po tych wszystkich polach kukurydzianych ciężarówką Fish razem z całą paczką. Pamiętasz, jak raz zatrzymałyśmy się i nawiąły pośrodku Main Street? Boże, gdyby nas wtedy złapano! I nie zapominaj o trasie chóru, o tej zielonej cieczy, którą wlałyśmy do termosu Pruitta, i o tym jak doprowadzałyśmy go do szału, śpiewając dodatkowe nuty, albo jak wsunęłyśmy plakat z gołą babą do szafki chłopców, z tym „podpisem, no wiesz! (Moja matka ciągle nie wie, jakie miałyśmy z tego powodu kłopoty!) Na balu maturalnym najlepsi byli Arnie i Eryk, a potem ten dzień w łodzi Eryka w zatoce! Jestem pewna, że wszystko dobrze się ułoży Tobie i Erykowi, jestem o tym przekonana, bo jesteście taką ładną parą. Nawet jeżeli Ty będziesz w Northwestern, a ja w Green Bay w szkole kosmetycznej, będziemy się spotykać w weekendy i wychodzić gdzieś z Fish, Lisą i Tani, więc bądźmy w kontakcie... na mur! Nie pozwól sobie zawrócić głowy chłopakom w Chicago i powodzenia we wszystkim. To Ty masz głowę i talent, więc wiem, że odniesiesz sukces, wszystko jedno w czym. Jesteś najlepszą przyjaciółką, Mag, więc się nie zmieniaj. I nie zapominaj o mnie. Daj słowo! Ucałowania, Brookie.

Maggie uśmiechnęła się z zadumą, doczytawszy do końca przesłanie Brookie. Nie pamiętała o zielonej cieczy w termosie pana Pruitta, nie pamiętała podpisu na plakacie z nagą kobietą. Kto to była kochana Morrie? Tyle zagubionych wspomnień.

Spojrzała na zdjęcia klasy. Brookie, Tani, Lisa, Fish i ona sama (z nosem zmarszczonym ze zmartwienia) -wszystkie okropnie dziecinne i naiwne. Ale tak naprawdę chciała obejrzeć zdjęcie Eryka Seversona.

Miała go przed sobą. Niezwykle przystojny siedemnastolatek - wysoki blondyn w typie nordyckim. Chociaż zdjęcie było czarno-białe, Maggie wyobraziła sobie kolory -intensywny błękit jego oczu, odbijający jakby barwę kwitnących pól cykorii w Door County w sierpniu; słoneczną jasność włosów splątanych niby suche łuski kukurydzy; wieczny brąz skóry opalanej w ciągu miesięcy na pokładzie łodzi rybackiej ojca.

Eryk Severson, mój pierwszy kochanek.

Znalazła jego list na kartce wsuniętej między końcowe strony książeczki.

Droga Maggie,

nigdy bym nie pomyślał na początku roku, jak trudno będzie mi pisać do Ciebie. Cóż za wspaniały rok spędziliśmy razem! Pamiętam pierwszy wieczór: zapytałem, czy mogę odprowadzić Cię do domu, a kiedy odpowiedziałaś „tak”, pomyślałem sobie: no,no, Maggie Pearson ze mną! Spójrz teraz na nas, po ukończeniu szkoły, z milionem wspomnień. Nigdy nie zapomnę pierwszego tańca, kiedy powiedziałaś mi, żebym nie żuł gumy tuż przy Twoim uchu, i kiedy pierwszy raz pocałowałem Cię na sankach pod Old Bluff Road albo kiedy trener Gilbert przemawiał do chłopaków w przerwach meczu, a ja patrzyłem na Ciebie, stojącą po drugiej stronie sali w grupie klakierek. Lubilem Cię na długo przedtem, zanim odważyłem się to powiedzieć, i teraz żałuję tylko, że nie zrobiłem tego trzy lata wcześniej. Będę za Tobą tęsknił jak diabli tej jesieni w Stout State, ale umawiamy się na Dzień Dziękczynienia w „The Door”, i na Boże Narodzenie też. Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, po zakończeniu szkoły na pokładzie „Mary Deare”, i nocy w sadzie starego Easleya. Nie zapomnij o Felicity i Aaronie, umówiliśmy się na wiosnę 1969 roku, żeby poroz-

mawiać wiesz o czym. Ubieraj się na różowo (ale tylko na randki ze mną). Jeszcze nie widziałem, żeby komuś było tak dobrze w różowym! Nigdy Cię nie zapomnę, Maggie, moja dziewczynko. Wszystkiego, co najlepsze - Eryk.

Felicity i Aaron - imiona, które wybrali dla swoich przyszłych dzieci. Wielkie nieba, zapomniała. I o spotkaniu na wiosnę, kiedy to mieli rozmawiać o małżeństwie. I o tym, jak bardzo podobała mu się w różowym. Nie pamiętała też tego specjalnego zwrotu: Maggie, moja dziewczynko.

To wspomnienie otuliło ją nostalgią. Ale spoglądając na tamte radosne dni z perspektywy dorosłego życia pomyślała: Brookie ma rację. Jest szczęśliwie żonaty, ma bardzo piękną żonę i wszyscy już dawno dorośliśmy. Jak telefon od dziewczyny sprzed dwudziestu trzech lat może zagrozić jego małżeństwu czy zepsuć nam nastrój? To będzie przyjacielskie „cześć” i tyle.

Zgodnie z zaleceniem doktora Feldsteina podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

Rozdział 2

Dzwonek telefonu wyrwał Eryka Seversona z głębokiego snu. Leżąc obok niego Nancy wymamrotała coś i obróciła się na drugi bok, a Eryk sięgnął do stolika i podniósł w ciemności słuchawkę.

- Hal... - Odchrząknął. - Halo?

- Czy to Eryk Severson?

- Kto mówi? - zapytał ostrym tonem, spoglądając na fosforyzujące cyfry zegarka.

- Margaret Stearn... to znaczy Pearson. -Kto?

Nancy odsunęła się i zniecierpliwiona pociągnęła kołdrę.

- Kto, na litość, dzwoni o tej porze?

- Tu Maggie, Eryku - powiedziała kobieta w telefonie. -Maggie Pearson.

-Maggie... - Usiłował przypomnieć sobie, kto to taki Maggie Pearson.

- Och, obudziłam cię, prawda? Tak mi przykro. Zupełnie o tym nie pomyślałam, jestem w Seattle i mamy tu dopiero dziewiątą. Wiesz co, zadzwonię kiedy indziej, w ciągu dnia...

- Nie, w porządku. Maggie... jak? Chcesz powiedzieć, że jesteś Maggie Pearson ze szkoły Gibraltar? Rocznik 65? -Rozpoznał jej śmiech i oparł się plecami o poduszkę, już rozbudzony. - A niech mnie!

Nancy odwróciła się i zapytała:

- Kto to?

Zasłaniając mikrofon odpowiedział:

- Dziewczyna, z którą chodziłem do szkoły, Maggie Pearson.

- Och, wspaniale - mruknęła Nancy i obróciła się z powrotem na bok.

- Czy ktoś tam jest?

Eryk powiedział do słuchawki:

- Tak, moja żona.

- Naprawdę mi przykro, Eryku. Zadzwoiłam pod wpływem impulsu, więc przeproś żonę za to, że ją obudziłam, i śpijcie oboje spokojnie.

- Chwileczkę! - zawołał Eryk i usiadł, przerzucając nogi przez krawędź łóżka.

- Maggie? - Tak?

- Przejdę do drugiego aparatu. Poczekaj chwilę. - Wstał po ciemku, wygładził kołdrę i nachylił się, aby pocałować Nancy w policzek. - Potrzymaj słuchawkę, dopóki nie zejść na dół, dobrze, złotko?

Przepraszam, że cię budzę. - Czego ona chce?

- Nie wiem - powiedział, wychodząc z pokoju. - Powiem ci rano.

Pozostałe aparaty były na dole. Przeszedł przez ciemny hall, zszedł po schodach, poczuł pod stopami miękki dywan w saloniku, a następnie chłodny winyl podłogi w kuchni, gdzie zapalił jarzeniowe światło nad zlewozmywakiem. W nagłym blasku zmrużył oczy, sięgając po telefon.

- Halo? - Tak - odpowiedziała Maggie.

- Teraz możemy porozmawiać. Jestem na dole. Co za niespodzianka, Maggie!

- Naprawdę przepraszam. Cóż za głupota nie pomyśleć o różnicy czasu. Wiesz, właśnie skończyłam rozmowę z Brookie - to ona dała mi twój numer i namówiła na ten tele-

fon. Tak się zagadałyśmy, że kiedy odłożyłam słuchawkę, w ogóle nie zastanawiałam się, która też jest u ciebie godzina. - Przestań już się tłumaczyć.

- Ale co pomyśli twoja żona?

- Pewno z powrotem zasnęła. - Eryk usłyszał lekki trzask odłożonej przez Nancy słuchawki. Ubrany tylko w krótkie piżamowe spodnie, rozsiadł się wygodnie na kuchennym krześle i postawił aparat przed sobą. - Dużo podróżuje, więc nauczyła się spać w hotelach i w samolotach, gdzie tylko się da. We własnym łóżku nie ma żadnych problemów ze snem, wierz mi.

- Wiem od Brookie, że masz bardzo piękną żonę.

- To prawda, dziękuję. Ma na imię Nancy. - Nie jest z Door County?

- Nie, z Estherville w Iowa. Poznałem ją na ostatnim roku w college'u. A co u ciebie? Mieszkasz w Seattle i... -Nie skończył zdania.

- Byłam mężatką przez osiemnaście lat. Straciłam męża rok temu.

- Współczuję ci, Maggie.... Czytałem o tym w „Advocate”. - Po chwili zapytał: - Masz dzieci?

- Jedno. Córka, Katy, siedemnaście lat. A ty?

- Niestety nie.

Nastąpiła chwila milczenia. Usiłując czymś ją wypełnić,

Maggie rzuciła: - Brookie mówi, że czarterujesz łódź po ojcu.

- Tak. Z Gills Rock, razem z moim bratem. Pamiętasz Mike'a, prawda? Był od nas o dwa lata starszy.

- Oczywiście że pamiętam Mike'a. Wzięliśmy jego samochód, żeby pojechać na bal maturalny.

- Racja, zapomniałem. Mamy teraz dwie łodzie. Przy radiu jest matka, zresztą to ona załatwia wszystko na ładzie, wynajem i sprzedaż licencji...

- Twoja matka. Kiedy myślę o niej, uśmiecham się. Jak się miewa?

- Niezmordowana. Wygląda tak samo - coś pośredniego między Burgessem Meredithem i płaszczem z jagnięcej wełny.

Maggie roześmiała się. Ten śmiech płynący przewodami zdawał się przywracać miniony czas.

- Mama w ogóle się nie zmienia. Zawsze jest pełna wigoru.

Eryk rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Twoja matka była taka dzielna. Bardzo ją lubiłam. A twój tata... Wiem, że już nie żyje, moja matka mi o tym pisała.

- Tak, to już sześć lat.

- Zawsze byłeś z nim blisko. Musi ci go brakować.

- Nam wszystkim... - To była prawda. Nawet po sześciu latach Eryk odczuwał stratę. Przejął od ojca system wartości. Przejął po nim zajęcie. Czuł jego silną rękę na swojej, kiedy sięgał po ster i linę, słyszał w uszach jego głos: „Nigdy nie szarp liną, chłopcze! Trzymaj równo!” Ponad połowa klientów wynajmujących łódź Eryka to byli ci sami, którzy wypływali na połów na pokładzie „Mary Deare” od najwcześniejszych czasów Czarteru Seversona. W głosie Eryka zabrzmiało wzruszenie, gdy dodał: - No, cóż... miał piękne życie, do końca prowadził swoją łódź i umarł w domu, trzymając matkę za rękę, z całą czwórką dzieci przy łóżku.

- Właśnie - zapomniałam o reszcie twojego rodzeństwa, drugim bracie i siostrze. Gdzie są teraz?

- Ruth mieszka w Duluth, a Larry w Milwaukee. Spotykam od czasu do czasu twoich starych, zwłaszcza ojca, kiedy jestem na zakupach. Zawsze chce wiedzieć, jak ryby biorą.

- Zazdrości ci zajęcia. Eryk chrząknął.

- Byłem u niego chyba miesiąc temu i proponowałem, żeby przyjechał, to razem wypłyniemy na morze.

- Ale pewnie nic z tego nie wyszło? -Nie.

- Widocznie matka nie udzieliła mu zezwolenia - stwierdziła Maggie ironicznie.

Matka Maggie zawsze była jędzą, odkąd Eryk ją znał. Pamiętał swój strach przed nią, gdy umawiał się z Maggie, pamiętał też, że nie lubiły jej sąsiadki.

-Rozumiem, że się nie zmieniła...

- Niewiele. W każdym razie na pewno nie wtedy, kiedy byłam ostatni raz w domu. Jak dawno temu? - Och, chyba ze trzy lata. Ciągle wodzi ojca za nos i chciałaby to samo robić ze mną. W związku z tym rzadko bywam u rodziców.

- Nie przyjechałaś na ostatni zjazd naszej klasy.

- Nie... Mieszkaliśmy z Phillipem w Seattle... To tak da-

leko. Jakoś się nie wybraliśmy. Ale dużo podróżujemy... to znaczy podróżowaliśmy. - Ta pomyłka wywołała chwilę zakłopotania. - Przepraszam - rzuciła Maggie. - Staram się pamiętać, ale czasami tak mi się powie...

- Ależ to normalne, Maggie. - Zamilkł, a potem wyznał: - Wiesz, usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądasz. Zabawne, że bardzo trudno to zrobić, gdy chodzi o kogoś, kogo pamiętamy z młodości. - Widział ją ciągle jako smukłą siedemnastolatkę o kasztanowych włosach, delikatnej twarzy, brązowych oczach i łabędziej szyi. Pełną życia. Roześmianą. Zawsze potrafił ją rozśmieszyć.

- Jestem starsza. Zdecydowanie. - Wszyscy jesteśmy starsi.

Eryk wziął drewnianą gruszkę z talerza pośrodku stołu i pogładził ją palcem. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego Nancy stawia paterę z drewnianymi owocami na stole, skoro w Door County jest tyle prawdziwych. - Bardzo tęsknisz za swoim mężem?

- Tak. Byliśmy wzorowym małżeństwem. Nie wiedział, jak zareagować.

_ Chyba nie jestem dobry w takich sytuacjach, Maggie. Przepraszam. Kiedy umarł mój ojciec, było tak samo Nie miałem pojęcia, co, u diabła, powinienem powiedzieć matce.

- Nic nie szkodzi. Wiem, że ludzie bywają czasem zakłopotani, ja też.

- Mogę cię o coś zapytać, Maggie?

- Oczywiście. Zawahał się.

- Nie, chyba lepiej nie.

- Mów. O co chodzi?

- Jestem po prostu ciekaw. Wiesz... - Może to było niegrzeczne, ale nie mógł się powstrzymać. -

Dlaczego zadzwoniłaś? Pytanie zaskoczyło ją, na chwilę zapadło milczenie.

- Nie wiem. Chciałam ci powiedzieć „cześć”.

Po dwudziestu trzech latach tylko „cześć”? To było dziwne, ale chyba rzeczywiście nie istniał inny logiczny powód. Powiedziała szybko: - Już późna pora, na pewno musisz wcześniej wstać. Sobota w „The Door”... Dobrze pamiętam. Zawsze mnóstwo turystów i wszyscy chcą łowić łososia, prawda? Wybacz, że cię obudziłam, i przeproś ode mnie żonę. Na pewno wybiłam ją ze snu.

- Nie ma sprawy, Maggie. Naprawdę cieszę się, że zadzwoniłaś.

- Ja też.

- Wiesz... - Eryk nie wiadomo dlaczego zawahał się, zanim powiedział na zakończenie: - Kiedy przyjedziesz do domu następnym razem, odezwij się. Chciałbym, żebyś poznała Nancy.

- Dobrze. I pozdrów ode mnie mamę i Mike'a. - Zrobię to.

- No to do widzenia, Eryku.

- Do widzenia.

Połączenie urwało się, ale przez jakiś czas siedział jeszcze zakłopotany, wpatrując się w telefon. Co, u diabła?

Odłożył słuchawkę i postawił aparat na miejsce, ale wciąż nie przestawał się w niego wpatrywać.

Maggie dzwo-

ni o jedenastej wieczorem po dwudziestu trzech latach. Dlaczego? Wsunął dłonie za gumkę spodni i podrapał się w brzuch. Otworzył lodówkę i stał przez chwilę, czując chłód owiewający jego nagie uda, nie widząc niczego, zaprzątnięty natrętnym pytaniem: dlaczego?

Żeby powiedzieć „cześć”. Nie brzmiało to jednak przekonująco.

Wyjął sok pomarańczowy i wypił połowę prosto z butelki. Otarł usta wierzchem dłoni i nadal stał w świetle bijącym z otwartej lodówki. Nigdy chyba nie dowie się, jaki był prawdziwy powód telefonu Maggie. Może samotność? Chyba tylko to.

Odstawił sok, zgasił światło w kuchni i wrócił do sypialni. Nancy siedziała ze skrzyżowanymi nogami, w brzoskwińowej lizesce i spodniach z satyny, pod którymi w świetle lampy rysowało się jej kształtne ciało.

- Trochę to trwało - powiedziała sucho.

- Zupełnie mnie zaskoczyła.

- Maggie Pearson?

- Tak.

- To z nią byłeś na balu maturalnym. -Tak.

- Czego chciała?

Wszedł do łóżka, wsunął ręce pod biodra Nancy i pocałował lewą pierś wysuwającą się zachęcająco z brzoskwińowych koronek. - Mego ciała, a czegoż by innego?

- Eryk! - Chwyliła go za włosy i odciągnęła jego głowę. - Czego ona chciała? Uwolnił się szarpnięciem. - Niech mnie diabli, jeżeli wiem. Rozmawiała z Brookie, która dała jej mój telefon i powiedziała, żeby do mnie zadzwoniła. Ciągle nie rozumiem.

- Kto to jest Brookie? - Glenda Kerschner. Z domu Holbrook.

- Och, żona hodowcy wiśni.

- Tak. Były z Maggie najlepszymi przyjaciółkami w szkolnych czasach. Wszyscy się przyjaźniliśmy, cała nasza paczka.

- Ale to jeszcze nie jest odpowiedź. Dlaczego twoja dawna dziewczyna dzwoni do ciebie w środku nocy?

Gładząc kolano Nancy, uśmiechnął się szeroko.

- Zazdrosna?

- Ciekawa.

- Nie wiem. - Pocałował Nancy w usta. - Jej mąż zmarł. - Pocałował ją w szyję. - Jest samotna, tyle ci mogę powiedzieć. - Zaczął całować jej piersi. - Prosiła, żebym cię przeprosił za przebudzenie. -

Ugryzł jej sutek przez jedwab. - Gdzie ona mieszka?

- W Seattle. - Słowo uwięzło w bieliźnie Nancy.

- Och... w takim razie... - Nancy rozsunęła uda, odwróciła się na plecy i przyciągnęła Eryka, oplatając go rękami i nogami.

Pocałowali się, długo i leniwie, wtuleni w siebie. Kiedy uniósł głowę, spojrzała mu w oczy i powiedziała: - Tęsknię za tobą, Eryku, zawsze kiedy tylko wyjeżdżam z domu.

- To nie wyjeżdżaj.

- I co będę robiła?

- Prowadź moją księgowość, otwórz butik i sprzedawaj wszystkie swoje fikuśne kosmetyki turystom w Fish Creek... - Przerwał na chwilę i dodał: - ...bądź gospodynią domową z kupą dzieciaków.

Nawet jeden dzieciak by starczył. Ale Eryk wiedział, że nie należy forsować tego tematu.

- Hej - powiedziała Nancy ostro. - Zaczynamy coś ciekawego, więc nie psuj tej chwili starą śpiewką! Schylił głowę, aby wsunąć język w jej usta, i stał się agresywny. Ściągnął spodenki i leżąc na boku szarpał jej skąpą bieliznę. Nancy była uległa, bardzo uległa i godna pożądania. Dbała o sprawy seksu z systematycznością, z jaką niektóre żony podchodzą do swoich codziennych

zając domowych, poświęcając na nie mnóstwo czasu i energii.

Boże, jaka była piękna! Kiedy zmienili pozycję i ona znalazła się nad nim, podziwiał z bliska jej nieskazitelnie gładką skórę, zadziwiająco gładką jak na kobietę trzydziestoosmioletnią, skórę pielęgnowaną dwa razy dziennie drogimi francuskimi kosmetykami, które Nancy sprzedawała; paznokcie miała starannie utrzymane i sztucznie przedłużone, pomalowane na błyszczącą malinową czerwień; włosy, teraz o barwie ciemnego mahoni, z przebłyskującymi jaśniejszymi pasemkami, były dziełem drogiego fryzjera z jakiegoś odległego miasta, do którego wyjeżdżała w ubiegłym tygodniu. Firma Orlane płaciła swoim przedstawicielkom za wizyty u fryzjera i za manicure, umożliwiając im też gratisowe korzystanie bez ograniczeń z własnych produktów, rozumiejąc, że zdobywa w ten sposób żywą reklamę. W Nancy Macaffee warto inwestować. Była najpiękniejszą kobietą, jaką znał.

Przesunęła długim paznokciem po jego wargach i wsunęła między nie palec. Przygryzł go lekko, a następnie, wciąż leżąc pod nią, wyciągnął rękę, aby pobawić się jej włosami.

- Podoba mi się ten nowy kolor - szepnął, obejmując jej głowę i ściągając włosy gładko, aby je potem puścić. Były sprężyste, grube i lśniące niczym ogon klaczy. W ciągu dnia Nancy nosiła je zebrane do tyłu i spięte złotą spinką za sześćdziesiąt dolarów. Tej nocy spływały swobodną falą po obu stronach twarzy o wysokich kościach policzkowych, upodabniając Nancy do wizerunku Kleopatry.

Usiadła na jego biodrach, smukła, naga, potrząsając głową, aż włosy opadły jej na oczy. Zanurzyła palce w gęste poszycie na jego piersi niczym drapieżna kotka.

- To Maurice... w Chicago.

- Ach, Maurice.

Raz jeszcze potrząsnęła głową i uśmiechnęła się prowokująco, wpatrzona w niego przymrużonymi oczyma.

Nie przestawał pieścić jej pośladków.

- Wiesz, jesteś niesamowita.

- Dlaczego? - Paznokciem zarysowała na jego skórze długą linię od grdyki aż po pępek i patrzyła, jak jej czerwień powoli zanika.

- Budzisz się w środku nocy i wyglądasz, jakbyś właśnie wstała z fotela u Maurice'a!

Brwi miała lekko uniesione, długie rzęsy okalały czernią głęboki brąz oczu. Dawno temu, kiedy dopiero uczyła się zawodu, powiedziała mu jako ciekawostkę, że większość ludzi rodzi się z pojedynczą linią rzęs, ale niektórzy -uprzywilejowani - mają podwójną. Nancy właśnie ją miała. I niezwykle oczy. Usta też.

- Chodź bliżej - zażądał zdławionym głosem, przyciągając żonę dłońmi, które wsunął Nancy pod pachy. - Musimy odrobić pięć dni. - Ułożył ją delikatnie i wsunął rękę między jej uda, wyczuwając wilgoć, która świadczyła o pożądaniu równym jego własnemu.

Chłodne ramię objęło go wreszcie z konwulsyjną siłą. Znali swoje temperamenty seksualne, swoje pragnienia, potrzeby i kochali je. Kiedy zaczął się w nią wsuwać, odepchnęła go szepcząc:

- Poczekaj, kochanie, zaraz wrócę. Nie ruszył się, przygniatając ją ciałem.

- Dlaczego dziś nie mielibyśmy o tym zapomnieć?

- Nie mogę. To zbyt ryzykowne.

- I co z tego? - Nadal ją pieścił, okrywając pocałunkami całą jej twarz. - Zaryzykuj - wymruczał, przyciskając usta do jej ust. - Czy to będzie koniec świata, jeśli zajdziesz w ciążę?

Przełknęła ślinę, ugryzła go lekko w policzek i powtórzyła:

- Zaraz wrócę. - Przebiegła bosą po dywanie do łazienki na końcu hallu.

Westchnął, odwrócił się na plecy i zamknął oczy. Kiedy? Ale znał odpowiedź. Nigdy. Pielęgnowała swe ciało nie tyl-

ko dla firmy Orlane, nie dla niego, ale dla siebie. Bała się utracić doskonałość. Zaryzykował dziś drażliwy temat. Zwykle kiedy wspominał o dziecku, reagowała gwałtownie i zaczynała krzątać się po pokoju. Przez resztę wspólnego weekendu atmosfera bywała na ogół napięta. Nauczył się więc nie poruszać tego tematu. Ale lata mijały. On w październiku skończy czterdzieści jeden lat; jeszcze dwa lata i będzie za stary, żeby myśleć o prawdziwej rodzinie. Dziecku potrzebny jest ojciec z biglem, taki, z którym można się mocować i walczyć, a przede wszystkim - dobrze rozumieć.

Najwcześniejsze wspomnienia Eryka to była jazda na ramionach ojca, potem zaś jego bezpieczna, szeroka pierś. Wokół latały mewy. „Widzisz te ptaki, synu? Obserwuj je, a powiedzą ci, gdzie są ryby!” Niby ostry kontrast pojawiło się wspomnienie sceny, gdy razem z braćmi i siostrą stał przy łóżku ojca, wszystkim łzy spływały po twarzach, kiedy kolejno całowali jego zimny policzek, matka na końcu, aż wreszcie zostawili ją przy nim samą. Bardziej niż czegokolwiek w świecie pragnął rodziny. Materac zafalował i Eryk otworzył oczy.

Nancy uklękła nad nim.

- Hej, wróciłam.

Kochali się, i to całkiem wymyślnie, jeśli zastosować książkowe kryteria. Byli pełni inwencji i pożądania. Wypróbowali trzy różne pozycje. Nie krępowali się wypowiadać swoich życzeń. Eryk miał jeden orgazm, Nancy dwa. Ale kiedy już skończyli i w pokoju zapanowała ciemność, leżał wpatrzony w cienie na suficie, z ramionami pod głową, myśląc, jak pusty może być stosunek erotyczny, jeśli pozbawiony jest swego naturalnego celu. Nancy przysunęła się, objęła go ramieniem i położyła nogę na jego udzie, pragnąc, aby ją przytulił. Zmusił się, by objąć żonę. Ale nie czuł chęci trzymania jej w ramionach, kiedy zapadali w sen.

Rano Nancy wstała o wpół do szóstej, a Eryk kwadrans później, kiedy łazienka była już wolna.

Pomyślał, że jego

żona jest chyba ostatnią kobietą w Ameryce, która używa toaletki. „Dom na prerii”, jak Nancy go nazywała, zbudowany w 1919 roku, nigdy się jej nie podobał. Wprowadziła się do niego niechętnie, wyrzekając na nieodpowiednią kuchnię i łazienkę. Stąd toaletka w sypialni. Została ustawiona przy ścianie między dwoma oknami i miała duże okrągłe lustro otoczone żarówkami.

Kiedy Eryk brał prysznic i ubierał się, Nancy odbywała poranny rytuał podkreślania urody: słoiczki, tubki, buteleczki i tamponiki; kremy, żele, płyny, spraye; nakrętki do włosów, szczotki; waciki i różne inne utensylia. Choć nie mógł zrozumieć, jak żona może się tym zajmować godzinę i piętnaście minut, obserwował ją dostatecznie często, aby wiedzieć, że jednak tyle czasu musi poświęcić na makijaż.

Kosmetyczny rytuał był równie głęboko wpisany w życie Nancy jak utrzymywanie diety; jedno i drugie załatwiała po prostu automatycznie. Nie wyobrażała sobie też, że mogłaby przy śniadaniu nie wyglądać równie nieskazitelnie, jak podczas lotu do Nowego Jorku na spotkanie z zarządem Orlane.

Kiedy Nancy zasiadła przed lustrem, Eryk kręcił się po sypialni, słuchając prognozy pogody, wciągając białe dzinsy, wkładając białe buty firmy Reebok i błękitny pulower z logo swojej firmy - kołem sterowym i nazwiskiem na kieszonce.

Zawiązując sznurowadła spytał:

- Chcesz coś z piekarni? Nakładała uważnie cienie na powieki.
- Jesz za dużo pieczywa. Powinieneś przejść na płatki.
- To mój jedyny grzech. Zaraz wracam.

Patrzyła, jak wychodzi z pokoju, dumna z jego smukłej linii i zwracającego uwagę wyglądu.

Wiedziała, że w nocy nie był zadowolony, i to ją niepokoiło. Pragnęła, żeby ich związek - związek tylko dwojga ludzi - wystarczał mu tak samo jak jej. Nie potrafiła zrozumieć, że można potrzebować czegoś więcej.

Eryk zaparzył w kuchni kawę, po czym wyszedł na schodki, spoglądając na miasto i wodę. Main Street, oddalona zaledwie o jeden blok, obrysowywała linię portu, nad którym unosiła się tego ranka różowa mgła, zasłaniając park na wysuniętym na północ półwyspie. W dokach stały nieruchome łodzie, przebijając mgłę masztami wznoszącymi się ponad szczyty drzew i dachy biurowców przy Mam Street. Znał tę ulicę i wszystkie jej budynki równie dobrze jak wody zatoki, od solidnej starej gospody „Pod Białą Mewą” z zachodniej strony aż po lśniące witrynami sklepy na szczycie wzgórza po stronie wschodniej. Znał również współmieszkańców, ludzi bliskich sobie od lat, którzy machali przyjaźnie, kiedy przejeżdżał swoim pick-upem, wiedział o której przychodzą listy na pocztę (między jedenastą a dwunastą), ile jest kościołów w mieście i kto należy do jakiej kongregacji.

Te pierwsze kilka minut przed domem było najlepszą częścią dnia, kiedy oceniał pogodę, patrząc na wodę i wschodnie niebo nad wysokim lasem za miastem, słuchał gruchania gołębia, który przedrzeźniał sam siebie, siedząc na pobliskich przewodach wysokiego napięcia, wdychał zapach ogromnych cedrów za domem i woń świeżego chleba z piekarni u stóp wzgórza.

Po co Maggie Pearson zadzwoniła do mnie po dwudziestu trzech latach? , Myśl ta naszła go zniechęca. Zaskoczony Eryk rozpoczął jogging, zbiegając w dół wzgórza. Zawołał „czesc do Fete a Nelsona, którego zobaczył przez siatkowe drzwi z tyłu piekarni, kiedy okrążał budynek. Był to mały, ładny dom z białą werandą, odgradzony od ulicy przystrzyżonym trawnikiem i rabatami jasnych kwiatów, które nadawały mu pełen ciepła wygląd. Skinął głową dwojgu wczesnym turystom kupującym bułki, wymienił pozdrowienia z ładną, hożą córką Hawkinsów za kontuarem i zapytał o zdrowie matki, która przeszła operację woreczka żółciowego, po czym zażartował z Pete'em, który wysunął głowę z zaplecza

oraz z Samem Ellerby, zabierającym jak zawsze tace z różnymi bułkami i chlebem dla sezonowej restauracji dwa bloki dalej.

Dla Eryka codzienna wyprawa do piekarni stanowiła przyjemność równą spożywaniu wypieków Pete'a Nelsona. Wrócił na wzgórze w świetnym nastroju, z białą woskowaną torbą, wpadł do domu i nalał dwa kubki kawy, właśnie w chwili gdy Nancy wchodziła do kuchni.

-Dzień dobry - powiedziała po raz pierwszy tego dnia. (Dla Nancy nigdy nie był dobry, dopóki nie dopełniła swego kosmetycznego rytuału.)

- Dzień dobry.

Miała na sobie jasną lnianą spódnicę i sportową bluzkę z luźnymi, rozszerzanymi rękawami i wysokim golfem, całą w purpurowe i zielone maleńkie kotki. Któż poza Nancy mógł sprawić, by purpurowe i zielone kotki wyglądały szykownie? Nawet jej pasek - skrecona purpurowa włóczka z ogromną okrągłą sprzączką - na kimś innym wyglądałby idiotycznie. Ale jego żona miała zdecydowany, niepowtarzalny styl i rabat w najelegantszych domach towarowych w całej Ameryce. Gdziekolwiek pojawiła się Nancy Macaf-fee, jej obecność przyćmiewała wszystko. Eryk obserwował, jak idzie przez kuchnię w purpurowych pantofelkach, z włosami spiętymi nisko w gładki ogon, ze starannym makijażem na twarzy. Szminkę na ustach okalał ciemniejszy zarys konturówki.

Łyknął kawy i uśmiechnął się.

- Dziękuję.

Wzięła kubek, który jej podał i ostrożnie spróbowała napoju.

- Mmm... Wygląda na to, że masz dobry humor.

- Bo mam.

- A skąd ten uśmiech?

Oparty o kredens, nadgryzł tłustego, lśniącego lukrem pączka i popił kęs kawą.

- Próbowałem wyobrazić sobie ciebie w charakterze so-

lidnej mamuśki - powiedzmy, dwieście funtów wagi, ciepły szlafrok, papiloty...

- Cóż, nie krępuj się. - Uniosła jedną brew i posłała mu zdawkowy uśmiech. - Widziałeś kogoś w piekarni?

- Dwoje turystów, Sama Ellerby, dziewczynę Hawkinsow i Pete'a, jak wysunął głowę z zaplecza.

- Są jakieś nowiny?

- Nie.. - Oblizał palce i dokończył kawę. - Co będziesz dzisiaj robiła?

- Tygodniowy raport ze sprzedaży, a coż by innego? Miałabym idealne zajęcie, gdyby nie ta papierkowa robota. I podróże, pomyślał. Po pięciu dniach w drodze, szósty, a często połowę siódmego, spędzała nad papierami - była cholernie pracowita, to musiał przyznać. Ale uwielbiała szyć takich magazynów jak Bonwit Teller, Neiman-Marcus i Rocco Altobelli - wszystko to była jej klientela. Skoro z pracą wiązało się podróżowanie, godziła się na wszelkie niedogodności w zamian za tę wytworność i styl. Pracowała w Orlane, kiedy przenosili się do Door County; spodziewał się wtedy, że zrezygnuje ze swego zajęcia i wreszcie stworzą prawdziwą rodzinę. Ale ona wzięła więcej godzin, zarówno pracy w domu, jak i na wyjazdach, aby zatrzymać posadę.

- A ty co zamierzasz? - zapytała, wkładając okulary i otwierając gazetę,

-Mamy dziś komplet, Mike też. Są trzy grupy czarterowe.

Umył kubek, postawił go na suszarce i sięgnął po białą kapitańską czapkę z czarnym błyszczącym daszkiem. - Więc nie będziesz w domu przed siódmą? - Chyba nie.

Spojrzała na niego przez duże okulary w rogowej oprawie.

- Postaraj się wrócić wcześniej.

- Nie mogę ci tego obiecać.

- Tylko się postaraj, dobrze?

Skinał głową.

- No to zabieram się do roboty - powiedziała Nancy, odkładając gazetę.

- Ja też.

Z kawą w jednej ręce i sokiem w drugiej, przytuliła policzek do jego twarzy.

- Do zobaczenia wieczorem!

Już schodziła do swego małego biura na dole, a Eryk wyszedł z domu na ścieżkę prowadzącą do garażu. Podniósł drzwi i spojrział na superdoskonałą stalowoszarą acurę Nancy. Sam wsiadł do pordzewiałego pick-upa. Przed dwunastu laty jego ford był biały, miał zasłonę na tylnej szybie, a rury wydechowej nie trzeba było umacniać drutem. Pojazd ten wprawiał Nancy w zażenowanie, ale Eryk bardzo kochał starego wycierucha, jak czule nazywał samochód. Silnik był ciągle w porządku; nazwa firmy i numer telefonu na drzwiach - czytelne, siedzenie kierowcy po tylu latach dopasowane doskonale do linii pleców. Przekręcając kluczyk Eryk mruknął: „W porządku, stary wycieruchu, ruszaj”.

Trzeba było trochę wysiłku, ale po minucie pracy rozrusznika stary silnik powrócił do życia. Eryk uśmiechnął się, włączył wsteczny bieg i wyjechał z garażu.

Jazda z Fish Creek do Gills Rock to było, zdaniem Eryka, dziewiętnaście najpiękniejszych mil na świecie ze wspaniałym widokiem zatoki po lewej stronie, z farmami, sadami i lasami po prawej. Od ukwieconej Main Street w Fish Creek droga wznosiła się, zakręcała i zanurzała w gęsty las, biegnąc obok prywatnych siedzib i terenów na północny wschód, ale zbaczając raz za razem w stronę wybrzeża: w malowniczej wiosce Ephraim z dwoma białymi wieżyczkami kościelnymi, które przeglądały się w gładkiej powierzchni Eagle Harbor; w Sister Bay, gdzie słynne kozy Ala Johnsona pasły się już na porośniętym trawą dachu jego restauracji; w Ellison Bay z panoramicznym widokiem ze wzgórza za hotelem „Grand View”; wreszcie w Gills

Rock, gdzie w dole wody jeziora Michigan spotykały się z wodami Green Bay, tworząc niebezpieczne prądy, którym cała ta okolica zawdzięczała nazwę: Death's Door - Brama Śmierci.

Eryk zastanawiał się często, dlaczego miasto i skała upamiętniają nazwisko dawno już zapomnianego osadnika Eliasa Gilla, chociaż Seversonowie byli tu wcześniej i dłużej, zresztą nadal tu pozostają, jeśli chodzi o ścisłość. Nazwisko Gili zdążyło zniknąć z ksiąg podatkowych i spisów telefonicznych.

Dziedzictwo Seversonow natomiast wciąż istniało. Dziadek Eryka zagospodarował farmę na urwisku «% nad zatoką, jego ojciec zbudował dom nie opodal drzew cedrowych obok Hedgehog Harbor i założył firmę wynajmu łodzi, którą on i Mike rozwinęli na tyle, że zapewniała niezłe życie dwóm rodzinom - trzem, jeśli wliczać mamę.

Niektórzy nie nazwaliby Gills Rock miastem. Było to niewielkie zbiorowisko zniszczonych wpływami atmosferycznymi budynków, rozstawionych niczym zęby w szczerbatym uśmiechu po południowo-wschodniej stronie portu. Restauracja, sklep z pamiątkami, kilka drewnianych doków, przystań dla łodzi i dom mamy stanowiły jedyną przeszkodę dla drzew schodzących nad samą wodę. Wokół rozrzucone były mniejsze zabudowania i charakterystyczne dla rybackiej osady oporządzenie - przyczepy do transportu łodzi, kołowroty, pompy benzynowe i rusztowania, na których duże łodzie odpoczywały w zimie.

Samochód skręcił na stromy podjazd, podskakując na kamienistej powierzchni. Klony i cedry rosły nieregularnie między łachami piasku i szopami w pobliżu doków. Dach hali, gdzie czyszczono ryby, stale obsiadały mewy, których odchody na stałe zabarwiły na biało zielone gonty. Dym z wędzarni unosił się w powietrzu, gęsty i niebieski. Wszystko jednak przenikał zawsze obecny zapach gnijącego drzewa i ryb. Z parkingu pod swoim ulubionym klonem Eryk dojrzał, że synowie Mike'a, Jerry Joe i Nicholas, są już na pokładach „Mary Deare” i „The Dove”, czyszcząc je

odkurzaczami, włączając zamrażarki i wnosząc napoje. Podobnie jak on i Mike, chłopcy dorastali nad wodą i wypływali na łodziach, odkąd tylko ich dłonie były dość silne, aby uchwycić szczeble drabinki. Teraz, w wieku osiemnastu i szesnastu lat, Jerry Joe i Nicholas byli odpowiedzialnymi, doświadczonymi matami na obu łodziach.

Eryk zatrzasnął drzwi samochodu, pomachał do chłopców i skierował się w stronę domu. Wychował się tutaj i nie przeszkadzało mu wydzielenie biura dla wynajmu łodzi. Drzwi frontowe mogły być czasem zamknięte, ale nigdy na klucz; już za pięć siódma uchylały się, przystawione skrzynką coli. Ściany biura, pokryte sosnową boazerią, obwieszane były wabikami, piórami wioseł, siatkami przeciwko owadom, podręcznymi aparatami radiowymi, formularzami wynajmu łodzi, mapami Door County, linami; znajdowały się tu też dwa wypchane łososie i mnóstwo zdjęć turystów z rekordowymi okazami. Na jednym wieszaku wisiał żółty płaszcz przeciwdeszczowy na sprzedaż, na drugim pęk podkoszulków z napisami ŁODZIE RYBACKIE SEYERSONA, GILLS ROCK. Na podłodze stały sześciobutelkowe opakowania z napojami, a w kącie na stoliku karcianym dymił już pojemnik z kawą, którą częstowano klientów.

Okrażając kontuar z mosiężną kasą, Eryk wszedł przez wąskie drzwi do pomieszczenia, które kiedyś było werandą, a teraz stanowiło magazyn styropianowych toreb-lodówek, stała tu też zamrażarka. Na końcu znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące do kuchni.

- Dzień dobry, mamó - powiedział wchodząc.

- Dzień dobry ci.

Sięgnął do kredensu po pękaty biały kubek i nalał sobie kawy z wyszczerbionego emaliowanego dzbanka stojącego na wyszczerbionej emaliowanej kuchence gazowej - tej samej, która stała tu, kiedy był chłopcem. Metalową kratkę oblepiała grubo spalenizna, farba na ścianie za kuchenką zżółkła, ale mama była w sposób niewybaczalny pozbawio-., na instynktu dobrej gospodyni, z jednym wszakże wyjątk-

kiem: dwa razy w tygodniu piekła chleb. Odmawiała włożenia do ust kupnego chleba, powtarzając stale: „Coś takiego może człowieka struć na amen!”

Właśnie dzisiaj miesiła ciasto na chleb na starym składanym stole nakrytym niebieską ceratą. O ile Eryk pamiętał, tylko cerata została zmieniona w tym pomieszczeniu od roku 1959, kiedy to w miejsce antycznej drewnianej chłodziarki mama kupiła lodówkę Gibsona - dziś pożółkły grat, chociaż wciąż na chodzie. Mama nigdy nie wyrzucała niczego, co mogło się przydać.

Ubrana była w swój zwyczajny strój - niebieskie dżinsy i obcisły bawełniany podkoszulek marynarski. Anna Severson uwielbiała podkoszulki z napisami. Dzisiaj ozdabiała ją hasło ROBIĘ TO Z MŁODSZYMI oraz wizerunek starszej kobiety i młodego mężczyzny łowiących ryby. Jej ściśle skręcone, rudawe loki zdradzały świeżość domowej ondulacji, a nos - przynajmniej to, co z niego było widać - utrzymywał okulary równie wiekowe jak lodówka Gibsona i równie zażółcone.

Z kubkiem w ręku Eryk obserwował, jak matka wyjmuje z kredensu formy na chleb.

- Jak się dzisiaj czujesz? - zapytał. - Ha!

- Jak zwykle, tak?

- Przyjeżdżasz pić moją kawę i jeszcze chcesz mi prawie morały?

- Nazywasz to kawą? - Zajrzał do swego kubka. - Nawet kierowca TIR-a by się skrzywił, próbując twojej lury.

- To pij swoją farbowaną wodę w biurze.

- Wiesz, że nie znoszę tych kubków dla bawołów.

- No to pij kawę w domu. A może twoja żona nie wie, jak się ją robi? Wróciła do domu na noc?

- Tak. Piętnaście po dziesiątej. - H a !

- Mamo, nie zaczynaj znowu.

- Co to za życie, ty tutaj, a ona włóczy się po całych Stanach. - Wysmarowała formę tłuszczem i postawiła ją na ceracie. - Twój ojciec zaciągnąłby mnie do domu za włosy, gdybym spróbowała czegoś takiego!

- Nie masz dosyć włosów. A właściwie co z nimi zrobiłaś? - Udał poważne zatroskanie jej brzydkimi, płaskimi lokami.

- Byłam wczoraj u Barbary, żeby mnie uczesała. Barbara była żoną Mike'a. Mieszkali w lasku, o jakieś pięćdziesiąt stóp powyżej brzegu.

- To cię chyba boli.

Uderzyła go formą, a następnie włożyła do niej ciasto.

- Nie mam czasu na zabawianie się włosami i dobrze o tym wiesz. Jadłeś śniadanie?

- Tak,

- Co? Pewno lukrowane bułki orzechowe?

- Mamo, znowu nudzisz. Wsunęła formę do piecyka.

- A po co są matki? Nie ma przykazania boskiego „nie nudź”, więc nudzę. Matki po tasą.

- Myślałem, że są po to, żeby sprzedawać licencje na połów ryb i wynajmować łodzie.

- Jak chcesz resztkę kiełbasek, to zjedz. - Wskazała ru chem głowy na ruszt nad palnikiem i brzegiem dłoni zaczęła ścierać mąkę z ceraty. Uniósł pokrywkę i zobaczył dwie już prawie zimne polskie kiełbaski - jak zwykle, jedna dla niego, druga dla Mike'a. Wyciągnął swoją palcami i oparł się o kuchenkę. - Mamo, pamiętasz Maggie Pearson?

- Pewno, że pamiętam Maggie Pearson. Nie jest jeszcze ze mną tak źle. Dlaczego akurat ona przyszła ci na myśl?

- Dzwoniła do mnie wczoraj w nocy.

Po raz pierwszy odkąd tutaj wszedł, jego matka znieruchomiała.

Potem odwróciła się do zlewu i spojrzała przez ramię.

- Dzwoniła? Po co?

- Żeby mi powiedzieć „cześć”.
- Mieszka gdzieś na Zachodzie, prawda?
- W Seattle.
- Dzwoniła z Seattle, żeby ci powiedzieć „cześć”? Eryk wzruszył ramionami.
- Jest wdową, prawda? -Tak.
- Ach, więc to tak. -Co tak?
- Zawsze miała do ciebie słabość. Węszy, oto co robi. Wdowy węszą, kiedy potrzeba im chłopca. » -
Och, mamó, nie krzycz tak. Nancy była ze mną, kiedy Maggie dzwoniła.
- Kto dzwonił? - przerwał im Mike, który nagle się pojawił. Był o trzydzieści funtów cięższy i o dwa lata starszy do brata, miał ciemnorudą brodę.
- Jego dawna flama - odpowiedziała Anna Severson.
- Ona nie jest moją dawną flamą!
- Kto? - powtórzył Mike, kierując się prosto do kredensu po kubek i napełniając go kawą.
- Dziewczyna Pearsonów, ta, z którą migdalił się tutaj na werandzie, kiedy myślał, że wszyscy już poszli spać. - Co za judasze! - jęknął Eryk.
- Maggie Pearson? - Mike uniósł brwi.
 - Córnka Very i Leroya Pearsonów, musisz ją pamiętać - wyjaśniła Anna.
- Próbując ostrożnie parującej kawy, Mike uśmiechnął się do brata.
- Ho-ho. Ty i Maggie prawie uwiliście gniazdko w szkolnych czasach!
- Gdybym wiedział, że dostanę się pod taki ostrzał, nie powiedziałbym ani słowa!
- A czego chciała? - Mike znalazł kiełbaskę i zabrał się do jedzenia.
- Nie wiem. Jest w kontakcie z Glendą Holbrook, więc tylko... - Eryk wzruszył ramionami. -
Zadzwoń i tyle. Po-

wiedziała: cześć, co słyhać, jesteś żonaty, czy masz dzieci. To wszystko.

-Węszy. - Anna pochyliła się nad zlewem, plecami do obydwóch synów.

- Mamo!

- Tak, słyszałam. Tylko żeby powiedzieć „cześć”.

- Prosiła także, żebym pozdrowił was oboje, ale nie rozumiem, po co się trudzę przekazywaniem tych pozdrowień.

- Mmm... coś tu nie pasuje - zastanawiał się Mike.

- Kiedy odkryjesz co, daj mi znać - uciął Eryk ironicznie.

W biurze zatrzeszczało radio i rozległ się głos Jerry'ego.

- „Mary Deare” do bazy. Jesteś tam, babciu?

Eryk, który był najbliżej biura, wszedł do pomieszczenia, żeby odpowiedzieć.

- Tu Eryk. Mów, Jerry Joe.

-Witaj, kapitanie. Nasze towarzystwo na siódmą już jest. Posłaliśmy ich do biura. Przydałaby się nam obu z Nickiem jakaś pomoc.

- Zaraz tam będę.

Eryk wyjrzał przez otwarte drzwi i zobaczył grupę mężczyzn wychodzących z doku i idących w stronę biura -resortu mamy. Obok stołów do czyszczenia ryb stał Tim Rooney, ich pomocnik, kierując spuszczeniem łodzi na wodę, podczas gdy kolejny pick-up z łodzią zajeżdżał na parking.

Eryk wyłączył mikrofon i zawołał:

- Mamo? Mike? Klienci ze wszystkich stron. Idę do łodzi.

Dokładnie o wpół do ósmej silnik „Mary Deare” ożył, gdy Eryk stanął u steru. Jerry Joe odczepił cumy i rzucił je na pokład, a wtedy Eryk pociągnął za linkę sygnału i ciszę przeciął długi, ogłuszający dźwięk. Z mostka „The Dove” Mike odpowiedział równie donośnie, wprawiając w ruch silnik.

Drewniane koło steru nagle drgnęło pod ręką Eryka, gdy ustawił silnik na „naprzód” i zaczął odbijać od portu Hedgehog. Tę porę dnia lubił najbardziej: wczesny ranek, kiedy za jego plecami wstawało

słońce, przebijając kłęby mgły nad powierzchnią wody, w górze zaś unosiło się stado mew niczym eskorta. Skrzeczały głośno, ich białe łebki błyszczały w słońcu. Na zachodzie rysowała się ostra zielona linia Door Bluff na tle purpurowego horyzontu.-

Ustawił dziób łodzi na północ, pozostawiając za sobą intensywny zapach drzewa i ryb wypełniający port, aby zanurzyć się w świeżości powiewu od otwartej wody. Włączył sondę głębinową i zdjął mikrofon z zaczepu na suficie.

- Tu „Mary Deare” na dziesiątce. Kto jest u was dzisiaj rano?

Po chwili męski głos odpowiedział mu:

- Tu „Mermaid” z Table Bluff.

- Cześć, Rog, jak wam poszło?

- Jeszcze nic, ale wyliczamy je na pięćdziesiąt pięć stop.

- Jest ktoś jeszcze?

- „Mariner” płynął na wyspę Washington Island. ale wpadli w mgłę, więc zwinęli linki i skierowali się na wschód. - To może ja spróbuję koło Door Bluff.

- Możesz. Nic się tam nie dzieje.

- Na jakiej ciągniesz głębokości?

- Płytko... czterdzieści pięć, coś koło tego.

- Spróbujemy trochę głębiej. Dzięki, Rog.

- Powodzenia, Eryku. , .

Przewodnicy z Door County mieli zwyczaj dzielić się informacjami, żeby sobie nawzajem pomóc przy każdym kursie rybackim, bo udana wyprawa ściąga klientów.

Eryk wykonał jeszcze jeden telefon. - „Mary Deare” do bazy.

Rozległ się głos mamy, niewyraźny i burkliwy:

- Mów, Eryku.

- Płynę w okolice Door Bluff.

- Słyszę.

- Zobaczmy się o jedenastej. Upiecz chleb do tej pory, dobra?

Wyłączyła się w środku zdania.

- Aj, smarkaczu, odczep się.

Eryk z uśmiechem odwiesił mikrofon i zwrócił się do Jerry'ego:

- Trzymaj, a ja się zajmę linkami.

Przez następne pół godziny zakładał błyszczące przynęty, umieszczając wędki na rufie i licząc obroty przy opuszczaniu linek, aby odpowiednio ustalić głębokość. Nastawiał kolorowy ekran radaru na sygnał odróżniający przynętę od łososia i nieustannie czuwał nad przesunięciami linek w uchwytach po obu burtach i na rufie. Jednocześnie żartował z klientami, pouczając nowicjuszy, wspominając dawne połowy z weteranami, roztaczając cały swój urok, aby skłonić ich do spróbowania raz jeszcze. Był w tym dobry, zręcznie sobie radził z ludźmi i wędkami. Kiedy złapała się pierwsza ryba, jego entuzjazm wzmógł ogólne podniecenie w nie mniejszym stopniu niż zanurzające się wędzisko. Wy-rwał je z uchwytu, wykrzykując polecenia, wetknął w rękę chudego, łysego mężczyzny z Wisconsin, po czym pośpiesznie zapiął mu na biodrach szeroki skórzany pas pomagający utrzymać wędkę.

Powtarzał przy tym jak ojciec przed laty, kiedy go uczył:

- Nie cofać się! Stać blisko burty! - a do Jerry'ego: -W dół i w prawo! Mamy go! - Beształ i zachęcał z jednakowym zapałem, podniecony, jakby to był pierwszy połów, w którym bierze udział, uruchamiał sieć i unosił zdobycz ponad rufę.

Łowił na tych wodach całe życie, nie było więc zaskoczeniem, że się udało: sześć łososi dla sześciu rybaków.

Po powrocie do portu o jedenastej zważył ryby, zawiesił je na hakach przy tablicy z napisem ŁODZIE DO WYNAJĘCIA, SEVERSON, GILLS ROCK, ustawił dumnych rybaków koło ich zdobyczy i wykonał serię polaroidowych

zdjęć, wręczając każdemu po jednym. Następnie oczyścił ryby, sprzedał cztery chłodziarki styropianowe i cztery opakowania z lodem, po czym poszedł na obiad do mamy.

Do siódmej wieczorem powtórzył ten cykl czynności trzykrotnie. Nałożył czterdzieści dwa razy wabiki na linki, poznał ośmiu nowych klientów i powitał jedenastu dawnych, pomógł im wyładować piętnaście łososi oraz trzy pstrągi, oczyścił wszystkie osiemnaście ryb i mimo to miał czas, żeby myśleć o Maggie Pearson częściej, niż chciałby się do tego przyznać. Dziwne, że jej telefon wywołał taką reakcję. Dawne wspomnienia, tęsknotę, pytanie: a co, jeśli?...

Wdrapując się po raz ostatni na zbocze w drodze do domu mamy, znowu pomyślał o Maggie. Spojrzał na zegarek. Piętnaście po siódmej, Nancy przygotowała pewno kolację, ale on nastawił się na co innego. Musi zadzwonić przed powrotem do domu.

Mike'a i chłopców już nie było, a mama zamykała biuro od frontu, kiedy wszedł.

- Niezły dzień - odezwała się, czyszcząc maszynkę do kawy. - Tak.

W kuchni książka telefoniczna Door County wisiała na brudnym sznurku za lodówką. Kiedy szukał numeru, wiedział, że mama wejdzie tuż za nim, ale nie miał nic do ukrycia. Wykręcił numer. Usłyszał sygnał i oparł się łokciem o lodówkę. Oczywiście, mama weszła z filtrem od maszynki i zaczęła go myć nad zlewem, podczas gdy w słuchawce sygnał rozległ się czwarty raz.

- Halo? - usłyszał dziecięcy głos.

- Czy jest Glenda?

- Chwileczkę. - W aparacie coś szcęknęło głośno. Potem ten sam dziecięcy głos powiedział: - Ona chce wiedzieć, kto mówi.

- Eryk Severson.

- Dobrze, zaraz.

Słyszał, jak dziecko wykrzykuje: „Eryk Severson!”, i widział, jak mama zbliża się, nadsluchując. Po chwili odezwała się Glenda.

- Eryk, cześć! O wilku mowa!

- Cześć, Brookie!

- Czy zadzwoniła do ciebie?

- Maggie? Tak. Bardzo mnie zaskoczyła.

- Mnie też. Martwię się o nią.

- Martwisz się?

- Tak, to znaczy... a ty nie? Zastanawiał się przez moment.

- A powinienem?

- Nie zauważyłeś, jaka jest przygnębiona?

- Nie. My... No wiesz, to było tylko takie gadanie.

- Nie powiedziała ci o swojej grupie?

- Jakiej grupie?

- Jest w złej formie, Eryku - oświadczyła Brookie. - Rok temu straciła męża, a jej córka wyjechała właśnie na wschodnie wybrzeże do college'u. Maggie uczęszcza na jakąś grupę terapeutyczną, bo wszystko to spadło na nią jednocześnie. Usiłowała pogodzić się z faktem śmierci męża, kiedy nagle, w środku tego wszystkiego, ktoś z jej grupy próbował popełnić samobójstwo.

- Samobójstwo? - Eryk zdjął łokieć z lodówki. - Myślisz, że jest w aż tak złym stanie?

- Nie wiem. Wiem tylko, że psychiatra jej powiedział, aby w chwili depresji zadzwoniła do starych przyjaciół i porozmawiała o dawnych czasach. Dlatego się do nas odezwała. My jesteśmy jej terapią.

- Brookie, nie wiedziałem. Gdybym... ale ona nie powiedziała ani słowa o żadnym psychiatrze, terapii czy czymś takim. Jest w szpitalu czy co?

- Nie, w domu.

- A jaka tobie się wydała? W depresji czy... - Jego zmartwiony wzrok zatrzymał się na Annie, która przerwała pracę, obserwując go uważnie.

- Nie wiem. Trochę się pośmiałyśmy, ale trudno powiedzieć. A jak ty oceniasz jej stan psychiczny?

- Ja też nie wiem. Minęło dwadzieścia trzy lata, Brookie. Trudno poznać coś po głosie. Też się pośmialiśmy, ale... do diabła, gdyby tylko coś powiedziała!

- No, jeżeli będziesz miał czas, zadzwoń do niej raz czy drugi. Myślę, że to może pomóc.

Rozmawiałam już z Fish, Lisą i Tani. Będziemy się zmieniać.

- Dobry pomysł. - Eryk nie zastanawiał się nawet dwóch sekund, podejmując decyzję. - Masz jej numer, Brookie?

- Oczywiście. Zapisz sobie.

Chwyił ołówek wiszący na brudnym sznurku.

- Mów. - Pod okiem matki zapisał numer Maggie wśród tuzina innych, nabazgranych na okładce książki telefonicznej.

- 206-555-3404 - powtórzył. - Dziękuję, Brookie!

- Eryku?

- Tak?

- Powiedz jej ode mnie „cześć” i przekaż, że myślę o niej i niedługo zadzwonię.

- Dobrze.

- I pozdrów swoją matkę.

- Dobrze. Jestem teraz u niej w domu. Do widzenia, Brookie.

Kiedy odwiesił słuchawkę, jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Anny. Czuł się tak, jakby galopowało w nim stado koni.

- Chodzi na jakąś grupę terapeutyczną dla osób ze skłonnościami samobójczymi. Lekarz polecił jej dzwonić do dawnych przyjaciół.

Odetchnął i rozluźnił się.

- Cóż, biedactwo.
- Nic mi nie powiedziała, mamo.
- To nie takie łatwe.

Podszedł do kuchennego okna i wyobraził sobie Maggie taką, jaką pamiętał: wesołą dziewczynę, która łatwo się

60

śmiała. Stał długo, zaskoczony, że tak go to wszystko zmartwiło i zastanawiał się, co powinien zrobić. W końcu odwrócił się do Anny. Miał czterdzieści lat, ale potrzebował jej przyzwolenia na to, co zamierzał uczynić.

- Chcę do niej zadzwonić, mam.

- Koniecznie.

- Pozwolisz mi zatelefonować stąd?

- Dzwon. Ja muszę się wykapać. - Zostawiła filtr i resztki fusów w zlewie, przeszła przez pokój i raptem uścisnęła go, poklepując przy tym parę razy po plecach. - Czasami, synku, nie mamy wyboru - powiedziała i zostawiła go samego przy telefonie.

Rozdział 3

Nazajutrz po rozmowach z Brookie i Erykiem telefon Maggie jak zwykle milczał. Pierwszy dzwonek rozległ się o szóstej rano.

- Cześć, mamó.

Maggie aż podskoczyła i sprawdziła godzinę.

- Katy, nic ci się nie stało?

- Wszystko w porządku, o czym byś wiedziała już wczoraj, gdyby nie to, że twój telefon był przez całą noc zajęty.

- Och, Katy, przepraszam. - Maggie wyprostowała się i oparła na poduszce. - Miałam dwie cudowne rozmowy ze starymi przyjaciółmi ze szkoły.

Zacząła wypytywać Katy o wszystko i poprosiła, żeby córka koniecznie zadzwoniła do niej jeszcze raz wieczorem. Powiedziała „do widzenia” bez poczucia samotności, którego oczekiwała przy końcu pierwszej rozmowy z córką; przecież była tak daleko!

Następny telefon rozległ się, kiedy nalewała sobie pierwszą tego dnia filiżankę herbaty. To była Neida.

- Tammi zaczyna się wygrzebywać i doktor Feldstein mówi, że byłoby dobrze, gdyby się z nami zobaczyła.

Maggie przyłożyła rękę do serca i westchnęła głęboko.

- Och, dzięki Bogu!

Poczuła, że dzień chyba nie będzie najgorszy. O wpół do jedenastej telefon znów zadzwonił, tym razem zupełnie ją zaskakując.

- Halo - powiedziała i usłyszała w odpowiedzi głos z przeszłości.

- Halo, Maggie, mówi Tani.

Maggie uśmiechnęła się i chwyciła słuchawkę obiema rękami.

- Tani, och, Tani! Jak się masz? Do licha, jak dobrze cię słyszeć!

Rozmawiały przez czterdzieści minut. W godzinę później Maggie znowu odebrała telefon i tym razem usłyszała piskliwy głos myszy z kreskówki, którego trudno byłoby nie rozpoznać.

- Hej, Maggie. Zgadujesz, kto mówi?

- Fish! To ty, prawda?

- Tak. Mówi fisza.

- Ojej, nie mogę w to uwierzyć. Brookie dała ci znać, prawda?

Kiedy zadzwoniła Lisa, nie było to już dla Maggie zaskoczeniem. Czekwała na ten telefon.

Kończyła się właśnie malować przed wyjściem z domu do szpitala, żeby odwiedzić Tammi, kiedy znowu zabrzmiał dzwonek.

- Halo, nieznajoma! - odezwał się słodki głos.

- Lisa... Och, Lisa!

- Długo to trwało, co?

- Za długo. Do licha, nie wiem, czy nie wybuchnę za chwilę płaczem. - Śmiała się, ale przez łzy.

- Mnie też trochę dławi w gardle. Jak się masz, Maggie?

- A jakbyś się czuła, gdyby cztery najlepsze przyjaciółki zgłosiły się natychmiast na pierwszy sygnał? Jestem wzruszona.

Pół godziny później, kiedy już wyczerpały wszystkie wspomnienia, Lisa powiedziała:

- Posłuchaj, Maggie, mam pomysł. Pamiętasz mojego brata Gary'ego?

- Oczywiście. Ożenił się z Marcy Kreig.

- Kiedyś. Od pięciu lat są rozwiedzeni. No więc Gary

znowu się żeni w przyszłym tygodniu i wybieram się do Door na ślub. Pomyślałam sobie, że gdybyś przyjechała do domu, to Tani i Fish też by się zjawily i mogłybyśmy się wszystkie spotkać u Brookie!

- Och, Liso, nie mogę! - W głosie Maggie przebijało rozczarowanie. - To byłoby cudownie, ale za niecałe dwa tygodnie powinnam zacząć lekcje.

- Wpadłabyś na krótko...

- Boję się, że to byłoby zbyt krótko. I na początku semestru... Niestety, Liso.

- Cholera, co za rozczarowanie!

^ - Wiem. Byłaby wspaniała zabawa!

- No, cóż... Pomyśl o tym, dobrze? Choćby na weekend. Wspaniale byłoby się spotkać.

- Dobrze. Pomyślę - obiecała Maggie.

I myślała, jadąc do szpitala do Tammi - o Brookie, która zawiadomiła wszystkie dziewczyny, i o tym, jak bardzo poczuły się zobligowane, żeby po tylu latach nawiązać z nią kontakt, a także jak szybko zmieniło się jej spojrzenie na wszystko. Pomyślała o osobliwych rytmach życia - moralne wsparcie, które otrzymała, będzie mogła teraz przekazać dalej.

Za pięć trzecia siedziała w poczekalni dla rodzin przy oddziale intensywnej opieki w szpitalu Washigton University, kartkując magazyn „Good Housekeeping” i czekając na wezwanie. Telewizor ze ściszym dźwiękiem mrucał coś pod odległą ścianą. W kącie przy oknie ojciec i dwaj synowie oczekiwali na wiadomości o matce, która właśnie była operowana. Całe pomieszczenie wypełniał silny zapach kawy. W niszy stał ekspres Formica.

Weszła pielęgniarka, smukła, ładna, szybka, w białych pantoflach na miękkich, bezgłośnych podszwach.

- Pani Stearn?

- Tak. - Maggie odłożyła magazyn i szybko wstała.

- Może pani wejść do Tammi, ale tylko na pięć minut.

- Dziękuję.

Nie była przygotowana na widok, który czekał ją po wejściu do izolatki. Tyle różnych urządzeń. Tyle przewodów i butli; monitory różnych rozmiarów pulsujące oznakami życia; i wreszcie - chudziutka, wycieńczona Tammi, leżąca na łóżku z igłami kroplówek wbitymi w żyły. Miała zamknięte oczy, ręce trzymała odwrócone wnętrzem dłoni do góry, widać było sine ślady po poprzednich kroplówkach. Złotawoblond włosy, które Tammi pielęgnowała z dumą nastolatki i czesała podobnie jak Katy, kłębiły się, matowe, niczym ptasie gniazdo na poduszce.

Maggie stała jakiś czas obok łóżka, zanim Tammi otworzyła oczy i spostrzegła ją.

- Hej, mała. - Maggie pochyliła się i dotknęła policzka dziewczyny. - Bardzo się o ciebie martwimy!

Oczy Tammi wypełniły się łzami. Odwróciła twarz. Maggie odsunęła jej kosmyk włosów z czoła.

- Tak się cieszymy, że żyjesz.

- Ale mnie tak wstyd...

- Nie... nie. - Gładząc twarz Tammi, Maggie zwróciła ją łagodnie ku sobie. - Nie musisz się wstydić. Myśl o przyszłości, nie o tym, co było. Powinnaś teraz nabrać sił, a my wszyscy postaramy się, żebyś była szczęśliwa.

Łzy Tammi wciąż płynęły dalej, a ona usiłowała unieść dłoń, żeby je otrzeć. Ręka unieruchomiona kroplówką trzęsła się i Maggie delikatnie ją przytrzymała, po czym otarła oczy Tammi chusteczką, którą wzięła ze stojącego obok pudełka.

- Straciłam dziecko, Maggie.

- Wiem, kochanie, wiem.

Tammi odwróciła wzrok, podczas gdy pochylona nad nią Maggie ocierała jej czoło.

- Ale ty żyjesz i nam wszystkim zależy na twoim szczęściu. Chcemy widzieć cię znowu w dobrej formie, znowu uśmiechniętą.

- Po co ktoś miałby się mną zajmować?

- Bo ty to ty, jesteś istotą ludzką, kimś wyjątkowym. Bo

wpływasz na życie innych w sposób, z którego nie zdajesz sobie nawet sprawy. Wszyscy to robimy, Tammi. Każde z nas jest konkretną wartością. Mogę ci coś opowiedzieć? - Tammi zwróciła twarz w jej stronę, a Maggie mówiła dalej: - Wczoraj wieczorem byłam na dnie. Moja córka wyjechała do college'u, ty byłaś w szpitalu, w domu pustka. Wszystko wydawało się beznadziejne. Zadzwoiłam więc do dawnej koleżanki szkolnej i wiesz, co się stało?

W oczach Tammi błysnęło zainteresowanie.

- Co?

- Ona zadzwoniła do innych i rozpoczęła się cudowna reakcja łańcuchowa. Dzisiaj odezwały się do mnie trzy stare przyjaciółki, z którymi całe lata nie miałam kontaktu, osoby, których nigdy bym nie podejrzewała, że je obchodzi, czy czuję się szczęśliwa, czy nie. I tak właśnie będzie z tobą. Zobacysz. Czy wiesz, że kiedy szykowałam się do wyjścia, żeby tu przyjechać, wręcz chciałam, żeby telefon przestał dzwonić?

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Maggie uśmiechnęła się i otrzymała cień uśmiechu w odpowiedzi. - Teraz posłuchaj, mała... - Ujęła rękę Tammi, ostrożnie, żeby nie odłączyć żadnego przewodu. - Powiedzieli, że mogę być u ciebie tylko pięć minut i wydaje mi się, że czas już upłynął. Ale wróć. Zastanów się, co byś chciała, żeby ci przynieść, kiedy już zostaniesz przeniesiona do normalnej sali. Napoje, pisma, słodycze - co tylko chcesz.

- Chciałabym coś już teraz.

- Powiedz tylko co.

- Czy możesz mi przynieść szampon Nexxus i suszarkę? Marzę o tym, żeby umyć sobie głowę.

- Oczywiście. I jeszcze odżywkę i lokówkę elektryczną. Zrobimy cię na Tinę Turner!

Tammi niemal się roześmiała.

- To właśnie chcę oglądać, te twoje dołeczki. - Maggie ucałowała Tammi w czoło i szepnęła: - Muszę iść. Wracaj do zdrowia.

Wychodząc ze szpitala czuła się naładowana optymizmem. Kiedy dwudziestoletnia dziewczyna troszczy się o fryzurę, to znaczy, że powraca do zdrowia. Wstąpiła po drodze do domu do drogerii i kupiła rzeczy, o które prosiła Tammi. Z torbą w ręku weszła do kuchni i zorientowała się, że telefon znowu dzwoni.

Przeszła szybko pokój, podniosła słuchawkę i zdyszana wykrzyknęła:

-Halo!

- Maggie? Tu Eryk.

Zaniemówiła, zaskoczona. Przycisnęła papierową torbę z zakupami do piersi i stała bez słowa jakieś pięć sekund, zanim uświadomiła sobie, że musi coś odpowiedzieć.

- Eryk, wielkie nieba, co za niespodzianka!

- Dobrze się czujesz?

- Czy dobrze? Ja... tak. Trochę zabrakło mi tchu. Właśnie weszłam do domu.

- Rozmawiałem z Brookie, która powiedziała mi, dlaczego naprawdę wczoraj dzwoniłaś.

- Naprawdę?... - Wolno postawiła torbę na szafce. - Och, chodzi ci o moją depresję.

- Powinienem był się domyślić wczoraj. Wiedziałem, że nie dzwonisz tylko po to, żeby mi powiedzieć „cześć”.

- Dziś czuję się znacznie lepiej.

- Brookie mówiła, że ktoś z twojej grupy próbował popełnić samobójstwo. Przestraszyłem się - to znaczy... - Wciągnął gwałtownie powietrze i wykrzyknął głośno: - Chryste, nie wiem, co „to znaczy”! Maggie dotknęła słuchawki wolną ręką.

- Och, Eryku, pewno myślałeś, że ja też mam skłonności samobójcze... i dlatego dzwonisz?

- Nie wiem, co powinienem myśleć. Po prostu, do diabła, nie mogę wyrzucić cię z głowy przez cały dzień, nie mogę przestać się zastanawiać, dlaczego zadzwoniłaś. W końcu musiałem zapytać o to Brookie, a kiedy powiedziała mi, że masz depresję i poddałaś się terapii, wszystko

aż mi się w środku skrzywiło. Maggie, przecież zawsze się śmiałaś, kiedy byłaś młoda!

- Nie mam skłonności samobójczych nawet w najmniejszym stopniu. Mówię uczciwie, Eryku. Chodzi o młodą dziewczynę imieniem Tammi, ale właśnie wracam od niej ze szpitala i wiem, że nie tylko z tego wyjdzie, ale nawet udało mi się skłonić ją do śmiechu.

- Co za ulga!

- Przepraszam, że nie byłam wczoraj z tobą zupełnie szczerą. Może powinnam ci powiedzieć, że należę do grupy terapeutycznej, kiedy jednak odebrałeś telefon, poczułam

- nie wiem, jak to wyrazić - chyba zażenowanie. Z Brookie było trochę łatwiej, ale z tobą... to wyglądałoby na narzucanie się po tylu latach. Nagle dzwonię i zaczynam mówić o swoich kłopotach...

- Zażenowanie? Przecież to nonsens.

- Może. W każdym razie dzięki, że to mówisz. Zgadnij, kto dziś jeszcze dzwonił? Tani, Fish i Lisa. Brookie wszystkie je zawiadomiła. A teraz ty. To zupełnie jak kiedyś, w domu.

- Co u nich słychać? Co teraz robią?

Maggie opowiedziała mu o dziewczętach i w czasie rozmowy napięcie z ostatniej nocy zniknęło. Trochę powspominali. Śmiali się. Rozmowa się przedłużała, Maggie uświadomiła sobie, że stoi oparta oboma łokciami o szafkę kuchenną i czuje się najzupełniej swobodnie. Eryk opowiedział jej o swojej rodzinie, ona jemu o Katy. W końcu zmęczeni się gadaniem, ale było to przyjemne zmęczenie. Eryk powiedział na koniec:

- Myślałem dzisiaj wiele o tobie, kiedy byłem na łodzi. Wypatrzyła niebieską figurkę na puszcze i powiedziała:

- Ja też o tobie myślałam. - Na odległość było to łatwe.

Nieszkodliwe. - Patrzyłem na wodę i widziałem cię w sweterku z niebieskimi i żółtymi literami, dopingującą drużynę Wikingów ze szkoły Gibraltar.

- Z włosami spiętrzonymi w jakiś okropny ul i z oczami umalowanymi na Kleopatę.
Chrząknął.

- Coś w tym rodzaju.

- Chcesz wiedzieć, co widzę, kiedy zamknę oczy i myślę o tobie?

- Boję się tego słuchać.

Odwróciła się i oparła plecami o krawędź szafki.

- Widzę cię w błękitnym swetrze tańczącego w takt muzyki Beatlesów, z papierosem w zębach.

Roześmiał się.

- Papierosa już nie ma, ale dalej noszę niebieskie bluzy, tylko teraz mam wypisane na kieszeni:

KAPITAN ERYK.

- Kapitan?

- Klientom to się podoba. Mają wrażenie, że wypływają na prawdziwe morze.

- Jestem pewna, że świetnie to robisz. Muszą cię uwielbiać!

- Na ogół potrafię ich skłonić do śmiechu i zachęcić do powrotu za rok.

- Lubisz to, co robisz? -Bardzo.

Oparła się wygodniej.

-To opowiedz mi, jakie jest dzisiaj Door. Czy świeci słońce, czy złowiłeś jakieś ryby, czy było dużo żagli na wodzie?

- Było pięknie. Pamiętasz, jak się czasem wstawało w takiej mgle, że nie było widać nawet portu na Peninsula Park?

- Aach... - westchnęła z rozmarzeniem.

- Tak było dziś rano, gęsta mgła, potem słońce wzeszło nad drzewami i zabarwiło wszystko na czerwono, ale kiedy wypływaliśmy, w ciągu godziny niebo zrobiło się niebieskie jak pole cykorii.

- Och, cykoria! Czy teraz kwitnie?

- W całej okazałości.

- Widzę to, pole, które wygląda, jakby niebo spadło na ziemię. Uwielbiam tę porę roku w domu. Tutaj nie mamy cykorii. Mów dalej. Złowiłeś coś? -Dzisiaj osiemnaście sztuk. Piętnaście łososi i trzy pstrągi. - Osiemnaście, nieźle!
- Mieliśmy komplet.
- Hura! A były jakieś żagle?
- Żagle... - Powiedział to trochę kpiąco, jakby chciał jej przypomnieć spory między właścicielami łodzi motorowych i żaglówek; trwały one w Door County od ich urodzenia. -Komu zależy na żaglach?
- Mnie.
- Tak, teraz sobie przypominam, zawsze należałaś do tych szmaccarzy!
- A ty do śmierdzieli. - Maggie uśmiechnęła się i wyobraziła sobie, że Eryk też się uśmiecha. Ale po chwili jej uśmiech zgasł. - Tak długo nie byłam na wodzie!
- Myślałem, że jeżeli mieszkasz w Seattle, to masz łódź.
- Mamy. Oczywiście żaglówkę. Ale od śmierci Phillipa nie wypływałam. Nie próbowałam też łowić ryb. - Powinnaś przyjechać do domu, wtedy zabiorę was z ojcem. Złowimy jakiegoś dwudziestoczerofuntowca i będziesz miała swój udział w połowie za pierwszym rzutem!
- Mmm, to brzmi cudownie.
- Więc przyjedź.
- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Uczę w szkole, a semestr zaczyna się za niecałe dwa tygodnie.
- No, cóż. A czego uczysz?
- Ekonomiki gospodarstwa domowego - jedzenie, ubranie, życie w rodzinie, plany zawodowe. Dzisiaj to bardzo skomplikowane. Mamy nawet zespół, który prowadzi przedszkole, żeby uczniowie mogli się zapoznać z rozwojem dziecka.

- Musi tam być dość hałaśliwie. Wzruszyła ramionami.

- Czasem.

- To znaczy... że jesteś w tym dobra?

- Tak myślę. Daję sobie radę z uczniami. Wydaje mi się, że moje lekcje są dla nich ciekawe. Ale... - Urwała.

- Ale co?

- Och, nie wiem. - Znowu się odwróciła i oparła o szafkę jak przedtem. - Przez tyle lat to robiłam, że wydaje mi się nudne. A od śmierci Phillipa... - Maggie przyłożyła dłoń do czoła. - Och, do licha, tak mnie męczy to zdanie. Od śmierci Phillipa. Powtarzam je tak często, jakby od tamtego dnia zaczynał się kalendarz. - Chyba potrzebujesz jakiejś odmiany.

- Może.

- Ja zaaplikowałem ją sobie sześć lat temu. To była najrozsądniejsza rzecz w moim życiu.

- A co zrobiłeś?

- Przeniosłem się do Door z Chicago, gdzie mieszkałem od skończenia college'u. Kiedy wróciłem tu po szkole, wydawało mi się, że to ostatnie miejsce w świecie, w którym wytrzymam, ale po latach siedzenia przy biurku zacząłem cierpieć na klaustrofobię. Potem tata umarł i Mike zaczął mnie namawiać, żebym przyjechał i poprowadził razem z nim interes. Miał pomysł, jak rozszerzyć usługi, chciał kupić drugą łódź. W końcu zgodziłem się i nigdy tego nie żałowałem.

- Wydajesz się bardzo szczęśliwy. -Bo jestem.

- W małżeństwie też? -I w małżeństwie.

- To wspaniale, Eryku,

Znów zapadło milczenie. Wydawało się, że powiedzieli już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Maggie wyprostowała się i rzuciła okiem na kuchenny zegar.

- Lepiej już skończmy. Tak długo rozmawialiśmy!

-Chyba masz rację... - Usłyszała niewyraźny odgłos, jakby przesuwania, gwałtownie urwany. - Jestem jeszcze u mamy, a Nancy szykuje już pewno kolację.

- Eryku, dziękuję ci za telefon. To było coś wspaniałego, tak porozmawiać.

- Też tak uważam.

- I nie martw się już o mnie. Od tygodni nie byłam taka szczęśliwa.

- Jak dobrze to usłyszeć... i wiesz, zadzwoń czasem. Jeżeli mnie nie będzie, porozmawiaj z mamą.

Zrobisz jej przyjemność.

-Może zadzwonię, w każdym razie pozdrów ją jeszcze raz. Powiedz jej, że nikt na świecie nie piecze tak wspaniałego chleba. Pamiętam, jak przychodziłam do was po szkole i pożerałam od razu pół bochenka.

Roześmiał się.

- Wciąż go piecze i twierdzi, że kupny chleb to pewna śmierć. Wbije się w straszną dumę, ale powtórzę jej, co powiedziałaś.

- Eryku, jeszcze raz dziękuję.

- Nie musisz. To była przyjemność dla mnie. I trzymaj się, dobrze?

- Dobrze.

Obydwoje umilkli, po raz pierwszy od pół godziny niepewni, jak się zachować.

- No to... do widzenia - powiedział Eryk.

- Do widzenia.

Ręka Maggie trzymała jeszcze przez chwilę słuchawkę i dopiero potem wolno opadła. Kobieta długo stała bez ruchu, patrząc na telefon. Późne popołudniowe słońce padało na podłogę kuchni, a ze dworu dochodził stłumiony warkot kosiarki od strony trawnika sąsiadów. Z przeszłości napłynęło wspomnienie podobnego słońca nad innym trawnikiem, innymi drzewami, inną wodą - nie Puget Sound, lecz Green Bay. Dopiero po chwili Maggie wolno odwróciła się od telefonu i podeszła do drzwi prowadzących na patio.

Podniosła je, oparła się o futrynę i stała patrząc przed siebie, wspominając. Jego. Ich. Door. Ostatni rok szkoły. Pierwszą miłość.

Ach, tęskne wspomnienia.

Ale on teraz jest szczęśliwie żonaty. Jeśli zobaczy go znowu, okaże się, że ma dwadzieścia pięć funtów nadwagi i łysieje. Wtedy będzie zadowolona, że jest żonaty.

W każdym razie ta rozmowa przywołała myśl o domu rodzinnym, i kiedy Maggie stała, patrząc, jak wieczór zapada, widziała nie drewniany pawilon wśród zieleni, lecz skąpany w słońcu błękitny dywan cykorii. Nic nie było tak intensywnie niebieskie jak pole kwitnącej cykorii w sierpniowym słońcu. A wieczorami stawało się fioletowe, stwarzając czasem wrażenie, że niebo i ziemia łączą się w jedno. Powoje królowej Anny też były w pełnym rozkwicie swej niebieskości, wijąc się wzdłuż pól i dróg, a na kamienistej ziemi kwitły zuzanki z czarnymi oczkami i kępy białych krwawników. Czy jest takie miejsce na świecie, gdzie dzikie kwiaty kwitną tak wspaniale jak w Door?

Widziała także czerwone stodoły o dwuspadowych dachach i rzędy zielonej kukurydzy, stuletnie chatki z pni z pomalowanymi na biało fugami; płoty z drewnianych sztachet i kamienne mury, przed którymi rosła gęsta kępa pomarańczowych lilii. Białe żagle na niebieskiej wodzie i czyste plaże ciągnące się przez całe mile. Poczowała smak pieczonego w domu chleba i usłyszała terkotanie motorówek wracających o zmierzchu. Owionął ją zapach gotowanej ryby unoszący się nad miasteczkiem w sobotni wieczór, taki jak ten z podwórek na tyłach restauracji, gdzie grały gitary i wieczorny powiew podnosił brzegi czerwono-białych obrusów na stołach.

Będąc o dwa tysiące mil stamtąd, Maggie pamiętała to wszystko i doznawała paroksyzmu tęsknoty za domem, po raz pierwszy od lat. Przyszło jej na myśl, że mogłaby przecież tam zadzwonić. Gdyby jednak matka podniosła słu-

chawkę... Jeśli ktoś potrafił zniszczyć taki nastrój, to właśnie ona.

Maggie odeszła więc od drzwi i odszukała książkę zatytułowaną „Podróże do Door County”. Przez niemal pół godziny siedziała przy biurku Phillipa, przewracając strony z kolorowymi ilustracjami, dopóki błyszczące zdjęcia latarni morskich, chat drwali i krajobrazów nie skłoniły jej w końcu do podniesienia słuchawki.

Wykręcając numer telefonu rodziców miała nadzieję, że odezwie się ojciec. Ale usłyszała głos matki.

- Halo?

Ukrywając rozczarowanie powiedziała:

- Halo, mammo.

- Margaret? -Tak.

- Najwyższy czas, żebyś zadzwoniła. Od dwóch tygodni nie słyszeliśmy od ciebie słowa, a powiedziałaś, że dasz nam znać, kiedy mamy się spodziewać Katy. Czekamy i czekamy, aż zadzwonisz!

Nie: „Halo, kochanie, jak miło cię słyszeć”, ale: „Najwyższy czas, żebyś zadzwoniła!”, skłoniło Maggie do rozpoczęcia rozmowy od przeprosin.

- Przepraszam, mammo, wiem, że miałam zadzwonić, ale byłam taka zajęta! Obawiam się też, że Katy nie zatrzyma się u was. To jej nie po drodze, w dodatku jedzie z koleżanką samochodem wyładowanym aż po dach. Postanowiły jechać prosto do college'u.

Maggie zamknęła oczy w oczekiwaniu na długie narzekania, które niewątpliwie musiały nastąpić. Rzeczywiście, Vera nie miała zamiaru ich sobie oszczędzić.

-Trudno powiedzieć, że nie jestem rozczarowana. W końcu gotuję i piekę od tygodnia. Włożyłam do zamrażalnika dwa placki jabłkowe i kupiłam ogromny rostbef. Nie wiem, co zrobię z taką ilością mięsa, skoro mamy je jeść tylko z ojcem. Wysprzątałam też cały twój pokój, zmieniłam pościel i franki, a teraz na diabła się to zda!

- Mamo, przecież mówiłam, że zadzwonimy, jeśli miałaby do was wstąpić.
- Tak, ale byłam tego pewna. W końcu jesteśmy jej jedynymi dziadkami.
- Wiem, mamo.
- Rozumiem, że młodzi ludzie nie mają dziś czasu dla swoich dziadków, całkiem inaczej niż wówczas, kiedy ja byłam dziewczyną - zauważyła Vera z rozdrażnieniem.
- Maggie oparła czoło na zwiniętej w pięść dłoni i poczuła, że zaczyna ją boleć głowa.
- Powiedziała, że przyjedzie z Chicago za kilka tygodni, kiedy już się urządzi w szkole. Wspominała o październiku, kiedy zaczną opadać liście.
- Czym jeździ? Chyba nie kupiłaś jej tego kabrioletu?
- Właśnie że kupiłam.
- Margaret! Dziewczyna jest jeszcze za młoda na tak ekstrawagancki samochód! Powinnaś była jej kupić coś praktycznego albo w ogóle poczekać z tym, aż skończy college. Jak ma się nauczyć doceniać wartość rzeczy, skoro podajesz jej wszystko na srebrnej tacy?
- Uważałam, że Phillip chciałby, aby miała taki samochód, zresztą stać mnie było na to!
- To nie dowód, żeby przesadzać, Margaret. A skoro mowa o pieniądzach, powinnaś uważać, z kim masz do czynienia. Wszyscy ci rozwodnicy szukają tylko bogatych, samotnych wdów. Zabiorą ci wszystko, co masz, i wykorzystają twoje pieniądze na opłacanie potrzeb własnych dzieci, zobaczysz!
- Będę ostrożna, mamo - obiecała Maggie znużona, czując, że ból głowy wzmaga się.
- Przecież pamiętam, jak ten młody Gerhart parę lat temu odchodził od żony. I z kim go widywano, jeśli nie z turystką, która przyплыnęła z Luizjany eleganckim parowcem? Mówiono, że się całowali na pokładzie w sobotę wieczorem, a w niedzielę rano on się zjawiał w kościele, pobożny i niewinny z żoną i dziećmi. Gdyby Betty Gerhart o tym wiedziała...

-Mamo, powiedziałam, że będę ostrożna. Z nikim się nie spotykam, więc możesz być spokojna.

- Nigdy nie jest się zbyt ostrożną!

- Wiem.

- A skoro mowa o rozwodnikach, Gary Eidelbach żeni się po raz drugi w przyszłą sobotę.

- Wiem, rozmawiałam z Lisą.

- Tak? Kiedy?

-Dzisiaj. Jestem ostatnio w kontakcie ze wszystkimi dziewczętami.

- Nic mi nie mówiłaś. - W głosie Very wyczuwało się chłód, jakby oczekiwała, że powinna być informowana o wszystkim.

- Lisa chce, żebym się wybrała na ten ślub. Właściwie nie na ślub, ale ponieważ sama przyjedzie z Atlanty, pomyślała, że mogłybyśmy wszystkie spotkać się u Brookie.

- Przyjedziesz?

Mogłabyś wtedy podać swój rostbef i ciasto jabłkowe, prawda, mamo?

- Nie, nie mogę.

- Dlaczego nie? Na co chcesz wydać te wszystkie pieniądze? Wiesz, że nas z ojcem nie stać na podróże samolotami, a poza tym nie byłaś w domu już trzy lata.

Maggie westchnęła. Chciałaby móc odwiesić słuchawkę bez słowa.

- To nie kwestia pieniędzy, mamo, tylko czasu. Niedługo zacznie się szkoła i...

- Nie robimy się młodszy, wiesz o tym. Ojciec i ja bardzo się cieszymy z każdej twojej wizyty.

- Wiem. Czy tata jest w domu?

- Gdzieś musi być. Chwileczkę. - Słysząc było jak Vera kładzie słuchawkę i woła: „Roy, gdzie jesteś? Dzwoni Margaret!” - po czym w słuchawce rozległy się słowa: „Chwileczkę. Siedzi w garażu i znowu ostrzy kosiarkę. Dziwne, że jeszcze w ogóle zostały jakieś ostrza, tyle czasu temu poświęca. Już idzie”. - Maggie usłyszała, jak oddając ojcu

słuchawkę, matka nakazuje: „Nie kładź rąk na blacie, Roy, są brudne!”

- Maggie, kochanie? - Głos Roya zawierał całe ciepło, którego brakowało Verze. Słyszając go, Maggie poczuła, jak wraca jej tęsknota za domem.

- Cześć, tato!

- Co za miła niespodzianka. Wiesz, myślałem dziś o tobie, przypomniało mi się, jak byłaś małą dziewczynką i przychodziłaś do mnie, prosząc o groszaki na lody w kubeczku z Dixie.

- I zawsze mi dawałaś, prawda?

Roześmiał się i Maggie wyobraziła sobie jego okrągłą twarz, łysiejące czoło, lekko pochylone ramiona i ręce, które stale zajęte były pracą.

- Ładna dziewczyna zawsze potrafiła zawrócić mi w głowie. Jak dobrze cię słyszeć, Maggie.

- Postanowiłam zadzwonić, żeby was uprzedzić, że Katy nie przyjedzie, pojechała prosto do szkoły.

- W ciągu czterech lat chyba kiedyś zabłądzi do naszych lasów. Zobaczymy ją, jak znajdzie trochę czasu! - Tak było zawsze, wszystkim drobnym sprawom, które Vera rozdmuchiwała ponad miarę, Roy przywracał właściwą wagę. -A co u ciebie? - zapytał. - Pewnie czujesz się trochę samotna po jej wyjeździe?

- Okropnie samotna.

- Nie siedź w domu, kochanie. Idź do kina albo gdziekolwiek. W sobotę wieczorem nie możesz być samotna.

- Nie będę. Idę do klubu na obiad - skłamała, żeby go nie martwić.

-Dobrze... dobrze. To właśnie chcę słyszeć. Szkoła wkrótce się zacznie, prawda?

- Za niecałe dwa tygodnie.

- Tutaj też. Ulice znowu będą puste. Wiesz, jak jest. Narzekamy na turystów, kiedy są, a potem nam ich brakuje.

Uśmiechnęła się. Ile razy w życiu już to słyszała?

- Pamiętam.

- Słuchaj, kochanie, matka chce jeszcze z tobą porozmawiać.
- Całuję cię, tato.
- Ja ciebie też. Trzymaj się.
- Do widzenia, tato. -Do...
- Margaret? - Vera przejęła słuchawkę, zanim Roy zdołał skończyć rozmowę.
- Jestem, mammo.
- Czy pozbyłaś się już łodzi?
- Nie, ale jest zgłoszona u agenta w porcie.
- Nie wypływaj sama! -Nie będę.
- I uważaj, w co inwestujesz pieniądze.
- Dobrze, mammo. Muszę już iść. Umówiłam się na obiad w klubie i zrobiło się trochę późno.
- Dobrze, ale nie każ nam tak długo czekać na następny telefon. - Na pewno nie.
- Wiesz, że dzwoniłibyśmy częściej, ale te opłaty za rozmowy międzymiastowe są po prostu horrendalne. Aha, kiedy będziesz rozmawiała z Katy, powiedz jej, że dziadkowie niecierpliwie jej wyglądają. - Dobrze, powiem.
- No to do widzenia, kochanie. - Vera nigdy nie omieszkała wtrącić jednego czułego słówka na koniec rozmowy.
- Pa, mammo.

Po odłożeniu słuchawki Maggie poczuła, że musi napić się czegoś ciepłego, żeby się uspokoić. Zrobiła sobie filiżankę ziołowej herbaty i wzięła ją ze sobą do łazienki, gdzie zaczęła się czesać, bez litości szarpiąc włosy grzebieniem.

Czy to za wiele oczekiwać od matki, by zapytała, jak córce się wiedzie? Czy jest szczęśliwa? Czy ma przyjaciół? Co ją martwi? Jak zawsze, Vera skupiała się tylko na sobie. Jej ciężka praca. Jej rozczarowania. Jej wymagania. Cały

świat powinien się liczyć z wymaganiami Very, zanim uczyni następny ruch!

Wrócić do Door County, choćby na wakacje? Pod żadnym pozorem!

Maggie wciąż jeszcze znęcała się nad swoimi włosami, gdy znowu zadzwonił telefon. Była to Brookie, która zaczęła bez żadnych wstępów:

- Wszystko załatwione. Lisa przyjeżdża we wtorek i spędzi tydzień albo coś koło tego u matki. Tani jest już w Green Bay, a Fish jedzie tylko trzy godziny z Brussels, więc wszystkie spotykamy się u mnie w domu w środę w południe i liczymy też na ciebie. Co ty na to? Przyjedziesz?

- Nie bliżej niż na odległość stu mil od mojej matki! Absolutnie nie!

- Oho, zdaje się, że zadzwoniłam nie w porę!

- Rozmawiałam z nią. Przed chwilą.

Tonem towarzyskiej konwersacji Brookie zapytała:

- I jak się miewa stary nietoperz? Atak śmiechu zaskoczył Maggie.

- Brookie, to moja matka!

- Cóż, to nie twoja wina. Nie powinno cię to powstrzymywać od przyjazdu na spotkanie z przyjaciółkami. I co powiesz - będziemy w piątkę, wypijemy parę buteleczek wina, trochę się pośmiejemy i pogadamy. Będzie cię to kosztować tylko bilet na samolot.

- Do licha, brzmi zachęcająco!

- Więc powiedz, że przyjeżdżasz.

- Ale ja...

- Pieprzysz. Po prostu przyjedź. Rzuć wszystko i wskakuj w samolot.

->• Do diabła, Brookie!

- Jestem diabłem, zgadza się.

- Tak! - Maggie tupnęła nogą o podłogę. - Och, jak strasznie chcę przyjechać!

- Więc co cię trzyma?

Wyjaśnienia Maggie brzmiały tak, jakby sama siebie chciała przekonać.

- To tak nagle, a do rozpoczęcia szkoły tylko kilka dm, nauczyciele powinni być gotowi przed uczniami, poza tym musiałabym mieszkać u matki, a nie mogę z nią nawet porozmawiać przez telefon, żeby nie marzyć o adopcji!

- To zatrzymaj się u mnie. Zawsze można rozłożyć śpiwór i dorzucić kość do zupy. W tym domu jest tyle ludzi, że jednej osoby więcej nawet się nie zauważy!

- Nie mogłabym tego zrobić - przyjechać aż do Wisconsin i zatrzymać się u ciebie! Do końca życia byłoby gadanie.

- To nocuj u matki i wychodź na cały dzień. Pójdziemy popływać, będziemy się włóczyć po barach na Cana Island i po sklepach z antykami. Do licha, możemy robić, co nam się będzie żywnie podobało. Mam ostatni tydzień wakacji przed szkołą, bez tych zasiedziały baby-sitters co krok. Boże, jakby mi się przydała ucieczka! Będziemy się wspaniale bawić, Maggie. Co ty na to?

- Och, Brookie! - Ton głosu Maggie sugerował, że jej wola słabnie.

- Już to mówiłaś!

- Och, Brookieeee! - Nawet w śmiechu twarz Maggie zachowywała grymas frustracji i tęsknoty.

- Przypuszczam, że masz dość pieniędzy, by starczyło ci na bilet.

- Tyle, że pękłabyś, gdybym ci powiedziała!

- Dla kobiety to dobrze. Więc przyjeźdź, proszę. Maggie poddała się.

- No dobrze, ty dręczycielko, przyjadę.

- Juu-huu! - Brookie wydała dziki okrzyk, aby zakomunikować komuś obok: „Maggie przyjeżdża!” A do Maggie powiedziała szybko: - Kończę rozmowę, żebyś mogła zatelefonować na lotnisko. I zadzwoń zaraz po wylądowaniu albo jeszcze lepiej wstąp do mnie po drodze do starych. Do zobaczenia we wtorek!

Maggie odwiesiła słuchawkę i powiedziała do ściany:

- Jadę do Door County. - Wstała z krzesła i wykrzyknęła, wznosząc ściśnięte pięści w geście radości: „Jadę do Door County! Pojutrze naprawdę jadę do Door County!”

Poczucie radosnego zaskoczenia pozostało, a nawet wzrosło. W niedzielę Maggie nic nie zrobiła.

Pakowała i rozpakowywała ubrania, po czym zdecydowała, że potrzebuje czegoś nowego. Układała i rozczesywała włosy, żeby zdecydować się w końcu na fryzjera. Zadzwoiła do biura rezerwacji i zamówiła bilet pierwszej klasy. Na koncie bankowym miała niemal półtora miliona dolarów i uznała, że czas z nich skorzystać.

Następnego dnia u Gene Juareza powiedziała nieznanemu fryzjerowi:

- Musi pan stworzyć dzieło sztuki. Jadę do domu spotkać się z koleżankami szkolnymi pierwszy raz od dwudziestu trzech lat!

Kiedy wyszła, wyglądała, jakby została zagotowana i powieszona do góry nogami, żeby wyschnąć. Dziwne było to, że od lat nic jej tak nie rozbawiło.

Następnie wstąpiła do Nordstroma i zapytała ekspedientkę:

- Co by włożyła moja córka, gdyby wybierała się na koncert Prince'a?

Wyszła z trzema parami niby-spranych dżinsów i stertą luźnych podkoszulków wyglądających jak coś, co wkładał na siebie stary Niedźwiedzki sprzedający używane samochody na złomowisku.

W butik „Tylko u Helen” zakupiła dwie szalenie wysmakowane sukienki - jedną na podróż, drugą na ekstra okazje - i wahała wszystkie ulubione perfumy od Elizabeth Taylor po Lady Bird Johnson, aby wreszcie w tanim stoisku u Woolwortha radośnie zapłacić 2.95 za flakonik Emeruade, które były i pozostały jej ulubionym zapachem.

We wtorek wysiadła z taksówki na międzynarodowym lotnisku Sea-Tac w strugach deszczu, a w cztery godziny

później wylądowała w Green Bay w oślepiającym słońcu. Wynajęła samochód, ciągle nie wierząc w prawdziwość tego wszystkiego. Przez lata podróży z Phillipem zawsze planowali wszystko na tygodnie, nawet miesiące naprzód. Działanie pod wpływem impulsu było dla Maggie czymś nowym. I ogromnie podniecającym: dlaczego nigdy wcześniej tego nie spróbowała?

Jechała na północ w nastroju rosnącego odprężenia i po drugiej stronie kanału w Sturgeon Bay wyczuwała już bliskość domu. Nareszcie Door County i pierwsze spojrzenie na sady wiśniowe, ciągnące się milami. Drzewa - już pozbawione kwietnego piękna - maszerowały rzędami przez szmaragd traw, poprzedzielane murkami z kamienia wapieniowego i intensywnie zielonymi zagajnikami. Sady jabłoniowe i śliwowe uginały się od owoców, które lśniły niczym latarenki w sierpniowym słońcu. Co jakiś czas po drodze mijała stoiska pod gołym niebem, oferujące kolorowe pojemniki pełne owoców, jarzyn, soków i przetworów.

I oczywiście wszędzie stały stodoły świadczące o pochodzeniu budowniczych: belgijskie z cegły; angielskie o drewnianej konstrukcji, kryte dachówką i z tylnymi drzwiami; norweskie z kwadratowo ciętych kłoców i niemieckie z kłoców okrągłych; wysokie fińskie stodoły o dwóch piętrach; niemieckie spichrze wpuszczane w ziemię, inne zbudowane z drewna, ceglane lub obłożone wysuszonym łupkiem. I jedna okazała budowla malowana w zawiłe kwietne wzory na czerwonym tle. W Door County budynki całe z drewna były równie powszechne, jak wznoszone na konstrukcji drewnianej. Niektóre farmy zachowały wygląd sprzed stu lat, z pięknie zachowanymi zabudowaniami gospodarczymi, z chatami wzbogaconymi o nowoczesne okna i mansardy, z biało malowanymi ramami drzwi i okien. Podwórka otaczały płoty i kępy kwiatów - lilie w dużych skupiskach o barwie żółtej i pomarańczowej, różowe petunie, malwy wysuwające kształtne główki nad przydrożne rowy.

W Egg Harbor Maggie zwolniła, zdumiona zmianami, jakie ujrzała. Wszędzie snuli się turyści liżący lody podczas przechodzenia przez jezdnię, na chodnikach przy stoiskach z antykami, przy wejściach do sklepów rzemieślniczych. Minęła restaurację „Niebieski Irys”, minęła Cupola House, jak dawniej wysoki, biały i nie zmieniony, czując, jak świadomość bliskości wszystkich tych miejsc przenika ją i napełnia radosnym podnieceniem. A potem jechała autostradą w górę, prosto do Fish Creek, drogą prowadzącą pośród bogatych, złotych pól pszenicy, wzdłuż sadów, pomiędzy którymi brzoźowe zagajniki wyglądały niby plamy z kredy na zielonym aksamicie.

Wjechała na szczyt wzniesienia przed miastem, z ostatnim sadem wiśniowym po lewej i ostrym zjazdem w dół drogi kluczącej wokół nagich skał wapniowych. To miejsce było zawsze przyjemną niespodzianką. Przed minutą przejeżdżało się okolice farm niczym nie zdradzające istnienia miasta poniżej; już po chwili natrafiało się na znak stopu, widok migotliwych wód portu Fish Creek i główną ulicę - Main Street - biegnącą w prawo i w lewo.

Było dokładnie tak, jak pamiętała, wszędzie turyści, samochody przeciskające się z trudem przez tłum nie przestrzegający żadnych zasad ruchu; wesoło udekorowane sklepy w starych domach po cienistej stronie Main Street, której wschodni i zachodni kraniec mogła oglądać ze swego miejsca. Kiedyż to była w mieście pozbawionym świateł sygnalizacyjnych i pasów na jezdni? Albo takim, którego główna ulica wymagała koszenia latem i podorywki jesienią? Gdzie jeszcze stacja benzynowa wyglądała jak wiejska chata? A piekarnia miała werandę od frontu? A alejki między domami trzeba było regularnie podlewać, żeby petunie[^] i geranium nie traciły świeżości?

Po drugiej stronie Main Street jej uwagę zwrócił budynek z okazałym frontonem: dom towarowy, gdzie pracował ojciec. Uśmiechnęła się, wyobrażając go sobie za długą białą ladą rzeźniczą, gdzie kroił mięso i przygotowywał san-dwicze, odkąd tylko sięgała pamięcią.

„Cześć, tato - powiedziała w myśli - Zaraz tu wrócę!”

Skreśliła na zachód i w żółtym tempie jechała klonowym bulwarem, mijając kwietniki i domy o spiczastych dachach zamienione na sklepy z pamiątkami, potem ogromną gospodę „Pod Gwizdzącym Łabędziem” z oszalowanymi na biało ścianami i wychodzącą na wschód dużą werandą, zastawioną plecionymi krzesłami. Przejechała obok cukierni i skwerku oraz domu Asa Thorpa, założyciela miasta, obok kościoła, gdzie gołębie i blask trzech witrażowych okien były dokładnie takie, jak pamiętała. Minęła następnie gospodę „Pod Białą Mewą” i dojechała aż do końca drogi; tu wysokie cedry otwierały wjazd do parku Sunset Beach. Dalej drzewa rozdzielały się, odsłaniając wspaniały widok na zatokę Green Bay, która rozbłyskiwała w promieniach popołudniowego słońca.

Maggie zatrzymała samochód, wysiadła i stanęła w cieniu otwartej bramy, mrużąc oczy i podziwiając żagle - mnóstwo żagli - na wodzie.

Znowu w domu!

Wracała tą samą drogą, którą przyjechała. Tłok zwiększył się, nigdzie nie było miejsca do zaparkowania, ale zdołała się wcisnąć przed sklep pamiątkarski „Gołębie Gniazdko” i przeszła kawałek pieszo, wzdłuż bloków z jednej strony, z drugiej - kamiennego muru zaporowego, na którym siedzieli turyści, sącząc zimne napoje. Z podniesioną ręką, by zatrzymać ruch, prześliznęła się między zderzakami samochodów na drugą stronę ulicy.

Betonowe schody domu towarowego były jak zawsze wyszczerbione i prowadziły do drzwi zwieńczonych łukiem. W środku podłoga skrzypiała, oświetlenie było za słabe, a zapach - bogaty w pamięć całych lat sprzedaży przejrzałych owoców, wędzonej domowym sposobem kiełbasy oraz woni środka czyszczącego, którego Albert Olson nadal używał do szorowania podłóg, kiedy sprzątał w nocy.

O piątej po południu sklep był pełen ludzi. Przeszła obok zatłoczonego stoiska na przodzie i skinęła dłonią do

Mae, żony Alberta, która odpowiedziała pełnym zaskoczenia „cześć”. Potem przepchnęła się do tyłu, gdzie tłumek kupujących otaczał wysoką ladę stoiska mięsnego i delikatesowego. Jej ojciec w długim białym fartuchu zachęcał do kupna klientów, obsługując jednocześnie maszynę do krajania.

- Czy świeże? - mówił unosząc głowę znad maszyny. - Wstałem wcześniej i osobiście zaszlachtowałem krowę dzisiaj o szóstej rano. - Pochylił się, aby wyłączyć krajalnicę, i przystąpił do następnej czynności bez jednego zbędnego ruchu. - Francuski sandwicz z musztardą i serem szwajcarskim. Pum-pernikel z musztardą i amerykańskim serem. - Przekroił francuską bułkę, rozłożył dwa kawałki pumpernika, jednym ruchem noża posmarował je masłem i musztardą, nałożył dwie porcje konserwowej wołowiny, odsunął szklaną pokrywkę pojemnika z odpadkami, odkroił skórkę z dwóch kawałków sera, złożył sandwicze i gotowe umieścił w plastikowych opakowaniach. Wszystkie te czynności nie zajęły mu nawet trzydziestu sekund. - Coś jeszcze? - Stał z rękami opartymi o blat wysokiego kontuaru. - Sałatka kartoflana jest tutaj najlepsza ze wszystkich, jakie znajdziecie po obu stronach jeziora Michigan. Kartofle pochodzą z uprawy mojej babki. - Mrugnął w stronę pary oczekującej na sandwicze.

Roześmiali się mówiąc:

- Nie, to wystarczy.

- Płaci się przy kasie. Następny, proszę!

Mężczyzna koło sześćdziesiątki w bermudach i plażowej bluzie zamówił dwa sandwicze z pastrami. Obserwując ojca przy pracy, Maggie na nowo zaskoczona była różnicą w wizerunku ojca jako wytrawnego sprzedawcy a tym, jaki prezentował w domu. Tu był miły i zaskakująco sprawny. Ludzie czuli do niego sympatię od pierwszego wejrzenia. Potrafił ich skłonić i do śmiechu, i do ponownego przyjścia po zakupy.

Stała z boku, nie zauważona, patrząc, jak radzi sobie z tłumem niczym konferansjer na scenie.

Wydawało się, że

ledwie rzuciła okiem na ludzi, przerzucając się od jednej czynności do drugiej. Słuchała odgłosu przedzierania woskowanego papieru, plaskania dłoni uklepujących kawałki rostbefu, ciężko przesuwających się drzwiczek pojemnika na mięso - tego samego, który pamiętała z lat dziecięcych. Była kolejka - latem zawsze była - ale ojciec uśmierzał niecierpliwość oczekujących swoją sprawnością i talentem urodzonego showmana.

Po kilku minutach obserwacji Maggie podeszła do lady, w momencie kiedy ojciec był odwrócony tyłem. - Poproszę o piątkę z twojej kieszeni na lody - powiedziała cicho.

Obejrzał się przez ramię zaskoczony, ale z rozjaśnioną twarzą.

- Maggie? - Odwrócił się i wytarł ręce o fartuch. - Maggie, kochanie, czy mi się przywidziało?

Roześmiała się, uszczęśliwiona, że tu przyszła.

- Nie, to naprawdę ja!

Gdyby pojemnik na mięso był odrobinę niższy, z pewnością by go przeskoczył. Wyminął go jednak i przytulił ją w mocnym uścisku. - Co za niespodzianka, Maggie!

- Dla mnie też.

Odsunął ją od siebie na długość ramion.

- Co tutaj robisz?

- Brookie namówiła mnie na przyjazd.

- Matka już wie?

- Nie, przyjechałam najpierw tutaj.

- Niech mnie! - Zaśmiał się radośnie i ponownie ją objął, ale zaraz przypomniał sobie o klientach. Z ręką na jej ramieniu zwrócił się do nich. - Jeśli ktoś myśli, że jestem starym rozpustnikiem, to przedstawiam swoją córkę Maggie z Seattle. Zrobiła mi właśnie największą niespodziankę w życiu. -

Wracając na miejsce za ladą zapytał:

- Pojedziesz teraz do domu?

- Chyba tak.

Spojrzał na zegarek.

- Muszę tu zostać jeszcze czterdzieści pięć minut. Będę w domu o szóstej. Jak długo zostaniesz?

- Pięć dni. -Tylko tyle?

- Niestety. Muszę wracać w niedzielę.

- Pięć to zawsze lepsze niż nic. Idź sobie teraz, żebym mógł się zająć klientami. - Wrócił do pracy, ale krzyknął jeszcze do odchodzącej Maggie: - Niech matka zadzwoni, gdyby potrzebowała czegoś ekstra na kolację!

Kiedy Maggie zapuściła silnik i ruszyła w stronę domu, jej entuzjazm zaczął przygasać. Jechała wolno, zastanawiając się, jak to często robiła, czy nie oczekuje zbyt wiele od matki i czy nie dlatego jej wizyty u rodziców kończą się zawsze rozczarowaniem. Zatrzymała się przed domem, w którym się wychowała, i oparła na chwilę ręce na kierownicy, żeby popatrzeć. Żadnych zmian. Dom, dwupiętrowy, z nisko osadzonym, płaskim dachem i szerokimi okapami, byłby idealnie kwadratowy, gdyby nie weranda od frontu wsparta na masywnej podbudowie z miejscowego wapienia. Solidny i masywny, z zielonymi krzakami po obu stronach kamiennych schodów i strzyżonymi wiązami na podwórku, zdawał się trwać w tym miejscu od stu lat.

Maggie wyłączyła silnik i siedziała przez chwilę: odkąd pamiętała, jej matka biegła do frontowego okna na każdy odgłos z ulicy. Ukryta za firankami, obserwowała sąsiadów, ich pasażerów i zakupy, aby przy kolacji zjadliwie wszystko komentować: „Elsie musiała być dzisiaj w Sturgeon Bay. Miała torby z Piggly Wiggly. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego kupuje w takim sklepie. Tam śmierdzi! Chyba nigdy nie mają nic świeżego. Ale oczywiście, Elsie nie można słowa powiedzieć!" Albo: „Toby Miller sprowadził tę dziewczynę Andersonów do domu wczesnym popołudniem, a przecież doskonale wiem, że jego matka jest o tejporze w pracy! Para szesnastolatków sama w domu przez dobre półtorej godziny - Judy Miller miałyby zabawę, gdyby wiedziała!"

Maggie trzasnęła głośno drzwiami samochodu i ruszyła w stronę drzwi frontowych z pewnym ociąganiem. Na murku, u stóp schodów, w dwóch kamiennych urnach rosło jak zawsze różowe geranium i winorośl. Drewniana podłoga ganku błyszczała, co rok na nowo lakierowana. Wycieraczka wyglądała, jakby nigdy nie dotknęła jej podeszwa buta. Aluminiowa kratka na drzwiach ozdobiona była literą „P”.

Otworzyła cicho drzwi i stanęła w hallu, nasłuchując. Gdzieś w odległym końcu domu grało radio i słychać było lejącą się wodę w kuchni. Pokój frontowy lśnił nieskazitelną czystością. Nie mogło być inaczej, bo Vera nakazywała pozostawianie butów przy drzwiach, nie pozwalała dotykać stolika do kawy i zabraniała palenia w pobliżu draperii. Przy kominku znajdowały się te same bierwiona od trzydziestu lat, ponieważ matka zabraniała także rozpalania ognia: po ogniu zostawał popiół, a popiół to brud. Ekran w kształcie wachlarza i kominkowe wilki nigdy nie zostały osmolone dymem, cynamonowoczerwonych cegieł zaś nie odbarwił żar. Mahoniowe listwy i wykończenia z drewna lśniły. Stojący pod wąskim łukiem sklepienia stół jadalny z wiśniowego drewna pokryty był tym samym koronkowym obrusem i dźwigał tę samą srebrną misę - ślubny prezent Very i Roya.

Maggie odczuła tę niezmienną jako coś uspokajającego, ale też jako objaw zastoju.

Lakierowana podłoga hallu odbijała światło z kuchni. Na lewo mahoniowa balustrada schodów wznosiła się wzdłuż ściany w górę i skręcała w prawo przy podeście z wysokim oknem. Tysiące razy Maggie zbiegała tędy, słysząc upomnienia matki z dołu: „Margaret! Schodź powoli!” Maggie stała tak patrząc na okno nad podestem, kiedy z drugiej strony do hallu weszła Vera, gwałtownie zaczerpnęła powietrza i krzyknęła przeraźliwie:

- O Boże!

- Mamo, to ja, Maggie.

- Doprawdy, dziewczyno, wystraszyłaś mnie na śmierć! - Vera oparła się plecami o ścianę, trzymając rękę na sercu.

- Przepraszam, nie chciałam.

- A co tu w ogóle robisz?

- Właśnie przyjechałam. Właśnie... - Maggie rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami - ...wysiadłam z samolotu i jestem.

- Słowo daję, chyba powinno się człowieka uprzedzić! I co, na litość boską, zrobiłaś z włosami?

- Spróbowałam czegoś nowego. - Maggie podniosła rękę, odruchowo usiłując poprawić nastroszoną fryzurę, która jeszcze wczoraj wprawiała ją w taki dobry nastrój. Ale Vera przestała już zajmować się jej włosami, tylko wachlując się ręką mówiła:

- Boże, serce ciągle mam w gardle. W moim wieku łatwo dostać zawału po czymś takim - tak stanęłaś na tle oszklonych drzwi, że nie mogłam nawet dostrzec twarzy. Widać było tylko sterczące włosy. Przecież mogłam cię wziąć za włamywacza, który wdarł się, żeby mnie obrabować i uciec. Wystarczy przeczytać gazetę, człowiek nie wie, czego się spodziewać, a miasto pełne jest obcych. Powinno się chyba trzymać drzwi zamknięte na kłódkę!

Maggie podeszła do matki.

- Nie uściskasz mnie?

- Ależ oczywiście!

Vera była taka jak jej dom: zimna i sztywna, nieskazitelnie porządna i niezmienna. Od 1965 roku nosiła tę samą fryzurę - włosy ściągnięte do tyłu we francuski kok, z dwoma starannie zakręconymi loczkami na skroniach. Raz w tygodniu utrzymywała to uczesanie lakierem w „Kąciku Piękności Bei” sama Bea, równie pozbawiona wyobraźni jak jej klientki. Vera miała na sobie gładki kostium ze sztucznego włókna w kolorze błękitnym, z białą lamówką. Na nogach - białe pielęgniarские saboty i grube skarpetki. Twarz zdobiły okulary bez oprawy, jedynie ze srebrnym łukiem od góry. Nosiła także fartuch. Kiedy Maggie podeszła,

aby się z nią przywitać, uścisk matki był słabszy od jej uścisku.

- Mam mokre ręce - wyjaśniła Vera. - Właśnie obierałam ziemniaki.

Maggie odczuła znowu tłumione rozczarowanie, jak zawsze, kiedy oczekiwała od matki jakiegoś objawu uczucia. Z ojcem beztrąsko śpieszyłaby ramię w ramię do kuchni. Teraz szła z tyłu, za matką.

- Mmm... pięknie pachnie! - Postanowiła się nie poddawać.

- Robię wieprzowinę w sosie pieczarkowym. Mam nadzieję, że wystarczy i dla ciebie. Naprawdę, wolałabym, żebyś mnie uprzedziła o przyjeździe, Margaret!

- Tata powiedział, że jeżeli tylko zadzwonisz, przywiezie wszystko, co ci będzie potrzebne.

- Och, już się z nim widziałas? - Nuta zazdrości pobrzmiwała w jej głosie, jak zawsze, gdy Maggie wspominała o Royu.

- Tylko przez chwilę. Zatrzymałam się przy sklepie.

- Już za późno, żeby dołożyć kawałek mięsa dla ciebie. Chyba usmażę ci osobno kotlet. - Vera ruszyła do telefonu.

- Mamo, nie kłopot się, pojedę i kupię sobie sandwicza!

- Też coś, sandwicza, nie bądź niemądra! Maggie rzadko jadła wieprzowinę i bardziej by jej odpowiadała kanapka z indykiem, ale Vera już wykręciła numer. Nie było mowy o dokonaniu jakiegokolwiek wyboru. Podczas rozmowy wycierała fartuchem lśniący czystością aparat.

- Halo, Mae? Tu Vera. Poproś Roya, żeby przywiózł do domu dwa kotlety wieprzowe, dobrze? Zajęła się wycieraniem podstawki. - Nie, dwa wystarczą. I powiedz mu, żeby wyszedł punktualnie o szóstej, bo inaczej mięso stwardnieje, jak wczoraj. Dziękuję, Mae. - Odłożyła słuchawkę i podeszła do zlewu, kontynuując przemowę. - Nawet byś nie przypuściła, że twój ojciec ma zegarek. Powinien wycho

dzieć punkt szósta, ale najczęściej wraca do domu z półgodzinnym albo i większym spóźnieniem. Powiedziałam mu któregoś dnia: „Roy, jeżeli klienci są ważniejsi od punktualnego przychodzenia na kolację, to może przeprowadź się do sklepu". I wiesz, co zrobił? - Korale Very zatrzęsły się, kiedy sięgnęła po nożyk i zaatakowała nim ziemniak. - Wyszedł do garażu bez jednego słowa! Czasem mi się wydaje, że po prostu tu nie mieszka, tak rzadko się do mnie odzywa. Cały czas siedzi w garażu. Teraz przeniósł tam nawet telewizor, żeby oglądać swoje mecze baseballowe podczas majsterkowania.

„Pewnie oglądałby je w domu, gdybyś mu pozwoliła, mamó, postawić miskę z prażoną kukurydzą, tam gdzie chce, a może nawet położyć nogi na twoim cennym stoliku do kawy!" - pomyślała Maggie. Znalazła się znowu w królestwie matki i zaczęła się zastanawiać, jak ojciec mógł znosić takie życie przez czterdzieści lat. Choć sama była w domu zaledwie od pięciu minut, nerwy już miała napięte jak struny.

- Ale nie przyjechałaś przecież, żeby tego wysłuchiwać - oświadczyła Vera tonem, który ostrzegł Maggie, że przez następne cztery dni czeka ją jeszcze mnóstwo podobnych oświadczeń. Garnek z obranymi ziemniakami został postawiony na ogniu. - Pewnie masz walizki w samochodzie. Zanieś je na górę, a ja nakryję do stołu.

Maggie gorąco pragnęła powiedzieć: „Będę mieszkała u Brookie", ale dominacja Very była nie do pokonania. Nawet w wieku czterdziestu lat Maggie nie miała odwagi jej się przeciwstawić.

Na górze odruchowo położyła walizkę na łóżku, ale zaraz ją zdjęła i postawiła na podłodze, spoglądając niepewnie na drzwi. Następnie wygładziła narzutę, żeby nie było śladu. Pokój nie zmienił się. Jeśli Vera kupowała meble, to już na zawsze. Jasnobłękitna tapeta w kwiatki, w którą Maggie nie wolno było nigdy wcisnąć pinezki, miała służyć całe lata. Jej biurko przesunięte zostało na dawne miejsce;

kiedy Katy była mała, Vera ustawiła tam łóżeczko, żeby mieć je bliżej.

Pamięć przyniosła ukłucie tęsknoty. Maggie odsunęła firankę i wyjrzała przez okno na małe podwórko.

Phillipie, tak bardzo mi ciebie brak. Przy tobie potrafiłam łatwiej sobie poradzić z matką.

Westchnęła, opuściła firankę i uklękła, aby rozpakować walizkę. W szafie wisiało jedno ze starych ubrań ojca, a obok plastikowy worek z jej kostiumem, w którym była na rozdaniu świadectw.

Różowym. Eryk chciał, żeby ubierała się na różowo, i ofiarował jej bransoletkę w różyczki.

Eryk jest żonaty, a ty zachowujesz się jak podstarzała idiotka, wpatrując się w ten stary ciuch.

Zdjęła płócienny kostium podróżny i włożyła nowe džinsy firmy Guess oraz dwie luźne górki bez rękawów, niebieską na białą. Na szyi zawiązała bawełnianą chustkę i wpięła w uszy parę dużych romboidalnych klipsów.

Kiedy weszła do kuchni, Vera obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem i oświadczyła:

- Ten strój jest trochę zbyt młodzieżowy jak na ciebie, nie uważasz?

Maggie przesunęła wzrokiem po niebiesko-białym drelichu i odpowiedziała:

- W stoisku, w którym to kupowałam, nie było ograniczenia wieku.

-Wiesz, o co mi chodzi, kochanie. Czasem kobieta w średnim wieku potrafi się ośmieszyć, kiedy próbuje wyglądać na młodszą, niż jest w rzeczywistości!

Maggie poczuła w gardle skurcz dławiącego gniewu. Wiedziała, że jeśli szybko nie uwolni się od towarzystwa matki, wybuchnie i sprawi, że następne cztery dni będą nie do wytrzymania.

-Wieczorem wybieram się do Brookie. Nie przypuszczam, żeby zwracała uwagę na to, w co jestem ubrana.

-Wybierasz się do Brookie! Nie rozumiem, dlaczego uciekasz natychmiast po przyjeździe!

„Nie, mam, z pewnością nie rozumiesz” - pomyślała Maggie i skierowała się ku drzwiom na podwórko, żeby uciec choć na parę minut.

- Potrzeba ci może czegoś z ogrodu? - zapytała matki z wymuszoną naturalnością.

- Nie. Jedzenie już gotowe. Potrzebny nam tylko twój ojciec.

- Wyjdę na chwilę.

Wymknęła się na dwór i zaczęła spacerować po czyściutkim podwórku, wzdłuż wypielonych rabat nagietek otaczających dom. Weszła do garażu, gdzie ujrzała narzędzia ojca ułożone z wojskową dokładnością. Podłoga wręcz lśniła, a telewizor stał po drugiej stronie stołu do pracy, na nowo skonstruowanej półce.

Biedny tato!

Zamknęła drzwi garażu i zaczęła spacerować po warzywniku, gdzie fasola i groszek były już opielone, a cebulowy szczypior ścięty. Maggie nie przypominała sobie, by kiedyś w życiu matka odłożyła jakąkolwiek pracę, którą należało wykonać. Dlaczego i to ją drażniło?

Vera zawołała z domu:

- Wiesz co, kochanie, zerwij ze dwa dojrzałe pomidory na sałatkę!

Maggie weszła między grządki pomidorów i wybrała dwa najurodzajniejsze. Kiedy jednak przyniosła je do kuchni i zrobiła krok z chodniczka na podłogę, Vera wykrzyknęła:

- Zdejm buty, kochanie! Dopiero co wywoskowałam parkiet!

Gdy Roy wreszcie przyjechał, Maggie była bliska wybuchu. Spotkała go w połowie ścieżki do garażu i razem, objęci, weszli do domu.

- To miło, że wyszłaś mi naprzeciw! - powiedział Roy z czułością.

Uśmiechnęła się i przycisnęła mocniej jego ramię, czując niemal fizycznie więź emocjonalną z ojcem.

- Ach, tato! - westchnęła, unosząc w górę twarz.

- Chyba wystraszyłaś matkę!
 - O mało nie dostała zawału, tak w każdym razie twierdzi.
 - Twoja matka nigdy nie będzie miała zawału. Nie zniosłaby tego!
 - Spóźniłeś się, Roy - przerwała im Vera, gdy tylko weszli w drzwi, niecierpliwie wskazując na paczkę, którą mąż niósł w ręku. - Muszę przecież jeszcze usmażyć te kotlety! Pośpiesz się.
- Kiedy wręczył jej paczkę, wycofała się. Roy wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco do córki.
- Daj spokój - powiedziała. - Pokaż, co nowego masz w warsztacie!
- Kiedy weszli do pomieszczenia, które wypełniał zapach świeżego drewna, zapytała:
- Dlaczego jej na to pozwalasz, tato?
 - Och, twoja matka to dobra kobieta.
 - Dobra kucharka i gospodyni. Ale oboje nas doprowadza do szaleństwa. Ja już z tym nie muszę żyć na co dzień, ale ty tak. Dlaczego się na to godzisz?
- Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:
- Chyba uznałem, że sprzeciwianie się jej nie jest warte zachodu.
 - Zamiast tego chowasz się tutaj?
 - Lubię tu być. Właśnie robię budki dla ptaków i karmniki na sprzedaż.
- Maggie objęła go ramieniem.
- Ale dlaczego nie powiesz wreszcie, żeby się zamknęła i pozwoliła ci samemu decydować o sobie?
- Tato, przecież ona tobą pomiata!
- Podniósł kawałek ostruganego drewna i pogładził go końcami palców.
- Pamiętasz babcię Pearson?
 - Tak, trochę.
 - Była taka sama. Musztrowała mojego ojca jak sierżant rekruta. Zawsze w tym tkwiłem.

- Ale to nie znaczy, że tak powinno być!

- Doczekali się złotych godów.

Ich spojrzenia spotkały się na kilka sekund.

- To samoobrona, tato, ale szczęście? Nie. To zupełnie co innego.

Przestał gładzić drewno i odłożył je starannie na bok.

- Moje pokolenie w to wierzy.

Może miał rację. Może jego życie płynęło spokojnie, tu, w warsztacie i w mieście, w pracy.

Niewątpliwie Vera gwarantowała czysty dom, smaczne posiłki i świeżą bieliznę -dobrze spełniała tradycyjne obowiązki żony, w które także wierzyło jego pokolenie. Jeśli uznał, że to wystarczy, dla-
czego ona, Maggie, miałyby go buntować?

Wyciągnęła rękę.

- W porządku, zapomnij, o czym mówiłam. Chodźmy do domu na kolację.

Rozdział 4

Glenda Holbrook Kerschner mieszkała w liczącym dziewięćdziesiąt lat wiejskim domu, otoczonym dwudziestoma akrami drzew wiśniowych odmiany Montmorency i sześćdziesięcioma nieuprawnnych łąk i lasów. Była tu też sędziwa czerwona stodoła, nieco mniej sędziwa szopa i sieć ścieżek wydeptanych przez dzieci, psy, koty, konie, jelenie, szopy i skunksy.

Maggie była tutaj przed laty; teraz dom powiększył się o przybudówkę wystającą z oryginalnej kamiennej konstrukcji. Weranda, z białą niegdyś balustradą, została oszklona i w ten sposób włączona do części mieszkalnej. Duży ogród warzywny rozciągał się aż po wzgórze górujące na wschodzie, za domem, i - na szerokość - po sznury, na których wisały cztery zszyte z łątek pledy. Maggie zajechała na podwórze parę minut przed ósmą. Nie zdążyła jeszcze zgasić silnika, gdy tylne drzwi domu otworzyły się i wypadła z nich Brookie z okrzykiem:

- Maggie, więc jesteś!

Maggie zostawiła otwarty samochód i wybiegła jej na spotkanie. Niemal straciły równowagę, zderzywszy się ze sobą, po czym zaczęły się ścisnąć płacząc.

- Brookie, jak dobrze, że cię widzę!

- Nie mogę uwierzyć! Po prostu nie mogę!

- Jestem tutaj! Naprawdę jestem!

Wypuściwszy wreszcie z objąć przyjaciółkę, Brookie powiedziała:

- Boże, spójrz tylko na siebie! Chuda jak patyk! Czy tam w Seattle nic nie jecie?

- Przyjechałam tu, żeby utyć.

- Wybrałaś najodpowiedniejsze miejsce, jak widzisz!

W piruecie Glenda zaprezentowała swe krągłe kształty. Po każdej ciąży przybywało jej pięć funtów, ale nie utraciła sprężystości, a krótkie brązowe włosy wiły się wokół twarzy, którą rozjaśniał zaraźliwy uśmiech i piękne piwne oczy. Klepnęła się obiema rękami po szerokich biodrach i spojrzała na dół na swoją figurę:

- Jakby Gene powiedział - ciepło zimą i cieniście latem. - Zanim Maggie przestała się śmiać, już została pociągnięta do domu przez Brookie. - Chodź, poznasz go!

Gene Kerschner czekał na tylnych schodach, wysoki, kanciasty, w dżinsach i wyblakłej kraciastej koszuli, trzymając za rączkę bosą, sięgającą mu do bioder, dziewczynkę w nocnej koszuli.

„Wygląda dokładnie jak zadowolony farmer i szczęśliwy ojciec” - pomyślała Maggie, kiedy puścił rękę dziecka, aby uścisnąć ją na powitanie.

- A więc to jest Maggie. Już tyle czasu...

- Cześć, Gene. - Maggie uśmiechnęła się do powoli wymawiającego słowa mężczyzny.

- Może teraz, kiedy już jesteś, Glenda przestanie szaleć. Dziewczynka pociągnęła go za dżinsy.

- Tatusiu, kto to?

Podniósł ją i posadził sobie na ramieniu.

- To przyjaciółka mamy, Maggie. - A do Maggie powiedział: - To nasza druga od końca, Chrissy.

- Cześć, Chrissy! - Maggie wyciągnęła rękę do dziewczynki.

Zawstydzone dziecko włożyło paluszek do ust i przytuliło głowę do podbródka ojca. Śmiejąc się wszyscy weszli do domu, a Glenda wyjaśniła:

- Reszta dzieciaków gdzieś się rozbiegła. Justin ma dwa latka i pozwolił się już, dzięki Bogu, położyć spać. Julia

i Danny jeżdżą na Penelopie, naszej klaczy. Eryka poszła na randkę - ma szesnaście lat, jest słodka i zakochana do szaleństwa. Todd pracuje w mieście, sprząta stoły w „The Cookery”. Ma dziewiętnaście lat i zastanawia się, czy nie wstąpić do lotnictwa. A Paul, nasz najstarszy, wyjechał właśnie do college'u.

Dom był przestronny i wygodny, z ogromną kuchnią, w której stał duży stół na wygiętych nogach i osiem krzeseł wokół. Bawialnią stanowiła przedłużenie kuchni - był to rozległy pokój, umeblowany wysłużonymi kanapami, szafką z telewizorem, a na końcu, gdzie przedłużenie pomieszczenia stanowiła oszklona weranda - także staroświeckim tapczanem i dwoma bujanymi fotelami. Wnętrze zdobiły jakieś niezbyt ciekawe drobiazgi z domu towarowego, szkolne rysunki dzieci i rośliny. Z chwilą gdy Maggie tu weszła, poczuła się jak w domu. Widać było, że rodzina Brookie prowadzona jest stanowczą ręką, ale z miłością.

- Pocałuj mamusię, idziesz do łóżka - powiedział Gene do Chrissy.

- Niece! - Chrissy zaczęła bębnić nóżkami w jego brzuch i, stawiając zdecydowany opór, wrywać się z uścisku.

- Obawiam się, że jednak tak.

Dziewczynka ujęła twarz ojca obiema rączkami, próbując kobiecej kokieterii:

- Proszę, tatusiu, czy mogłabym zostać troszkę dłużej? - Ale z ciebie flirciara! - powiedział, pochylając ją

w stronę matki. - Pocałuj mamę szybko, jeśli chcesz si[^]po-żegnać.

Długie proste włosy Chrissy przysłoniły dolną połowę twarzy Brookie, kiedy matka i córka wymieniały pocałunki i uścisk.

- Dobranoc, serduszko.

Dziewczynka już nie protestowała, kiedy ojciec zanosił ją na górę.

- Nareszcie jesteśmy same - powiedziała Glenda. - I tak jak obiecałam... - szerokim gestem otworzyła lodówkę,

wskazując zieloną butelkę o smukłej szyjce. - Co ty na to?

- Cudownie. Zwłaszcza po trzech godzinach spędzonych z moją matką!

- Jak się miewa stary sierżant Pearson? - Była to aluzja do dni, kiedy Brookie salutowała przed literą „P” na drzwiach werandy, zanim weszły z Maggie do środka.

- Jak zawsze męcząca. Nie wiem, jak ojciec z nią wytrzymuje. Z pewnością nie spuszcza go z oka, nawet kiedy jest w toalecie, sprawdzając, czy przypadkiem nie pryska na deskę klozetową!

- To fatalnie, zwłaszcza że twój tata jest takim wspaniałym facetem. Wszyscy go uwielbiają.

- Wiem. - Maggie wzięła do ręki kieliszek wina i upiła łyk.

- Mmm, pyszności.

Przeszły na koniec dużego pokoju, gdzie Brookie usiadła na bujanym fotelu, a Maggie na tapczanie, moszcząc się na puszystej poduszce. W tej wygodnej pozycji streściła zwięźle wszystkie zarzuty, które zdążyła sformułować pod adresem jej i ojca matka w ciągu krótkiego czasu, jaki spędzili razem w domu. Na chwilę zszedł Gene, skosztował wina z kieliszka Glendy, pocałował ją w czubek głowy i powiedział:

- Bawcie się dobrze! - po czym dyskretnie wycofał się do siebie.

W ciągu następnych pięciu minut wpadli Julie i Danny, przesiąknięci końskim zapachem; trochę speszeni widokiem gościa, grzecznie się jednak przedstawili, aby zaraz zniknąć w kuchni i zająć mieszaniem Kool-Aid. W chwilę potem weszła Eryka ze swoim chłopcem i jeszcze jedną parą w tym samym wieku, wszyscy hałaśliwi i roztrzepani, w poszukiwaniu gazety, żeby sprawdzić, co grają w kinie samochodowym.

- Och, cześć! - powiedziała Eryka, kiedy została przedstawiona Maggie. - Słyszeliśmy mnóstwo historii o tym, co

wyprawialiście w szkole z mamą. To moi przyjaciele, Matt, Karlie i Adam. Mamo, czy możemy sobie zrobić prażoną kukurydzą do kina?

Kiedy zajęli się kukurydzą, wszedł Todd i zaczął się droczyć z rodzeństwem w kuchni, a potem zawołał:

- Cześć, mamo, czy to Maggie? Wygląda dokładnie jak na zdjęciu ze szkolnego albumu.

Potrząsnął ręką Maggie, podniósł kieliszek matki i pociągnął łyk wina.

- Przestanieś rosnać. Oddaj mi to!

- Ty jakoś nie przestałaś - odpowiedział żartobliwie i odskoczył, kiedy Glenda klepnęła go po siedzeniu.

- Czy tu zawsze tak jest? - zapytała Maggie, gdy Todd wrócił do kuchni, żeby podkraść trochę kukurydzy młodszemu rodzeństwu.

- Przeważnie.

Kontrast między życiem Maggie i Brookie był tak ogromny, że konieczne stały się porównania, a kiedy dom wreszcie ucichł i obie zostały same, rozmowa toczyła się już tak, jakby lata rozłąki przestały istnieć. Obie kobiety łączyło pełne zrozumienie i szczerść.

Maggie opowiedziała, jak to jest, gdy mąż ginie w katastrofie samolotowej, a człowiek dowiaduje się o tym z porannego dziennika telewizyjnego. Brookie zwierzyła się, co czuje kobieta, która odkrywa, że w wieku trzydziestu ośmiu lat zaszła w ciążę.

Maggie mówiła, jak jest się samotną, gdy jedyne dziecko wyjedzie do college'u, Brookie opowiadała o chwilach frustracji, gdy siedmioro pęta się pod nogami.

Maggie opisywała samotne kolacje w milczącym, pustym domu; Brookie - gotowanie dla dziewięciu osób w kuchni bez klimatyzacji podczas straszliwych upałów.

Maggie opowiedziała o nieprzyjemnych zaczepkach ze strony żonatych przyjaciół jej i Phillipa w klubie golfowym, którego trawniki ukształtowane są na podobieństwo łapy niedźwiedzia ze wszystkimi palcami, a Brookie wtrąci-

ła, jak to musiała ścinać trawę na dwudziestu akrach pod drzewami wiśniowymi, żeby wyplenić chwasty.

Maggie poskarżyła się na samotność pustego łóżka, gdzie przez lata wtulała się w ciepło ukochanej osoby. Brookie odpowiedziała:

- A my ciągle sypiamy we trójkę, czasem we czwórkę, kiedy tylko jest burza.

- Zazdroszczę ci, Brookie - powiedziała Maggie. - Twój dom jest taki pełen życia.

- Żadnego z nich bym nie oddała, chociaż czasami myślałam, że wypadnie mi macica!

Roześmiały się. Skończyły butelkę i czuły miłe ciepło i odprężenie, wygodnie rozparte na swoich miejscach. Pokój oświetlała tylko jedna lampa, a dom był cichy, zachęcał do zwierzeń.

- Staraliśmy się z Phillipem nie mieć więcej dzieci - rzekła Maggie, podciągając nogi na tapczan i obracając pusty kieliszek w dwóch palcach. - Próbowaliśmy dwa razy, ale miałam poronienia, więc daliśmy spokój, a teraz zaczęłam już przekwitanie.

- Już?

- Jakieś trzy miesiące po śmierci Phillipa, kiedy leżałam w łóżku, chyba o jedenastej wieczorem, poczułam się, jakbym miała atak serca. Naprawdę, Brookie, wydaje mi się, że taki musi być atak serca. To się zaczęło w piersi i jakby elektrycznymi impulsami przenosiło się na ramiona i nogi, aż do czubków palców. Spocily mi się stopy i dłonie. Byłam przerażona. Kiedy zdarzyło się jeszcze raz, obudziłam Katy, która zawiozła mnie do szpitala. Domyślasz się, co to było.

- Nie wiem.

- Uderzenie gorąca.

Brookie usiłowała powstrzymać uśmiech, ale nie mogła.

- Brookie, jeżeli będziesz się śmiała, rąbnę cię!

- Uderzenie gorąca?

- Siedziałam w gabinecie, czekając na doktora, a pielę-

gniarka, która notowała dane, poprosiła, żebym opisała, co się stało. Kiedy zaczęłam mówić, to się znowu powtórzyło. Powiedziałam jej, że się właśnie zaczyna. Popatrzyła na mnie i zapytała, ile mam lat. Pomyślałam, że chyba zwariowała, żeby pytać mnie o coś takiego w chwili, gdy mam atak serca, ale powiedziałam, że trzydzieści dziewięć. A wtedy ona wyjaśniła, że to nie atak serca, ale uderzenie gorąca. I że widzi, jak czerwień podchodzi mi do szyi.

Glenda nie mogła już powstrzymać ataku śmiechu. Przechyliła się ze spazmatycznym jękiem do tyłu na swoim fotelu. Maggie wyciągnęła nogę i kopnęła ją.

-Myślisz, że to takie zabawne? Poczekaj, aż tobie się przydarzy!

Brookie uspokoiła się, naciągnęła zdarte przykrycie na oparcie i złożyła ręce na brzuchu.

- Do licha, czy naprawdę jesteśmy już takie stare?

- My nie. Tylko ja. Ty ciągle produkujesz dzieci.

- Już więcej nie. Trzymam prezerwatywy w pudełku po cukierkach na stole w jadalni!

Znowu zaczęły się śmiać. Potem nastąpiła chwila przyjaznego milczenia i Maggie wyciągnęła rękę do Brookie.

- Tak dobrze być z tobą. Jesteś lepsza od doktora Feldsteina. Lepsza niż terapia grupowa. Lepsza od wszystkich przyjaciół, jakich mam w Seattle. - Dziękuję ci.

- Teraz się rozklejamy.

- Nie, naprawdę tak myślę, Brookie. Nie byłoby mnie tutaj w Door, gdybyś nie zawiadomiła wszystkich i nie zorganizowała telefonicznych wici. Najpierw Tani, potem Fish i Lisa, a nawet Eryk.

- A więc zadzwonił!

- Tak. Byłam bardzo zaskoczona. -1 co powiedział?

- Że dowiedział się od ciebie, dlaczego tak naprawdę do niego dzwoniłam. Bał się, że może mam skłonności samobójcze, ale zapewniłam go, że nie.

-Ico?...

- Jak zwykle. Rozmawialiśmy o jego pracy, jak mu się łoży, o mojej szkole, jak długo on jest żonaty, czy mamy dzieci, czy nie. Powiedział mi, że jest bardzo szczęśliwy.

- Poczekaj, aż zobaczysz jego żonę. Jest wystrzałowa. Materiał na modelkę.

- Nie przypuszczam, żebym zobaczyła ją czy Eryka.

- Może rzeczywiście nie, skoro przyjechałaś na tak krótko.

- Jak myślisz, dlaczego nie mają dzieci? To dziwne, bo kiedy chodziłam z Erykiem, zawsze powtarzał, że chciałby mieć pół tuzina...

- Kto to wie?

- W każdym razie to nie mój interes. - Maggie ziewnęła i przeciągnęła się. I chyba zaraziła tym Brookie. Stając na podłodze oświadczyła: - Trudno o wyraźniejszy sygnał dla gościa, żeby sobie poszedł! - Spojrzała na zegarek i wykrzyknęła: - Do licha, to już prawie pierwsza!

Brookie odprowadziła Maggie do samochodu. Noc była ciepła i pełna zapachów z grządek petunii i ze stajni. W górze błyszczały gwiazdy na ciemnoniebieskim firmamencie.

- Jest coś dziwnego w rodzinnych miasteczkach - stwierdziła z rozmarzeniem Maggie.

- Wzywają do powrotu, co?

- Tak. Zwłaszcza gdy ma się w nich przyjaciół. A jutro spotkamy się wszystkie. Uścisnęły się.

- Dzięki za to, że jesteś na miejscu, kiedy cię potrzebuję, i za to, że się o mnie troszczysz.

Przynajmniej raz Glenda nie odpowiedziała dowcipem.

- Dobrze, że wróciłaś. Chciałabym, żebyś została na zawsze.

Na zawsze. Maggie myślała o tym, wracając przez narastający chłód sierpniowej nocy; zapach rozkopanej ziemi i dojrzewających jabłek przypominał, że jesień już blisko. Nigdzie na świecie jesień nie jest wspanialsza niż w Door County, a minęło już dwadzieścia lat, odkąd Maggie obser-

wowała tu, jak liście zmieniają barwę. Chciałaby raz jeszcze być tutaj jesienią. Ale na zawsze? Z Verą pod bokiem? Co to, to nie!

W domu oczekiwało ją jeszcze jedno polecenie matki. O lampkę na stoliku nocnym oparta była kartka: *Zgaś światło w łazience.*

Następnego dnia o jedenastej cztery dorosłe kobiety spotkały się w domu Brookie, aby się zamienić - razem z gospodynią - w piątkę rozchichotanych i ożywionych nastolatek.

Ścisnęły się. Podskakiwały. Płakały. Całowały się. Mówiły wszystkie naraz. Wykrzykiwały dawno zapomniane przezwiska. Sypały przekleństwami z zaskakującą łatwością po latach dbałości o język godny powszechnie szanowanej kobiety. Zachwyciły się Lisą (ciągle najpiękniejszą), współczuły Maggie (wdowie), droczyły się z Brookie (najpłodniejszą), z Carolyn (już babcią) i Tani (najbardziej siwą).

Porównywały rodzinne fotografie, mówiły o dzieciach i porodach; pierścionkach zaręczynowych, mężach i ich pracy zawodowej; podróżach, urządzeniu domów i zdrowiu; jadły sałatkę z kurczaka, piły wino i robiły się coraz weselsze; potem przeszły do długich historii rodzin - matek, ojców, sióstr i braci; plotkowały o dawnych koleżankach z klasy; odnawiały wspomnienia z czasów, gdy były nastolatkami. Wyciągnęły szkolny album Brookie i zaśmiewały się z samych siebie, ze swoich fryzur i przesadnego makijażu; krytykowały nauczycieli, których nie lubiły, i chwaliły tych, którzy w 1965 roku cieszyli się ich sympatią; usiłowały odśpiewać szkolny hymn, ale zapomniały słów (z wyjątkiem Brookie, która nadal chodziła na szkolne mecze). Wreszcie zgodziły się, aby Lisa, Brookie i Maggie odśpiewały „Trzy gołąbki pofrunęły w stronę morza”, choć nie było to zbyt zgrane trio.

Puszczaly potem podrapane płyty Beatlesów i odtńczyły taniec dzikusów. Spacerowały łąką w piątkę, trzymając się pod ręce i śpiewając nieprzyzwoite piosenki, których

nie pozwoliłyby śpiewać swoim dzieciom, piosenki, których chłopcy uczyli ich w szkole. Kiedy nadeszła pora kolacji, pojechały do miasta, do „The Cookery”, gdzie oczekiwał ich syn Brookie, Todd, który dostał największy napiwek w życiu. Przeszły następnie całą Main Street razem z ostatnimi turystami, aż dotarły na brzeg, gdzie usiadły na skałach i obserwowały, jak słońce zanurza się w wodzie.

- Dlaczego nie urządzałyśmy sobie takich spotkań wcześniej? - zapytała któraś.

- Musimy się umówić, że będziemy się spotykać co roku.

- Jasne, koniecznie!

- Dlaczego nagle wszystkie tak posmutniałyście? - zapytała Lisa.

- Bo to smutne mówić „do widzenia”. Tyle dziś miałyśmy radości.

- Ale to nie jest pożegnanie. Przecież wszystkie idziemy na ślub Gary'ego!

- Nie jesteśmy zaproszone.

- Ależ jesteście! Och, o mało nie zapomniałam. - Lisa otworzyła suwak swojej torby. - Gary i Deb przysłali to dla każdej z was. - Wyjęła koperty z zaproszeniami, wszystkie opatrzone nazwiskami, i wręczyła je po kolei koleżankom.

- Wybieramy się tam z Gene'em - oświadczyła Brookie przyjaciółkom. - To małe miasteczko... wszyscy będą.

- A Maggie nie wyjedzie przed niedzielą - poparła ją Lisa. - Wy dwie mieszkanie na tyle blisko, że możecie dojechać. Naprawdę, Gary i Deb chcą, żebyśmy wszystkie były. Kazał mi to powiedzieć. Przyjęcie będzie w jachtklubie w Bailey Harbor.

Popatrzyły po sobie, już zachęcone.

- Ja będę - oświadczyła Tani. - W jachtklubie mają świetne jedzenie.

- W takim razie ja też - zawtórowała jej Fish. - A ty, Maggie?

- Oczywiście że przyjadę, jeśli wszystkie będziecie!

-Wspaniale!

Wstały, otrzepały spódnice i ruszyły w stronę ulicy.

- A co robimy jutro, Maggie? - zapytała Brookie. - Popływamy? Wybierzemy się na zakupy? Może pojedziemy na Cana Island? Co ty na to?

- Mam wyrzuty sumienia, że cię znowu odrywam od rodziny.

- Wyrzuty sumienia! - wykrzyknęła Brookie. - Gdybyś miała taką rodzinę, nauczyłabyś się korzystać z każdej okazji, żeby tylko się wymknąć. Gene i ja robimy mnóstwo dla naszych dzieci, więc i one mogą zrobić coś dla mnie, dać mi od czasu do czasu wolny dzień!

Plan został omówiony i godzina ustalona, zanim rozstały się, życząc sobie dobrej nocy.

Następnego ranka Maggie usiadła w kuchni. Popijając herbatę, próbowała rozmawiać z matką w taki sposób, by nie dać się wyprowadzić z równowagi.

- Brookie ma wspaniałą rodzinę, jej dom bardzo mi się podobał.

- To wstyd, że tak się roztyła - powiedziała Vera. - A co do rodziny, to uważam, że mogłaby mieć mniejszą. Ostatnie dziecko urodziła chyba mając trzydzieści osiem lat!

Maggie stłumiła chęć sprzeciwu i powiedziała tylko na obronę przyjaciółki:

- Ale dobrze im razem idzie, starsze dzieci opiekują się młodszymi i wszystkie umieją dawać sobie radę. To wspaniała rodzina.

- A jednak kobieta tuż przed czterdziestką powinna być ostrożniejsza. Mogła urodzić nienormalne dziecko!

- Nawet po czterdziestce ciąża nie jest już taką rzadkością jak kiedyś, mamó. Brookie mówi, że chciała każdego z tych dzieci. Ostatnie nie było pomyłką.

Vera zacisnęła usta i podniosła jedną brew.

- A co u Carolyn? - zapytała.

- Carolyn wydaje się bardzo szczęśliwa jako żona farmera. Chcą uprawiać ginseng.

- Ginseng! A któż to jada?

Maggie ponownie musiała stłumić w sobie chęć ostrej repliki. Z wiekiem Vera stała się jeszcze bardziej kategoryczna w swoich sądach. O cokolwiek chodziło, jeśli Vera tego nie używała, nie posiadała, nie cenila, reszta świata nie miała racji. Kiedy doszło do pytań o Lisę, Maggie miała ochotę krzyknąć: „Po co pytasz, mamó, skoro nic cię to nie obchodzi?”

Ale odpowiedziała tylko:

- Lisa jest piękna jak zawsze, może nawet piękniejsza. Ma męża pilota, więc zwiedzili już cały świat. A pamiętasz jasnorude włosy Tani? To była najwspanialsza barwa dojrzalej moreli. Teraz są jak jesienny liść srebrnego klonu.

- Słyszałam, że jej mąż otworzył sklep z maszynami i stracił wszystko parę lat temu. Mówiła coś o tym?

„Milcz i wyjdź, zanim wybuchniesz” - pomyślała Maggie.

- Nie, mamó, nic nie wspominała.

- Założę się, że żadna z nich nie ma takich pieniędzy jak ty!

„Jak możesz tak żyć, mamó? Czy nie ma w tobie ani krzty dobroci?” Maggie wstała, aby umyć kubek.

- Umówiłam się z Brookie, więc nie szykuj dla mnie lunchu.

- Z Brookie... Ależ nie posiedziałaś jeszcze w domu nawet dwóch godzin!

Tym razem Maggie nie próbowała się tłumaczyć.

- Pojedziemy na zakupy, a potem zrobimy sobie piknik na Cana Island.

- A czegoż tam chcecie szukać, na Boga? Byłaś już na Cana Island sto razy!

- Nostalgia.

- To bez sensu. Ta stara latarnia morska zawali się któregoś dnia i wszyscy będziemy musieli płacić...

Maggie wyszła w środku przemówienia Very. Maggie prowadziła. Zabrała Brookie i razem pojechały do domu towarowego, gdzie Roy zrobił im olbrzymie ka-

napki z indykiem i serem, i z uśmiechem życzył dobrej zabawy.

Całe rano zaglądały do sklepów z antykami przy austro-stradzie numer 57 - odnowionych drewnianych chat, które ożywały w całym swoim uroku za białymi okiennicami i rzędami wysokich malw. Jeden z nich mieścił się nawet w dużej czerwonej stodole o szeroko rozwartych wrotach, przez które słońce padało na malowaną podłogę. Krokwie w środku obwieszane były pękami ziół i suszonych kwiatów, z przygórka zwisały ręcznie robione kołdry, pełno było świec z nie obcinanymi knotami. Obejrzały dzbany i misy, żelazne zabawki, antyczne koronki, sanki z drewnianymi płozami, różne graty, bujane fotele, wazy i szafy. Brookie znalazła śliczny niebieski koszyczek z zasuszonymi bławatkami i ogromną różową kokardą na rączce.

- Och, cudowny! - Zawiesiła go sobie na palcu.

- To kup - powiedziała Maggie.

- Nie stać mnie.

- Mnie stać. - Maggie wzięła koszyczek od Brookie. Brookie odebrała go jej i odstawiła ostrożnie na miejsce.

- Och, nie!

Maggie ponownie sięgnęła po koszyczek.

- Właśnie że tak! -Nie, nie.

-Brookie! - skarciła ją Maggie, kiedy wyrywały sobie koszyczek. - Mam mnóstwo pieniędzy i nikogo, na kogo mogłabym je wydać. Proszę... pozwól mi.

Ich przyjazne spojrzenia spotkały się, a w górze rozległ się łagodny dźwięk kominkowego zegara.

- Dobrze. Dziękuję.

Godzinę później skalną mielizną doszły do wyspy Cana Island, odwiedziły latarnię morską, przespacerowały się brzegiem, wykapały i zjadły piknikowe kanapki, spoglądając na jezioro Michigan.

Maggie opadła na koc. Oczy miała osłonięte okularami przeciwsłonecznymi.

- Hej, Brookie - odezwała się.

- Mhm?

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Jasne.

Maggie zsunęła trochę okulary i zerknęła przez nie na chmurę, wystawiając w górę łokcie.

- Jo prawda, co powiedziałam w sklepie. Jestem cholernie bogata i w ogóle mnie to nie cieszy.

- Nie miałabym nic przeciwko spróbowaniu, jak to smakuje.

- Chodzi o pochodzenie tych pieniędzy, Brookie. - Zdecydowanym gestem umieściła okulary na nosie. - Dostałam ponad milion dolarów za życie Phillipa, ale oddałabym wszystko do ostatniego centa, byle mieć go z powrotem. To dziwne uczucie... - Maggie zwróciła się w stronę Brookie i oparła podbródek na rękę. - Od chwili gdy oficjalnie ustalono przyczynę wypadku - błąd pilota, niedopatrzenie mechaników, którzy pozostawili otwartą jakąś klapę - wiedziałam, że nie będę się już nigdy musiała troszczyć o pieniądze. Nie uwierzyłabyś, co takie ubezpieczenie obejmuje. - Zaczęła liczyć, kolejno zaginając palce: - Odszkodowanie dla dzieci, renta i opłata nauki w college'u, odszkodowanie za cierpienia ocalonych, a nawet za cierpienia ofiar, w czasie gdy samolot spadał na ziemię. Mnie za to zapłacono, Brookie... mnie! - Uderzyła się w rozpacz w pierś. - Czy wyobrażasz sobie, jak się czułam, biorąc pieniądze za cierpienia Phillipa?

Brookie zapytała:

- Czy wolałabyś nic nie dostać?

Maggie przygryzła wargi, wpatrując się z namysłem w Brookie. Odchyliła się" do tyłu i położyła dłoń na czole.

- Nie wiem. Nie. Byłoby głupotą powiedzieć, że tak. Ale czy nie rozumiesz? Wszystko zostało opłacone - dom w Seattle, szkoła Katy, nowe samochody dla niej i dla mnie.

A ja mam już dosyć uczenia dorosłych ludzi, jak wyrabiać ciasto na paszteciki, skoro oni i tak kupują je gotowe. Mam dosyć hałaśliwych przedszkolaków, dosyć opowiadania, jak wychowywać dzieci, skoro statystyki wykazują, że co trzecia para, która bierze dziś ślub, postanawia nie mieć dzieci, a w ogóle prawie zawsze małżeństwo kończy się rozwodem. Mam całą tę forszę, a zarazem nikogo, z kim mogłabym ją wydawać, nie potrafię się jeszcze umawiać z mężczyznami, i nawet jeśli do tego dojdzie, każdy, który mnie zaprosi, będzie podejrzany, bo będę się obawiała, że chodzi mu o moje pieniądze. O Boże, sama właściwie nie wiem, co ci usiłuję powiedzieć!

- Ja wiem. Potrzebujesz motywacji. Potrzebujesz zmiany.

- Wszyscy mi to powtarzają.

- Jacy wszyscy?

- Mój psychiatra. Eryk Severson.

- Jeżeli wszyscy tak mówią, to musi być prawda. Po prostu trzeba się na coś zdecydować. - Brookie popatrzyła w zamyśleniu na wodę.

Maggie przymknęła oczy i mruknęła:

- Och, to byłoby świetnie.

-Czekaj... musimy pomyśleć, w czym byłabyś dobra. Chwileczkę... chwileczkę... już mi świta... -

Brookie uderzyła dłonią w kolano. - Mam! Dom starego Hardmga w Cottage Row! Mówiliśmy o tym w zeszłym tygodniu przy kolacji. Czy wiesz, że stary Harding zmarł na wiosnę i dom stoi od tej pory pusty? Nadawałby się doskonale na pensjonat typu nocleg ze śniadaniem. Czekają tylko na...

- Zwariowałaś? Nie mam zamiaru prowadzić pensjonatu!

- ...kogoś, kto by doprowadził wszystko do porządku.

- Nie chcę być uwiązana!

- Latem. Byłabyś uwiązana tylko latem. Zimą mogłabyś zabrać swoją górę pieniędzy na Wyspy Bahama i szukać mężczyzny bogatszego od siebie. Powiedziałaś, że jesteś sa-

motna. Powiedziałaś, że nienawidzisz swojego pustego domu. Więc kup taki, w którym miałabyś pełno ludzi.

- Absolutnie nie!

- Zawsze kochałaś Cottage Row, a dom starego Hardinga ma z pewnością mnóstwo uroków, które emanują z każdej szpary w podłodze.

- Razem z przeciągami, myszami i termitami.

- Kochasz przyrodę. Do diabła, na czym właściwie polega ekonomika gospodarstwa domowego? Na ekonomicznym prowadzeniu domu - gotowaniu, sprzątaniu, urządzaniu - założę się, że prowadziłaś trochę zajęć tego rodzaju dla swoich punków z łbami w brylantynie, prawda?

- Brookie, nie chcę...

- I uwielbiasz antyki. Wpadniesz w euforię, urządzając prawdziwymi antykami cały dom! Pojedziemy do Chicago na pchli targ i aukcje. Do Green Bay, gdzie handlują starociami. Przetrzęsniemy w Door wszystkie butik i sklepy z antykami. Przy swojej forsie możesz umeblować ten dom jak pałac Biltmore i... - Nie zgadzam się mieszkać w odległości mniejszej niż tysiąc mil od mojej matki! Do licha, Brookie, to nie byłby nawet telefon zamiejscowy!

- Racja, zapomniałam. Twoja matka istotnie stanowi problem... - Brookie zmartwiona zacisnęła usta. Nagle rozjaśniła się. - Ale damy sobie z tym radę! Zajmij ją sprzątaniem, szorowaniem, czymś takim. Nic nie czyni Very szczęśliwszą niż ścierka do kurzu w ręce.

- Żartujesz sobie? Nie wpuściłabym tam matki pod żadnym pozorem.

- Dobra, wobec tego Katy może sprzątać. - Twarz Brookie jeszcze bardziej się ożywiła. - Oczywiście, świetny pomysł! Katy będzie na lato przyjeżdżać z college'u do domu, żeby ci pomagać. A skoro będziesz mieszkała tak blisko, może przyjeżdżać na weekendy i święta, czego bardzo byś chciała, prawda?

- Brookie, nie bądź niemądra. Kobieta bez mężczyzny

musiałaby mieć złe w głowie, żeby brać sobie na kark taki stary dom!

- Do diabła z mężczyznami. Możesz płacić mężczyznom. Pomocnikom, ogrodnikom, stolarzom, nawet nastolatkom, którzy szukają zajęcia na lato. Całą brudną robotę zostawisz wynajętym osobom, a sama zajmiesz się interesem. Wszystko idealnie układa się w czasie. Kupujesz teraz, przez zimę doprowadzasz dom do porządku i masz czas na reklamę, tak żeby otwarcia dokonać w przyszłym sezonie turystycznym.

- Nie chcę prowadzić pensjonatu.

- Jakie położenie, tuż nad zatoką! Jestem przekonana, że z każdego pokoju jest widok na wodę. Klienci będą się tłoczyli, byleby tylko móc się zatrzymać w takim miejscu.

- Nie chcę, żeby tłoczyli się klienci.

-1 jeśli się nie mylę, jest tam nad garażem mieszkanie dla ogrodnika, pamiętasz? Bliżej wzgórza, koło drogi. Och, Maggie, to byłoby wspaniałe!

- Będzie wspaniałe, ale dla kogoś innego. Zapominasz, że uczę ekonomiki gospodarstwa domowego w Seattle i wracam do pracy w najbliższy poniedziałek.

- Ach tak, Seattle. Tam gdzie całą zimę pada, gdzie mężowie twoich najlepszych przyjaciółek podrywają cię w klubie i gdzie wpadasz w taką depresję, że musisz chodzić na terapię grupową.

- Robisz się beznadziejna!

- A ty nie? Jacy przyjaciele przyszedli ci z pomocą, kiedy jej potrzebowałeś? Tu masz przyjaciół. Tutaj są twoje korzenie, chcesz czy nie chcesz. Cóż takiego ważnego trzyma cię w Seattle?

Nic. Maggie przygryzła wargi, żeby nie odpowiedzieć.

- Dlaczego jesteś taka uparta? Wracasz do pracy, która cię nudzi, do pustego domu, wracasz do... cholera, nie wiem, do czego wracasz. Twój psychiatra twierdzi, że potrzebujesz zmiany, pytanie tylko, jakiej zmiany? Ale jak masz się o tym przekonać, jeżeli nie zaczniesz się za mną

rozglądać? Może faktycznie nie jest to prowadzenie pensjonatu typu nocleg ze śniadaniem, ale co szkodzi sprawdzić? A jeżeli wrócisz do Seattle, kogo tam masz, żeby cię pobudził, zmusił do szukania? Po co tu siedzieć? Zbieraj rzeczy, jedziemy obejrzeć dom Hardinga!

- Brookie!

Brookie już stała, składając ręcznik.

- Zbieraj się, mówię. A co innego mamy do roboty dziś po południu? Możesz tu zostać, jeśli chcesz, ale wobec tego pojedę obejrzeć dom Hardinga sama.

- Brookie, poczekaj!

Brookie jednak była już o dziesięć jardów dalej. Z ręcznikiem pod pachą i pustą białą torbą w drugiej ręce zmierzała w stronę lądu. Kiedy Maggie kucnęła, spoglądając za nią ze złością, Brookie krzyknęła przez ramię:

-Założę się, że ten dom ma sto lat albo i więcej, jest dość stary, żeby figurować w narodowym rejestrze zabytków! Pomyśl tylko, możesz znaleźć się na liście!

-Mówię ci po raz ostatni, że nie chcę być na takiej liście... - Maggie uderzyła się pięściami w uda. - Do cholery, Brookie! - zaklęła i podniosła się, żeby ruszyć za przyjaciółką.

W biurze nieruchomości spojrzała na nie znad koperty, którą właśnie zaklejała, Althea Munne.

- Za chwilę służę, miłe panie. Och, cześć, Glendo!

- Witam, pani Munne. Chyba pamięta pani Maggie Pearson?

- Oczywiście. - Althea wstała i podeszła bliżej, uważnie przypatrując się Maggie przez okulary, których oprawka posiadała więcej załamań niż dachy Watykanu. Soczewki zabarwione były czerwono i miały wypolerowane brzegi, a na lewej widniała mała złota litera „A”, tuż nad policzkiem Althei. Okulary dobrane zostały do kompletu, który robił wrażenie klejnotów koronnych, a cała Althea błyszczała rześniła niczym lustrzana sala balowa. Ciężkie okulary tkwiły na małym, swoim nosie nad ustami niedorzecznie

powiększonymi szminką Pepto-Bismol, która była w dodatku rozmazana. Dawna nauczycielka oświadczyła po krótkiej chwili:

- Rocznik 64. Grupa honorowa, chór szkolny, zespół klakierok.
- Wszystko się zgadza poza jednym. To był rocznik 65. Zadzwoił telefon, i kiedy Althea przeprosiła na chwilę,

Maggie spojrziała na Brookie, która przesłała jej szybki uśmiech i szepnęła:

- Ciekawe, czy znajdziesz lepszego pośrednika w Seattle!

Pani Munne zaraz wróciła i zapytała:

- Czym mogę wam służyć?
- Czy ma pani wycenę domu Hardinga? - zapytała Brookie.
- Dom Hardinga... - Althea przesunęła końcem języka po górnej wardze. - Tak. Która z was chce go obejrzeć?
- Ona. -Ona.

Maggie wskazała na Brookie, a Brookie na Maggie. Althea zacisnęła usta. Czekala, jak przystało na dawną nauczycielkę, przyzwyczajoną do czekania, aż klasa się uciszy.

Maggie westchnęła i skłamała:

- JEI chcę*
- Dom został wyceniony na dziewięćdziesiąt sześć dziewięćset. Ma półtora akra ogrodu i sto pięćdziesiąt stóp nabrzeża. - Althea odwróciła się po akta, a Maggie posłała Brookie miazdzące spojrzenie.
- Czy to się mieści w twoich możliwościach finansowych? - zapytała Althea z aktami w rękę.
- Ach... - Maggie drgnęła. - Tak... to się mieści w moich możliwościach.
- Dom jest wolny. Wymaga jedynie niewielkiego remontu. Czy chciałabyś pojechać i go obejrzeć?
- Ach... - Maggie zawahała się i zaraz otrzymała dys-

kretnego szturchańca w kolano od Brookie. - Tak, ja... oczywiście.

Althea prowadziła samochód i w czasie jazdy opowiedziała w skrócie historię domu.

Zbudowany został w 1901 roku przez magnata okrętowego z Chicago nazwiskiem Throckmorton dla żony, która jednak zmarła przed zakończeniem budowy. Niepocieszony Throckmorton sprzedał go niejakiem Thaddeusowi Hardin-gowi, którego potomkowie zamieszkiwali dom aż do śmierci wnuka Thaddeus.a, Williama, wiosną tego roku. Spadkobiercy Williama rozproszeni byli w odległych częściach kraju i nie wykazywali chęci utrzymywania tego zabytku. Chcieli tylko należnych im pieniędzy ze sprzedaży.

Na tylnym siedzeniu Maggie tkwiła w zaciętym milczeniu obok Brookie, kiedy jechały przez zachodnią część Main Street, a następnie na południe do Cottage Row malowniczą drogą, pnącą się po stromym wapiennym zboczu, przez gęsty las cedrów między starymi posiadłościami, które na początku wieku należały do bogaczy z Chicago przyjeżdżających nad jezioro Michigan latem, aby odpoczywać w chłodnym powiewie bryzy z półwyspu Door. Pośród drzew dostrzec można było bogate domy - każdy inny - za kamiennymi ogrodzeniami. Niektóre stały poniżej poziomu drogi; ich garaże wpierały się w kamienny klif po lewej stronie. Inne wznosiły się nad trawnikami, na których ułożono białe kamyki. Wiele domów otaczał szpaler gęstego żywopłotu. Czasem przeświecała błękitna woda Green Bay, có pozwalało domyślać się panoramicznego widoku z okien domów. Pierwsze wrażenie Maggie zawdzięczała nie samemu domowi Hardinga, lecz opuszczonemu kortowi tenisowemu rozpościerającemu się u stóp klifu obok drogi. Mech rósł między kamieniami tworzącymi chodnik, niektóre były pęknięte lub wyrwane. Powierzchnię kortu zalegały kawałki ułamanych gałęzi, zwiędłe liście, szyszki, a także aluminiowe puszki wyrzucane przez turystów z samochodów.

Ale obrośnięte dzikim winem stanowisko sędziego na południowym krańcu kortu mówiło o dniach, kiedy uderzenia piłek tenisowych odbijały się echem od ściany klifu, a gracze odpoczywali na wypaczonych teraz drewnianych ławkach. Winorośl urosła tak ciężka, że załamała się pod nią drewniana konstrukcja, ale pamięć lepszych dni pozostała. Po drugiej stronie, naprzeciwko kortu, był garaż z mieszkaniem na piętrze, zbudowany później, ale też już zabytkowy, z ciężkimi drewnianymi drzwiami na zawiasach.

Maggie uświadomiła sobie, że wpatruje się w obrośniętą winoroślą stanowisko sędziego, kiedy przechodziła za Altheą przez wyrwę w gęstym żywopłocie odgradzającym podwórze i dom od drogi.

-Najpierw rozejrzemy się trochę, nim wejdziemy do środka - zarządziła Althea.

Dom był willą w stylu Queen Anne, zapuszczoną i poszarzałą; od strony ogrodu zdawał się oferować niewiele poza małą werandą z przegniłym dachem, połamaną barierką i mnóstwem drewnianych słupków domagających się pomalowania. Kiedy jednak Maggie poszła dalej za Altheą i spojrzała w górę, zobaczyła uroczą płataninę asymetrycznych występów pokrytych zaokrąglonymi gontami, małe ganeczki wystające na wszystkich poziomach, z gzymsami na podpórkach, wycinanymi poręczami i skrzynkami na kwiaty oraz doniczkami zwisającymi spod daszków. Ujrzała przestronną frontową werandę wychodzącą na jezioro, a na pierwszym piętrze, na południowo-zachodnim rogu domu, werandę najdziwaczniejszą ze wszystkich, okrągłą, z drewnianymi kolumnami podtrzymującymi dach w kształcie spiczastego kapelusza czarownicy.

- Och, Brookie, popatrz! - wykrzyknęła, wskazując na to urocze dziwactwo.

- Belweder - wyjaśniła Althea. - Łączy się z największą sypialnią. Wejdziemy do środka i obejrzymy? Althea wiedziała, co robi. Poprowadziła je głównym wejściem, przez szeroką werandę frontową, której podłoga by-

Ia w o wiele lepszym stanie niż gdzie indziej, przez rzeźbione dębowe drzwi z witrażowym szkłem w ołowianej oprawie i odpowiednio dostosowanymi bocznymi światłami; dalej przez przestronny hall ze schodami, które wywołały westchnienie zachwytu Maggie. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że rozdzielają się na dwa podesty okalające otwartą przestrzeń górnego hallu.

Serce jej zaczęło mocno bić, chociaż poczuła zapach pleśni.

- Do budowy domu użyto drewna klonowego. Podobno pan Throckmorton sprowadzał je do obróbki w Sturgeon Bay.

Z lewej strony Brookie zawołała:

- Maggie, popatrz na to!

Miała na myśli harmonijkowe drzwi, których rozsuniecie odsłoniło kurz, pajęczyny i spowodowało głośny skrzyp rozeschniętego drewna.

Althea szybko wyjaśniła:

- Pan Harding żył tu samotnie przez niemal dwadzieścia lat po śmierci żony i obawiam się, że nie dbał o dom. Wiele pokoi było po prostu zamkniętych. Ale pod warstwą brudu widać, że wszystko jest znakomitej jakości.

Na piętrze mieścił się oficjalny salon z małym kamiennym kominkiem.

Był także niewielki pokój muzyczny. Po drugiej stronie hallu mieściła się jadalnia połączona przez pomieszczenie kredensowe z kuchnią na tyłach. Naprzeciw kredensu znajdował się pokój dla służby. Kiedy Althea otworzyła drzwi, wiewiórka przemknęła między stosami starych gazet, po których widać było, że mokły i schły wielokrotnie w ciągu długich lat.

- Trzeba tu będzie trochę posprzątać - zauważyła tym razem niezbyt mądrze Althea i skierowała się do kuchni.

Pomieszczenie wyglądało okropnie z płatami żółtozielonej farby odpadającej od ściany w jednym kącie, co świadczyło o fatalnym stanie hydrauliki. Zlew był bardziej zardzewiały niż tankowiec wydobyty z morza, a szafki

liczące chyba z pięć stóp długości - zrobiono ze żłobionych listew pomalowanych na kolor równie koszmary jak ściany. Dwa długie wąskie okna zawieszono były wystrzępionymi firankami z koronek, które nabrały barwy zębów starego konia. Między oknami tkwiły pogruchotane drzwi bez szyby, prowadzące na małą przegniłą werandę, którą zauważyły już z zewnątrz.

Kuchnia przywróciła Maggie trzeźwość.

- Pani Munne, obawiam się, że traci pani czas. To nie jest to, o czym myślałam.

Ale Althea nie dała się powstrzymać.

- Trzeba sobie wyobrazić, jak to może wyglądać, a nie sugerować się stanem obecnym. Przykro mi z powodu kuchni, ale skoro już tu jesteśmy, możemy zajrzeć na górę.

- Nie uważam...

- Ależ tak. - Brookie pociągnęła Maggie za ramię, zmuszając ją do posłuszeństwa. Kiedy wchodziły po schodach za panią Munne, Maggie uszczypnęła Brookie i wysyczała przez zaciśnięte zęby:

- To ruina i śmierdzi jak gówno nietoperza.

- Skąd wiesz, jak śmierdzi gówno nietoperza?

- Pamiętam ze strychu mojej ciotki Lii.

- Jest tutaj pięć sypialni - oznajmiła pani Munne. - Pan Harding trzymał je wszystkie zamknięte, z wyjątkiem jednej.

Ta otwarta okazała się pokojem z krużgankiem i gdy Maggie do niej weszła, odniosła oszałamiające wrażenie zagubienia. Ani tapeta z plamami wilgoci, ani zalatujący stęchlizną dywan, ani obrzydliwa kolekcja nadgryzionych Uprzeź myszy starych mebli nie były w stanie tego wrażenia osłabić. Pokój był wspaniały. Decydował o tym widok na jezioro za wysokimi, wspartymi o niskie parapety oknami i cudownymi kolumnami krużganku. Jak gdyby pod działaniem czarnej Maggie otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Przycisnęła kolana do drewnianej balustrady, spoglądając na zachód, gdzie słońce przemieniło powierzchnię Green

Bay w jarzący się klejnot. W dole rozciągała się zaniedbana łąka i przekrzywiony na jedną stronę gnijący pomost z drewna, w połowie zanurzony w wodzie, w połowie wystający. Ale rosły tam klony, rozłożyste i stare. Krużganek był solidny, lecz zarazem pełen wyrazu i wdzięku - miejsce, skąd kobiety wypatrywały kiedyś żaglowców, którymi ich mężowie powracali do domu.

Maggie znów doznała dotkliwego uczucia straty męża, który nigdy nie będzie szedł tym długim trawnikiem, nigdy nie stanie przy niej w tym pokoju i nigdy nie zbiegnie po imponujących schodach. Ale wiedziała z całą pewnością, że choć pożałuje tego mnóstwo razy, popełni jednak szaleństwo, do którego zachęca ją Brookie: zamieszka w domu Hardinga.

- Proszę mi pokazać pozostałe sypialnie - powiedziała, wróciwszy do pokoju.

Nie były gorsze, każda z czterech sypialni miała swoje uroki, ale wszystko bladło wobec pokoju z krużgankiem. Po powrocie z poddasza (które potwierdziło przypuszczenia Maggie, że będzie mieszkała w towarzystwie setki nietoperzy), jeszcze raz zatrzymała się w cudownym pokoju.

„Przyszłam do swego domu” - pomyślała niedorzecznie i zadrżała.

Schodząc za Altheą na dół powiedziała:

- Urządzą tu pensjonat, noclegi ze śniadaniem. Czy mogą być z tym jakieś kłopoty?

Brookie chwyciła ją od tyłu i pociągnęła w swoją stronę. Oczy jej błyszczały, aż usta otworzyła w wyrazie zaskoczenia.

- Poważnie? - szepnęła.

Maggie przycisnęła dłoń do brzucha i odszepnęła:

- Cała się trzęsę w środku.

- Pensjonat, hmm... - zastanawiała się Althea. - Nie jestem pewna. Muszę to sprawdzić.

- Chciałabym też, aby dom obejrzał architekt i upewnił się, że konstrukcja jest solidna. Czy są tu piwnice?

- Coś w tym rodzaju. Ale ponieważ dom zbudowano na skale, piwnica jest niewielka. Mogła to być siedziba hiszpańskiej inkwizycji, tak wydawała się wilgotna i ciemna. Ale w piwnicy znajdował się piec i Althea stwierdziła, że jest w dobrym stanie. Ponowne sprawdzenie ściany w kuchni i pomieszczeń dla służby wykazało, że rury ciekną. Prawdopodobnie urządzenia łazienkowe na górze mogły w każdej chwili przelecieć przez sufit. Ale gdy Maggie przebiegały nerwowe dreszcze, Brookie zawołała z frontowego salonu:

-Maggie, chodź tutaj! Musisz to zobaczyć! - Odwinęła nadgryzioną przez mole wykładzinę i na czworakach tarła podłogę wilgotnym kleenexem. Splunęła, potarła znowu i wykrzyknęła:

- Tak! To jest parkiet!

Barometr emocji Maggie znowu podskoczył.

Razem, na kolanach, ubrane tylko w stroje plażowe i wdzianka, odkryły to, o czym Althea nie wiedziała: salon wyłożony był szerokimi na cal klepkami parkietowymi z drewna klonowego, ułożonymi we wzór ptasiego gniazda. Na samym środku pokoju odkryły najmniejszą klepkę: idealny kwadrat. Stąd klepki rozchodziły się teleskopowo, coraz dłuższe i dłuższe, aż po ściany, ginąc pod wysoką, delikatnie rzeźbioną listwą, pokrytą warstwą kurzu i brudu nagromadzonego przez całe lata.

- Nie do wiary. Wyobraź sobie to wszystko wycyklinowane i pokryte lakierem - powiedziała Brookie.

- Będzie błyszczało jak nowiutkie skrzypce.

Maggie nie trzeba już było przekonywać. Weszła jeszcze raz na górę, aby spojrzeć na pokój z krużgankiem i powiedzieć mu na krótko do widzenia.

W godzinę po tym, jak wkroczyły do biura sprzedaży nieruchomości, Maggie i Brookie siedziały znowu w wynajętej toyocie, spoglądając na siebie i z trudem powstrzymując okrzyki podniecenia.

- Co ja robię, na litość boską! - powiedziała Maggie.

- Leczysz się ze swojej depresji.

- Boże, Brookie, przecież to szaleństwo!

- Wiem! Ale czuję się taka podniecona, że o mało nie zrobię siusiu w majtki!

Zaśmiewały się, pokrzykując i tupiąc.

- Co to dziś za dzień? - zapytała Maggie, zbyt oszołomiona wrażeniami, żeby pamiętać takie drobiazgi. - Czwartek.

- Daje mi to dwa dni na bieganie, gdzie trzeba, i załatwianie spraw, a właściwie półtora dnia, jeżeli chcę być na ślubie. Do diabła, nie powinnam tego Lisie obiecywać. Wiesz może, gdzie mam się dowiedzieć o pozwolenie na prowadzenie pensjonatu?

- Musimy spróbować w ratuszu.

- Czy w tym mieście są jacyś architekci albo inżynierowie budowlani?

- Architekt jest w Sister Bay.

- A adwokat?

- Carlstrom i Nevis, od wieków. Na Boga, mówisz poważnie, Maggie. Zupełnie serio!

Maggie przycisnęła rękę do mocno bijącego serca.

- Czy wiesz, jak dawno nic takiego nie czułam? Uchodzi ze mnie całe powietrze!

Brookie roześmiała się. Maggie ujęła kierownicę, odrzuciła głowę do tyłu i wcisnęła się głębiej w oparcie fotela. - Och, Brookie, to takie cudowne! Brookie ponieważ przestrzegła:

-Ale to będzie kosztowało majątek, urządzić taką ruinę.

- Jestem milionerką. Stać mnie na to.

-1 możesz mieć trudności z zezwoleniem na prowadzenie pensjonatu w tamtej strefie zabudowy.

- Mogę próbować. Prowadzenie pensjonatów typu nocleg ze śniadaniem dozwolone jest na wszystkich obszarach rezydencjalnych w całej Ameryce. Jakoś to się załatwi!

- Będziesz miała ten sam kod pocztowy co twoja matka.

- Och - jęknęła Maggie. - Nie przypominaj mi!

- Co robimy najpierw?

Maggie włączyła silnik, uśmiechnęła się i poczuła, jak wraca jej radość życia.

- Jedziemy powiedzieć ojcu!

Roy rozpromienił się i obiecał bez namysłu:

- Pomogę ci we wszystkim, jeśli tylko potrafię. Vera jęknęła i oświadczyła:

- Jesteś szalona, dziewczyno. Maggie ucieszyła reakcją ojca.

Jeszcze tego samego dnia wybrała się do ratusza i sprawdziła, że Cottage Row jest, jak należało się spodziewać, strefą rezydencjalną i że wobec tego trzeba złożyć prośbę o zmianę tej kwalifikacji, ale urzędnik powiedział, że te sprawy reguluje hrabstwo, nie miasto. Następnie Maggie skontaktowała się z Burtem Nevisem, aby załatwić dokumenty i pieniądze na zadatek. Rozmawiała z architektem z Sister Bay, Eamesem Gillardem, który powiedział, że przez najbliższe dwa tygodnie będzie zajęty, ale skierował ją do inżyniera budowlanego ze Sturgeon Bay, nazwiskiem Thomas Chopp. Chopp oświadczył, że obejrzy dom i wyda opinię na temat jego stanu, ale żadnej gwarancji na piśmie nie da, nie zna też nikogo, kto takiej gwarancji mógłby udzielić, skoro dom liczy dziewięćdziesiąt lat. W końcu Maggie zadzwoniła do Althei Munne i zakomunikowała:

- Będę miała pieniądze na zadatek oraz wstępną umowę zakupu jutro o piątej po południu.

Po kolacji Roy sporządził ogólną listę spraw do załatwienia: ogrzewanie, hydraulika, przewody, zabezpieczenie przeciwko termitom, pomiary otoczenia, sprawdzenie wody, jeśli jest tam studnia, a powinna być, jak powiedział, ponieważ w Fish Creek nie ma wody komunalnej. Przygotował także listę konsultantów, którzy mogliby pomóc i służyć radą.

Przez cały ten czas Vera narzekała:

- Nie rozumiem, dlaczego nie zbudujesz ładnego domu

nad brzegiem albo nie wprowadzisz się do jednego z nowych bloków. Wyrastają na każdym kroku, miałybyś w ten sposób sąsiadów i nie musiałabyś się troszczyć o cieknące rury czy termyty.

Przyjmować klientów - na litość boską, Maggie - to nie dla ciebie! Nie mówiąc o tym, że kobieta samotna nie powinna otwierać drzwi przed obcymi. Kto wie, jakie typy mogą się tam pojawić?

Pozwolić im spać pod swoim dachem! Dreszcze mnie przechodzą, kiedy to sobie wyobrażę!

Ku zdumieniu Maggie Roy podniósł głowę i zapytał ostro:

- Czy nie mogłabyś znaleźć sobie czegoś do roboty, Vero?

Vera otworzyła usta, aby wybuchnąć, ale zamknęła je i wybiegła z pokoju, czerwona ze złości.

Następny dzień i jeszcze pół następnego to był szaleńczy kołowrót telefonów, sprawdzania rachunków, zasięgania informacji u ewentualnych wykonawców, porównywania cen nieruchomości, spotkań z adwokatami, kontaktów z izbą handlową, Altheą Munne, władzami okręgu i stanu... i tak w kółko, w kółko, aby zapoznać się z przepisami dotyczącymi prowadzenia pensjonatów w stanie Wisconsin. Po co najmniej dziewięciokrotnym skierowaniu jej w niewłaściwe miejsca, Maggie trafiła wreszcie do osoby, której podlegała sprawa pensjonatów z niepełnym utrzymaniem: do stanowego inspektora mlecznego.

Stanowy inspektor mleczny, do licha!

Po uzyskaniu od niego obietnicy, że wyśle ekspresem orzeczenie na jej adres w Seattle, Maggie pognęła po umowę kupna sporządzoną przez adwokata, następnie do biura Althei Munne, gdzie wpłaciła zaliczkę, nie przejmując się okolicznością, że ciągle nie ma pozwolenia na noclegi ze śniadaniem. Kiedy wymieniała uścisk dłoni z Altheą, spojrzała na zegarek i wydała z siebie zduszony jęk.

Zostało jej pięćdziesiąt minut, aby wrócić do domu, wykąpać się, przebrać i zdążyć do kościoła na ślub Gary'ego Eidelbacha.

Rozdział 5

brudno byłoby sobie wyobrazić lepszy dzień na ślub. Temperatura nie była za wysoka, niebo czyste, a frontowe schody kościoła w Fish Creek, gdzie po ceremonii zgromadziło się weselne towarzystwo, zacienione.

Eryk Severson znał wszystkich stojących w szpalerze i większość pozostałych gości. Matka i Nancy szły przed nim, natomiast z tyłu postępowali Barbara i Mike oraz tłumek przedsiębiorców, sąsiadów i innych dobrych znajomych. Uścisnął ręce rodziców pana młodego i dokonał prezentacji:

- Kochanie, to matka i ojciec Gary'ego. Carl, Mary - moja żona Nancy.

Przy wymianie uprzejmości dostrzegł podziw, z jakim ludzie patrzyli na jego żonę, i czuł się dumny, jak zawsze, kiedy miał ją obok siebie. Gdziekolwiek ją zabierał, zwracała uwagę. Kobiety, dzieci, mężczyźni starzy i młodzi: wszyscy reagowali podziwem. Podczas uroczystości ślubnej nawet panna młoda nie ściągała tyłu zachwyconych spojrzeń.

Eryk przeszedł wzdłuż szpaleru i ucałował policzek panny młodej.

- Wyglądasz cudownie, Deborah. Myślisz, że zdołasz utrzymać tego grubasa w formie? - zażartował, posyłając uśmiech panu młodemu, który był o dziesięć lat starszy od kobiety w bieli u swego boku.

Teraz ze śmiechem przyciągnął do siebie żonę i odpowiedział:

- Bez najmniejszych trudności!

Eryk potrząsnął jego ręką.

- Gratulacje, chłopie, zasługujesz na to!

Wszyscy w mieście wiedzieli, że pierwsza żona zostawiła Gary'ego z dwojgiem dzieci przed pięciu laty, kiedy to uciekła z operatorem filmowym z Los Angeles, który przyjechał do Door County na zdjęcia. Dzieci stały teraz przy ojcu, odświętnie ubrane.

- Sheilo - powiedział Eryk, ujmując za ręce trzynastoletnią dziewczynkę. - Nie wiesz, że to nieładnie być piękniejszą od panny młodej? - Pocałował ją w policzek, wywołując rumieniec w kolorze jej pierwszej długiej do kostek sukienki.

Odpowiedziała nieśmiało, odsłaniając aparat na zębach:

- Twoja żona jest piękniejsza od wszystkich panien młodych na świecie!

Eryk uśmiechnął się i delikatnie pogładził twarz dziewczynki.

- Dziękuję, Sheilo, ja też tak myślę.

Następny był jedenastoletni Brett. Eryk ujął w palce jedwabną klapę jego smokingu i gwizdnął przez zęby.

- Popatrzcie tylko! Michael Jackson wysiada!

- Wolałbym zwyczajny dres - odezwał się mrukliwie Brett, sięgając ręką pod smoking, żeby poprawić jedwabny pas. - Wszystko się ze mnie ciągle zsuwa!

Roześmiali się, po czym Eryk ze swym towarzystwem przeszli na koniec kolejki. Na widok dawno nie widzianej twarzy rozjaśnił się:

- A niech mnie, Lisa!... Cześć!

- Eryk!

Zamknął w uścisku ładną ciemnowłosą kobietę, po czym odwrócił się, żeby przedstawić ją żonie.

- Nancy, to siostra Gary'ego, Lisa. Królowa naszej klasy, rocznik 65. Zresztą sama widzisz.

Przyjaźniliśmy się, kiedy Gary był małym punkiem, który domagał się od chłopaków, żeby ciągle rzucali mu liny z łodzi. Liso, to moja żona, Nancy.

Obie kobiety wymieniły pozdrowienia, a Eryk powiedział:

- Naprawdę, Liso, wyglądasz wspaniale. - Kolejka przesunęła się, ruszył więc do przodu rzucając: - Porozmawiamy potem, dobrze?
- Koniecznie. Och, Eryku... - Lisa chwyciła go za ramię.
- Widziałeś już Maggie?
- Maggie? - Nagle poczuł się spięty.
- Jest gdzieś tutaj.

Eryk przesunął wzrokiem po gościach zgromadzonych w przejściu.

- Tam... - wskazała Lisa. - Z Brookie i Gene'em. Stoi z nimi także mój mąż, Lyle.
- Dzięki, Liso, przywitam się z nimi. - Zwrócił się do Nancy: - Pozwolisz mi, kochanie? Wolałaby nie, ale nie powiedziała tego. Dotknął pieszczotliwie jej ramienia i zostawił ją obok matki.
- Przepraszam, złotko, zaraz wrócę.

Patrząc, jak odchodzi, Nancy poczuła wewnętrzny skurcz, ponieważ zdała sobie sprawę, że Eryk idzie się przywitać ze swoją dawną szkolną sympatią. Ta kobieta była teraz bogatą wdową i ostatnio dzwoniła do niego w środku nocy, a Eryk był przecież atrakcyjnym mężczyzną w nowym szarym garniturze i białej koszuli, co podkreślało jego schludność i zdrową letnią opaleniznę. Kiedy przechodził między gośćmi, dwie nastolatki i kobieta dobrze już po siedemdziesiątce odprowadzały go wzrokiem. Jeśli one obejrzały się dwukrotnie, czego można się spodziewać po jego dawnej przyjaciółce?

Eryk spostrzegł Maggie stojącą tyłem, ubraną w białą suknię z moreloworóżowym wykończeniem przy dekolcie i na jednym ramieniu, wciąż ciemnowłosą i smukłą. Zajęta ożywioną rozmową, podniosła obie ręce, klasnęła, a następnie wsparła ciężar ciała na jednej nodze, drugą stopę w pantofelku na wysokim obcasie przesuwając wzdłuż krawędzi chodnika.

Podszedł bliżej, czując napięcie - oczekiwanie i ciekawość. Maggie dotknęła palcem piersi Brookie, mówiąc coś dalej z ożywieniem, i całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Kiedy podszedł, wykrzykiwała:

- ...inspektor mleczny w Wisconsin, wyobraźcie sobie! Trącił ją lekko w ramię.

- Maggie?

Odwróciła głowę i znieruchomiała na chwilę. Patrzyli na siebie. Minęły lata, ale dawna bliskość natychmiast ożyła, choć nie bardzo wiedzieli, co teraz zrobią czy powiedzą.

-Eryk... - Otrząsnęła się pierwsza i rozjaśniła twarz w uśmiechu.

- Zastanawiałem się, czy to ty.

- Eryku Severson, jak to miło cię zobaczyć! - Każdego innego pochwyciłaby w objęcia, ale do Eryka wyciągnęła tylko rękę.

Ujął je obie, mocno ściskając.

- Jak się masz?

- Świetnie. Znacznie lepiej. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko. - Czuję się szczęśliwa. Wydawała się krucha. Dołek w bródzie nadal nadawał jej twarzy kształt serca, ale przybyły dwie głębokie bruzdki po obu stronach ust, kiedy się uśmiechała. Brwi były cieńsze, a w kącikach oczu pojawiły się kurze łapki. Ubrana była wytwornie, włosy zaś - wciąż kasztanowe - uczesane z niedbałą elegancją musiał modelować dobry fryzjer.

- Szczęśliwa - co za ulga. I cudownie wyglądasz.

- Ty też - odpowiedziała.

Błękit jeziora Michigan nadal był kolorem jego oczu, a skórę miał Eryk gładką i śniadą. Włosy, kiedyś niemal złote i spadające na ramiona, ściemniały do barwy jabłecznika, teraz krótko przycięte i porządnie uczesane. Z miłego chłopca wyrósł na dojrzałego, przystojnego mężczyznę. Jego sylwetka poszerzyła się, twarz wypełniła; dłonie miał mocne i szerokie.

Dyskretnie wysunęła z nich swoje.

- Nie wiedziałem, że tu będziesz - powiedział Eryk.

- Ja też nie wiedziałam. Brookie namówiła mnie do przyjazdu, a Lisa chciała, żebym przyszła na ślub. Ale ty... - Roześmiała się, jakby to była radosna niespodzianka. - Ja też się ciebie nie spodziewałam.

- Jesteśmy obaj z Garym członkami Obywatelskiego Stowarzyszenia Fish Creek. Razem walczyliśmy o ocalenie starego ratusza przed rozbiórką. Kiedy się tak długo działa w jednej sprawie, zostaje się albo przyjaciółmi, albo wrogami. My z Garym staliśmy się przyjaciółmi.

W tym momencie przerwała im Brookie.

- A co z resztą twoich przyjaciół, Severson - nie powiesz nam nawet „cześć”?

Dopiero teraz Eryk zaczął witać się ze wszystkimi. - Witaj, Brookie, witaj, Gene!

- A to mąż Lisy, Lyle. Uścisnęli sobie ręce.

- Jestem starym znajomym ze szkoły, Eryk Severson.

- Powiedz mu nowinę, Maggie - zażądała Brookie. Maggie uśmiechnęła się, gdy Eryk zwrócił głowę w jej stronę.

- Kupuję stary dom Hardinga.

- Żartujesz!

- Nie. Wpłaciłam już dziś zadatek i podpisałam wstępną umowę.

- To ogromne stare okropieństwo?

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie to pierwszy pensjonat typu nocleg ze śniadaniem w Fish Creek.

- Szybka decyzja.

- Brookie zmusiła mnie do obejrzenia tego domu. - Maggie dotknęła ręką czoła, jakby zakreśliła jej się w głowie. - Ciągle nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam... że to robię!

- Dom wygląda, jakby się miał zawalić.

- Możesz mieć rację. W przyszłym tygodniu obejrzy go

architekt, i jeżeli uzna stan budynku za niedobry, wszystko odwołam. Ale na razie jestem bardzo podniecona tym przedsięwzięciem.

- Trudno się dziwić. Jak długo już tu jesteś?

- Przyjechałam we wtorek. Wyjeżdżam jutro.

- Krótka wizyta.

- Ale owocna.

- Tak. - Zorientowali się, że przyglądają się sobie uważnie - dwoje starych przyjaciół, a nawet trochę więcej; ludzie, którzy właśnie uświadamiają sobie, że zawsze pozostanie to coś więcej.

- Słuchaj - powiedział Eryk zdecydowanie, rzucając spojrzenie przez ramię. - Musisz się przywitać z moją matką. Wiem, że bardzo się ucieszy.

- Jest tutaj? - zapytała radośnie Maggie. Eryk uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Skręciła sobie włosy na baranka na tę okazję! Maggie roześmiała się i oboje skierowali się do grupy stojącej opodal. Od razu dostrzegła Annę Severson, ufryzowaną, ubraną na szaro i nabitą niby podwójną porcją lodów. Stała z bratem Eryka Mike'em i jego żoną Barbarą, którą Maggie pamiętała jako koleżankę z wyższej klasy, grającą rolę morderczyni w sztuce wystawianej przez szkolny teatr. Obok nich stała piękna kobieta, w której natychmiast domyśliła się żony Eryka.

Eryk podprowadził Maggie ku nim, trzymając ją za łokieć.

- Mamo, zobacz, kto tu jest!

Anna przerwała w pół słowa, odwróciła się i podniosła w górę ręce.

- Czy mnie oczy.

- Witam, pani Severson.

- Margaret Pearson, chodź tutaj!

Anna zamknęła Maggie w mocnym uścisku i trzy razy poklepała ją po plecach, zanim pozwoliła jej się odsunąć.

- Nie zmieniłaś się wiele od czasów, kiedy wyjadałaś mi

w kuchni połowę świeżego chleba. Może jesteś trochę chudsza!

-1 trochę starsza.

- A któż nie jest? Każdej zimy powtarzam, że już nie wrócę do prowadzenia interesu wiosną, ale każdej wiosny nie mogę się doczekać turystów, tak uradowanych, że udało im się złowić wielką sztukę, no i łodzi, które odpływają i przyplływają. Całe życie na nie patrzę i nie wiem, co bym robiła, gdyby to się miało skończyć. Wiesz, chłopcy mają teraz dwie łodzie. Mike żegluje na jednej - pamiętasz Mike'a, prawda? I Barb?

- Tak, cześć!

- A to - Eryk przerwał matce, kładąc gestem posiadacza rękę na karku najpiękniejszej kobiety, jaką Maggie kiedykolwiek widziała - ...jest moja żona, Nancy.

Jej rysy miały naturalną symetrię, zadziwiająco doskonałą, co podkreślał jeszcze nieskazitelny makijaż, w którym dobór odcieni był dziełem sztuki. Proste uczesanie zostało dobrane w taki sposób, aby nie odciągać uwagi od piękna twarzy. To, w co wyposażyła Nancy natura, uzupełniała starannie utrzymana sylwetka i kosztowny ubiór noszony z niedbałą elegancją.

-Nancy... - Maggie gorąco uściśnęła jej rękę. Patrząc prosto w oczy kobiety, dostrzegła sztuczne rzęsy na dolnych powiekach. - Chyba z pół tuzina ludzi mówiło mi, jaka jest pani piękna, i z całą pewnością mieli rację!

- Dziękuję - powiedziała Nancy, uwalniając rękę. Wypolerowane paznokcie w kształcie migdałów były sztuczne.

-1 chcę panią od razu przeprosić za obudzenie telefonem tamtej nocy. Powinna być pamiętać o różnicy czasu!

Nancy wygięła usta w uśmiechu, który nie objął oczu. Nie wypowiedziała też żadnej, choćby zdawkowej uprzejmości, co spowodowało niemiłą przerwę w rozmowie.

- Maggie ma nowinę - ogłosił szybko Eryk. - Powiedziała mi, że kupuje stary dom Hardinga. Chce tam prowadzić

pensjonat. Jak myślisz, Mike, czy to stare domostwo wytrzyma? Musi jej się to przecież opłacić. Anna powiedziała:

- Oczywiście że wytrzyma! Powstało w czasach, kiedy ludzie jeszcze umieli budować domy. Drzewo obrabiane było w Sturgeon Bay, najęli też polskiego stolarza z Chicago, żeby tu zamieszkał na czas budowy i zrobił całą stolarkę, łuki, obudowę kominków i wszystko inne. Same podłogi warte są tyle złota, ile ważą! - Przerwała, żeby spojrzeć na Maggie. - Pensjonat?

- Jeżeli dostanę zezwolenie. Do tej pory nie wiem nawet, gdzie mam się w tej sprawie zwrócić.

- To proste - wtrącił się Eryk. - Do Rady Rozwoju Door County. Zbiera się raz w miesiącu w sądzie w Sturgeon Bay. Wiem, bo byłem jej członkiem.

Podniecona informacją, którą w końcu uzyskała, Maggie pełna entuzjazmu zwróciła się do Eryka.

- Co będę musiała zrobić?

- Zgłoś się do nich i poproś o tymczasowe zezwolenie, wyjaśniając powód.

- Myślisz, że mogą mi robić jakieś trudności?

- No... - Wyraz twarzy Eryka zmienił się, kiedy podniósł rękę i pogłodził tył głowy. - Mam nadzieję, że nie, ale muszę cię ostrzec, że to możliwe.

- Och, nie! - Maggie wydawała się zbita z tropu. - Przecież cała gospodarka Door County opiera się na turystyce, prawda? A co może bardziej zachęcić turystów niż nocleg ze śniadaniem?

- Zgadza się, ale niestety nie jestem już w radzie. Przed pięciu laty byłem i mieliśmy sytuację, kiedy...

Przerwała im Brookie.

- Jedziemy teraz na przyjęcie, Maggie. Zabierasz się z nami? Do widzenia wszystkim. Nie gniewajcie się, ale porywam ją.

-Tak, tylko... - Maggie patrzyła na Brookie i Eryka, który załagodził sytuację mówiąc:

- Jedź, my też się tam wybieramy. Będziemy mogli porozmawiać.

Jachtklub miał siedzibę na półwyspie od strony jeziora Michigan, odległą o dwadzieścia minut jazdy od kościoła. Przez całą drogę Maggie rozmawiała z ożywieniem z Brookie i Gene'em, snując plany i projekty na przyszłą wiosnę i lato, kiedy to miała nadzieję już rozkręcić interes. Martwiła się też o swój kontrakt nauczycielski i trudności, jakie może napotkać przy jego rozwiązywaniu, a także o sprzedaż domu w Seattle. Kiedy dojechali do jachtklubu

1 doku pełnego łodzi żaglowych, wykrzyknęła:

- A moja łódź? Zupełnie zapomniałam. Ją też będę musiała sprzedać!

- Spokojnie, kochanie - powiedziała Brookie z uśmiechem. - Najpierw musimy tam wejść i zabawić się na weselu, a dopiero potem będziesz się martwiła i obmyślała, co i jak załatwić!

Jachtklub portu Bailey należał do ulubionych miejsc Maggie, i kiedy wchodziła do środka, poczuła się dobrze i znajomo. Okna od podłogi do sufitu w niskim, rozłożystym budynku otwierały zachwycający widok na przystań i doki, gdzie pasażerskie statki z Chicago przybyłe tu na weekend sąsiadowały ze skromniejszymi jachtami. Na tle szarobiałego obramowania doków białe pokłady błyszczały niby sznur pereł unoszący się na krystalicznie niebieskiej wodzie. Pomędzy klubem i dokami wypiełgnowane trawniki schodziły łagodnie ku brzegowi. W środku budynku był puszysty dywan, a powietrze wypełniał zapach świeżo palonego węgla drzewnego Sterno. Stoły połączono i ustawiono bufetowo wzdłuż okien. Miały chyba ze dwadzieścia stóp długości. Płomienie lizały błyszczące płytki podgrzewaczy, na których stały srebrzyste naczynia z potrawami. Rząd kucharzy w wysokich grzybiastych czapach oczekiwał gości. Z rękoma splecionymi za plecami witali przybywających, skłaniając głowy. W przyległej sali trzyosobowy zespół leniwie grał jazz, a muzyka przenikała do jadalni, two-

rząc nastrój. Stoły przykryte były białymi obrusami; serwetki w kolorze koralowym stały sztywno przy każdym białym nakryciu; kryształowe kieliszki oczekiwały napełnienia. Podczas gdy weselne towarzystwo stopniowo wypełniało salę, Maggie rozpoznała wiele znajomych twarzy, tyle że teraz nieco postarzałych. Pani Huntington, która całe lata temu była kucharką w szkole, podeszła do niej z serdecznym powitaniem i wyrazami współczucia z powodu niedawnej straty męża. Dave Thripton, który pompował benzynę w dokach Fish Creek, powiedział:

- Pamiętam cię - jesteś córką Roya Pearsona. Śpiewałaś na różnych uroczystościach, prawda?

Pani Marvella Peterson, należąca wraz z jej matką do stowarzyszenia pań działających społecznie, zaproponowała:

- Zatrzymaj się czasem u nas. Mieszkamy nad cyplem, dwa domy od szosy.

Clinton Stromberg i jego żona Tina, prowadzący kąpielisko przy Sister Bay, wiedzieli już o zamiarach Maggie związanych z domem Hardinga i życzyli jej powodzenia.

Dyskutowała właśnie ze Strombergami na temat hoteli w Door County, gdy kątem oka spostrzegła, że wszedł Eryk i jego towarzystwo. Słuchając tylko jednym uchem, co mówi Clinton, obserwowała, jak Eryk wymienia uściski rąk i bierze od kelnerki kieliszek szampana, a następnie zasiada wraz z żoną i matką po drugiej stronie sali.

Trudno było nie wyczuć chłodu, z jakim potraktowała ją Nancy Severson, chociaż więc Maggie bardzo chciała powrócić do rozmowy z Erykiem, uznała, że ponowne podejście do niego byłoby równoznaczne z narzucaniem się. Znalazła sobie miejsce ze swoim towarzystwem z dala od Eryka, w drugim końcu sali jadalnej. Spojrzenia ich spotkały się raz w czasie obiadu. Eryk posłał jej konwencjonalny uśmiech, ale Maggie przerwała ten wzrokowy kontakt, zwracając się do Brookie siedzącej po jej lewej stronie.

Jedli właśnie słynne danie, specjalność klubu - półmisek różności z frutti di mare: smażone małże, nadziewaną flądę, potrawkę z zębaczka, marynowane krewetki i gotowane na parze kraby. Później, kiedy towarzystwo się wymieszało, Maggie znalazła się na chwilę sama. Rozpoczęto tańce. Stojąc przy ogromnym oknie obserwowała, jak blask zachodzącego słońca odbija się od niebieskiej wody zatoki. Pojawiły się dwie łodzie żaglowe, białe i swobodne jak mewy. Kelnerzy wynieśli srebrzyste naczynia i wygasili niebieskie płomienie. Silny zapach Sterno, raczej nie spotykany w luksusowych restauracjach, przypominał Maggie klub Bear Creek, gdzie po raz ostatni była na przyjęciu weselnym. Phillip jeszcze żył, siedzieli z przyjaciółmi, rozmawiali, śmiali się, tańczyli. W sześć miesięcy po jego śmierci odrzuciła zaproszenie na inne wesele, nie chcąc czuć się na nim samotnie. A teraz była tutaj, po pełnym wrażeń dniu, przełamując kolejną barierę wdowieństwa. Być może, jak usłyszała w grupie terapeutycznej, to właśnie ona odsunęła się od przyjaciół. Wówczas jednak gwałtownie zaprzeczała: „Nie, to oni mnie opuścili!”

Tutaj, w znajomym otoczeniu i wśród znajomych twarzy, podniecona zbliżającymi się zmianami w swoim życiu, powiedziała sobie ostatecznie prawdę, na której uświadomienie potrzebowała całego roku: „Gdybym się postarała wcześniej, byłabym mniej samotna i nieszczęśliwa”.

Słońce przygasło i osiadło na wodzie niby wielka złota moneta. W smugach jego blasku obie łodzie wydawały się unosić nieco ponad powierzchnią. Bliżej, wokół przycumowanych statków, woda przypominała modry jedwab, przy-marszczony na chwilę przez parę dzikich kaczek wypływających na ostatni wieczorny spacer.

- Piękne, prawda? - powiedział cicho Eryk za plecami

Maggie.

Opanowała chęć odwrócenia się ku niemu, bo zdawała sobie sprawę, że jego żona zapewne ich obserwuje.

- Piękne i znajome, a to jeszcze więcej.

- Ten przyjazd do domu naprawdę był ci potrzebny.

- Tak. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie przyjechałam. Kiedy tak tu stałam, uświadomiłam sobie, że przez ostatni rok wielu ludzi odepchnęłam od siebie. Nie rozumiem dlaczego, ale tak się stało. Cały czas mi się wydawało, że to oni mnie odpychają, podczas gdy było odwrotnie. Zrozumiałam to dopiero dzięki przyjazdowi tutaj, kiedy wreszcie się przełamalam. Czy wiesz, że to pierwsze prawdziwe spotkanie towarzyskie od śmierci Phillipa, w którym biorę udział?

- I sprawia ci naprawdę przyjemność?

- Och, ogromną. Gdybym miała czas zastanowić się nad zaproszeniem, pewno bym nie przyszła. Ale Lisa mnie zaskoczyła, no i jestem, a co najważniejsze, wcale się nad sobą nie użalam. Wiesz, co jeszcze odkryłam? -Co?

Odwróciła się, aby zobaczyć go przy sobie, ze szklanką, z której nie pił, nie spuszczonego z niej wzroku.

- Że już nie czuję się jak piąte koło u wozu bez mężczyzny, chociaż się tego bałam!

- Postęp - powiedział po prostu.

- Tak, zdecydowanie.

Zapadła cisza. Obserwowali się nawzajem, kiedy zamieszał drinka wykałaczką z oliwką, pociągnął łyk, a następnie odstawił szklankę.

- Świetnie wyglądasz, Maggie. - Wyrzekł te słowa cicho, jakby mimo wysiłków nie mógł ich powstrzymać.

- Ty też.

Z bliska oceniali zmiany, które w nich zaszły, zadowoleni, że nie okazały się drastyczne. Ich oczy rozświetlały wspomnienia, na które lepiej było spuścić zasłonę. To Eryk przerwał ten moment wzajemnej obserwacji i ponownie narzucił dystans.

- Po twoim telefonie mama wygrzebała skądś naszą księgę roku i śmialiśmy się z twojej chudości i z moich długich włosów. Próbowałem sobie- wyobrazić, jaka jesteś w wieku trzydziestu dziewięciu lat...

- Czterdziestu.

- W porządku, czterdziestu. Wyobrażałem sobie Bóg wie co. Pomarszczoną i siwowłosą starą damę w ortopedycznych butach i w szalu albo kogoś w tym rodzaju.

Roześmiała się, a jego szczerłość skłoniła ją do przyznania:

- Ja też się zastanawiałam, czy wyłysiałeś, utyłeś, czy masz gule na karku.

Klepnął się w potylicę i zaśmiał.

- Powiedziałbym, że oboje trzymamy się raczej nieźle! Spojrzała mu w oczy.

- Twoja żona jest bardzo piękna.

- Wiem.

- Czy nie będzie miała nic przeciwko, że tak sobie rozmawiamy?

- Może. Nie wiem. Na ogół nie rozmawiam już na boku z kobietami.

Maggie spojrzała w drugą stronę sali i zobaczyła, że Nancy ich obserwuje.

- Nie chcę wywoływać żadnych tarć między wami, ale pragnę ci zadać mnóstwo pytań.

- Pytaj. Przynieść ci jakiegoś mocniejszego drinka?

- Nie, dziękuję.

- To może kieliszek białego wina albo jakiś napój?

- No, może kieliszek wina.

Kiedy się oddalił, postanowiła wyjaśnić Nancy Severson w sposób nie budzący wątpliwości, że nie żywi żadnych ukrytych zamiarów wobec jej męża. Przeszła między tańczącymi do stolika Eryka i powiedziała:

- Przepraszam, pani Severson...

Nancy podniosła głowę, spojrzała na Maggie z chłodną obojętnością i poprawiła:

- Macaf fee.

- Nie rozumiem?

- Nazywam się Nancy Macaffee. Zachowałam własne nazwisko po ślubie z Erykiem.

- Och, pani Macaffee - powiedziała Maggie nie zrażona. - Czy mogę się przysiąc?
 - Oczywiście. - Nancy podniosła swoją małą, zdobioną paciorkami torebkę z sąsiedniego krzesła, ale nie uśmiechnęła się zachęcająco.
 - Mam nadzieję, że pozwoli mi pani zająć Erykowi trochę czasu. Już wkrótce wracam do Seattle, a powinnam się przedtem dowiedzieć mnóstwa rzeczy.
- Nancy skinęła dłonią i, posyłając mężowi, który właśnie się zbliżał, ostre spojrzenie, powiedziała:
- Należy do pani!
 - Proszę. - Podając Maggie kieliszek chłodnego wina, Eryk spojrzał na żonę, zdumiony jej nie ukrywaną oschłością. Była prawie niegrzeczna. To, co powiedział Maggie, było prawdą - rzadko stykał się z kobietami. Był żonaty i nie myślał o innych kontaktach. Czuł się dziwnie, obserwując reakcję Nancy, bo zwykle to on musiał tłumić w sobie zazdrość. Piękna twarz jego żony sprawiała, że wszędzie, gdzie bywali razem, widział oczarowane spojrzenia mężczyzn, którzy w restauracjach w geście uznania czasem milcząc unosili kieliszki. Nauczył się przyjmować to nie jako zagrożenie, lecz jako komplement dla jego dobrego gustu w wyborze żony.
- Tutaj jednak wyczuwał chłodny prąd zazdrości i był na tyle mężczyzną - w dodatku wiernym - aby docenić jej powód i uznać, że nie świadczy to źle o małżeństwie trwającym osiemnaście lat.
- Usiadł obok Nancy i położył rękę na oparciu jej krzesła.
- Więc naprawdę masz zamiar w to wejść? - zwrócił się do Maggie, nawiązując do zasadniczego tematu.
 - Sądzisz, że to zwariowany pomysł? Noclegi ze śniadaniem w domu Hardinga?
 - Wcale nie. Pod warunkiem, że dom jest w dobrym stanie.
 - Jeśli jest i jeśli tu wrócę, żeby rozkręcić interes, po-

wiedz mi, czego mogę się spodziewać, kiedy stanę przed radą.

- Mogą od razu dać ci zezwolenie, ale możesz też napotkać wrogi opór.

- Dlaczego?

Oparł się łokciami o stół.

- Pięć lat temu wkroczyła do akcji wielka spółka Northridge Development i rozpoczęła sekretne starania o ziemię, stosując zabiegi nazwane później taktyką „dziecięcej rękawiczki”. Skłaniali właścicieli do sprzedaży, choć ci z początku byli niechętni. Następnie wystąpili o warunkowe zezwolenie na budowę, a kiedy je im przyznaliśmy, wzniesli osiedle złożone z trzydziestu dwóch budynków na pólakrowej powierzchni, co stworzyło mnóstwo problemów, poczynając od parkingu w Fish Creek, który ledwo starcza dla turystów i jest stale przepełniony. Sięga aż po urwisko. Staramy się za wszelką cenę uniknąć asfaltowania, bo całkowicie by to zniszczyło charakter tego miejsca. Kiedy ludzie wprowadzili się do nowych domów, sklepy i instytucje w pobliżu zaczęły się skarżyć, że zastopował się cały ruch pieszy, bo nie ma miejsca na parkowanie. Stwierdzono, że spółka świadomie zignorowała nasze wymagania co do gęstości zabudowy i na radzie wybuchło prawdziwe piekło. Chodziło o wygląd całości, bo jak na lokalny gust, miejscowość zbyt się rozbudowała. Mieliśmy też na karku obrońców środowiska wykrzykujących o florze i faunie, zniszczeniach ekologicznych i ochronie linii wybrzeża. Wszystko to zresztą absolutna racja. Atrakcyjność Door County tkwi właśnie w prowincjonalnej atmosferze. Obowiązkiem rady jest nie tylko ochrona terenów, jakie pozostały, ale także wiejskiego charakteru całego półwyspu. Takie argumenty możesz usłyszeć, kiedy wystąpisz o zezwolenie na kolejne przedsięwzięcie turystyczne.

- Ale ja nie mam zamiaru budować trzydziestu dwóch bloków. Chcę tylko prowadzić cztero- czy pięciopokojowy pensjonat.

- Ale będziesz musiała sobie poradzić ze sprzeciwem obywateli Door, którzy słowo „motel” znają tylko ze słyszenia.
 - Ależ noclegi ze śniadaniem to nie motel! To jedynie...
 - ...konieczność rozbudowy. Tak powiedzą.
 - Ale ja mam tam miejsce odpowiednie na parking. Przy drodze jest stary kort tenisowy. Doskonale się nadaje do tego celu.
 - Rada weźmie to pod uwagę, jestem pewny.
 - Zresztą ja nie jestem jakąś... chytrą spółką ze Wschodu, która usiłuje wykupić wartościowe tereny, by zbudować je morderczymi blokowiskami. Tu się urodziłam.
 - To też przemówi na twoją korzyść. Ale musisz pamiętać...
- Eryk wycelował wykałaczkę w kierunku nosa Maggie, właśnie kiedy Nancy zademonstrowała znużenie tą ożywioną rozmową i ostentacyjnie podniosła rękę.
- Przepraszam. Pójdę chyba posłuchać muzyki.
- Eryk przerwał w pół słowa, ale podniecony dyskusją pozwolił jej odejść. Po chwili znowu wysunął wykałaczkę. - Musisz pamiętać, że zwracasz się do grupy mieszkańców Door, którym powierzono ochronę interesów wszystkich. W radzie zasiada teraz farmer z Sevastopola, nauczyciel gimnazjalny, reporter z gazety, właściciel restauracji, przedstawiciel handlu rybami i Loretta McCONNELL. Pamiętasz Lorette McCONNELL? Optymizm Maggie nagle zgasł.
- Obawiam się, że tak.
 - Zazdrości wszystkiego, czego sama nie posiada w Fish Creek. Jej rodzina była tu już w czasach, gdy Asa Thorpe budował swoją chatę. Jeśli postanowi głosować przeciwko zezwoleniu dla ciebie, sprawa jest przegrana. Ma pieniądze i władzę, i mimo, jeśli się nie mylę, osiemdziesięciu lat umie wykorzystać jedno i drugie.
 - Co mam zrobić, jeśli mi odmówią?
 - Wystąp ponownie. Ale najlepszym sposobem uniknię-

cia odmowy jest stawić się osobiście przed nimi. Musisz mieć na podorędziu wszelkie możliwe informacje i liczby. Powiedz im, ile zamierzasz wydać na odnowienie domu. Podaj aktualne dane. Odwołaj się do statystyki, żeby wykazać, ile jest tutaj mieszkań do wynajęcia w pełni sezonu i ilu potencjalnych turystów odjeżdża z kwitkiem. Uspokój ich w sprawie parkingu. Postaraj się o poparcie sąsiadów przed zebraniem rady. - A ty?

- Co ja?

- Poprzesz mnie?

- Ja?

- Byłeś członkiem rady. Jesteś znany i szanowany. Jeśli przekonam cię, że przeprowadzę swoje przedsięwzięcie kosztem możliwie najmniejszych zmian, że nie zatłoczę Cottage Row samochodami i wezmę pod uwagę sprawy ochrony środowiska, czy wystąpisz przed radą i poprzesz mój wniosek?

- Nie widzę powodu, żeby tego nie uczynić. Ale powinienem dokładnie wiedzieć, co zamierzasz zrobić.

- Oczywiście. Kiedy tylko będę miała szacunkową wycenę i plany, najpierw pokażę je tobie.

- I jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Nie chcę szczegółowo wypytywać i nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, ale czy masz dość pieniędzy, żeby to przeprowadzić? Kiedy wystąpili o zezwolenie ci z Northridge, przekonała radę wysokość sumy, jaką przewidzieli na realizację swego projektu.

-Pieniądze nie są problemem, Eryku. Kiedy samolot tak znanej linii lotniczej ulega katastrofie, poszkodowanym dobrze się płaci. - Wobec tego w porządku. Powiedz mi teraz, komu zleciłaś wycenę. Rozmowa przeszła na inżynierów, robotników, architekturę, tracąc podtekst osobisty. Maggie powiedziała, że na-

wiąże z Erykiem kontakt, kiedy tylko będzie potrzebowała pomocy, podziękowała mu, a na pożegnanie wymienili nadzwyczaj oficjalny uścisk ręki.

Krótko po północy Eryk i Nancy rozbierali się w swojej sypialni. Nancy pierwsza przerwała milczenie:

- No, ta Maggie jak-jej-tam nie traciła czasu, żeby ci się przypomnieć, prawda?

Eryk spojrzał na żonę, rozluźniając krawat.

- Spodziewałem się, że to powiesz.

- Mam nadzieję! - Nancy spojrzała na niego w lustrze, zdejmując kolczyki. - O mało nie umarłam z upokorzenia. Mój mąż flirtuje ze swoją dawną flamą na oczach połowy miasta!

- Ani ja, ani ona nie flirtowaliśmy.

- Więc jak to nazwiesz? - Wrzuciła kolczyki do szklanej miseczki i zaczęła zdejmować bransoletkę.

- Byłaś tam i słyszałaś. Rozmawialiśmy o pensjonacie, który chce otworzyć.

- A o czym rozmawialiście przy oknie? Tylko mi nie mów, że też chodziło o pensjonat!

Eryk odwrócił się, podnosząc lekko obie ręce, żeby powstrzymać słowa żony.

- Słuchaj, wypilem parę martini i ty też. Odłóżmy tę rozmowę do rana, dobrze?

- Chciałbyś tego, co? - Ściągnęła suknię przez głowę i rzuciła za siebie. - Wtedy będziesz mógł uciec bez słowa na swoją ukochaną łódź.

Eryk wysunął krawat spod kołnierzyka i powiesił go na drzwiach szafy. Potem schował marynarkę.

- Byliśmy w szkole przyjaciółmi. Czego się spodziewałaś? Że będę jej unikał?

- Nie spodziewałam się, że zaczniesz się do niej przymi-lać pod tym całym cholernym kościołem i że zostawisz mnie samą w środku przyjęcia weselnego, żeby robić do niej cielece oczy!

- Cielejące oczy? - Eryk pochylił głowę i znieruchomiał z koszulą do połowy wyciągniętą ze spodni.

- Nie kłam, Eryku! Widziałam cię. Nie spuszczałam z was oczu!

- Opowiadała mi, jak bardzo brak jej męża i że po raz pierwszy od jego śmierci zdecydowała się gdzieś wybrać sama.

- Chyba nie tak bardzo, skoro ona także przewracała do ciebie oczami.

- Nancy, co, do diabła, w ciebie wstąpiło? Czy przez wszystkie lata naszego małżeństwa chociaż raz obejrzałem się za jakąś kobietą? - Wyprostowany, z dłońmi opartymi na biodrach, spojrzał na żonę.

- Nie. Ale aż do dziś nie spotkałeś jeszcze żadnej dawnej flamy, prawda?

- Ona nie jest żadną flamą. - Zaczął się dalej rozbierać.

- Nie oszukasz mnie. Byliście kochankami w szkole? - zapytała Nancy obojętnym głosem, siadając na łóżku, żeby zdjąć pończochy.

- Nancy, na litość boską, daj spokój!

- Byliście, prawda? Wiedziałam o tym od chwili, gdy zobaczyłam, jak podchodzisz do niej na schodach kościoła. Kiedy się odwróciła i spostrzegła ciebie, stało się to tak widoczne jak dołek w jej brodzie. - Mając na sobie tylko komplet błękitnej satynowej bielizny, Nancy odwróciła się do lustra, uniosła podbródek i delikatnie zaczęła masować szyję czterema palcami. - Mogę tylko jedno powiedzieć na twoją korzyść. Masz dobry gust. Podrywasz ładne kobiety.

Eryk patrzył na żonę, i nagle uderzyło go, że jest po prostu zbyt piękna. Pośądzenie, że mógłby zwrócić choćby minimalną uwagę na inną kobietę, wydawało się zupełnie absurdalne. Dalej obserwował Nancy, a ona wciąż masowała palcami szyję, podziwiając swoje odbicie.

Dopiero gdy widomie przekonała się, że jej uroda pozostaje nieskazitelna, sięgnęła do karku, aby wyjąć z włosów złotą zapinkę, i zaczęła je mocno szczotkować.

- Nie chcę, żebyś pomagał tej kobiecie.
- Już jej to obiecałem.
- Więc co? Zrobisz to, nie licząc się z moim zdaniem?
- Robisz wielką sprawę z niczego, Nancy.

Opuściła szczotkę i odwróciła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Czyżby? Jestem w podróży pięć dni w tygodniu i mam cię zostawiać, żebyś prowadził się ze swoją dawną kochanką na zebrania rady w czasie mojej nieobecności?
- Jesteś pięć dni w tygodniu poza domem z własnego wyboru, kochanie.

Rozzłoszczony, wycelował palec w jej stronę.

- Aha, zaczynamy nasze wieczne zrzęczenie, co?
- Nie my. Ty. Ty zaczęłaś, więc omówmy ten temat raz na zawsze. Powiem to jasno i wyraźnie: chcę, aby moja żona mieszkała ze mną, a nie tylko wpadała do domu na weekendy!
- A to, czego ja chcę, nie liczysz? - Położyła rękę na piersi. - Poślubiłam mężczyznę, który powiedział, że chce być dyrektorem korporacji i mieszkać w Chicago, po czym nagle oświadczył, że ma to wszystko w nosie i zostaje... rybakiem! - Wyrzuciła w górę obie ręce. - Rybakiem, na litość boską! Zapytałeś mnie chociaż, czy chcę być żoną rybaka? - Pochyliła się do przodu. - Zapytałeś, czy chcę mieszkać w tej zapadłej dziurze, odległej o osiemdziesiąt mil od jakichkolwiek śladów cywilizacji...
- Twoje i moje wyobrażenia o cywilizacji są zupełnie różne, Nancy. Na tym polega kłopot.
- Naszym kłopotem, Eryku Severson, jest to, że zmieniłeś kurs w środku życia małżeńskiego i nagle przestało cię obchodzić, że miałam przed sobą obiecującą karierę, równie dla mnie ważną jak dla ciebie twoje cenne ryby!
- Jeśli wysilisz pamięć, kochanie, przypomnisz sobie, że rozmawialiśmy o twojej karierze. Miała ona potrwać jeszcze tylko kilka lat, po czym zamierzaliśmy się stać prawdziwą rodziną.

- Nie, to były twoje zamiary, Eryku, nie moje. To ty wyznaczyłeś mi plan pięcioletni, nie ja. Ile razy podkreślałam, że nie jestem zainteresowana powiększaniem rodziny, udawałeś, że nie słyszysz.

- I niewątpliwie oczekiwałaś, że dalej będę to robił. Ale czas ucieka, Nancy. Mam już czterdzieści lat. Odwróciła się.

- Wiedziałaś o tym, kiedy się pobieraliśmy.

- Nie. - Chwycił ją za ramię i zmusił, żeby wstała. - Nie, nigdy nie wiedziałem. Przypuszczałem, że...

-Więc się myliłeś. Nigdy nie powiedziałam, że chcę dziecka. Nigdy!

- Dlaczego, Nancy?

- Wiesz dlaczego.

- Tak, wiem, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

- Bądź rozsądny, Eryku. O czym my w ogóle rozmawiamy? Mam pracę, którą uwielbiam, o którą gotowe byłyby się zabijać tysiące kobiet - podróże do Nowego Jorku, czerwona karta lotnicza, spotkania handlowe w Boca Raton. Ciężko na to pracowałam, a ty chcesz, żebym wszystko rzuciła i zamknęła się w tym... tym pudełku na krakersy i wychowywała dzieci?

Jej słowa raniły głęboko. Jak gdyby chodziło o jakieś tam dzieci, jakby nie było ważne, że chodzi o ich dzieci, jego i jej. Westchnął z rezygnacją. Mógłby oskarżyć ją o narcyzm, ale co by to dało? Kochał Nancy i nie miał zamiaru jej dotknąć. W końcu kochał także jej urodę. Ale z biegiem lat uroda liczyła się coraz mniej. Dawno temu zdał sobie sprawę, że kochałby żonę równie mocno - może nawet bardziej - gdyby przytyła w biodrach, gdyby utraciła tę supermodną smukłość, o którą tak dbała, stosując odpowiednią dietę. Kochałby ją równie mocno, gdyby zjawiała się w kuchni o siódmej rano z płaczącym dzieckiem w ramionach, zapominając o kosmetykach i makijażu, gdyby ubierała się w dzinsy i podkoszulki zamiast w modne kreacje od Saksa i Neumana-Marcusa.

- Kładźmy się - powiedział ponuro, ściągając narzutę z łóżka. Usiadł ciężko na brzegu materaca, aby zdjąć skarpetki. Odłożył je, ale nie przestał się w nie wpatrywać, przygarbiony.

Nancy obserwowała go przez długą chwilę z drugiej strony pokoju, czując, że podstawy ich małżeństwa legły w gruzach, i zastanawiając się, co - poza dzieckiem - mogłoby je utrzymać. Podeszła i uklękła między jego kolanami.

- Eryku, proszę cię, spróbuj to zrozumieć. - Objęła go obiema rękami i przycisnęła twarz do jego piersi. - Kobieta nie powinna poczynić dziecka, którego nie chce.

Obejmij ją, Severson, to twoja żona, którą kochasz i która pragnie zawrzeć pokój. Ale nie mógł. Albo nie chciał. Siedział z dłońmi wciśniętymi pod materac, czując przygniatający ciężar. Nastąpił właśnie krach czegoś, co było dla niego najważniejsze w życiu. Dawniej, kiedy kłócili się na ten temat, sprawa pozostawała nie rozstrzygnięta, rozmyta w próbach łagodzenia jego rozczarowania przez Nancy. Takie zawieszenie dawało mu nadzieję, że będą rozmawiali - kłócili się czy dyskutowali - znowu, zanim dojdą do ostatecznego wniosku.

Dzisiejszego wieczoru Nancy przedstawiła jednak chłodną, wyważoną obronę, którą trudno byłoby odrzucić. Nie chciał już dziecka z kobietą tak bardzo opierającą się macierzyństwu jak ona.

Rozdział 6

Od powrotu do Seattle życie Maggie nabrało szaleńczego tempa. Dyrektor szkoły powiedział, że przykro mu z powodu jej odejścia, ale nie będzie miał kłopotów ze znalezieniem kogoś na wakujące miejsce. Opróżniła więc swoje biurko. W domu zgrabiła stare szyszki sosnowe, przycięła krzaki i umówiła się ze znajomym agentem od handlu nieruchomościami, Elliottem Tiptonem. Zanim wyszedł, na drzwiach zawisło ogłoszenie o sprzedaży domu. Za radą Tiptona Maggie porozumiała się z robotnikami: mieli odmalować ozdobny fronton i zmienić tapety w łazience. Następnie zadzwoniła do Waterways Marina i poleciła, żeby obniżono o dwa tysiące dolarów cenę łodzi; chciała ją jak najszybciej sprzedać. Zatelefonowała do linii przewozów kontenerowych i uzyskała wstępną wycenę przeprowadzki. Od Thomasa Choppa usłyszała, że w domu Hardinga werandy są zbutwiałe, jedna ściana jest zagrzybiona (w pokoju służbowym, gdzie ciekłą rurą i harczą w najlepsze mrówki faraona), izolacja niewystarczająca, brakuje przewodów elektrycznych, palenisko jest za małe i że będzie potrzeba nowej blachy oraz wentylatorów na dachu. Ale sam dach jest w zadziwiająco dobrym stanie, podobnie jak podesty schodów i ściany wewnętrzne, wedle jego opinii więc dom nadaje się do remontu, choć będzie to kosztowne przedsięwzięcie.

Otrzymała też przepisy dotyczące prowadzenia pensjonatów typu nocleg ze śniadaniem w stanie Wisconsin

i stwierdziła, że konieczna będzie jeszcze jedna łazienka oraz wyjście przeciwpożarowe na górze, ale nie znalazła żadnych innych powodów, dla których można by jej było odmówić zezwolenia.

Zadzwoiła do Althei Munne, poleciła przygotować dokumenty potrzebne do sfinalizowania transakcji i zatrzymać je, dopóki ona nie da znać.

Skontaktowała się z trzema przedsiębiorcami w Door County i zażądała przygotowania rysunków oraz ofert przebudowy domu.

Zadzwoiła do ojca, który powiedział, że może ona u nich mieszkać, jak długo zechce - dopóki dom nie będzie gotowy.

Porozmawiała też z matką, która wydała jej mnóstwo poleceń oraz udzieliła ostrzeżenia, żeby nie jechała sama przez góry, gdyby spadł tam śnieg.

W końcu zadzwoniła do Katy.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała córka.

- Przenieść się do Door County.

- I sprzedać dom w Seattle? - W głosie Katy narastało niedowierzenie.

- Tak.

- Mamo, naprawdę mogłabyś?

- Nie rozumiem. Utrzymywanie dwóch domów byłoby bez sensu.

- Ale to jest dom, w którym się urodziłam i wychowałam! Jest moim domem, odkąd pamiętam! Czy to znaczy, że nigdy go już nie zobaczę?

- Będiesz zawsze mogła przyjeżdżać do mojego domu w Fish Creek.

- Ale to nie to samo! Mam przyjaciół w Seattle. Stracę swój pokój i... i po prostu wszystko!

- Katy, przecież będziesz miała mnie, niezależnie od miejsca zamieszkania!

W głosie Katy zabrzmiał gniew.

- Nie próbuj na mnie swojej psychologii dla rodziców,

mamo. Uważam, że to wstrętne sprzedawać dom, ledwie wyjechałam. Tobie też by się to nie podobało.

Maggie ukryła rozczarowanie wywołane gniewem córki.

- Katy, wydawało mi się, że będziesz szczęśliwsza, jeśli zamieszkałam bliżej, tak żebyś częściej bywała w domu. To jest tak blisko, że mogłabyś przyjeżdżać na weekendy, a każde święta spędzałybyśmy razem z dziadkami.

- Dziadkowie! Prawie ich nie znam.

Po raz pierwszy Maggie odezwała się ostrzej:

- Może więc to pora, żeby ich poznać! Wydaje mi się, Katy, że podchodzisz bardzo egoistycznie do całej tej sprawy.

Na drugim końcu przewodu zapanowało zdumione milczenie. Po kilku chwilach Katy powiedziała sztywno:

- Muszę już kończyć, mamo. Mam zajęcia za dziesięć minut.

- Dobrze. Zadzwoń wkrótce - zakończyła chłodno rozmowę Maggie.

Odłożyła słuchawkę i stała, przyciskając ręką żołądek. W środku cała się trzęsła. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, ile razy przekładała własną chęć nad wolę córki, nie pamiętała też, kiedy po raz ostatni tak się starły. Czuła głębokie rozczarowanie. Jak nieprawdopodobnie samolubne potrafią być czasami dzieci! Córce chodziło o to, żeby Maggie robiła wszystko dla odzyskania szczęścia... pod warunkiem, że dla niej samej nie będzie to w żaden sposób uciążliwe.

Byłam tu dla ciebie przez całe życie, Katy. Byłam dobrą, troskliwą matką, która uważała, że czas tobie poświęcony ważniejszy jest niż własna kariera. A teraz, kiedy potrzebuję twojej akceptacji, ty ją wycofujesz. Cóż, młoda damo, czy ci się podoba, czy nie, nadszedł czas, abym zrobiła coś dla siebie, nie dla ciebie.

Ta determinacja zaskoczyła ją samą. Stojąc w kuchni, gdzie Katy niegdyś zasiadała na wysokim krzeselku i była troskliwie karmiona, gdzie w kilkanaście lat później zosta-

wiała resztki bułki, żeby matka je sprzątnęła, Maggie poczuła się niby ćma, która właśnie się przepoczwarzyła.

Do licha, mam czterdzieści lat i ciągle jeszcze dorastam!

Uświadomiła sobie także to, co doktor Feldstein powtarzał przy licznych okazjach. Otóż miała w sobie dość siły, aby albo świadomie stworzyć albo zniszczyć własne szczęście. I zrobiła to, co należało. Pojechała do Door County, odnowiła dawne przyjaźnie, odkryła stary dom i wniosła znowu w swoje życie element oczekiwania. Właśnie to oczekiwanie było takie ważne. Gdy go brak, rodzice zanedo zaczynają polegać na dzieciach, pacjenci na swoich psychiatrach, a wdowy - na sobie. Maggie weszła do saloniku i stanęła pośrodku, a potem wolno obróciła się parę razy, przypatrując się pokojowi, z którym łączyły ją setki wspomnień.

Odejdę stąd bez żalu, pamiętajac tylko to, co dobre. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, Phillipie, wiem, że nie. Nie chciałbyś przecież, żebym traktowała ten dom jak kaplicę, i to za cenę swojego szczęścia. Koty to w końcu zrozumie.

Przeniosła się do Door County w połowie września. Dom w Seattle nie został sprzedany, zostawiła więc meble i zabrała tylko tyle rzeczy osobistych, ile mieściło się w samochodzie.

Nigdy nie była kierowcą połykającym długie dystanse i znowu zdziwiła się tym, że może prowadzić dziesięć godzin, będąc w zupełnie dobrej formie, choć nie ma nikogo, kto by ją mógł zastąpić. W przeszłości bywała kierowcą zapasowym, ale i w tym charakterze prowadziła przez pierwszą godzinę pełna napięcia. Teraz wiedziała, że musi dać sobie radę, więc dawała.

Nigdy dotychczas nie zatrzymywała się też sama w motelu. Zawsze był Phillip - wyjmował walizki z bagażnika, wyszukiwał restaurację, w której mieli zjeść obiad, a potem był ciepłym, znajomym ciałem w obcym, chłodnym łóżku. Sprawę obiadu załatwiła, podjeżdżając pod okienko samo-

chodowego McDonalda i zabierając do pokoju motelowego hamburgera z frytkami. Wyczerpana po całym dniu jazdy, zapadła w sen niemal przed zjedzeniem ostatniej frytki i spała jak nowo narodzona, nawet nie tęskniąc za Phillipem.

W Idaho pełno było wybojów, w Montanie - piękne widoki, Północna Dakota ciągnęła się bez końca, a w Minnesocie odczuwała podniecenie, bo zbliżała się już do domu. Ale w chwili gdy przejechała most na rzece St. Croix w Hudson, odczuła różnicę. To już Wisconsin! Czyste, regularne w kształcie farmy z ogromnymi stadami czarnego i białego bydła rasy holsztyńskiej. Godne, stare, dwupiętrowe budynki farm obok stodół o dwuspadowych czerwonych dachach. Rozległe łąny żółtych pól kukurydzy stykające się z szerokimi pasami zielonych lasów. Sklepy serowarskie i butiki z antykami oraz tawerna na każdym skrzyżowaniu z wiejską drogą. Raz, w pobliżu Neillsville, zobaczyła farmera - niewątpliwie z sekty amiszów - sprzątającego z pola. Prowadził dwa konie pociągowe w zaprzęgu. A dalej na wschód rozciągały się uprawy ginsengu, których cieniste zarysy tworzyły rodzaj patchworku. Objechała Green Bay i skierowała się na północ z takim samym poczuciem wyzwolenia jak ostatnim razem, kiedy to wjeżdżała do Door County, podziwiając jego niezmienną i zrozumienie dla utrzymania takiego stanu. Wyglądało trochę jak przemieszczony kawałek Vermont. Dziki sumak - zwiastun jesieni - zaczął właśnie purpurowieć. Zbierano pierwsze jabłka w tym sezonie. Stosy drewna piętrzyły się tuż obok wejść do chat. Zbliżając się do Fish Creek, postanowiła przejechać najpierw koło swego domu. Skręt z autostrady w lewo-wyprowadził ją na drogę znaną jako skrót, rozwidlającą się na wiele wąskich ścieżek do Cottage Row i jej nowego sąsiedztwa. Opuściła okno i wdychała tutejsze wonie - ostry zapach cedrów i ziołowy topoli, jak to zdarza się tylko w pewnej porze roku, kiedy wyciekają soki.

Serce jej podskoczyło, gdy minęła zakręt i ujrzała rząd tui. Należały do niej. Wysiadła na korcie tenisowym obok rozchwierutanego podwyższenia z siedzeniem dla sędziego i spojrzała w dół, w stronę domu. Niewiele było widać poza dachem wystającym sponad nie strzyżonych krzewów, ale wystarczyło i tego, żeby odnowić w niej nastrój radosnego oczekiwania. Obok drogi do tablicy z zawiadomieniem o sprzedaży dodano znak firmowy agencji Homestead Realty.

„Sprzedano pani Maggie Stearn” - przeczytała. Na początek jej nowego życia.

Zatrzymała się tymczasowo - bardzo tymczasowo, jak to sobie obiecała - w domu rodziców i zadzwoniła do Katy, żeby powiadomić ją o szczęśliwym przyjeździe.

Odpowiedź Katy brzmiała:

- Tak, dobrze, mam. Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać, dziewczyny chcą zejść do jadalni.

Odkładając słuchawkę Maggie pomyślała: „Bądź rozsądna, kobieto, dzieci nie troszczą się o rodziców tak bardzo, jak rodzice o dzieci”.

Vera nudziła nieustannie, pouczając:

- Tylko upewnij się, że adwokat się zapoznał ze wszystkimi dokumentami, żebyś wiedziała, w co się wdajesz. Cokolwiek trzeba zrobić, nie wynajmuj tej bandy z Hardenspeer do remontu. Przychodzą do pracy pijani, spadają z drabiny i podają cię do sądu o każdego centa. Maggie, czy naprawdę uważasz, że postępujesz właściwie? Wydaje mi się, że samotną kobietę można oszukać na dwadzieścia sposobów przy remoncie tak ogromnego domu. Chyba wolałabym, żebyś została w Seattle, chociaż bardzo chcę mieć cię tutaj! Nie wiem, co sobie twój ojciec myślał, kiedy cię do tego zachęcał!

Maggie tolerowała gadaninę Very, ponieważ była cały czas zaprzątnięta własnymi sprawami.

Pojechała do Sturgeon Bay i złożyła prośbę o warunkowe zezwolenie na prowadzenie pensjonatu typu nocleg ze śniadaniem w Fish Cre-

ek. Załatwiła kontrolę wody; wymagały tego przepisy przy zakupie każdego domu, który miał własną studnię; otworzyła sobie konto w banku Fish Creek, wystąpiła o telefon, podłączenie elektryczności oraz skrytkę pocztową, ponieważ w Fish Creek nie doręczano listów w obrębie miasta. Spotkała się z każdym z trzech przedsiębiorców, z którymi poprzednio miała kontakt telefoniczny. Najniższa z wycen opiewała na blisko sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zdrowy rozsądek doradzał czekać z zakupem domu, dopóki rada miejska nie udzieli pozwolenia na prowadzenie pensjonatu, ale najważniejszym warunkiem była pogoda: wkrótce mógł nadejść mróz. Biorąc pod uwagę konieczność wszystkich prac hydraulicznych, a także to, że jedna ściana wymaga wyburzenia, piec zaś - wymiany, Maggie zdecydowała się nie zwlekać z transakcją, w nadziei że wszystko pójdzie dobrze.

Sprawa zakupu została sfinalizowana w ostatnim tygodniu września, a w dwa dni później bracia Ławiccy - Bert i Joe - wybili w ścianie pokoju dla służby dziurę takich rozmiarów, że mogłby przejechać przez nią ciągnik. Zaczęła się przebudowa.

Maggie otrzymała zawiadomienie z rady budowlanej hrabstwa Door - zwanej popularnie radą planowania - jeszcze w tym samym tygodniu. Miała się stawić w następny wtorek wieczorem. A to znaczyło, że musi skontaktować się z Erykiem.

Od powrotu nie rozmawiała z nim, nawet go nie widziała, i czuła się trochę niepewnie wobec perspektywy wykręcenia jego numeru. W chłodny piątkowy poranek, kiedy mały przed jej oknami ściał mróz, stała w hałaśliwej kuchni swego domu, ubrana w gruby czerwony sweter, z ręką na telefonie. Bert Ławicki wymontowywał właśnie szafę ze ściany. Na zewnątrz jego brat układał podłogę tylnej werandy. KL 3-3500. Z jakiegoś tajemniczego powodu znała numer Eryka na pamięć, ale cofnęła dłoń od aparatu i mocno skrzyżowała ramiona.

Nie bądź niemądra, Maggie, pamiętaj, co powiedziała Bro-okie. Nie rób z igły widel. Zresztą pewno odbierze Anna.

Chwyliła słuchawkę i szybko wystukała cyfry, żeby się nie rozmyślić.

Głos, który się odezwał, z całą pewnością nie należał do Anny.

- Tu Charter Seversona.

- Och... halo. Eryk?

- Maggie?

- Tak.

- Cześć! Słyszałem, że wróciłaś i załatwiłaś sprawę domu.

Musiała zatkać sobie jedno ucho.

- Mów trochę głośniej. Właśnie stąd dzwonię i strasznie tu hałasują.

- Powiedziałem, że słyszałem o twoim powrocie i że załatwiłaś sprawę domu.

- Ten pośpiech nie był najrozsądniejszy, ale śnieg może spaść w ciągu najbliższego miesiąca, uznałam więc, że lepiej będzie, jeśli bracia Ławiccy zabiorą się bez zwłoki do wyburzania ścian.

- A więc bracia Ławiccy?

- Oni podejmują się wszystkich prac. Sprawdzalam. Mają dobrą opinię - powiedziała, starając się przekrzyczeć hałas młota.

- Są uczciwi i dobrze pracują. Czy szybko, to już inna sprawa.

- Ostrzeżenie jest bronią. Będę o tym pamiętała i zobaczę, co się da zrobić, żeby ich trochę popędzić.

Właśnie w tym momencie Bert wsunął młotek do kieszeni dresu i wyszedł, żeby na schodach werandy napić się kawy razem z bratem.

- Co za ulga! - westchnęła Maggie, kiedy zapadła upragniona cisza. - Przerwa śniadaniowa, więc możesz przestać na mnie krzyczeć.

Usłyszała, że Eryk się śmieje.

Po pauzie dodała:

- Mam wiadomość z rady. Chcą, żebym przyszła w najbliższy wtorek wieczorem na spotkanie.
- Chcesz, żebym ci towarzyszył?
- Jeśli to nie za wielki kłopot.
- Nie, żaden kłopot. Z przyjemnością.

Wolno wypuściła powietrze z płuc, wreszcie odprężona.

- Dobrze. Naprawdę jestem ci wdzięczna, Eryku. W takim razie spotkamy się na miejscu. O siódmej trzydzieści w gmachu sądu.
- Chwileczkę, Maggie. Jedziesz tam sama?
- Taki mam zamiar.
- Nie ma sensu, żeby każde z nas jechało osobno. Mogę cię zabrać.

Nie przygotowana na taką propozycję, Maggie zająknęła się:

- Ja... oczywiście, dobrze.
- Mam cię zabrać z domu rodziców?

Vera będzie miała używanie, ale cóż można na to poradzić? Maggie powiedziała:

- Tak, doskonale!

We wtorek wieczorem Maggie wtarła żel we włosy i ubrała się starannie, w nadziei że wywrze dobre wrażenie na radzie. Chciała wyglądać na kobietę dojrzałą, elegancką i - oczywiście - dostatecznie zamożną, żeby mogła odnowić obiekt tak duży jak dom Hardinga. Ale jednocześnie nie rozrzutną.

Wybrała jedwabną spódnicę w barwach jesieni, od rdzy po purpurę, bluzkę w kolorze kości słoniowej ozdobioną plisami i miękkimi skórzany pasek z dużą klamrą. Jediną ozdobę stanowiła owalna broszka z ametystem. Na ten strój Maggie włożyła wcięty zamszowy żakiet w odcieniu burgunda.

Kiedy zeszła na dół, matka obrzuciła ją szybkim spojrzeniem i zauważyła:

- Chyba jesteś zanadto wystrojona jak na zebranie rady, nie uważasz?

- To nie jest zebranie rady, mamó, lecz moje wystąpienie przed radą, która będzie oceniać nie tylko moją prośbę, ale i mnie. Chcę, by odnieśli wrażenie, że wiem, jak uczynić stary opuszczony dom na nowo atrakcyjnym. Uważam, że owalna broszka to ładny i oryginalny akcent, prawda?

- Oryginalny, niewątpliwie - odpowiedziała Vera. - Nie wiem, do czego to doszło. Żeby samotna kobieta jeździła po okolicy z żonatym mężczyzną, i to pod nosem własnej matki!

Maggie poczuła, że się czerwieni.

- Mamó!

- Przestań, Vero - wtrącił Roy, ale matka nie zwróciła na niego uwagi.

- Przecież to właśnie robisz, prawda? - dręczyła dalej Maggie.

- Eryk spróbuje przekonać radę, by pozytywnie rozpatrzyła moją prośbę, nic więcej!

- Wiesz, co ludzie powiedzą. Jego żona jest częściej poza domem niż w domu, a on podrywa sobie ciepłą wdówkę.

- Nie podrywa mnie! I nie życzę sobie nawet podobnych aluzji!

- Możesz sobie nie życzyć, Margaret, ale jestem twoją matką, i jak długo przebywasz w tym domu...

Dzwonek przerwał przemówienie Very, która pośpieszyła do drzwi, zanim ktokolwiek zdołał się poruszyć. Był to oczywiście Eryk. Stał w drzwiach w błękitnej wiatrówce z napisem CZARTERY SEVERSONA na piersi. Gdyby zatrzymał się na podjeździe i zatrąbił, Maggie czułaby się mniej winna. Ale stał teraz, uśmiechnięty i grzeczny, jak w czasach, gdy przychodził zabrać ją na randkę.

- Dzień dobry, pani Pearson, jak się pani miewa!

- Dzień dobry - odpowiedziała Vera bez uśmiechu.

- Maggie ma ze mną jechać do Sturgeon.

- Wiem.

Maggie chwyciła torebkę i wysunęła się przed Verę.

- Jestem gotowa. Pośpieszmy się, jeżeli nie chcemy się

spóźnić. - Wyminęła w drzwiach Eryka i pędem zbiegła po stopniach. Zatrzymała się przy bagażówce, na próżno szarpiąc klamką, dopóki Eryk nie podszedł i nie przytrzymał jej ręki.

- Staruszka jest nieco drażliwa. Czasami powinnaś z nią porozmawiać, żeby się udobruchała.

Otworzył drzwi samochodu. Maggie zdawała sobie sprawę, że matka obserwuje każdy ich ruch z okna pokoju. Eryk zatrzasnął drzwiczki, kiedy wsiadła, i obszedł samochód, żeby usiąść za kierownicą.

- Przepraszam za bagażówkę - powiedział, zapalając silnik. - To tak jak ze starym ulubionym zwierzęciem - wiesz, że powinno się je uśpić, ale trudno się na to zdecydować.

Maggie siedziała sztywna i milcząca, zerkając przez przyciemnioną szybę.

Kiedy samochód ruszył, Eryk spojrzał na nią i zapytał:

- O co chodzi?

- O moją matkę! - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem. - Jest taką sekutnicą.

- Trudno mieszkać z kimś, kiedy tak długo było się daleko.

- Z nią było trudno mieszkać, jeszcze zanim wyjechałam!

- Przyznam, że bywałem już w życiu witany cieplej niż dzisiaj. Czy ma za złe, że jedziemy do Sturgeon razem?

Z jej upartego milczenia wniósł, że dobrze trafił.

- Maggie, mogłaś mi powiedzieć, zadzwonić, i pojechałibyśmy osobno. Myślałem po prostu, że skoro jedziemy w to samo miejsce...

-Dlaczego miałabym ci coś mówić? Dlaczego mam jej pozwalać na wyplatanie głupstw, kiedy chodzi o najzupełniej niewinne spotkanie? Jedziemy do sądu razem i nie zamierzam czuć się z tego powodu winna! Do cholery, dlaczego miałabym tak się czuć? To tylko jej mentalność i wścibstwo - myśli, że każdy w tym mieście jest podobny do niej. Uwielbia przecież myśleć o ludziach jak najgorzej!

Eryk spojrział na Maggie uważnie.

- Kłopot w tym, że pewno ma rację, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy do tej chwili. Chcesz, żebyśmy wrócili? Weźmiesz swój samochód.

- Absolutnie nie!

-Každy w okolicy zna tego starego grata. Moje nazwisko jest wymalowane na drzwiach.

- Nie dam matce takiej satysfakcji. A poza tym, jak mówi Brookie, czy dwoje dorosłych ludzi nie może być przyjaciółmi? Potrzebuję dziś twojej pomocy. Jestem szczęśliwa, że mi ją okazujesz. Niech będzie, jak jest, a matka może sobie kombinować, co chce. - Żeby zmienić temat, rozejrzała się z ciekawością. - A więc to jest ta twoja stara bagażówka. - Obrzuciła spojrzeniem wgniecione siedzenia, pękniętą boczną szybę, zakurzoną tablicę rozdzielczą.

- Ma nazwę, ale nie powiem ci jaką. Nie jest zbyt przyzwoita.

Maggie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Mogę sobie wyobrazić.

-Nie myślałem, że się tak elegancko ubierzesz. Może jednak wolałabyś swój samochód.

- Mój samochód nie ma charakteru. Ten ma.

To przekomarzanie się rozluźniło napięcie, i kiedy jechali tak na południe pod kopułą zmierzchu, a pierwsze gwiazdy rozbłyskiwały na niebie, zaczęli rozmawiać o innych sprawach: o jesiennej pogodzie, o tym, że sezon turystyczny osiągnie swój szczyt wraz z barwami jesieni w ciągu dwóch tygodni; a także o ile trudniej jest złowić tutaj jesienią łososia; za to pstrągów nie brakuje w Portage Park i Lily Bay; gwarzyli też o tym, kiedy Eryk i Mike ściągną łodzie z wody i jak pracują bracia Ławiccy.

Potem Eryk powiedział:

-Maggie, dużo myślałem o Loretcie McConnell i jej... nazwijmy to, konserwatyzmie. Jeśli ktoś w radzie będzie miał obiekcje w sprawie zezwolenia, to ona. Zastanawiałem się, jak ją zmiękczyć.

-Jak?

- Czy obmyśliłaś już nazwę dla swego pensjonatu?

- Nazwę? Nie.

-Rozmawiałem z matką. Wyobraź sobie, że Loretta McConnell jest daleką krewną tego Hardinga, który był właścicielem domu. O ile zdołaliśmy się zorientować, rodzina jej matki wywodzi się z trzeciego pokolenia z linii Thad-deusa Hardinga, chociaż to pokrewieństwo zaciemniają trochę nazwiska z różnych małżeństw. Przypuszczam, że Loretta wie o tym doskonale, a jeśli ktoś ma fioła na punkcie zachowywania tradycji i dziedzictwa, to właśnie ona. Działa aktywnie w tutejszym towarzystwie historycznym i co roku solidnie je wspiera finansowo. Powinniśmy odwołać się do jej dumy rodzinnej. Powiemy, że zdecydowałaś się nadać posiadłości oficjalnie nazwę Dom Hardinga, aby zachować możliwie jak najwięcej z tradycji tego miejsca.

- Och, Eryku, to cudowny pomysł! Dom Hardinga... bardzo mi się podoba. I jest takie rozsądne. W końcu wszyscy w mieście tak go nazywali przez całe lata, więc po co zmieniać? Tylko że teraz będzie to oficjalna nazwa. - Myślałem, że może wolałabyś własne nazwisko.

- Dom Stearnów... - Zastanowiła się, a potem pokręciła głową.

- Nie, to nie brzmi tak dobrze jak Dom Hardinga. Mogę sobie wyobrazić tę nazwę wyrytą ładnej mosiężnej tabliczce przy ścieżce. A drewnianą umieszczę wśród kwiatów nad wejściem. -

Gestykulowała, jakby miała tabliczkę przed sobą. - „Dom Hardinga. Noclegi ze śniadaniem. Właścicielka Maggie Stearn”.

Chrząknął, rozbawiony jej entuzjazmem.

- Lubisz to wszystko, prawda - planowanie, urządzenie?

- Bardzo. Tyle zawdzięczam Brookie, że namówiła mnie do obejrzenia domu! Łapię się na fantazjowaniu o dniu, w którym pojawi się pierwszy gość. Jeśli rada powie mi dzisiaj „nie”, chyba się rozplacę.

- Mam przeczucie, że wyjdiesz z sądu uśmiechnięta.

Gmach sądu w Sturgeon Bay był mieszaniną tradycji i nowoczesności - do starego budynku w stylu wiktoriańskim dobudowano nowe skrzydła, z jasnych cegieł i szarego kamienia. Zaparkowali przy Czwartej Ulicy i przeszli chodnikiem wysadzonym górkimi jesionami, których czerwone owoce spadały na ziemię. Dalej były dwa złociste klony, a zielony trawnik prowadził aż do wejścia, po którego obu stronach stały kamienne pojemniki na kwiaty, a w nich kuliły się szerniałe po niedawnych przymrozkach stokrotki i kępki szaławii.

Eryk znalazł drogę do pokoju rady. Wchodząc tam Maggie czuła się zdenerwowana, ale jednocześnie pełna oczekiwania. Natychmiast rozpoznała Lorette McConnell, zdecydowanie brzydka kobietę ze szernią po dwóch zębach w dolnej szernię, w pogiętych okularach i o prostych, nie ułożonych przez fryzjera włosach, które opadały swobodnie jak u elżbietańskiego pazia.

- A więc to ona - szepnęła, zajmując drewniane krzesło obok Eryka.

- Niech cię nie zwiedzie jej wygląd. To niezwykle błyskotliwa i inteligentna osoba, wspierająca więcej polityków, muzyków i artystów, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Jest wielką mecenaską sztuki i służy ogromnym wsparciem finansowym różnym ludziom i instytucjom - od młodych obiecujących skrzypków poczynając, na naszym własnym Sanktuarium Przyrody w Ridges kończąc. Jej nazwisko jest równie znane w Waszyngtonie, jak w Door County. A przy tym wszystkim jest bardzo rozsądną kobietą. Pamiętaj o tym, na wypadek gdyby cię zaatakowała.

Czekali na swoją kolej, przysłuchując się różnym sprawom - właściciela terenu, który odmawiał przesunięcia ogrodzenia, choć przeszkadzało ono przedsiębiorstwu usuwającemu śnieg; właściciela posiadłości nad brzegiem jeziora, który zwracał się o pozwolenie na wykopanie nowej studni; kobiety występującej o zezwolenie na otwarcie sklepu z antykami w jednej z oryginalnych drewnianych

chat; restauratora starającego się o licencję na sprzedaż alkoholu; wymizerowanego i wątłego młodego człowieka, który domagał się, aby miasto odkupiło mu okulary, ponieważ na jego własnych przysiadł niechcący kierowca transportu stanowego. (Loretta McConnell zwróciła młodzieńcowi uwagę, że szczeka pod niewłaściwym drzewem.) Wreszcie nadeszła kolej Maggie.

- Margaret Stearn - odczytał przewodniczący nazwisko na podaniu. - Pragnie otworzyć pensjonat typu noclegi ze śniadaniem na Cottage Row w Fish Creek.

Maggie wstała i podeszła bliżej. Przewodniczący podniósł oczy znad kartki. Był kościstym mężczyzną, co to lepiej by wyglądał na traktorze niż za stołem rady, której przewodniczył.

Niewątpliwie był farmerem z Sevastopola. Miał wielkie uszy, z których wyrastały kępki włosów. Jego ubranie - wyraźnie włożone specjalnie na tę okazję - miało wątrobianobrazowy kolor i było niemodne; węzeł krawata pod zmiętym pożółkłym kołnierzykiem przekrzywiał się wciąż na jedną stronę. Maggie tylko raz rzuciła na niego okiem i pogratulowała sobie w duchu, że przyszła skromnie i gładko uczesana.

- Pani jest Maggie Stearn? - zapytał mężczyzna.

- Tak, sir. Moje panięskie nazwisko brzmi Pearson. Moim ojcem jest Leroy Pearson. Od dwudziestu dwóch lat pracuje w dziale mięsnym domu towarowego w Fish Creek. Ja także urodziłam się tutaj i wychowałam.

- Oczywiście, znam Leroya Pearsona. - Spojrzenie przewodniczącego przesunęło się po jej zamszowym żakiecie i wróciło do papierów.

- Mieszka pani teraz gdzie indziej?

- Przez ostatnich osiemnaście lat mieszkałam w Seattle. Mój mąż zmarł przed rokiem, a córka wstąpiła do Northern College w Chicago, postanowiłam więc wrócić do Door County.

- Mam przed sobą potwierdzenie zakupu obiektu, o który chodzi.

- *Zgadza*, się. - Ponieważ domy w Fish Creek nie miały zwykłych adresów, tylko numery pożarowe, wymieniła nazwę posiadłości. - To stary dom Hardinga. Wynajęłam architekta, aby przywrócił go do odpowiedniego stanu. Proszę, oto jego ekspertyza. - Położyła przed przewodniczącym na stole list Thomasa Choppa. - Inwestuję sześćdziesiąt tysięcy dolarów w remont domu. Prace już się rozpoczęły. Mam tu kopię kontraktu z braćmi Ławickimi z Ephraim, którzy podjęli się odnowienia konstrukcji. A to kontrakt z firmą Workman Electric, która wymieni ogrzewanie i zmodernizuje instalacje zgodnie z wymogami. I jeszcze umowa z hydrauliczną firmą Kunst, która urządzi dodatkową łazienkę, według przepisów konieczną w pensjonacie oferującym noclegi ze śniadaniem. Tutaj jest protokół stwierdzający, że posiadłość liczy półtora akra, co oznacza, że komplet gości, ja plus osoba do pomocy mieścimy się w normach dotyczących gęstości zaludnienia. Powierzchnia na jedną osobę, jak widać, nawet przekracza te normy. Mam także szacunkowe wyliczenie z firmy J&B Blacktopping dotyczące kosztów wysmołowania kortu tenisowego po drugiej stronie drogi, który będzie stanowił zupełnie wystarczający parking dla moich gości. Z izby handlowej Door County zaczerpnęłam natomiast dane na temat liczby zgłoszeń na pobyt czasowy, zgłoszeń, na które nie można odpowiedzieć pozytywnie. Proszę zwrócić uwagę, że w skali rocznej załatwia się jedynie dziesięć procent tych zgłoszeń, co oznacza poważne straty biznesu turystycznego. Mam też list od inspektora zdrowia wyliczający warunki, jakie będę musiała spełnić, aby uzyskać jego akceptację - zapewniam państwa, że w najbliższej przyszłości je spełnię. Dalej - przepisy przeciwpożarowe. W kosztorysie braci Ławickich zostało uwzględnione dodatkowe wyjście oraz schody zewnętrzne, tak jak tego wymagają normy. Mam też wycenę kosztów wyposażenia każdego pokoju. Wchodzą w nie tapety, ręczniki, pościel, zasłony i meble. Wyliczyłam również dzienne koszty za usługi pralnicze, które zapewni firma Evenson ze

Sturgeon Bay - ale ograniczone tylko do pościeli. Ręczniki będziemy prali sami. Teraz ogólne wyliczenie kosztów dostawy mydła, papieru toaletowego, kubków papierowych, środków czystości i tak dalej, chociaż ciągle szukam korzystniejszych źródeł. Zrobiłam także wstępne rachunki dotyczące pewnych produktów spożywczych, które chciałabym podawać, takich jak bułki drożdżowe, ciasteczka do kawy, kawa i soki. Przy tych, które mogą być domowej roboty, wpisałam dla porównania koszt ich zakupu w piekarni. Na koniec przedstawiam kopię wyciągu ze swojego konta bankowego za ostatnie sześć miesięcy, na której zakreśliłam czerwono numer telefonu, pod którym można sprawdzić moje inwestycje oraz średni dochód miesięczny. Informacje te, mam nadzieję, rada zachowa tylko do własnej wiadomości. Wszystko to ma wykazać państwu, że niezmiernie zależy mi na tym przedsięwzięciu oraz że orientuję się dokładnie w kosztach otwarcia i prowadzenia takiego pensjonatu, a także iż stać mnie na te inwestycje. Chciałabym też zapewnić państwa, że nie zamierzam otworzyć pensjonatu na jeden sezon i zamknąć go w następnym. Jestem przekonana, że przysłuży się on dobrze zarówno Fish Creek, jak i całemu Door County.

Maggie cofnęła się o krok i zamilkła. W sali było tak cicho, że można było usłyszeć, jak rosną włoski w uszach przewodniczącego. Gdzieś w głębi sali rozległ się brzęczyk. Przewodniczący zamrugał, jakby obudził się z drzemki.

- Od jak dawna jest pani z powrotem w Door County?

- Od prawie trzech tygodni.

Przewodniczący posłał krzywy uśmiech reszcie członków rady siedzących po jego lewej i prawej ręce, a następnie powiedział z błyskiem rozbawienia w oczach:

- Wyobrażam sobie, że wie już pani, który z członków rady zapłacił mandat za nieprawidłowe parkowanie w ubiegłym roku!

Maggie uśmiechnęła się.

- Nie, sir, tego nie wiem. Ale znam wynagrodzenie

członków rady. Ponieważ mam tutaj płacić podatki, uznałam, że powinnam to wiedzieć.

Śmiech przetoczył się przez pokój, także nad stołem rady.

- Czy mogę zapytać, pani Stearn, czym zajmowała się pani w Seattle?

- Wykładałam ekonomikę gospodarstwa domowego, co uważam za dodatkowy plus. Umiem gotować, szyć, urządzać wnętrza - znam się na wszystkim tym, czego wymaga prowadzenie pensjonatu, i myślę, że nie będę miała z tym specjalnych trudności.

- Co do tego nie mam wątpliwości. - Przewodniczący zajrzał do papierów i znowu zwrócił się do Maggie. - Widzę, że jest pewien problem ze strefą.

- Też tak sądziłam, sir, dopóki nie otrzymałam przepisów służby zdrowia dotyczących pensjonatów typu nocleg ze śniadaniem, gdzie stwierdza się jasno, że gdybym dysponowała pięcioma pokojami gościnnymi lub miała ich jeszcze więcej, uznano by przedsiębiorstwo za hotel, i wówczas mogłabym je otworzyć jedynie na obszarze strefy komercyjnej. Jeśli jednak ograniczę się do wynajmowania czterech albo mniej pokoi, dom zostanie zakwalifikowany jako pensjonat, który mogę prowadzić w strefie prywatnych rezydencji. Mam tu kopię stosownej broszury dla państwa. Przepisy, o których mowa, zawarte są w paragrafie trzecim, HSS 197, 3, po rozdziale „Definicje”.

Przewodniczący robił wrażenie, jakby dostał obuchem siekiery w głowę. Jego brwi dotykały niemal włosów, usta miał otwarte.

-Niemal boję się zapytać... czy może chciałaby pani jeszcze coś dodać?

- Tylko to, że jest tu ze mną były członek tej rady, Eryk Severson, gotów poprzeć moją prośbę.

- Tak, zauważyłem, że siedzi obok pani. Cześć, Eryku. Eryk podniósł dłoń w geście pozdrowienia.

W końcu przemówiła Loretta McConnell.

- Mam kilka pytań do pani Stearn.

- Słucham panią. - Maggie stała teraz twarzą w twarz z tą kobietą o ostrym i badawczym spojrzeniu.
 - Gdzie ma pani zamiar się ogłaszać?
 - Głównie w wydawnictwach izby handlowej. Chciałabym też zwrócić się do Normana Simsonsa, autora „Pensjonatów na prowincji i przy bocznych drogach”, żeby umieścił mój pensjonat na swojej liście w następnym wydaniu przewodnika. No i oczywiście chętnie widziałabym dyskretną plakietkę przed domem.
 - Nie przy austostradzie?
 - Żeby wprowadzić zamieszanie w Door County? W żadnym wypadku. Pochodzę stąd, proszę pani. Chcę, żeby to miejsce pozostało nieskażone, jeśli to tylko możliwe. Przeżyję jakoś brak tablicy przy autostradzie.
 - A wewnątrz domu - jakie planuje pani zmiany?
 - Jak już wspomniałam, muszą być dodatkowe schody, których wymagają przepisy przeciwpożarowe. Dalej - nowa weranda z tyłu, ponieważ stara nie nadaje się do użytku, nowa jednak będzie dokładną kopią starej. Zaczęliśmy już malowanie i przywrócimy domowi pierwotne kolory, co, jak pani wie, w niektórych rejonach kraju jest prawnie wymagane. Będą to kolory wybrane niegdyś przez Thaddeusa Hardinga - szafran i stare złoto, jeśli chodzi o ramy okienne. Gzymsy w barwie pruskiego błękitu, jaśniejszy błękit chiński na balustradkach. Ozdoby i portyki będą białe. Kiedy zawieszę tabliczkę z napisem „Dom Hardinga”, ludzie, którzy pamiętają ten budynek sprzed lat, ujrzą go znowu takim jak w dawnych czasach.
- Loretta McConnell chwyciła podsuniętą zręcznie przynętę.
- „Dom Hardinga”?
 - Zamierzam zachować tę nazwę. Stanowi zarazem punkt orientacyjny, podobnie jak budynek sądu, w którym się znajdujemy. A nie powinno się zmieniać nazw punktów orientacyjnych, nie sądzi pani?

W pięć minut później Maggie i Eryk opuszczali sąd z warunkowym zezwoleniem w ręku. Z trudem powstrzymywali okrzyki: „Alleluja!”, schodząc przez akustyczny hall, ale na dworze pofolgowali sobie natychmiast. Maggie wykrzykiwała radośnie, Eryk natomiast z wojennym zawołaniem Indian podniósł ją do góry.

-Do licha, kobieto, ale ich załatwiłaś! Gdzie, na Boga, zdobyłaś tak szybko wszystkie te informacje? Roześmiała się, wciąż jeszcze oszołomiona sukcesem, i wyjaśniła:

- Przecież kazałeś, żebym przedstawiła im fakty! Śmiejąc się postawił ją na ziemi.

- Fakty - tak, ale nie oczekiwali kopalni encyklopedycznych wiadomości, ja też nie. Maggie, byłaś wspaniała!

- Naprawdę? - Odetchnęła głęboko i poczuła, jak drżą jej kolana.

- Och, Eryku, jak ja się bałam!

- Nie wyglądałaś na przerażoną. Przypominałaś raczej Donalda Trumpa, wznoszącego nowy budynek w Nowym Jorku. Sądzę, że tak Iacocca zapowiada nowy model.

- Naprawdę? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Powinnaś się była widzieć!

- Chyba muszę usiąść. Cała się trzęsę. - Przysiadła na krawędzi betonowej misy na kwiaty przed wejściem i przycisnęła dłoń do brzucha.

Eryk usiadł obok.

- Nie powinnaś się niczego bać, ani trochę. Byłem w tej radzie, Maggie. Czy wiesz, ilu ludzi przychodzi z prośbą o pozwolenie na budowę tego czy owego i nie potrafi odróżnić pszczelego miodu od kupki dziecka, nie wie, ile będą kosztować przygotowania do otwarcia, ile prowadzenie, jakie są szanse na sukces, nie wie nic? Rąbnięłaś ich po prostu między oczy, Maggie. Nie byłem ci do niczego potrzebny.

- Ale tak się cieszę, że jesteś. Kiedy odwróciłam się i zo-

baczyłam, jak się uśmiechasz... - Przerwała, a potem dokończyła: - Tak się cieszę, że jesteś przy mnie. Musimy to razem uczcić. .

- Ja też się cieszę. - Wyciągnął rękę. - Gratulacje, Maggie, moja dziewczynko!

Podawała mu rękę. Uścisnął ją i nie puszczał trochę zbyt długo Ten zwrot pojawił się nagle niby echo dawno minionego czasu. Ich oczy spotkały się. Wokół zapadał październikowy wieczór, a za nimi światło sączyło się przez szyby oszklonego wejścia.

Erykowi wydawało się zbyt piękne trzymać tak wąską rękę Maggie w swojej szerokiej dłoni.

Margaret uwolniła się delikatnie.

- Jesteś więc właścicielką pensjonatu - stwierdził Eryk.

- Ciagle w to nie mogę uwierzyć.

- Więc uwierz.

Wstała, założyła obie ręce za głowę i wolno okręciła się w miejscu, patrząc na gwiazdy.

- Cudownie! - westchnęła.

- Czy widziałaś twarz Loretty McConnell, kiedy rozkładałaś wszystkie te papiery na stole?

- Boże, nie. Zbyt się bałam, żeby na nią patrzeć!

- Ale ja patrzyłem i mogłem policzyć wszystkie luki po jej brakujących zębach, tak szeroko otworzyła usta ze zdumienia. A kiedy powiedziałaś o tych kolorach - Maggie, skąd, u diabła, wiesz, jak był pomalowany ten dom?

- Czytałam artykuł w „New York Timesie” na temat malowania budynków przy rekonstrukcji. Byli tam wymienieni producenci farb, którzy specjalizują się w odtwarzaniu autentycznych odcieni wiktoriańskich. Skontaktowałam się z jednym z nich w Green Bay. Nie powiedziałam Lorecie McConnell jednego: że nie dowiedziałam się tego wszystkiego w ciągu ostatnich trzech tygodni. Zaczęłam zbierać informacje od chwili, kiedy wróciłam do Seattle. Zapłaciłam taki rachunek za rozmowy międzymiastowe, że oko by ci zbiegło!

Chrząknął i uśmiechnął się do gwiazd.

- „Dom Hardinga. Noclegi ze śniadaniem” - wyrecytował. - Już to widzę.

- A chcesz naprawdę? - Pytanie padło nieoczekiwanie, wywołane podnieceniem Maggie.

- Teraz?

- Teraz. Po prostu muszę tam pojechać i zobaczyć dom, skoro wiem, że to rzeczywistość. Chcesz się wybrać ze mną?

- Oczywiście. Czekałem, żebyś mi to zaproponowała. Musiał dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać kroku

Maggie pędzącej do samochodu.

- Mam zamiar zrobić z tego domu najlepszy pensjonat, jaki kiedykolwiek widziałeś! - oświadczyła. - Jęczmienne placki i zsiadłe mleko, klockowe koronki, pościel z haftem angielskim i wszędzie antyki. Poczekaj tylko, Eryku Severson!

Roześmiał się.

- Maggie, zwolnij, skręcisz sobie kark na tych wysokich obcasach!

- Nie dziś. Dzisiejszej nocy chronią mnie czary!

Przez całą drogę do Fish Creek nie przestawała mówić, snując plany w sprawach tak wielkiej wagi jak ustawienie pralki, ale nie pomijając również drobiazgów: słój z cukierkami pod ręką w salonie i likier dla gości, zanim udadzą się na spoczynek. Może amaretto, a może krem kakaowy ze śmietanką na wierzchu. Zawsze była zwolenniczką kremu kakaowego ze śmietanką, powiedziała Erykowi, i uwielbiała patrzeć, jak kolory mieszają się po pierwszym łyku.

Przy domu Eryk zaparkował pod tujami i zbiegł za Maggie po szerokich schodach w dół, do odbudowanej werandy na tyłach domu. Nowa właścicielka otworzyła drzwi i weszła do środka.

- Stój, póki nie znajdę kontaktu!

Eryk usłyszał pstryknięcie, ale ciemności trwały nadal. Cztery szybkie pstryknięcia, jedno po drugim, niczego nie zmieniły.

- Do licha, musieli coś rozłączyć. Ławiccy pracowali narzędziami elektrycznymi, kiedy wczoraj wychodziłam, ale... Zaraz, poczekaj, spróbuję znaleźć inny kontakt.

W chwilę potem usłyszał głucho stuknięcie. - Och!

- Maggie, nic ci się nie stało?

- Tylko małe zadrapanie. - Kolejne pstryknięcia. - Do diabła, chyba nic nie działa.

- Mam latarkę w samochodzie. Poczekaj, przyniosę. Wrócił po chwili i zaświecił latarkę w kuchni, chwytając

w trójkąt światła Maggie. Wyglądała dziwnie na wysokich obcasach i w zamszowym zakiecie obok kozła do piłowania drzewa i sterty pokruszonego tynku.

Stali w mroku, z twarzami oświetlonymi niepewnym światłem latarki, takim jak przed laty, gdy przesiadywali na parkingu aż do świtu.

Pomyślał: „Nie powinno cię tu być, Severson”.

Ona zaś pomyślała: „Rusz się. Szybko”.

- Chodź, obejrzymy dom. Podał jej latarkę.

- Prowadź.

Pokazała mu kuchnię, gdzie wkrótce miały stanąć białe szafy kredensowe z oszklonymi drzwiami, pokój dla służby, w którym wymieniono już ścianę, małą łazienkę, wyłącznie do jej użytku, pod schodami, zaraz przy kuchni, z pochyłym sufitem i jasnoperłową boazerią, główny salon dla gości z pięknym klonowym parkietem oraz pokój muzyczny, który przeznaczała na swój prywatny salonik, rozsuwane drzwi, które mogą oddzielić oba pomieszczenia, jadalnię, gdzie będzie podawać gorące jęczmienne racuszki i kawę na śniadanie, główne schody z majestatyczną balustradą i wspornikami, trzy sypialnie dla gości na górze i czwartą, która zostanie podzielona, bo trzeba zrobić jeszcze jedno wyjście i dodatkową łazienkę.

- Najlepsze zostawiłam na koniec - powiedziała wprowadzając Eryka przez ostatnie drzwi. - To... - wyjaśniła

jest pokój z krużgankiem. - Oświetliła kolejno ściany i przeszła do drzwi w ścianie naprzeciwko. - Zobacz sam. - Otworzyła je i wyszła w chłód nocnego powietrza. - To jest mój krużganek. Prawda, że cudowny? Za dnia widać stąd zatokę, łódzie i Chambers Island.

- Patrzyłem na to wiele razy od strony wody i zawsze wyobrażałem sobie, że z takiego miejsca musi być wspaniały widok.

- To mój najlepszy pokój. Chciałam bardzo zatrzymać go dla siebie, ale doszłam do wniosku, że nie miałyby to sensu. Przecież mogę wykorzystać pokój dla służby na dale. Mam tam też, jak widziałeś, własną małą łazienkę, dostęp do kuchni i drugi salonik. Zdecydowałam więc, że pokój krużgankowy będzie apartamentem dla nowożeńców. - Poprowadziła go z powrotem, mówiąc: - Wstawię tam ogromne mosiężne łoże ze stosem haftowanych poduszek. Szafa stanie pod jedną ścianą, będzie też wielkie lustro i białe koronkowe firanki w oknach, tak żeby widok nie był nigdy całkiem zasłonięty. Oczywiście trzeba będzie odnowić podłogę i wszystkie drewniane detale. Co o tym myślisz?

- Myślę, że będziesz miała bardzo pracowitą zimę. Zaśmiała się.

- Nie mam nic przeciwko temu. Nawet z niecierpliwością na to czekam.

- I... - Spojrzał na fosforyzującą tarczę swojego zegarka. - Myślę, że powinienem odwiedzić cię do domu, zanim twoja matka dostanie ataku serca.

- Chyba masz rację. Będzie na pewno czekała, gotowa potraktować mnie tak, jakbym znowu miała czternaście lat.

- Ach, matki - wszystkie bywają czasem dokuczliwe! Szli razem w dół za ruchliwym kręgiem światła.

- Nie wyobrażam sobie, żeby twoja też taka była.

- Nieczęsto, ale i ona lubi pozrzedzić. Przyczepiła się do tego, że Nancy pracuje i wyjeżdża. Uważa, że małżeństwo

nie tak powinno wyglądać. - Kiedy doszli do końca schodów, Eryk dodał: - Problem w tym, że ja też tak uważam.

Maggie przystanąła w ciemności. Po raz pierwszy Eryk dał jej do zrozumienia, że w jego małżeństwie jest coś nie w porządku, i to skłoniło ją do poszukania jakiejś taktownej odpowiedzi.

-Maggie, zapomnij o tym, co powiedziałem, przepraszam.

- Ależ... nie ma sprawy, Eryku. Po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Kocham Nancy, Bóg świadkiem, że tak. Tyle tylko, że jesteśmy tak od siebie oddaleni, odkąd się tu sprowadziliśmy. Ona wyjeżdża na pięć dni w tygodniu, a kiedy jest w domu, ja muszę być na łodzi. Nancy nie cierpi mojej łodzi, ja nie cierpię jej pracy. Musimy jakoś rozwiązać ten problem, to wszystko.

- Każde małżeństwo ma swoje kłopoty.

- Ty miałaś?

- Oczywiście.

- Jakie? Jeśli naturalnie nie masz nic przeciw temu pytaniu.

Stali nadal w tym samym miejscu. Maggie oświetlała latarką podłogę. Między nimi leżała plama światła.

- Lubił hazard, a ja tego nie znosiłam. Dalej nie znoszę, bo w końcu to go zabiło. Samolotem, który uległ katastrofie, leciał na wycieczkę do kasyna gry w Reno. Jeździł tam raz w roku.

- Nigdy z nim nie jeździłaś?

- Raz. Ale nie podobało mi się.

- Wyjeżdżał więc bez ciebie. -Tak.

- Był nałogowym graczem?

- Nie, ale to stwarzało między nami pewien dystans. Dla niego to była po prostu rozrywka, coś, co lubił, a ja nie. Zawsze podkreślał, że pieniądze, które wydaje na hazard są jego. Oszczędzał na grę. Pytał zawsze, czy jest coś, co chcia-

łabym mieć, a czego nie mam. Nie było, oczywiście, więc co mogłam powiedzieć? Ale zawsze czułam, że są to pieniądze, które moglibyśmy wydać razem - na podróże albo... albo...

Zamilkli oboje. Mijały sekundy. Stali na tyle blisko, żeby się dotknąć, ale nie zrobili tego. Wreszcie Maggie westchnęła głęboko.

- Boże, kochałam go - wyszeptała. - I mieliśmy wszystko. Podróżowaliśmy i korzystaliśmy z różnych luksusów - kupiliśmy łódź, byliśmy członkami ekskluzywnego klubu golfowego. I nadal byśmy tak żyli - razem - gdyby tylko nie wybrał się w tę podróż. Nie wybrażasz sobie, jakie mam poczucie winy, że ciągle jestem na niego zła. Przecież to on nie żyje!

Eryk wyciągnął rękę i pogładził ją po ramieniu. -Przykro mi, Maggie. Nie chciałem wyciągać z ciebie nieprzyjemnych wspomnień.

Poruszyła się i wiedział, że otarła oczy w ciemności.

- Nic się nie stało - powiedziała. - Dowiedziałam się na mojej terapii grupowej, że uraza, jaką czuję do Phillipa, jest najzupełniej normalna. Tak jak zapewne najzupełniej normalna jest twoja uraza wobec Nancy.

- Tak, złości mnie to, ale mam także poczucie winy, bo wiem, że ona uwielbia swoją pracę i w tym, co robi, jest naprawdę cholernie dobra. I ciężko pracuje. Podróżuje po całym kraju i często wraca do hotelu dopiero o dziewiątej czy dziesiątej wieczór, a kiedy przyjeżdża do domu na weekend, zawsze ma mnóstwo papierkowej roboty. To także mnie drażni. Zwłaszcza zimą, kiedy moglibyśmy razem spędzać soboty. A ona robi wtedy sprawozdania ze sprzedaży. -Westchnął i dodał przygnębiony: - Chryste... sam już nie wiem, jak to jest.

Milczenie powróciło, ale tym razem nasycone szczególną intymnością.

- Maggie, nigdy jeszcze nikomu o tym nie mówiłem.

- Ja też nie. Tylko ludziom ze swojej grupy terapeutycznej.

-Wybrałem fatalny moment, przepraszam. Byłaś taka szczęśliwa i ożywiona, kiedy zacząłem te zwierzenia. - Nie bądź niemądry, Eryku. Od czego są przyjaciele? Nadal jestem szczęśliwa i ożywiona - w środku. - To dobrze.

Poruszyli się równocześnie i poszli za kręgiem światła przez kuchnię do drzwi werandy, gdzie Maggie zatrzymała się, aby raz jeszcze oświetlić pomieszczenie.

- Podoba mi się twój dom, Maggie.

- Mnie też.

- Z przyjemnością go obejrzę któregoś dnia, kiedy już będzie urządzony.

Żeby uratować zepsuty nastrój, Maggie powiedziała:

- Musisz przyjść na inauguracyjną herbatę w dużym salonie.

Wyszli na werandę i Maggie zamknęła drzwi. W drodze do samochodu Eryk zapytał:

- Czy będziesz tu jutro?

- I pojutrze, i każdego następnego dnia. Zaczęłam odnawianie drewnianych elementów na górze, potem przyjdzie pora na tapetowanie i zawieszanie zasłon.

- Włączę syrenę, kiedy będę przepływał W pobliżu.

- A ja pomacham ci z krużganku, jak ją usłyszę.

- Umowa stoi.

Krótki odcinek drogi do domu rodziców Maggie przejechali w milczeniu, świadomi, że tego wieczoru dokonała się subtelna przemiana w ich wzajemnych stosunkach.

Powróciło wzajemne zainteresowanie sobą. Tłumione, ale powróciło. Mówili sobie w duchu, że to nic nie znaczy, że ten wieczór był wprawdzie szczególny, ale już nigdy się nie powtórzy. Ona zajmie się swoimi sprawami, on swoimi. Jeśli się przypadkiem spotkają na ulicy, wymienią przyjazne „cześć” i żadne nawet nie wspomni, jak dobrze czuli się razem w październikową noc, jak byli sobie bliscy, świętując jej zwycięstwo przed budynkiem sądu. Zapomną, że nieświadomie zwrócił się do niej „Maggie, moja dziewczyn-

ko" i przyznał, że w małżeństwie nie układa mu się najlepiej.

Zahamował przed domem, ale trzymał samochód na luzie. Maggie siedziała odsunięta, dotykając niemal prawym biodrem drzwi. Zasłony w oknach domu były zasunięte, ale paliło się światło.

- Bardzo ci dziękuję, Eryku.

- To była przyjemność dla mnie - powiedział miękko. Patrzyli na siebie w nikłym świetle tablicy rozdzielczej,

ona z teczką dokumentów i papierów przyciśniętą do piersi, on z rękami na kierownicy.

Pomyślała: „Jakie to byłoby łatwe!”

On pomyślał: „Wysiadaj, Maggie, szybko”.

- Do widzenia - powiedziała.

- Do widzenia... i powodzenia.

Znalazła klamkę i nacisnęła, ale drzwi zacięły się, jak zwykle. Pochylił się, żeby jej pomóc, i w tej krótkiej chwili jego ramię otarło się o pierś Maggie.

Drzwi się otworzyły i Eryk znów usiadł wyprostowany.

- Proszę, już w porządku.

- Dziękuję jeszcze raz. Dobranoc - powiedziała Maggie, wysiadając z samochodu i zatrzasnąjąc za sobą drzwi, zanim mógł coś odpowiedzieć.

Zmienił bieg i odjechał natychmiast, kiedy dochodziła do schodków. Dotknęła rozpalonej twarzy i pomyślała: „Matka się domyśli! Będzie wiedziała! Już czeka za drzwiami”.

Czekała.

- No i?... - zapytała.

- Zaraz ci wszystko opowiem, mamó. Ale muszę najpierw pójść do toalety.

Pobiegła na górę, zamknęła drzwi od łazienki i oparła się o nie z zamkniętymi oczami. Potem podeszła do lustra i zaczęła się przyglądać swemu odbiciu. Wyglądała zaskakująco normalnie, nie miała nawet wypieków, mimo ładunku emocji, który jeszcze przed chwilą wypełniał szoferkę bagażówki.

Jest żonaty, Maggie. Wiem.

Więc to koniec. Wiem.

Masz się trzymać od niego z daleka. Dobrze.

Ale składając sobie w duchu to przyrzeczenie wiedziała, że go nie dotrzyma.

Rozdział 7

Syrena „Mary Deare” zawyła następnego popołudnia z całą mocą, godną przedwojennego parowca. Buuu!...

Mimo odległości zadrżały szyby i podłogi.

Maggie uniosła głowę. Siedziała w kucki, z pędzlem w ręku, napięta, czując mrowienie w całym ciele. Kiedy syrena zabrzmiała ponownie, wstała i pobiegła przez górny hall i sypialnię prosto na krużganek. Ale widok na drogę zasłaniały wierzchołki klonów, jeszcze całe w liściach. Stała w gęstym cieniu, biodrami przywarła do balustrady. Bicie serca ustało i ogarnęło ją nagle rozczarowanie.

Co ty wyprawiasz, Maggie?

Odstąpiła o krok, przywołując się do porządku.

Co ty wyprawiasz, lecąc tak na pierwszy gwizdek jego łodzi?

Jak gdyby ktoś ją głośno skarcił, pokornie odwróciła się i weszła z powrotem do domu.

Potem już codziennie rozlegała się syrena, zawsze zaskakując ją, zmuszając do przerywania każdej czynności i rzucenia okiem w stronę okna. Ale nigdy nie biegła, tak jak pierwszego dnia. Powiedziała sobie, że zauroczenie Erykiem to po prostu reakcja na powrót w rodzinne strony. Był częścią jej przeszłości, Door County było częścią przeszłości, więc wszystko się zgadzało. Powiedziała sobie, że nie ma prawa myśleć o nim i wyobrażać sobie, że on także

o niej myśli. Sama zawsze nisko ceniła kobiety, które romansowały z żonatymi mężczyznami. Puszczalskie, mówiła o takich jej matka. „Ta Sally Bruer, to puszczańska” - powiedziała Vera kiedyś przed laty o młodej kobiecie, którą Maggie pamiętała jako rudowłosą ślicznotkę z dużym biustem, szczebioczącą za kontuarem z lodami w sklepie na rogu. Zawsze jednak była miła dla dzieci i dawała im większe porcje.

Kiedy Maggie miała siedem lat, podsłuchiwała, jak matka rozmawia z paniami z kółka krawieckiego na temat Sally Bruer. „Tak się kończy puszczenie - mówiła Vera. - Skrobanką. I nie wiadomo, czyje to dziecko, bo puszczała się z każdym Tomem, Dickiem i Harrym w całej okolicy. Ale mówią, że to Krzywy Rooney”. Był to miejscowy gracz w baseball, który zawdzięczał przydomkowi sposobowi rzucania piłki. Jego ładna młoda żona przychodziła na każdy mecz z trójką pyzatyh dzieci i Maggie widziała ją wiele razy, kiedy sama zaczęła chodzić na mecze z ojcem. Czasem grywała z najstarszym chłopcem w cieniu trybuny. Dopiero w wieku dwunastu lat dowiedziała się, co to znaczy skrobanka, i zawsze było jej potem żal dzieci Krzywego Rooneya i jego ładnej żony.

Nie, Maggie nie chciała być puszczańską. Ale syrena statku wzywała ją każdego dnia i jej reakcją było za każdym razem poczucie winy. W połowie października wyjechała na dwa dni do Chicago, aby wybrać meble. W Old House Store kupiła stojącą umywalnię, wannę na nóżkach i mosiężne krany do nowej łazienki. W Heritage Antiques odkryła wspaniałe ręcznie rzeźbione dębowe łóżko do jednej z sypialni, a w firmie Bell, Book and Candle mahoniowy stół z marmurowym blatem oraz parę wysokich zapinanych butów wyglądających na zupełnie nie używane, które kupiła dla kaprysu jako stylowy akcent do któregoś z pokoi gościnnych. Wyobrażała sobie, jak stoją na podłodze przy wysokim lustrze.

Tego wieczoru zaprosiła Katy na obiad. Katy wybrała miejsce - mały pub w Asbury, odwiedzany przez studentów college'u - i zachowywała się z rezerwą podczas jazdy samochodem. Kiedy już usiadły naprzeciwko siebie przy stoliku, natychmiast zagłębiła się w menu.

Maggie powiedziała:

- Czy mogłybyśmy porozmawiać, Katy? Katy spojrzała na nią uniósłszy wysoko brwi:
- O czym?
- O moim wyjeździe z Seattle. Przypuszczam, że z tego powodu jesteś taka milcząca od chwili, gdy się spotkałyśmy.
- Wolałabym nie, mamó.
- Ciagle jesteś zła.
- A ty byś się czuła inaczej?

Dyskusja zaczęła się w niedobrym momencie i niczego nie rozwiązała. Katy była nastawiona bardzo agresywnie. Kiedy skończyły posiłek, uczucia Maggie stanowiły mieszaninę winy i tłumionej rozpacz, ponieważ Katy nie udzieliła jej swego błogosławieństwa na przeprowadzkę do Door County. Gdy rozstawały się przed akademikiem, Maggie zapytała:

- Przyjedziesz do domu na Święto Dziękczynienia, prawda?
- Do domu? - powtórzyła Katy ironicznie.
- Tak. Do domu. Katy podniosła głowę.
- Chyba tak. Gdzie mogłabym pojechać?
- Postaram się, żeby twój pokój był już gotowy.
- Dziękuję. - Nie było wdzięczności w tym słowie, które Katy rzuciła, sięgając już do klamki.
- Nie uściskasz mnie?

Katy uczyniła zdawkowy gest, w najlepszym razie zdawkowy, może nawet niechętny, i kiedy się pożegnały, Maggie ogarnęło znowu poczucie winy, którego nie powinna mieć -dobrze o tym wiedziała.

Wróciła do Door County nazajutrz, kiedy to nadeszła wiadomość o sprzedaży domu w Seattle. Elliott Tipton prosił o natychmiastowy kontakt. Wystukując jego numer, spodziewała się, że chodzi o kolejne opóźnienie, bo kupujący czekają na zatwierdzenie swoich pożyczek. Usłyszała jednak, że tym razem trafił się kandydat z gotówką, który tymczasowo wynajmuje pokoje w motelu po przeniesieniu swego przedsiębiorstwa z Omaha. Zależało mu na jak najszybszym sfinalizowaniu transakcji.

Jeszcze w tym samym tygodniu Maggie poleciała do Seattle.

Przeprowadzka odbyła się w sposób absolutnie wyprany z emocji, tak jak się spodziewała, może dlatego, że wszystko potoczyło się tak szybko. Po przyjeździe spędziła w domu dwa pracowite dni, wyrzucając napoczęte keczupy i majonezy z lodówki, pozbywając się butelek z terpentyną i innymi łatwopalnymi płynami, których nie wolno przewozić, wykopując i usuwając zwiędłe rośliny, oddając niektóre sprzęty i ubrania Armii Zbawienia. Trzeciego dnia wkroczyli ludzie z przedsiębiorstwa transportowego i zaczęli pakowanie. Czwartego Maggie podpisała się dwadzieścia cztery razy i wręczyła klucze nowym właścicielom. Piątego wróciła samolotem do Door County, aby stwierdzić, że Dom Hardinga uległ wyraźnym zmianom.

Skończono malowanie, nie było już rusztowań. Oryginalne wiktoriańskie kolory sprawiły, że dom cały aż jaśniał. Maggie postawiła walizkę i zaczęła obchodzić go dookoła, uśmiechnięta, raz po raz dotykając dłonią ust. Pragnęła, aby był z nią ktoś, z kim mogłaby podzielić się swym podnieceniem i radością. Podniosła głowę, aby spojrzeć na krużganek, na okienne występy poniżej i znów wyżej, na czerwono-żółte szczyty dachu, i jeszcze raz niżej, na szerokie frontowe wejście. Malarze zmuszeni byli wyciąć krzaki, żeby dostać się do samego dołu budynku, i odsłonili dzięki temu kraty u dołu drzwi. Wyobraziła sobie, jak prześlizguje się przez nie kot, aby ułożyć się do snu na chłodnym żwirze

w słoneczny letni dzień. Przeszła na brzeg jeziora, pragnąc spojrzeć na dom poprzez częściowo ogołoczone klony, których liście, rozrzucone na trawniku, tworzyły rdzawy dywan. Do domu weszła przez kuchnię, gdzie już położono glazurę, a ściany, gładkie, białe i puste, oczekiwały na szafki. Postawiła walizkę i zaczęła nasłuchiwać.

Gdzieś w głębi domu grało radio, nadając piosenkę George'a Straita przy akompaniamencie rytmicznego szelestu kładzonej tapety. Maggie poszła za tym dźwiękiem przez hall frontowy, gdzie słońce wzbogacone barwami witrażu tworzyło wachlarz ciepłego blasku, sięgając podłogi pokoju muzycznego.

Maggie podniosła głowę i zawołała w stronę schodów: -Hej!

- Hej! - odpowiedział męski głos. - Jestem tutaj!

Znalazła jego właściciela w jednej z mniejszych sypialni. W przyprószonym białą kombinezonie stał na grubej desce między dwiema drabinami, zajęty szlifowaniem ściany.

- Dzień dobry - powiedziała zaskoczona od drzwi. -A gdzie są bracia Ławiccy?

- Pojechali wykonać jakieś małe zlecenie. Jestem Nordvik, tynkarz.

- A ja Maggie Stearn, właścicielka. Przesuwał się wzdłuż ściany z papierem ściernym.

- Dom ładnie się prezentuje.

- Z całą pewnością. Kiedy wyjeżdżałam, nie było ogrzewania ani ścian w kuchni. O Boże, jest już także łazienka i zapasowe wyjście!

-Tak, wszystko idzie dobrze. Hydraulik zainstalował i ogrzewanie już na początku tygodnia i murarze wkroczyli tego samego dnia. Aha, prawda, przyjechały dziś z Chicago meble i reszta rzeczy.

Kazaliśmy wyładować wszystko w największym pokoju. Mam nadzieję, że dobrze zrobiliśmy.

- Tak, dziękuję.

Maggie zbiegła na dół, żeby obejrzeć swoje antyki w dużym salonie, i na chwilę doznała uczucia pełnego uspokojenia: wszystko szło tak dobrze, przyszłość malowała się tak różowo, że po prostu musiała się tym z kimś podzielić.

Zadzwoiła do Brookie.

- Brookie, musisz przyjechać i obejrzeć dom. Jest już pomalowany z zewnątrz i prawie przygotowany do malowania w środku, a ja właśnie wróciłam z Seattle, sprzedałam tam dom, a z Chicago nadeszły pierwsze antyki i... - przerwała, żeby nabrać tchu. - Przyjedziesz, Brookie?

Brookie przyjechała, aby podzielić jej radość; z konieczności przywiozła ze sobą Chrissy i Justina, którzy zaczęli zwiedzać wielkie, puste pokoje i bawić się w chowanego w szafach, podczas gdy Maggie oprowadzała po domu ich matkę. Nordvik wyniósł się na resztę dnia. Panowała cisza, dom wypełniał zapach świeżego gipsu i mocniejszy - kleju do glazury z nowej łazienki. Maggie i Brookie przeszły przez wszystkie pomieszczenia na górze i zatrzymały się na koniec w pokoju z krużgankiem w ciepłej smudze słońca; z dołu dochodziły głosy dzieci.

- To wspaniały dom, Maggie.

-Prawda? Myślę, że cudownie będzie mieszkać tutaj. Tak się cieszę, że zmusiłaś mnie wtedy do jego obejrzenia. Brookie podeszła do okna i przysiadła na parapecie.

- Słyszałam, że przed paroma tygodniami widziałaś się z Erykiem.

- Och, Brookie, teraz ty!

- O co ci chodzi?

- Matka o mało nie dostała szału, bo pojechaliśmy razem do Sturgeon Bay na posiedzenie rady.

- Och... o tym nie słyszałam. Czy coś się stało? - Brookie uśmiechnęła się chytrze.

- Och, Brookie, naprawdę! Przecież to ty kazałaś mi dorosnąć!

Brookie wzruszyła ramionami.

- Chciałam tylko zapytać.

- Więc tak, coś się stało. Otrzymałam zezwolenie na prowadzenie pensjonatu.
- Wiem, chociaż moja najlepsza przyjaciółka nie raczyła zadzwonić i powiedzieć mi o tym.
- Przepraszam. To wszystko było takie zwariowane - podróż do Chicago, potem do Seattle. Nie potrafię ci powiedzieć, jaka będę szczęśliwa, kiedy odzyskam swoje rzeczy. Gdy tylko będę miała patelnię i wiadro, żeby móc przynosić wodę z jeziora, wyprowadzę się z domu matki.
- Ciągle tak źle?
- Nie zmieniło się ani trochę na lepsze od czasów szkolnych. Czy wiesz, że nie pofatygowała się nawet, żeby obejrzeć dom?
- Och, Maggie, tak mi przykro!
- Co takiego jest między moją matką i mną? Jestem jej jedyną córką. Powinniśmy być sobie bliskie, ale czasami, przysięgam ci, Brookie, ona zachowuje się, jakby była zazdrosna!
- O co?
- Nie wiem. O moje stosunki z ojcem. O moje pieniądze, o ten dom. O to, że jestem od niej młodsza. Kto wie? Bardzo trudno ją rozgryźć.
- Na pewno niedługo przyjdzie obejrzeć dom. Każdy to zrobi, bez wątpienia. O tym domu mówi się w Fish Creek. Loretta McConnell opowiada każdemu, że zostawiłaś dawną nazwę na cześć jej przodków i że przywracasz budowli oryginalne kolory. Nie ma nikogo, kto by tędy przejeżdżał i nie popatrzył z zaciekawieniem na twój dom. Naprawdę pięknie wygląda.
- Dzięki. - Maggie usiadła obok przyjaciółki. - Ale wiesz co? - Wpatrzyła się w białą ścianę, podczas gdy z dołu dochodziły odgłosy zabawy dzieci. - Kiedy widzę, jak on się zmienia, jak dokonuje się tu coś nowego - odczułam to dzisiaj po wejściu - wtedy mam wrażenie... - Maggie przycisnęła dłoń do piersi - ...poczucie wielkiej pustki, bo nie istnieje nikt, z kim mogłabym dzielić radość. Gdyby żył

Phillip... - Opuściła rękę i westchnęła. - Ale nie żyje, prawda?

- Nie. - Brookie wstała. - Ty natomiast dokonasz wszystkiego sama i każdy w mieście, włącznie z twoją matką, będzie cię podziwiał. - Objęła Maggie i przyciągnęła ją do siebie.

Z uśmiechem wdzięczności Maggie powiedziała:

- Dzięki, że przyjechałaś. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Objęte ramionami przeszły do sąsiedniego pokoju, żeby znaleźć dzieci.

W ciągu następnych dni, kiedy Maggie obserwowała, jak dom nabiera charakteru, chwile przygnębienia powracały, zwłaszcza pod wieczór, gdy nie było już robotników i sama krążyła po pokojach, rozmyślając, jak dobrze byłoby mieć kogoś przy sobie. Nie mogła codziennie ściągać Brookie; Brookie miała własną rodzinę i obowiązki. Roy pojawiał się często, ale jego entuzjazm osłabiała okoliczność, że nigdy nie towarzyszyła mu Vera. Ojcu było przykro.

Szafki kuchenne zostały zawieszane, nowa łazienka wyposażona w stylową wannę i umywalnię, i nareszcie z kranów popłynęła woda. Meble Maggie przybyły z Seattle, wyprowadziła się więc z domu rodziców z wielką ulgą. Pierwszą noc w Domu Hardinga spędziła w pokoju krużgankowym, chociaż stało tam tylko szerokie łóżko Katy, stolik i lampa. Jej meble czekały stłoczone w garażu i mieszkaniu nad nim, aż zostaną wykończone parkiety, w domu. Maggie znalazła także stare drzwi odpowiednie do dodatkowego wyjścia na górze; oskrobała je i polakierowała, a potem obserwowała, jak umieszcza je na zawiasach Joe Ławicki. Kiedy jednak światło po raz pierwszy wpadło przez wprawioną w drzwi szybkę, znowu zatęskniła za kimś, z kim mogłaby dzielić podobne chwile.

Październik widziany z pokładu „Mary Deare” był okresem nieporównywalnym z żadnym innym.

Woda błękitna

jak niebo odbijała każdą zmianę jesiennych barw. Drzewa żółkły i purpurowiały w tej samej co zawsze kolejności -najpierw amerykańskie białe orzechy, potem orzechy włoskie, zielone jesiony, lipy, klony cukrowe, a na koniec klony norweskie. W miarę jak mijały dni, Eryk obserwował zapie-
rający dech w piersiach spektakl z podziwem i zachwytem, który co roku ogarniał go na nowo. Bez
względu na to, ile razy oglądane, nadejście jesieni nigdy nie było nudne.

Tego roku obserwował zmiany w przyrodzie ze wzmożoną ciekawością, bo każdy opadły liść
odślaniał kolejny fragment domu Maggie. To było jak fatum - naganne zainteresowanie kobietą, która
nie jest jego żoną. Jednakże przepływając codziennie obok Domu Hardinga przyłapywał się na tym,
że nie może oderwać oczu od wyłaniających się spoza drzew ścian i włącza syrenę. Zastanawiał się,
czy Maggie kiedykolwiek zbliża się do okna, żeby zobaczyć, jak on przepływa, i czy wychodzi na
krużganek.

Często myślał o tamtej nocy, kiedy błądzili w ciemnościach domu i dzieliła ich tylko wiązka światła z
latarki. To było niemądre; gdyby rzecz wyszła na jaw, języki poszłyby w ruch. A przecież
jednocześnie było to całkowicie niewinne. Czy jednak było? Towarzyszyło temu jakieś nostalgiczne
uczucie, od chwili kiedy zabrał ją z domu jak w dawnych szkolnych czasach. Potem uścisk na
schodach sądu, jazda powrotna do Fish Creek i zwierzenia w ciemnym domu. W chwilach gdy myślał
racjonalniej, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa ponownego zbliżenia się do Maggie, ale potem
mówił sobie: cóż złego może wymknąć z dźwięku syreny na wodach zatoki?

W ostatnim tygodniu października gałęzie jej klonów były już prawie nagie i wydawało mu się, że raz
dostrzegł ją w oknie pokoju z krużgankiem, ale nie był pewien, czy nie zwiódł go po prostu kolorowy
refleks szyby.

Listopad sprawił, że wody zatoki stały się zimne i opustoszały. Flotylla jesiennych liści zniknęła pod
nimi niby skarby z zatopionego okrętu. Nadszedł ten okropny, nie-

unikniony dzień, kiedy ostatni wędkarze przyjechali i odjechali, i trzeba było przygotować „Mary Deare” na zimę. Co roku powtarzało się to samo, oczekiwanie wolnego czasu i poczucie beznadziei, kiedy już nadszedł. Hedgehog Harbor też wyglądało beznadziejnie, wyciszone brakiem wszelkiej aktywności - nikt nie wyładowywał łodzi, żadni rybacy we włożonych na bakier czapkach nie pozowali do zdjęć, nie słychać było silników, sygnałów czy okrzyków. Nawet mewy - kapryśne ptaki - zniknęły, kiedy ustała sezonowa dostawa żywności. Jerry Joe i Nicholas wrócili do szkoły, a mama wyłączyła nadajnik radiowy aż do wiosny. Spędzali teraz czas na oglądaniu serialów w telewizji i wyrabianiu z kolorowej, twardniejącej pianki motylków z magnezem w odwłokach, które to motylki przyczepiała następnie na drzwiach lodówki. W ciągu tych cichych, rześkich, zapowiadających śnieg dni Eryk wysprzątał po raz ostatni „Mary Deare”, zabezpieczył silnik, owinał go brezentem, wyciągnął łódź z wody i umieścił na kołysce. Mike zrobił to samo z „The Dove”, a następnie zniknął w swojej hali nr 20, aby przygotować drewno na zimę. Dźwięk piły mechanicznej rozchodził się czasem w ciszy na odległość pół mili, nasilając się i opadając, nasilając i opadając z monotonną regularnością, która wzmagała tylko melancholię.

Eryk kazał mu odejść; sam to skończy. Kiedy już stanowisko do oprawiania ryb zostało wyszorowane, doki opróżnione z wody, wędki i sieci złożone na zimę i wszystkie szopy opatrzone, Eryk spędził kilka niespokojnych dni w domu, jedząc rogaliki z orzechami i pijąc kawę w samotności, robiąc od czasu do czasu niewielką przepierkę, ustawiając pojemniki z przyprawami w szafce kuchennej. Zima zapowiadała się długa i samotna. Wyobrażał sobie, że jest z nim w domu Nancy albo że oboje jadą na południe, może na Florydę, jak robiło to tylu innych rybaków z Door w czasie zimy.

W dniu, kiedy dom stał się zbyt pusty, poszedł do lasu, aby pomóc Mike'owi.

Znalazł brata pracującego samotnie przy maszynie. Hałasował silnik benzynowy umieszczony na niskim wózku. Eryk przeczekał narastający ryk, z którym pneumatyczny taran powoli popychał pień ku tarczy piły. Drzewo trzasnęło, rozpadło się i na ziemi leżały już dwa kawałki.

Kiedy Mike pochylił się, żeby podnieść jeden, Eryk zawołał:

- Hej, bracie!

Mike wyprostował się i odłożył drewno na bok.

- Hej, co tu robisz?

- Pomyślałem, że przydałaby ci się mała pomoc. - Wkładając wysłużone skórzane rękawiczki na ręce, Eryk podszedł do platformy. Odłożył na stos drugi kawałek drewna i sięgnął po cały pień.

- Nigdy z tym nie skończę. Potrzeba góry drewna, żeby ogrzać dom przez zimę - powiedział Mike.

Włączył silnik i hałas znowu zaczął narastać, gdy pień ruszył w stronę tarczy. Eryk spróbował przekrzyczeć głośną pracą maszyny:

- Myślałem, że w tym roku zainstalujesz piec gazowy.

- Ja też, ale Jerry Joe zdecydował się na college, więc piec musi poczekać.

- Potrzebujesz forsy, Mike? Mogę ci pożyczyć. Wiesz, że zrobię wszystko dla tego chłopaka.

- Dziękuję, ale chodzi nie tylko o Jerry'ego. Jest jeszcze coś.

-Co?

Kolejny pień został przepołowiony i spadł na ziemię. Mike podniósł kawałki drewna i powiedział:

- Barbara znowu jest w ciąży.

Ocieężałym ruchem rzucił je na stos i stał, przyglądając mu się spode łba.

Eryk nie poruszył się, pozwalając, aby wiadomość przeniknęła w niego, i czując ciężar zazdrości w piersi: jeszcze jedno dziecko dla Mike'a i Barb, którzy mieli ich już pięcioro w wieku od sześciu do osiemnastu lat, podczas gdy on

i Nancy - żadnego. Ale jego zazdrość wyparowała równie szybko, jak się pojawiła. Podniósł kawałek dębiny, położył go na stosie i powiedział pogodnie:

- No to uśmiechnij się, chłopie!

- Uśmiechnij! Ciekawe, czy ty byś się uśmiechał, gdybyś właśnie dowiedział się, że będziesz miał szóste dziecko?

- Z całą pewnością, zwłaszcza gdyby wszystkie poprzednie były podobne do Joe'ego!

- Na wypadek, gdybyś tego nie wiedział, powiem ci, że tak się nie zdarza, każde jest inne i każde nosi inny numer butów. Najpierw wszystkie potrzebują szczepionek i dostają zapalenia ucha, kolki i odry, a potem zużywają dwa tysiące cholernie drogich pieluch. W dodatku Barb ma już czterdzieści dwa lata. - Mike popatrzył ponuro na nagie drzewa wokół i jęknął: - Chryste!

Między braćmi pracowała bez ładunku zapomniana teraz maszyna.

- Jesteśmy już na to za starzy, cholera jasna - powiedział wreszcie Mike. - Do diabła, uważaliśmy, że jesteśmy za starzy już ostatnim razem, kiedy urodziła się Lisa.

Eryk wyłączył silnik, podszedł do Mike'a i klepnął go po ramieniu.

- Nie martw się. Czyta się wszędzie, że po czterdziestce mężczyźni robią się coraz młodszy, a kobiety coraz później miewają dzieci i wszystko idzie dobrze. Parę lat temu czytałem o kobiecie, która urodziła dziecko w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Chyba gdzieś w Afryce.

Mike roześmiał się smętnie i usiadł na pieńku. Westchnął i mruknął:

- A, niech to szlag... - i dopiero po długiej chwili spojrzął z niezadowoleniem na Eryka. - Wiesz, jaki będę stary, kiedy to dziecko skończy szkołę średnią? Już na emeryturze, właśnie tak. Barb i ja chcieliśmy mieć przedtem trochę czasu dla siebie.

Eryk przykucnął i zapytał:

- Jeżeli nie planowaliście dziecka, to jak to się stało?

- Do diabła, nie wiem. Przypuszczam, że jesteśmy szczególnym przypadkiem z jednej z tych statystyk. Jak to jest? Dziesięć na tysiąc, mimo kontroli urodzin.

- Nie wiem, czy cię to może pocieszyć, ale myślę, że jesteście z Barb najlepszymi rodzicami, jakich znam. Sposób, w jaki wychowujecie swoje dzieci... Do diabła, świat powinien być wdzięczny, że będzie jeszcze jedno!

Ta uwaga wywołała wreszcie cień uśmiechu na twarzy Mike'a.

- Dzięki.

Obaj bracia siedzieli w milczeniu przez jakiś czas, aż Eryk odezwał się znowu:

- Wiesz, na czym polega ironia losu?

- Na czym?

- Ze podczas gdy ty siedzisz tu i martwisz się jeszcze jednym dzieckiem, ja siedzę obok i piekielnie ci tego zazdroszczę. Wiem, ile masz lat, bo jestem tylko o dwa lata młodszy, i mój czas już ucieka.

- Więc co cię powstrzymuje?

- Nancy.

- Tak myślałem.

- Nie chce mieć dziecka.

Po kilku sekundach milczenia Mike stwierdził:

- Wszyscy w rodzinie tak przypuszczają. Nie chce rzucić swojej pracy, prawda?

- Nie - powiedział Eryk, po czym dodał: - Nie chcę myśleć, że zbzikowała na punkcie utraty figury. To było zawsze dla Nancy bardzo ważne.

- Rozmawiałeś z nią, powiedziałeś jej, że chcesz mieć dzieci?

- Tak, rozmawiam z nią o tym już od sześciu lat. Czekałem, myśląc, że któregoś dnia powie „tak”, ale to nigdy nie nastąpi. Wiem o tym, doszło już między nami do otwartej wojny.

Znowu siedzieli w milczeniu, podczas gdy hałaśliwe stado jaskółek gospodarowało w pobliżu, w niskopiennym lasku.

- Do diabła, chodzi jeszcze o coś. O Fish Creek. Nienawidzi tego miejsca. Jest szczęśliwsza w podróży niż w domu.

- Mogłeś się tego spodziewać.

- Może mogłem, ale nie myślałem o tym. Nie chciała się tu przeprowadzić.

- Ale to nie znaczy jeszcze, że nienawidzi wracać do domu.

-Zawsze powtarzała, jak bardzo nie lubi wyjeżdżać w poniedziałek, ale teraz już tego nie słyszę. - Eryk przyglądał się jaskółkom. Rozszczebiotane szybowały tuż nad ziemią. Wychował się wśród ptaków, wodnych i lądowych. W pierwsze Boże Narodzenie po ślubie Nancy ofiarowała mu piękny album ptaków Audubona i napisała w dedykacji: „Bo za nimi tęsknisz”. Przed przeprowadzką z Chicago zapakowała go wraz ze stertą innych do pudła i oddała jakiejś instytucji dobroczynnej bez jego wiedzy. Obserwując jaskółki w ten chłodny jesienny dzień, żałował nie pięknej książki, lecz uczucia, której była wyrazem. - Wiesz, co o tym myślę?

-Co?

Eryk odwrócił się do brata.

- Myślę, że przestaliśmy dawać, tylko braliśmy. - Po chwili głębokiego milczenia ciągnął dalej: - Sądzę, że to się zaczęło, kiedy się tu sprowadziliśmy. Była temu absolutnie przeciwna, ale ja to zlekceważyłem. Chciałem mieć dzieci, rodzinę, ona swoją karierę, i tak zaczęła się między nami zimna wojna. Na pozór wszystko wyglądało dobrze, ale psuło się od środka.

Stado jaskółek odfrunęło. Z daleka dobiegło krakanie pary kruków. Na polanie panował spokój pod stalowoszarym niebem, które zdawało się odbijać nastrój Eryka.

- Hej, Mike - odezwał się znów po krótkim milczeniu - czy nie uważasz, że ludzie, którzy nie mają dzieci, stają się z czasem egoistami?

- Za bardzo uogólniasz.

- A jednak odnoszę wrażenie, że tak właśnie się dzieje. Kiedy masz dzieci, zmuszony jesteś przede wszystkim myśleć o nich, i nawet jeżeli jesteś śmiertelnie zmęczony, wstajesz, żeby się zająć dzieckiem. Wtedy gdy zachoruje, kaprysi albo kiedy cię po prostu potrzebuje. - Natomiast kiedy jest się tylko we dwoje... do diabła, nie wiem, jak to powiedzieć. - Eryk podniósł kawałek kory i zaczął ją obłupywać.

Po chwili zapomniał o tym zajęciu i wpatrzył się w dal.

- Pamiętasz, jak to było z mamą i naszym starym? Przez cały dzień zajmowała się biurem, wieczorem prała w tej starej pralce i rozwieszała bieliznę przy klientach, karmiła nas, dzieci, i prawdopodobnie występowała jako rozjemca w tuzinie sporów, a potem schodziła jeszcze, żeby pomóc ojcu w oczyszczaniu ryb? I wiadomo było, że będą się tam śmiać. Pamiętam, jak leżałem w łóżku i zastanawiałem się, z czego mogą się śmiać nad koszem z odpadkami o wpół do jedenastej w nocy. Świerszcze grały, woda chlupotała przy łodziach, a ja leżałem nasłuchując, jak się zaśmiewają, i czułem się cholernie dobrze. Bezpiecznie. A pewnego razu - pamiętam to tak dokładnie, jakby zdarzyło się wczoraj - wszedłem do kuchni późno w nocy, kiedy już dawno powinniśmy spać, i wiesz, co zobaczyłem?

-Co?

- Że ojciec myje mamie nogi.

Bracia wymienili długie spojrzenie, zanim Eryk zaczął mówić dalej:

- Siedziała na kuchennym krześle, a on klęczał przed nią i mył jej stopy. Miała zamknięte oczy i odchyłoną do tyłu głowę. Nic nie mówili. Trzymał jej namydlone stopy nad miską i powoli je masował. - Przerwał na chwilę, zamyślił się. - Nigdy tego nie zapomnę. Tych jej ciężkich, biednych stóp, które zawsze tak bardzo ją bolały, i naszego starego na klęczkach.

Raz jeszcze bracia zapadli w milczenie pełne wspomnień. Eryk rzekł cicho:

- Takiego właśnie małżeństwa chciałem, ale go nie mam. Mike oparł łokcie o kolana.
- Może jesteś za wielkim idealistą.
- Może.
- Małżeństwa buduje się na różnych podstawach.
- Nasze runęło, w każdym razie od czasu, gdy zmusiłem Nancy do przeniesienia się do Fish Creek. Teraz widzę, kiedy zaczęły się nasze kłopoty.
- I co masz zamiar zrobić? - Nie wiem.
- Rzucisz łowienie?
 - Nie mogę. Za bardzo to kocham.
- Więc ona zrezygnuje z pracy? Eryk pokręcił niechętnie głową. Mike wziął do ręki dwie gałązki i zaczął je łamać na kawałki.
- Boisz się?
 - Tak... - Eryk spojrział przez ramię. - Człowiek bardzo się boi, kiedy musi po raz pierwszy jasno postawić sprawę. - Przełknął ślinę. - Dopóki nie przyzna sam przed sobą, że jego małżeństwo się rozpada, wciąż się łudzi, że ono jakoś przetrwa...
- Kochasz ją?
 - Powinienem. W pewnym sensie nie zmieniła się - jest wciąż piękna, inteligentna i bardzo pracowita. Dlatego przecież się z nią ożeniłem. Zdobyła dobrą pozycję w firmie.
- Ale czy ją kochasz?
 - Teraz już nie wiem.
 - A jak wam jest ze sobą w łóżku?
Eryk zaklął cicho i rzucił przed siebie kawałek kory. Oplótł ramionami kolana i pochylił głowę.
- Do diabła, sam nie wiem.
- Jak to nie wiesz? Może cię zdradza?
 - Nie, nie wydaje mi się.

- A ty ją? -Nie.

- Więc o co chodzi?

- Ciągłe ten sam stary problem. Kiedy się Kochamy... -Trudno to było wypowiedzieć.

Mike czekał cierpliwie.

- Wszystko jest w porządku, dopóki nie wychodzi z łóżka, żeby użyć tej cholernej galaretki antykoncepcyjnej, bo wtedy czuję, że... - Przygryzł wargi i skóra na policzkach wyraźnie mu się napięła. - ... że chciałbym rzucić tym opakowaniem o ścianę. Kiedy Nancy wraca, mam ochotę ją odepchnąć.

Mike westchnął. Zastanawiał się, jakiej rady udzielić bratu.

- Oboje powinniście z kimś porozmawiać - z lekarzem albo z psychologiem.

- Kiedy? Wyjeżdża na pięć dni w tygodniu. Zresztą nie wie, co myślę o takim seksie.

- Nie powinienes jej powiedzieć?

- To by ją zabiło.

- A tak zabija ciebie.

-Mhm... - przytaknął Eryk z rezygnacją, spoglądając przez ogołoczone z liści drzewa na zachmurzone srebrne niebo. Siedział długo, skulony jak kowboj nad ogniskiem. Wreszcie westchnął, wysunął przed siebie nogi i przyjrzał -się swoim wypchanym na kolanach džinsom. - Idiotyczna historia, prawda? Ty masz więcej dzieci, niż chcesz, a ja żadnego.

- Tak. To idiotyczne.

- Czy mama już wie? - Eryk spojrzał na Mike'a.

-Że Barb jest w ciąży? Nie. Będzie miała niemało do powiedzenia, jestem pewien.

- Nigdy nic nie mówi o tym, że nie mamy dzieci, natomiast stale krytykuje wyjazdy Nancy. Musi sobie trochę pogadać.

- Została wychowana po staroświecku, a ponieważ całe

życie pracowała razem z mężem, uważa, że tak powinno być.

Zadumali się na chwilę nad swoim obecnym i dawnym życiem. W końcu Eryk rzekł:

- Coś ci powiem, Mike. -Co?

- Czasami zastanawiam się, czy mama nie ma racji. Trzy dni później, w sobotni wieczór po późnej kolacji

w domu, Nancy usiadła wygodnie, bawiąc się szklaneczką chablis i skubiąc winogrona. Atmosfera była przyjemna, panował nastrój rozleniwienia. Wiatr atakował dachówki i rozkołysał cedry, tak że tłukły się o metalową rynnę, i stłumiony odgłos tych uderzeń przenikał przez ściany. Światło świecy odbijało się w gładkiej powierzchni stołu i wzbogacało wzór na lnianych serwetkach.

Patrzyła na swego męża z uznaniem. Ogolił się przed kolacją, ale usiadł do stołu nie uczesany. Zresztą ze swobodnie opadającymi włosami wyglądał bardzo atrakcyjnie. Był w džinsach i bluzie (nowy fason), którą przywiozła mu od Neumana-Marcusa, luźnej, ciemnoszarej, z golfem i szeroko skrojonymi raglanowymi rękawami, co sprawiało, że wyglądał atletycznie i zarazem po domowemu niedbale, kiedy tak siedział pochylony, pijąc kawę po irlandzku.

Był przystojny, najprzystojniejszy z mężczyzn, jakich widziała w życiu, a widziała wielu. Podróżując służbowo, styli kała się z nimi w każdym mieście. Wyglądali jak wycięci z żurnala i pachnieli tak, że miało się ochotę wsunąć ich do komody z bielizną. Włosy mieli fryzowane jak dziewczyny, narzucali wełniane szale na marynarki, nosili włoskie buty z kosztownej miękkiej skóry i nie uznawali skarpetek. Niektórzy byli gejami, ale inni nie.

Przyzwyczała się do odrzucania ich awansów, a przy niewielu okazjach, kiedy zdecydowała się je przyjąć, warunkiem było, że *tetea-tete* potrwa tylko jedną noc. W łóżku ci mężczyźni nigdy nie dorównywali Erykowi. Ich ciała były wątłe, a jego silne i muskularne, ich dłonie miękkie,

a jego twarde, ich skóra biała, a jego brązowa, i z żadnym nie potrafiła osiągnąć takiej harmonii seksualnej, jaką wypracowali sobie z Erykiem przez osiemnaście lat.

Patrzyła przez stół na męża, odprężonego i przystojnego, i niepokoiła ją myśl, że być może będzie musiała zniszczyć nastrój, tak starannie wykreowany dzięki świecom, lnianym serwetkom i winu.

Stworzyła go celowo i teraz nadszedł czas, aby wypróbować jego działanie.

Wysunęła nogę w nylonowej pończosze w stronę krzesła Eryka.

- Kochanje? - zamruczała, pieszcząc stopą jego udo. - Tak?

- Dlaczego nie sprzedasz łodzi?

Spoglądał na nią przez kilka chwil, jakby zaprzątnięty czymś innym, potem wypił do końca kawę i odwrócił się w milczeniu, aby popatrzeć na chwiejny cień drzewa za oknem.

- Proszę cię, kochanie. - Prowokacyjnie pochyliła się do przodu, opierając się rękami o stół. - Daj teraz ogłoszenie, a na wiosnę ją sprzedasz i będziemy mogli przeprowadzić się do Chicago. Albo do jakiegoś innego dużego miasta, dokąd tylko zechcesz. Może do Minneapolis? To piękne miasto, wszędzie wokół jeziora, prawdziwa mekka artystów. Spodoba ci się Minneapolis. Eryku... proszę cię, czy możemy o tym porozmawiać? - Dostrzegła, że na jego twarzy pojawił się nerwowy skurcz. Mąż nie patrzył w jej stronę. Wreszcie jednak spojrział na nią i zapytał tonem, w którym wyczuwało się starannie kontrolowane opanowanie:

- Czego właściwie oczekujesz od naszego małżeństwa? Cofnęła stopę. Nie poszło tak, jak się spodziewała.

- Czego oczekuję?

- Tak. Poza... poza seksem w soboty i niedziele, kiedy nie masz okresu. Czego oczekujesz, Nancy? Nie lubisz tego domu, tego miasta, nie chcesz, żebym pływał. Powiedziałaś też bardzo wyraźnie, że nie pragniesz dzieci. Więc czego właściwie oczekujesz?

Zamiast odpowiedzieć, zapytała ostro:

- Kiedy zamierzasz z tym skończyć?

- Skończyć z czym?

- Wiesz, o co mi chodzi. O stałe odgrywanie spektaklu pod tytułem „Stary człowiek i morze”. Kiedy opuściliśmy Chicago, myślałam, że pobawicie się ze swoim bratem w rybaków, potrwa to parę lat, wyżyjesz się, a potem wrócimy do miasta, żeby móc więcej czasu spędzać razem.

- Kiedy wyjechaliśmy z Chicago, sądziłem, że rzucisz pracę w firmie, urodzisz dzieci i stworzymy prawdziwą rodzinę.

- Zarabiam dużo pieniędzy. Lubię tę pracę.

- Ja też.

- Marnujesz swoje wykształcenie, Eryku. A co z twoją specjalizacją biznesową, nie zamierzasz jej wykorzystać?

- Wykorzystuję ją codziennie.

- Jesteś uparty.

- Co się zmieni, jeśli zamieszkamy w Chicago czy Minneapolis? Powiedz mi?

- Będziemy w mieście - są tam galerie sztuki, filharmonie, teatry, domy towarowe...

- Domy towarowe, dobre sobie! Spędzasz pięć dni na siedem w domach towarowych. Po co, u diabła, chcesz bywać tam jeszcze częściej?

- Wiesz dobrze, że nie chodzi o domy towarowe. Chodzi o miasto. Cywilizację. Chcę mieszkać tam, gdzie coś się dzieje!

Patrzył na nią dłuższą chwilę z zimnym, nieprzystępnym wyrazem twarzy.

- Dobrze, Nancy, zaproponuję ci układ. - Odsunął filiżankę, oparł się rękami o brzeg stołu i utkwiał wzrok w żonie. - Urodzisz dziecko, a wtedy przeniesiemy się do miasta, jakie sobie wybierzesz.

Cofnęła się, jakby ją uderzył. Twarz jej bladła i czerwieniała. Taki kompromis był nie do przyjęcia.

- To nieuczciwe! - Gniewnie uderzyła pięścią w stół. -

Nie chcę żadnego cholernego dziecka i bardzo dobrze o tym wiesz!

- A ja nie chcę wyjeżdżać z Door County, i ty też o tym wiesz. Jeżeli ma cię nie być przez pięć dni w tygodniu, chcę przynajmniej mieć przy sobie rodzinę.

- Ja jestem twoją rodziną! - Wyprostowała się dumnie.

- Nie, ty jesteś moją żoną. Rodzina to znaczy dzieci.

- A więc znaleźliśmy się w impasie. -Najwidoczniej. Tyle o tym myślałem od czasu naszej ostatniej kłótni, że zdecydowałem się porozmawiać w końcu na ten temat z Mike'em.

- Z Mike'em!

- Tak.

- Nasze osobiste sprawy to nie Mike'a interes i nie zgadzam się, żebyś o nich rozповідаł!

- Tak jakoś wyszło. Mówiliśmy o dzieciach. Spodziewają się jeszcze jednego.

Twarz Nancy wykrzywiła się w grymasie niesmaku.

- Chryste, to naprawdę obrzydliwe!

- Czyżby? - zapytał ostro.

- A ty tak nie uważasz? Rozmnażają się z regularnością łososi. Boże, są już w wieku, kiedy powinni być dziadkami! Po co im jeszcze jedno dziecko?

Eryk rzucił serwetkę na stół i wstał.

- Nancy, czasami mam cię naprawdę dość!

-I polecisz do swojego brata, żeby mu to powiedzieć, co? Naturalnie, najlepszy ojciec na świecie ma wyrobioną opinię o kobiecie, która nie chce mieć dziecka z wyboru!

- Mike nigdy nie powiedział o tobie złego słowa! - Wycelował palec w kierunku jej twarzy. - Nigdy!

- Więc jak zareagował, kiedy się dowiedział, dlaczego nie mamy dzieci?

- Poradził, żebyśmy poszli do psychologa.

Nancy patrzyła na Eryka, jakby nie dosłyszała jego słów.

- Zgodziłabyś się? - zapytał, nie spuszczając z niej wzroku.

- Oczywiście - odpowiedziała z ironią, poprawiając się na krześle. Ręce skrzyżowała na brzuchu. - We wtorek wieczorem, kiedy przyjeżdżam do St Louis, jestem stosunkowo wolna. - Jej ton się zmienił, zaczęła mówić gwałtowniej. - O co tu chodzi, Eryku? Skąd nagle ta rozmowa o psychologu i niezadowoleniu z małżeństwa? Co poszło nie tak? Co się zmieniło?

Wziął kubek, łyżkę i serwetkę, i zaniósł je do kuchni. Poszła za nim i stała, kiedy wkładał naczynia do zlewu. Spoglądał na nie, bojąc się odpowiedzieć na jej pytanie i rozpętać burzę, ale to nieuniknione, jeśli chce uczynić swoje życie szczęśliwszym.

- Eryku - powiedziała miękko, dotykając jego pleców. Wziął głęboki oddech i wreszcie wyrzucił z siebie to, co

dręczyło go od miesięcy:

- Oczekuję od małżeństwa więcej, niż mi dajesz, Nancy.

- Eryku, proszę cię... nie... Eryku, ja cię kocham. - Objęła go ramionami i przytuliła twarz do jego pleców. Nie poruszył się.

- Ja też cię kocham - powiedział spokojnie. - Dlatego to jest takie bolesne.

Stali tak przez chwilę, zastanawiając się, co teraz powiedzieć czy zrobić, nie przygotowani na krach, który właśnie nastąpił.

- Chodźmy do łóżka, Eryku - szepnęła.

Przymknął oczy i poczuł pustkę, która przeraziła go bardziej niż wszystko, co było dotąd.

- Po prostu tego nie rozumiesz, prawda, Nancy?

- Co mam rozumieć? Jeśli o to chodzi, wszystko zawsze układało się dobrze. Proszę... chodźmy na górę.

Westchnął i po raz pierwszy odmówił.

Rozdział 8

Nancy znowu pojechała do pracy w poniedziałek. Ich pożegnalny pocałunek był pełen niepewności. Eryk obserwował odjazd żony w poczuciu opuszczenia. Spędził potem dzień na zwykłych zimowych zajęciach, obliczając zużycie linki do wędek w czasie sezonu, ilość utraconych przynęt oraz wertując setki katalogów, aby znaleźć najkorzystniejsze ceny. Wysłał zaliczkowe opłaty na stoiska w Minneapolis, Chicago i Milwaukee podczas zawodów sportowych i zamówił broszury reklamowe. Obliczył, ile sprzedali styropianowych lodówek turystycznych, i zamówił cały ich transport na przyszły sezon. W przerwach zastanawiał się, co począć ze swym małżeństwem.

Jadł sam, spał sam, pracował sam i zadawał sobie pytanie, ile lat to jeszcze potrwa. Ile lat on jeszcze zniesie tę samotną egzystencję?

Pojechał do miasta, żeby się ostrzyc, choć nie musiał, ale dom był pusty, a u fryzjera zawsze można było spotkać miłe towarzystwo.

Codziennie dzwonił do matki, pojechał też sprawdzić stan jej pojemnika z paliwem olejowym, chociaż to nie było potrzebne, ale wiedział też, że matka zatrzyma go na kolacji.

Zmienił także olej w bagażówce i usiłował naprawić zacinające się drzwi od strony pasażera, ale nie zdołał. To przypomniało mu o Maggie, o tym, jak pochylił się nad nią tego wieczoru, kiedy odwoził ją do domu rodziców. Często

o niej myślał. Jak sobie daje radę, jak postępują prace przy domu, czy znalazła wszystkie te antyki, o których mówiła? Wieści głosiły, iż malowanie zostało skończone i dom wygląda tak, że mógłby iść na wystawę. Pewnego dnia postanowił sam tam pojechać, żeby rzucić nań okiem. Tylko rzucić okiem. Liście już opadły, leżały w stertach, zmiecione wiatrem, przy drodze na wzgórze Cottage Row, które pokonywał swoją bagażówką.

Krzaki wydawały się splątane i ciemne w popołudniowym słońcu. Zrobiło się zimno, a kiedy słońce zaszło, niebo zasnęła mgła - znak, że jutro będzie jeszcze zimniej. Większość domów przy Row było teraz zamkniętych, ich bogaci właściciele przenieśli się na zimę do cieplejszych miejsc na południu. Kiedy dojeżdżał do domu Maggie, zauważył miejskiego lincolna z waszyngtońską rejestracją, niewątpliwie jej samochód. Cedry na skraju posiadłości ciągle nie były przycięte i zasłaniały prawie całkowicie widok. Jechał wolno, w odstępach między drzewami migał wesoło pomalowany dom. Ludzie mieli rację: był jak na wystawę.

Tego wieczoru otworzył w domu telewizor i siedział przed nim niemal godzinę, zanim zdał sobie sprawę, że nie słyszy ani słowa. Siedział nieruchomo, patrząc na zmieniające się obrazki na ekranie i myśląc o Maggie.

Kiedy drugi raz przejeżdżał koło jej domu, miał przy sobie formularz rejestracyjny z izby handlowej i kopiść sprawozdania na temat letniej turystyki. Jej samochód zaparkowany był w tym samym miejscu co poprzednio. Eryk wyjechał zza cedrów, zgasił silnik i spojrzał na papiery leżące na siedzeniu obok. Patrzył na nie prawie minutę, po czym znowu zapuścił silnik i odjechał, nie odwracając głowy w stronę domu.

Następnym razem zobaczył ciężarówkę z zieloną plandeką. Wóz stał zaparkowany przy ścieżce, z opuszczoną tylną klapą i przystawionymi aluminiowymi schodkami. Gdyby samochodu nie było, prawdopodobnie znowu by odjechał,

ale teraz sytuacja wyglądała inaczej - ktoś jeszcze oprócz Maggie, pewnie jakiś robotnik, jest w domu. Znowu było to późne popołudnie i zimny wiatr szarpał papiery, które Eryk zabrał ze swojej bagażówki. Zwinął je w rulonik i przechodząc obok ciężarówki zajrzał do środka. Przewody, zwoje drutu i narzędzia - tak, miał rację, to jakiś rzemieślnik. Przebiegł szerokie stopnie prowadzące do domu i zapukał do tylnych drzwi.

Czekał, pogwizdując cicho przez zęby, i zerkał na werandę. Zobaczył tam pęk kukurydzy związanej pomarańczową wstążką i zawieszanej na ścianie; owalną mosiężną tabliczkę z napisem „Dom Hardinga”; białe koronkowe zasłony w okienku starych drzwi; nowy szlaczek w kolorze żółtym i niebieskim; nową podłogę malowaną na szaro; pleciony chodnik; w kącie wazę z bukietem tymotki i indiańskiego tytoniu.

Mówiono, że Maggie nie żałuje pieniędzy na urządzenie domu i sądząc po tym fragmencie, było tak naprawdę.

Nawet malutka weranda miała swój urok.

Eryk zapukał jeszcze raz, mocniej, i męski głos odpowiedział:

- Tak, proszę wejść!

Znalazł się w kuchni - była teraz przestronna, jasna i odmieniona. Jego spojrzenie przesunęło się po białych szafkach z szybkami, różowych wykończeniach, lśniącej drewnianej podłodze, po długim porysowanym stole z opuszczanym blatem, jeszcze dłuższym wieszaku i brzuchatym koszyku wypełnionym sosnowymi szyszkami, z wielką różową kokardą na uchwycie.

Z pokoju obok dobiegł głos:

- Szuka pan właścicielki?

Eryk poszedł za głosem i znalazł elektryka wyglądającego jak Charles Bronson. Zawieszał właśnie żyrandol w pustym pokoju jadalnym.

-Dzień dobry - pozdrowił go Eryk, zatrzymując się w drzwiach.

- Dzień dobry. - Mężczyzna obejrzał się przez ramię, z rękoma uniesionymi w górę. - Jest na piętrze, pracuje. Może pan tam iść.

- Dziękuję. - Eryk przeszedł przez jadalnię do hallu.

W świetle dziennym wszystko robiło wrażenie: odnowione podłogi pachnące lakierem i świeżo tynkowane ściany, które tworzyły szerokie białe płaszczyzny obramowane gładkim, lśniącym drewnem. Potężne schody prowadziły na górę i gdzieś stamtąd dobiegała muzyka z radia. Wszedł po schodach i zatrzymał się u ich szczytu, aby spojrzeć na hall. Wszystkie drzwi były otwarte. Kierował się ku muzyce. W drugich drzwiach od lewej przystanął.

Maggie klęczała na podłodze po przeciwnej stronie pokoju, malując szeroką listwę. Radio i puszka z farbą były jedynymi sprzętami. Nic nie odciągało uwagi od widoku Maggie, zadziwiająco prostej, naturalnej. Uśmiechnął się na widok jej gołych stóp, smug farby na dżinsach i luźnej koszuli, której poła zanurzała się w puszcze.

- Cześć, Maggie - powiedział.

Podskoczyła, jakby to był dźwięk syreny jego statku.

- O Boże! - szepnęła, unosząc głowę znad listwy i przyciskając dłoń do serca. - Ale mnie wystraszyłeś!

- Nie chciałem. Facet na dole powiedział, że mogę cię tu znaleźć.

Wskazał zrolowanymi papierami na hall za sobą.

Co on tu robi? Maggie klęczała, czując wciąż bicie serca, gdy tak stał w drzwiach, ubrany w luźną koszulę, czy raczej bluzę, dżinsy i starą kurtkę lotniczą z czarnej skóry, z podniesionym kołnierzem, sięgającym jasnych włosów, tak jak przed laty. Trochę zbyt pociągający i zbyt oczekiwany.

- Mogę wpaść innym razem, jeżeli...

- Och, nie... w porządku... tylko radio grało za głośno. - Ciągle na kolanach, sięgnęła do odbiornika, aby ściszyć muzykę. - Właśnie o tobie myślałam i nagle usłyszałam, jak wypowiadasz moje imię...

Plączesz się, Maggie. Uważaj.

- A ja naprawdę jestem - dokończył za nią. Opanowała się i uśmiechnęła.

- Witaj w Domu Hardinga. - Rozpostarła ramiona i spojrzała na swój strój. - Jak widzisz, jestem ubrana na przyjęcie gości.

Erykowi wydawała się niezmiernie pociągająca, ochlapana białą farbą, z włosami związanymi z tyłu sznurowadłem. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy tak na nią patrzył.

-Jak widzisz... - także rozłożył ręce - nie jestem gościem. Po prostu przyniosłem ci informacje na temat warunków przyjęcia do izby handlowej.

- Och, wspaniale! - Włożyła pędzel do puszki i chusteczką wyjętą z tylnej kieszeni wytarła sobie dłonie. Wstała. -Chcesz odbyć małą wycieczkę, skoro już jesteś? Mam teraz światło.

Wszedł dalej do pokoju i rozejrzał się wokół.

- Bardzo chętnie, prowadź mnie.

- Przynajmniej zdaje mi się, że mam światło. Poczekaj. - Wybiegła do hallu i krzyknęła w dół: - Czy mogę zapalić światła, panie Deitz?

- Chwileczkę, zaraz skończę zawieszać żyrandol! - odpowiedział głos.

Wróciła do Eryka.

-Za chwilę będzie widno. Tu jest pokój gościnny... -wskazała szerokim gestem. - Jeden z czterech. Jak widzisz, zostawiłam oryginalne lampy, bo są z solidnego mosiądzu. Kiedy zaczęłam im się bliżej przyglądać, odkryłam, że wszystkie są gazowe - czy wiesz, że w tym mieście nie było elektryczności do 1930 roku?

- Naprawdę?

- Teraz zostały przerobione. Uwielbiam te stare lampy i urządzenia, bo są autentyczne. Kiedy pan Deitz włączy elektryczność, zobaczysz, jak ładnie wyglądają, nawet przy świetle dziennym.

Stali pod przewodem gazowym, na tyle blisko, żeby czuć nawzajem swój zapach. On pachniał rześkim powietrzem i skórą, ona - terpentyną.

- Prawda, jak pięknie wyszły podłogi? Poczekaj, aż ci pokażę tę na dole, w głównym salonie. Spojrzał w dół. Była bosa, dżinsy miała podwinięte do połowy łydki. Znał te stopy, oglądał je dziesiątki razy na pokładzie „Mary Deare” tamtego lata, kiedy chodzili właściwie stale tylko w kostiumach kąpielowych.

- Wygląda jak nowa - pochwalił podłogę i rozejrzał się po pustym pokoju. - Urządzenie wydaje się raczej oszczędne.

Maggie chrząknęła i wsunęła ręce do kieszeni.

- Wszystko we właściwym czasie.

- Słyszałem, że się przeprowadziłaś. Sprzedałaś dom w Seattle?

-Tak.

- A twoje rzeczy?

- Są w garażu. Na razie rozpakowałam tylko sprzęty kuchenne i jedno łóżko, w którym śpię.

-Kuchnia wygląda znakomicie. Muszę przyznać, że masz wyczucie stylu.

- Dzięki. Czekam, aż wszystkie elementy drewniane zostaną wykończone, wtedy będę mogła ustawić meble. -Podniosła wzrok na szeroki karnisz, a Eryk przyłapał się na tym, że wpatruje się w linię jej szyi. - Postanowiłam pomalować listwy i karnisze na górze na biało, a na dole zostawić naturalne drewno. Jak tylko się z tym uporam, zacznę tapetować, ale sprowadzenie czegokolwiek zajmuje mnóstwo czasu. Trzy tygodnie czekałam na tapety ze Sturgeon Bay. Kiedy skończę z malowaniem, zrobię sobie urlop i pojedę do Chicago. Tam załatwię sprawę tapet w jeden dzień.

- Masz zamiar tapetować sama?

- Aha.

- Kto cię tego nauczył? - zapytał, idąc za nią do następnej sypialni.

- Nauczył? - Obejrzała się i wzruszyła ramionami. - Sama się nauczyłam, metodą prób i błędów.

Jestem nauczycielką ekonomiki gospodarstwa domowego. Czy muszę ci tłumaczyć, jak nieekonomiczne jest wynajmowanie fachowca? A poza tym ja to lubię i mam przed sobą całą zimę, więc dlaczego nie miałabym tego zrobić sama?

Pomyślał, że któregoś ponurego zimowego dnia przyjdzie jej pomóc. Nie, to głupie.

- Wiesz, co postanowiłam? - zapytała Maggie. -Co?

- Nazwać każdy pokój sypialny imieniem jednego z dzieci Thaddeusa Hardinga. To będzie pokój Franklina, tamten - Sarah, a ten Victorii. Na szczęście dla mnie Thaddeus miał tylko troje dzieci, więc ostatni pokój otrzyma taką nazwę, na jaką zasługuje. - Poprowadziła Eryka do czwartego pokoju. -

Pokój krużgankowy. Nic innego nie pasuje.

Stał obok niej, patrząc na pomieszczenie w dziennym świetle. Jasne, białe, tylko z łóżkiem stojącym na samym środku. Nie pościeliła go rano. Spała twarzą do okna, przez które widać było wody zatoki. W kącie na podłodze stała para wysokich sznurowanych butów.

Uśmiechnął się, zerkając na jej bose stopy, i zauważył:

- Ach, więc tutaj je zgubiłaś!

Maggie roześmiała się i zrobiła kilka kroków po gładkiej podłodze.

- Jakby się chodziło po atlasie. Nigdy nie mam tego dosyć!

Ich oczy spotkały się, rozjaśnione nagłym wspomnieniem - wspomnieniem letnich dni na pokładzie „Mary Deare”, kiedy to chodzili boso i kochali się.

Maggie pierwsza zwróciła twarz w stronę okna i westchnęła:

- Och, zobacz - śnieg!

Na dworze sypał śnieg. Grube płatki osiadały białą warstwą na gałęziach drzew i niknęły w zetknięciu z wodą.

Niebo było bezbarwne, bez słońca, królowała wszędzie jedna wielka biel.

- Brakowało mi tego - powiedziała Maggie, podchodząc do okna. - Gdy mieszkaliśmy w Seattle, śnieg padał w górach, oczywiście, ale tęskniłam za takimi zmianami jak ta. Pragnęłam obudzić się rano i zobaczyć to szczególne światło w pokoju, kiedy to człowiek od razu wie, że w nocy spadł śnieg.

Podszedł do niej bliżej. Stali tak ramię przy ramieniu, patrząc na śnieg, a on myślał, że z Nancy nigdy nie cieszyli się nim w taki sposób. Dla niej śnieg był tylko sygnałem, że zaczyna się trudny sezon wyjazdowy, nie widziała więc w tym nic przyjemnego, nawet w sensie estetycznym. Kiedy była w domu, nigdy nie mieli czasu na takie spokojne chwile jak ta.

Co ty robisz, Severson, porównując Maggie ze swoją żoną? Daj jej te cholerne papiery i wyjdź!

Ale stał dalej przy oknie obok Maggie, obserwując, jak zimowa nagość przyrody niknie pod miękkim puchem bieli.

- Wiesz, co mi to przypomina? - zapytała Maggie. -Co?

-Lniany obrus rozkładany na Święto Dziękczynienia. W ten dzień powinien padać śnieg, nie uważasz?

- Podniosła oczy i ujrzała go tuż obok siebie, patrzącego na nią zamiast przez okno.

- Z całą pewnością - odpowiedział cicho i przez chwilę zapomnieli o pięknym widoku, o obecności elektryka na dole, o powodach, dla których nie powinni być tak blisko siebie.

Maggie ocknęła się pierwsza i dyskretnie cofnęła się o krok.

- Chyba zejdziemy na dół? - Na schodach wyjaśniła: -Znalazłam te sznurowane buty w sklepie ze starociami w Chicago i nie mogłam im się oprzeć. To będzie oryginalny akcent w którejś z sypialni, nie sądzisz?

Jej swobodne słowa odsunęły groźbę, jaka zawisła nad nimi na górze. Zdając sobie sprawę z pokusy i z tego, że była ona wzajemna, chodzili teraz po domu udając, że nic się nie stało. Maggie podtrzymywała żywą rozmowę, oprowadzając go po kolejnych pokojach, pokazując ściany, okna i podłogi, przede wszystkim tę w salonie na dole.

- Odkryłam ten wspinały parkiet pod starą zbutwiałą wykładziną. - Uklękła i przesunęła dłonią po pięknym drewnie. - To klon, specjalnie obrabiany. Spójrz, jak go ułożono, czy to nie śliczny wzór? Przykucnął i również dotknął podłogi.

- Piękny. Czy to w tym pokoju masz zamiar trzymać paterę z cukierkami i słodkie trunki?

- Tak. Możemy spróbować czegoś już teraz - powiedziała wesoło. - Tylko że nie mam w domu ani cukierków, ani likierów, jeszcze nie sprowadziłam. Czy zadowolisz się kawą?

- Z przyjemnością.

W drodze do kuchni przeszli przez pokój jadalny, gdzie elektryk dłużył śrubokrętem w suficie. Bez światła, w zapadającym zmierzchu, pokój wydawał się ciemny.

- Znasz Patricka Deitza?

- Nie znam.

- Patrick Deitz, a to Eryk Severson. Prowadzi wynajem łodzi w Gills Rock. Chcemy sobie zrobić kawy. Napiję się pan z nami?

- Dlaczego nie, pani Stearn. - Patrick wsunął śrubokręt do kieszeni i wymienił uścisk dłoni z Erykiem.

- Ale proszę poczekać, aż włączę elektryczność.

Odszedł na chwilę, zostawiając Maggie i Eryka w mroku, patrzących przez szerokie okno, które wychodziło na zatokę. Tym razem wszystko było w porządku: Deitz znajdował się w pobliżu, chwila zaskoczenia minęła. Patrzyli na śnieg i odczuwali wzajemną bliskość w pustce domu, w zmieniającej się na ich oczach aurze, a także w narastającym mroku.

- Zakocham się w tym miejscu - powiedziała Maggie.

- Rozumiem dlaczego.

Deitz wrócił, pomajstrował przy wyłączniku i zapytał:

- Jak teraz, pani Stearn?

Maggie uśmiechnęła się do ozdobnego żyrandola, lśniącego po niedawnym czyszczeniu.

- Doskonale, panie Deitz. Miał pan rację z wyborem żarówek. Te w kształcie świec są odpowiednie.

To wspaniały żyrandol. Prawda, że wspaniały, Eryku?

W gruncie rzeczy był to raczej niezbyt efektowny kawał metalu, ale im dłużej Eryk mu się przyglądał, tym bardziej skłonny był docenić jego staroświecki urok. Najpierw śnieg, potem podłogi, teraz żyrandol. Chociaż obiecał sobie, że nie będzie robił porównań, nasuwały się w sposób nieunikniony. Uświadomił sobie, chodząc po tym domu, jak niewiele czasu Nancy poświęca na to, aby cieszyć się z drobnych, zwykłych spraw. Natomiast Maggie potrafiła nawet z zapadającego mroku uczynić wydarzenie.

- I jak kawa? - zapytała.

Siedzieli we trójkę przy stole, gdzie postawiła kawę w dużych kubkach dla nich, a dla siebie herbatę, oraz talerz cynamonowych ciastek, który dwukrotnie dopełniała. Rozmawiali o paczkowanej żywności i o tym, że nie można kupować miękkich brzoskwiń, bo przez krzyżowanie straciły smak; o tym, jak najlepiej przyrządzać łososia; o kuchennym stole Maggie, na którym ojciec trzyma narzędzia w garażu. Odbyli żywą dyskusję o tym, które sklepy z antykami w Door County są najlepsze, a Maggie wysłuchiwała mnóstwa anegdot o ich właścicielach.

Po pół godzinie Patrick Deitz spojrzął na zegarek, klepnął się w kolano i oświadczył, że powinien zebrać swoje narzędzia, bo jest już piąta trzydzieści.

Razem z nim wstał od stołu Eryk.

- Muszę już iść - powiedział, kiedy Deitz wrócił do pokoju jadalnego.

- Nie pokażesz mi tego, co przywiozłeś? - zapytała Maggie, wskazując na papiery, które rzucił na puste krzesło.

- Och, zupełnie zapomniałem. - Położył je przed nią na stole. - To tylko informacje dotyczące rejestracji w izbie handlowej. Jestem jej członkiem i staramy się dotrzeć możliwie najszybciej do wszystkich, którzy zakładają tutaj biznes. Powinnaś potraktować to jako formalne zaproszenie do wstąpienia.

- No to dziękuję. - Spojrzała na magazyn. Nosił tytuł „Klucz do półwyspu Door”. Na okładce był widok jeziora latem. W środku informacje turystyczne, ogłoszenia o wyżywieniu, mieszkaniu i zakupach w Door County.

-To numer z lata ubiegłego roku, a dodatek zawiera informacje o kosztach rejestracji. Byłoby niemożliwe prowadzić pensjonat w Door County, nie należąc do izby handlowej. Nie możesz lepiej ulokować pieniędzy na reklamę. - Dziękuję. Zaraz to przejrzę.

-Przypuszczam, że następny numer letni oddamy do druku w lutym albo w marcu, masz więc mnóstwo czasu na ogłoszenia. Ja zamawiam swoje u Barkera w Sturgeon Bay. Mają tam bardzo dobrych grafików.

- Będę o tym pamiętała, dziękuję. Podeszli do drzwi i zatrzymali się.

- Członkowie izby spotykają się raz w miesiącu na śniadaniu w różnych restauracjach w mieście. Nieoficjalnie, to po prostu sposób na nawiązanie kontaktów między ludźmi reprezentującymi różne branże. W następnym miesiącu -czwartego, zdaje się - spotykamy się w „The Cookery”. Uważaj się za zaproszoną.

- Na pewno skorzystam.

Deitz przeszedł przez kuchnię ze swoją torbą z narzędziami.

- To dobranoc, pani Stearn. Dziękuję za kawę i ciastka. Były naprawdę świetne. Miło było cię poznać, Eryku - dodał.

- Mnie też.

Deitz przeszedł między nimi i Maggie otworzyła drzwi, żeby go wypuścić. Kiedy podeszedł, dalej stała w otwartych drzwiach.

- Pamiętaj o tym śniadaniu - powiedział Eryk.

- Dobrze.

-1 dziękuję za oprowadzenie po domu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Naprawdę mi się podoba.

- Mnie też. - Zimne powietrze sprawiło, że skrzyżowała ramiona na piersiach.

- No, cóż... - Sięgnął do kieszeni po rękawiczki i zaczął je wolno wkładać. - Do widzenia.

Nie poruszyli się, tylko ich oczy się spotkały. Nie chciała nic mówić, ale słowa wymknęły jej się same:

- Wezmę tylko kurtkę i odprowadzę cię na wzgórze. Zamknął drzwi i czekał. Maggie zniknęła w pokoju dla

służby. Ukazała się po chwili w reebokach bez skarpetek, na plecy narzuciła grubą różową kurtkę.

Przyklękła na jednym kolanie pośrodku kuchni, opuściła podwinięte nogawki spodni, potem wstała, wsunęła ręce w rękawy kurtki i zaciągnęła suwak.

- Gotowa?

Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Aha.

Otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą w mrok szarej godziny, gdzie cicho padający śnieg tworzył aureolę wokół światła padającego z okien tylnej werandy. Powietrze pachniało świeżością początku zimy, kiedy tak szli obok siebie śladami Deitza.

- Uważaj - ostrzegł ją. - Jest ślisko. - Zamiast wziąć ją pod rękę, pozwolił, żeby jego ramię stykało się z jej ramieniem. Tylko materiał ocierał się o materiał. A przecież przez grube rękawy wyczuwali swe ciała i krew. Gdzieś wyżej Deitz trzasnął drzwiami samochodu, zapuścił silnik i odjechał. Zwolnili nieco, wchodząc po stopniach prowadzących do drogi.

Śnieg padał wielkimi, pozbawionymi ciężaru płatkami prosto w dół, w powietrzu tak spokojnym, że wydawało się, iż kontakt nieba z ziemią słyszalny jest jako przytłumione

bzyczenie tysięcy żuków w ciepłą czerwcową noc. Maggie zatrzymała się na drugim stopniu.

- Ćśśś, posłuchaj! - Odchyliła głowę do tyłu. Podniósł twarz ku niebu, nasłuchując.

- Słyszysz? - szepnęła. - To słysząc padający śnieg. Przymknął oczy czując, jak płatki śniegu osiadają mu

na powiekach i policzkach, i roztapiają się natychmiast.

Idź do domu, Eryku Severson, i zapomnij o witaniu zimy z Maggie Pearson.

Nigdy nie myślał o niej jako o Maggie Stearn. Otworzył oczy i przez chwilę czuł zawrót głowy - sprawił to wir nie kończącego się ruchu śnieżnej bieli w górze. Płatek śniegu spadł mu na górną wargę. Zlizął go i zmusił się, by ruszyć dalej.

Maggie szła obok niego.

- Co robisz w Święto Dziękczynienia? - zapytał, nagle całkiem pewny, że będzie o niej myślał tego dnia.

- Katy przyjeżdża do domu. Będziemy u rodziców. A ty?

- Wszyscy spotykamy się u Mike'a i Barb. Ale nadzienie do indyka robi mama. Boi się, że Barb mogłaby dodać trochę kupnego pieczywa i otruć całą rodzinę.

Roześmiali się, a kiedy doszli do samochodu, zwrócili się do siebie twarzami.

- Katy po raz pierwszy zobaczy dom.

- Czeka ją niemała przyjemność.

- Nie jestem taka pewna. Mamy różne zdania na temat sprzedaży domu w Seattle. - Nagle przygnębiona i jakby zła na siebie, Maggie ciągnęła: - Do licha, mogę być szczerą. Pokłóciłyśmy się o to i od tej pory nie jest dla mnie specjalnie serdeczna. Trochę się boję jej przyjazdu. Uważa, że obowiązkiem matki jest podtrzymywanie domowego ogniska, w którym wychowała dzieci. Byłam parę tygodni temu w Chicago i zabrałam ją na obiad, ale atmosfera, mówiąc oględnie, była chłodna. - Westchnęła. - Och, dzieci...

- Matka zawsze powtarza, że wszystkie dzieci przecho-

dzą okres ostrego egoizmu w wieku dojrzewania, kiedy to uważają rodziców za głupków, którzy nie ubierają się jak należy, nieodpowiednio się wyrażają i niewłaściwie myślą. Pamiętam, jak sam przechodziłem ten etap. Maggie niewinnie otworzyła oczy.

- Czy ja też? Zaśmiał się.

- Nie wiem. Ty też?

- Przypuszczam. Nie mogłam się doczekać, kiedy odejdę od matki.

- No i... odchodzisz.

- Eryku Severson, nie jesteś ani trochę sympatyczny! -skarciła go żartobliwie.

Znowu się roześmiał, po czym nagle spowaźniał.

- Uważaj to za dobrodziejstwo, Maggie. Masz córkę, która przyjeżdża do domu na Święto Dziękczynienia. Dałbym wszystko, żeby mieć też.

Ta uwaga zaskoczyła ją i wywołała niejasne wrażenie, że jest to zwierzenie tak osobiste, iż nie bardzo wie, czy chce je przyjąć. Coś się zmieniło z chwilą, kiedy dowiedziała się o istnieniu rysy w ich małżeństwie.

- Wiesz, Eryku, nie wolno mówić takich rzeczy, gdyż natychmiast rodzą się pytania. Nie chcę ich zadawać, bo to nie moja sprawa.

- A czy będzie w porządku, jeśli mimo to na nie odpowiem? - Milczała, ale nie przeszkodziło mu to ciągnąć dalej: - Nancy nigdy nie chciała dziecka. - Patrzył przed siebie, wypowiadając te słowa.

Po chwili Maggie szepnęła:

- Przykro mi.

Poruszył się niespokojnie, otrząsając śnieg z buta.

-Cóż... chyba nie powinienem był nic mówić. To mój problem i przepraszam, jeśli wprowadziłem cię w zakłopotanie.

- Ależ nie.

- Wiem, że tak. Przepraszam.

Podniosła oczy, ale musiała się powstrzymać, aby nie dotknąć jego ręki i nie powiedzieć: „To ja przepraszam, pamiętam, jak bardzo pragnąłeś mieć dzieci”. Ale byłoby to niewybaczalne, bo niezależnie od problemów, jakie niesło, małżeństwo Eryka pozostawało faktem. Przez chwilę słychać było tylko szelest puszystego śniegu przysypującego ziemię wokół nich. Pamiętała, jak się całowali, dawno temu, w noc podobną do tej, na jego sankach motorowych w wąwozie pod skarpą, jak smakowała jego i śnieg, i zimę na jego ustach. Wyłączył wówczas silnik i siedzieli w ciszy, z twarzami wzniesionymi ku ciemnemu niebu. Potem odwrócił się, przerzucając nogi przez siedzenie i wyrzekł miękko: „Maggie...”

- Pojadę już - powiedział teraz, otwierając drzwi samochodu.
- Cieszę się, że wpadłeś. Popatrz na dom.
- Chciałbym go zobaczyć, jak już umeblujesz wszystkie pokoje.
- Oczywiście.

Ale oboje wiedzieli, że bezpieczniej będzie, jeśli już nigdy tu nie przyjdzie.

- Baw się dobrze w Święto Dziękczynienia - powiedział jeszcze, wsiadając do samochodu.
- Ty też. Pozdrów rodzinę.
- Dziękuję. - Ale wiedział, że nie przekaże tych pozdrowień, bo jak wytłumaczy swoją obecność tutaj?

Drzwi samochodu trzasnęły i Maggie odsunęła się, gdy silnik zawarczał.

Jeszcze raz i jeszcze raz... Z szoferki usłyszała odgłos uderzenia, widocznie Eryk usiłował pięścią zachęcić maszynę do pracy. Głośniejszy warkot i odgłos opuszczanej ze zgrzytem szyby.

- Cholerny stary wycierach - powiedział Eryk z uczuciem. Kiedy Maggie się śmiała, silnik zaskoczył. Eryk nacisnął gaz do oporu i zawołał, przekrzykując ryk silnika:

- Do zobaczenia, Maggie!

- Jedź ostrożnie!

W chwilę potem ślady opon zniknęły w ciemności. Stała jeszcze długo, wpatrując się w nie, wyczulona na każdy dźwięk i niespokojna.

W Święto Dziękczynienia przy stole Seversonów zgromadziło się dwadzieścia osób, z czego jednaście było wnukami Anny. Byli tu Mike i Barb ze swoją piątką, Ruth, ulubienica całej rodziny, przyjechała z Duluth z mężem Danem i swoją trójką dzieciaków. Młodszy brat Larry i jego żona Fran przywieźli z Milwaukee jeszcze jedną trójkę, z której najmniejszy dzieciak potrzebował wysokiego krzeselka.

Kiedy nóż do krajania mięsa został odpowiednio naostrzony i pieczony indyk wjechał na stół, Mike zajmujący miejsce u szczytu uciszył wszystkich i nakazał, aby podali sobie ręce.

Otoczony ścisłym kręgiem rodziny, zaczął modlitwę: -Dobry Boże, dziękujemy ci za kolejny rok zdrowia i pomyślności. Dziękujemy za pożywienie i za to, że możemy być wszyscy przy tym stole, aby się wspólnie radować. Dziękujemy ci zwłaszcza za mamę, która raz jeszcze postarała się, aby żadne z nas nie pochorowało się z powodu kupnego chleba. I za to, że są z nami Ruth i Larry ze swymi rodzinami, choć prosimy Cię, abyś przypomniał małej Trish, że dość już zjadła ciasta z dyni z bitą śmietaną, gdyż z pewnością pamiętasz, co się zdarzyło ostatnim razem, kiedy nie chciała poprzestać na trzeciej porcji. I oczywiście dziękujemy ci za te pełne werwy dzieciaki, które niewątpliwie posprzątają po obiedzie i zmyją naczynia, wyręczając swoje matki. I jeszcze jedno podziękowanie, Boże, ode mnie i Barb. Przepraszamy, że tak długo trwało, zanim okazaliśmy Ci wdzięczność, ale dostrzegliśmy wreszcie światło i ufamy, że robisz właściwie obdarzając nas jeszcze jednym potomkiem. Za rok, kiedy znowu

weźmiemy się za ręce przy tym stole i będzie nas o jedno więcej, spraw, abyśmy byli równie zdrowi i szczęśliwi jak dzisiaj. Amen.

Najmłodsze dzieci powtórzyły:

- Amen.

Nancy rzuciła spojrzenie na Eryka. Pozostali patrzyli na Mike'a i Barb. Wreszcie Nicholas odezwał się:

- Jeszcze jedno?

- Tak - odpowiedział Mike, zabierając się do krojenia mięsa. - W maju. Akurat gdy skończysz szkołę. Kiedy Mike wbił nóż w indyka, wszystkie oczy skierowały się na Annę. Ta wytarła buzię najmłodszemu wnukowi i powiedziała:

- Tak, to niewątpliwie wielka przyjemność mieć dwanaścioro wnuków. Barbaro, przynieś ziemniaki i sos! Mamy czekać, aż wszystko wystygnie?

Przy stole wszyscy wyraźnie odetchnęli.

W tym dniu Eryk ukrywał przygnębienie. Towarzystwo braci i siostr przyniosło bogate, barwne wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w rodzinie złożonej z sześciu osób, pełnego hałasu, wrzawy, wzajemnych żartobliwych docinków. Przez całe życie pragnął, aby powtórzyło się to w jego domu, z jego dziećmi. Pogodzenie się z myślą, że to nigdy nie nastąpi, wymagało czasu; odebrało mu także radość z tegorocznego świętowania.

Wśród ogólnej rozmowy i wesołości Eryk popadał w chwile milczenia. Od czasu do czasu spoglądał w telewizor, nie zdając sobie sprawy z wysiłków innych, którzy starali się wyrwać go z ponurego nastroju i żartowali, że drzemie. Ale on nie drzemał, był tylko myślami daleko stąd. Czasem patrzył przez okno na śnieg i przypominał sobie Maggie, jak odwróciła się, aby rzucić przez ramię: „W Święto Dzięczynienia powinien być śnieg, prawdę?” Wyobrażał ją sobie w domu rodziców, przy stole, i zastanawiał się, czy załagodziła konflikt z córką. Wspominał go-

dziny spędzone w jej domu i uświadamiał sobie, że był wtedy szczęśliwszy niż dzisiaj, w otoczeniu ludzi, których kochał.

Widział, że Nancy obserwuje go z drugiego końca pokoju, wiedział też, jaki jest prawdziwy powód jego nastroju. Biorąc przykład z Mike'a, postanowił jednak trzymać się mocno tego, za co powinien być wdzięczny losowi: miał blisko siebie cieszącą się dobrym zdrowiem rodzinę, miał dom, łódź i pracowitą, piękną żonę.

Kiedy o ósmej wieczorem wrócili do siebie, przyrzekł sobie nie myśleć już o Maggie Stearn i trzymać się z daleka od jej domu. Nancy otwierała właśnie szafę; objął żonę od tyłu i oparł brodę na jej ramieniu. Kołnierz białego wełnianego płaszcza pachniał niby ogród z wonnościami. Szyję miała Nancy ciepłą i giętką. Przechyliła głowę do tyłu i położyła dłonie na jego dłoniach.

- Kocham cię - powiedział szczerze.

- Ja też cię kocham. - I przepraszam.

- Za co?

- Za to, że odmówiłem poprzednim razem, gdy chciałaś, żebyśmy się kochali. Za to, że cię zaniedbywałem przez ostatnie tygodnie. To moja wina.

- Och, Eryku. - Odwróciła się i przywarła do niego mocno, zarzucając mu ręce na szyję. - Proszę, nie pozwól, aby sprawa dziecka nas rozdzieliła.

Tyle że to się już stało.

Pocałował ją i starał się zapomnieć, co powiedziała. Ale słowa pozostały i pocałunek - przynajmniej dla Eryka - stał się martwy. Przycisnął twarz do twarzy żony, czując wyczerpanie i strach.

- Tak cholernie zazdroszczę Mike'owi i Barb!

- Wiem - powiedziała. - Widziałam to dziś na twojej twarzy. - Obejmowała go i gładziła po karku. - Proszę... nie bądź smutny. Zostaję przez cztery dni w domu. Niech to będą szczęśliwe dni.

Będzie próbował, przysiągł sobie. Będzie się starał. Ale natrafił w sobie na coś głęboko ukrytego, coś nowego, niepokojącego i niszczącego. Tym czymś było pierwsze ziarno goryczy.

Katy Stearn wyjechała z Chicago po zajęciach, o pierwszej, w wigilię Święta Dziękczynienia. Jechała sama, denerwując się i obmyślając wrogą taktykę wobec matki.

„Powinnam polecieć do Seattle ze Smitty. Spotkałabym całą bandę w «Latarni», sprawdzałybyśmy, kto utył na jedzeniu w college'u, kto się zakochał i kto odpadł zaraz po starcie. Mogłabym zademonstrować swoją koszulkę z Northwestern, nowe uczesanie i dowiedzieć się, czy Lenny zaczął już chodzić z kimś ze swojej uczelni, czy też na dobre zламаłam mu serce? Powinnam jeździć znajomymi ulicami, czekać na telefony przyjaciół i spać w swoim pokoju" - myślała Katy.

Wkroczyła właśnie w osiemnasty rok życia, zachowywała się w sposób typowy dla swojego wieku i uważała, że nie jest samolubna, ale pokrzywdzona decyzją matki, która przeniosła się do Door County. Celowo nie zapytała, gdzie stoi nowy dom Maggie, i zajechała prosto do dziadków parę minut przed siódmą. Drzwi otworzyła Vera.

- Jak się masz, Katy!

- Cześć, babciu!

Vera pozwoliła się uściskać, patrząc na pusty podjazd.

- A gdzie twoja matka?

-Nie byłam jeszcze u niej. Postanowiłam przyjechać najpierw tutaj.

Vera cofnęła się gwałtownie.

- Dobry Boże, dziecko, a gdzie twoje botki? Chcesz powiedzieć, że przejechałaś taki kawał z Chicago bez botków? Przecież dostałabyś zapalenia płuc, gdyby samochód się zepsuł i trzeba było przejść kawałek pieszo!

- Mam całkiem nowy wóz, babciu.

- To żadne usprawiedliwienie. Nowe samochody też się psują. Roy, zobacz, kto tu jest, i to bez botków!

- Cześć, dziadku!

- Nasza mała Katy! - Roy wyszedł z kuchni i serdecznie ją uściskał. - I pomyśleć tylko, że jesteś już dość dorosła, żeby prowadzić całą drogę z Chicago. Jak tam w college'u?

Przeszli do kuchni. Vera zapytała, czy Katy jadła kolację, a kiedy usłyszała, że nie, otworzyła lodówkę.

- Zostało trochę zupy, odgrzeję ci. Roy, zabierz swoje śmieci na bok, zastawiłeś cały stół!

Zajęła się zupą, a Katy i Roy usiedli przy stole i zaczęły się pytania o Chicago i o college. Planując wyjazd do college'u, wyobrażała sobie taką właśnie scenę, gdy po raz pierwszy odwiedzi dom - tyle że w tej scenie brała udział

matka. Gdyby pojechała najpierw do niej, tak by rzeczywiście było. Ale jechać do obcego domu w obcym, zaprzyjaźnionym miasteczku! Jak matka mogła jej to zrobić? Jak? Matka oskarżała o egoizm ją, ale Katy upatrywała szczyt egoizmu w postępowaniu Maggie.

Vera postawiła na stole zupę, krakersy, ser i mięso pozostałe z lunchu, i przysiadła się do męża i wnuczki. Potem zabrała się do mycia naczyń, a Roy powrócił do dłubaniny na środku stołu.

- Co robisz, dziadku?

- Całe wiktoriańskie miasto. Co rok kilka domów. Zacząłem od kościoła i do tej pory zrobiłem już dziewięć domów.

* - A w tym roku co będziesz robił?

- Makietę domu twojej matki.

Kiedy patrzyła, jak dziadek składa delikatne kawałki drewna, owładnęły nią dziwnie sprzeczne pragnienia, których nie rozumiała. Być z matką i uwolnić się od matki. Zobaczyć jej dom i nie widzieć go nigdy. Pokochać go i znienawidzić.

- Kupiła naprawdę piękny dom - powiedział Roy. Vera odezwała się od zlewu:

- Mówiłam jej, że trzeba być szaloną, żeby kupować coś tak wielkiego. I tak starego, ale oczywiście nie słuchała

mnie. Co samotna kobieta może zrobić z tak ogromnym domem...

Vera nie przestawała mówić. Katy wpatrywała się w model i usiłowała zrozumieć, co czuje. Roy posmarował klejem miniaturową ramę okienną i przytknął ją do ścianki. Jak wygląda cały dom? Jego górna część, dach?

- ...nie ma ani kawałka mebla w całym domu, więc nie mam pojęcia, na czym będziesz spała, jeśli się tam wybierasz. - Babcia wreszcie skończyła gadać.

Zapach kleju wypełnił pomieszczenie. Vera czyściła kran. Nie podnosząc oczu znad swojej pracy, Roy powiedział:

- Nie zdziwiłbym się, gdyby twoja matka czekała teraz na ciebie, żeby ci go pokazać.

Katy poczuła, że pieką ją oczy. Jej łza spadła na dłoń Roya, kiedy dziewczynka przyglądała się dziadkowi, jak klei następne kawałki. Pomyślała o Seattle i domu, który знаła tak dobrze. Potem - o domu tutaj, z którym nie wiązało jej żadne wspomnienie. Musiała pójść do tego miejsca, którego nie akceptowała, do matki, z którą pozostawała w stanie pełnej napięcia wojny i za którą tęskniła tak bardzo, że aż bolało ją w piersi.

Poczekala, aż Vera pójdzie na górę do łazienki.

Roy w ciszy kontynuował pracę nad modelem.

- Dziadku? - zagadnęła go nieśmiało Katy.

- Hm? - mruknął, sprawiając wrażenie, że obchodzi go tylko domek do wiktoriańskiego miasteczka.

- Musisz mi powiedzieć, jak tam dojechać.

Spojrzał na wnuczkę i uśmiechnął się jak zmęczony Święty Mikołaj, po czym wyciągnął rękę, aby uścisnąć Katy.

- Dobra dziewczynka - powiedział tylko.

Droga była stroma i kręta. Pamiętała ją trochę sprzed lat, gdy przyjechali tu na wakacje i wybrali się na wzgórze, aby obejrzeć letnie domy „bogaty ludzi”. Urwisko po le-

wej i pochylone drzewa po prawej stronie, niemal opadające na drogę. Żadnego oświetlenia, czasem tylko światło u bram wjazdowych, zresztą przysłonięte gęstymi krzewami. Latarnie jej samochodu przesuwają się po ośnieżonych murach ogrodzeń i spadzistych dachach garaży, które zdawały się mieć więcej charakteru niż niejeden nowoczesny dom.

Dostrzegła samochód matki i zaparkowała obok pod wysokimi krzewami.

Popatrzyła na wóz z czapą śniegu, na garaż, na białą płaszczyznę kortu tenisowego i przechylone stanowisko sędziego, o czym matka tyle pisała w listach. Czuła się dziwnie obco, stykając się z czymś, co dla matki nabrało już jakiegoś sensu i wagi. Owładnęło ją poczucie obcości, bo ona, Katy, nie stanowiła części tego otoczenia.

Widok na dom zasłaniał gęsty żywopłot po prawej. Katy niechętnie wyłączyła światła i silnik, i wysiadła z samochodu.

Stała przez chwilę u szczytu opadającego w dół zejścia między puszystymi od śniegu krzewami i patrzyła na tył domu, gdzie zachęcająco błyszczała światłem niewielka weranda. Widać było oszklone drzwi, obok okno, długie i nie osłonięte, rzucające złocistą plamę światła na śnieg. Spojrzała w górę ku dachowi, ale dojrzała tylko jego zarys. Szczegóły były niewidoczne w ciemności.

W końcu zaczęła schodzić po stopniach.

Przed werandą przystanęła z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie i spojrzała na koronkowe firanki w oknie, przez które niewyraźnie dostrzec można było wnętrze. Czuła się tak, jakby jej własne pragnienia stawały się równie mgliste. Nie potrzebowała matki, ale jej nieobecność bolała. Nie musiała tu przyjeżdżać na święto, ale spędzenie tego dnia w Seattle bez rodziny było nie do pomyślenia. Spojrzała na pęk kukurydzy i mosiężną tabliczkę; zdecydowała, że nie polubi tego miejsca, choć podświadomie wchłaniała jednak jego urok.

Zapukała do drzwi i odsunęła się do tyłu w oczekiwaniu. Serce zaczęło jej bić szybciej, gdy przez koronki dostrzegła poruszającą się w głębi postać. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Maggie, uśmiechnięta, w modnych, spranych dżinsowych spodniach i różowej koszuli luźno wyrzuconej na wierzch. - Katy, a więc jesteś!

- Cześć, mamó - powiedziała chłodno.

- Wejdz do środka. - Obejmując córkę, Maggie pomyślała: „Och, Katy, nie bądź jak Vera. Proszę, nie bądź do niej podobna”.

Katy wciąż trzymała ręce w kieszeniach. Wydawało się, że otacza ją bariera równie nieprzenikniona jak stalowa ściana. Pozostawiła Maggie troskę o kurtuazyjne grzeczności.

- Jak ci się jechało?

- Dobrze.

- Spodziewałam się ciebie dużo wcześniej.

- Wstąpiłam do dziadków. Zjadłam u nich kolację.

- Aha. - Maggie starannie ukryła rozczarowanie. Przygotowała spaghetti z kulkami mięsnymi, grzanki z serem i pieczone jabłka - ulubione przysmaki Katy. - Z pewnością byli zachwyceni. Bardzo za tobą tęsknili. Zdejmując wełniany szalik, Katy patrzyła na kuchnię.

- A więc to jest ten dom.

Ciepły i gościnny, ale tak różny od domu, w którym się wychowała. Gdzie ich stół kuchenny? Skąd się wziął ten nowy? I od kiedy matka zaczęła się ubierać jak uczennica? Tyle zmian. Katy miała wrażenie, że nie było jej całe lata, a nie kilka tygodni, i że matka jest absolutnie szczęśliwa bez niej.

- Tak, to jest ten dom. Kuchnię odnowiłam najpierw. To stary stół dziadka, szafki są nowe, ale podłoga oryginalna. Chcesz obejrzeć resztę? - Chyba tak.

- To zdejmij kurtkę i pójdziemy zwiedzać.

Kiedy przechodziły przez puste pokoje, Katy zapytała:

- A gdzie są wszystkie meble?

- W garażu. Kiedy je przywieźli, podłogi nie były jeszcze gotowe.

Wędrówka po domu uświadomiła Katy, że matka nie ma zamiaru wydobywać relikwii przeszłości i woli zapełnić dom zupełnie nowymi sprzętami. Chociaż wywołało to kolejny odruch niechęci, musiała przyznać, że ich standardowe meble byłyby nie na miejscu w tym domu o wysokich sufitach i przestronnych pokojach. Wymagał on mebli masywnych, stylowych, z długą historią.

Dopiero kiedy weszły do pokoju krużgankowego, Katy ujrzała coś znajomego, za czym tęskniła: własne łóżko i komódkę, dziwnie zmniejszone w tym otoczeniu. Łóżko

przykryte było jak dawniej narzutą w błękitne kwiatki, która zdawała się wyblakła i źle dobrana. Maggie wydobyła skądś kilka olbrzymich pluszowych zabawek i ustawiła je obok. Na komódce stała szkatułka, którą Katy otrzymała na Gwiazdkę, kiedy miała dziewięć lat, i koszyczek z pamiątkami: korale, buteleczki perfum, pompony od wrotek.

Wpatrywała się w nie czując, że coś ją dławi w gardle. Jakież to wszystko stało się nagle dziecinne!

Maggie odezwała się łagodnie za jej plecami:

- Nie byłam pewna, co byś chciała tu mieć.

Wzór z błękitnych kwiatków na narzucie zaczął się rozmywać i Katy odczuła raptem niewyobrażalny ciężar zmiany. Zaschło jej w gardle. Chciała znów mieć dwanaście lat, chciała, żeby żył tata, żeby nie musiała dojrzywać do żadnych zmian. Ale równocześnie cieszyła się, że uczy się w college'u, że stawia pierwsze samodzielne kroki w świecie i że wolna jest od kontroli rodziców. W nagłym porywie padła w ramiona Maggie.

- Och, mamo, to takie trudne... dorastać. Serce Maggie przepełniła miłość i zrozumienie.

- Wiem, kochanie, wiem. Dla mnie też.

- Przepraszam.

- Ja też.

- Ale tęsknię za starym domem... i za Seattle... tak bardzo.

-Wiem. - Maggie gładziła Katy po plecach. - Ale wszystko to, wszystkie wspomnienia z tym związane, są częścią przeszłości. Musiałam je oddalić i zrobić miejsce dla czegoś nowego w swoim życiu, bo inaczej byłabym zmuszona się z niego wycofać. Czy to rozumiesz?

- Rozumiem, naprawdę.

- Przeprowadzka tutaj nie dowodzi wcale, że zapomniałam o ojcu, o tym, co znaczył dla nas obu. Kochałam go, Katy, i prowadziliśmy najpiękniejsze życie, jakie mogłam sobie wyobrazić, jakiego życzę tobie i twojemu przyszłemu mężowi. Ale uświadomiłam sobie, że kiedy umarł, ja także praktycznie umarłam. Pograżyłam się w rozpacz i przestałam się troszczyć o rzeczy, o które powinnam. Odkąd tu jestem, czuję się taka... taka żywa! Mam cel, rozumiesz? Mam dom, gdzie muszę pracować, wiosnę, której muszę wyglądać, i cały interes do rozruszania.

Katy widziała to, ujrzała matkę z zupełnie nowej strony, jako kobietę o zadziwiającej prężności, która potrafiła przełamać ograniczenia wdowieństwa i rozkwitnąć na nowo, rozbudzić w sobie nowe zainteresowania. Kobietę otwartą, zdolną zrezygnować z-tradycyjnie urządzonego domu i zacząć energicznie gromadzić antyki. Kobietę interesu przyjmującą nowe wyzwania z zaskakującą pewnością siebie. Matkę przeżywającą moment katharsis równie głęboko jak ona sama. Zgoda na tę nową Maggie oznaczała konieczność pożegnania przeszłości, ale Katy zdała sobie sprawę, że musi to zrobić. Odsunęła się z westchnieniem.

- Bardzo mi się podoba ten dom, mamo. Nie chciałam, żeby tak się stało, ale nic nie mogę na to poradzić.

Maggie uśmiechnęła się.

- Nie chciałaś?

Katy otarła oczy i poskarżyła się.

- Do licha, nie cierpię antyków! Zawsze ich nienawidzi-

łam. A ty zaczęłaś pisać do mnie o szafach i mosiężnych łózkach, więc wyobrażałam to sobie jako coś okropnego, a teraz jestem tutaj, widzę je i strasznie mi się podobają! Maggie ze śmiechem chwyciła Katy w ramiona.

- To się nazywa dorastać, kochanie - akceptować zmiany!

Katy wyrwała się z uścisku.

- A jak się nazywa to?... - Skubnęła rękaw bluzki Maggie. - Moja czterdziestoletnia matka ubrana niczym nastolatka. Czy to także dorastanie?

Maggie wsunęła ręce w głębokie kieszenie, obróciła się na pięcie i spojrzała na swój strój.

- Podoba ci się?

- Nie. Tak. - Katy podniosła w górę ręce. - Do licha, nie wiem. Nie wyglądasz już na matkę. Jesteś jak dziewczyna z akademika. To okropne.

- To, że jestem matką, nie znaczy, że muszę się ubierać jak Harriet Nelson, prawda?

- Kto to jest Harriet Nelson?

- Harriet od Ozzie'ego. Tego stworka. A poza tym cieszę się ze swojej czterdziestki.

- Och, mamoo... - Katy uśmiechnęła się i pociągnęła Maggie w stronę schodów. - Ja też się cieszę, naprawdę. Nie wiem, czy poczuję się tu jak w domu, ale jeżeli ty jesteś szczęśliwa, myślę, że powinnam być z tego zadowolona. * Później, kiedy rozpakowały rzeczy Katy w pokoju kruzgankowym, Katy zauważyła:

-Babcia nie jest zbyt zadowolona, że kupiłaś dom, prawda?

- Czy babcia była kiedykolwiek z czegoś zadowolona?

- W każdym razie ja tego nie pamiętam. Jakim cudem jesteś od niej taka różna?

- To kwestia świadomego wysiłku - odparła Maggie. - Czasem mi jej żal, ale na ogół doprowadza mnie do szału. Odkąd przeniosłam się z ich domu tutaj, jeżdżę tam tylko raz w tygodniu i jedynie dzięki temu jakoś to wytrzymuję.

- Ale dziadek jest taki kochany.
 - Tak, i żałuję, że nie widuję go częściej. Ale wpada tu do mnie od czasu do czasu. Jemu też dom się podoba. - A babci?
 - Jeszcze go nie widziała. Katy zdziwiła się: -Co?
 - Jeszcze tu nie była.
 - Nie zaprosiłaś jej?
 - Och, zapraszałam, ale zawsze znajdowała jakiś powód, żeby nie przyjść. Mówiłam ci, że doprowadza mnie do szału.
 - Ale dlaczego? Nie rozumiem.
 - Ja też nie. Nigdy się nie zgadzałyśmy. Próbowałam się w tym ostatnio jakoś połapać i doszłam do wniosku, że jej się chyba nie podoba, kiedy inni są szczęśliwi... Nie wiem. Jeśli ktokolwiek powie coś, co wskazywałoby na to, że jest szczęśliwy, ona mu zaprzeczy albo skarci go za jakąś błahostkę, która nie ma nic do rzeczy...
 - Zganiła mnie, jak tylko weszłam do domu, że nie jestem w botkach.
 - O, to właśnie coś takiego. Po co to robi? Czy jest zazdrosna? To wydaje się głupie, ale czasem naprawdę zachowuje się tak, jakby była zazdrosna, chociaż nie wiem o co. W moim wypadku chodziło może o nasz związek z tatą - zawsze cudownie czuliśmy się razem. A może to, że w ogóle mogę być szczęśliwa, mimo jego śmierci. Niewątpliwie jest coś, co ją dręczy w związku z moją decyzją o kupieniu tego domu. - Świąteczny obiad jemy u niej?
 - Tak.
 - Czujesz się rozczarowana?
- Maggie zmusiła się do promiennego uśmiechu.
- W przyszłym roku będziemy jadły tutaj. Co ty na to?
 - Umowa stoi. Żadnych wykrętów z mojej strony. Maggie usunęła matkę ze swoich myśli.
 - W lecie, jeżeli będziesz chciała, możesz tu przyjechać

do pracy, sprzątać pokoje. Obok masz plażę, a ja znam paru młodych ludzi, których mogłabym ci przedstawić. Zastanowisz się nad tym?

Katy uśmiechnęła się.

-Zobaczymy.

- Dobrze. No to może zjesz pieczone jabłko? Rozpromieniona Katy wykrzyknęła:

- Zdawało mi się, że czuję zapach, kiedy tu weszłam! Maggie objęła Katy w pasie. Trzy miesiące trwał między

nimi przykry antagonizm. Pogodzić się - to było jedyne, co mogło sprawić, że Święto Dziękczynienia stanie się dla niej szczęśliwe. Ramię w ramię pomaszerowały obie do kuchni.

Rozdział 9

Musiały jakoś wytrzymać świąteczny dzień z Verą. Katy została cztery dni i obiecała przyjechać do matki przynajmniej na pierwszą połowę zimowych wakacji. Potem chciała polecieć do Seattle, do Smitty.

Nadszedł grudzień, przynosząc więcej śniegu. Nie było żadnych turystów i dopiero po świętach Bożego Narodzenia zaczęli się zjeżdżać narciarze oraz saneczkarze. Door zmieniło kolory - błękitne cienie kładły się na białej powierzchni śniegu; tu i ówdzie widać było czarne draperie szaleju, tu i ówdzie jaskrawoczerwone owoce na krzakach sumaku płonęły niczym ogniki nad śniegiem. Zostały ptaki jesienne - sójki, sikorki i mysikróliki. Jezioro zaczynało zamarzać.

Pewnego dnia przed południem Maggie pojechała do miasta po pocztę. Ulice miały teraz wytyczone parkingi, znalazła więc miejsce w połowie drogi między pocztą a domem towarowym. Właśnie wchodziła na chodnik, kiedy ktoś zawołał:

- Maggie! Hej, Maggie!

Podniosła głowę i zmrużyła oczy, oślepiona ostrym południowym słońcem. Jakiś mężczyzna stał na szczycie podnośnika umieszczonego na platformie samochodu i machał do niej.

- Cześć, Maggie!

Ubrany był w polarne futro i w jednej ręce trzymał ogromny bożonarodzeniowy dzwonek. Słońce odbijało się

w zielonej dekoracji z girlandy przeciągniętej od słupa po drugiej stronie ulicy.

- To ty, Eryku?

- Cześć, jak się masz!

- Świetnie. Co tam robisz?

- Dekoruję miasto na Boże Narodzenie. Jestem corocznym ochotnikiem.

Uśmiechnęła się i zmrużyła oczy, odczuwając nieoczekiwaną przyjemność z tego spotkania.

- Ładnie wyglądają te dekoracje! - Spojrzała na Main Street, gdzie girlandy tworzyły już baldachim, a czerwone dzwonki zdobiły słupy aż do zakrętu na wschodnim krańcu ulicy. - No, no. Czuję przyływ obywatelskiej dumy! - powiedziała żartobliwie.

- Mam w zimie mnóstwo czasu. A poza tym bardzo lubię to zajęcie. Wprawia mnie w świąteczny nastrój.

- Mnie też.

Uśmiechali się do siebie przez chwilę, aż w końcu zapytał:

- A jak spędziłaś Święto Dziękczynienia?

- Bardzo przyjemnie, a ty?

- W porządku. Czy twoja córka przyjechała? -Tak.

Z drugiej strony ulicy rozległ się głos:

- Hej, Severson, masz to zamiar zawiesić, czy mam sobie zrobić przerwę na lunch, zanim się zdecydujesz?

- Przepraszam. Dutch, znasz Maggie? Mężczyzna przyglądał się jej z drugiej strony ulicy.

- Chyba nie.

- To Maggie Stearn. To ona kupiła dom Hardinga. Maggie, to jest Dutch Winkler. Łowi ryby.

- Cześć, Dutch! - zawołała i pomachała mu dłonią. Dutch odpowiedział pozdrowieniem, ale przesłonił go

czerwony ford, który wymijał ciężarówkę blokującą jezdnię. Kierowca kiwnął do Dutcha i nacisnął klakson.

Kiedy samochód przejechał, Maggie znów uniosła twarz, zwracając się do Eryka:

- Nie czujesz tam w górze zawrotu głowy?
- Kto, ja? Rybak, który całymi dniami stoi na rozchybotanym pokładzie?
- Och, oczywiście. W każdym razie to ładnie, że się zgłaszasz na ochotnika, by stworzyć nam w mieście świąteczną atmosferę.
- Można stąd obserwować wszystkie ładne dziewczęta, które wcale nie wiedzą, że są śledzone - zażartował.

Gdyby nie krzyczał tak głośno, że słyszała go cała ulica, Maggie miałyby wrażenie, że flirtują. Poczowała ciepło na policzkach i uznała, że już dostatecznie długo rozmawiają.

-Miło cię było zobaczyć. Chyba już pójde po swoją pocztę i mleko. Cześć!

- Cześć! - Obserwował z góry jej ciemną głowę i różową kurtkę. Różową!

Uderzyło go, że zawsze preferowała różowy kolor. Zupełnie o tym zapomniał. Teraz powróciło wspomnienie, jak się z nią droczył i zawsze dawał jej w prezencie różowe drobiazgi. Różowego misia, którego wygrał na karnawałowym stoisku. Innym razem różową peonię z krzaka swojej matki, ukrywaną przez cały dzień w szkolnej szafce. Różowe wstążki do stroju łyżwiarskiego. Ale najlepiej pamiętał teraz tę wiosnę, kiedy byli w ostatniej klasie. Kwitnące sady stały w całej swej krasie. Pożyczył wtedy od Mike'a samochód, żeby zabrać ją do kina na wolnym powietrzu. Po drodze zatrzymał się, żeby zerwać kwitnące różowo gałęzie jabłoni, całą naręcz. Powtykał je potem wszędzie, gdzie się dało, w okna wozu, a nawet w popielniczkę. Zaparkował dwa domy bliżej, w obawie, że matka Maggie to zobaczy i pomyśli, że zwariował; Vera zawsze wyglądała przez okno, gdy przyjeżdżał po Maggie. Kiedy Maggie zobaczyła kwiaty, w zachwycie przycisnęła obie dłonie do ust. Pamiętał, jak ją obejmował - a może to ona obejmowała jego - w samochodzie, zanim ruszyli, pamiętał zapach kwiatów i blady zmierzch wiosenny za szybą, i to, że był po raz pierwszy i najcudowniejszy zakochany. Nie dojechali do kina tamte

go wieczoru. Zamiast tego zaparkowali w sadzie Easleya pod drzewami, otworzyli drzwi samochodu, aby ich kwiaty dołączyły do tych, które kłębiły się nad dachem, i tam właśnie po raz pierwszy zakosztowali miłości.

Stojąc w chłodny zimowy dzień w koszu podnośnika dwadzieścia stóp nad ziemią, Eryk patrzył, jak różowa sylwetka Maggie znika w drzwiach poczty, i wspominał.

Zaczął znowu pracować, ale nieuważnie, wciąż zerkając na budynek pocztowy. Po chwili Maggie znowu się pojawiła. Przeglądała listy, idąc w stronę domu towarowego oddalonego o pół kwartału. Kiedy znalazła się na wprost niego, znowu mu pomachała, choć tylko dwoma palcami, na co odpowiedział uniesieniem dłoni w rękawicy. Weszła do domu towarowego, kiedy skończył zawieszanie plastikowego dzwonka i wyjrzał ze swego kosza.

- Hej, Dutch, nie jesteś głodny? Dutch spojrzał na zegarek.

- A niech mnie, już prawie dwunasta. Robimy przerwę na lunch?

- Tak, jestem gotowy z robotą.

Kiedy zjeżdżał w dół, na platformę, nie odrywał oczu od wejścia do domu towarowego. *Łazisz za nią, Severson. O co chodzi? Każdy je lunch.*

Sklep był zatłoczony. Zatłoczony, jak to w Fish Creek w grudniu. Każdy w mieście wiedział, o której przychodzi poczta: codziennie między jedenastą a wpół do dwunastej. Ponieważ nie doręczano listów w obrębie miasta, południe sprowadzało falę mieszkańców, którzy wstępowali na pocztę i po drodze kupowali w domu towarowym wszystko, czego im było potrzeba. To była w Fish Creek godzina spotkań towarzyskich.

Kiedy Maggie weszła do środka, większość klientów zgromadziła się we frontowej części sklepu. Przy stoisku mięsnym nie było nikogo. Prześliznęła się obok wysokiej szafki chłodniczej.

- Hej, co się tam dzieje? - zawołała żartobliwie. Roy odwrócił się i jego twarz rozjaśnił uśmiech.
 - No, to najmiłsza rzecz, jaka mogła mnie dziś spotkać. Jak się miewasz, złotko? - Opuścił swoje stanowisko przy maszynie do krojenia i wyciągnął ręce, aby uścisnąć córkę.
 - Mmm... dobrze. - Pocałowała go w policzek. - Musisz mi zrobić sandwicza, skoro już tu jestem.
 - Z czym?
 - Z pastrami. Tylko nałóż grubo, bo jestem głodna jak wilk.
 - Bułka pszenna?
 - Nie, żytnia. - Kiedy kroił bułkę, obejrzała tacę pod szkłem.
 - Co tu macie dobrego? Och, śledź marynowany! - Podniosła szklaną pokrywę, nabrała łyżką porcję śledzia i włożyła go do ust, pomagając sobie palcami. - Mmm! Teraz przynajmniej wiem, że zbliżają się święta! - powiedziała z pełnymi ustami.
 - Chcesz, żeby mnie wylali za to sięganie łapami?
 - Są czyste - oświadczyła oblizując palec. - Możesz zobaczyć.
- Roześmiał się i skierował w jej stronę wielki francuski nóż.
- Narażasz mnie na utratę źródła utrzymania, młoda damo!
- Przechyliła się i pocałowała go w czoło, a potem oparła się o kontuar.
- Nikt cię nie wyrzuci. Jesteś zbyt kochany. Przy drugim końcu lady ktoś odezwał się sucho:
 - Ja też chciałbym dostać śledzia.
- Maggie odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu Eryka.
- Cześć, Eryk - powitał go Roy.
 - Trudno utrzymać złodziejskie palce z dala od beczki ze śledziami, prawda?
 - Mówiłem jej, że mnie wyrzucą!

- Zrób dla mnie to samo, co właśnie szykujesz.

- To pastrami na żytniej bułce.

- Doskonale.

Maggie wróciła do tacy, pokiwała palcem i powiedziała scenicznym szeptem:

-Eryku, hej, chodź no tutaj! - Zerknęła ukradkiem w głąb sklepu, wydobyła nowe dzwonko śledzia i podała mu ponad staroświecką chłodziarką. - Tylko nie mów nikomu!

Zjadł ze smakiem, kręcąc głową i uśmiechając się, a potem oblizwał palce.

- Ej, wy tam! Biercie swoje sandwicze i wynocha, precz od moich śledzi! - zbeształ ich Roy dobrodusznie, w chwili gdy do stoiska podchodziła Elsie Childs, miejska bibliotekarka.

- Jestem zajęty. Co ci dziś podać, Elsie?

-Halo, Elsie - pozdrowili ją unisono Maggie i Eryk, uciekając szybko ze swymi sandwiczami. Maggie chwyciła jeszcze karton mleka, za który zapłaciła przy wyjściu. Kiedy znaleźli się na ulicy, Eryk zapytał: - Gdzie zamierzałaś jeść?

Spojrzała na długą drewnianą ławkę przy ścianie; latem siadali tu turyści z lodami.

- Może tutaj? - Mogę się dosiąść?

- Proszę.

Usiedli na zimnej ławce, opierając się plecami o drewnianą poręcz, z twarzami skierowanymi w południową stronę, ogrzewani promieniami jaskrawego słońca. Nie zdejmując rękawiczek, rozpakowali sandwicze przełożone grubymi na cal plastrami mięsa i próbowali otworzyć usta dość szeroko, aby odgryźć pierwszy kęs.

- Mmmm... - zachwyciła się Maggie z pełnymi ustami.

- Mmm! - zawtórował jej Eryk. Przełknęła kęs i spytała:

- Gdzie jest Dutch?

- Pojechał do domu zjeść razem z żoną.

Rozmawiali między kolejnymi kęsami.

- Więc doszłaś do ładu z córką?

- Tak. Dom jej się spodobał, chce przyjechać na lato i pracować.

- Wspaniale.

Z brązowej papierowej torby wyjęła karton mleka, otworzyła go i pociągnęła łyk.

- Chcesz się napić? - zapytała, podając Erykowi karton.

- Dziękuję. - Kiedy odchylił głowę, patrzyła, jak jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół. Odjął karton od ust i wytarł je wierzchem rękawiczki.

- Dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie. Maggie przesunęła się trochę, żeby mógł postawić karton między nimi. Z wyciągniętymi nogami i skrzyżowanymi stopami w ciepłych butach jedli leniwie, wsparci o ścianę. Elsie Childs wyszła ze sklepu i Eryk podciągnął nogi, żeby mogła przejść.

- Jeszcze raz cześć! - powiedział.

- Bardzo wam tu wygodnie. Odpowiedzieli jednocześnie:

- Słońce grzeje.

- Tak, mocno. No to bawcie się - powiedziała Elsie, kierując się w stronę poczty.

Skończyli sandwicze, a przechodnie snuli się w jedną i drugą stronę. Maggie włożyła prawie pusty karton po mleku z powrotem do torby.

- Chyba powinnam wracać do domu.

- Tak, Dutch zaraz przyjdzie. Mamy jeszcze ze sześć girland do zawieszenia.

Nie ruszyli się jednak, wchłaniając słońce niczym para jaszczurek na ciepłym kamieniu. Na pozbawionym liści drzewie akacji po drugiej stronie ulicy para sikorek wyśpiewywała piosenkę złożoną z dwóch nut. Od czasu do czasu przejeżdżał samochód, szurając oponami po mokrej powierzchni ulicy. Ławka, na której siedzieli, zrobiła się równie ciepła jak słońce na ich twarzach.

- Maggie? - wymruczał Eryk, zaprzątnięty jakąś myślą. - Mogę ci coś powiedzieć?

-Pewnie.

Milczał tak długo, że spojrzała na niego, aby sprawdzić, czy nie zasnął. Ale jego zmrużone oczy utkwione były w czymś po drugiej stronie ulicy, splecione palce w rękawiczkach trzymał na brzuchu.

- Nigdy nic podobnego nie przeżyłem z Nancy - powiedział w końcu, zwracając twarz wprost ku niej.

- Nie usiadłaby na lodowatej ławce z sandwichem w rękę, tak samo jak nigdy nie włożyłaby reeboków bez skarpet. Po prostu nie potrafiłaby tego zrobić.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w słońcu tak jaskrawym, że aż oślepiającym.

- Czy robiłaś coś podobnego ze swoim mężem? - zapytał.

- Cały czas. Różne spontaniczne, głupie rzeczy.

- Zazdroszczę ci - powiedział, zwracając twarz jeszcze bardziej ku słońcu i zamykając mocno oczy. -

Myślę, że mama ze starym też wymykali się, żeby robić coś podobnego. Pamiętam, jak wypływali czasem łodzią po zmroku i nie pozwalali nam, dzieciom, płynąć ze sobą. - Otworzył oczy i spojrzał na sikorki. Kiedy wracali do domu, miała mokre włosy i zaczęliśmy chichotać z Mike'em, bo wiedzieliśmy, że nigdy nie wkłada kostiumu kąpielowego. Wydaje mi się, że tak jest teraz z Mike'em i Barb. Jak to się dzieje, że jedni ludzie odkrywają ten sekret, a inni nie?

Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

- Wiesz, co myślę?

- Co? - Spojrzał na nią ponownie.

Milczenie trwało jeszcze chwilę, zanim wyraziła swoją opinię. . .

-Myślę, że pozwalasz, aby jedno rozczarowanie wyolbrzymiało następne. Wszyscy tak czasem robimy. Jesteśmy kimś rozczarowani z jakiegoś konkretnego powodu i rozciągamy to na wszystkie błażostki i nic nie znaczące bzdury.

Rozdmuchujemy je ponad wszelką miarę. A w chwili kiedy nam się coś nie podoba, powinniśmy pamiętać o czymś, co było dobre. Nancy ma mnóstwo zalet, o których teraz zapominasz. Wiem, że ma.

Westchnął, pochylił się do przodu z łokciami opartymi na kolanach i wpatrzył się w chodnik.

- Chyba masz rację! - przyznał po namyśle.

- Mogę ci coś poradzić?

Ciągle pochylony, spojrzął na nią przez ramię.

- Oczywiście.

- Zabierz ją tu. - Oczy Maggie rozbłysły, kiedy mówiła z entuzjazmem, siedząc ramie w ramie z Erykiem: - Przekonaj ją, że to jest coś, co chciałbyś robić razem z nią. Wyciągnij najcieplejszą kurtkę, opatul ją i zamów dwa sandwicze u taty, zabierz Nancy w swoje ulubione miejsce i wytłumacz jej, że cieszysz się tak samo z tego miejsca, jak i z tego, że jesteś z nią, i z nowo poznawanej przyjemności, jaką jest ten piknik na śniegu.

Przez kilka chwil wpatrywał się w jej twarz, twarz, którą zaczynał zanadto lubić. Często nawiedzała go w nocy, tuż przed zaśnięciem. W końcu zapytał:

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Dużo czytam. Miałam wspaniałego męża, który lubił nowości, prowadziłam także zajęcia w zespole życia rodzinnego w swojej szkole, co wymagało ukończenia kursu psychologii.

- Moja matka nie czyta i nie zaliczyła kursu psychologii.

- Nie. Ale założę się, że nie zwracała uwagi na drobne wady twojego ojca i ciężko pracowała nad swoim małżeństwem.

Odwrócił się, a jego głos zabrzmiał goryczą.

- Kiedy ktoś mówi, że nie chce mieć rodziny, to nie jest jedynie drobna wada. To zasadniczy brak.

- Czy rozmawialiście o tym z Nancy przed ślubem? - Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Po prostu założyłem, że będziemy mieli dzieci.
 - Ale jeżeli nie rozmawialiście, czyją winą jest to, co dzieje się teraz między wami?
 - Wiem, wiem. - Wstał i podszedł do krawędzi chodnika. Wsunął do połowy podeszwy obu butów nad jezdnię i patrzył na pustą ulicę. Maggie dotknęła palcem rozjątzonej rany. Spojrzała na jego plecy, wzięła karton z mlekiem i podeszła do niego.
 - Myślę, że potrzebujesz doradcy małżeńskiego, Eryku.
 - Proponowałem jej to, ale odmówiła. Jak smutno wyglądał, nawet stojąc tyłem! Nie zdawała sobie dotychczas sprawy, ile smutku może wyrażać spokój.
 - Macie jakichś przyjaciół, z którymi moglibyście oboje porozmawiać? Czasem takie pośrednictwo pomaga.
 - To jeszcze jedna sprawa, która ostatnio mnie nęka. Nie mamy żadnych przyjaciół, w każdym razie wspólnych. Ale jak, do diabła, moglibyśmy mieć przyjaciół, skoro nie mamy czasu dla siebie? Ja mam i mogę porozmawiać z Mike'em - już to zresztą zrobiłem. Ale Nancy nigdy nie otworzy się przed nim czy kimkolwiek z mojej rodziny. Nie jest z nimi tak blisko, zresztą pewno nie lubi ich wystarczająco.
 - Wobec tego nie wiem, co mogłabym ci poradzić. Odwrócił do niej twarz.
 - Stanowię wesołe towarzystwo, może nie? Za każdym razem udaje mi się przygasić w tobie ducha.
 - Nie bądź niemądry. Mój duch jest bardzo odporny. Ale co z twoim?
 - Jakoś to będzie. Nie martw się.
 - Będę się martwiła, tak jak martwiłam się o swoich uczniów, którzy przychodzili do mnie ze swoimi domowymi kłopotami.
- Podeszli do samochodu Maggie.
- Myślę, że byłaś bardzo dobrą nauczycielką, Maggie.

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Zależało mi. I ludzie to czuli.

Uznał jej skromność za ujmującą, ale wiedział, że ocenia ją właściwie. Była bystra, przenikliwa i zrównoważona. Tacy ludzie jak Maggie uczą, nie zdając sobie nawet sprawy, że to robią.

Doszli do samochodu.

- W każdym razie był to przyjemny lunch - powiedział, starając się, żeby jego słowa zabrzmiały weselej.

- Tak.

Otworzył drzwi samochodu, a ona postawiła karton z mlekiem na siedzeniu.

- Twój ojciec robi wspaniałe sandwicze. Powiedz mu to ode mnie.

- Powiem.

Wsiadła do swego lincolna, ale Eryk stał nadal, opierając ręce o drzwi. Spojrzała na niego i przez chwilę oboje nie wiedzieli, co powiedzieć.

Ciągle miał najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Ona ciągle wyglądała cudownie w różowym.

- Nadchodzi Dutch. Wracaj do pracy!

- Tak. No, cóż... uważaj na siebie.

- Ty też.

-Do zobaczenia. - Zatrzasnął drzwi i odstąpił, kiedy wkładała kluczyk do rozrusznika. Nadal stał na ulicy, gdy samochód ruszył, podniósł tylko dłoń w rękawiczce w geście pożegnania.

Tego wieczora, sama w swojej kuchni, Maggie wyjęła z lodówki karton z mlekiem, żeby nalać sobie szklankę. Odgięła brzeg i w tej samej chwili powrócił obraz Eryka, zapamiętany z dzisiejszego dnia: ostro zarysowany i uniesiony podbródek, rozrzucone blond włosy na tle muru, przymknięte oczy i jabłko Adama poruszające się przy każdym łyku, wargi przytknięte do kartonu. Przesunęła palcem po papierowym dzióbku.

Zmusiła się, żeby usunąć ten obraz z myśli, napełniła kubek i wstawiła karton na powrót do lodówki.

Jest żonaty. I nieszczęśliwy.

Ale to pierwsze wystarczy! Co to za kobieta, która nie chce mieć dzieci ze swoim mężem?

Osądzasz po wysłuchaniu tylko jednej osoby zainteresowanej.

Ale żal mi go.

Doskonale. Współczuj mu. Ale trzymaj się drugiej strony ulicy.

Pamiętała o tym ostrzeżeniu, licząc dni do śniadania, które miało się odbyć w izbie handlowej, choć zastanawiała się jeszcze, czy weźmie w nim udział. Jako „po prostu” kobieta uważała, że najmądrzej będzie unikać dalszych spotkań z Erykiem Seversonem, natomiast jako kobieta interesu rozumiała wagę tego, że nie tylko wstąpi do organizacji, ale rozpocznie w niej aktywną działalność i pozna innych członków. W miasteczku takim jak Fish Creek ich poparcie mogło zapewnić mnóstwo korzyści. W końcu miał to być jej dom, więc należało nawiązywać gdzieś przyjaźnie. A czy może być lepsza okazja niż takie śniadanie? Co zaś do ponownego spotkania z Erykiem, któż mógłby mieć im za złe, że oboje będą uczestniczyć w rozmowach z niemal wszystkimi ludźmi interesu w całym hrabstwie?

We wtorkowy rano wstała wcześniej, wykąpała się, włożyła wełniane spodnie w kolorze myśliwskiej zieleni i biały sweter z błyszczącą wypustką przy szyi. Przymierzyła perły, ale zaraz zastąpiła je delikatnym łańcuszkiem, aby po chwili zrezygnować z niego na rzecz wisiora ze złotym zegarkiem, który przypięła nad lewą piersią. W uszy wpięła maleńkie złote kółka.

Kiedy włosy miała już uczesane i makijaż gotowy, złapała się na tym, że po raz drugi spryskuje się perfumami, i spojrzała ostro w swoje niepewne oczy w lustrze.

Wiesz, co robisz, prawda, Maggie? Idę na śniadanie w interesach. Ubierasz się dla Eryka Seversona. Nieprawda!

Ile razy nakładałaś make-up i malowałaś sobie oczy, odkąd mieszkasz w Fish Creek? A perfumy? Perfumowałaś się jak dotąd dwa razy!

Ale nie ubrałam się na różowo!

Och, wielkie rzeczy!

Ze złością zgasiła światło i wybiegła z łazienki.

Jechała samochodem, uświadamiając sobie, że wszystko w mieście przypomina jej o Eryku Seversonie. W stalowo-szarym świetle poranka Main Street jaśniała niby katedra, w której to on zapalił światła. Schody kościoła przypomniały jej ich pierwsze zaskakujące spotkanie w dniu ślubu Gary'ego Eidelbacha. Biała ławka przed domem towarowym nasuwała wspomnienie o tym, jak siedzieli tam w samo południe, jedząc wspólnie lunch.

Jego furgonetka zaparkowana była przy Main Street i Maggie nie mogła wyprzeć się reakcji, jaką ten widok w niej wywołał - dreszcz całego ciała i przyśpieszony puls, jak wtedy gdy zakochała się w nim po raz pierwszy przed laty. Byłoby głupotą zaprzeczanie, że to nie jest sygnał oczekiwania.

Wchodząc do restauracji, spostrzegła go natychmiast pośród dwóch tuzinów ludzi stłoczonych w sali, i serce jej podskoczyło ostrzegając, że świadomie powinna go unikać. Stał po drugiej stronie, rozmawiając z grupą mężczyzn i kobiet, ubrany w szare spodnie i wymiętą sportową bluzę, odsłaniającą białą koszulę rozpiętą pod szyją. Blond włosy miał porządnie uczesane i trzymał w ręku kartkę papieru, jakby rozmowa dotyczyła tego, co tam napisano. Natychmiast odwrócił jednak głowę, jej wejście podrażniło najwidoczniej zakończenia jego nerwów, powiadamiając go o jej obecności. Uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Maggie, tak się cieszę, że jesteś. Uściskał jej rękę - mocnym, twardym uściskiem, najzupełniej na miejscu, dość krótkim, a jednak poczuła wewnętrzny wstrząs pod wpływem tego dotknięcia.
 - Masz nowe okulary - zauważyła z uśmiechem. Przez chwilę wydawał się dzięki nim jakby obcy i wyobraziła sobie, że spotyka go po raz pierwszy.
 - Och, to... - Proste złote uchwyty utrzymywały szkła bez ramek, powiększające jego jasne, niebieskie oczy. - Są do czytania. A ty masz nowy płaszcz - zauważył, stając za nią, kiedy rozpinała guziki białego zimowego okrycia.
 - Nie, wcale nie jest nowy.
 - Oczekiwałem różowej kurtki - powiedział biorąc płaszcz, który zsunęła z ramion. - Zawsze najlepiej ci było w różowym.
- Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie, a kiedy ich oczy się spotkały, zrozumiała, że sala pełna ludzi interesu nie jest dla niej żadną osłoną, gdyż jego słowa wskrzesiły wspomnienia, o których sądziła, że tylko ona je przechowuje. Te wspomnienia zadawały kłam każdej próbie udawania obojętności. Nie, Eryk nie jest nikim obcym. To on ofiarowywał jej różowe świece, kiedy byli młodzi, to on powiedział, że jeśli ich pierwsze dziecko będzie dziewczynką, wymalują cały pokój na różowo.
- Myślałam, że już nie pamiętasz. - To prawda, ale tylko do dnia, kiedy zobaczyłem z wysokości dwudziestu stóp, jak idziesz na pocztę w różowej kurtce. Zaczęło wtedy napływać mnóstwo wspomnień...
 - Eryku...
 - Powieszę płaszcz i zaraz wracam.
- Odwrócił się, pozostawiając ją rozdygotaną wewnątrz i usiłującą ukryć ten stan. Czowała lekki zapach wody kolońskiej Eryka i podziwiała linię jego pleców i głowy, gdy oddalał się z jej płaszczem. Natychmiast zresztą wrócił i ujął ją za łokieć.
- Chodź, przedstawię cię.

Gdyby oczekiwała, że będzie udawał obojętność, byłoby to dla niego krzywdzące, ponieważ okazał się niezmiernie bezpośredni w roli jej osobistego przewodnika. Przed posiłkiem oprowadzał ją między gośćmi i przedstawiał, a następnie usiadł obok niej przy okrągłym stole na sześć osób. Poprosił kelnerkę o przyniesienie herbaty, nie pytając, czy Maggie nie woli kawy. Chciał się dowiedzieć, czy nadeszły już tapety. Powiedział:

- Mam coś dla ciebie! - i rozpiął kurtkę, by sięgnąć do wewnętrznej kieszeni.

- Proszę. - Wręczył jej wycinek z gazety. - Pomyślałem, że to mogłoby cię zainteresować. Powinno tam być mnóstwo antyków.

Było to ogłoszenie o wyprzedaży ruchomości.

- Eryku, zapowiada się wspaniale! Gdzie to znalazłeś? - Obejrzała wycinek z obu stron.

- W „The Advocate”.

- Jakim cudem tego nie zauważyłam?

- Nie wiem, ale tu wymieniają mosiężne łóżko. Chciałaś takie do pokoju krużgankowego, prawda?

- I wyścielaną kanapkę z francuskim obiciem! - wykrzyknęła, czytając dalej: - ...antyczną porcelaną, skośnie przycięte lustro, dwa krzesła z drzewa różanego... Z całą pewnością się tam wybiorę!

CZWARTEK OD 9 DO 17, 714 JAMES STREET, STURGEON BAY - informowało ogłoszenie.

Spojrzała rozpromieniona i podekscytowaną.

- Och, dziękuję, Eryku!

- Proszę bardzo. Będzie ci potrzebna furgonetka?

- Pewnie tak.

- Stary wycieruch ma humory, ale jest do twoich usług, jeżeli tylko zechcesz.

- Dziękuję. Pewno zechcę.

- Przepraszam - przerwał im męski głos. Eryk podniósł głowę.

- O, Mark... cześć. - Odsunął krzesło.

- To chyba nowa właścicielka Domu Hardinga - powiedział mężczyzna. - Ponieważ mam ją dzisiaj przedstawić, pomyślałem, że powinniśmy się najpierw poznać. - Wcześniej już wyciągnął rękę do Maggie. Spojrzała w długą i chudą twarz mężczyzny po czterdziestce, okoloną brązowymi, falistymi włosami. Mogła być atrakcyjna, ale Maggie zmroziło, że ta twarz zanadto się do niej przybliżyła i roztacza tak duszący zapach wody kolońskiej, aż poczuła dławienie w gardle.

- Maggie Stearn, a to Mark Brodie, prezes izby. Mark...

- Witaj znowu w Fish Creek - powiedział Mark, ściskając jej dłoń.

- Jak rozumiem, jesteś absolwentką Gibraltaru.

Trzymał jej dłoń za długo w zbyt mocnym uścisku, tak że zrozumiała w ciągu dziesięciu sekund, iż nie jest z nikim związany i szuka nowej kobiety w mieście. Absorbował ją skutecznie przez następne pięć minut, przekazując fale swego zainteresowania równie mocno, jak mocno pachniała geranium jego woda kolońska. Przez te pięć minut zdołał poinformować Maggie, że się rozwiódł, że jest właścicielem klubu z restauracją pod nazwą „Gospoda Na Brzegu” i że bardzo chciałby zobaczyć ją i jej dom w niedalekiej przyszłości.

Kiedy odszedł wzywany obowiązkami, Maggie podeszła do stołu i napiła się wody mineralnej, aby zmyć zapach jego wody kolońskiej, który czuła nawet w ustach. Jej sąsiedzi słuchali kobiety imieniem Norma, opowiadającej anegdoty o swym dziewięcioletnim synku. Eryk zwrócił się do

Maggie:

- Brodie zawsze dostaje to, co chce - powiedział.

- Hm.

- I jest wolny. -Hm.

- Interesy dobrze mu idą.

- Tak, dokładnie mi o tym powiedział.

Ich oczy spotkały się, ale spojrzenie Eryka było pozbawione wyrazu. Siedział oparty o poręcz, trzymając jednym palcem uszko filiżanki, a Maggie zastanawiała się, jak reagować na jego uwagi. Podeszła kelnerka i stanęła między nimi, rozstawiając naczynia na stole.

Po śniadaniu Mark Brodie poprosił o ciszę i omówił parę kwestii związanych z interesem, a następnie przedstawił Maggie.

- Panie i panowie, mamy wśród nas nowego członka, kobietę. Urodziła się i wychowała w Fish Creek, jest absolwentką liceum Gibraltar, a teraz wróciła do nas, aby otworzyć nowy pensjonat typu noclegi ze śniadaniem. - Mark pochylił się nad mikrofonem. - Powinienem dodać, że jest także bardzo ładna. Proszę, aby wszyscy pozdrowili nową właścicielkę Domu Hardinga, Maggie Stearn!

Wstała, czując rumieniec na twarzy. Jak Brodie śmiał wypowiadać publicznie swoje osobiste uwagi, i to w obecności całego miasta! Nawet całego hrabstwa! Ta prezentacja oznaczała koniec śniadania i Maggie zaraz otoczył tłumek, życząc jej wszystkiego dobrego, zapraszając, oferując pomoc i rady. Została w ten sposób oddzielona od Eryka, a kiedy po kilku minutach się rozejrzała, był już w innej grupie i szykował się do wyjścia, wkładając płaszcz i rękawiczki. Ktoś do niej mówił, ktoś mówił do niego, gdy otwierał szklane drzwi i wychodził na zewnątrz. W ostatniej chwili obejrzał się na Maggie, ale to nieme pożegnanie trwało tylko moment przed zatrzaśnięciem drzwi.

Mark Brodie nie tracił czasu, aby potwierdzić opinię, którą Maggie sobie o nim wyrobiła. Zadzwoił wieczorem.

- Pani Stearn? Tu Mark Brodie.

- O, witam.

- Czy podobało się pani spotkanie?

- Tak, wszyscy byli tacy serdeczni.

- Chciałem z panią porozmawiać przed wyjściem, ale ty-

lu ludzi panią otaczało. Pomyślałem sobie, że może by się pani wybrała na przejażdżkę saniami w niedzielę po południu. Urządza ją młodzież z kościoła komunalnego i zaprasza ochotników do towarzystwa.

Czy była to propozycja randki? Co za spryciarz - przedstawił to w taki sposób, żeby nie była pewna. Postanowiła się wykręcić.

- Przejażdżka saniami - myśli pan, że będzie dość śniegu?

- Chyba tak. Jeżeli nie, Art Swenson wymontuje płozy

i założy koła do swego pojazdu. Zaczynamy o siódmej i wyjeżdżamy na jakieś dwie godziny. Co pani na to?

Maggie rozważyła propozycję i zdecydowała, że Mark Brodie nie jest w jej typie, bez względu na to, czy planował randkę, czy też nie.

- Naprawdę mi przykro, ale mam już plany na niedzielny wieczór.

- No, cóż, to może innym razem - odpowiedział wesoło, zupełnie nie przejęty odmową.

- Może.

-No to... jeśli mógłbym pani w czymkolwiek pomóc, proszę dać mi znać.

- Dziękuję, panie Brodie.

Odłożyła słuchawkę, ale nie ruszała się przez chwilę od telefonu, wspominając wszechogarniający zapach Marka i jego natarczywy sposób bycia. Pomyślała: nie, dziękuję, panie Brodie.

Zadzwoił ponownie następnego ranka. Jego głos rozbrzmiewał w jej uszach hałaśliwą rzeźkością.

- Tu Mark Brodie. Jak się pani dziś miewa? - To był głos nadgorliwego sprzedawcy używanych samochodów z reklamy telewizyjnej.

- Doskonale - odpowiedziała automatycznie.

- Jest pani zajęta w poniedziałek wieczorem? Zaskoczona, odpowiedziała zgodnie z prawdą: -Nie.

- W Sturgeon Bay jest kino. Mogę panią zaprosić na film?

Rozpaczliwie szukała odpowiedzi.

- Myślałam, że prowadzi pan klub z restauracją. Jakim sposobem ma pan tyle wieczorów wolnych?

- W niedziele i poniedziałki lokal jest nieczynny. - Och.

Nie zrażony jej unikiem, powtórzył:

- Więc co z kinem?

- Poniedziałek?- Nie przychodził jej na myśl żaden wykręt. Żaden!

- Mogę po panią wstąpić o szóstej trzydzieści.

- No... - Czuła się spłoszona niemożliwością wymyślenia jakiejś przekonującej wymówki na poczekaniu, ale umysł miała zupełnie pusty.

- Szósta trzydzieści. Proszę powiedzieć: „tak”. Zdobyła się na nerwowy śmiech.

- Jeżeli nie, to będę znowu dzwonił.

- Panie Brodie, ja się nie umawiam na randki.

- W porządku, w takim razie zjawię się któregoś wieczoru przed pani drzwiami z kolacją w torbie z brązowego papieru. To nie będzie randka. - Panie Bro...

- Mark. - Mark, powiedziałam, że się nie umawiam.

- To zapłać za swój bilet do kina.

- Jesteś bardzo uparty, prawda?

-Tak, proszę pani, jestem. No więc co z poniedziałkiem?

- Dziękuję, ale nie! - odpowiedziała stanowczo.

- Trudno. Ale nie bądź zaskoczona, kiedy znowu mnie usłyszysz!

„Ten człowiek ma dość czelności, żeby wypełnić stodołę” - pomyślała, kładąc słuchawkę.

Telefon odezwał się ponownie w środę po południu i Maggie odebrała go, mając na podorędziu wszelkie wykręty. Ale zamiast Marka Brodie odezwał się Eryk, który zaczął rozmowę, nie przedstawiając się:

- Hej, jak się masz? Uśmiechnęła się szeroko.
- Och, to ty, Eryku.
- A kogo się spodziewałaś?
- Marka Brodie. Już dwa razy dzwonił.
- Mówiłem ci, że jest uparty.
- Jest nieznośny.
- Musisz się tego spodziewać w mieście, które jest takie małe i w którym nie ma wielu samotnych kobiet, w dodatku ładnych i bogatych. - Panie Severson, czuję się zakłopotana.

Roześmiał się. Porozumiewali się idealnie na tej samej fali.

- Poczekaj chwilę, umyję ręce.
- Oczywiście.

Wróciła za chwilę mówiąc:

- No, czuję się lepiej. Byłam zupełnie zakłajstrowana.
- Kładziesz tapety?
- Tak.
- I jak to wygląda?
- Wspaniale! Poczekaj, aż zobaczysz pokój krużgankowy, ten... - Przerwała, bo zdała sobie sprawę, co może oznaczać taka bezpośredniość. - Ten? - powtórzył pytająco.

Ten przyćmiony odcień różowości, którego nie zobaczysz. Musimy o to oboje zadbać.

- Jest już prawie skończony, a tapeta cudownie pasuje.
- To świetnie. Więc co zdecydowałaś z furgonetką? Furgonetka. W ogóle o tym nie pomyślała, ale nie było innego sposobu, żeby przewieźć meble. - Jeżeli rzeczywiście to nie kłopot, chętnie ją wezmę.
- A nie przyda ci się jakieś towarzystwo?

Myślała, że po prostu pożyczycy wóz i sama go poprowadzi. Stała w swojej kuchni, nagle pozbawiona oparcia, zastana-

wiając się, co odpowiedzieć, wpatrując się w drzwi lodówki i wyobrażając sobie jego twarz. Kiedy tak milczała, rzucił:

- Pomyślałem po prostu, że gdybyś kupiła coś większego, przyda ci się ktoś do noszenia.

Co za niezręczna sytuacja! Jeśli odmówi, argumentując, że to nie wypada, może wywołać u niego myśli, których prawdopodobnie nie miał, ale wyrażenie zgody mogłoby z kolei nasunąć mu przypuszczenie, że coś w tym jednak jest.

Postanowiła wybrnąć z tego honorowo; mniejsza o delikatność.

- Eryku, myślisz, że to rozsądne?

- Mam wolny dzień i jeżeli nie będziesz miała nic przeciwko temu, zatrzymamy się przy sklepie Beada i Rickera, i zabiorę coś, co zamówiłem dla Nancy na Boże Narodzenie. Dzwonili, że jest już gotowe. Sama wzmianka o Nancy uniewinniła oboje.

- Och, w takim razie dobrze.

- O której mam przyjechać?

- Wcześniej, żeby mi nie wykupili najlepszych rzeczy.

- Jadasz śniadania? -Tak, ale...

- Zabiorę cię o siódmej i zjemy po drodze. I jeszcze, Maggie...

- Tak?

- Włóż botki. Ogrzewanie w starym wycieruchu nie działa najlepiej.

- Włożę.

- Do zobaczenia rano.

Odłożyła słuchawkę i oparła głowę na rękach, a łokcie na kolanach, i siedziała skulona, wpatrując się w podłogę przez pełne dwie minuty w oczekiwaniu na powrót zdrowego rozsądku i walcząc z niemądrymi myślami o wdowach, które wystawiają się na pośmiewisko.

W końcu wstała, zaklęła cicho i sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do niego i odwołać wszystko.

Ale odsunęła aparat z powrotem i znowu usiadła na stołku.

Wiesz, w co się pakujesz.

W nic. Ostatni raz się z nim zobaczę. Słowo.

Następnego ranka obudziła się z myślą, która rozbrzmiewała w jej głowie jak śpiew: Zobaczą go dzisiaj! Zobaczą go! Przewróciła się na bok i wtuliła twarz w poduszkę, zastanawiając się, czy faktycznie i w jakim stopniu kontakt z żonatym mężczyzną może być przyjaźnią. Leżała myśląc o nim - o jego włosach, oczach, ustach - i znowu obróciła się na plecy z mocno zaciśniętymi oczyma i rękami splecionymi na brzuchu.

Włożyła najmniej atrakcyjny strój, jaki mogła znaleźć - dzinsy i idiotyczną złotą bluzkę, która czyniła ją chodzącą reklamą Ziebart, ale potem wszystko zepsuła, robiąc bardzo staranny makijaż i układając włosy za pomocą żelu.

Jego furgonetka zajęczała punktualnie o siódmej; Maggie spotkała Eryka w połowie ścieżki, opatulona w różową kurtkę, w botkach, z naręczem koców.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry. Niosę koce, żeby owinać meble, gdybym jakieś kupiła.

- Daj, wezmę je.

Zabrał od niej koce i ramię w ramię ruszyli do samochodu.

- Gotowa do zakupów?

- Mam nadzieję.

Wszystko niby zupełnie platoniczne i niewinne, a przecież lśniące zakazanym blaskiem dzięki samej jego obecności.

Umieścił koce w części bagażowej i ruszyli w drogę. Słońce jeszcze nie wstało. W kabinie sączyło się przytulnie nikłe światło, a Barbra Streisand śpiewała w radiu „Zrób sobie swoje małe święta...”, „Pamiętasz czasy, kiedy...”

Rozmawiali - czy był jeszcze ktoś, z kim rozmawiało jej się równie swobodnie? - o najprzyjemniejszych świętach w dawnych latach, a zwłaszcza o tych, kiedy byli w szóstej klasie. Oboje mieli świąteczny dyżur i musieli zaśpiewać kolędę po norwesku. Wspominali też wznoszenie zamków ze śniegu, gdy byli dziećmi; jak się wyrabiało świece; ile rodzajów sera pochodzi z Wisconsin; jak rozdawanie serów na święta stało się tradycją. Kiedy zmęczeni się mówieniem, równie swobodnie po prostu milczeli. Słuchali muzyki i prognozy pogody - pochmurno, sześćdziesiąt procent możliwości opadów - i razem śmiali się z dowcipu spikera. Kiedy zaczęła się nowa piosenka, jechali znowu w koleżeńskim milczeniu. Wyczuwali od czasu do czasu wstrząsy spowodowane smugami lodu na szosie i obserwowali oświetlenie wytyczające drogę przed nimi. Zbliżał się świt - szary, ponury wschód słońca, w porównaniu z którym wewnątrz bagażówki wydawało się przytulne i miłe. Po prawej pojawił się czerwono-zielony znak z napisem: PĄCZKOWA DZIURKA. Eryk zwolnił i włączył kierunkowskaz.

- Lubisz pączki? - zapytał.

- O tej porze? - udała zdumienie.

Odpowiedział jej uśmiechem i skręcił w prawo, wjeżdżając na nie sprzątnięty parking.

- To najlepsza pora, pierwsze smażenie!

Wpadli w jakąś dziurę i Maggie musiała się chwycić mocno siedzenia.

Roześmiała się i powiedziała:

- Mam nadzieję, że ich wypieki są lepsze od parkingu!

- Zaufaj mi.

W środku mikołaje z plastiku i plastikowe wieńce dekorowały ściany udające cegłę; plastikowe kwiaty w plastikowych doniczkach zdobiły spowite w plastik łóżki. Eryk skierował Maggie do jednej z nich przy prawej ścianie, wsunął się z drugiej strony i ściągnął kurtkę, wszystko jednym ruchem, jak robił to już setki razy.

Dorodna kelnerka o kruczoczarnych włosach podeszła i energicznie postawiła przed nimi dwa grube białe kubki bez spodeczków, a następnie napełniła je kawą.

- Zimno tak od rana w drodze - powiedziała, stawiając elektryczny czajnik z kawą. - To się wam przyda.

Odeszła, zanim jeszcze kawa przestała bulgotać. Maggie z uśmiechem patrzyła za oddalającą się kobietą, po czym zauważyła:

- Chyba zamawialiśmy kawę, co?

- Chyba tak. - Podnosząc kubek, żeby się napić, Eryk dodał:

- Lokalik nie jest zbyt elegancki, ale ma dobrą wiejską kuchnię. - Menu stało między cukiernicą i serwetnikiem. Eryk podał je i zasugerował: - Spróbuj omletu-ze-wszyst-kim-na-świecie. Gdybyś chciała się podzielić ze mną, to zapewniam, porcja jest za duża nawet na dwie osoby.

Odczytanie składników omletu zajęło Maggie pełne trzydzieści sekund, a kiedy skończyła, miała oczy okrągłe ze zdumienia.

- Czy to prawda? Rzeczywiście ładują to wszystko do jednego omletu?

-Tak jest, proszę pani. A gotowy omlet nie mieści się na tacy.

- W porządku, idę na to. Weźmiemy go na spólkę. Czekając na omlet, wspominali Śnieżny Bał w szkole,

z dyrektorem przebranym za Świętego Mikołaja, kiedy to Brookie ośmieliła się podnieść gałązkę jemioly nad jego głowę i pocałować go. Napełnili znowu kubki kawą i ze śmiechem stwierdzili, że każda część zastawy pochodzi z innego kompletu. Kiedy podano omlet, śmiechu było dużo więcej z powodu rozmiarów tego dania. Eryk kroił, a Maggie nakładała na talerze apetyczną jajeczną mieszaninę z trzema rodzajami mięsa, dwoma gatunkami sera, ziemniakami, cebulą, pieczarkami, zielonym pieprzem, pomidorami, brokułami i kalafiozem. On zjadł swoją porcję i jeszcze dwa ogromne domowe pączki, ona przegryzła grzanekę

i oboje zdawali sobie sprawę, że całe to śniadanie długo będą wspominać.

Z powrotem w samochodzie, Maggie jęknęła, trzymając się za brzuch, gdy ruszali w stronę wyjazdu.

- Uważaj, proszę cię!

- Trzeba go trochę utrzęsnać! - zażartował, naciskając gaz, tak że całym pędem przejechali parking, podskakując w górę i w dół. Maggie uderzyła głową o sufit, pisnęła i wybuchnęła śmiechem. Eryk zakręcił gwałtownie, aż odbiła się od drzwi, opadła całą siłą na jego ramię i znów odskoczyła, zanim nie zatrzymał samochodu przed wjazdem na autostradę,

- Severson, jesteś sza... szalony! - Śmiała się tak bardzo, że nie mogła mówić.

On też się śmiał.

- Stary wycieruch ma jednak w sobie jeszcze trochę ikry! Musimy puścić go któregoś dnia na lód i zrobić pączka!

W dawnych czasach wszyscy chłopcy „robili pączki”, wjeżdżając samochodami na lód jeziora i krążąc tak, aby na śniegu zarysowały się okrągłe „pączki”. Wtedy, tak samo jak Maggie teraz, dziewczęta piszczwały z radości.

Siedząc w samochodzie Eryka, śmiejąc się razem z nim i oczekując, aż zwolni się wjazd, Maggie doświadczyła tak mocnego wrażenia *deja vu*, że był to po prostu wstrząs.

Maggie, Maggie, bądź ostrożna!

Ale Eryk odwrócił się do niej z szerokim, radosnym uśmiechem, tak że zignorowała to ostrzeżenie i zażartowała:

- Wiesz, że jesteś pączkowym zboczeńcem?

- Tak? To podaj mnie do sądu.

Kiedyś przesunęłaby się tak, aby wtulić się w jego ramię, poczuć jego ciężar na swej piersi, i jechałoby w ten sposób, odczuwając kontakt wzmacniający ich wzajemne pragnienia.

Dziś pozostawali z dala od siebie, choć łączyło ich spojrzenie, świadome tego, co się dzieje. Z lewej przejechał sa-

mochód, ale hałas po chwili ucichł. Uśmiech Eryka pozostał tylko grymasem; Severson leniwie przerzucił bieg, wciąż nie spuszczać wzroku z Maggie, i dopiero po chwili skupił się na prowadzeniu, wjeżdżając na autostradę.

Jechali jakiś czas, próbując uporządkować swoje uczucia, zastanawiając się, co z nimi począć. Maggie wyglądała przez okno, słuchając skrzypienia opon na śniegu, patrząc na mijane ciemne zarośla i osłony przeciwsłoneczne.

- Maggie?

Zwróciła ku niemu głowę i ich oczy spotkały się. Skupił uwagę na drodze, mówiąc:

- Właśnie zdałem sobie sprawę, jak rzadko się śmiałem przez ostatnich kilka lat.

Mogła odpowiedzieć w różny sposób, ale postanowiła milczeć, sycąc się tym, co nie zostało wypowiedziane. Coraz wyraźniej rysował się obraz jego małżeństwa, jego samotności, nieuchronnie rozpadającego się związku z Nancy. Najwyraźniej dokonywał już porównań, a Maggie była dostatecznie przewidująca, aby zdawać sobie sprawę, jakie niesie to komplikacje.

W Sturgeon Bay Eryk bez kłopotu znalazł podany adres i czekali, aż pracownik otworzy frontowe drzwi ogromnego budynku w osiemnastowiecznym stylu, zwróconego w stronę Sawyer Harbour. Zbudował go bogaty armator przed niemal stu laty i pozostało w nim jeszcze wiele z oryginalnego umeblowania. Po śmierci ostatniego potomka posiadłość przeszła w ręce krewnych rozrzuconych po całej Ameryce; zdecydowali się oni na sprzedaż i podział pieniędzy.

Antyczne meble, były w różnych stylach, ale w bardzo dobrym stanie. Eryk obserwował Maggie, która przechodziła z pokoju do pokoju, dokonując kolejnych odkryć i wołając: „Popatrz na to!”

Chwytała go za rękaw i ciągnęła w stronę sprzętów. „To ma intarsję z drzewa klonowego!”

-wykrzykiwała, albo: „Tu widać sęki!” Dotykała, podziwiała, sprawdzała, zastanawiała się, czasem rzucała się na ko-

lana, żeby obejrzeć mebel od spodu. Cały czas okazywała entuzjazm, który zachwycał Eryka. Nancy także podziwiała piękne przedmioty, ale w zupełnie inny sposób. Zachowywała dystans, który pozbawiał ją drobnych przyjemności życia. Czasami ta wyniosła rezerwa stawała się nudna. Wreszcie Maggie znalazła łóżko, wielki stary sprzęt ze złocistego dębu, z rzeźbionym zagłówkiem, wysokie na siedem stóp, całe w zawijasach i wypukłościach.

- Och, popatrz, Eryku! - szepnęła, dotykając łoża z szacunkiem i wpatrując się jak zahipnotyzowana w ozdoby. - O, Boże... - Powiodła palcem po rzeźbionym liściu na nóżce. - Po to przyjechałam, prawda? - Nie oczekiwała ani nie otrzymała odpowiedzi, nie odrywała zresztą oczu od mebla. Obserwował od drzwi, jak pięści drzewo, a jego myśli cofnęły się o całe lata, do nocy w sadzie Easleya, kiedy po raz pierwszy dotknęła go w ten sposób. - To wspaniałe łoże. Stary, krzepki, mocny dąb. Jak myślisz, kto to wszystko wyrzeźbił? Kiedy oglądam coś takiego, zawsze myślę o rzemieślniku, który to wykonał. Widzisz, nie ma żadnego znaku.

- Są i inne sprzęty od kompletu - powiedział, wchodząc do pokoju z rękami w kieszeniach.

- Och, umywalka i bieliźniarka!

- Tak je nazywasz? Moja babcia miała podobne meble. Stał obok niej patrząc, jak otwiera drzwiczki i wysuwa szuflady.

- Widzisz? Podwójne szuflady.

- Chyba się nie dadzą wyciągnąć.

Uklękła i wsunęła głowę do wewnątrz. Jej głos zabrzmiał echem.

- Mocny dąb. - Wysunęła głowę i spojrzała do góry, na niego.

- Widzisz?

Ukucnął obok, usłużnie, z każdą chwilą coraz bardziej nią zachwycony.

- Postawię na tym miednicę i dzbanek, i zawieszę zgrzebny ręcznik. Mówiłam ci, że zamówiłam takie ręczniki?

- Nie mówiłaś - odpowiedział, uśmiechając się pobłaźliwie. Wciąż siedział w kucki obok mej z jednym łokciem opartym o kolano. Nie miał pojęcia, co to takiego zgrzebny ręcznik, ale kiedy uśmiechała się, wypowiadając te słowa, na jej policzku tworzył się dołek tak wyraźny, jakby rzeźbił go ten sam rzemieślnik, który ozdobił łożo.

- Strasznie trudno było znaleźć wzory. Ale czy nie będą cudownie wyglądały na tym wieszaku? - Ciągle na kolanach, z błyszczącymi oczyma, zwróciła się ku niemu. - Chcę kupić cały komplet. Znajdźmy tego człowieka.

- Nie sprawdziłaś ceny.

- Nie muszę. Chcę to mieć, nawet gdyby kosztowało dziesięć tysięcy dolarów.

- Ale to nie jest łóżko z baldachimem ani mosiężne.

- Jest jeszcze lepsze. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli coś ci się podoba, po prostu musisz to mieć. Nie odwrócił wzroku.

Rumieniec na jej twarzy równy był jego rumieńcowi. Ich serca były niespokojnie. W tej krótkiej chwili ujawniły się ich prawdziwe uczucia. On pierwszy opanował się i powiedział:

- Dobrze, sprowadzę człowieka.

Kiedy zaczął wstawać, chwyciła go za ramię.

- Ale, Eryku - ściągnęła brwi - czy stary wycieruch temu podoba?

Wybuchnął śmiechem. Zabrzmiało to w jej ustach tak nieoczekiwanie.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała.

-Ty. - Przykrył dłonią jej dłoń na swoim ramieniu i uścisnął ją.

- Jesteś cudowna, Maggie Stearn.

Kupiła więcej, niż mieściło się w bagażówce. Załatwili transport sprzętów, których nie mogli zabrać, i załadowali

tylko te trzy, które uważała za najcenniejsze. Maggie nadzorowała załadunek z wielką gorliwością.

- Uwaga na gałkę! Nie opieraj w ten sposób szuflad! Czy na pewno są dobrze przywiązane?

Eryk obejrzał się na nią z uśmiechem.

- Tylko dlatego, że ty jesteś rupieciarą, a ja jeżdżę rzęchem, nie znaczy, że nie potrafię porządnie zawiązać węzła. Swego czasu pływałem żaglówką.

Już po drugiej stronie bagażówki ze skrucą pochyliła głowę i powiedziała:

- Bardzo przepraszam, panie Severson.

Jeszcze jedno zaciągnięcie linki i Eryk zakomenderował:

- No to jedziemy!

Podczas godzin spędzonych na wyprzedazy zapomnieli zupełnie o tym, że Eryk jest żonaty, ale następny przystanek był przy sklepie Beada i Rickera, i to przywróciło ich gwałtownie do rzeczywistości. Kiedy zaparkowali przed wejściem, beztroski nastrój minął. Eryk siedział przez chwilę, nie zdejmując rąk z kierownicy, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar.

- Zaraz wracam - powiedział, otwierając drzwi samochodu. - To nie powinno mi zająć wiele czasu.

Patrzyła, jak idzie - mężczyzna, którego nie mogła mieć - śledziła z miłością każdy jego krok, patrzyła, jak włosy opadają mu na podniesiony skórzany kołnierz, jak układa się na nim ubranie, na kolory, które wybrał. Wszedł do sklepu jubilerskiego, a ona siedziała z wzrokiem utkwionym w wystawę - czerwony aksamit i biżuteria w jasnym świetle, przystrojona jemiolą. Tradycyjnie zamówił coś dla swojej żony na święta. Ona, Maggie, nie powinna czuć się z tego powodu przygnębiona, a jednak była. Co kupował dla Nancy? Kobieta tak piękna stworzona była do noszenia rzeczy jaśniejących blaskiem.

Maggie westchnęła, odwróciła wzrok i spojrzała na ulicę, na wejście do sklepu z artykułami żelaznymi, do którego wchodziły dwie stare kobiety. Jedna z nich miała staro-

świecką wełnianą chustę, druga niosła płócienną torbę z uchwytyami.

Jedna wskazała w głąb ulicy, druga odwróciła się, aby spojrzeć w tym kierunku.

Maggie przymknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. *Nie powinnaś być tutaj.* Podniosła głowę i dostrzegła parę czarnych skórzanych rękawic Eryka obok siebie. Rękawice - ukształtowane jak jego ręce, ze zgiętymi palcami i wełnianą podszewką niewątpliwie spłaszczoną przez jego dłoń.

Tylko bardzo niemądra kobieta mogłaby poczuć chęć ich dotknięcia, wsunięcia na własną dłoń.

I bardzo niemądra kobieta to zrobiła. Podniosła je i włożyła, spowijając dłonie w miękką skórę, która okrywała i jego dłonie. Jej ręce wydawały się dziwnie małe; zacisnęła pięści, aby lepiej odczuć ten dotyk, który miał zastąpić inny, zakazany. Eryk wyszedł ze sklepu; odłożyła rękawice, tam gdzie poprzednio leżały. Wsiadł do samochodu i położył na siedzeniu torbę ze srebrnej folii. Maggie bezwiednie śledziła jego ruchy. W środku ujrzała małe pudełko, również owinięte w folię i związane czerwoną wstążeczką. Odwróciła oczy w stronę gwiaździstego pęknięcia na bocznej szybie spowodowanego dawno temu uderzeniem kamienia. Czekwała, aż samochód ruszy. Ale wciąż stali, więc spojrzała na Eryka. Nagie dłonie ścisnęły kierownicę; patrzył prosto przed siebie. Miał wyraz twarzy człowieka, któremu lekarz

powiedział właśnie: pozostaje nam tylko czekać. Przez całą minutę siedział nieruchomo. Wreszcie powiedział:

-Kupiłem jej pierścionek ze szmaragdem. Szaleje za szmaragdami.

Odwrócił głowę i ich spojrzenia spotkały się.

- Nie pytałam - powiedziała cicho Maggie.

- Wiem, że nie.

W milczeniu, które zapadło, żadne z nich nie mogło zdobyć się na odwrócenie spojrzenia.

To wróciło, równie mocne jak kiedyś. Mocniejsze. I szykowali sobie zgubę.

Odwrócił się i znowu zapatrzył w okno, a kiedy milczenie stało się nie do zniesienia, wypuścił powietrze przez zęby i opadł w kąt siedzenia. Z łokciem opartym o oprawę szyby podniósł kciuk do warg, odwracając od niej twarz. Siedział tak wyglądając na ulicę, a nie wypowiedziane wyznanie zawisło między nimi.

Nie wiedziała, co powiedzieć, co zrobić, co myśleć. Dopóki żadne z nich nie wyraziło otwarcie czy choćby nie zdradziło się ze swoim uczuciem, byli bezpieczni. Ale to bezpieczeństwo już się skończyło, choć nie padło ani jedno słowo i żadne z nich nie uczyniło najmniejszego ruchu.

Wreszcie Eryk westchnął i zapuścił silnik.

- Zawiozę cię do domu - powiedział z rezygnacją.

Rozdział 10

Wracali do Fish Creek w kłępującym milczeniu.

Widziała jasno: niezadowolenie Eryka dotyczyło jego własnej osoby, nie jej. Był uosobieniem człowieka rozdartego. Prowadził przez całe dwadzieścia pięć mil wbity w kąś siedzenia, nieruchomy, z napięciem wpatrując się w szosę. Dopiero kiedy skręcili na krętą drogę, wyprostował się i wygodniej siadł za kierownicą. Zaparkował u szczytu podjazdu, wziął rękawice i bez słowa wysiadł. Zrobiła to samo i stanęła obok niego za samochodem, czekając, aż otworzy tylne drzwi.

- Czy pomożesz mi to zanieść na górę? - zapytała, przerywając długą ciszę.
- Jest za ciężkie dla kobiety.
- Razem damy radę.
- Dobrze, ale jeżeli będzie ci za ciężko, powiedz.

Nie powiedziałaaby, nawet gdyby wyskoczył jej dysk, chociaż nie wiedziała dlaczego. To był powrót do oficjalnych stosunków. Dwoje ludzi z ciężarem, robiących swoje z obojętnością pracowników poczty.

Wnieśli najpierw umywalkę, następnie bielizniarkę, schodząc po schodach w ostrożnym milczeniu. Wiedziała instynktownie, że po dzisiejszym dniu już go nie zobaczy. Podjął decyzję w samochodzie przed sklepem jubilerskim, kiedy pierścionek ze szmaragdem znalazł się między nimi. Na końcu wnieśli łóżko, z przednim i tylnym oparciem złożonymi razem. Kiedy postawili je na podłodze, powiedział:

- Jeżeli masz jakieś narzędzia, złożę ci je.

- Nie trzeba, sama to zrobię.

Po raz pierwszy sprzeciwił jej się w czasie tego żalostnego powrotu.

- Maggie, ta cholerna decha waży sześćdziesiąt funtów! - rzucił. - Jeśli się przewróci i pęknie, możesz pożegnać się ze swoimi antykami. Daj mi klucz i śrubokręt.

Dała mu jedno i drugie, -a potem obserwowała, jak przykłęka na jedno kolano i próbuje sobie poradzić z częściami mebla. Pracował zajądłe; kołnierz miał podniesiony, pochyloną głowę, mięśnie napięły mu się pod czarną skórą kurtki. Odkręcił śruby z jednej strony i zabrał się do dalszych.

- Trzymaj to, bo upadnie! - nakazał, nie patrząc na nią.

Trzymała prosto odkręcone elementy. Wstał gwałtownie, aż mu zatrzęszczały kolana, wsunął śrubokręt do tylnej kieszeni i przeszedł przez pokój: drewniane części ułożył na podłodze. Potem przeniósł tylne oparcie na miejsce i ukląkł, aby złożyć całość. Usiłowała nie obserwować go, aby się nie zachwycać jego sylwetką, kiedy tak klęczał, wykonując męską pracę.

Wreszcie złożył łóżko i wstał.

- No to już. A materace? - Spojrzał na jej pojedyncze posłanie w rogu pokoju.

- Są w garażu. Tata mi pomoże.

- Na pewno?

- Tak. To dla niego głupstwo.

- No to... - wyjął rękawiczki z kieszeni kurtki, nie ponawiając propozycji - chyba już pójdę.

- Dziękuję, Eryku. Naprawdę wdzięczna ci jestem za pomoc.

- To był dobry zakup! - stwierdził, kiedy opuścili pokój, jakby to było podsumowanie całej wyprawy.

-Tak.

Schodzili po schodach ramię w ramię, okrążyli filar i skierowali się do kuchni w stanie dziwnej pustki emocjo-

nalnej. Skierował się prosto do drzwi, a ona otworzyła je usłużnie ze słowami:

- Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiedział banalnie, spięty wewnątrz.

- Do zobaczenia.

Zamknęła za nim zdecydowanie drzwi i pomyślała: no więc tak. Decyzja została podjęta. *Napij się herbaty, Maggie. Idź na górę i podziwiaj nowe meble. Wymaż dzisiejszy dzień z pamięci.*

Ale dom wydał się jej ponury i nagle przestały ją bawić antyki, tak podniecające jeszcze przed paru godzinami. Podeszła do kuchennego zlewu, puściła wodę i podstawiła czajnik, zapaliła gaz i postawiła czajnik na palniku; wyjęła kubek z szafki i bezmyślnie wpatrzyła się w pojemnik z torebkami herbaty.

Na zewnątrz Eryk doszedł po stopniach do samochodu, machinalnie zatrzaskał tylne drzwi, okrążył wóz, usiadł za kierownicą i usłyszał, jak trzasnęło oparcie. Odwrócił się, sięgnął do tyłu i mruknął:

- Cholera.

Uniósł się nieco, żeby zobaczyć, co się stało. Śrubokręt Maggie wyszarpnął dziurę w pokrowcu.

- Do diabła! - zaklął i uderzył pięściami w kierownicę. Żeby być tak wściekłym. Żeby wpaść w pułapkę własnych emocji.

Siedział długą chwilę, oparty łokciami o kierownicę, naciskając palcami w rękawiczkach kąciki oczu i przyznając się w duchu do tego, co było rzeczywistym powodem gniewu.

Zachowujesz się jak cholerny osioł, zrzucając winę na nią! Jeżeli chcesz stąd odejść i nigdy nie wrócić, zrób to przynajmniej z klasą.

Podniósł głowę. Zerwał się wiatr. Zwiewał wierzchołki zasp śnieżnych z ubiegłego tygodnia. Nie zauważał tego, patrząc prosto przed siebie, niechętny powrotowi do jej drzwi, ale spragniony, żeby spojrzeć na nią po raz ostatni.

Czego ty chcesz, Severson?

A czy to ważne, czego ja chcę? Ważne jest to, co muszę zrobić.

Gwałtownie zapuścił silnik i pozwolił mu pracować: gwarancja, że wróci w ciągu minuty, a może i prędzej, i pojedzie do domu, tam gdzie jego miejsce.

Zastukał mocno do drzwi, tak mocno, jak stukalo w jego piersi serce. Otworzyła, trzymając torebkę herbaty w ręce, i zastygli niby wycięte z papieru sylwetki, wpatrzeni w siebie.

- To jest twoje - powiedział wreszcie, podając jej śrubokręt.

- Och... - Wzięła narzędzie. - Dziękuję.

Mówiła tak cicho, że ledwo słyszał słowa, a potem znieruchomiała ze spuszczoną głową, kiedy starał się spojrzeć jej w twarz.

- Maggie, przepraszam. - W jego głosie zabrzmiała nuta czułości.

- Nic się nie stało. Rozumiem. - Okręcała nitkę herbacianej torebki wokół śrubokrętu, nie podnosząc oczu.

- Stało się, bo potraktowałem cię, jakbyś zrobiła coś złego, a tak nie jest. To ja. To... - Dłonie w rękawiczkach oparte na biodrach zacisnęły się i rozluźniły. - Przeżywam trudne chwile i nie mam prawa wciągać w to ciebie. Chcę, żebyś wiedziała, że już cię nie będę niepokoił. Skinęła smutno głową i opuściła ręce.

- Tak chyba będzie najlepiej.

- Mam zamiar... - Wskazał niepewnie na samochód. - Chcę wrócić do domu i zrobić to, co powiedziałaś. Skoncentruję się tylko na zaletach. Chcę, żeby moje małżeństwo ożyło.

- Wiem - szepnęła.

Patrzył, jak walczy, aby ukryć swoje uczucia, ale policzki jej poczerwieniały. Ten widok sprawił, że w gardle i piersiach poczuł dławienie jak kiedyś, gdy „Mary Deare” wpadła w nagłą burzę letnią i myślał, że tonie. Rozstawił

szeroko palce i mocno przycisnął je do bioder, żeby nie pochwycić jej w objęcia.

- Chciałem, żebyś o tym wiedziała. Czułem się fatalnie, odchodząc tak bez słowa.

Skinęła ponownie głową, usiłując ukryć łzy spływające jej z oczu.

- Słuchaj... - Cofnął się o krok i powiedział ochryple: - Życzę ci wesołych świąt i mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze - z domem i twoim nowym przedsięwzięciem.

Podniosła głowę i dopiero wtedy dostrzegł łzy w kąciakach jej oczu.

-Dzięki - powiedziała, z wymuszonym, nieśmiałym uśmiechem. - Tobie także życzę wesołych świąt.

Cofnął się do stopni i przez ułamek sekundy ich spojrzenia wyraziły jasno wszystko to, co czuli i czego pragnęli. Jej brązowe oczy wydawały się powiększone przez łzy wiszące na rzęsach. Jego - niebieskie - wyrażały determinację, z jaką postanowił nie chwycić jej w objęcia. Raz jeszcze zacisnął i rozluźnił dłonie.

-Do widzenia. - Poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Potem odwrócił się i zdecydowanie odszedł z jej życia.

Przez następne dni unikał poczty w południe, jedzenie kupował wszędzie, tylko nie w domu towarowym, a lunch jadał w domu. Rano nadal jednak schodził do piekarni i marzył, że zastanie ją w środku, kupującą słodkie bułki, że na dźwięk dzwonka przy drzwiach ona odwróci się i uśmiechnie, widząc, że on wchodzi. Ale ona wolała na śniadanie jajka. Teraz o tym wiedział.

Zatoka całkowicie zamarzała, jeździł więc swoim skuterem śnieżnym codziennie łowić ryby w przerębłach. Często, siedząc na rozkładanym krzeselku na lodzie i wpatrując się w głęboki otwór, myślał o Maggie, zastanawiał się, czy lubi smażoną rybę, i wspominał, jak wykradała srebrzystego śledzia z drewnianej beczułki u ojca. Myślał, czyby nie za-

wieźć jej świeżego pstrąga z jeziora; łowił ich więcej, niż potrzebował. Przyznawał jednak, że byłby to tylko pretekst, aby ją zobaczyć, i zawoził w końcu pstrąga matce albo Barb.

Dla dzieci Mike'a i Barb zmajstrował na Gwiazdkę tobogan i wyposażył go w sześć futrzanych siedzeń. Kiedy skończył pracę i pokazał go Nancy, zsunęła okulary na koniec nosa i obdarzyła tobogana spojrzeniem krótszym niż to, którym oceniała własny makijaż każdego ranka, a następnie powiedziała:

-Mhm... ładny, kochanie - po czym wróciła do swoich papierków.

Ściął dwa świerki na posesji Mike'a, jeden oprawił w stojak dla mamy, a drugi przywiózł do domu. Kiedy drzewko stanęło w rogu pokoju gościnnego, aromatyczne i świeże, patrzył na nie długo z rękami w kieszeniach, pragnąc, aby był z nim ktoś, z kim mógłby dzielić radość. W czasie weekendu, kiedy przyjechała Nancy, razem ozdobili drzewko jasnymi mrugającymi lampkami, przezroczystymi bombkami i szklanymi soplami lodowymi - jak co roku. Kiedy przywiozła tę dekorację do domu - kupiła ją w stoisku z modnymi zabawkami w The Plaza w Kansas City - ukrywał starannie rozczarowanie podczas ubierania choinki. Ale potem jednak powiedział niepewnie: „Wygląda trochę bezbarwnie, nie uważasz?” - „Nie bądź prostakiem, kochanie - zwróciła mu uwagę Nancy. - Tak jest elegancko”.

Nie chciał eleganckiej choinki. Chciał takiej jak u mamy, z wielkimi kolorowymi światełkami i ozdobami, które sam robił z siostrami i braćmi jeszcze w szkole, i z tymi, które zawieszano na choince, gdy mama była jeszcze małą dziewczynką, albo które rodzina dostawała w prezencie od przyjaciół przez całe lata. Zamiast tego miał choinkę budzącą akurat tyle uczuć co drewniane owoce stojące pośrodku stołu. Często wieczorami jechał więc do mamy albo do Mike'a, żeby cieszyć się ich choinkami, jadł kuku-

rydź, rybę wędzoną w domu i cukierki, bawił się z dziećmi i podrzucał je w powietrze w piżamkach, obserwował, jak choinkowe światełka zabarwiają ich twarze różnymi kolorami, i słuchał, z jakim podnieceniem mówią o Świętym Mikołaju.

Patrząc na lampki na choince, Eryk myślał o Maggie i zastanawiał się, jakie byłyby te święta, gdyby ożenił się z nią, a nie z Nancy. Czy mieliby dzieci? Czy staliby teraz obok własnej choinki? Wyobraził sobie Maggie w wielkim domu z oknami wychodzącymi na zatokę, lśniącoymi podłogami i kuchnią ze starym popękanyym stołem, wspomniął dzień, kiedy razem z Deitzem pili tam kawę, i zatęsknił.¹ Ona także myślała o nim w te dni i noce, nie umiając

uwolnić się od poczucia straty, choć było to nielogiczne, bo jak można utracić coś, czego się nie posiadało? Nie utraciła nic poza codzienną tęsknotą za Phillipem, która w magiczny sposób znikła, odkąd ona znalazła się w Fish Creek. Nieco zaszokowana Maggie uświadomiła sobie, że to prawda - litowanie się nad sobą i zamartwianie wtopiły się bez reszty w aksamitne wspomnienie o ich szczęśliwych dniach. Tak, utrata Phillipa bolała coraz mniej. Tęskniła teraz za Erykiem.

W miarę jak zbliżały się święta, spędziła wiele gorzko-słodkich wieczorów, wspominając wspólne chwile: noc, gdy błądzili po domu z latarką; dzień, kiedy zaskoczył ją przy malowaniu w pokoju krużgankowym, a na dworze wla-^ śnie zaczął padać śnieg; dzień, kiedy jedli sandwicze na ławce przy Main Street; wspólną jazdę do Sturgeon Bay. Kiedy to się zaczęło, to zdradliwe budowanie wspomnień? Czy on także wspominał? Wystarczyło pomyśleć o ostatnich minutach spędzonych razem, aby mieć pewność, że tak.

Ale Eryk Severson należał do innej kobiety i próbowała o tym pamiętać, wypełniając dni przygotowaniami do Bożego Narodzenia. Zadzwoiła po ojca i Roy przyjechał, aby pomóc przenieść materace z garażu, a także podwójne łóżko na dół,

do pokoju dla służby, i cieszyć się razem z nią nowym umeblowaniem pokoju krużgankowego oraz pochwalić ją za tapety.

Po raz pierwszy zasłała ogromne, ręcznie rzeźbione łoże haftowaną pościelą i puszystą narzutą, a potem położyła się, aby patrzeć w sufit i tęsknić za mężczyzną, za którym nie miała prawa tęsknić. Mark Brodie zadzwonił i zaprosił ją do swojego klubu na obiad. Odmówiła raz jeszcze, ale kiedy nalegał, powiedziała w końcu, że przyjdzie.

Zrobił, co mógł, żeby wywrzeć na niej wrażenie. Cicha loża w odległym kącie, dyskretna i sprawna obsługa, len, świece, kryształy, szampan, ślimaki, cesarska sałata przyprawiana przy stole, gorące bułeczki, świeże *obalone* (specjalnie sprowadzone z tej okazji, bo nie należące do stałego menu), a następnie lody bananowe z czekoladową polewą podgrzewaną na spirytusowej maszynie i podane w wytwornych pucharach. Cały posiłek wydawał się jednak zaprawiony wodą kolońską Marka.

Zwracał uwagę na najmniejsze niedociągnięcie obsługi i błyskotliwie prowadził rozmowę, ale najchętniej mówił o własnych sukcesach. Potem prowadził buicka Park Avenue, a wóz pachniał w środku zupełnie tak samo jak on -ostrą, odurzającą słodkością. Kiedy podwiózł Maggie pod dom, niemal z ulgą wyskoczyła z samochodu, aby wciągnąć w płuca zimne powietrze nocy jak ktoś, kto budzi się do życia po raz drugi.

W drzwiach wziął ją w ramiona i pocałował. Długim, wilgotnym pocałunkiem. Przez cholerne pół minuty walczyła ze sobą, żeby go nie odepchnąć, nie splunąć i nie wytrzeć ust. Nie był typem bawidamka. Nie wyglądał źle, nie był zaniedbany, nieprzyjemny czy niewychowany. Ale nie był Erykiem.

Kiedy przestał ją całować, powiedział:

- Chcę cię znowu zobaczyć.
- Przykro mi, Mark, ale chyba nic z tego.

- Dlaczego?
 - Nie jestem na to gotowa.
 - Kiedy będziesz? Poczekam.
 - Mark, proszę... - Odsunęła się i puścił ją bez sprzeciwu.
 - Pozwól, że zachowam się nietaktownie i wyjaśnię, że nie poluję na pieniądze, Maggie.
 - Nigdy tak nie myślałam.
 - Dlaczego więc nie mielibyśmy mieć trochę radości? Ty jesteś samotna, ja jestem samotny. W tym mieście nie ma wiele takich osób.
 - Mark, chcę już wejść do domu. To był wspaniały obiad, masz piękną restaurację i wspaniałą przyszłość * przed sobą. Ale teraz muszę iść.
 - Przekonam cię, Maggie. Ja się nie poddam.
 - Dobranoc, Mark. Dzięki za dzisiejszy dzień. Następnego dnia zadzwoniła do Brookie i pojechały do Green Bay kupić koronkowe zasłony i świąteczne prezenty. Potem jadły lunch. Przyznała się:
 - Brookie, czuję się samotna. Nie znasz kogoś do wzięcia?
- Brookie rzuciła:
- A Mark Brodie? Maggie odpowiedziała:
 - Pozwoliłam wczoraj, żeby mnie pocałował.
 - No i?
 - Czy próbowałaś kiedyś zjeść garść geranium? Brookie zakrztusiła się zupą i skończyła niemal z nosem w talerzu, śmiejąc się do łez i parszkając groszkiem. Maggie też wybuchnęła śmiechem.
- Kiedy Brookie już mogła mówić, zapytała:
- Czy potem zamknęłaś się i zrobiłaś sobie kulki mięsne?
 - Nie. - Może powinnaś go poprosić, żeby zmienił wodę kolońską.

Maggie myślała o tym, kiedy zadzwonił do niej następnym razem, i odmówiła spotkania. I jeszcze raz... i jeszcze.

Katy zawiadomiła, że wyjedzie dwudziestego grudnia, zaraz po rannych wykładach. Maggie ustawiła choinkę w salonie, przygotowała wymyślne potrawy, upiekła ciasto owocowe z rumem, zapakowała prezenty i powiedziała sobie: nic nie szkodzi, że w tym roku nie ma mężczyzny, dla którego mogłaby coś kupić. Są przecież ojciec i matka, Katy i Brookie. Czworo ludzi, którzy ją kochają. Powinna być "wdzięczna losowi za to szczęście.

Już we wtorek rano zaczęto przepowiadać zmianę pogody, ale sceptycy uśmiechali się i powtarzali przy spotkaniach na ulicy: „Podobno nadciągają dwie zamiecie, ale nie ma tu przecież tyle śniegu, żeby go zwiewało z krzaków”.

Śnieg zaczął padać w południe, napędzany z Kanady przez zatokę, i tworzył okrywę, która zarastała zlodowaciałe drogi, jakby była czymś żywym. Wiatr pędzący z szybkością trzydziestu mil na godzinę zamieniał śnieg w kłuszący тумan. O drugiej zamknięto szkoły. O czwartej wszystkie biura. O siódmej na drogi wyruszyły ekipy odśnieżające.

Eryk położył się o dziewiątej, ale godzinę później zbudził go telefon.

- Halo - wymamrotał, na pół przebudzony. -Eryk?

-Tak.

- Tu Bruce Thorson z biura szeryfa w Sturgeon Bay. Mamy krytyczną sytuację, podróżni zablokowani są na drogach w całym hrabstwie i musimy usuwać zatory. Potrzebny nam każdy sprawny skuter śnieżny.

Eryk spojrzął na zegar, usiadł i przeciągnął ręką po włosach.

- Rozumiem. Gdzie mam się stawić?

- Będziemy rozdzielać ochotników z Fish Creek w straży pożarnej. Weź ze sobą tyle sprzętu, ile możesz.

- Dobrze. Będę tam za kwadrans.

Pośpiesznie wyskoczył z łóżka. W biegu zapinał koszulę i spodnie. Nastawił wodę na kawę w kuchence mikrofalowej, znalazł duży czarny worek na śmieci i wrzucił tam świece, zapalki, latarkę, gazety, termos, kombinezon Nancy do jazdy skuterem śnieżnym i kask (który tylko raz włożyła), torebkę z dwiema pozostałymi z rana bułkami, paczkę batonów Butterfinger i jabłko. Włożył własny kombinezon, buty, rękawice, okulary narciarskie i kask. Szybko napełnił termos kawą z dwoma łykami brandy - i już mógł wyjść na dwór. Wyglądał jak astronauta gotów do księżycowego spaceru. Pod osłoną domu burza nie wydawała się taka gwałtowna. Ale kiedy zszedł ze schodów, wpadł w śnieg po pas. W połowie drogi do garażu wiatr uderzył go z taką siłą w twarz, że z trudem brnął, wciąż spychany na bok. Dygocąc i potykając się doszedł do drzwi, ale musiał odmiatać śnieg nogami i rękami, żeby je otworzyć. W środku pomieszczenia było jak w lodowcu - beton mroził bardziej niż śnieg, który tworzył warstwę ochronną. Odgłos włączonych butów skrzypiących na zamrożonej podłodze wdierał się w zasłonięte uszy Eryka. Eryk napełnił bak, przywiązał łopatę i worek z ładunkiem zapasów do siedzenia dla pasażera, włączył silnik i wyjechał na zewnątrz. Ulgą było już odwrócenie się plecami do wiatru, kiedy zamykał drzwi wjazdowe. Mocując się znowu z wichurą, wsiadł do pojazdu i opuścił przednią osłonę z pleksiglasu, uświadamiając sobie, że nieprędkiem znajdzie się znowu w ciepłym łóżku.

Siła sztormowego wiatru wzrosła, zwały śniegu zasłaniały wszystko. Nawet z odległości jednego bloku czerwono-niebieskie światła na Main Street nie były widoczne. Dopiero, kiedy znalazł się pod nimi, spostrzegł Eryk dziwaczne niebieskie i zielone kręgi w kłębiącej się mgławicy w górze. Jechał środkiem niewidocznej Main Street, kierując się blaskiem tych świątecznych świateł. Co jakiś czas po jednej lub drugiej stronie strumień jasnego światła

przebijał śnieżne kłębowisko - znak, że jest tam sklep albo uliczna latarnia.

W połowie drogi do straży pożarnej usłyszał po lewej ryk silnika i spojrzął przez ramię na podobne widmo jak on, tyle że w czerni i na polarisie. Uniósł rękę i drugi kierowca odpowiedział pozdrowieniem, po czym obaj zaczęli jechać bok przy boku w stronę czerwonego światła straży pożarnej, które wskazywało im drogę w śnieżnym labiryncie.

Przed budynkiem zaparkowane były już dwa skutery śnieżne. Eryk zostawił swój pojazd na chodzie.

Przerzucił nogę przez siedzenie, uniósł osłonę twarzy i zawołał:

- Piekielny czas, żeby wychodzić z łóżka, co, Dutch?

- Ty to mówisz! - Stłumiony głos Dutcha zabrzmiał, zanim ten uniósł swoją osłonę. - Prawdziwe skurwysyństwo! - Dutch pokonał z trudem odległość dzielącą go od Eryka i razem weszli do budynku.

W środku Einer Seaquist przydzielał zapasy dwóm innym kierowcom. Jednemu z nich nakazał:

- Jedź jak najszybciej do doktora Braitha. Ma insulinę, którą trzeba przewieźć do Walta McClusky'ego przy szosie wewnętrznej A. Ty, Brian, jedź szosą F do autostrady 57 -zwrócił się do drugiego kierowcy. - Zamknęli ją z tamtej strony, ale zdaje się, że są tam trzy samochody, które nie dotarły do

celu. Dutch, Eryk - dobrze, chłopaki, że możecie pomóc. Wybierajcie - szosa EE albo autostrada 42.

Cholerni kierowcy nie wiedzą, jak zjechać do motelu. Utknęły tam jakieś samochody. Jeżeli kogoś znajdziecie, zróbcie, co się da. Upchnijcie ludzi gdziekolwiek, w motelach, w prywatnych domach albo przywieźcie ich tutaj. Potrzeba wam jakiegoś sprzętu?

- Nie, mam wszystko, co potrzeba - powiedział Eryk.

- Ja też - stwierdził Dutch. - Pojadę na EE.

- Ja na czterdziestą drugą - zdecydował Eryk.

Wyszli razem, brodząc przez zasypane śniegiem schody. Sadowiac się w pojeździe, Eryk poczuł przywracającą pew-

ność wibrację silnika i pomyślał, jak wiele wiary człowiek pokłada w maszynie. Dutch, który również umościł się na siedzeniu, krzyknął unosząc osłonę twarzy:

- Trzymaj się z dala od drutu kolczastego, Severson!

- Ty też, Winkler! - odpowiedział Eryk, naciągając gogle. Ruszyli pojazdami bok przy boku, na zachód, wzdłuż Main Street, pod przesłoniętymi tumanem śniegu świątecznymi lampkami, a potem przez przejazd, gdzie z miasta wychodziła autostrada 42. Na otwartym terenie kierowali się słupami telefonicznymi, a czasem szczytami ogrodzeń. Światła ich latarni przedzierały się tylko na niewielką odległość. W ich kręgu dostrzegali odcinki autostrady ogołocone bezlitosnym wichrem; na innych nie wiedzieli, czy są na jej powierzchni, nie widząc żadnych znaków ograniczających. Raz wychwycili światłami wzniesienie, które wydało im się samochodem. Pierwszy dostrzegł je Eryk i wskazał ręką. Ale kiedy wyszli i zaczęli kopać, okazało się, że to tylko głaz, zwany Bożą Skałą, na którym napis „Jezus ocala” stanowił znak rozpoznawczy autostrady 42, odkąd Eryk sięgał pamięcią.

Znowu w swoich pojazdach, jechali razem aż do miejsca, gdzie autostrada 42 przecina się z drogą wewnętrzną EE. Tam, z pożegnalnym machnięciem ręki, Dutch skręcił w lewo i zniknął w burzy. Po jego odjeździe temperatura wydała się niższa, wiatr silniejszy, a śnieg ostrzej atakował osłonę twarzy Eryka. Samotne światło jego latarni, wznoszące się i opadające niby światło lokomotywy, zdawało się szukać towarzysza, który był teraz poza jego zasięgiem. Skuter warczał, czasem podskakiwał, czasem niemal frunął, a Eryk mocniej ścisnął rączkę gazu, ciesząc się prądem, który przenikał jego ramiona i wibrował w biodrach - jedyną oznaką życia w bezkresnej, skłębionej nocy. Po jakimś czasie zmęczył się ciągłym skręcaniem i balansowaniem. Kciuk lewej ręki zaczął marznąć. Bolały Eryka oczy i czuł zawrót głowy od wpatrywania się w kalejdo-

skopowy ruch śnieżnego tumanu przed sobą. Monotonia osłabiała zmysły i bał się, że może minąć zasypany samochód, nie zauważając go. Z lewej strony zamajaczyło coś czarnego, więc zwrócił się w tym kierunku, utrzymując się pośrodku drogi. Głęboko, poza świadomością, odezwało się ostrzeżenie Dutcha:

„Trzymaj się z daleka od drutów kolczastych!” Nieuważnym kierowcom skuterów śnieżnych takie ogrodzenie obcinało głowy. Inni, ci którzy przeżyli, nosili czerwone naszyjniki blizn do końca życia. Zastanawiał się, gdzie jest Nancy. Nie zadzwoniła. Jeśli dobrze pamiętał, była w Fargo. Czy sztorm sięgał aż tak daleko? Miał nadzieję, że mama ma się dobrze i jej beczka z olejem jest pełna. Przez swój cholerny upór nie pozwalała Mike'owi i jemu zainstalować nowego ogrzewania. „Piec olejowy jest zupełnie wystarczający” - twierdziła zawsze. Kiedy to się skończy, kupi jej nowy, chce czy nie chce. Jest już za stara, aby mieszkać w jednym ogrzewanym pokoju pośród pięciu wyziębionych.

Miał nadzieję, że wszystko jest w porządku z dzieckiem, które nosi Barb. To byłoby piekło, naprawiać połączenie jedyne szpitala w całym hrabstwie z centralą w Sturgeon Bay.

A Maggie... Sama w tym wielkim domu z wiatrem wyjącym znad jeziora i starymi pomostami trzeszczącymi pod ciężarem śniegu. Czy śpi w tym rzeźbionym łożu, które razem wnosili? Czy w taką noc tęskni za mężem?

Eryk przegapiłby zupełnie samochód, gdyby mądry kierowca nie wywiesił czerwonej chusty na narcie wbitej w osłonę przeciwsniegową. Wiatr targał powiewającą chustą, ukazując miejsce, gdzie kryła się całkowicie pokryta śniegiem maszyna. Śpiesząc w tę stronę, Eryk niecierpliwie uniósł się na jednym kolanie, czując, jak wali mu serce. Ludzie umierali, zatruci spalinami w zamkniętych samochodach. Albo z zimna, kiedy w panice je opuszczali. Nie mógł określić, czy to samochód osobowy, czy ciężarów-

ka- wszystko pokrywała jednolita skorupa. Nie słycać było silnika, żadne drzwi się nie otworzyły. Nie było śladów odgarniania śniegu przy rurze wydechowej.

Kiedyś wyciągał tonące dziecko z wody i wspomnienie tamtego dnia powróciło - tłumiona groza, strach, że jest późno, adrenalina dławiąca oddech w piersi. Miał wrażenie, że zмага się z lepka melasą, podczas gdy pokonywał odległość z szybkością cyklonu, wyskakując ze swego pojazdu, zanim ten się jeszcze zatrzymał, wyszarpując łopatę, przebijając się przez śnieg sięgający do piersi w blasku latarni, zmagając się z wszystkimi przeszkodami z szaleńczą pasją. - „Halo!” - krzyczał, odrzucając śnieg łopatą i przebijając się ręką w głąb, aby wyczuć, że rzeczywiście tkwi tam samochód. Wydało mu się, że usłyszał zduszone „Halo!”, ale może był to tylko wiatr.

- Spokojnie! Przedostanę się! Nie otwierać okna! - Niecierpliwie odsunął swoją osłonę twarzy, zamachnął się pięciokrotnie łopatą, aż wreszcie uderzył o metal.

Tym razem usłyszał głos wyraźniej. Płacz. Trudno było rozróżnić stłumione słowa. Łopata natrafiła na szybę i krzyknął znowu:

- Nie otwierać! , , Dłonią w rękawicy przetarł kawałek szyby i zajrzał do środka. Dostrzegł zarys twarzy i usłyszał kobiecy głos:

- O Boże, znalazł mnie pan...

- W porządku, proszę uchylić trochę szybę, żeby weszło powietrze, a ja oczyszczę drzwi-nakazał.

W kilka sekund później otworzył drzwi samochodu, wsunął się do wnętrza i znalazł młodą kobietę w stanie paniki, we łzach, ubraną w dżinsową kurtkę, z ocieplaczem na nogi owiniętym wokół głowy, z parą szarych skarpetek naciągniętych na dłonie, z nogami owiniętymi w różne swetry i części garderoby.

- Trzyma się pani?

Zdjął kask i gogle, żeby mogła widzieć jego twarz. Łkanie utrudniało jej mowę.

- Boże., tak się... bałam..
 - Nie miała pani ogrzewania?
 - Miałam... dopóki nie... zabrakło mi... benzyny.
 - Czuje pani stopy i ręce? Może pani poruszyć palcami?
 - Zdjął rękawice, pociągnął zamek błyskawiczny kieszeni swego kombinezonu i wyjął niewielką paczuszkę z pomarańczowego plastiku. Otworzył ją zębami i wydobyl biały papierowy woreczek. - Proszę, to chemiczny ogrzewacz rąk.
 - Potarł o siebie brzegi, jakby prał brudną skarpetkę. -Trzeba to tylko pobudzić, żeby zaczęło się nagrzewać. - Pochylił się i ściagnął z dłoni kobiety skarpetkę i cienką wełnianą rękawiczkę, którą miała pod spodem. Zacisnął swoje duże dłonie wokół jej palców i podniósł je do ust, aby chuchnąć. - Poruszaj palcami, żebym wiedział, że możesz! -Spróbowała z wysiłkiem, a wtedy uśmiechnął się wprost w jej załzawione oczy. - Dobrze. Czujesz ciepło? - Kiwnęła żałośnie głową i westchnęła jak dziecko, podczas gdy łzy nadal spływały jej po policzkach. - Trzymaj to w rękawiczkach i ugniataj. Za chwilę będziesz miała ciepłe ręce. - Kiedy dał jej drugi woreczek, zapytał: - A co ze stopami?
 - Nie czuję ich... zupełnie.
 - Mam też ogrzewacze.
- Była w cienkich skórzanych pantoflach, zdjął je dziewczynie i zapytał:
- A gdzie botki?
 - Zostawiłam... w szkole.
 - W Wisconsin, w grudniu?
 - Mówi pan jak... moja babcia - odpowiedziała, usiłując zdobyć się na żart.
- Uśmiechnął się i znalazł dwa większe woreczki, które potarł, aby wywołać chemiczne ogrzewanie.
- Czasem babcie wiedzą najlepiej.
- Po chwili miała już ogrzewacze na stopach wraz z parą grubych wełnianych skarpet, które je przytrzymały. Zmusił ją do wypicia sporego łyku kawy z brandy, po której aż się zakrztusiła.

- Jakie to wstętnie! - wykrzyknęła, ocierając usta.
- Mam zapasowy kombinezon. Sama go włożysz?
- Chyba tak... Spróbuję.
- Dzielna dziewczyna.

Przyniósł kombinezon, botki, długie rękawice, gogle i kask, ale poruszała się tak wolno, że musiał jej pomóc.

- Młoda damo - strofował ją przy tym - mam nadzieję, że następnym razem, gdy wyjedzie pani na autostradę w środku zimy, będzie pani lepiej przygotowana.

Jej westchnienia ustały, czuła dość ciepła, żeby się trochę bronić.

- Skąd miałam wiedzieć, że będzie tak okropnie? Całe życie mieszkałam w Seattle.
 - Seattle? - powtórzył, naciągając jej na twarz wełnianą maskę i zapinając kask pod brodę. - Jedziesz taki kawał z Seattle?
 - Nie, tylko z Chicago. Na północny zachód. Jadę do domu na święta.
 - Dokąd?
 - Do Fish Creek. Moja matka prowadzi tam pensjonat. Seattle, Chicago, Fish Creek? Stojąc obok opuszczonego samochodu w śnieżnej kurzawie, patrzył na to, co widoczne było z twarzy dziewczyny mimo maski i kasku. - A niech mnie diabli! - mruknął. -Co?
 - Jesteś chyba Katy Stearn, prawda?
- Jej zdumienie było oczywiste. Otworzyła szeroko oczy i patrzyła na niego.
- Znasz mnie?
 - Znam twoją matkę. A przy okazji, mam na imię Eryk.
 - Ty jesteś Eryk? Eryk Severson?
- Tym razem on się zdumiał, że córka Maggie zna jego nazwisko.
- Była z tobą na balu maturalnym! Roześmiał się.
 - Tak, tak właśnie było.

- Ale ubaw - powiedziała Katy, zachwycona zbiegiem okoliczności.

Roześmiał się ponownie i powiedział:

- No, zabieramy cię do domu, Katy.

Zatrzasnął drzwi samochodu i poprowadził dziewczynę do skutera, torując jej drogę. Zapytał:

- Jeździłaś już na czymś takim?

- Nie.

-Przyjemniej jest, kiedy nie ma wiatru i temperatury minus pięćdziesiąt stopni, ale zajedziemy szybko i w ciepło. Jesteś głodna?

- Umieram z głodu.

- Jabłko czy baton? - zapytał, grzebiąc w torbie z zapasami.

- Baton - odpowiedziała.

Wyciągnął jedno opakowanie batonów Butterfinger i zapalił silnik, podczas gdy dziewczyna zaczęła jeść. Następnie ustawił siedzenie i polecił:

- Siadaj za mną i obejmij mnie w pasie. Masz się tylko przechylać na zakrętach. W ten sposób utrzymamy się w torze.

- Dobrze - usiadła i objęła go ramionami. – I nie zaśnij!

- Nie.

- Gotowa? - zapytał przez ramię.

- Gotowa, Eryku, ale... -Co?

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. Chyba nigdy w życiu tak się nie bałam.

W odpowiedzi poklepał jej zaciśnięte dłonie.

- Trzymaj się! - zawołał, ruszając do przodu, w stronę domu Maggie.

Jej imię dźwięczało mu w głowie - Maggie, Maggie, Maggie - kiedy ścisnął dźwignię gazu i czuł mocny uścisk rąk jej córki. Gdyby wówczas w sadzie Easleya mieli mniej szczęścia, ta dziewczyna mogłaby być ich dzieckiem.

Wyobraził sobie Maggie w kuchni, jak podnosi jedwabną zasłonkę i wygląda przez okno w śnieżyce. Jak krąży po pokoju w swetrze zarzuconym na ramiona. Znowu wygląda przez okno. Dzwoni do Chicago, aby sprawdzić godzinę wyjazdu Katy. Robi herbatę, która pozostanie nie wypita. Dzwoni na posterunek policji drogowej, aby się dowiedzieć, czy zaspasy są usuwane z szosy, i stara się nie ulegać panice. I znowu krąży po pokoju, nie mając nikogo, z kim mogłaby podzielić swój niepokój.

Maggie, kochanie, nic jej się nie stało. Jadę z nią do ciebie, więc nie trać ducha.

Wiatr dał nieprzyjaźnie prosto w ich twarze. Eryk kulił się za osłoną i opierał się sile wiatru z takim zapamiętaniem, że paliły go mięśnie nóg. Nie zwracał na to uwagi - kierował się w stronę domu Maggie. Śnieg zaczął padać gwałtowniej, gęściej, utrudniając orientację. Eryk trzymał się słupów telefonicznych, ścisnął ster i wiedział, że nie zgubi drogi. Jechał do Maggie.

Nie myślał o zimnie, koncentrując myśl na kobiecie o kasztanowych włosach czekającej za białą zasłonką, otwierającej drzwi i witającej ich z wyciągniętymi ramionami. Przysiągł sobie, że będzie się trzymał od niej z daleka, lecz los postanowił inaczej; jego serce przepelniła ciepła radość na myśl o tym, że znowu ją zobaczy.

Maggie spodziewała się Katy około piątej lub szóstej, w najgorszym razie siódmej. O dziewiątej zadzwoniła do Chicago. O dziesiątej do policji drogowej. O jedenastej do ojca, który jednak nie bardzo mógł ją pocieszyć. O północy, ciągle sama, krążyła po domu bliska łez.

O pierwszej zrezygnowała i położyła się do łóżka w pokoju służbowym, najbliższym drzwi kuchennych. Ale nie udało jej się zasnąć, po godzinie wstała więc, włożyła pikowany szlafrok, zaparzyła sobie herbaty i usiadła za stołem twarzą do odsłoniętego okna. Wyciągnęła nogi i oparła stopy o siedzenie drugiego krzesła, wpatrując się w biały wir wokół światła na werandzie.

Proszę, niech jej się nic złego nie stanie. Nie mogłabym jej stracić.

W końcu zdrzemnęła się, głowa opadła Maggie na ramię. Obudziła się dwadzieścia po pierwszej, słysząc słaby warkot pojazdu zbliżającego się ku domowi. Skuter śnieżny! Przylgnęła twarzą do szyby, osłaniając oczy dłońmi. Warkot narastał, potem światło reflektora wydobyło z mroku zarys drzew, a następnie wzniosło się w górę jasnym słupem, jak gdyby pojazd zaczął się wspinać po drugiej stronie zbocza. Nagle ujrzała źródło światła, gdy skuter pojawił się na szczycie śnieżnej zasy i zanurkował w dół, kierując się wprost do drzwi domu.

Maggie rzuciła się do drzwi, zanim silnik przestał pracować. Otworzyła je szarpnięciem, akurat gdy na tylnym siedzeniu poruszyła się sylwetka pasażera i zduszony głos zawołał:

- Mamo!

- Katy? - Maggie weszła w śnieg po kolana. Postać, która brnęła ku niej, była w srebrze i czerni od stóp do głów, jej twarz kryła się za plastikową osłoną, ale trudno było nie poznać głosu.

- Och, mamo, udało się!

- Katy, kochanie, tak się martwiłam! - Łzy ulgi spłynęły z oczu Maggie, kiedy obie padły sobie w ramiona, by objąć się mocnym uściskiem, co utrudniał kombinezon Katy.

-Samochód zepchnęło z drogi... Tak się bałam... ale Eryk mnie znalazł... -Eryk?

Maggie odsunęła się i spojrzała na kierowcę, który wyłączył właśnie silnik i składał tylne siedzenie. On także był w srebrnym kombinezonie, z zasłoniętą twarzą. Kiedy wszedł na stopnie werandy, uniósł osłonę, ukazując trzy otwory w swej czarnej masce narciarskiej. Ale nie ulegało wątpliwości, do kogo należały te piękne niebieskie oczy i usta, które tak niedawno oglądała z bliska, gdy pił mleko z kartonu.

- Nic jej nie jest, Maggie. Wchodź do środka. Patrzyła na tę postać jak z innej planety. Serce jej waliło.

-Eryk?... Ty... jak to?...

- Wejdz do domu, Maggie, bo zamarzniesz.

Weszli wszyscy troje i Eryk zamknął drzwi. Ściągnął kask i maskę, podczas gdy Katy bez przerwy mówiła.

- Były takie straszne zasy i tak wiało, że nic nie widziałam, potem samochód pośliznął się i wpadł w rów, a ja zostałam zaledwie z odrobiną benzyny i... - Mówiąc to wszystko, Katy bezskutecznie usiłowała ściągnąć kask dłońmi w rękawicach. W końcu dała za wygraną i zażądała: - Do licha! Czy ktoś mógłby mi pomóc?

Eryk odłożył swój kask na stół i podszedł do niej.

Jej twarz wynurzyła się pod szopą zgniecionych włosów. Wargi miała Katy spękane od zimna, nos czerwony, ale oczy błyszczące podnieceniem, gdyż niebezpieczeństwo już minęło. Znów rzuciła się w ramiona matki.

- Mamo, nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa, że wróciłam do domu!

-Katy... - Maggie przymknęła oczy, obejmując mocno córkę. - To była najdłuższa noc w moim życiu.

- Objęte ramionami kołysały się, stojąc w miejscu, dopóki Katy nie powiedziała:

- Ale, mamo... -Co?

- Muszę do łazienki, i to tak bardzo, że jeżeli nie wydo-będę się z tego księżycowego stroju natychmiast, nie wytrzymam!

Maggie roześmiała się i odstąpiła pół kroku, aby pomóc przy potrójnych zamkach błyskawicznych w jednoczęściowym kombinezonie. Wydawało się, że są wszędzie, na dole i na górze, przy kostkach i mankietach.

- Ja to zrobię - powiedział Eryk, odsuwając Maggie. -Masz śnieg w butach. Zdejm je lepiej.

Przyklęknął i pomógł Katy poradzić sobie z zamkiem na łokciu, odpiął jej też ciężkie botki, podczas gdy Maggie po-

szła do łazienki, żeby wytrząsnąć śnieg z pantofli. Osuszyła stopy ręcznikiem, podczas gdy Eryk wyciągał Katy z opornego kombinezonu.

- Szybciej! - błagała, tańcząc w miejscu. Kiedy kombinezon opadł, rzuciła się w skarpetkach w stronę łazienki.

Eryk i Maggie patrzyli z rozbawieniem. Rozległo się trzaśnięcie drzwiami i Katy zawołała:

- Ty się możesz śmiać! Ciebie nie poił kawą z brandy przez calutką godzinę!

Stojąca przy zlewie Maggie odwróciła się do Eryka. Śmiech zastąpiło pełne troski spojrzenie.

Zapytała:

- Chyba nie wybrałeś się po prostu na przejażdżkę w tę wicherę?

- Nie. Z biura szeryfa wezwano ochotników do pomocy.

- Jak długo byłeś na dworze?

- Kilka godzin.

Podeszła do niego. Stał w drzwiach; w swoim srebrnym kombinezonie i dopasowanych wysokich butach wydawał się dwa razy większy. Włosy miał potargane, był nie ogolony, a na czerwonym policzku widniały odcisnięte ślady maski. Ale i tak był jej ideałem.

Patrzył, jak się zbliża, matka czuwająca do rana, bosa, w różowym pikowanym szlafroku, z twarzą bez makijażu, ze zwisającymi w nieładzie prostymi włosami, i myślał: *Jezu, jak to się stało? Znowu ją kocham!*

Stała bardzo blisko i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję, że ją sprowadziłeś do domu, Eryku - powiedziała miękko i objęła go, stając na palcach.

Otoczył ją ramionami i przycisnął mocno do swego srebrnego kombinezonu. Oboje zamknęli oczy i stali tak nieruchomo przez chwilę, która powinna trwać w nieskończoność.

- Nie ma za co - szepnął i przyciskał ją nadal, a serce waliło mu coraz mocniej. Jedną rękę oparł na jej ramieniu, pozwalając, aby to, co czuł, przenikało w nią, choć pozostawali nieruchomi, słuchając swych oddechów i pulsu dud-

niącego w uszach, wciągając w nozdrza zapach świeżego powietrza, zmęczenia, pomarańczowej herbaty. *Me ruszaj się... jeszcze nie!*

- Wiedziałem, że będziesz czuwała - wyszeptał. - Byłaś niespokojna.

- Tak, nie wiedziałam, czy mam płakać, czy się modlić, a może jedno i drugie.

-Wyobrażałem sobie siebie tutaj... w kuchni... oczekującą Katy, kiedy tu jechaliśmy.

Uścisk trwał nadal, jakby kontrolowany obecnością trzeciej osoby za ścianą.

- Ona nigdy nie wkłada botków.

- Teraz, po tym wszystkim, będzie.

-Podarowałaś mi jedyny prezent świąteczny, jakiego pragnęłam. -Maggie...

Z łazienki dobiegł odgłos spuszczonej wody, więc odsunęli się od siebie niechętnie, tylko trochę, nadal patrząc sobie w oczy. Eryk trzymał Maggie za łokieć, zastanawiając się nad ukrytym sensem jej słów.

Drzwi łazienki się otworzyły i Maggie schyliła się po kombinezon, maskę i rękawice leżące na podłodze, aby ukryć rumieniec.

- Hej, właściwie która to godzina? - spytała zdyszana Katy, wchodząc do kuchni. - Prawie druga - powiedziała Maggie, wciąż nie odwracając głowy.

- Lepiej już sobie pójdę - rzucił Eryk. Maggie odwróciła się do niego.

- Nie chciałbyś napić się czegoś gorącego? Coś zjeść? -Raczej nie. Ale gdybym mógł skorzystać z telefonu...

Chciałbym zadzwonić do straży pożarnej i zapytać, czy jeszcze jestem im potrzebny.

- Oczywiście. Telefon jest tam.

Kiedy Eryk dzwonił, Maggie rozłożyła dodatkową serwetkę na stole. Potem wyjęła kolorowe puszki i zaczęła

wsypywać różne ciastka do plastikowej torebki. Katy chodziła za nią krok w krok - wiecznie głodna studentka college'u - próbując każdego rodzaju ciastek ze wszystkich puszek.

-Mmm - ale jestem wygłodzona! Zjadłam tylko batonik, który dostałam od Eryka.

Maggie przyłożyła jej żartobliwego klapsa i powiedziała:

- Mam zupę, szynkę na zimno, kulki mięsne, śledzia, ser i ciasto owocowe. Wybieraj. Lodówka jest pełna.

Eryk skończył rozmowę i wrócił do nich.

- Chcą, żebym zrobił jeszcze jedno kółko.

- Och, nie! - Maggie zwróciła ku niemu zatroskaną twarz. - W tych warunkach!

- Jestem odpowiednio ubrany. I rozgrzałem się tutaj.

- Nie chcesz napić się najpierw kawy? Może zjesz trochę zupy? Cokolwiek? - Cokolwiek, co by go dłużej zatrzymało.

- Nie, już pójdę. Minuta wydaje się godziną komuś, kto utknął w zimnym samochodzie.

Podniósł maskę narciarską i włożył ją, potem kask. Zaciągnął zamek kombinezonu aż po szyję i wsunął rękawice na ręce. Patrzyła, jak znika pod tym przebraniem.

Kiedy spojrzał na nią, poczuła nagły dreszcz na widok jego oczu i ust tak wyraźnie odcinających się na tle kryjącej resztę twarzy maski. Te oczy - niebieskie jak bławatki -były najzwyczajniej piękne, a usta - ach, te usta, które nauczyły ją całowania i które tak bardzo pragnęła znowu całować... Przypominał złodzieja... złodzieja, który wśliznął się w jej życie i skradł jej serce.

Zabrał resztę rzeczy, a ona podeszła z jedynym podarunkiem, jaki mogła mu teraz ofiarować.

- Trochę ciastek. Na drogę.

Ujął torbę sztywną rękawicą i po raz ostatni spojrzał jej w oczy.

- Dziękuję.

- Uważaj na siebie - powiedziała cicho.

- Dobrze.

- Czy... - Zmieszanie Maggie odbiło się w oczach. - Czy zadzwonisz do nas po powrocie do domu? Był zaskoczony, że prosi o to w obecności córki.

- Oczywiście. Ale nie martw się, Maggie. Pomagam policji każdego roku. Mam wszystkie zabezpieczenia, no i dodatkowe zapasy! - Spojrzał na torbę z ciastkami. - Muszę iść.

- Eryku, poczeka! - Katy z ustami pełnymi ciastek przebiegła przez kuchnię, aby objąć go szybkim, niewyczuwalnym przez ciężki strój uściskiem. - Dzięki. Uratowałeś mi życie!

Uśmiechnął się do Maggie ponad ramieniem Katy i pochylił głowę, mówiąc:

- Przyrzeknij mi, że od tej pory będziesz podróżowała z zapasowymi ciepłymi rzeczami na wszelki wypadek.

- Obiecuję. - Katy odsunęła się uśmiechnięta i natychmiast włożyła do ust następne ciastko. - Tylko sobie wyobraźcie - uratowana przez faceta, z którym matka bawiła się na balu maturalnym. Opowiem wszystko dziewczętom.

Eryk objął spojrzeniem obie kobiety.

- No to... - Podniósł rękę z torbą ciastek. - Dziękuję, Maggie. I wesołych świąt. Tobie też, Katy.

- Wesołych świąt!

Zadzwon - poruszyła Maggie bezgłośnie ustami. Kiwnął głową i wyszedł w zamieć.

Obserwowały go przez okno, objęte ramionami, kiedy niknął w ścianie gęstego śniegu. Umieścił zapasowe rzeczy w tylnej części pojazdu, ustawił siedzenie i włączył silnik. Słyszały, jak maszyna ożywa, czuły wibrowanie podłogi i widziały, jak podmuch wzniesie tuman śniegu. Eryk spuścił osłonę na twarz, pomachał im ręką, i odchylając się całym ciałem w jedną stronę, ruszył szerokim łukiem. Z nagłym przyśpieszeniem pojazd wystrzelił do przodu, ponad wzniesienie, i skoczył w górę niczym sanie Świętego Miko-

łaja, po czym zniknął, pozostawiając tylko kłębiącą się biel.

- Jaki miły facet - zauważyła Katy.

- Tak.

Maggie zaciągnęła zasłonkę i zmieniła temat.

- Zrobię ci teraz coś ciepłego do zjedzenia.

Rozdział 11

Rankiem Maggie obudziła się w świecie pełnym bieli, gdzie wiatr wciąż dął, a śnieg oblepiał okiennice. Jego gruba warstwa właśnie odpadła i Maggie leżała bez ruchu, patrząc na ślad o brzegach niby delikatna koronka, który pozostał na oknie. *Czy Eryk bezpiecznie wrócił do domu? Czy zadzwoni dziś, jak go prosiłam ?*

Dom był cichy, a łóżko przytulne mimo odgłosów świszczącego na dworze wiatru. Pozostała więc w ciepłym gnieździe, wspominając chwilę w ramionach Eryka: chłód jego sztywnego kombinezonu, który wyczuwała twarzą, ciepło jego dłoni na plecach, jego oddech łaskoczący ucho, jego zapach - ach, zapach mężczyzny przynoszącego zimę na skórze.

Co sobie powiedzieli w czasie tych bezcennych sekund? Tylko to, co było dozwolone, choć ich ciała mówiły więcej. Cóż więc się stało?

Gdzieś w sąsiednim stanie żona Eryka czeka na samolot, który przywiezie ją do domu na święta. Eryk wręczy jej na Gwiazdkę małe srebrne pudełeczko, a ona wyjmie z niego pierścionek ze szmaragdem. Czy wsunie go na palec? Czy też on to zrobi? Jaki podarunek Nancy da mu w zamian? Czy potem będą się kochali?

Maggie mocno zacisnęła powieki i trwała tak dłuższą chwilę, dopóki obraz Eryka i Nancy nie zniknął. Dopóki nie oczyściła się z pragnień, do których nie miała prawa. Dopóki jej skrupuły nie zajęły znowu należnego miejsca.

Odrzuciła pościel, włożyła długi pikowany szlafrok i poszła do kuchni, żeby przygotować wafle. Około wpół do dziesiątej Katy, szurając nogami, weszła do pokoju. Miała na sobie jeden ze szlafroków Maggie i ogrzewacze na nogach. Luźne końce ogrzewaczy wyglądały jak słoniowe trąby.

- Mmm... Ładnie pachnie. Co robisz? Uścisnęła matkę i podeszła do okna.

- Wafle. Jak spałaś?

- Jak noworodek. - Odsunęła zasłonę i wzdrygnęła się. -Jezu,ale jasno!

- To będzie twoja pierwsza biała Gwiazdka.

Weszło słońce i śnieg przestał padać, lecz ciągle unosił się w podmuchach silnego wiatru. Skarpa w górze wydawała się wysoka i zamarznięta niczym szczyt lodowca.

- A co z moimi rzeczami? Jeżeli dalej tak będzie wiało, kiedy zabiorę walizki z samochodu?

- Nie wiem. Możemy zadzwonić do patrolu drogowego.

- Nigdy w życiu nie widziałam tyle śniegu naraz! Maggie także podeszła do okna. Co za widok! Ani śladu

człowieka, tylko nieskazitelnie biały przestwór - jak morze. Zaspasy i doły, a nad nimi drzewa tak wytrzęsione przez wiatr, że nie została na nich ani odrobina śniegu.

- Wygląda na to, że jesteśmy odcięte od świata. Chyba trochę potrwa, zanim zobaczysz swoje walizki!

Ale Katy nie widziała swych walizek jeszcze tylko trzydzieści pięć minut. Zjadły bekon, wafle i siedziały teraz przy herbacie i kawie w kuchni, ciągle w szlafrokach, z nogami wyciągniętymi i opartymi na krzesłach, kiedy z drogi przebił się przez śnieg skuter, wpadł na podwórko i z warkotem zatrzymał się sześć stóp przed tylnymi drzwiami. To było jak magnetowidowy replay z nocy.

-Eryk! - ucieszyła się Katy, zeskakując z krzesła. -Przywiózł moje rzeczy!

Maggie pobiegła do łazienki z bijącym mocno sercem. W nocy, zajęta tylko myślą o Katy, nie zastanawiała się nad

swoim wyglądem. Teraz gorączkowo czesała włosy i ściągnęła je gumką. Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i okrzyk Katy:

- Och, Eryku, jesteś aniołem! Przywiozłeś moje walizki! Słyszała, jak Eryk wchodzi do środka i zamyka drzwi.

- Domyśliłem się, że będą ci potrzebne, a przy tym wietrze trochę potrwa, zanim będzie można przyholować samochód.

Maggie umalowała usta i przyglądała włosy sterczące nad uszami.

- Och, bardzo, bardzo ci dziękuję! - odpowiedziała radośnie Katy. - Właśnie powiedziałam mamie...

Mamo? - Po krótkiej pauzie zawołała zaskoczona: - Mamo? Gdzie jesteś? - A do Eryka: - Była tu jeszcze przed chwilą. Maggie zawiązała pasek szlafroka, głęboko odetchnęła, przycisnęła dłonie do zaróżowionych policzków i wkroczyła do kuchni.

- Dzień dobry! - powiedziała rześko.

- Dzień dobry.

Wydawało się, że Eryk wypełnia całe pomieszczenie w swoim srebrnym kombinezonie; wydawał się o połowę wyższy w tym stroju. Wniósł ze sobą zapach zimy. Kiedy uśmiechali się do siebie, dzielnie usiłowała wyglądać na opanowaną, ale nie mogła ukryć, co robiła w łazience: szminka błyszczała, widać było przyczesane na mokro włosy przy uszach i słyszeć przyśpieszony oddech.

- O Boże, czy ty w ogóle spałeś? - zapytała, żeby odwrócić uwagę Eryka od siebie.

- Wystarczająco długo.

- No to siadaj. Zagrzeję kawę. Jadłeś śniadanie? -Nie.

- Nie mam pączków, ale zrobię wafle.

- Doskonale.

Spojrzenie Katy przesunęło się badawczo po nich i Maggie odwróciła się do kuchenki, żeby ukryć rumieniec. -Bekon?

- Tak, jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

- Ależ nie. - Żadnego kłopotu, kiedy zakochujesz się w mężczyźnie. Rozsunął zamek błyskawiczny swego kombinezonu i usiadł za stołem, kiedy udawała, że szuka czegoś w kredensie, bojąc się odwrócić, żeby Katy nie dostrzegła czegoś więcej.

- Jak się dziś czujesz? - zapytał Eryk Katy.

- Świetnie. Spałam jak zabita.

Maggie dosłyszała nowy ton w głosie córki. Niewątpliwie Katy starała się odkryć przyczynę wibracji wyczuwalnej w atmosferze. Kiedy Maggie się odwróciła, panowała już nad sobą, ale stawiając kubek kawy przed Erykiem, poczuła znów skurcz serca. Jego twarz była jeszcze spierzchnięta od zimna, włosy splaszczone kaskiem. Położył jedno ramię na oparciu krzesła i uśmiechał się w taki sposób, że odniosła wrażenie, iż tylko obecność Katy powstrzymuje go przed objęciem jej i przyciągnięciem do siebie. Postawiła kawę i wróciła do kuchenki. Czuała się jak żona, gotując dla niego. To było uczucie niewybaczalne, ale prawdziwe. Czasami marzyła o tym, by znaleźć się w takiej sytuacji. Zjadł dwa wafle, cztery kawałki bekonu i wypił cztery filiżanki kawy, a ona siedziała naprzeciw niego w swoim różowym szlafroku i usiłowała nie wpatrywać się w jego usta, gdy mówił.

- Chodziłeś z moją matką, tak? - zapytała Katy, kiedy jadł.

-Tak.

- Byłeś z nią na balu maturalnym?

- Tak. Z Brookie i Arnie'em.

- Słyszałam o Brookie, ale kto to jest Arnie? -Byliśmy kolegami w szkole średniej. Należeliśmy do grupy, która wszędzie łąziła razem.

- To wyście podpalili stodołę?

Eryk zaskoczony zwrócił się do Maggie.

- Powiedziałaś jej o tym?

Maggie spojrzała ze zdziwieniem na córkę:

- Kiedy ci to mówiłam?

- Pewnego razu, kiedy byłam małą. Maggie wyznała Erykowi:
 - Nie pamiętam, że jej to powiedziałam.
 - To był wypadek - wyjaśnił Eryk. - Ktoś musiał rzucić niedopałek, ale nie myśl, że byliśmy świadomymi niszczycielami. Wcale nie. Robiliśmy różne rzeczy, ale to była niewinna zabawa. Czy powiedziała ci, jak kiedyś zwabiliśmy wszystkie dziewczyny do opuszczonego domu i okropnie je wystraszyliśmy?
 - I upiliście koty - przypomniała Maggie.
 - To nie ja, Maggie. To Arnie.
 - A kto zestrzelił komin na kurzej farmie starego Boel-za? - zapytała, tłumiąc śmiech.
 - To było tylko... - Zrobił obronny gest widelcem.
 - I kto stoczył chyba z pięćdziesiąt puszek śmietany ze wzgórza, gdzie była mleczarnia, o pierwszej w nocy i obudził całe miasteczko Ephraim?
- Eryk roześmiał się i zakrztusił kawą. Kiedy przestał kaszleć, powiedział:
- Do licha, Maggie, przecież nikt o tym nie wiedział!
- Zapomnieli, że jest z nimi Katy, a kiedy sobie przypomnieli, zdążyła im się już dokładnie przyjrzeć, każdemu z osobna, słuchając wymiany zabawnych wspomnień z rosnącym zainteresowaniem. Eryk skończył jeść, zebrał swoje rzeczy i stanął na dywaniku przy drzwiach, uśmiechając się do Maggie.
- Dobra z ciebie kucharka. Dziękuję za śniadanie.
 - Nie ma za co. Dziękuję, że przywiozłeś rzeczy Katy. Nacisnął klamkę i powiedział:
 - Spokojnych Świąt.
 - Tobie też, Katy.
 - Dziękuję.
- Kiedy wyszedł, Katy natychmiast zapytała Maggie:
- Mamo! Co jest między wami?
 - Nic - oznajmiła Maggie, odwracając się i niosąc talerz Eryka do zlewu.

- Nic? To po co pędzisz do łazienki, żeby się uczesać i umalować? Daj spokój.

Maggie poczuła zdradziecki rumieniec na twarzy i nie odwracała się.

-Znowu się zaprzyjaźniliśmy i bardzo mi pomógł przy zdobyciu pozwolenia na prowadzenie pensjonatu. Tylko tyle.

- Więc o jakich pączkach była mowa? Maggie wzruszyła ramionami i wytarła talerz.

- Lubi pączki, wiem to od lat.

Nieoczekiwanie Katy znalazła się obok Maggie i spojrzała jej uważnie w oczy.

- Mamo, czujesz coś do niego, prawda?

- Jest żonaty, Katy. - Maggie znowu zaczęła wycierać naczynia.

- Wiem, że jest. O Boże, mamo, chyba nie zakochasz się w żonatym mężczyźnie? To takie niemodne.

Przecież jesteś wdową i wiesz... wiesz, o co mi chodzi.

Maggie podniosła gwałtownie głowę i boleśnie przygryzła wargi.

- Wiesz, co się mówi o wdowach, to chciałaś powiedzieć?

- Bo się mówi. Maggie poczuła gniew.

- A co się mówi?

- Jezu, mamo, nie musisz się tak złościć!

- Myślę, że mam prawo. Jak śmiesz mnie oskarżać...

- Nie oskarżam cię.

- Ale tak to zabrzmiało.

Katy także nagle się zirytowała.

- Ja też mam prawo do własnych odczuć, a poza tym tata nie żyje dopiero od roku.

Maggie podniosła oczy do góry i westchnęła jakby do kogoś trzeciego:

- Och, nie mogę uwierzyć!

-Mamo, widziałam, jak patrzyłaś na tego mężczyznę i czerwieniłaś się!

Wycierając ręce, Maggie gniewnie spojrzała na córkę. - Jak na kogoś, kto chce się specjalizować w psychologii, musisz się jeszcze wiele nauczyć o związkach między ludźmi i komplikacjach uczuciowych. Kochałam twojego ojca i nigdy mi nie zarzucaj, że tak nie było. Ale on umarł, a ja żyję, i jeśli uznam, że czas się zakochać w kimś innym czy choćby tylko mieć przygodę, z całą pewnością nie będę cię pytała o pozwolenie. A teraz idę na górę wykapać się i przebrać, i będę ci wdzięczna za posprzątanie kuchni. Zastanów się także, czy nie powinnaś mnie przeprosić. Wyszła pozostawiając Katy zupełnie zaskoczoną. Ten wybuch zaciążył na całym dniu. Katy nie przeprosiła jej i zachowywały się wobec siebie chłodno. Kiedy Maggie wyszła potem odśnieżyć ścieżkę, Katy nie zaofiarowała się z pomocą, a odjeżdżając ciągnikiem po swój samochód, nie powiedziała do widzenia. Przy kolacji odzywały się do siebie, tylko gdy to było konieczne, po czym Katy wsadziła nos w książkę i siedziała tak, dopóki nie poszły spać. Następnego dnia oznajmiła, że zmienia rezerwację na samolot i wraca do Chicago drugiego dnia świąt, a potem pojedzie do Seattle. Kiedy zbliżała się godzina wizyty rodziców, Maggie poczuła, jak stres kulminuje się w bólu ramion i obejmuje kark. Pocieszeniem było to, że Vera ostatecznie zgodziła się po raz pierwszy odwiedzić dom. Przyjechali z Royem o piątej. Vera weszła do środka, niosąc naczynie z galaretką i narzekając. . - Nie wiem, w jakim stanie ją dowiozłam. Wyciągnęłam największą formę i powiedziałam twojemu ojcu, żeby dobrze ją zamknął, ale kiedy wjeżdżaliśmy na wzgórze, pokrywka się zsunęła i na pewno zniszczyła całą bitą śmietanę na wierzchu. Spodziewam się, że masz miejsce w lodówce. - Ruszyła prosto w tę stronę, otworzyła drzwiczki i aż odskoczyła. - Na Boga, co za nieporządek! Jak ty możesz tutaj coś znaleźć? Roy, chodź no i potrzyмай, a ja zrobię trochę miejsca!

Roy zastosował się do rozkazu.

Rozdrażniona apodyktycznością Very, ślepym posłuszeństwem Roya i fatalnym nastrojem całego dnia, Maggie poleciła:

- Katy, weź galaretkę od babci i wystaw ją na werandę. Tato, zanieś prezenty do saloniku. Pali się tam w kominku, Katy poda ci kieliszek wina, a ja tymczasem pokażę mamie dom.

Zwiedzanie zaczęło się niedobrze. Vera chciała, żeby wieczór wigilijny spędzili w jej domu, a ponieważ tak się nie stało, od początku dawała do zrozumienia, że przybyła tu pod przymusem.

Rozejrzała się po kuchni i zauważyła cierpko:

- Dobry Boże, po co mam oglądać stary, zniszczony stół twojego ojca? Lata temu powinien już być spalony!

W nowej łazience wygłosiła następującą uwagę:

- Po co wstawiłaś tę starą wannę na nóżkach? Pożałujesz, kiedy będziesz musiała na kolanach pod nią sprzątać!

W pokoju krużgankowym zapytała sucho, ile kosztowały meble, i oświadczyła:

- Przeplaciłaś!

W salonie, właśnie ostatnio umeblowanym, wypowiedziała parę uwag niby to pozytywnych, ale w gruncie rzeczy zawstydzająco nijakich. Gdy Maggie zostawiła w końcu matkę z ojcem i córką, miała wrażenie, że jej samej krew burzy się w żyłach. W kilka minut później Vera znalazła ją w kuchni krojącą szynkę z mściwą energią, która zagrażała desce. Podeszła bliżej z kieliszkiem wina w ręku.

- Margaret, nie chcę poruszać nieprzyjemnych tematów w święta Bożego Narodzenia, ale jestem twoją matką i jeśli ja z tobą nie porozmawiam, to ktoś inny?

Maggie spojrzała niechętnie i pomyślała: „Uwielbiasz nieprzyjemne tematy bez względu na okazję, mamo!” - O czym chcesz rozmawiać?

- O tym, co jest między tobą i Erykiem Seversonem. Ludzie zaczynają gadać, Margaret.

- Nic nie ma między mną i Erykiem Seversonem.

- Nie mieszkasz już w dużym mieście i jesteś teraz wdową. Musisz dbać o swoją reputację.

Maggie znowu zaczęła kroić szynkę. Wściekle. Drugi raz tego dnia słyszała o wdowiej reputacji od osób, które powinny ją kochać.

- Powiedziałam, że nic między nami nie ma.

- Nazywasz niczym flirtowanie na Main Street? Wspólne jedzenie lunchu na ławce, gdzie całe miasto może was oglądać? Margaret, myślałam, że masz więcej rozsądku.

Maggie poczuła taką złość, że nie odważyła się otworzyć ust.

- Zapominasz, kochanie - ciągnęła Vera - że byłeś w moim domu tego wieczora, kiedy przyjechał, żeby zabrać cię na zebranie rady miejskiej. Widziałam, jak się ubrałeś i jak się zachowywałeś, kiedy stanął w drzwiach. Chciałam cię ostrzec, ale...

- Poczekaj z tym do Wigilii, prawda? - Maggie przestała kroić, żeby spojrzeć na matkę.

- Nie ma powodu, żebyś się na mnie gniewała. Próbuję cię tylko ostrzec, że ludzie zaczynają mówić. Nóż rozpoczął znowu swoją pracę.

- Więc niech gadają!

- Mówią, że widziano jego furgonetkę przed twoim domem i że oboje jedliście wczesne śniadanie w Sturgeon Bay. A teraz Katy mówi, że przyjechał tutaj w czasie burzy na swoim skuterze śnieżnym!

Maggie odłożyła nóż i uniosła ręce w geście bezradności.

- Och, na litość boską! Pomógł mi przewieźć meble swoją furgonetką!

- Nie chcę słyszeć takiego tonu, Margaret! -1 uratował Katy. Przecież wiesz!

Vera westchnęła i uniosła jedną brew.

- Szczerze mówiąc, nie chcę znać szczegółów. Po prostu pamiętaj, że już nie jesteś nastolatką, a ludzka pamięć jest długa. Nikt tu nie zapomniał, że chodziliście ze sobą w szkole.

- Więc co z tego?

Vera powiedziała z naciskiem:

- On ma żonę, Margaret.

- Wiem o tym.

- I to żonę, która wyjeżdża na całe tygodnie.

- To też to wiem.

Vera zawahała się przez chwilę, po czym sztywno wyprostowana powiedziała:

- Nie obchodzi cię to, prawda?

- Nie, pokątne plotki z całą pewnością nie. - Maggie zaczęła układać plastry szynki na półmisku. - To dobry znajomy i tyle. A jeśli ktoś chce sprawę rozdmuchać, widocznie nie ma nic lepszego do roboty.

- Rzuciła Verze wyzywające spojrzenie: to dotyczy także ciebie, mammo!

Vera wzruszyła ramionami:

- Och, Margaret, bardzo mnie rozczarowałaś.

Stojąc przed matką z półmiskiem świątecznej szynki, Maggie sama czuła ogromne rozczarowanie.

Instykt walki raptownie wygasł i łzy stanęły jej w oczach.

- Tak, wiem, mammo - powiedziała z rezygnacją. - Nie potrafię cię niczym zadowolić. Nigdy nie potrafiłam. Dopiero na widok łez Vera postąpiła do przodu i położyła dłoń na ramieniu Maggie. \

- Margaret, wiesz przecież, że chodzi mi tylko o twoje szczęście.

Kiedy Verze chodziło o czyjekolwiek szczęście? Co było motorem jej działania? W gruncie rzeczy wydawało się, że nie potrafi tolerować szczęścia innych. Ale dlaczego? Bo sama nie była szczęśliwa? Dlatego że w ciągu lat wymusiła na własnym mężu taki dystans emocjonalny i fizyczny, że prowadzili życie całkowicie osobne - ona w domu, on w garażu? Czy też była to, jak Maggie często podejrzewała, zazdrość? Czy własna matka była zazdrosna o jej naprawdę szczęśliwe małżeństwo z Phillipem? O jej karierę? Styl życia? O zmianę, jakiej w nim dokonała? O pieniądze, które dostała po śmierci Phillipa, i niezależność, którą jej te pie-

niądze dały? O ten dom? Czy Vera jest kimś tak małostkowym, że żałuje córce wszystkiego, co lepsze? Czy też to tylko jej nieustanna potrzeba rozkazywania i wymuszania posłuszeństwa? Jakkolwiek było, wymiana zdań w kuchni rzuciła cien na resztę wieczoru. Obie jadły, pragnąc po cichu, żeby kolacja już się skończyła. Otwierały swoje prezenty z wymuszonym zainteresowaniem. Przy pożegnaniu Vera i Maggie nawet się nie dotknęły.

W pierwszy dzień świąt Maggie przyjęła zaproszenie Brookie, ale Katy powiedziała, że nie ma ochoty na towarzystwo bandy nieznajomych, i pojechała sama do Very i Roya.

Następnego dnia, kiedy rzeczy Katy znalazły się już w samochodzie, Maggie odprowadziła ją na szczyt wzgórza.

- Katy, przykro mi, że miałaś takie spaskudzone święta. -Tak... ale...

- I przepraszam za kłótnię.

- Ja też, mam, ale proszę, nie spotykaj się już z nim.

- Mówiłam ci, że się nie spotykamy.

- Ale słyszałam, co babcia powiedziała w Wigilię. I mam oczy. Widzę, jaki jest przystojny i jak patrzycie na siebie, jak dobrze wam razem. To się może stać, mam, i ty wiesz o tym.

- Nie stanie się.

W ciągu ponurych, bezbarwnych dni po świętach Maggie pamiętała o obietnicy. Znowu skupiła całą uwagę na domu, rzucając się w przygotowania do wiosny. Znow kładła tapety, była na dwóch aukcjach, zamówiła żelazne łóżko u Spiegła, sprowadziła materace i koce. Stanowy inspektor zdrowia przyjechał, aby dokonać inspekcji łazienek, zlewozmywaków, miejsc do przechowywania żywności oraz pralni. Inspektor straży pożarnej stawił się na inspekcję instalacji grzewczej, kominków, alarmu pożarowego i wyjść zapasowych. Oficjalna licencja na prowadzenie pensjonatu

typu noclegi ze śniadaniem nadeszła w odpowiednim czasie i została zawieszona w ramach w salonie nad biurkiem, gdzie goście mieli się wpisywać do książki. Maggie otrzymała wiosenne katalogi od hurtowników i złożyła zamówienie na pościel i ręczniki w American Hotel Supply; pojechała do Sturgeon Bay i otworzyła rachunek u Warnera, gdzie miała się zaopatrywać w mydło, papier toaletowy, jednorazowe kubki i wszelkie środki czystości. Wertowała książki, aby znaleźć przepisy na wypiek bułek i chleba, niektóre wypróbowała i jadła swoje wypieki sama albo razem z Brookie, która często ją odwiedzała, gdy przyjeżdżała do miasta, a także z Royem, który regularnie bywał u niej na lunchu dwa razy w tygodniu.

Kiedy jej myśli i ręce były zajęte, bez trudu udawało się zapomnieć o Eryku Seversonie. Często jednak, gdy sięgała pośród tych prac po kubek herbaty, łapała się na tym, że staje nieruchomo i wygląda przez okno, widząc jego ośnieżoną twarz. Nocą, w ciągu męczących minut przed zaśnięciem, pojawiał się znowu, a ona wspominała radość, jaką odczuła na widok Eryka, gdy stanął w drzwiach, oszołomienie, gdy brał ją w ramiona, i ciepło jego rąk na swoich plecach.

Wtedy właśnie, pamiętając ostrzeżenie Katy, zwijała się w kłębek i wyrzucała te obrazy z myśli. Mark Brodie zaprosił ją na sylwestra do swojej restauracji, ale wolała iść na przyjęcie do Brookie, gdzie spotkała tuzin nowych ludzi, grała w kanastę, jadła *tacos*, piła koktajl z rumem i została na całą noc, a nawet większą część następnego dnia.

W drugim tygodniu stycznia Mark zaprosił ją do galerii sztuki w Green Bay. Ponownie odmówiła, nie przyszła także na styczniowe śniadanie biznesmenów, obawiając się spotkać Marka bądź Eryka. Pewnego wieczoru w trzecim tygodniu stycznia, kiedy siedziała przy kuchennym stole w swoim czerwonym dresie z białym napisem PGPSI, pracując nad prospektem reklamowym, ktoś zapukał do drzwi. Zapaliła zewnętrzne świa-

tło, odsunęła zasłonkę i stanęła twarzą w twarz z Erykiem Seversonem.

Opuściła zasłonkę i otworzyła drzwi. Żadnego promiennego uśmiechu, żadnej radości tym razem. Po prostu pełna rezerwy kobieta, spoglądająca w napiętą twarz mężczyzny i czekająca z ręką na klamce, aż on powie, o co chodzi.

Przez piętnaście milczących, nabrzmiałych treścią sekund patrzyli sobie w oczy, zanim powiedział:

- Cześć - z rezygnacją, jakby jego obecność tutaj była świadectwem przegranej walki z samym sobą.

- Cześć - powiedziała, nie czyniąc żadnego zapraszającego gestu.

Patrzył na nią ponuro. Stała przed nim w za dużym czerwono-białym dresie i skarpetkach, z włosami niedbale ściągniętymi gumką po jednej stronie głowy, z wysuwającymi się spinkami. Świadomie zatrzymał się za progiem, pozostawiając sobie czas na uporządkowanie uczuć i pozwalając jej na to samo. Wina, pożądanie, rozpacz i nadzieja. Podejrzewał, że Maggy zмага się z tym samym, i oczekiwał chłodu, wymuszonej obcości, tego wszystkiego, co i on zmuszony był okazywać. -Mogę wejść?

- Nie - odpowiedziała, wciąż zasłaniając sobą drzwi.

- Dlaczego? - zapytał bardzo cicho.

Chciała opuścić ręce, poddać się, płakać. Zamiast tego odpowiedziała po prostu:

- Bo jesteś żonaty.

Opuścił głowę i przymknął oczy. Stał tak bez ruchu całą wieczność, a ona czekała, aż odejdzie, uwolni ją od poczucia winy, którego nie mogła się pozbyć, odkąd oskarżyły ją córka i matka. Czekala, aż zostanie uwolniona od pokusy i pamięci, jeśli to tylko możliwe. Czekala. I czekała.

W końcu zaczerpnął głęboko tchu i podniósł głowę. Miał udęczone oczy i zaciśnięte usta. Tak dobrze znała tę postawę: mocno wparte w ziemię stopy, ręce w kieszeniach wojskowej kurtki, podniesiony kołnierz.

- Muszę z tobą porozmawiać, proszę cię. W kuchni - ty usiądziesz po swojej stronie stołu, ja po swojej. Proszę, Maggie.

Spojrzała na furgonetkę zaparkowaną na szczycie wzgórza między zaspami, z jego nazwiskiem i telefonem wypisanym tak wyraźnie jak w nagłówku gazety.

- Czy wiesz, że mogę powiedzieć dokładnie, ile dni i godzin minęło, odkąd tu byłeś ostatnim razem? Nie ułatwiasz mi sytuacji.

- Cztery tygodnie, dwa dni i dziesięć godzin. I kto powiedział, że to będzie łatwe?

Drgnęła bezwiednie, jakby jej dotknął, wzięła głęboki oddech i objęła dłońmi ramiona.

- Trudno mi pogodzić się z faktem, że rozmawiamy o... czymś takim... - Rozłożyła dłonie, po czym znowu ścisnęła nimi ramiona. - Nawet nie wiem, jak to nazwać, jakby chodziło o coś, co już minęło. Co my robimy, Eryku?

- Myślę, że oboje wiemy, co robimy, zdajemy sobie sprawę, co to jest, i nie wiem, jak ciebie, ale mnie to cholernie dręczy, Maggie.

Czuła, że w środku płonie, a z zewnątrz drży z zimna; było minus sześć stopni i nie mogli tak stać bez końca w otwartych drzwiach. Cofając się, ulegała temu przytłaczającemu ciężarowi, który Eryk na nią zrzucił.

-Wejź.

Ale kiedy już otrzymał przyzwolenie, zawahał się.

- Jesteś pewna, Maggie?

- Tak, wejź - powtórzyła. - Chyba oboje czujemy potrzebę rozmowy.

Wszedł za nią do domu, zamknął drzwi, zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Kiedy usiadł, jego twarz wyrażała ciągle tę samą pełną znużenia rezygnację.

Maggie zakrzętała się koło kawy, nie pytając, czy Eryk chce się napić - wiedziała, że tak - i herbaty dla siebie.

- Nad czym siedziałaś? - zapytał, patrząc na rozłożone papiery i wycinki.

- Nad tekstem reklamowym do informatora. Przysunął do siebie papiery, przyglądając się starannym literom i napisom na tle ołówkowego szkicu Domu Hardm-ga od strony jeziora. Czuł pustkę, zagubienie i wielką niepewność. - Nie przyszedłeś na śniadanie.- Zapomniał o papierach trzymanyh w ręce, obserwując, jak Maggie robi kawę.

- Nie.

- Czy to znaczy, że mnie unikasz?

- Tak.

Miał więc rację. Przechodziła przez to samo piekło co on. Maggie włączyła palnik i wróciła do stołu, aby odsunąć na bok papiery. Uważała, aby Eryka nie dotknąć. Wyłożyła bułeczki na talerz, znalazła masło i nóż, i podsunęła w jego stronę; wyjęła kubek i spodek, napełniła cukiernicę i postawiła wszystko na stole. Kawa zaczęła perkotać. Kiedy Maggie uporała się ze wszystkim, odwróciła się i zobaczyła, że Eryk obserwuje ją z wyrazem cierpienia na twarzy.

Usiadła, położyła dłoń na brzegu stołu i spokojnie spojrzała mu w oczy.

- I jakie miałeś świętą? - zapytała.

- Gówniane. A ty?

- Tak samo.

- Chcesz mi opowiedzieć pierwsza?

- Dobrze. - Zaczepnęła tchu, zacisnęła pięści i wyrzuciła z siebie:

- Obie, moja matka i moja córka, oskarżyły mnie o to, że mam z tobą romans, i po kilkakrotnej dość niemiłej wymianie zdań odjechały, bardzo ze mnie niezadowolone. Od tamtej pory żadnej nie widziałam. - Och, Maggie, tak mi przykro.- Ujął jej ręce ponad stołem.

- Niepotrzebnie. - Cofnęła ręce. - Możesz w to wierzyć lub nie, ale w tych awanturach mniej chodziło o ciebie, a bardziej o to, że się od nich oddalam, staję się niezależna. Im się to nie podoba. Tak naprawdę pomału zaczynam

sobie zdawać sprawę, że mojej matce nic się we mnie nie podoba, a zwłaszcza to, że mogę być szczęśliwa. Jest osobą bardzo powierzchowną i chyba pozbywam się swojego kompleksu winy, uświadamiając to sobie wreszcie. Jeśli zaś chodzi o Katy - nie pogodziła się jeszcze ze śmiercią ojca i przechodzi akurat bardzo samolubną fazę rozwoju. Ale wyrośnie z tego. Opowiedz mi teraz o swoich świętach. Czy Nancy spodobał się pierścionek?

- Bardzo.

- Więc co poszło nie tak?

- Wszystko. Nic. Chryste, nie wiem. - Uderzył się dłonią w kark i odchylił gwałtownie głowę, przymykając oczy, wciągając głęboko i powoli wypuszczając powietrze. Potem zmienił pozycję, kładąc ręce na stole i spoglądając Maggie głęboko w oczy. - Po prostu wszystko mi się wali, całe małżeństwo, życie, przyszłość. Wszystko staje się bez sensu. Patrzę na Barb i Mike'a i myślę, że tak to powinno wyglądać. Tylko że nie wygląda i nigdy nie będzie wyglądało.

W milczeniu przypatrywał się Maggie. Bruzdy wokół jego oczu i ust nie wyglądały się. Aromat kawy wypełnił kuchnię, ale oni nie zwrócili na to uwagi. Siedzieli naprzeciw siebie po obu stronach stołu, złączeni spojrzeniem, świadomi, że ich związek staje się czymś nieodwracalnym, i wystraszeni tym, jak wstrząśnie to ich życiem i życiem innych ludzi.

- Po prostu nic już do niej nie czuję - powiedział cicho. „A więc tak się to dzieje - pomyślała Maggie - tak się rozpada małżeństwo i zaczyna romans". Zmieszana wstała, zalała wrzątkiem czajniczek z herbatą i napełniła kubek kawą. Kiedy znowu usiadła, Eryk zaczął wpatrywać się w ten stojący przed nim kubek i długo nie podnosił wzroku.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedział wreszcie. -Pytaj.

-Co się stało wtedy, gdy staliśmy w drzwiach, pamiętasz, kiedy przywiozłem Katy do domu?

Poczuła ciepło w piersi na wspomnienie tego, że to ona złamała tabu.

-To była pomyłka - odpowiedziała. - I przepraszam... Nie miałam prawa.

Z oczami utkwionymi w jej oczach rzekł:

- Czy to nie zabawne, że czułem dokładnie to samo?

- Byłam zmęczona i bardzo się martwiłam o Katy, a kiedyś ją przywiózł bezpiecznie do domu, poczułam wdzięczność.

- Wdzięczność? I to wszystko?

Obezwładniona siłą jego spojrzenia, zdała sobie sprawę, że jej twarde postanowienia łamią się.

- Co chcesz, żebym powiedziała?

- Chcę, żebyś powiedziała to, co zaczęłaś mówić, kiedy wszedłem tu kilka minut temu: że to wszystko znaczy jedno - jesteśmy zakochani. Jego słowa przeszyły ją niczym prąd elektryczny. Patrzyła na niego drżąca, czując skurcz w piersi i walenie serca.

-Miłość?...

- Już kiedyś nam się to przydarzyło. Bez trudu możemy rozpoznać, o co chodzi.

- Myślałam, że mówimy o... o romansie.

- Romans? Czy tego chcesz?

- Nie chcę niczego. To znaczy, ja...- Nagle ukryła twarz w dłoniach, opierając łokcie na stole. - O Boże, ta rozmowa jest nie do wytrzymania.

- Boisz się, Maggie, o to chodzi, tak?

Opuściła nieco dłonie, aby spojrzeć na niego, ale wciąż zasłaniała nos i usta. Czy się boi? Jest przerażona. Skłoniła głowę. Miało to znaczyć: tak.

- Mówiłem ci, że ja też!

Objęła rękoma kubek, jakby był ostatnim oparciem.

- To takie... grzeczne! Siedzimy sobie i omawiamy sprawę, jakby nikogo innego to nie dotyczyło. Ale dotyczy i czuję się winna, chociaż nie zrobiliśmy nic złego.

- A przecież moglibyśmy zrobić. To i owo chodzi mi po głowie.

- Eryku, bądź poważny - przywołała go do porządku. Sama wprost płuęła požądaniem; była to najtrudniejsza konfrontacja twarzą w twarz, jaką kiedykolwiek przeżyła.

- Myślisz, że to nie jest poważne? - Wyciągnął dygocącą rękę. - Zobacz, jak się trzęsę. - Oparł mocno dłonie o uda. - Zajęło mi pięć cholernych tygodni, żeby tu wrócić, i nie wiedziałem, co właściwie chcę zrobić. Szkoda, że mnie nie widziałaś przed godziną w domu, kiedy brałem prysznic, goliłem się i wybierałem koszulę, jakbym się szykował na randkę! A przecież nie powinienem tego robić, prawda? Wybrałem trochę mniej honorową możliwość, więc siedzę tutaj i mówię o tym - Boże, Maggie, popatrz na mnie, żebym wiedział, co myślisz!

Podniosła zarumienioną twarz, spojrzała w jego niebieskie, bardzo niebieskie oczy, wciąż tak samo udęczone, i powiedziała to, co musiała powiedzieć.

- Myślę, że teraz powinnam poprosić cię, żebyś wyszedł.

- Gdybyś to zrobiła, wyszedłbym. Wiesz o tym, prawda? Nie spuszczała z niego wzroku przez krótką bolesną chwilę, po czym wyszeptała:

- Ale nie mogę, a ty też o tym wiesz.

Ich ręce spoczywały na stole, palce dzieliła odległość kilku cali. Opuścił oczy na jej dłoń i ujął ją lekko - prawą, tę, na której Maggie nosiła złotą obrączkę. Przesunął lekko kciukiem po nadgarstku i znowu podniósł wzrok.

- Chcę, abyś wiedziała, że nie postępuję w ten sposób. Uścisk sprzed pięciu tygodni był jedyną niewiernością, na jaką sobie kiedykolwiek pozwoliłem wobec Nancy.

Maggie była tylko kobietą; zastanawiała się, czy uwierzyć. Ale ponieważ uwierzyła, opuściła w poczuciu winy oczy na ich złączone dłonie.

- Pozwól, że powiem to raz i nigdy nie powtórzę. - W jego głosie dźwięczała powaga. - Przepraszam cię, Maggie. Przepraszam za ból, jaki ci sprawiłem.

Pochylił się i ucałował jej dłoń długim, ponad miarę długim pocałunkiem, jakby oczekiwał błogosławieństwa. Pa-

miętała, że kiedy miał siedemnaście lat, często wzruszały ją podobne gesty Eryka, i żał jej się zrobiło kobiety, która nie poznała go na tyle, żeby wykorzystać takie bogactwo uczuć. Wolną ręką dotknęła jego włosów, które ściemniały do barwy matowego złota od czasu, gdy gładziła je po raz ostatni.

- Eryku - powiedziała miękko. Uniósł głowę i oczy ich spotkały się.

- Podej dź tutaj... proszę - wyszeptała.

Wstał z krzesła i obszedł stół, nie puszczając jej dłoni. Ona też się podniosła, kiedy podszedł do niej, i spoglądając w jego twarz uświadomiła sobie, że miał rację: zakochali się w sobie już przed miesiącami.

Oparła dłonie o jego pierś i podniosła głowę, a wtedy jego miękkie, rozchylone wargi spotkały się z jej wargami. Ach, ten pocałunek, tak długo oczekiwany, delikatny niby świeży kwiat, przesadnie powściągliwy. Nadali mu czar wspomnienia pierwszego razu, bojaźliwego poznawania się w latach, które dawno minęły, a także nocy w sadzie Easleya. Pozwolili, aby ten kwiat z wolna rozkwitał, aby narastało podniecenie i dławił brak oddechu, póki nie rozchyła się usta i nie zetkną języki. Kiedy podniósł wreszcie głowę i znowu spojrzeli sobie w oczy, wyczytali w nich, że nie będzie to prosta sprawa, bo w grę wchodzi uczucie. Oboje przymknęli powieki, gdy ich usta spotkały się po raz drugi. Przygarnął ją bliżej, a jej ramiona oplotły jego kark. Pocałunek stał się śmielszy, namiętny i nabrzmiały wspomnieniem, które nimi owładnęło. Ich języki spotkały się z nowym zapałem, kiedy przyłgnęli do siebie, pieszcząc wzajemnie dłońmi swoje plecy i ramiona. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, oboje mieli wilgotne usta i ciężko oddychali.

- Ach, Maggie, tak tego pragnąłem!

- Ja też.

-Tamtej nocy, kiedy przywiozłem Katy... tak chciałem cię pocałować!

-Leżałam potem w łóżku i martwiłam się o ciebie, samotnego podczas burzy... opuściłeś mnie... a ja żałowałam, że cię nie pocałowałam. Myślałam: a jeśli zginiesz nie wiedząc, co czuję...

Ucałował jej szyję, jej policzek.

- Och, Maggie, nie musiałaś się martwić!

- Kobieta zawsze się martwi, kiedy czuje do kogoś coś takiego.

Pocałował ją w usta - ciepłe, żywe usta, niecierpliwie oczekujące odzewu. Gorączka wzbierającego uczucia wprawiała w ruch ich ręce i zwiększała pożądanie. Smakowali i próbowali się wilgotnymi, spragnionymi i niecierpliwymi wargami. Ugryzł jej dolną wargę, polizał i wyszeptał w otwarte usta:

- Smakujesz dokładnie tak, jak pamiętam.

- Jak smakuje? Odsunął się i uśmiechnął.

- Jak sad Easleya, gdy kwitną jabłonie. Odpowiedziała uśmiechem.

- Zapamiętałeś.

- Oczywiście!

W porywie nagłego szczęścia przytuliła się do niego tak mocno, jak tylko mogła - przylgnęła twarzą do jego szyi, ramionami objęła tors, przywarła piersią do jego ciała, pozwalając sobie wreszcie wyrazić miłość całą swą istotą.

- Byliśmy wtedy tacy młodzi.

- I rozstanie tak bolało.

Jego ręce wśliznęły się pod jej bluzkę, wyczuwając ciepło pleców.

- Myślałem, że się w końcu pobierzemy.

- Ja też.

- A kiedy tak się nie stało i mijały lata, wydawało mi się, że całkiem ciebie zapomniałem. A potem zobaczyłem cię znowu i było to jak kopniak w brzuch. Po prostu nie byłem na to przygotowany.

- Ja też nie.

Musiła spojrzeć w jego twarz. Musiała. Odchyliła się i podniosła oczy, nie odrywając się od jego bioder. - Zdumiewające, prawda?

-Tak... absolutnie zdumiewające. - Właśnie wtedy dotknął jej piersi, a ich oczy zdradziły wszystko, co odczuwali, gdy wygięła się w pasie, przyjmując napór jego twardości. Rozpiął stanik pod luźną bluzką, przesunął dłonie wokół żeber Maggie i nakrył piersi. Obie piersi... ciepłe i nabrzmiące. Łagodnie... miłownie... pieśczośliwie... me spuszczać oczu z jej twarzy.

Zacisnęła wargi i zamknęła oczy.

Znowu była wiosna, znowu oboje byli młodzi i pełni godoWości, a on przyszedł, aby zabrać ją samochodem przybranych gałęziami kwitnącej jabłoni. I czuli teraz to samo cudowne pragnienie co wówczas. Kołysała się giętko, gdy ją pieścił, i uśmiechała z oczyma wciąż zamkniętymi. Z jej gardła wydobyło się w upojeniu ni to słowo, ni jęk, coś pośredniego.

Eryk przykląkł na jedno kolano, a wtedy podniosła bluzkę, patrząc z góry, jak jego gorące, wilgotne usta rozchylają się przy jej piersi, odnawiając wspomnienia. Skłonił głowę, wysunął język, a potem lekko zwarł zęby na jej ciele. Zaczepnęła powietrza, mięśnie jej brzucha skurczyły się. Zaczął przesuwac gorącym językiem po jej skórze.

- Mmm... cudownie smakujesz.

- Mmm... tak mi dobrze. Tak długo za tym tęskniłam.

Przesunął się do drugiej piersi, obmył ją językiem i wysuszył włosami. Kołysała jego głowę, poddając się rozkoszy. W końcu uniósł twarz i stwierdził poważnym tonem:

- Maggie-moja-dziewczynko, zdaje się, że stoimy na tle jedwabnych firanek, które niewiele zasłaniają.

Ujęła go za podbródek i zmusiła do powstania.

-Więc chodź ze mną do łóżka, które oboje kupiliśmy. Chciałam mieć cię w nim, odkąd je ustawiłeś.

Podniósł się z kolan i przytulił ją mocno do swego boku. Objęci ramionami, zgasili światło w kuchni i weszli na

schody. Leniwy krok zadawał kłam niecierpliwości, która ich przynaglała.

W pokoju krążgankowym Maggie zapaliła nocną lampkę. Cienie rzucane przez jedwabny abażur przesuwwały się po ścianach, kiedy się obróciła, aby odnaleźć go tuż za sobą. Objął jej biodra i przycisnął do swoich.

- Zdenerwowana? - zapytał.

- Umieram ze zdenerwowania.

- Ja też.

Puścił ją z uśmiechem i zaczął rozpinać guziki swojej pastelowiebieskiej koszuli, wyciągając ją jednocześnie z dzinsów. Kiedy chciała zdjąć bluzkę, chwycił ją za rękę.

- Poczekaj. - Uśmiechnął się czarująco. - Czy mógłbym ja?... Nigdy tego nie robiłem, chyba że w ciemności, po omacku.

- Zrobiłeś to na „Mary Deare” nazajutrz po maturze, wcale nie było ciemno i nie musiałeś działać po omacku. - Czyżby?

- Tak, i bardzo sprawnie ci to szło. Uśmiechnął się chytrze i wyciągnął rękę.

- Muszę sobie odświeżyć pamięć.

Ściągnął jej luźną bluzkę przez głowę razem ze stanikiem i rzucił rzeczy na bok, wpatrując się w Maggie w świetle lampy.

- Jesteś piękna. - Przesunął dłońmi po obu stronach jej piersi i po nabrzmiąłych sutkach.

- Nie, wcale nie jestem.

- Jesteś. Myślałem tak wtedy i myślę teraz.

- Nie zmieniłeś się, wiesz? Zawsze potrafiłeś mówić i robić miłe, słodkie rzeczy, tak jak przed chwilą na dole, kiedy pocałowałeś mnie w rękę, i teraz, kiedy dotykasz mnie, jakbym była...

- Kim? - Jego delikatne palce poszczypywały lekko jej uda.

- Jakbym była z porcelany.

- Porcelana jest zimna - mruknął, zagarniając jej piersi

rozczapierzonymi dłońmi. - Ty jesteś ciepła. Zdejm mi koszulę, Maggie, proszę.

Cóż to była za przyjemność ściągać z niego błękitną koszulę, a potem biały podkoszulek, i burzyć mu przy tym włosy. Kiedy stał przed nią nagi do pasa, ścisnęła trzymaną w rękach bieliznę i przyłożyła sobie do twarzy, wdychając zapach, który przywoływał kolejne wspomnienia.

Dotknął jej głowy, wzruszony tym prostym gestem.

Podniosła twarz i powiedziała:

- Pachniesz tak samo. Zapachu się nie zapomina.

Rozpięła mu pasek. Robiła to z innym mężczyzną niezliczoną ilość razy w latach swego małżeństwa, ale zapomniała, jak smakuje, gdy jest owocem zakazanym. Czuła żar w całym ciele. Ciężka metalowa sprzączka paska zwisała luźno. Maggie, patrząc Erykowi w oczy, płasko położyła dłoń na jego kroczu. Najpierw pieściła go w ten sposób przez gruby materiał dżinsów. Sprana, szorstka bawełna opinająca, twarde, gorące ciało mężczyzny. Przymknął oczy, a potem chwycił ją mocno, wsuwając gwałtownie dłonie pod czerwone figi.

-Masz pieprzyk - szepnął gładząc ją po brzuchu. - O, tutaj...

Uśmiechnęła się.

- Jak zapamiętałeś?

- Zawsze chciałem go pocałować, ale się wstydzilem. Rozsunęła zamek błyskawiczny jego dżinsów i wyszeptała mu prosto w usta:

- Pocałuj teraz.

W pośpiechu skończyli wzajemnie się rozbierać. Ten pierwszy moment nagości mógł wywołać skrepowanie, ale zapobiegł temu Eryk, chwytając ją za ręce. Rozłożył je szeroko i ogarnął wzrokiem całe jej ciało.

- Och! - jęknął z zachwytu i spojrzał jej w oczy.

- Tak... och! - odwzajemniła mu się podziwem. Opuścił ramiona. Jego twarz przybrała wyraz powagi.

- Nie mam zamiaru kłamać. Po prostu zawsze cię kocha-

lem, wtedy i dzisiaj. Ważne, żeby powiedzieć to teraz, przedtem...

- Och, Eryku! - odpowiedziała żarliwie. - Ja też cię kocham. Staralam się z całych sił, żeby tak nie było, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Podniósł ją i położył na łóżku. Dotykał miejsc, których dotykał już kiedyś - piersi, bioder i ciepłej wilgoci między udami. Ona także dotykała go, pieściła i badała w bursztynowym świetle nocnej lampki, sprawiała, że drżał, czuł się pełen mocy, aby za chwilę osłabnąć. Całował ją wszędzie tam, gdzie w młodości nie śmiał, pieścił wszystkie miejsca ozłoczone blaskiem, kiedy leżała bezwładna pod jego dotykiem.

W zamian pieściła go językiem, odkrywając ukochane ciało i jego reakcje, a każda chwila stanowiła próbę cierpliwości ich obojga. Kiedy dotarli do szczytu pożądania, pochylił się nad nią i zapytał:

- Czy mamy uważać, żebyś nie zaszła w ciążę?

- Nie.

- Jesteś pewna, Maggie?

- Mam czterdzieści lat i na szczęście dla nas obojga nie muszę się tego obawiać.

Ich połączenie było powolne i harmonijne. Nie śpieszył się wchodząc w nią, gdy każdy moment stawał się przedłużoną rozkoszą. A kiedy wreszcie stali się jednością, znieruchomieli, zamieniając tę chwilę w modlitwę.

Po tylu latach znowu kochankowie!

Jak cudownie pasują do siebie. Jak nieprawdopodobny jest żar ich ciał.

Kiedy zaczął poruszać biodrami, widział jej oczy szeroko otwarte i błyszczące. Jej ręce obejmowały jego biodra, czuła w swym wnętrzu jego mocne, choć jedwabiste poruszenia. Odnalazł dłonie Maggie i przycisnął je do pościeli, patrząc jej w twarz.

- Uśmiechasz się - powiedział ochryple.

- Ty też.

- O czym myślisz?

- Że masz szersze ramiona.
- A ty - biodra.
- Miałam dziecko.
- Szkoda, że nie moje.

Potem przyciągnęła jego głowę w dół, ku sobie, i ich uśmiechy wygasły, starte cudowną falą wszechwładnej zmysłowości.

Dzielili tę samą żądzę i dreszcze podniecenia, zanim nie objął jej ciasno i nie pociągnął za sobą, obracając się na bok. Zmrużyła oczy i mocno trzymała go w sobie.

- Jak dobrze! - powiedział.
- Bo kiedyś był to dla nas obojga pierwszy raz. - Jest tak, jakbyśmy zatoczyli pełne koło, a ja powinienem być cały czas właśnie w tym miejscu.
- Zastanawiałeś się, jakby to było, gdybyśmy się pobrali, tak jak planowaliśmy?
- Stale się zastanawiam. A ty?
- Też - przyznała.

Przygniótł ją sobą i rytm powrócił. Patrzyła, jak włosy opadają mu na czoło, a ramiona drżą, podtrzymując ciężar ciała. Uniosła się, aby napotkać go w podrzucie, jęcząc z rozkoszy wraz z nim. Doznał orgazmu pierwszy i widziała, jak zmienia to jego twarz, spoglądała z bliska w jego oczy, obserwowała ruchliwą grdykę i napięcie mięśni, krople potu na brwiach, zanim cudowny skurcz wstrząsnął nim całym.

Kiedy jego ciało rozprężyło się, otworzył oczy, wciąż leżąc na niej.

- Przepraszam, Maggie - wyszeptał jakby z nakazu. - Nie przepraszaj - odpowiedziała szeptem, dotykając jego wilgotnych brwi i czoła. - Byłeś taki piękny!
- Naprawdę?
- Ależ tak. A poza tym - oznajmiła bez skrępowania - teraz na mnie kolej.

I tak było. I jeszcze raz. I jeszcze. I znowu.

Rozdział 1 2

O pierwszej dwadzieścia w nocy Maggie i Eryk siedzieli w wannie na nóżkach, pośród bąbelków i piany, pijąc korzenne piwo i próbując jodłować. Eryk pociągnął łyk, otarł usta i oznajmił:

- Hej, mam! - Zadarł głowę jak ujadający pies i zaczął śpiewać:

- Drozd zaśpiewał jodl-o-jodl-o...

Przy akompaniamencie tego wycia Maggie kołysała się niczym Irlandczyk w pubie i wymachiwała szklanką w powietrzu. Głos Eryka był tak potężny, że lustro o mało nie rozsypało się w drobny mak; śpiew zakończyła długa, żałobna, przeciągła nuta, skierowana w stronę sufitu.

- No i jak?

Postawiła szklankę na podłodze i zaczęła bić brawo.

- Wspaniale! A teraz ja. Chwileczkę. - Podniosła szklankę, upiła łyk i otarła usta. Po przepłukaniu gardła spróbowała refrenu z „Cattle Cali”:

Uuuuu! Uuuuu!

Kiedy skończyła, wykrzyknął:

- Brawo! Brawo! - i klaskał, podczas gdy ona kłaniała się na siedząco, rozkładając szeroko ręce i rozchlapując wodę na podłogę.

-Poczekaj...- Spojrzał w sufit, napił się i zaczął nucić ponad szklanką. - Mmmm - tak, mam! Piosenka starego kowboja Copasa.

- Jakiego kowboja?

- Copasa. Mam rozumieć, że nigdy nie słyszałaś o starym kowboju Copasie?
- Nikt o kimś takim nie słyszał.
- Widać, jak mało wiesz. Kiedy byłem mały, urządzaliśmy przedstawienia na tylnym ganku. Larry był Texem Rit-terem, Ruth - Dale Evans, a ja chciałem być Royem Rogersem, ale Mike twierdził, że on jest Royem Rogersem, więc musiałem być kowbojem Copasem. No to stałem i darłem się. U pasa miałem swój mały sześciostrzałowiec, na głowie miękki czerwony kowbojski kapelusz ciasno związany pod brodą, a na nogach kowbojskie buty Czerwonego Jeźdźca. Wrzeszczałem: „Gotów do zabijania!”, bo musiałem być kowbojem Copasem. Więc mi nie mów, że nikt nie słyszał o kowboju Copasie.

Śmiała się długo, a on próbował się uporać z żalosnym wykonaniem „Biednej nieśmiałej Ani z Cheyenne”. Kiedy skończył, zaproponowała:

- A gdybyśmy zaśpiewali coś razem?
- Dobrze. Znasz „Widmowych jeźdźców na niebie” Vaughna Monroe?
- Vaughn Monroe?
- Jego też nie pamiętasz?
- Chyba nie.
- A „Pędzące pędy”, którą grała kapela Synowie Pionierów?
- To znam.
- Ja zaintonuję.

Wziął głęboki oddech i zaczął:

- „Patrzcie jak pędzą...”

Odśpiewali trzy zwrotki, nucąc partie, w których zapomnieli słów, i osiągając raczej wątpliwą harmonię. Zakończyli dwiema nutami przedłużonymi niczym wycie kojotów. „Ciagnąc za pędzącymi pędami...” Kiedy przebrzmiał ostatni dźwięk, zaczęli się skręcać w nowym ataku śmiechu.

- Chyba minęliśmy się z powołaniem.

- Obawiam się, że twój nowy gips popękał. Wyczerpani śmiechem, osunęli się w wodę i oparli plecami o brzegi wanny. Maggie zawadziła o kran.

- Ouuuch!- zawyła głosem kojota. - Boooli! Uśmiechnął się.

- Chodź do mnie, tu jest wygodniej.

- Żadnych kurków i gałek? - zapytała i postawiła szklanke na podłodze.

- No, może jakieś tam są - odpowiedział, sadowiąc ją między swymi udami. - Ale spodoba się pani, panno Maggie, obiecuję.

- Mmm - zamruczała, opierając ręce na jego piersiach. -Masz rację.

Pocałowali się, czując podniecenie narastające pod warstwą piany. Jego dłonie pieściły jej pośladki.

Po jakimś czasie otworzyła oczy i zapytała leniwie:

- Hej, kowboju?

- Tak, proszę pani? - odpowiedział wykrzywając usta w przesadnie służalczym uśmiechu.

- Czy nie zechciałbyś jeszcze raz pocałować mego pieprzyka?

- Już się robi. Dżentelmenowi nie wolno odmawiać, kiedy dama prosi tak słodko. Zajmiemy się bezzwłocznie tą sprawą.

Zajęli się tą sprawą i kilkoma innymi, a kiedy skończyli, była już trzecia rano. Wyciągnęli się na skotłowanym łóżku w pokoju krążankowym, żeby trochę odpocząć. Erykowi zaburczało w brzuchu, zapytał więc:

- Co pani ma do jedzenia, panno Maggie? Umieram z głodu.

Ocierając piętę o jego łydkę, powiedziała:

- A co byś chciał? Owoc? Kanapkę? Omlet? Pokręcił nosem.

- Za delikatne.

- Więc co?

- Pączki - oświadczył klepiąc się po brzuchu. - Duże, tłuste, ciepłe, pyszne pączuszki.

- No to przyszedłeś we właściwe miejsce. Chodźmy. -Chwyciła go za rękę i wyciągnęła z łóżka.

- Żartujesz! - wykrzyknął. - Naprawdę masz pączki?

- Nie mam, ale możemy je zrobić.

- Chcesz smażyć pączki o trzeciej piętnaście rano?

- Dlaczego nie? Mam tyle przepisów na szybkie wypieki, że nie mieszczą się w szufladzie.

Znajdziemy przepis na pączki, nie ma obawy. Chodź, coś sobie wybierzesz.

Wybrał pączki pomarańczowe i razem zajęli się ich przygotowaniem, ona ubrana tylko w swój różowy pikowany szlafrok, on - w dżinsy. Zabrało im to nieco więcej czasu, niż wynikało z przepisu; kazała mu wycisnąć pomarańczę, ale próbował to robić w nieoczekiwanych miejscach, co spowodowało przyjazną szamotaninę, która skończyła się pośród chichotów obojga na podłodze. Kiedy tarł skórkę, skaleczył się w palec, a opatrzenie ranki wymagało tylu pocałunków, że smażenie pączków opóźniło się o dobrych dziesięć minut. Po wymieszaniu trzeba było spróbować ciasta, co oznaczało ssanie palców, aż Maggie zagroziła leniwie:

- Jeżeli zaraz mnie nie puścisz, ogień buchnie! Odpowiedź Eryka sprawiła, że znów poczęli się zwijać ze śmiechu, aż chwycił ją w ramiona i zaczął wpatrywać się w jej twarz z rosnącym zdumieniem.

Śmiech ustał. - Boże, jak ja cię kocham - powiedział. - Przeżyłem połowę życia i dopiero teraz widzę, jak to powinno być. Ja cię kocham, Maggie, bardziej niż myślałem.

- Ja też cię kocham. - Czowała się radosna, odrodzona. -Przez kilka miesięcy wyobrażałam sobie, że ta noc w końcu nastąpi, ale nie że będzie aż taka. To jest coś specjalnego, ten śmiech, to czyste, cudowne szczęście.....Czy myślisz, że byłoby tak, gdybyśmy się pobrali zaraz po szkole?

- Nie wiem. Ale na to wygląda.

- Mhm... chyba tak. - Uśmiechnęła się do niego. - Czy to nie wspaniałe? Nie tylko się kochamy, ale także lubimy.

- Myślę, że posiadliśmy tajemnicę - odpowiedział.

Spoglądał na jej uniesioną w górę twarz, na delikatny podbródek z wyraźnym dołkiem, śliczne brązowe oczy i lekko uśmiechnięte usta. Złożył na nich długi, nieśpieszny pocałunek.

Kiedy oderwał się od jej ust, wymruczała:

- Skończmy z pączkami, żebym mogła położyć się przy tobie, potem odwrócić się plecami i wiedzieć, że mam cię tuż, tuż.

Pięć po czwartej opadli wyczerpani na łóżko, pachnąc skórką pomarańczową. Eryk przytulił się do Maggie, z twarzą w jej włosach, dotykając kolanami jej kolan, ręką obejmując jej piersi. Westchnął. Westchnęła i ona.

- Wykończyłeś mnie.

- Myślę, że można to ująć inaczej.

- Ale to było miłe.

- Mhm. Kocham cię.

- Ja ciebie też. Nie wychodź po cichu, masz mnie obudzić.

- Dobrze.

I jak para, która od lat jest ze sobą, zasnęli spokojni i odprężeni.

Obudził się, czując lekką wilgoć złączonych ciał. Jego ręka bezwładnie leżała na brzuchu Maggie, unosząc się i opadając wraz z jej oddechem. Leżał spokojnie, w ciszy odbierając wszystko zmysłami: rytm tego samego oddechu, dotyk zmiętego prześcieradła i jej nagich pośladków tuż przy jego biodrach. Zapach włosów Maggie i woń czegoś jeszcze, napływającą z bliska; odbłask śniegu i słońca w pokoju; przyćmioną różowość tapety na ścianach; bezgłośnie falowanie koronkowej firanki, wywołane podmuchem ciepłego powietrza z grzejnika. Spokój. Zadowolenie.

Me chcę jej utracić. Chcę zostać z tą kobietą, śmiać się z nią i kochać, dzielić tysiące codziennych obowiązków, jakie niesie życie. Nosić rzeczy, które są dla niej za ciężkie, sięgać po te, które są za wysoko, odśnieżać ścieżkę, golić się w jej łazien-

ce i używać tego samego grzebienia. Stać w drzwiach rano i patrzeć, jak się ubiera, a wieczorem, jak się rozbiera. Dzwonić do domu z wiadomością, że już jadę. Dzielić z nią leniwe niedziele i deszczowe poniedziałki, i resztki mleka z kartonu.

Chcę, żeby była przy mnie, gdy po raz pierwszy spuszcza łódź na wodę, żeby wiosna była dzięki niej sezonem miłości, nie tylko kalendarzową porą roku. A latem, gdy będę przepływał, chcę widzieć ją kopiającą w ogrodzie i machającą do mnie w odpowiedzi na sygnał syreny. Chcę, żeby jesienią rozumiała mój smutek z powodu odstawiania „Mary Deare” na ląd i szykowania jej do zimy. Chcę, żebyśmy mieli od czasu do czasu coś dobrego - butelkę doskonałego szampana, dwa tygodnie w Acapulco, chateaubrianda przy świecach; ale może być także coś bardziej zwyczajnego - siwiejące włosy, zgubione klucze, wiosenne przeziębienia.

Nie, nie chcę utracić tej kobiety.

Po zmianie rytmu jej oddechu i lekkim skurczu mięśni poznał, że Maggie się budzi. Położył dłoń na jej brzuchu i dotknął nosem pleców. Sięgnęła za siebie i wsunęła mu rękę między uda. Zaczęła go pieścić - mocno, zręcznie, pewnie, i jego członek ożył w ciepłej dłoni. Uśmiechnęła się - był tego pewien, choć nie widział jej twarzy - a wtedy przesunął się, aby wejść w nią, objął ją ramieniem i przygniótł całym ciałem. Uniosła biodra, mówiąc w ten sposób „dzień-dobry-kocham-cię” w odwieczny, nie wymagający słów sposób.

Kiedy ogarniały ich kolejno dreszcze pożądania i zaspokojenie, a wilgoć wysychała na skórze, odwróciła się, nie przerywając ścisłego połączenia ich ciał, i objęła nogami jego biodra.

Ujrzał teraz jej uśmiech, którego się domyślał, i odpowiedział uśmiechem. Wyciągnął ramię na całą długość i uchwycił dłoń Maggie, splatając palce z jej palcami. Leżeli patrząc sobie w oczy, podczas gdy światło poranka rozświetlało pokój. Zaczął leniwie gładzić kciukiem jej kciuk. Grzejnik wyłączył się i firanka przestała falować. Sięgnęła,

aby przygładzić rozwichrzone włosy Eryka, po czym znowu złączyła dłoń z jego dłonią, powracając do leniwej pieśczoły kciuka. Nie padło ani jedno słowo, nie zostały wypowiedziane żadne obietnice, ale tym milczeniem oboje wyrazili rzeczy najważniejsze.

Pół godziny później siedzieli przy stole, trzymając się za ręce i wypowiadając bezsensowne życzenia. Wypił kawę i podniósł się niechętnie, zdejmując kurtkę z oparcia krzesła. Wolno ją włożył, opóźniając to, co musiało nastąpić; schylił głowę, zapinając dolny guzik. Podeszła i odsunęła jego ręce, żeby zrobić to sama. Jeden guzik. Jeszcze jeden. I jeszcze. Każdy przybliżał chwilę rozstania. Kiedy wszystkie guziki zostały zapięte, postawiła mu kołnierz i przytrzymała obiema rękami przy policzkach, potem przyciągnęła głowę Eryka i czule pocałowała go w usta.

- Nie oddałabym tej nocy nawet za lampę Aladyna - powiedziała cicho.

Przymykając oczy, objął ją ramionami.

- Było lepiej, niż kiedy byliśmy dziećmi.

- O wiele. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję. Spadła na nich chwila bolesnego milczenia.

- Nie wiem, co się stanie - powiedział wreszcie Eryk. - Ale to, co czuję, jest silne. Będzie wymagało jakiegoś rozładowania.

- Myślę, że tak.

- Nie potrafię żyć z poczuciem winy.

Oparła ręce na jego ramionach obciążonych skórzaną kurtką i poczuła, że to rozstanie nie może ograniczać się do zwykłego „do widzenia”, że powinno to być pożegnanie.

- Niech nas nie wiążą żadne wzajemne zobowiązania. Uznajmy, że to było przeznaczenie, tak jak pierwszy raz w sadzie Easleya. Cudowny, niespodziewany dar.

Odsunął się, patrząc w jej spokojne brązowe oczy, i pomyślał: „Nie będziesz o nic pytać, prawda, Maggie? Ani kiedy zobaczysz mnie znowu, ani kiedy zadzwonię, ani kiedy uporam się z pytaniami bez odpowiedzi”.

- Maggie-moja-dziewczynko... - powiedział z miłością. - Ciężko mi będzie opuścić te progi.

- Czy nie powinno tak być, gdy dwoje ludzi staje się kochankami?

- Tak. - Uśmiechnął się i potarł szczękę wierzchem dłoni. - Tak powinno być.

Powiedzieli sobie do widzenia wzrokiem; jego palce delikatnie dotykały jej szyi, a jej - spoczywały wciąż na rękawie jego skórzanej kurtki. Pochylił się, ucałował Maggie lekko i szepnął:

- Zadzwoń.

Dzień minął jej na przerzucaniu się od nastroju radości do smutku.

Czasem czuła się tak, jakby otaczała ją aureola samozadowolenia, coś promiennego i niemal dotykającego. Gdyby w drzwiach stanął nagle listonosz, z pewnością spojrzęłyby na nią ze zdumieniem i zapytał: „A co to takiego?” - ona zaś odpowiedziałaby: „To właśnie jest szczęście!”

Ale zaraz ogarniała ją fala melancholii. Maggie przerywała wtedy każde zajęcie i stawała ze wzrokiem wlepionym w jakiś przedmiot po drugiej stronie pokoju. *Co ja zrobiłam? Co się teraz stanie? Dokąd to prowadzi?* Do złamania serc, o tym była przekonana, nie dwojgu, lecz trojgu ludziom.

Chcesz, żeby wrócił?

Tak.

Nie.

Tak, na litość boską, tak.

Przeżył ten dzień, odczuwając co jakiś czas uderzenia bólu i winy tak mocne, że zamierał w bezruchu i zagryzał wargi. Spodziewał się tego, ale nie sądził, że będzie to aż tak silne. Gdyby pojechał do Mike'a, brat wzruszyłby ramionami i zapytał: „O co chodzi?”, a wówczas on wyznałby swój grzech. Złamał przysięgę małżeńską, oszukał żonę, która niezależnie od swych wad zasługiwała na coś lepszego, a także kochankę, która z pewnością teraz cierpi.

Wrócisz tam?

Nie. Tak. Nie.

Około południa brakowało mu jej tak bardzo, że zadzwonił tylko po to, aby usłyszeć jej głos.

- Cześć - powiedziała i serce załomotało mu w piersi.

- Cześć.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało, widzieli się tylko w wyobraźni i odczuwali ból.

- Co robisz? - zapytał w końcu.

- Jest tu Brookie. Pomaga mi w tapetowaniu jadalni.

- Och. - Dławiło go rozczarowanie. - No to chyba pozwolę ci wrócić do pracy.

- Tak.

- Chciałem tylko powiedzieć, że chyba nie powinienem przychodzić dziś wieczorem.

- Och...no tak...- Pauzy niewiele mówiły mu o tym, co czuła.

- Dobrze. Rozumiem.

- To nie byłoby w porządku wobec ciebie, Maggie.

- Tak, masz rację - powiedziała spokojnie.- Zadzwoń, kiedy będziesz mógł.

- Maggie, przepraszam.

- No cóż, do widzenia.

Odłożyła słuchawkę, zanim mógł wyjaśnić coś więcej.

Przez resztę popołudnia chodził w kółko, cierpiąc jak zwierzę. Niespokojny. Rozdarty. Była środa.

Nancy miała wrócić w piątek koło czwartej; dwa dni rozciągały się przed nim niby mroczna, bezkształtna pustynia, chociaż zdawał sobie sprawę, że spotkanie z nią twarzą w twarz ujawni, jakim on jest człowiekiem.

Poszedł na górę i wyciągnął się na łóżku z rękami pod głowę, czując wewnętrzne wzburzenie. Myślał o pójściu do Mike'a. Albo do mamy. Musi z kimś porozmawiać. Tak, pojedzie do mamy, uzupełni jej zapas paliwa.

Wstał, wziął prysznic, ogolił się i skropił twarz wodą kolońską. A także pierś. I genitalia.

Spojrzenie z lustra trzymało go na uwieży.

Co ty robisz, Severson?

Szykuję się do wyjazdu do mamy.

Z wodą kolońską na kutasie?

Idź do diabła!

Daj spokój, człowieku, kogo chcesz oszukać?

Odstawił gwałtownie flakonik i zaklął, ale kiedy podniósł oczy, jego *alter ego* nie zniknęło z lustra.

Pojedź tam jeszcze raz, a to już będzie znaczyło tyle co sto razy. Związek w pełnym rozkwicie! Czy tego chcesz? Chcę być szczęśliwy.

Myślisz, że będziesz szczęśliwy jako mąż jednej kobiety sypiający z drugą? Nie.

Więc jedź do mamy.

Pojechał do mamy i wszedł do domu bez pukania. Odwróciła się od zlewu, ubrana w luźne brązowe wełniane wdzianko i żółty podkoszulek ozdobiony zieloną przynętą na szczupaka.

- Kogóż to widzimy! - powitała go.

- Cześć, mamó.

- Musiałeś wywachać mój szwajcarski stek w piecyku.

- Przyjechałem tylko na chwilę.

- Tak, oczywiście, a ja jestem chińską cesarzową. Obiorę jeszcze parę ziemniaków.

Napełnił jej pojemnik z paliwem. Zjadł kawał steku i górę tłuczonych ziemniaków oraz trochę znienawidzonego zielonego groszku (jako pokutę). Potem rozsiadł się na jej wygniecionej sofie i obejrzał w telewizji quiz oraz półtoragodzinne zawody zapaśnicze (jeszcze większa pokuta), a potem film sensacyjny, co bezpiecznie doprowadziło go do godziny dziesiątej.

Dopiero wtedy przeciągnął się, wstał i obudził mamę, która siedziała zwinięta na swoim ulubionym bujanym fotelu; przynętę na szczupaka przydusił obfity biust.

- Hej, mam, obudź się i do łóżka!
- Co? - zamruczała sennie. - Już idziesz?
- Tak. Jest dziesiąta. Dziękuję za kolację. -Tak, tak...
- Dobranoc.
- Tak, dobranoc.

Wsiadł do swojego starego wycierucha i ruszył, ślizgając się na lodzie i wmawiając w siebie, że jeśli droga do Fish Creek zajmie mu jeszcze pół godziny, będzie już za późno, aby wpaść do Maggie. Kiedy znalazł się w mieście, powiedział sobie, że podjedzie tylko do Cottage Row, żeby zobaczyć, czy się u niej świeci.

Przy zaspach odgarniętego śniegu uznał, że może podjechać jeszcze kawałek, tak żeby spojrzeć na ścieżkę i sprawdzić, czy wszystko u Maggie w porządku.

Kiedy dostrzegł światło w oknach na dole, nakazał sobie odjazd. *Me zatrzymuj się, Severson, bierz tyłek w troki i wracaj do siebie!* Dwadzieścia stóp przed jej domem zahamował i zatrzymał się pośrodku drogi, gapiąc się na szczyt jakiegoś dachu i ciemne okna.

Me rób tego.

Muszę.

Diabła tam musisz!

„Skurwysyn” - mruknął do siebie zawracając samochód. Położył ramię na oparciu i ruszył z szybkością trzydziestu mil na godzinę. Zatrzymał się u szczytu wjazdu, wyłączył silnik i siedział, obserwując okna kuchni Maggie między zwałami śniegu - złote przebłyski światła gdzieś z głębi. Dlaczego jeszcze nie śpi? Była prawie jedenasta i każda kobieta mająca odrobinę rozsądku przestałaby już czekać o tej porze na mężczyznę. I każdy mężczyzna mający choćby odrobinę szacunku dla siebie dałby jej spokój. Otworzył drzwiczki samochodu i zatrzasnął je za sobą gwałtownie, zbiegł po stopniach i bez tchu zatrzymał się przy kuchennym wejściu. Zapukał gniewnie i czekał na ciemnej

werandzie, czując się tak, jakby ktoś wbijał mu kołek w krtań.

Drzwi się otworzyły i Maggie stanęła w nich ogarnięta cieniem nocy, w swoim długim pikowanym szlafroku.

Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł - przeprosiny i błagania utkwily mu w gardle. Patrzyli na siebie w milczeniu, szacując wzajemnie swoją wrażliwość i straszliwe pragnienie posiadania. Ona pierwsza się poruszyła, przypadła do niego ze słabym, zduszonym krzykiem, zarzucając mu ręce na szyję i całując go tak, jak kobiety całują mężczyzn powracających z wojny.

- Przyszedłeś.

- Przyszedłem - powtórzył podnosząc ją; jej stopy zawisły nad jego stopami, gdy prznosił ją przez próg. Zatrzasnął łokciem drzwi z taką siłą, że koronkowe zasłony uniósł podmuch powietrza. W półmroku całowali się z otwartymi ustami, gwałtownie, zapominając o rezerwie i pozorach, zrywając z siebie ubranie i rozrzucając je wokół. Ich niecierpliwość była jak prąd elektryczny, który prznosił ich od jednej zakazanej rozkoszy do następnej - ponad skłębionymi na kuchennej podłodze ubraniami; ogarnęła ich przemożna potrzeba dotykania, smakowania ustami wszystkiego; jego usta na jej piersi, brzuchu i kroczu; jej usta na jego ciele; jej plecy oparte o drzwi; jego ramię ściskające ją w talii, zmuszające do klęknienia, gorączkowe spółkowanie i napięcie ciał, zgrzytanie zębów i konwulsyj-ne okrzyki spełnienia.

Dwoje ludzi splecionych ze sobą, oczekujących na powrót oddechu.

Skończyło się to tam, gdzie się zaczęło, przy drzwiach kuchennych; oprzytomnieli oboje, zdumieni swoim zapamiętaniem, próbując jakoś uporządkować huragan emocji.

Opadł na plecy patrząc, jak ona odsuwa się, siada obok i drżącą ręką próbuje przygładzić włosy.

Jedyne światło wpadające z odległego pomieszczenia opromieniało jej syl-

wetkę. Poczuł, że gniecie go jakaś część ubrania pod plecami i że od drzwi wejściowych dochodzi zimny podmuch.

- Powiedziałeś, że dziś nie przyjdiesz - powiedziała, jakby chcąc się bronić.

- A ty powiedziałaś „dobrze”, jakby cię to nie obchodziło.

- Obchodziło. Ale bałam ci się przyznać, jak bardzo.

- Teraz wiem, prawda?

Chciało jej się płakać. Ale wstała i pobiegła do drzwi w rogu. Prowadziły do małej toalety.

Leżał bez ruchu. Zapaliło się światło, słyszał wodę. Westchnął, po czym także wstał i poszedł za nią.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach i zobaczył ją nagą, wpatrzoną w umywalkę. Łazienka była małym pomieszczeniem z ukośnym sufitem; oklejono ją bladoniebieską tapetą. Mieściła się tu tylko umywalka i sedes - po drugiej stronie. Zobaczył pudełko z chusteczkami higienicznymi i wszedł do środka, aby po nie sięgnąć.

- Nie chciałem dziś tutaj wracać. Pojechałem do mamy i siedziałem u niej tak długo, że wydawało mi się, iż musiałaś się już położyć. Gdyby dom był ciemny, nie wysiadłbym z samochodu.

- Ja też nie chciałam tak naprawdę, żebyś przychodził.

Puściła wodę i prysnęła na niego. Cofnął się o krok i stanął, wpatrzony w jej pochylone plecy.

Sięgnęła po ręcznik i ukryła w nim twarz. Delikatnie gładząc wgłębienie między jej łopatkami, zapytał:

- Maggie, co jest nie tak?

Wyprostowała się i napotkała jego oczy w lustrze. W owalnym lustrze zawieszonym wysoko i obcinającym ich odbicia na poziomie ramion.

- Nie chciałam, żeby to było tak... -Jak?

- Tylko... pożądanie.

- To nie jest tylko pożądanie.

- Więc dlaczego tyle dzisiaj o tym myślałam? Dlaczego

stało się to w kuchni, dokładnie tak, jak się spodziewałam, że będzie, jeśli wrócisz?

- Nie sprawiło ci to przyjemności?

- Ogromną. I to mnie właśnie przeraża. A gdzie część duchowa?

Zbliżył się do niej, podsunął obie dłonie pod jej piersi i przytulił usta do szyi.

- Maggie, kocham cię. Uniosła ramiona, żeby zrównać je z jego ramionami.

- Ja też cię kocham.

- A to, co zaszło w kuchni, to skutek napięcia.

- Nie sądzę, żeby było mi z tym dobrze... to znaczy z romanssem. Już się czuję wyczerpana emocjonalnie. Podniósł głowę. Przez chwilę patrzyli sobie w udręczone oczy.

- Czy mogę dziś zostać?

- Myślisz, że to rozsądne?

- Wczoraj nie było mowy o rozsądku.

- Przemyślałam parę rzeczy od tamtej pory.

- Ja też. Dlatego pojechałem do mamy.

- I jestem przekonana, że doszliśmy do tych samych wniosków.

- Mimo to chcę zostać.

Spędził tę noc i następną w jej łóżku, a w piątek rano, kiedy szykował się do wyjścia, spadł na nich ten sam cień. Stali w drzwiach, jego ręce spoczywały na jej ramionach, ale jej były opuszczone. Uzbroidła się, nakładając maskę obojętności. - Zobaczymy się w przyszłym tygodniu - powiedział.

- Dobrze.

- Maggie, ja... - Zmagał się ze swym wewnętrznym konfliktem. - Ja nie chcę do niej wracać.

- Wiem.

Zaniepokoił go jej brak reakcji. Pozostawała chłodna, jakby oddalona; podniosła na niego suche brązowe oczy, podczas gdy on był bliski płaczu.

- Maggie, muszę wiedzieć, co czujesz.
- Kocham cię.
- Tak, wiem, ale czy myślałaś o dalszym życiu? O ponownym wyjściu za mąż?
- Czasami.
- O poślubieniu mnie?
- Czasami.
- Tak? Jeżeli będę wolny?

Nie odpowiedziała, bo w ciągu tych trzech dni miała dość czasu, aby zastanowić się, jak poehopne było to wszystko. Co się stanie z jej życiem?

- Maggie, dla mnie to wszystko jest nowe. Nigdy przedtem nie miałem żadnych przygód, i jeśli wydaję się niepewny siebie, to tak jest naprawdę. Nie wiem, co powinienem zrobić najpierw. Nie mogę utrzymywać intymnych stosunków z dwiema kobietami naraz, a ona wraca do domu. Trzeba podjąć decyzję. Do diabła, to takie trudne!

- Dla nas obojga, bo ja też nigdy nie miałam żadnego romansu. Eryku, musisz mnie zrozumieć. Myślałam, jakby to było, gdybym cię poślubiła. Ale... - Przerwała, żeby zdobyć się na pełną szczerłość.

- Więcej było w tym fantazjowania niż czegokolwiek innego. Dlatego że nasza miłość była pierwsza, i gdyby się inaczej ułożyło, bylibyśmy przez wszystkie te lata małżeństwem. Myślę, że to naturalne, że cię idealizowałam i snułam na twój temat fantazje. I nagle wpadłeś w moje życie... objawiłeś się jak rycerz na koniu czy żeglarz na maszcie... dmąc w róg i sprawiając, że moje serce zatraciło się. Ty, moja pierwsza miłość. - Oparła ręce na jego skórzanej kurtce na wysokości serca. - Ale nie chcę, żebyśmy składali sobie obietnice, których nie możemy dotrzymać, czy żądali czegoś, do czego nie mamy prawa. Byliśmy ze sobą tylko trzy dni i - powiedzmy to uczciwie - jeśli chodzi o seks, zaspokoiliśmy swoje potrzeby. Zacerpnał głęboko tchu i opuścił ramiona.

- Powtarzałem sobie to samo kilkanaście razy dziennie i, jeśli mam być szczerzy, bałem się mówić o małżeństwie

z tych samych powodów. Wszystko dzieje się tak szybko. Ale chcę, żebyś wiedziała, zanim stąd odejdę, że podjąłem decyzję i przy niej pozostanę. Powiem dziś Nancy, że nie mogę z nią dłużej żyć. Nie będę jednym z tych mężczyzn, którzy zwodzą dwie kobiety.

- Posłuchaj, Eryku. - Ujęła jego twarz w dłonie. - Jedna część mnie cieszy się z tego, co mówisz, ale druga część widzi jasno, że ludzie w tej sytuacji często postępują niewłaściwie, z krzywdą dla siebie samych. Pomyśl, Eryku. Pomyśl dobrze, jakie masz powody, żeby ją opuścić. Muszą one wynikać ze związku z nią, a nie ze związku ze mną.

Patrzył w jej brązowe oczy i myślał, jaka jest mądra i jak nietypowo się zachowuje: przypuszczał, że w podobnej sytuacji to żonaty mężczyzna powinien się wycofać, a nalegać - kobieta z nikim nie związana.

- Powiedziałem ci, zanim się to między nami zaczęło, że już jej nie kocham. Nie kocham od miesiący. Rozmawiałem o tym nawet ze swoim bratem jesienią.

- Ale jeżeli podjąłeś decyzję o odejściu i zrobiłeś to pod wpływem impulsu, to znaczy, że reagujesz na ostatnie trzy noce zamiast na całych osiemnaście lat. A co ma większą wagę?

- Powiedziałem, że się zdecydowałem, i będę się tego trzymał.

- Dobrze. Zrób, co musisz, ale pamiętaj, że właśnie rozpoczęłam nowy etap w swoim życiu. Mam dom, interes, który dopiero zaczynam rozkręcać, i wiele rzeczy, które trzeba załatwić. - Spokojniej dodała: - I muszę się uleczyć.

Przez jakiś czas stali, nie dotykając się.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Dziękuję za szczerość.

- Czytałam, że aby kupić broń, trzeba złożyć podanie i czekać trzy dni. Prawnicy uważają, że oszczędza to strzelaniny. Może powinni ustanowić podobne prawo w wypadku odchodzenia od żony, kiedy zaczęło się romans. - Ich spojrzenia spotkały się, oczy Eryka spłoszone, Maggie peł-

ne troski. - Eryku, nigdy nie uważałam się za potencjalną rozbijaczkę małżeństw i czuję się winna tego, co się stało.

- Więc co chcesz, żebym w tej sytuacji zrobił?

- Zgodzisz się odłożyć swoją decyzję na jakiś czas i trzymać się w tym okresie z dala ode mnie? Od tego miejsca?

Obserwował ją przygnębiony:

- Jak długo?

- Nie wyznaczajmy daty. Niech to będzie jakiś sensowny termin.

- Czy będę mógł do ciebie zadzwonić? - zapytał z miną skarconego chłopca.

- Jeżeli uznasz to za rozsądne.

- Zrzucasz wszystko na mnie.

- Nie. Ja też zadzwonię, jeśli uznam to za rozsądne. Patrzył smutno.

- Uśmiechnij się do mnie przed odejściem! - poprosiła. Zamiast tego mocno przytulił ją do siebie.

- Och, Maggie...

- Wiem... wiem... - mówiła pocieszająco, gładząc go po plecach.

Ale nie wiedziała. Tak samo jak on nie znała odpowiedzi.

- Będę tęsknił - wyszeptał. Głos miał pełen udreki.

- Ja też.

Po chwili odwrócił się, otworzył drzwi i odszedł.

Rozdział 13

Nancy miała trudną podróż z Chicago i przyjechała poirytowana. Było ślisko, zimno, a obsługa w domach towarowych nerwowa. Kiedy otworzyła drzwi kuchenne i weszła, dźwigając bagaże, Eryk już na nią czekał. Zapach wypełniający kuchnię natychmiast ją udobruchał.

-Cześć - powiedziała, przytrzymując drzwi obcasem, kiedy sięgał po jej walizkę i torbę na ubrania.

- Cześć.

Podsunała mu twarz do pocałunku, ale nie pocałował jej, tylko wniósł rzeczy. W kuchni podszedł prosto do lodówki i wyjął butelkę soku limonowego.

- Cudownie pachnie. Co jest w piecyku?

- Przepiórki i ryż na ostro.

- Przepiórki... cóż to za okazja?

„Moje poczucie winy” - pomyślał - ale odpowiedział:

- Wiem, że to bardzo lubisz. - Zamknął lodówkę, odkręcił korek butelki i otworzył drzwiczki zsypu, żeby go wyrzucić. Kiedy się odwrócił, stała tuż obok.

-Mmm... jaki miły powrót do domu - powiedziała wyczekująco.

Podniósł butelkę i napił się.

Objęła go, mocno przyciskając łokcie do jego boków.

- Nie pocałujesz mnie?

Zawahał się chwilę przed szybkim pocałunkiem. Wyraz jego twarzy sprawił, że Nancy gdzieś w środku usłyszała dzwonek alarmowy.

- Zaraz... czy tylko tyle? Uwolnił się.
- Muszę zajrzeć do pieczystego - powiedział i wziął ze stołu uchwyty na garnki. Zwrócił się w stronę piecyka.
- Przepraszam cię, muszę otworzyć.

Nancy znowu usłyszała dzwonek alarmowy, jeszcze głośniejszy. Cokolwiek go gnębiło, było to poważne. Tyle wykrętów, żeby uniknąć pocałunku, spojrzenia. Sprawdził pieczyste, wypił sok do końca, nakrył do stołu, podał jej ulubione danie, zapytał, jak spędziła tydzień, i spotkał się z nią wzrokiem nie dłużej niż na dziesięć sekund w ciągu całego posiłku. Jego odpowiedzi były wymijające, dowcip wyparował, a na talerzu Eryk zostawił połowę jedzenia.

- Co się stało? - zapytała, kiedy skończyli posiłek. Zaniósł talerz do zlewu i puścił wodę.
- To tylko zimowa chandra.

„To coś więcej - pomyślała z dreszczem paniki przeszywającym całe ciało. - To kobieta". Ujrzała prawdę w całej oczywistości: zaczął się zmieniać od dnia, gdy jego dawna przyjaciółka wróciła do miasta. Nancy podsumowała objawy: roztargnienie, nieoczekiwane milczenia, nagłe unikanie kontaktu fizycznego. *Zrób coś, powiedz coś, co go zajmie.*

- Zastanawiałam się, kochanie - zaczęła, wstając z krzesła i obejmując go od tyłu. - Może poproszę, żeby zmniejszyli mi teren działania, tak żebym mogła być kilka dni dłużej w domu. - To było kłamstwo. Nie rozważała tego ani przez chwilę, ale w rozpaczy powiedziała coś, co, jak miała nadzieję, chciał usłyszeć. Przyciśniętym do jego pleców policzkiem wyczuwała ruch mięśni, gdy Eryk zmywał talerz.

- Co o tym myślisz? - zapytała. Dalej zmywał. Woda ciekła.
- Jeżeli chcesz.
- Zaczęłam też myśleć o dziecku.

Zamarł niczym przestraszony pająk. Uchem wciąż wtulonym w jego plecy usłyszała, jak przełyka ślinę.

- Może jedno nie byłoby takie złe. Zakręcił kran. Stali w milczeniu, bez ruchu.

- Skąd taka nagła zmiana? - zapytał. Mówiła, improwizując tak szybko, jak pozwalała jej na to umykająca myśl.

- Pomyślałam, że skoro nie pracujesz w zimie, mógłbyś się nim zająć. Gdybym wróciła do pracy, potrzebna by nam była opiekunka do dziecka tylko przez pół roku. - Przesunęła dłonią po jego dzinsach i ścisnęła ciepłą miękkość skurczonych genitaliów. Wsparł się o krawędź zlewu i nie powiedział słowa.

- Eryku - szepnęła, pieszcząc go. Poderwał się i przycisnął ją do siebie mokrymi dłońmi, z gwałtownością człowieka zrozpaczonego. Wyczuła, że trafiła na moment kryzysu, i była pewna, że wie, co to jest: poczucie winy.

Był brutalny, nie dał jej szansy oporu, zrywając z mej ubranie jakby w obawie, że jedno z nich - ona albo on -zmieni zdanie. W rogu pokoju stała niewielka sofa. Zaciągnął ją tam i, nie pozwalając na żadne zabezpieczenia, doprowadził do tego, że przyjęła w siebie jego spermę; tego stosunku pozbawionego pocałunków i czułości nie można było nazwać inaczej. Kiedy skończył, Nancy była wściekła.

- Pozwól mi wstać - powiedziała.

W milczeniu każde z nich poszło w inny kąt domu, żeby i doprowadzić się do porządku. W sypialni na górze stała długo w mdłym świetle dochodzącym z hallu, wpatrując się w uchwyt na drzwiach szafy. Myślała: „Jeżeli wpędził mnie w ciążę, to jak mi Bóg miły, zabiję go!”

Eryk stał w kuchni przez kilka minut. W końcu westchnął, wrócił do sprzątania ze stołu, ale przerwał tę czynność w połowie i wyszedł do pokoju gościnnego, aby usiąść w mroku na brzegu krzesła, z łokciami na kolanach, i zastanowić się nad swoim życiem. Tak cholernie wszystko się pomieszało. Co chciał udowodnić, traktując Nancy w ten sposób? Czuł się jak zboczeniec, winny bardziej niż kiedy-

kolwiek teraz, po tym, co zrobił. Czy rzeczywiście chciał, żeby zaszła w ciążę? Gdyby w tej chwili wszedł do sypialni, powiedział: „Chcę rozwodu” i usłyszał w odpowiedzi: „Dobrze”, czy wyszedłby z domu i poszedł prosto do Maggie, bez zastanowienia?

Nie. Bo to on, nie jego żona, był winny.

W domu panowała taka cisza, że słyszał wodę kapiącą z kurka w kuchni. Siedział w mroku, dopóki nie zaczął rozróżniać zarysu sofy z pogniecionymi poduszkami w kącie, gdzie rzucił Nancy. Podniósł się niepewnie i uporządkował je. Potem poszedł na górę, ciężko stawiając nogi. W drzwiach sypialni zatrzymał się i spojrzał w głąb ciemnego pokoju. Siedziała na brzegu łóżka obok torby, którą tu przyniósł. Na podłodze stała też walizka. Pomyślał, że nie mógłby jej winić, gdyby zabrała jedno i drugie i po prostu wyszła.

Wsunął się do środka i podszedł do żony.

- Przepraszam, Nancy - powiedział. Nie poruszyła się, jakby go nie słyszała. Dotknął jej głowy.

- Przepraszam - wyszeptał.

Nie zmieniając pozycji, spojrzała na ścianę i skrzyżowała mocno ramiona.

- Powinieneś - powiedziała.

Pozwolił swojej dłoni ześliznąć się z jej głowy i zawisnąć bezwładnie przy boku.

Czekał, ale nie powiedziała nic więcej. Szukał w sobie czegoś, co mógłby jej zaofiarować, ale czuł się kompletnie wyjałowiony, nie było w nim nic. Po jakimś czasie wyszedł z pokoju i usiadł samotnie na dole.

W poniedziałek w południe pojechał do Mike'a, czując potrzebę spowiedzi. Barb otworzyła na jego pukanie: okrągłutka jak balon i cała szczęśliwa. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na jego ponurą minę i powiedziała:

- Jest na dole w garażu, zmienia olej.

Eryk znalazł Mike'a leżącego w zaplamionym dresie na podnośniku pod swoim bagażowym fordem.

- Hej, Mike - powiedział bez radości i zamknął drzwi.

- To ty, braciszku? -Ja.

- Chwileczkę, niech spuszczę ten olej. - Rozległo się kilka stęknień, zgrzyt śruby, a potem odgłos płynu spływającego do pustej puszk. Podnośnik przesunął się po betonie i Mike wynurzył się w czerwonej czapce daszkiem do tyłu.

- Włączysz się trochę?

- Zgadłeś - przytaknął Eryk z nieszczerym uśmiechem. -Wyglądasz jak spaniel, który dostał w skórę - zauważył Mike, podnosząc się i wycierając ręce.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Uff. Znaczy, coś poważnego.

- To prawda.

- Poczekaj. Niech dołożę do pieca. - W kącie stał pękaty żelazny piecyk, który ogrzewał garaż. Mike otworzył skrzypiące drzwiczki, włożył dwa kawałki drewna, wrócił do Eryka i postawił do góry dnem zielony plastikowy kosz. - Siadaj - zarządził, sam sadowiąc się na podnośniku. Wysunął nogi do przodu i skrzyżował je. - Mam przed sobą cały cholerny dzień, więc strzelaj.

Eryk siedział nieruchomo jak skała, gapiąc się na skrzynkę z narzędziami i myśląc, jak zacząć.

Wreszcie zwrócił udęczone spojrzenie na Mike'a.

- Pamiętasz, jak byliśmy mali i stary prał nas po tyłkach, kiedy zrobiliśmy coś złego?

- Tak. I prał solidnie.

_ żałuff, że go nie ma i nie może tego powtórzyć.

- Co takiego zrobiłeś, że aż potrzebujesz lania? Eryk wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:

- Mam romans z Maggie Pearson.

Mike uniósł brwi tak wysoko, że wydawało się, iż spłaszczyły mu się uszy. Przyjął nowinę na razie bez komentarza, po czym obrócił czapkę daszkiem do przodu i zauważył:

- Rozumiem, że chciałbyś tu mieć starego, ale lanie chyba by nie pomogło.
- Nie, chyba nie, ale musiałem komuś o tym powiedzieć, bo czuję się podle.
- Jak długo to już trwa?
- Tylko tydzień, to wszystko. - I już koniec?
- Nie wiem. -Oho.
- Tak. Oho.

Obaj chwilę milczeli, po czym Mike zapytał:

- Więc zamierzasz się z nią znowu widzieć?
- Nie wiem. Postanowiliśmy trzymać się od siebie z dala przez jakiś czas. Ochłonąć. A potem zobaczymy.
- Czy Nancy wie?
- Chyba podejrzewa. To był okropny weekend.

Mike wypuścił powietrze z płuc, uniósł czapkę i podrapał się w głowę, a potem włożył czapkę znowu, przysłaniając sobie oczy daszkiem. Eryk rozłożył ręce.

-Mike, to jest tak cholernie pokręcone. Myślę, że Kocham Maggie.

Mike uważnie przyglądał się bratu.

- Przypuszczałem, że to się stanie, od chwili kiedy usłyszałem, że ona się sprowadza do miasta.

Wiedziałem, że chodziliście ze sobą w szkole. Wiedziałem, że to wróci.

- Wiedziałeś? - Twarz Eryka wyrażała zaskoczenie.

- Nie bądź taki zdziwiony. W szkole pożyczałeś mój samochód, prawda? A wtedy akurat zaczynaliśmy chodzić z Barb i zastanawialiśmy się, co z wami.

- Cholera, jacy jesteście szczęśliwi! Czy zdórfesz sobie sprawę, jakie mieliście cholerne szczęście?

Patrzyłem na ciebie i Barb, na waszą rodzinę, jak wam się układa, i dlatego myślę teraz: dlaczego nie zatrzymałem Maggie, dlaczego nie mam tego co wy?

- To nie tylko szczęście i wiesz o tym. To cholernie ciężka praca i mnóstwo kompromisów.

- Tak, wiem - przyznał Eryk z rezygnacją.
- Więc co z tobą i Nancy? Eryk pokręcił głową.
- Fatalnie.
- Dlaczego?
- W środku tego wszystkiego przyjeżdża do domu i mówi, że może zgodziłaby się na dziecko. Że może jedno me byłoby takie złe. Więc wziąłem ją za słowo. Nie dałem jej szansy na żaden środek zabezpieczający i od tej pory me odzywa się do mnie.
- Zmusiłeś ją?
- Chyba tak to należałoby nazwać. Mike rzucił bratu długie spojrzenie spod daszka i powiedział:
- Niedobrze, chłopie.
- Wiem.
- Co sobie, do diabła, myślałeś?
- Nie wiem. Czułem się winny z powodu Maggie, zły i przestraszony tym, że Nancy tak długo zwleka ze zgodą na powiększenie rodziny.
- Czy mogę cię o coś zapytać? Eryk patrzył na brata i czekał.
- Czy ją kochasz? Eryk westchnął. Mike czekał. Pod furgonetką zabulgotało i olej przestał ciec. Jego zapach rozszedł się po całym pomieszczeniu, zmieszany z wonią płonącego drewna klonowego.
- Czasem zdarza mi się przyływ uczucia, ale to głównie tęsknota do tego, jak mogłoby być. Kiedy ją poznałem, najważniejszy był pociąg fizyczny. Myślałem, że to najpiękniejsza kobieta na świecie. Potem, gdy ją lepiej poznałem, uświadomiłem sobie, jaka jest bystra, ile ma ambicji i ze pewnego dnia osiągnie coś wielkiego. Wszystko to było wtedy równie ważne jak jej uroda. Ale chcesz wiedzieć, na czym polega ironia losu?

- Na czym?

- Właśnie to, za co ją podziwiałem, odsuwa mnie od niej. Sukces w biznesie stał się dla niej ważniejszy od sukcesu w małżeństwie. I, do licha, nie mamy nic, co by nas łączyło. Kiedyś lubiliśmy tę samą muzykę, ale teraz ona zakłada słuchawki i słucha tylko taśm samomotywujących. Na początku małżeństwa razem nosiliśmy rzeczy do automatów pralniczych, ale teraz ona załatwia sobie pranie na sucho w hotelach. Nawet nie lubimy już tego samego jedzenia. Ona jada zdrową żywność i cały czas czepia się mnie o to, że jem pączki. Nie mamy wspólnej książeczki czekowej, nie chodzimy do tych samych lekarzy, nie używamy nawet jednego kawałka mydła! Ona nienawidzi mojego skutera śnieżnego, mojej furgonetki, naszego domu - Chryste, Mike, myślałem, że kiedy ludzie się pobierają, zaczynają żyć razem!

Mike splótł ręce na podciągniętych kolanach.

- Jeżeli jej nie kochasz, nie masz żadnego interesu, żeby skłaniać ją do posiadania dziecka ani tym bardziej dobierać się do niej bez prezerwatywy!

- Wiem. - Eryk zwiesił głowę. Po jakimś czasie poruszył się, nadal przygnębiony. - Do diabła... - Wpatrzył się w piecyk. - Odkochać się to klęska. Tak człowiek cierpi.

Mike podniósł się, podszedł do brata i poklepał go po ramieniu.

- Tak. - Stali przez chwilę, słuchając trzaskającego ognia, ogarnięci jego ciepłem i znajomym zapachem rozgrzanego żelaza i oleju silnikowego. Lata temu spali w jednej sypialni na żelaznych łóżkach. Wspólnie odbierali pochwały i kary od rodziców, a czasem - kiedy było ciemno, ale nie inégli spać - dzielili się nadziejami i marzeniami. Czuli się teraz równie sobie bliscy wobec klęski marzeń jednego z nich jak kiedyś, gdy byli zwierającymi się sobie chłopcami.

- Więc co chcesz zrobić? - zapytał Mike.

- Chcę się ożenić z Maggie, ale ona mówi, że myślę teraz gruczołami.

Mike roześmiał się.

- Poza tym ona nie jest jeszcze gotowa do ponownego małżeństwa. Chce prowadzić interes i chyba nie mogę mieć jej tego za złe. Do licha, nie miała przecież jeszcze ani jednego klienta, a skoro władowała tyle pieniędzy w ten dom, chciałyby wiedzieć, że jakoś to się rozkręci.

-Więc przyszedłeś się mnie poradzić, co masz robić z Nancy, a ja nie potrafię odpowiedzieć. Czy nie dasz rady ciągnąć tego, tak jak jest, przez jakiś czas?

- Kiedy to cholernie nieuczciwe. Z trudem udało mi się nie powiedzieć jej wszystkiego w ostatni weekend, nie zerwać, no, ale Maggie wymusiła na mnie obietnicę, że odłożę to na jakiś czas.

Mike myślał chwilę, po czym ścisnął ramię Eryka.

- Powiem ci, co zrobimy. - Odwrócił go w kierunku samochodu. - Wymienimy olej, a potem przejedziemy się skuterami śnieżnymi. To rozjaśnia w głowie.

Byli mężczyznami urodzonymi na północy, gdzie przez pół roku wieje wichry. Młodo nauczyli się doceniać wartość jasnego błękitu i jaskrawej bieli, mocarne konary nagich drzew, piękno obsypanych śniegiem gałęzi, sinych cieni i czerwonych stodół w zaśnieżonym krajobrazie.

Jechali na południe, do parku Newport, wzdłuż linii brzegowej zatoki Rowley, gdzie port wydawał się lodową układanką, a plaża białym półksiężycem. Wody podnosiły powierzchnię zamrożonego jeziora i powodowały powstawanie wielkich zasp, które zapadały się w końcu pod własnym ciężarem i rozsypywały szeroko we wszystkie strony. Odślaniały przy tym pęknięcia, rozszerzające się w małe stawy, gdzie gromadziły się nury i dzikie kaczki. Lód tworzył fantastyczne zapory, a białoskrzydłe ptaki pływały wzdłuż jego krawędzi i nurkowały. Z daleka dolatywały ich skrzeczące głosy. Stado ptaków podfrunęło w górę, a ich długie, cienkie ogony ciągnęły się jak liny - pierzaści letni rezydenci zza kręgu polarnego na wakacjach w Door County.

W głębi łądu jeźdźcy minęli krzaki sumakowe i dereniowe o czerwonych jagodach, które wyglądały w śniegu jak klejnoty, a potem wjechali pod sklepienie katedry z gałęzi drzew i znaleźli lasek niskopiennych sosenek. Na ich szyszkach żerowały jakieś żółte ptaki. Jechali szlakiem jelenim, widać było, że zwierzęta się tu zabawiały, i znaleźli się w końcu przy dole, od którego jelenie zaczęły galop po gładkiej powierzchni wydmy, gdzie ich kopyta pozostawiły ślady niby białe krater w śniegu. Błękitne sójki zrywały się, wymyślając im schrypniętymi głosami, a czasem dzięcioł prowadził ich od jednego pnia do drugiego. Mijali rozpadliny, w których sypiały jelenie, i napotkali nie zamrożone źródło, z którego piły norki, myszy i wiewiórki.

Dojechali do pokrytego lodem zbiornika w pobliżu Błotnego Jeziora, gdzie wznosiło się żeremie bobrów z kapeluszem śniegu na wierzchu.

Usiedli, żeby odpocząć, na Cana Island; za plecami mieli las, a przed sobą płaski, rozciągający się w nieskończoność niebieskawy horyzont, którego jednostajność zakłócała tylko wystrzelająca w górę latarnia morska na wyspie. Gdzieś w pobliżu jakiś ptak wydawał monotony odgłos bez melodii, słychać też było pęknięcie lodu. Dzięcioł stukał w pień wyschłej brzozy. Daleko, na południowym krańcu Door County gorączkowa krzątanina w zimowych dokach sygnalizowała szczyt sezonu, ale tutaj trwał niczym nie zakłócony spokój. I Eryk czuł, jak tchnienie zimy uspokaja jego duszę.

- Poczekam - zdecydował spokojnie.
- Myślę, że to rozsądne.
- Maggie też nie wie, czego chce.
- Ale jeśli znowu z nią zaczniesz, powinieneś od razu zerwać z Nancy.
- Zrobię tak, obiecuję.
- Dobra, w takim razie wracajmy do domu.

Kończył się styczeń. Eryk nie powiedział nic Nancy; dotrzymał też przyrzeczenia, nie widując się i nie dzwoniąc do Maggie, chociaż tęsknił za nią aż do bólu. Na początku lutego razem z Mike'em pojechali na pokazy sportowe w Chicago; wynajmowali tam stoisko, rozdawali broszury, wynajdywali obiecujących klientów i rezerwowali rejsy na przyszły sezon rybacki. To były długie, męczące dni, kiedy trzeba było mówić aż do ochrypnięcia, stać na obolałych nogach, żywić się głównie hot dogami i źle sypiać w obcych pokojach hotelowych.

Wrócił do pustego domu w Fish Creek, gdzie czekała kartka od Nancy, która na tydzień wyjechała w podróż służbową, oraz stał aparat telefoniczny. Eryk sto razy przechodził obok i myślał, jak łatwo byłoby sięgnąć po słuchawkę i wykreślić numer Maggie. Porozmawiać o pokazach, o rezerwacjach, które załatwił, o tym, jak oboje spędzili tydzień - o wszystkim, o czym powinien rozmawiać z żoną. W końcu się powstrzymał.

Któregoś dnia poszedł do miasta po pocztę i spotkał na ulicy Verę Pearson. Dzień był wietrzny, śpieszyła się, szła ze spuszczoną głową, zasłaniając szalikiem usta. Kiedy usłyszała, że ktoś zbliża się z przeciwka, podniosła głowę i zwolniła. Potem wyraz jej twarzy stwardniał, znowu przyśpieszyła kroku i minęła Eryka, nie zwracając na niego uwagi.

W trzecim tygodniu lutego razem z Mike'em pojechali do Minneapolis na pokaz łodzi oraz sprzętu sportowego i turystycznego. Do ich stoiska podeszła drugiego dnia kobieta przypominająca Maggie. Była wyższa i miała jaśniejsze włosy, ale podobieństwo było uderzające i wywołało u Eryka ostrą reakcję seksualną. Zapiął sportową kurtkę, wychodząc do niej.

- Dzień dobry, czy chce pani o coś zapytać?

- Chyba nie. Ale wezmę prospekt dla męża.

- Oczywiście. Jesteśmy firmą czarterową i wynajmujemy dwie łodzie w Gills Rock w północnym Door County w stanie Wisconsin.

- Door County. Słyszałam.

- Północna strona Green Bay, na półwyspie. Rzeczowe pytania, odpowiedzi i uprzejme dziękuję. Ale w pewnej chwili, kiedy tak rozmawiali, ich oczy spotkały się, i chociaż byli sobie zupełnie obcy, połączyła ich nić zrozumienia: kiedy indziej, w innym miejscu, w innych okolicznościach rozmawialiby o czym innym niż połowy łososa. Odchodząc kobieta obejrzała się raz jeszcze i uśmiechnęła brązowymi oczami Maggie. Tak jak Maggie, miała też dołki w policzkach. Pozostawiła Eryka pod tak mocnym wrażeniem, że nie był w stanie wyzwolić się z niego przez resztę dnia. Tego wieczora, kiedy już wziął prysznic i wyłączył telewizor, usiadł na brzegu łóżka z białym ręcznikiem wokół bioder i mokrymi włosami. Ze stolika nocnego wziął zegarek.

Była dziesiąta trzydzieści dwie.

Odłożył go z powrotem i zaczął przyglądać się telefonowi. Kolor beżowy - czy istnieje hotel w Ameryce, który ma telefony w innym kolorze? - pechowy kolor czegoś, co kiedyś było żywe. Podniósł słuchawkę i przeczytał instrukcję połączeń zamiejscowych, potem zmienił zdanie i odłożył ją. Maggie zna go dobrze, wie, że nawet tego rodzaju uczynek może wywołać u niego wyrzuty sumienia.

W końcu jednak wykręcił numer i siedział z napiętymi mięśniami brzucha niby bokser przed walką. Czekał.

Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Słucham?

- Cześć.

Milczenie, kiedy zastanawiał się, czy jej serce tłucze się tak jak jego. Czy Maggie czuje też takie dławienie w gardle?

- To ciekawe - powiedziała spokojnie. - Wiedziałam, że to ty.

-Skąd?

- Jest wpół do jedenastej. Nie znam nikogo innego, kto dzwoniłby do mnie tak późno.

- Obudziłem cię?
 - Nie. Zbieram rachunki do obliczenia podatku.
 - Ach. To może nie powinienem ci przeszkadzać.
 - Nie, w porządku. Długo już nad tym siedzę. Przyda mi się przerwa w tej papierkowej robocie.
- Znowu milczenie, zanim spytał:
- Siedzisz w kuchni? -Tak.
- Wyobraził ją sobie tam, gdzie się pierwszy raz pocałowali, gdzie kochali się na podłodze.
- I znowu przytłaczające milczenie, kiedy oboje zastanawiali się, jak ciągnąć tę rozmowę dalej. * -
- Dobrze się czujesz? - zapytała.
- Jestem skołowany.
 - Ja też.
 - Nie miałem zamiaru dzwonić.
 - Nawet chyba chciałam, żebyś tego nie robił.
 - Ale dzisiaj zobaczyłem kobietę, która przypominała mi ciebie.
 - Och. Czy ją znam?
 - Nie, to ktoś zupełnie obcy. Jestem w Minneapolis, w hotelu Radissona, razem z Mike'em. Ta kobieta podeszła do naszego stoiska, miała takie oczy jak ty, taki owal twarzy... Nie wiem.
- Zamknął oczy i potarł nos. - Czy to nie okropne, że szukamy wzajemnie swoich śladów? - Robisz to samo?
- Stale. A potem karzę się za to.
 - To samo ze mną. Ta kobieta., stało się coś dziwnego, kiedy weszła. Nie rozmawialiśmy dłużej niż trzy minuty, ale poczułem... nie wiem, jak to wyrazić... zagrożenie, jakbym miał uczynić coś niedobrego. Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię, Maggie, jesteś ostatnią osobą, która powinna tego słuchać.
 - Nie, powiedz...

- To było straszne. Patrzyłem na nią i czułem... do diabła, nie ma innego sposobu na wyrażenie tego. Czułem podniecenie. Zmysłowe podniecenie. I zdałem sobie sprawę, że gdyby nie ty i nasz związek, mógłbym zacząć z nią rozmowę, żeby przekonać się, jak daleko może to nas zaprowadzić. Maggie, nie jestem tego rodzaju facetem, i bardzo się przestraszyłem. Wiesz, czyta się o menopauzie u mężczyzn; przez lata byli oddanymi mężami i nagle po czterdziestce wszystko się kończy, zaczynają się zachowywać jak krety, latają za dziewczynami, które mogłyby być ich córkami, zadają się na jedną noc z zupełnie obcymi kobietami. Nie chcę, żeby tak było ze mną.
- Powiedz mi coś, Eryku. Czy potrafiłbyś coś takiego wyznać Nancy?
- Chryste, nie.
- Nie uważasz, że to o czymś świadczy? Że możesz powiedzieć mnie, a jej nie?
- Myślę, że tak.
- A skoro obnażamy nasze słabości, wyznam ci coś: jestem wygłodzoną seksualnie wdową, a ty moja ofiarą.
- Och, Maggie - powiedział łagodnie.
- I co ty na to? - powtórzyła tonem samopotępienia, pamiętając noc na kuchennej podłodze.
- Nie martw się tym.
- Ale martwię się, bo nie należę do kobiet wykorzystujących sytuację.
- Maggie, posłuchaj, czy wiesz, dlaczego do ciebie zadzwoniłem?
- Żeby opowiedzieć mi o kobiecie, którą dziś spotkałeś?
- O tym też, ale tak naprawdę to dlatego, że wiedziałem, że nie mogę przyjść do ciebie, że bezpieczniej jest odezwać się z odległości trzystu mil. Maggie, tęsknię za tobą.
- Ja też tęsknię.
- W przyszły piątek będzie już cztery tygodnie.
- Tak, wiem.

Kiedy nie powiedziała nic więcej, westchnął, po czym oboje wsłuchali się w elektroniczny szum linii telefonicznej. Eryk pierwszy przerwał milczenie:

- Maggie?

- Tak, jestem.

- O czym myślisz?

Zamiast odpowiedzi zadała pytanie:

- Czy powiedziałeś o nas Nancy?

- Nie, ale powiedziałem Mike'owi. Musiałem z kimś porozmawiać. Przepraszam, jeśli masz mi to za złe. - Nie, wszystko w porządku. Gdybym miała siostrę, też bym jej pewno powiedziała.

- Dzięki za zrozumienie.

Przez chwilę słuchali swoich oddechów zastanawiając się, co ich czeka. W końcu powiedziała:

- Chyba powinniśmy już skończyć tę rozmowę.

-Nie, Maggie, poczekaj. - Jego głos zabrzmiał błagalnie. - O Boże, Maggie, to jest piekło. Chcę się z tobą zobaczyć. - I co wtedy? Co z tego wyniknie? Przygoda? Krach twojego małżeństwa? Nie mam pewności, czy jestem gotowa na coś takiego, i nie uważam, żebyś ty był gotów.

Chciał ją błagać, składać obietnice. Ale co mógł obiecać?

- Muszę już kończyć - powiedziała.

Wydawało mu się, że usłyszał w jej głosie drzenie.

- Dobranoc, Eryku - powiedziała łagodnie.

- Dobranoc.

Przez piętnaście sekund czekali w milczeniu z policzkami przyciśniętymi do słuchawek.

- Odłóż pierwsza - szepnął.

- Nie mogę. - Płakała teraz, tego był pewien, choć usiłowała stłumić łzy. Ale głos miała zmieniony.

Siedząc na łóżku, wychylony do przodu, czuł, jak także jemu wilgotnieją oczy.

-Maggie, jestem w tobie tak cholernie zakochany, że

wszystko mnie boli. Jakbym się skaleczył do kości. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę bez ciebie. Muszę cię zobaczyć.

- Do widzenia, najdroższy - wyszeptała i zrobiła to, na co on nie potrafił się zdobyć. Odłożyła słuchawkę.

Przeżył następny dzień w przekonaniu, że już nigdy nie ujrzy Maggie; jej pożegnalne słowa były pełne bólu, ale ostateczne. Miała dobre, szczęśliwe życie z mężem. Miała córkę i swój pensjonat, nowe cele w życiu. Była niezależna finansowo. Czego mogła potrzebować od niego? A w miasteczku tak małym jak Fish Creek, gdzie wszyscy wiedzą

o wszystkich, słusznie nie chce się wikłać w związek, na który spora część mieszkańców spojrzy kosym okiem - czy będzie to tylko romans, czy coś więcej. Odczuła już wrogi stosunek córki i matki. Nie, to koniec.

Był to nieszczęśliwy dzień. Eryk snuł się ospale jak ktoś, kto ma w tchawicy kawał szmaty i nie może swobodnie oddychać. Żałował, że do niej zadzwonił. Zrobiło się gorzej, odkąd usłyszał jej głos.

Gorzej na wieść, że spędziła te cztery tygodnie równie udręczona jak on. Gorzej z powodu świadomości, że nie ma ratunku. Położył się wieczorem

I nie mógł zasnąć, słuchając odgłosów ruchu z Siódmej Ulicy i od czasu do czasu dźwięku syreny. Myślał o Nancy i o tym, że Maggie ocenia jego małżeństwo z innej perspektywy niż on. Próbował, ale nie udawało mu się wyobrazić sobie swojej przyszłości bez Maggie. Niezależnie od okoliczności. Hotelowe materace i poduszka wydawały się twarde, jakby wypchane żwirem. Żałował, że nie pali. Jakże uspokajające byłoby wypełnić ciało odrobiną smółki nikotynowej, wchłaniać ją i wydychać, nie myśląc o niczym. Jego zegarek miał fosforyzującą tarczę. Sprawdził: była jedenasta dwadzieścia siedem.

Czy o tym właśnie się pisze w artykułach na temat stresu? Czy mężczyźni w moim wieku nie dostają zawału, wpędzając się w podobną sytuację? Zdenerwowani, niezdecy-

dowani, nieszczęśliwi, nie sypiający i nie jadający odpowiednio? W stanie napięcia seksualnego? Kiedy zadzwonił telefon, podskoczył tak gwałtownie, że aż otarł sobie nadgarstek o blat stolika. Oparł się na łokciu i znalazł po ciemku słuchawkę.

- Halo?

Jej głos był miękki i pobrzmiwała w nim nuta skruchy. Powiedziała bez wstępów:

- Chciałabym, żebyś przyszedł na kolację w poniedziałek wieczorem.

Zapadł się w poduszki, z łomoczącym sercem, z dreszczem tęsknoty przesywającym tysiące najbardziej nieoczekiwanych miejsc - skronie, palce, barki.

- Maggie, o Boże, Maggie, czy naprawdę?

- Nigdy niczego bardziej nie pragnęłam. Więc co to będzie - romans czy małżeństwo? Ale to nie był czas na pytania, teraz wystarczało mu w zupełności, że ją znowu zobaczy.

- Jak mnie odnalazłaś?

- Powiedziałeś: hotel Radissona w Minnapolis. Są tam cztery jego hotele, jak się przekonałam, ale w końcu trafiłam na właściwy.

-Maggie...

- W poniedziałek o szóstej - szepnęła.

- Przyniosę butelkę chardonnay - powiedział po prostu. Kiedy odłożył słuchawkę, poczuł się, jakby go wyciągnięto z bagna na twardy grunt. Mimo wszystko żył dalej.

Kiedy w poniedziałek pojawił się o szóstej u szczytu wzniesienia, wyszła na werandę i zawołała:

- Odstaw samochód do garażu!

Zrobił to. I zamknął garaż, zanim ruszył w stronę domu.

Zmusił się do spacerowego kroku, do zejścia ścieżką bez pośpiechu, do powolnego wejścia na stopnie, do pełnej samokontroli. Stała przed nim ze skrzyżowanymi ramiona-

mi, drżąca, oświetlona światłem od tyłu, niby jakaś niebiańska zjawka w aureoli.

Patrzyli na swoje oddechy zamieniające się w obłoczki białej pary na lutowym chłodzie, dopóki nie pomyślał o tym, że należy powiedzieć: - Witam raz jeszcze!

Kąciki jej ust uniosły się. Roześmiała się niepewnie,

- Cześć, wejdź.

Wszedł za nią do środka i zatrzymał się na dywanie przed drzwiami. Była ubrana w różowy jedwab - zwiewny, stwarzający wrażenie ciągłego ruchu - a głęboki dekolt ozdabiał sznur pereł. Kiedy zwróciła się ku niemu, wszystko - perły, suknia i ona sama - zdawało się drżeć. Ale na zasadzie nie wypowiedzianego porozumienia to powitanie było zaprzeczeniem poprzedniego. Przyjęła zieloną butelkę z uprzejmym uznaniem.

- Chardonnay... cudownie.

- Schłodzone.

- Mam odpowiednie kieliszki.

- Nie wątpię.

Schowała wino do lodówki, a wtedy spojrzał na jej nogi. Miała pantofle na wysokich obcasach, w tym samym kolorze co suknia. Błyszczały w jasnym świetle kuchni. Zamknęła lodówkę i odwróciła się do niego, pozostając po jej drugiej stronie.

- Wyglądasz elegancko - powiedział.

- Ty też. - Miał na sobie jasnoniebieskie ubranie, jasnobrzoskwiniową koszulę i pleciony krawat w dwóch kolorach. Ogarnęła całość wzrokiem i spojrzała na jego twarz. To także było wynikiem niepisanego porozumienia: kochankowie w najpiękniejszym upierzeniu, aby wzajemnie sprawić sobie przyjemność. - Wystroiliśmy się - powiedziała ze słabym uśmiechem.

- To prawda - odpowiedział lekko.

- Pomyślałam, że miło będzie przy świecach. - Poprowadziła go do jadalni oświetlonej tylko sześcioma świecami

i pachnącej różami. Naprzeciw siebie, u szczytu stołu, przy którym mogłoby zasiąść kilkanaście osób, stały dwa nakrycia.

- Wykończyłaś pokój. Jest piękny. - Rozejrzył się. Tapeta w kolorze kości słoniowej, zasłony w oknach, porcelana w oszklonej serwantce, lśniący stół z drzewa wiśniowego.

- Dziękuję. Usiądź tutaj. Jadasz łososia czy tylko go łowisz?

Roześmiał się; w dalszym ciągu prowadzili grę towarzyską. Zajął wskazane krzesło.

- Bardzo lubię łososia.

- Powinam cię zapytać. Będiesz pił wino teraz czy później?

- Raczej teraz, ale pozwól, że je przyniosę, Maggie. Chciał się podnieść, lecz dotknęła jego ramienia.

- Nie, ja to zrobię.

Obserwował, jak wychodzi z pokoju i wraca w oszłamiającej sukni, która wychwytuje blask świec i przenosi go na jej twarz. Nalała wina i zajęła miejsce naprzeciwko, na tle białej koronkowej firanki, obok kryształowej misy z delikatnymi koralowymi różami. Ustawiła je tylko z ich strony stołu, jakby nieważna była reszta jego długości, i tam także umieściła świecznik.

- Opowiedz mi o Minneapolis - poprosiła.

Opowiadał, podczas gdy pili wino i przyglądali się sobie w świetle świec. Następnie była sałata z cykorii z francuskim pieczywem, tak chrupkim, że okruchy spadły na stół, kiedy je łamali. W pewnym momencie liznęła palec, aby podnieść nim jeden z okruchów do ust. Patrzył zafascynowany.

- Kiedy otworzysz Dom Hardinga dla gości?

Odpowiedziała, on dolał wina do kieliszków, a potem posmarował kawałek pieczywa masłem i zjadł z apetytem, ocierając usta serwetką w kwiatki. Obserwowała każdy jego ruch.

Podawała następnie różowego łososa w sosie jabłecznym, ziemniaki zapieczone z serem, szparagi ułożone niby lodygi czerwonych róż, które w jakiś sposób wyrzeźbiła z buraków.

- Sama to wszystko przygotowałaś? - zapytał zdumiony.

- Mhm.

- Czy to się je, czy podziwia?

- Każdy robi, co chce.

Jadł smakując każdy kęs, ponieważ ten wieczór to był pierwszy prezent, jaki od niej otrzymał, ponieważ po drugiej stronie stołu jaśniała obiecująco, ponieważ mógł do woli nacieszyć serce jej widokiem w świetle świec. Później, kiedy nakrycia zostały sprzątnięte, a butelka chardonnay wypita, wyszła z kuchni, wnosząc pojedynczy, ale niezwykle ciężki, wielkości kapelusza, obłany czekoladą pączek na paterze. Pośrodku płonęła umieszczona w świeczniku z tej samej porcelany co patera świeca. - Ta-ta-ta-ta - ogłosiła tryumfalne wejście.

Odwrócił się i wybuchnął śmiechem, odchylając się głęboko w krzesło, kiedy postawiła przed nim to *coup de grace*.

- Jeżeli go zjesz, wygrasz drugiego w tych samych rozmiarach.

Pochyliła się, żeby ustawić patere, a wtedy otoczył ramieniem jej biodra. Oboje śmiali się z gigantycznego pączka. - To monstrum. Uwielbiam takie!

- Myślisz, że zjesz go w całości?

Jego uścisk stał się mocniejszy. Już się nie śmiali.

- Maggie - wyszeptał Eryk i odwrócił ją tak, że kolanami dotknęła siedzenia jego krzesła. - Ten miesiąc ciągnął się jak rok. - Przycisnął twarz do jej piersi.

Objęła rękami jego głowę, wpatrując się w płomień świecy.

- Ta kolacja trwała całe dni - dodał wtulony w nią. Odpowiedzią był tylko uśmiech, kiedy pochylała się nad

jego głowę, nad włosami, które leciutko pachniały kokosem.

- Tęskniłem za tobą. Pragnę cię. Najpierw, przed pączkiem!

Podniosła twarz i powiedziała:

- Każdy mój dzień bez ciebie jest bez sensu. - Pocałowała go takim pocałunkiem, o jakim usiłowała nie myśleć w okresie, gdy się nie widzieli.

Kiedy oderwała usta od jego ust, końcami palców pieściła jego policzek i czuła, jak mija beznadziejność minionych czterech tygodni.

- Jakże głupio próbowaliśmy się oszukiwać sądząc, że potrafimy stłamsić nasze uczucia tylko po to, żeby nie komplikować sobie życia.

W pokoju krużgankowym jej różowa szata spłynęła na ziemię, a jego garnitur znalazł się na małym bujanym fotelu. A potem radośnie oddali się sobie, świętując koniec udręki i cierpień. Znacznie później, leżąc spleceni uściskiem, rozmawiali o swoich uczuciach w tym okresie oddalenia. O tym, że samo wejście do pomieszczenia, gdzie czekało drugie, sprawiło, że stali się znowu pełnią i całością.

- Czytałam wiersze - przyznała - szukając w nich ciebie.

- Jeździłem skuterem, żeby wyrzucić cię ze swoich myśli.

- Pewnego dnia zdawało mi się, że cię widzę w mieście, i podbiegłam, ale potem uprzytomniłam sobie, że to ktoś inny. I poczułam się tak okropnie, że omal nie zaczęłam płakać na ulicy.

- Myślałem o tobie w pokojach hotelowych, kiedy nie mogłem spać, i chciałem, żebyś była przy mnie. Boże, jak pragnąłem cię mieć! - Dotknął palcem wskazującym dołka w jej podbródku. - Kiedy dzisiaj wszedłem do tego domu i byłaś, czekałaś, w tej pięknej różowej sukni, poczułem się.... poczułem się chyba jak marynarz, który wraca do domu po latach spędzonych na morzu. Nie pragnąłem niczego więcej niż być tutaj i znowu patrzeć na ciebie.

- Czułam to samo. Jak gdybyś odchodząc zabrał część mnie, jakbym była czymś w rodzaju klockowej układanki, a tutaj zabrakło klocka...

Położyła sobie jego rękę na sercu.

- A kiedy wszedłeś, klocek wskoczył na miejsce i znowu wróciłam do życia.

- Kocham cię, Maggie. To ty powinnaś być moją żoną.

- A jeśli powiem, że tak?

- Porozmawiam z nią. Skończę z tym. Zechcesz mnie?

- Czy to nie dziwne? Wydaje mi się, że wybór nie należy do mnie, skoro tak bardzo cię kocham.

Na jego twarzy wykwitła radość.

- Czy naprawdę, Maggie?

Objęła go ramionami, uśmiechając się wprost w jego twarz.

-Tak, naprawdę, Eryku. Kocham cię... kocham... kocham. - Potwierdziła to oświadczenie, całując jego szyję, policzek, brew. - Kocham cię i zostanę twoją żoną... jak tylko będziesz wolny.

Radowali się ciasno przytuleni do siebie. A potem ich radość przemieniła się w zadziwienie. Leżeli na boku, patrząc sobie nawzajem w oczy. Podniósł jej rękę od ust i ucałował wewnątrz dłoni.

-Tylko pomyśl... Zestarzeję się razem z tobą - powiedział miękko.

- Jaka cudowna myśl.

W tej chwili naprawdę wierzyli, że tak się stanie.

Rozdział 14

Nancy zajechała przed dom w piątek wieczorem, o szóstej piętnaście. Zapadł zmierzch i Eryk obserwował z okna kuchni, jak światła jej wozu zataczają koło i znikają w otwartych drzwiach garażu. Nie znosiła otwierania tych drzwi. Były staromodne, nieporęczne, cholernie kłopotliwe. Mimo że zamykały się znacznie łatwiej, niż otwierały, czekał, żeby je zamknąć, kiedy Nancy wyjdzie.

Ostry wiatr przenikał rękawy jego koszuli, kiedy stał patrząc, jak żona pochyła się, zabierając walizkę z tylnego siedzenia. Miała dobre nogi i zawsze nosiła bardzo drogie pończochy - tym razem zielone, dopasowane do kostiumu. Był czas, kiedy widok jej nóg wbudzał w nim pożądanie. Teraz patrzył na nie z poczuciem żalu za utraconą namiętnością i z niemożliwą do wyrażenia chęcią przeprosin za swój upór związany z tym domem - nawet z tym garażem - którego tak bardzo nienawidziła. Może gdyby ustąpił jej w tym punkcie, ona ustąpiłaby w innym, i nie oddaliliby się tak od siebie.

Wysunęła się z samochodu i zobaczyła go.

Nie była w stanie się poruszyć: to był ułamek sekundy - cisza między pojawieniem się dymku i odgłosem wystrzału. Te martwe pauzy stały się dla nich czymś zwyczajnym w ciągu tygodni, jakie nastąpiły po fatalnym wyczynie seksualnym Eryka.

Wreszcie Nancy przemogła się.

- Co tu robisz?

- Wezmę to. - Wszedł do garażu i sięgnął po jej walizkę. Pochyliła się znowu nad tylnym siedzeniem, aby wyjąć torebkę i składany pokrowiec na ubranie, który przewiesiła sobie przez ramię, kiedy on zamykał drzwi samochodu.

- Dobrze spędziłaś tydzień? - zapytał.

- W miarę.

- Jakie były drogi?

- W porządku.

Od tamtego wieczoru ich rozmowy były oficjalne i krótkie. Szli obok siebie w stronę domu, nie próbując mówić nic więcej.

Gdy znaleźli się w środku, położyła torebkę, aby podnieść walizkę.

- Zaniosę ci na górę - zaofiarował się.

- Sama wezmę - powiedziała.

Kiedy poszła na górę, został w kuchni zdenerwowany i napięty, ponieważ wiedział, że rozstanie jest jedynym właściwym wyjściem; bał się pomyśleć o następnej godzinie.

Wróciła ubrana w prostą wełnianą spódnicę i białą jedwabną bluzkę z długimi rękawami, ze złotą różą wpiętą w kołnierzyk. Przeszła, nie spotykając się z nim wzrokiem. Czekał, oparty o zlewozmywak, obserwując, jak podnosi pokrywkę garnka z gotującym się chili, jak sięga po chochlę, łyżki i miseczki, aby je napełnić. - Dla mnie nie - powiedział.

Spojrzała obojętnie, w sposób, który wypraktykowała od tamtej nocy, gdy wziął ją na sofie.

- Już jadłem. - Nie jadł, ale pustki, jaką czuł w sobie, nie można było wypełnić jedzeniem.

- Co się stało? - Najpierw zjedz. - Odwrócił się.

Postawiła miseczkę na stole, nieruchoma, napięta.

- Najpierw? A co potem?

Wyglądał przez okno na brudny śnieg i zimowy zmierzch. Czuł kurcze w żołądku i chłód opadający na nie-

go ciężkim jarzmem. To nie było łatwe. W to małżeństwo zainwestował większą część swego życia. Odwrócił się wprost do żony. - Nancy, najpierw usiądź.

- Najpierw usiądź, najpierw zjedz! - przedrzeźniała go. - O co chodzi? Powiedz mi wreszcie!

Wysunął dwa krzesła.

- Chodź i usiądź, proszę. - Kiedy to niechętnie zrobiła, usiadł naprzeciw niej z rękami opartymi o stół, patrząc na drewniane owoce, których nigdy nie lubił.

- Właściwie nie ma odpowiedniej chwili na to, co muszę ci powiedzieć, czy to przed jedzeniem, czy po jedzeniu, żebyś mogła się przygotować. Do diabła, to jest... - Ścisnął palce i przystawił dłoń do dłoni. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział spokojnie: - Chcę rozwodu, Nancy.

Zbladła. Wpatrywała się w niego. Zwalczyła nagły atak paniki.

- Kim ona jest?

- Wiedziałem, że o to zapytasz.

- Kim ona jest? - krzyknęła, uderzając pięścią w stół. - I nie mów mi, że nikogo nie ma, bo próbowałam dwa razy dzwonić w tym tygodniu, i jeżeli nie było cię o jedenastej wieczorem, to znaczy, że ktoś musi być, prawda?

- Chodzi o ciebie i mnie, nie o kogoś innego.

- Nie musisz mi mówić, bo wiem! To twoja dawna szkolna przyjaciółka, prawda? - Wysunęła głowę do przodu. - Prawda?

Węchnął i potarł wierzch nosa.

- To ona, wiem o tym! Wdowa-milionerka! Pieprzysz ją, Eryku?

Otworzył szeroko oczy i popatrzył na nią.

- Nancy, na litość...

- Tak, prawda? Pieprzyłeś ją w szkole i pieprzysz teraz! Wiedziałam o tym już pierwszego dnia, kiedy pojawiła się w mieście. Wystarczyło pięć minut na kościelnych schodach, żeby ci stanął, więc nie opowiadaj, że chodzi o ciebie

i mnie, nie o kogoś innego! Gdzie byłeś o jedenastej w nocy w środę? Znowu uderzyła w stół. - Gdzie? Czekał ze znużeniem na to, co nastąpi.

- I wczorajszej nocy!

Nie chciał odpowiadać na jej gniew gniewem, co tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

- Ty skurwysynu! - Uniosła się z krzesła i uderzyła go w twarz. Mocno. Tak mocno, że przesunęło się krzesło. - Niech cię diabli! - Zamachnęła się ponownie, ale odchylił się i chwycił końce jej palców tuż przy swoim lewym policzku.

- Nancy, przestań!

- Pieprzysz ją! Przyznaj się!

Chwycił ją za przeguby i zaczęli się szamotać, przechylając stół, rozlewając chili, rozrzucając po podłodze drewniane gruszki.

Jego policzek krwawił.

- Przestań, powiedziałem! - Nie wstał z krzesła, tylko mocno ścisnął jej rękę.

- Spędzasz z nią noce, wiem! - Zaczęła płakać. - I nie zaczęło się to w zeszłym tygodniu, bo dzwoniłam wcześniej i ciebie w nocy nie było!

- Nancy, przestań! - Kropla krwi spadła mu na koszulę. Napięty niczym zapaśnik, obserwował, jak żona usiłuje się opanować. Z mokrymi od łez policzkami wróciła na swoje krzesło i spojrzała na niego. Podniósł się i sięgnął po ścierkę, żeby wytrzeć rozlane chili. Patrzyła, jak przechodzi od zlewozmywaka do stołu i z powrotem. Kiedy usiadł, powiedziała:

- Nie zasługuję na to. Byłam ci wierna.

- To nie kwestia wierności, ale dwojga ludzi, którzy nie byli ze sobą naprawdę.

- Czy to jakieś bzdury, które wyczytałeś w niedzielnej gazetce?

- Popatrz na nas. - Przycisnął zwiniętą chusteczkę do policzka, spojrzał na krew i zapytał: - Co nam zostało?

Jesteśmy oddaleni od siebie przez pięć dni w tygodniu i nieszczęśliwi przez dwa pozostałe, kiedy jesteśmy razem.

- Tak nie było, dopóki ta kobieta nie przyjechała do miasta.

- Wyłączmy ją z tego. To się zaczęło znacznie wcześniej i dobrze o tym wiesz.

- To nieprawda.

- Ależ prawda. Od lat stawaliśmy się sobie obcy. Zobaczył, że jej gniew ustępuje strachowi, czego się nie spodziewał.

- Jeżeli chodzi o moją pracę, to powiedziałam, że poproszę o zmniejszenie podległego mi terenu.

- Rzeczywiście miałaś taki zamiar?

- Oczywiście że tak. - I zrobiłaś to?

Nie zrobiła. Oboje o tym wiedzieli.

- Ale czy byłabyś wówczas szczęśliwa? Nie wydaje mi się. Jesteś najszczęśliwsza, kiedy robisz to, co lubisz, i wreszcie to sobie uświadomiłem.

Pochyliła się niecierpliwie.

- Więc dlaczego nie pozwoliś mi tego robić? Westchnął głęboko, ze znużeniem, czując, że koło się zamyka.

- Dlaczego w ogóle chciałaś tego małżeństwa? Co to nam dało?

- To ty uważasz, że nasze małżeństwo jest pomyłką. Ja sądzę, że mamy o co walczyć!

- Na litość boską, Nancy, otwórz oczy. Od chwili gdy zaczęłaś podróże, zaczęliśmy wszystko tracić. Mieliśmy swoje rzeczy w tym samym domu i dzieliliśmy sypialnię, ale co poza tym? Przyjaciół? To ja mam przyjaciół, my ich nie mamy! I ze smutkiem zdałem sobie sprawę dlaczego: zdobywanie przyjaciół wymaga czasu, a ty go nigdy nie miałaś. Nie przyjmowaliśmy nikogo, bo zawsze byłaś zbyt zmęczona, kiedy przychodził sobotni wieczór. Nie chodziliśmy do ko-

ścioła, bo niedziela była twoim jedynym wolnym dniem. Nie pijaliśmy piwa z sąsiadami, bo wpadanie bez zapowiedzi uważałaś za dowód braku wychowania. A ponieważ nie mieliśmy dzieci, nigdy nie zajmowaliśmy się takimi sprawami jak organizowanie wycieczek, wyjazdy na koncert czy na mecze juniorów. Ale ja tego właśnie pragnąłem, Nancy.

- Więc dlaczego nie... - Urwała.

- Co miałem powiedzieć? Oboje wiedzieli, że mówił.

- Mieliśmy przyjaciół w Chicago.

- Zaraz po ślubie tak, ale nie kiedy zaczęłaś objazdy.

- Miałam bardzo ograniczony czas.

- I o tym właśnie mówię - nie, że to, czego chcesz, jest złe, czy że to, czego ja chcę, jest złe, ale że to, czego chcemy oboje, jest złe dla każdego z nas z osobna. A co ze spędzaniem wolnego czasu? Ty pracowałaś, a ja - do diabła, wiem, że zawsze uważałaś moje rozrywki za zbyt prostackie. Nigdy ci nie odpowiadały. Jazda skuterem mogłaby rozwiać ci włosy. Łowienie ryb jest za mało wyrefinowane dla reprezentantki firmy Orlane. Wolałabyś też borowanie zęba niż spacer w lesie. Cóż więc mamy ze sobą wspólnego, Nancy?

- Kiedy zaczynaliśmy, pragnęliśmy tych samych rzeczy. To ty się zmieniłaś. Nie ja.

Zastanowił się, po czym przyznał z goryczą:

- Może masz rację. Może to ja się zmieniłem. Próbowałem życia w mieście, galerii sztuki, filharmonii, ale zawsze było dla mnie bardziej interesujące obejrzenie kwiatka w plenerze niż na obrazie. I uważam, że więcej jest muzyki w Sanktuarium Natury w Ridges aniżeli we wszystkich salach koncertowych świata. Żałośnie usiłowałem zrobić z siebie kogoś innego.

- Więc w końcu zmusiłeś mnie do sprowadzenia się tutaj. Właśnie, a co ze mną? Co z moimi pragnieniami i potrzebami? Kochałam te galerie i filharmonie.

- Mówisz dokładnie to co ja: nasze potrzeby i pragnienia są zbyt różne, żeby to małżeństwo mogło trwać, i czas, żebyś to przyznała.

Podparła wyprostowanymi palcami skronie i wpatrzyła się w miseczkę chili.

- Ludzie się zmieniają, Nancy - powiedział. - Ja się zmieniłem. Ty się zmieniłaś. Nie byłaś wtedy agentką sprzedaży, tylko ekspedientką, a ja nie wiedziałem, że ojciec umrze i Mike poprosi, żebym wrócił i zajął się czarterem. Przyznaję, myślałem wtedy, że chcę robić karierę w korporacji, i trzeba mi było kilku lat doświadczenia, żeby przekonać się, że nie tego pragnę. Zmieniliśmy się, Nancy, tylko tyle.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

- Ale ja ciebie wciąż Kocham. Po prostu nie mogę... tak zrezygnować.

Widok jej łez przygnębił go, starał się nie patrzeć na żonę. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, dopóki Nancy nie odezwała się znowu:

- Powiedziałam, że zastanowię się nad sprawą dziecka.

- Już na to za późno - odparł.

- Dlaczego? - Pochyliła się nad stołem i chwyciła jego rękę. Nie zareagował. Pozwolił, żeby jego dłonie leżały jak martwe pod jej dłońmi.

- Bo byłby to krok desperacki - nie można posługiwać się dzieckiem, żeby utrzymać małżeństwo. To, co zrobiłem tamtego wieczora, jest niewybaczalne, i mogę cię tylko jeszcze raz przeprosić.

- Eryku... - zaczęła, ściskając jego rękę. Usunął łagodnie dłoń i powiedział cicho:

- Daj mi rozwód, Nancy.

Po długim namyśle odpowiedziała:

- Żeby ona cię miała? Nigdy.

-Nancy...

- Odpowiedź brzmi: nie - powiedziała zdecydowanie. Wstała i zaczęła zbierać drewniane owoce z podłogi.

- Nie chciałem, żeby to się zamieniło w wojnę. Ułożyła cztery drewniane gruszki w misie.
- Obawiam się, że jednak się zamieni. Mogę nie lubić tego miejsca, ale mam tu swój wkład i zostanę.
- W porządku. - Podniósł się. Na razie przeprowadzę się do mamy.

Nagle zmiękła.

- Nie odchódź - poprosiła. - Zostań. Spróbujmy wszystko naprawić.
- Nie mogę - powiedział.
- Ale, Eryku... osiemnaście lat.

- Nie mogę - powtórzył zdławionym głosem i wyszedł. Musiał pójść na górę i spakować się.

Dom mamy był pusty, kiedy Eryk przyjechał. Nad zlewem paliła się lampka, ukazując brudną miskę, parę trze-paczek do piany i dwa pozbawione koloru, podarte opakowania.

- Mamo? - zawołał, ale nie oczekiwał odpowiedzi i nie uzyskał jej. W pokoju telewizor był wyłączony, robótka leżała skłębiona na tapczanie. Po trzeszczących schodach zaniósł walizki do swojego dawnego pokoju na mansardzie. Pomieszczenie to każdemu wydałoby się dość smętne - wyblakłe, postrzępione chodniki na podłodze z wykładziny i mocno sfatygowane narzuty na dwóch łóżkach. Unosił się tu lekki zapach nietoperzych odchodów; jak długo Eryk pamiętał, brązowe nietoperze zamieszkiwały pod okapem i za okiennicami. Czasami któryś dostawał się do środka i wtedy trzeba było chwycić go siecią. Ale nawet jako dzieci nigdy nie bali się zwierząt. Mama zawsze wymagała, żeby wypuszczać je na dwór, a nie zabijać. Nietoperze łowią moskity, więc trzeba je traktować łagodnie.

Cierpki, zastarzały zapach strychu i nietoperzy wydawał się nostalgiczny i uspokajający.

Eryk zapalił słabą lampkę w „pokoju chłopców” i powędrował do „pokoju Ruth” - były w amfiladzie, tak że Ruth

musiała zawsze przechodzić przez ich sypialnię, żeby dostać się do siebie. W tamtych czasach wisiała między pokojami zasłona w kwiatki, dziś zastąpiły ją prawdziwe drewniane drzwi. Podszedł bez celu do okna. Poprzez nagie drzewa mógł stąd dostrzec oświetlone okna domu Mike[^] i Barb, gdzie niewątpliwie była teraz mama. Czasem chodziła do nich na kolację. Dziś jednak nie chciał się przyłączyć do rodziny. Wrócił do pokoju chłopców i padł na wznak na jedno z łóżek. W mroku opłakiwał małżeństwo, które przez lata stawało się puste; błędy, które sam popełniał podczas jego trwania; bezdzietność; zmarnowane lata, które przynosiły tylko rozczarowanie i żal; odmowę Nancy na zakończenie tego związku bez przyszłości; kłopoty, które niosła przyszłość. Wspominał chwile, kiedy razem z Nancy byli całkowicie szczęśliwi. Obrazy przesuwwały się w jego myślach niby sceny na ekranie, jasne i wyraziste. Chwila, gdy ustawiali pierwszy sprzęt - urządzenie stereo, które kupili we właściwym momencie. Nie był to z pewnością najbardziej praktyczny zakup na początek, ale oboje bardzo go pragnęli. Wspólnie wnieśli urządzenie do mieszkania, a potem leżąc na podłodze słuchali dwóch albumów płytowych, które sobie wybrali - Gordona Lightfoota dla niego i Beatlesów dla niej. Te stare płyty ciągle jeszcze musiały gdzieś być; zastanawiał się, czy każde z nich weźmie swoje, gdy będą się rozstawać. Leżeli na podłodze czując, jak muzyka wibruje w ich ciałach, i rozmawiali o przyszłości. Pewnego dnia będą mieli komplet mebli, najlepszych, i dom, w którym będzie można je ustawić - cały ze szkła i sekwojowego drewna - na jakimś zamożnym przedmieściu Chicago. Miała rację. Zawiódł ją pod tym względem.

Innym razem wybrali się na weekend do San Diego, podejmując spontaniczną decyzję (porozumieli się telefonicznie) w ostatniej chwili, w piątek w południe. O dziesiątej wieczorem tego dnia byli już w hotelu „La Jolla”. Spacerowali uliczkami na wzgórzach, trzymając się za ręce, pili koktajle w barach pod gołym niebem, obserwując zachód

słońca nad Pacyfikiem, jedli słynną zupę z zielonego groszku w jakiejś restauracji w wiatraku, zwiedzili Capistrano Mission i kochali się w świetle dnia na plaży, tuż przy ukrytej zatoczce. Przyrzekli sobie wtedy, że zawsze będą robić rzeczy nieobliczalne i wybierać się przy każdej okazji na wycieczki w nieznaną. Ale wkrótce ich życie stało się tak przewidywalne jak cykl księżycowy, a Nancy wciąż jeździła, więc nie było okazji do improwizowanych weekendów. I jeszcze jedno wspomnienie. Byli drugi rok małżeństwem, kiedy Nancy pewnego dnia upadła na śliskim chodniku i doznała wstrząsu mózgu. Pamiętał swój strach, kiedy czekał w pogotowiu na wyniki prześwietlenia, pamiętał pustkę łóżka w noc, kiedy pozostała w szpitalu na obserwacji, i ulgę, jaką poczuł po jej powrocie. W owych czasach jedna noc z dala od siebie była trudną próbą dla obojga. Teraz pięciodniowa nieobecność stała się normą. Powinien energiczniej szukać kompromisu, który umożliwiłby im częstsze przebywanie razem.

Powinien zbudować jej dom ze szkła i sekwoi.

Powinni omówić kwestię dzieci przed ślubem.

Leżał na swoim chłopięcym łóżku, a oczy piekły go od łez.

Usłyszał, że mama wróciła i weszła do saloniku.

- Eryk? - Widocznie zauważyła jego furgonetkę przed domem.

- Tak, jestem na górze. Zaraz schodzę.

Przetarł pięściami oczy i wstał, wydmuchał nos w skrwawioną chusteczkę i zaczął zeskakiwać z drewnianych schodów, opierając się obiema rękami o ścianę, która została w ten właśnie sposób trwale zabrudzona podczas tysięcy takich skoków.

Czekała na dole, ubrana w pomarańczową pikowaną nylonową kurtkę, w bawełnianej chustce w okropne purpurowe różyczki na głowie. Okulary miała zaparowane. Podsunęła je na czoło i spojrzała na niego z ciekawością.

- Co, do diabła, tam robiłeś?

- Wąchałem nietoperze gówna. Wspominałem.

- Nic ci nie jest?
 - Trochę beczałem, jeśli o to pytasz.
 - Co się stało?
 - Odchodzę od Nancy.
 - Ach, tak. - Obserwowała go w milczeniu. Zdał sobie sprawę, jak mało obchodzi ją jego żona, i zastanawiał się, co matka teraz czuje. Otworzyła ramiona i powiedziała: -Chodź tutaj, synu. Podszedł do niej i przytulił jej krótkie, nabite ciało do siebie. Poczł zapach późnej zimy, bijący z jej kurtki; szalik przesiał lekko swędem piecyka i wonią czegoś, co Barbara przygotowała na kolację. <t
 - Muszę tu trochę pomieszkać, mamó.
 - Jak długo zechcesz.
 - Będę pewno trochę skwaszony. Odsunęła się i popatrzyła na niego:
 - Masz do tego wszelkie powody.
- Ta chwila serdeczności sprawiła, że poczuł się lepiej.
- Co takiego dzieje się z ludźmi, mamó? Zmieniają się.
 - Tak już jest w życiu.
 - Ale ty i ojciec nie zmienialiście się. Zawsze byliście tacy sami.
 - Ależ oczywiście, że się zmienialiśmy. Wszyscy się zmieniają. Ale tamte czasy nie były takie skomplikowane. Dzisiaj młodzi ludzie mają dwa tuziny ekspertów, którzy uczą ich, co powinni czuć i myśleć, co robić i jak się odnaleźć. -Wysunęła wargi i wymówiła przeciągle: - Odnaaaleźć się -jakie to głupie. Stworzyć sobie wzajemnie miejsce. - Znowu ironicznie przeciągnęła ostatnie słowo. - Za moich czasów miejsce męża było przy żonie, a żony u boku męża, i pomagało się sobie wzajemnie i kochało, jeśli były jeszcze na to siły pod koniec dnia. Ale dzisiaj wmawiają ci, że jeżeli nie stawiasz siebie na pierwszym miejscu, to robisz źle, tylko że przy okazji małżeństwo przestaje funkcjonować. Och, nie winię ciebie, synu. Po prostu urodziłeś się w czasach nie sprzyjających małżeństwom.

- Zawsze jakoś się godziliśmy, Nancy i ja. Na pozór wyglądało, że wszystko jest w porządku, ale naprawdę różniliśmy się przez całe lata w najważniejszych sprawach - pracy, dzieci, miejsca zamieszkania, sposobu życia.

- Czasem tak bywa.

Oczekiwał, że jako matka weźmie jego stronę, i zdziwiła go jej neutralność. Ale szanował ją za to, tym bardziej że wiedział, iż nigdy nie darzyła Nancy specjalną sympatią.

Westchnęła i spojrzała w stronę kuchni.

- Jadłeś co?

- Nie, mamó, naprawdę nie jestem głodny. Znowu zaskoczyło go, że nie nalega.

- Tak, czasami zmartwienie odbiera apetyt. Chyba pójdę na górę i zmienię pościel. Tamtą oblekłam, kiedy spali tu Gracie i Dan w czasie świąt.

- Ja to mogę zrobić, mamó. Nie chcę ci przysparzać żadnych kłopotów.

- Od kiedy to moje dzieci są dla mnie kłopotem? Podszedł i serdecznie przytulił jej głowę w podzięcie za spokój, który uzdrawiał.

- Wiesz, mamó, przydałoby się więcej takich jak ty na świecie! - Lekko potarł czubek jej głowy zwiniętą dłonią, jak to zawsze robili, kiedy byli chłopcami.

- Puść mnie, smarkaczu! - krzyknęła.

Uwolnił ją i razem poszli na górę zmienić pościel. Rozkładali właśnie prześcieradło, kiedy powiedział: - Nie wiem, jak długo tu zostanę, mamó. Strzepnęła dwukrotnie poszewkę w powietrzu i odparła: - Przecież nie pytałam o to, prawda?

Wstąpił do Maggie nazajutrz późnym rankiem. - Cześć - powiedział ponuro.

- Co się stało z twoją twarzą?

- Nancy.

- Powiedziałaś jej?

Kiwnął głową zrezygnowany.

- Chodź tu. Muszę cię dotknąć. Wtulona w niego szepnęła:
- Ja też. Dopiero teraz możesz zacząć opowiadać. Zawsze, kiedy do niej przychodził, ich nastroje wydawały się dopełniać, jakby serca były połączone jakimś niewidzialnym przewodem. Dziś potrzebowali wzajemnego wsparcia. W ich uścisku tym razem nie było napiętności.

- Wiadomości nie są dobre - oznajmił cicho.

- Co powiedziała?

- Nie chce słyszeć o rozwodzie.

Delikatnie przesunęła rękę po jego plecach. Zamknęła oczy.

- Och, nie.

- Myślę, że utrudni sytuację, jak tylko będzie mogła. Mówi, że skoro ona nie może mnie mieć, ty też nie będziesz miała.

- Czy mogę ją za to winić? Czy zrezygnowałabym z ciebie, gdybyś był mój?

Odsunął się, obejmując obiema dłońmi szyję Maggie i pieszcząc końcami palców kąciki ust.

Wpatrywał się w jej oczy.

- Przeniosłem się do mamy, więc wszystko jest w zawieszeniu.

- A co na to twoja matka?

- Mama? Ona jest solą ziemi. Uściskała mnie i powiedziała, żebym został, jak długo chcę.

Przytuliła się do niego ponownie.

- Jaki jesteś szczęśliwy. Tęsknię za matką, z którą mogłabym być szczerą.

W każdy wtorek po południu Vera Pearson ochotniczo spędzała czas w domu starców w Bayside, gdzie akompaniowała na pianinie pensjonariuszom, śpiewającym stare pieśni ludowe. Jej matka była gorliwą chrześcijanką i wszczepiła Verze wiarę w dobroczynność, uprawianą zarówno w domu, jak i poza nim. Tak więc we wtorki grywała na

pianinie w Bayside, w soboty przystrajała kwiatami ołtarz kościoła komunalnego; na wiosnę pomagała w kościelnej wyprzedaży na cele dobroczynne, jesienią w kiermaszu wypieków; brała udział w stałych zebraniach kółka kościelnego, towarzystwa ogrodniczego oraz przyjaciół biblioteki. Jeśli przy którejś z tych okazji usłyszała jakąś plotkę, która nie ukazała się w miejscowej gazecie, uważała za swój święty obowiązek rozpowszechniać ją dalej.

W ten właśnie wtorek Vera szepnęła jednej z pielęgniarek, że średnia córka Jenningsów, jeszcze uczennica, jest w ciąży.

- Nic dziwnego - dodała. - Jaka matka, taka córka.

Po śpiewach zawsze była herbatka. Tym razem podano kawę, tak dziś wspomniała, że Vera wypila jeden kubek do czekoladowego ciasteczka, jeszcze dwa z kawałkiem ciasta pomarańczowego i jeszcze jeden z kokosowymi herbatnikami.

W toalecie, zasłonięta ruchomą przegrodą, zmagala się z ochraniaczami na botkach, gdy weszły rozmawiając dwie kobiety. Sharon Glasgow - jedna z pielęgniarek w Bayside - mówiła:

- Vera Pearson może sobie opowiadać plotki. Jej własna córka ma romans z Erykiem Seversonem. Słyszałaś, że odszedł od żony?

-Nie!

Dolna część ruchomej przegrody odchyliła się i Vera ujrzała parę białych pantofli.

- Przeniósł się do matki. .

- Żartujesz! - To była Sandra Ecklestein, dietetyczka.

- Zdaje się, że chodzili ze sobą jeszcze w szkole.

- On jest naprawdę przystojny.

- Jego żona też. Widziałaś ją kiedy? - Rozległ się szum spuszczonej wody, ale Vera tkwiła w miejscu nieruchomo jak zepsuty zegar. Przegroda drgnęła i białe pantofle odeszły. Pojawiła się druga para butów. Słysząc było wodę ciekącą z kranu nad umywalką i szum suszarki do rąk. Wszystko to się powtórzyło, ale obie kobiety rozmawiały

już o innych sprawach. Vera stała jeszcze długo w swoim kącie, bojąc się wyjść, dopóki nie upewniła się, że kobiety odeszły w inną stronę budynku.

„Gdzie popełniłam błąd? - zapytywała się w myślach Vera. - Byłam najlepszą matką, jak potrafiłam. Posyłałam ją do kościoła, sama dałam dobry przykład, pozostając z jednym mężczyzną przez całe życie, zapewniłam jej czysty dom, dobre jedzenie, byłam zawsze na miejscu. Kazałam jej wracać do domu o stałej porze, opowiadać się i nigdzie nie włączyć. Ale ledwo wróciła do miasta, już pognęła na spotkanie z nim. Ostrzegałam ją, że tak będzie. Może nie?”

Vera nie prowadziła samochodu. W mieście tak niewielkim jak Fish Creek nie było takiej potrzeby, ale kiedy wdrapywała się na Cottage Row, żałowała, że nie ma wozu. Gdy doszła do drzwi Maggie, była wyczerpana. Zapukała i czekała, z torebką przewieszoną przez rękę, które przyciskała do piersi. Maggie otworzyła drzwi i wykrzyknęła:

- Mamo, jaka niespodzianka! Wejdz! Vera wmaszerowała do środka prychnając.
- Daj mi płaszcz, zaraz nastawię kawę.
- Żadnej kawy. Wypiłam właśnie cztery kubki w domu starców.
- Cotygodniowe śpiewanie?
- Tak.

Maggie zaniósła płaszcz do pokoju służbowego i wróciła. Vera tymczasem opadła na krzesło; torebkę trzymała na kolanach.

- Herbaty? Coli? Coś do picia?
- Nie, nic.

Maggie zajęła krzesło po prawej stronie Very.

- Szłaś pieszo?
- Tak - Powinnaś zadzwonić, pojechałabym po ciebie.
- Możesz mnie odwieźć potem... - Vera urwała.

Jej ton ostrzegł Maggie, że szykuje się coś złego.

- Potem?

- Obawiam się, że przyszedłam w nieprzyjemnej sprawie.

- Tak?

Vera chwyciła klapę torebki obiema dłońmi.

- Widujesz się z tym chłopakiem Seversonow, prawda? Zaskoczona, Maggie nie odpowiedziała od razu. - Gdybym przyznała, że tak, czy chciałabyś o tym ze mną porozmawiać?

- Właśnie o tym rozmawiam. Całe miasto rozmawia. Mówią, że porzucił żonę i przeprowadził się do swojej matki. Czy to prawda? -Nie.

- Nie kłam, Margaret. Nie tak cię wychowałam!

- Mieszka z matką, ale odszedł od żony, bo już jej nie kocha.

- Na litość boską, Margaret, czy w ten sposób się usprawiedliwiasz?

- Nie potrzebuję usprawiedliwień.

- Masz z nim romans?

- Tak! - krzyknęła Maggie, wstając gwałtownie. - Tak, mam z nim romans! Tak, Kocham go! Tak, zamierzamy się pobrać, jak tylko uzyskam rozwód!

Vera pomyślała o paniach z towarzystwa ołtarzowego i ogrodniczego, z kółka kościelnego i z koła przyjaciół biblioteki, kobietach, które znała całe życie. Poczowała ukłucie strachu, takie jak w toalecie domu starców tego ranka. - Jak spojrzę w twarz paniom z mojego kółka kościelnego?

- Czy tylko to się dla ciebie liczy, mam?

- Od ponad pięćdziesięciu lat należę do tego kościoła, Margaret, i przez cały ten czas nie musiałam, niczego się wstydzić. A teraz to. Jesteś w mieście zaledwie od kilku miesięcy i taki skandal. To hańba!

- Jeśli nawet, to moja hańba, nie twoja, mam.

- Och, jaka jesteś pewna swego - słuchasz tylko siebie, wierzysz we wszystko, co on ci powie, jak głupia. Czy na-

prawdę myślisz, że ma zamiar rozwieść się z żoną i ożenić z tobą? Ile kobiet słyszało już to kłamstwo? Poluje na twoje pieniądze, Margaret, nie widzisz tego?

- Och, mam... - Maggie opadła na krzesło, obezwładniona rozczarowaniem. - Dlaczego nie mogłabyś, chociaż raz w życiu, okazać mi wsparcia zamiast mnie pogrążyć?

- Jeśli myślisz, że mogłabym wspierać to, co wyprawiasz...

- Nie, nie myślę. I nigdy nie myślałam, bo w ciągu całego życia nigdy nie odniosłaś się pozytywnie do niczego, co zrobiłam.

- Niczego, co było pozbawione zdrowego rozsądku. - Vera pochyliła się gwałtownie i położyła rękę na stole. - Margaret, jesteś bogatą kobietą i jeśli nie zdajesz sobie sprawy, że mężczyźni lecą na twoje pieniądze, to ja to widzę.

- Nie... - Maggie wolno pokręciła głową. - Eryk nie chce moich pieniędzy. Ale nie mam zamiaru siedzieć i bronić go czy bronić siebie, bo nie mam powodu. Jestem dorosła i chcę żyć, jak mi się podoba.

- Nie zważając w najmniejszym stopniu na uczucia twojego ojca i moje?

- Mamo, bardzo mi przykro z tego powodu, naprawdę, ale mogę tylko powtórzyć, że to moja sprawa, nie twoja czy taty. Pozwól, że będę odpowiadać za swoje uczucia, a ty za swoje.

- Tylko nie przemawiaj do mnie tym tonem pełnym wyższości: Wiesz, jak tego nie znoszę!

- Dobrze, wobec tego zapytam cię o coś, nad czym zawsze się zastanawiałam - Maggie spojrzała matce prosto w twarz.

- Czy kochasz mnie, mam?

Vera zareagowała, jakby ktoś oskarżył ją o komunizm.

- Ależ oczywiście. Co to za pytanie?

- Uczciwie. Bo nigdy mi tego nie powiedziałaś.

- Dbałam, żebyś chodziła czysto ubrana, żebyś miała wygodny dom i dobre jedzenie na stole, prawda?

- To samo robi służba. Ja potrzebowałam zrozumienia, jakichś oznak uczucia, twego uścisku, gdy wracałam do domu, kogoś, kto byłby po mojej stronie przy takiej czy innej okazji.
 - Ścisłałam cię.
 - Nie. Pozwalałaś się uścisnąć. To różnica.
 - Nie wiem, czego ode mnie chcesz, Margaret.
 - Na początek mogłabyś przestać komenderować mną i ojcem.
 - Teraz oskarżasz mnie o coś innego. Zadaniem kobiety jest odpowiednie prowadzenie domu.
 - Metodą nieustannego narzucania i krytykowania? Mamo, istnieją lepsze sposoby.
 - A więc i to robiłam źle? Twój ojciec jakoś nigdy się nie skarżył, a jesteśmy razem od czterdziestu pięciu lat...
 - Tylko że nigdy nie widziałam, żebyś go objęła, zapytała, jak spędził dzień, pomasowała mu kark. Zamiast tego, kiedy wraca do domu, wykrzykujesz: „Roy, zdejm buty, bo właśnie wyszorowałam podłogę!” A kiedy ja przyjeżdżam, pytasz: „Dlaczego nie dałaś mi znać, że chcesz przyjechać?” Kiedy Katy przyjechała na Święto Dziękczynienia, skarciłaś ją za to, że nie miała botków. Czy nie przyszło ci na myśl, że może oczekiwalibyśmy czegoś więcej? Że teraz, w tak trudnym okresie w moim życiu, kiedy miałabym ochotę się komuś zwierzyć, chciałabym, żebyś przyszła zapytać, jak się czuję, zamiast oskarżać mnie o wstyd, jaki przynoszę tobie i tacie?
 - Zaskakuje mnie, że kiedy przychodzę uświadomić ci niewłaściwość twojego postępowania, udaje ci się zarzucić mi coś, czego nigdy nie popełniłam. Mogę tylko powtórzyć, że w ciągu czterdziestu pięciu lat twój ojciec nigdy się nie skarżył.
 - Nie - powiedziała Maggie smutno. - Po prostu przeniósł się do garażu.
- Twarz Very zrobiła się purpurowa. To Roy był winien! Ani mu tego nie nakazała, ani go nie krytykowała; po pro-

stu dbała, aby był porządek. Gdyby pozostawić to Royowi, podłoga byłaby cała zaśmiecona, jadaliby o nieprawdopodobnych porach i co niedziela spóźnialiby się do kościoła. Tu zaś miała przed sobą niewdzięczne dziecko, któremu wszystko zapewniła - szyte na miarę sukienki, szkółkę niedzielną, wykształcenie w college'u - i które teraz każe jej się poprawiać i zmieniać!

-Myślałam, że wpołam ci szacunek dla rodziców, ale okazuje się, że to jeszcze jedna dziedzina, w której zawiodłam. - W porywie zranionej dumy Vera wstała z krzesła z bolesnym uśmiechem na twarzy. - Nie będę ci się już narzucała, Margaret, i dopóki nie zdecydujesz się mnie przeprosić, ty także nie narzucaj się mnie. Sama znajdę płaszcz.

- Mamo, proszę cię... Czy mogłybyśmy porozmawiać?

Vera zabrała płaszcz ze służbówki i włożyła go. Po powrocie do kuchni zajęła się rękawiczkami, nie patrząc na Maggie.

- Nie musisz mnie odwozić. Sama pójdę.

- Mamo, poczekaj.

Ale Vera wyszła, nie odzywając się słowem.

Zamykając za sobą drzwi domu córki, czuła się, jakby pękało jej serce. „Oto całe podziękowanie, jakie otrzymuje matka!” - myślała, schodząc ze wzgórza w stronę domu.

Tego wieczoru Maggie powiedziała Erykowi:

- Moja matka była tu rano. - I co mówiła?

-,Chciała wiedzieć, czy mam romans z tym „chłopakiem Seversonów”.

Złożył z trzaskiem miarę stolarską i zeskoczył z krzesła, aby ją objąć. Byli w jednej z gościnnych sypialni, gdzie pomagał jej w umocowaniu haka, żeby zawiesić duże lustro.

-Bardzo mi przykro, Maggie. Nie chciałem, żeby tak było.

- Powiedziałam jej, że to prawda. Odsunął się zaskoczony.

- Powiedziałaś jej?

- Przecież tak jest, może nie? To mój wybór. - Opuszkami palców dotknęła jego policzka tuż pod zabliznionym zadrapaniem. - Potrafię to zaakceptować, jeżeli ty także potrafisz.

-Romans... Och, Maggie-moja-dziewczynko, w co ja cię wpakowałem? I co jeszcze się wydarzy? Nie chciałem, żebyś przeżywała coś podobnego, ani ty, ani ja. Chciałem, żeby to był legalny związek.

- Dopóki tak się nie stanie, godzę się na wszystko.

- Złożyłem dziś pozew o rozwód - powiedział. - Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będziemy małżeństwem za pół roku. Ale podjąłem pewną decyzję, Maggie.

- Jaka?

- Nie będę już zostawał na noc. To zbyt łatwe i nie chcę, żeby ludzie plotkowali na twój temat.

W ciągu następnych tygodni przychodził do niej prawie codziennie. Rankami przynosił czasem świeże pączki; na kolację rybę. Czasem zmęczony zasypiał na kanapie, czasem -weselszy - jadł, śmiał się, jeździł furgonetką z opuszczonymi szybami. Przybył w dniu pęknięcia lodów, co oznaczało koniec zimy. Tego dnia miała po raz pierwszy nieoczekiwanych gości, którzy dostali jej adres z izby handlowej w Door i po prostu stanęli w drzwiach, pytając, czy ma wolny pokój. Wieczorem podniecona rozpałała w kominku w salonie, upewniła się, że nie brakuje cukierków w wazie, i wszędzie są pod ręką pisma i książki. Jej goście wrócili z obiadu w mieście i zapukali do kuchni, aby zadać parę pytań. Kiedy Maggie przedstawiła Eryka tylko imieniem, mężczyzna podał mu rękę mówiąc: „Miło pana poznać, panie Stearn”.

Eryk pomagał potem Maggie w zbudowaniu pomostu i ustawieniu nowej ławki z oparciem. Chciała ją mieć na końcu pomostu, a nie przy korcie tenisowym, który stracił wiele uroku, zamieniony na parking. Kiedy ostatni gwóźdź został wbity, usiedli razem na nowej ławce, trzymając się za ręce i patrząc na zachód słońca.

- Katy zgodziła się przyjechać i pracować u mnie przez lato - powiedziała Maggie.

- Kiedy? - zapytał.

- Szkoła kończy się w ostatnim tygodniu maja. Ich oczy spotkały się. Gładził kciukiem jej dłoń. Bez słowa położyła mu głowę na ramieniu.

Przyszedł w dniu spuszczenia „Mary Deare” na wodę. Przeplłynął pod domem i włączył syrenę, zwabiając Maggie na ganek, skąd machała do niego i uśmiechała się, tak jak to sobie często wyobrażał.

- Zejdź niżej! - zawołał.

Zbiegła po zieleniejącej wiosennej trawie, między rzędami kwitnących irysów, i weszła na pokład, aby zeglować po falach.

I jeszcze, gdy zakwitły jabłonie, przyjechał furgonetką wymytą z tej okazji z zewnątrz i w środku, ozdobioną gałęziami w pąkach, co wprowadziło Maggie w zachwyt, a potem wywołało łzy w jej oczach. Zawiózł ją do sadu w pełnym rozkwicie, pachnącego i rozbrzmiewającego ptasim śpiewem, ale tam zapadli w melancholijne milczenie, siedząc i trzymając się za ręce. Nadszedł maj, przynosząc pogodę tak ciepłą, że można było przystąpić do malowania nie ogrzewanego pomieszczenia nad garażem.

Pomógł w przygotowaniu go dla Katy i umeblowaniu sprzętami z domu w Seattle.

W połowie miesiąca zaczął się stały napływ turystów i mniej mieli chwil spędzanych razem. Wreszcie nadszedł ostatni wieczór przed przyjazdem Katy na lato.

Pożegnali się na pokładzie „Mary Deare” dziesięć po pierwszej w nocy, nie chcąc się rozstawać, otoczeni ciemnością i miękkim odgłosem fal uderzających o burtę.

- Będę tęsknił.

- Ja też będę tęskniła.

- Przypląnę, kiedy się da, po zmroku, łodzią.

- Trudno mi będzie się wyrwać.

- Wypatruj mnie koło jedenastej. Dam znak latarnią.

Ucałowali się na pożegnanie z tym samym smutkiem, jaki odczuwali przy rozstaniu, gdy wyjeżdżali do swoich college'ów.

- Kocham cię.

- Ja też.

Zrobiła krok, ale trzymała go za rękę, dopóki ich palce się nie rozplotły.

- Wyjdź za mnie - szepnął.

- Obiecuję.

Ale słowa wisiały w próżni, bo chociaż wystąpił o rozwód natychmiast po odejściu od Nancy, pisma jej adwokata brzmiały zawsze tak samo: pani Macaffee nie zgodzi się na rozwód, pragnie natomiast pojednania.

Rozdział 15

Katy zdecydowała się, że da matce szansę. Babcia napisała w liście, iż matka ma romans z żonatym mężczyzną, ale Katy postanowiła zapytać matkę wprost. Była pewna, że babcia się myli, to pewno tylko podejrzenie. Po rozmowie, jaką miały w czasie świąt, nie wyobrażała sobie, żeby matka mogła postąpić inaczej, jak tylko odrzucić możliwość widywania się ze swoim dawnym przyjacielem.

Zatrzymała się w Egg Harbor i opuściła dach samochodu. W ten gorący wiosenny dzień musiała przyznać, że cudownie było zostawić Chicago za sobą. Mieszkanie w domu nad jeziorem nie powinno być takie złe, choć nie wiedziała, czy spodoba jej się rola sprzątaczkii. Ale czy miała jakiś wybór?

Matka rozporządzała pieniędzmi i nie zaprosiła jej tu w charakterze gościa. Zaprosiła ją do pracy.

Sprzątanie. Cholera. Szorowanie garnków po obcych, zmienianie pościeli, czarne włosy przyklepione do prześcieradeł. Nie była ciągle w stanie pojąć, dlaczego jej matka chce prowadzić pensjonat.

Kobieta z milionem dolarów w banku.

Wiatr rozrzucał jej włosy i obejrzała się, czy z tylnego siedzenia czegoś nie zwieje. Potem spojrzała na drogę i krajobraz. Do licha, tu jest ładnie. Wszystko zielone, a ogrody pełne kwiatów. Chciała być w zgodzie z matką. Chciała. Ale matka tak bardzo się zmieniła od śmierci ojca. Cała ta niezależność; czasami wyglądało, jakby parła do przodu i robiła swoje, nie przejmując się uczuciami Katy. A jeśli to, co napisała babcia, jest prawdą? Co wtedy?

Fish Creek znowu było w pełni rozkwitu. Drzwi sklepów wzdłuż Main Street stały otworem, wiele bez zasłon. Tulipany kwitły przed pocztą, a w dole widać było żaglowce w miejskiej przystani.

Wzdłuż Cotton Row otwierano powoli letnie rezydencje i przy kamiennym wjeździe do jednej z nich jakiś człowiek strzygł krzewy.

Przed podjazdem matki widniał nowy napis: "Dom Hardinga. Noclegi ze śniadaniem". Koło garażu zaparkowany był lincoln Maggie obok wozu z rejestracją Minnesoty. Katy zatrzymała wóz w pobliżu, wysiadła i przeciągnęła się, a potem sięgnęła po bagaże na tylnym siedzeniu.

Była w połowie drogi po stopniach w dół, gdy pojawiła się Maggie, uśmiechnięta, wołająca:

- Witaj, kochanie!

- Hej, mammo!

- Jak to dobrze znowu cię zobaczyć!

Uściskały się i Maggie wzięła jedną walizkę. Skierowały się do garażu, rozmawiając o podróży, o zakończeniu szkoły i wiosennej pogodzie.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała Maggie, prowadząc Katy po schodach, które pięły się po zewnętrznej ścianie budynku. Otworzyła drzwi. - Pomyślałam, że będziesz chciała mieć własne mieszkanie. Katy zaskoczona obejrzała pokój.

- Nasze dawne meble... och, mammo!

- Będziesz musiała korzystać z łazienki w domu i jeść ze mną, ale przynajmniej znajdziesz tu trochę prywatności.

Katy objęła matkę.

- Och, dziękuję, bardzo mi się podoba.

Pomieszczenie nad garażem istotnie bardzo się Katy podobało, ale jej entuzjazm szybko wyparował, kiedy zetknęła się z realnością, jaką była obecność gości w domu i nieustanny ruch. Maggie zamknęła drzwi między kuchnią i hallem, żeby odgrodzić prywatną część domu. Tego popołudnia przynajmniej pięciokrotnie pukano do drzwi z róż-

nymi pytaniami. (Czy można skorzystać z telefonu? Gdzie wynająć rower? Jaką restaurację pani poleca? Gdzie kupić film, przynętę, jedzenie na piknik?)

Telefon dzwonił bez przerwy, a odgłosy kroków na górze bardzo męczyły. Późnym popołudniem pojawiła się nowa grupa gości i Maggie musiała przerwać przygotowywanie posiłku, żeby pokazać im pokoje na górze i dokonać rejestracji. W porze kolacji Katy była wyczerpana.

- Mamo, jesteś pewna, że to właśnie chcesz robić?

- A co w tym złego?

Katy wskazała na drzwi do hallu.

- Cały ten rozgardiasz. Ludzie przychodzący i wychodzący, ciągle telefony.

- To jest biznes. Tego należało się spodziewać.

- Ale po co to robisz, skoro masz dosyć pieniędzy, żeby nie pracować przez resztę życia?

- A co bym zrobiła z tą resztą życia? Jadła czekoladki? Chodziła dla rozrywki na zakupy? Katy, potrzebuję zajęcia. - A nie mogłaś kupić sklepu z pamiątkami czy kosmetykami - zająć się czymś, co by nie wymagało klientów w domu?

- Mogłam, ale nie zrobiłam tego.

- Babcia twierdzi, że to było niemądre posunięcie. Maggie spięła się.

- Och! A kiedy rozmawiałaś z babcią?

- Napisała list.

Maggie sięgnęła po sałatkę z kurczęcia. Nie odezwała się.

- Napisała też coś jeszcze, co mnie zmartwiło. Maggie oparła rękę o brzeg stołu i czekała. Katy popatrzyła prosto na nią.

- Mamo, czy nadal widzisz się z Erykiem Seversonem? Maggie wypiła łyk wody, zastanawiając się nad odpowiedzią. Odstawiła szklanekę i powiedziała:

- Od czasu do czasu.

Katy opuściła widelec i podniosła ręce w górę.

- Och, mam, nie chce mi się wierzyć!

- Katy, powiedziałam ci już...

- Wiem, mówiłaś, że bym się nie mieszała, ale czy nie rozumiesz, co robisz? On jest żonaty!

- Stara się o rozwód.

- Oczywiście, założę się, że tak właśnie opowiada.

- Katy, to niedopuszczalne!

-Dobrze, dobrze, przepraszam. - Katy trzymała ręce w górze niby regulujący ruch policjant. - Ale jestem przerażona i uważam, że to cholernie kłopotliwa sytuacja. - Zerwała się z miejsca, chwyciła talerz i trzema zamaszystymi ruchami widelca zsunęła jego zawartość do zsypu.

Maggie zapomniała o dokończeniu jedzenia. Jej rozgniewana córka przeszła do zlewozmywaka. Jak to się stało, że od ostatniej jesieni znalazły się na takiej karuzeli? Ich stosunki stały się bardzo napięte. Ledwo osiągnęły jakieś porozumienie, a już znowu ponosiły je temperamenty. Na ogół zdarzało się to, gdy dzieci były nastolatkami, ale w rodzinie Stearnów akurat ten okres przebiegł zadziwiająco spokojnie. Maggie wydawało się, że miała niezwykle szczęście w wychowywaniu Katy, ale konflikty zaczęły się właśnie teraz, kiedy obie powinny być sobie najbliższe.

- Wiesz co, Katy - powiedziała rozsądnie - jeśli tak mamy się do siebie odnosić, będzie to bardzo trudne lato. Co więcej, goście zaczną wyczuwać napięcie w domu, a należą im się naprawdę szczerze uśmiechy. Nadejdą chwile, kiedy ty ich będziesz musiała witać, więc jeśli uważasz, że nie dasz rady, powiedz mi to od razu.

- Dam radę! - burknęła Katy i wyszła z kuchni. Maggie westchnęła, oparła się łokciami o stół i zaczęła oburącz masować sobie czoło. Siedziała tak przez jakiś czas, spoglądając w talerz, z nie dokończoną sałatką z kurczęcia. Nagle wszystko się zamazało i na listek sałaty spadły łyżki.

Do licha, nie! Dlaczego ostatnio tak często ci się to zdarza? Bo tęsknisz za Erykiem i masz już dosyć tego udawania, jesteś zmęczona swoją rodziną i boisz się, że być może on nigdy nie będzie wolny!

Wciąż jeszcze siedziała z mokrymi oczyma, gdy któryś z gości zapukał do drzwi hallu. „Odejdź - powiedziała w myślach - jestem zmęczona i muszę się wypłakać”. Zmęczona - tak, ostatnio bywała tak bardzo zmęczona. Przez chwilę czuła pustkę w głowie. Potem otarła oczy rękawem, przybrała wesoły wyraz twarzy i podeszła do drzwi, by zapytać gościa, o co chodzi.

W pierwszym dniu pracy Katy stało się jasne, że utrzymanie własnej córki w dyscyplinie będzie nastęcało problemy. Jak matka, która sama usiłuje uczyć dziecko gry na fortepianie, Maggie spostrzegła, że jej polecenia nie są traktowane poważnie i wypełniane niechętnie. Słyszała stale: „Zaraz, chwileczkę”, „Chcesz powiedzieć, że mam codziennie ścierać kurz z mebli?”, „Ależ jest za gorąco, żeby sprzątać w trzech łazienkach!”

Chociaż zwlekanie Katy gniewało Maggie, nie upierała się zbyt, mając nadzieję, że zmniejszy panujące między nimi napięcie. Dopiero trzeciego dnia po przybyciu Katy otrzymała zastrzyk adrenaliny. Pakowała brudną bieliznę do worków, kiedy przed oknem z hałasem przejechała kosiarka prowadzona przez młodego człowieka bez koszuli, w czerwonych szortach i nikesach bez skarpetek.

- A to co? - wykrzyknęła Katy, biegając od okna do okna, żeby go obserwować. Maggie wyjrzała i wyjaśniła:

- To syn Brookie, Todd.

- Strzyże naszą trawę?

- Wynajęłam go do pomocy, Przychodzi dwa razy w tygodniu do cięższych prac - strzyżenie i grabienie, oczyszczanie plaży, wywóz śmieci.

Katy wychyliła się, żeby go lepiej widzieć, kiedy kosiarka wyjechała poza zasięg jej wzroku i warkot przycichł.

- No, całkiem niezły!

- To prawda.

Przez resztę ranka Katy wycierała kurze i znajdowała tysiąc powodów, aby wyjść na dwór: to wytrzepać ściereczkę i chodniki, to wynieść śmieci do pojemników przy garażu. Skończyła sprzątanie w rekordowym czasie i zbiegła na dół, zatrzymując się bez tchu obok Maggie, która siedziała przy biurku w swoim gabinecie.

- Wyszorowałam trzy łazienki, zmieniłam pościel, odkurzyłam sypialnie i salon, łącznie z parapetami. Czy jestem wolna?

Umowa między nimi polegała na tym, że Katy powinna pracować do drugiej, a następnie zmieniać się z Maggie przy przyjmowaniu gości. W ciągu pierwszych dwóch dni nie była w stanie skończyć do drugiej, ale dziś była gotowa już o dwunastej piętnaście.

- Dobrze, ale po południu będę musiała kupić jarzyny, więc wróc na trzecią.

Katy pognęła do garażu i w kilka minut potem zjawiała się w czystych białych szortach, krótkiej czerwonej rozpinanej bluzce, ze świeżym makijażem i włosami starannie związanymi wstążką. Todd opróżniał pojemniki ze ściętą trawą do czarnego plastikowego worka.

- Potrzymam ci! - zawołała, podchodząc do niego. Todd spojrział przez ramię i wyprostował się.

- O, cześć!

Ale zbudowany! Wspaniała czarna czupryna, twarz, na której widok przystawała na pewno niejedna dziewczyna. Na nagim torsie i brwiach widniały krople potu. Todd miał też białą przepaskę na czole.

- Hej! Jesteś synem Brookie.

- Tak, a ty córką Maggie.

- Mam na imię Katy. - Wyciągnęła do niego dłoń.

- A ja Todd. - Potrząsnął jej rękę swoją mocną, brudną ręką.

- Wiem. Mama mi powiedziała.

Trzymała worek, do którego wsypywał trawę. Stojąc przy nim blisko, czuła zapach olejku do opalania zmieszany ze świeżym zapachem ściętej trawy.

- Widziałem, jak wychodziłaś - powiedział, zerkając na jej odsłonięty brzuch.

- Sprzątam u matki.

- Będziesz tu całe lato?

- Tak. Ale jesienią wracam na Northwestern. Jestem na drugim roku.

- A ja we wrześniu wstępuję do lotnictwa. Dzięki. Zabrał od niej worek i przyklęknął, żeby wymienić pojemnik w kosiarce. Patrzyła z góry na jego opaleniznę, spocone ramiona, wgłębioną linię kręgosłupa i wilgotne czarne pasma włosów na karku.

- Zdaje się, że nasze matki były dobrymi koleżankami.

- Tak, przypuszczam, że słyszałaś wszystkie te historie co ja.

- Masz na myśli trzy śmieszki z klasy seniorek? Podniósł głowę i roześmiali się oboje. Podobało jej się, jak cała jego twarz rozjaśnia się wtedy. Wyprostował się i wytarł dłonie o szorty. Przyglądali się sobie udając, że o to chodzi, po czym zainteresowali się jeziorem.

- Chyba pozwolę ci wrócić do pracy - powiedziała z ociąganiem.

- Tak. Mam jeszcze cały jard przed sobą.

Odwróciła głowę i przechwyciła jego spojrzenie skierowane na jej brzuch. Szybko podniósł oczy i przemówili jednocześnie:

- Ja będę...

- A gdzie...

Posłał jej miły uśmiech i powiedział:

- Ty pierwsza.

- Chciałam tylko zapytać, gdzie tu się można pokreć.

- A ja, że kończę koło piątej. Jak chcesz, zabiorę cię na plażę miejską i przedstawię wszystkim. Znam każdego

w Door - poza turystami, oczywiście, to znaczy, paru z nich też znam.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Tak. Bardzo chcę.

- Po kolacji chodzimy na ogół do Klubu CC przy Main Street. Grają tam kapele, na żywo.

- Dobrze się zapowiada.

- Mogę przyjechać po ciebie koło szóstej.

- Świetnie. Do zobaczenia!

Maggie dostrzegła natychmiast zmianę w Katy. Uspokoila się; nuciła pod nosem i rozmawiała z matką, radośnie ją pożegnała, wychodząc z Toddem.

Ale o drugiej nad ranem Maggie nie słyszała Katy w łazience. A na drugi dzień musiała ją budzić zaspaną o dziesiątej. Przez trzy następne wieczory Katy wychodziła z Toddem, wstając potem coraz później, a w niedzielę zaczęła narzekać na konieczność pracy.

- To jedyny wolny dzień Todda i chcemy iść na plażę wcześniej.

- Możesz pójść, jak posprzątasz. -Ale, mamoo...

- Już dawno wszystko byś zrobiła, gdybyś wstała na czas!

W ciągu następnych dni, kiedy Katy coraz częściej widywała się z Toddem, Maggie zaczęła się oburzać, nie z powodu chłopca - Todd był miły, pracowity, pilny i uprzejmy -ale z powodu lekceważącego stosunku córki do pracy. Maggie nie chciała stawiać się w pozycji, jaką jej własna matka zajmowała w stosunku do niej w czasach, gdy była młodzieńką dziewczyną. Nie chciała zamienić się w nocnego stróża. Ale miała za złe bez troskie przekonanie Katy, że może robić z czasem, co tylko zechce.

Było też coś jeszcze, co przeszkadzało Maggie i czego się nie spodziewała. Brakowało jej prywatności. W ciągu kilku miesięcy niezależności przyzwyczała się do jedzenia - lub niejedzenia - w dowolnej porze; do tego, że znajdowała łazienkę w stanie, w jakim ją opuściła, z kosmetykami na

miejscu; do radia włączonego na program, który lubiła, i do kuchennego zlewu nie wypełnionego brudnymi szklankami. Chociaż Katy spała nad garażem, dom już nie był tylko jej, Maggie, i wielokrotnie oskarżała się o małostkowość z powodu swoich reakcji. Zdawała sobie bowiem sprawę, że wszystko to może być tylko przykrywką dla właściwego powodu niezadowolenia, jaki wiązał się z obecnością Katy: oto ona sama została zmuszona do przerywania spotkań z Erykiem.

Maggie chciała porozmawiać z kimś na temat tych skomplikowanych odczuć, ale matka się odsunęła, a odkąd w grę wchodził Todd, nie można było brać pod uwagę Brookie.

I wtedy, w osiem dni po przyjeździe Katy, zjawił się Eryk.

Maggie wybiła się z głębokiego snu i leżała w napięciu, nasłuchując. Rozbudził ją jakiś dźwięk. Śniło jej się, że jest dzieckiem i bawi się w wysokiej trawie obok budynku szkoły z żółtej cegły; nagle zabrzmiał dzwonek na lekcję i obudził ją. Leżała, wpatrując się w ciemny sufit, słuchając nocnego chóru świerszczy i żab, dopóki dźwięk nie rozległ się ponownie - słaby odgłos dzwonka, ale nie szkolnego, lecz z pokładu statku, na tyle bliski, aby być słyszalnym, i na tyle daleki, żeby się nie narzucać. Intuicja podpowiedziała jej, że to on wzywa ją dźwiękiem znajomego mosiężnego dzwonka nad kabiną „Mary Deare”. Z bijącym gwałtownie sercem zsunęła się z łóżka i pośpiesznie wyciągnęła z szafy pierwsze z brzegu szorty, naciągając je na krótką nocną koszulę. Zegar wybił jedenastą. Biegąc przez ciemny dom czuła, jak jej serce niemal wyrywa się z piersi. Niby cień przemknęła przez hall i frontowe drzwi, przez ganek i schodkami w dół, między pękami delikatnych białych kwiatów; biegła ku szerokiej czarnej płaszczyźnie jeziora, gdzie jednostajnie pracujący silnik „Mary Deare” burzył wodę i mącił odbicie księżyca; biegła z boczem... bosa... po trawie pokrytej rosą... pod czarnymi koronkami klonowych gałęzi, aż usłyszała, że maszyna staje. Potem niewielkie fale zaczęły uderzać o krawędź przystani;

gołe stopy Maggie przemierzyły deski pomostu i rozległ się stukot odbijającej łodzi.

Pojawił się jak duch w bieli, milczący i widmowy niby sama „Mary Deare”, czekając przy burcie z wyciągniętymi ramionami, w które padła w końcu - gołębica powracająca do gniazda.

- Och, ukochany, jak tęskniłam. Trzymaj mnie mocno, proszę...

- Ach, Maggie... Maggie.

Przyciskał ją do swej nagiej piersi. Stojąc z szeroko rozstawionymi nogami, w białych spodniach podwiniętych do kolan, poddawał się lekkiemu chybotaniu pokładu i całował ją, jakby było to wyzwolenie z jakiegoś ogromnego cierpienia. Nagle, bez ostrzeżenia, trysnęły łzy, jej łzy, gorące jak tropikalna ulewa.

- Maggie, co się stało? - Odchylił się, próbując unieść jej twarz, którą wtulała w jego ramiona.

- Nie wiem. To po prostu głupie.

- Nic ci nie jest?

- Nie wiem... cały dzień czułam się wyprowadzona z równowagi bez żadnego powodu. Przepraszam cię, Eryku.

- Nie, nie... w porządku. Płacz sobie. - Obejmował Maggie ostrożnie, masując jej przy tym kark.

- Ale jest mi tak głupio i masz pierś mokrą od łez. - Chuchnęła na jego wilgotną skórę i pogładziła ją rozłożonymi płasko dłońmi.

- Przecież się nie skurczy...

- Och, Eryku.., - Dopiero kiedy lekko kichnęła, zaczęła się uspokajać i oparła się wygodnie o jego biodra. - Nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje.

- Niedobry tydzień?

Kiwnęła głową potakująco, aż uderzyła go w podbródek.

- Mogę ci się wyzalić?

- Oczywiście.

Tak dobrze było wesprzeć się o niego i wyrzucić z siebie wszystko.

- Nie idzie mi z Katy - zaczęła. Opowiedziała mu o późnych powrotach Katy i o tym, jak to źle wpływa na jej pracę; o trudnościach w upilnowaniu własnej córki; o niemożności omówienia tego z Brookie; o poczuciu pułapki, w jakiej się znalazła w tej fazie macierzyńskiej opieki, którą, jak sądziła, ma już za sobą. Wyznała mu, że bywa ostatnio nadmiernie poirytowana, a także opisała ból, jaki odczuwała po zerwaniu ostatniej nici porozumienia z własną matką. Powiedziała Erykowi również, że Katy wie o ich spotkaniach i że miały na ten temat sprzeczkę.

- Dlatego potrzebowałam cię dzisiaj... tak bardzo.

- Ja też.

- Więc i ty miałeś zły tydzień?

Opowiedział jej o wielkich uroczystościach w domu Mike'a i Barb, najpierw w sobotę, kiedy cała rodzina zebrała się dla uczczenia promocji Nicholasa; a także o ostatniej nocy, kiedy to Barb urodziła dziewczynkę - z dwutygodniowym opóźnieniem, ale dużą, zdrową i nazwaną Anna po babci.

- W ciągu tygodnia jedno dziecko wysłali w świat, a drugie sprowadzili na świat - stwierdził smutno.

- A ty nie masz dziecka i to cię przygnębia? Westchnął i odrzucił od siebie tę myśl, obejmując mocniej Maggie i spoglądając w jej twarz:

- Coś jeszcze zdarzyło się w tym tygodniu.

- Powiedz mi co.

- Nancy przyszła do mnie, do domu mamy, błagając o zgodę, a dzisiaj adwokat powiedział mi, że nie zostanie dobrze przyjęte przez sąd, jeśli odmówię przynajmniej próby pogodzenia się, skoro żona o to prosi.

Z zatroskaną twarzą Maggie usiłowała spojrzeć mu w oczy.

- Nie przejmuj się - powiedział szybko. - Kocham cię. Tylko ciebie i przyrzekam, że do mej nie wrócę. Nigdy. - Pocałował ją w usta, najpierw łagodnie, potem gwałtowniej, językiem spotykając jej język. - Och, Maggie, tak cię

kocham. - W jego głosie brzmiała udreka. - Tak bardzo chcę być wolny, żeby móc cię poślubić i żebyś nie musiała znosić uwag ze strony matki i córki.

- Wiem. - Teraz jej przypadło w udziale pocieszać go, gładzić po twarzy, dotykać jego brwi. - Kiedyś tak będzie.

- Kiedyś? - powtórzył niecierpliwie. - Ale kiedy?

- Ciii... - Uspokajała go, całując jego miękkie usta, starając się, aby zapomniał, choć na chwilę. - Ja też cię kocham. Postarajmy się odnowić wspomnienia... tu... pod gwiazdami.

Księżyc rzucał ich cień na drewniany pokład - długie pasmo - kiedy przysunęli się do siebie, tworząc jedność. Otworzył usta przy jej ustach, przycisnął jej biodra do swoich, przesunął dłonie po wygięciu jej krzyża i objął pośladki, zmuszając ją, aby wsunęła się na niego. Uniosła się na palce. Miała podniesione ręce i końcami palców pieściła jego skronie, a potem nagie ramiona. Chwycił jej piersi pod luźnym podkoszulkiem, wsunął ręce pod pachy, unosząc ją w górę, ku gwiazdom, i trzymając w zawieszaniu; jego usta zamknęły się na jej prawej piersi. Przymknęła oczy, gdy szeptał:

-Przepraszam... przepraszam... jestem zbyt niecierpliwy...

Przesuwał usta, zostawiając wilgotny ślad na jej koszuli i na skórze, w najgłębszych zakątkach ciała. Odchyliła głowę i czuła drżenie jego ramion podobne w rytmie jej drżeniu, drżenie nocnego powietrza wokół nich, i myślała: „Żebym go tylko nie straciła. Żebym go jej nie oddała”.

Kiedy osuwała się wzdłuż ciała Eryka, jej dłoń wyznaczała kierunek, pieszcząc jego pierś, brzuch, zamykając się na jego członku.

- Chodźmy! - szepnął niecierpliwie, chwytając Maggie za rękę i ciągnąc ją pod daszek osłaniający od światła księżycy i odbłasków latarni, które naznaczały ich twarze fosforyzującą bledością. Zapuścił silnik i oparł się o kręcony stołek, wtulając ją między swoje uda. Patrzył na wody Gre-

en Bay, a jedna jego ręka wcisnęła się pod jej bieliznę, pieszcząc Maggie intymnie, gdy oddalali się od brzegu.

Jej dłoń gładziła go przez tkaninę spodni. Płynęli wodą naznaczoną pocałunkami gwiazd, słuchając plusku fal rozbijających się o burtę. Czowała jego ciepły zapach, dotyk jego włosów, gdy pochylał głowę na jej nagie ramię.

W odległości zaledwie dwudziestu pięciu jardów od brzegu zarzucił kotwicę. Kochali się na chłodnych deskach pokładu, w rytmie łodzi kołysanej nocnymi falami. To było spełnienie, jak zawsze, ale kryło się w nim także ziarenko smutku. Bo on nie był jej i ona nie była jego, choć ponad wszystko tego pragnęli.

Kiedy skończyli, pozostał na niej, podparty łokciami z obu stron jej głowy. Studiowała jego twarz w świetle księżyca, tyle, ile z niej widziała, i czuła, jak miłość ogarnia ją znowu z nieskończoną siłą.

- Czasem - szepnęła - tak trudno to wyrazić. Jak znaleźć odpowiednie słowa?

Dotknął jej brwi i rozrzucił kasztanowe włosy na deskach pokładu, aż utworzyły nimb wokół twarzy ukochanej. Także szukał sposobu wyrażenia uczuć, ale nie był ani poetą, ani filozofem.

- Chyba musi wystarczyć: kocham cię. To mówi wszystko.

-1 ja cię kocham.

Przenieśli to wyznanie na brzeg, na dni dalszego rozstania, potwierdzili pożegnalnym pocałunkiem, zachowali w sobie, gdy zostawiła go na końcu pomostu, obserwującego, jak ona wspina się na wzgórze. Znalazłszy się na szczycie, odwróciła głowę i pomachała mu, po czym wbiegła na frontowe schody. Z cienia doszedł ją głos. Surowy. Potępiający.

- To ty, mammo!

Maggie spojrzała w tamtą stronę:

- Katy!

- Ja też tu jestem, pani Stearn.

-Och... Todd. - Pieścili się w ciemnościach. To było oczywiste, światło nie musiało niczego potwierdzać. - Raczej późno jesteście na dworze, prawda?

Sucha odpowiedź Katy brzmiała jak wyzwanie.

- Nie tylko my!

Z dołu dobiegł odgłos silnika „Mary Deare” odpływającej od pomostu. Maggie zdała sobie sprawę, że Katy miała doskonały widok na przystań. Kiedy jej oczy przystosowały się do mroku panującego na ganku, ujrzała, jak córka wpatruje się potępiająco w jej nocną koszulę i białe stopy. Maggie poczerwieniała i obezwładniło ją poczucie winy. Pragnęła powiedzieć: „Ale ja jestem starsza i mądrzejsza, w pełni zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw postępowania, na jakie się zdecydowałam”. Wszystko to gorzko przypominało Maggie, że sama prowadzi podwójną grę zamiast świecić przykładem.

Po tej nocy myśl o tym nie dawała jej spokoju. Dawniej nie zastanawiała się specjalnie nad tego rodzaju postępowaniem. To było coś, przed czym ostrzegało się dorastające dziewczęta, ale po osiągnięciu dojrzałości Maggie uznała, że erotyczna przygoda to jej wybór i jej sprawa.

Może tak jednak nie było.

W każdym razie jeśli chodzi o rozkwitającą osiemnastoletnią córkę, która spotyka się z przystojnym i niewątpliwie bardzo męskim młodym człowiekiem, na pewno nie.

Nocne wycieczki Katy trwały nadal i Maggie budziła się często leżąc zmartwiona lub wędrując do łazienki czy błądząc po pustym domu i zastanawiając się, czy nie powinna jednak porozmawiać o tym z Brookie. Ale co by to zmieniło?

Niewyspanie zaczęło dawać się Maggie we znaki, zrobiła się ociężała, czasem grymaśna, czasem słaba. Nigdy nie była łasuchem, ale teraz zaczęła bezmyślnie podjadać, co było nerwową reakcją na stres, jak to sobie tłumaczyła. Przybyło jej pięć funtów. Biustonosz okazał się za ciasny. Któregoś dnia spostrzegła coś jeszcze dziwniejszego: pantofle przestały pasować.

Moje pantofle?

Stała przy łóżku, patrząc na swoje stopy, które przypominały przerośnięte ziemniaki. *Nie widzę swoich kostek!*

Coś było nie tak. Bardzo wyraźnie nie tak. Podsumowała wszystkie objawy: coś nie tak z odwodnieniem, zmęczenie, skłonność do irytacji, bolące piersi, przybieranie na wadze. To menopauza, wszystkie objawy się zgadzają. Zamówiła wizytę u ginekologa w Sturgeon Bay. Doktor David Macklin mądrze zarządził, aby sufit w jego pokoju przyjęć wymalowano w motywy kwiatne. Leżąc na plecach, Maggie usiłowała rozpoznać kwiaty. Znała tulipany, fiołki i róże. Czy te białe to kwiaty wiśni? Pasowało to do Door County. Rozproszone światło, padające na sufit od jasnowawych ścian, tworzyło uspokajający klimat, który dobrze wpływał na pacjentkę. Dr Macklin skończył badanie i podał Maggie pomocną dłoń.

- W porządku, może pani usiąść.

Oparła się o fotel ginekologiczny, patrząc, jak lekarz przesuwa się na swoim krześle na kółkach do pulpitu i zaczyna pisać. Był to mężczyzna po trzydziestce, przedwcześnie łysiejący, ale z ogromnymi, gęstymi wąsami, jakby chciały wynagrodzić tamto skąpstwo natury. Brwi miał także gęste i ciemne, wygięte niby nawiasy nad przyjaznymi niebieskimi oczyma. Spojrzał na nią i zapytał:

- Jak dawno temu miała pani okres?

- Po raz ostatni, taki prawdziwy - chyba kiedy umarł Phillip, prawie dwa lata temu.

- Co pani rozumie przez „prawdziwy okres”?

- Taki jak normalnie. Regularny, pełne cztery dni.

- A po śmierci męża to się nagle urwało?

- Tak, kiedy zaczęłam odczuwać uderzenia krwi do głowy, o których panu mówiłam. Miewałam pozorne okresy, ale to nic nie znaczyło.

- A czy ostatnio odczuwała pani te uderzenia?

Zastanowiła się przed odpowiedzią:

- Nie, ostatnio nie.
 - A nocne poty, coś w tym rodzaju?
 - Nie.
 - Ale piersi ma pani wrażliwe? -Tak.
 - Od jak dawna?
 - Nie wiem. Może od paru miesięcy. Naprawdę nie pamiętam.
 - Czy często wstaje pani nocą, aby oddać mocz?
 - Dwa lub trzy razy.
 - Czy to u pani normalne?
 - Nie, chyba nie, ale mieszka ze mną córka, która często późno wraca. Nie śpię dobrze, dopóki jej nie ma. - A jak pani nastrój ostatnio? Bywa pani poirytowana, przygnębiona?
 - Dość dużo spieramy się z córką. To wspólne mieszkanie stwarza sytuację raczej napiętą.
- Doktor Macklin oparł łokieć o pulpit i rozsiadł się wygodnie.
- No cóż, pani Stearn - powiedział. - Obawiam się, że nie są to objawy menopauzy, jak pani sądziła. W gruncie rzeczy to coś zupełnie przeciwnego. Wedle moich przypuszczeń jest pani od czterech i pół miesiąca w ciąży. Gdyby David Macklin wyjął dziesięciofuntowy młotek i uderzył ją w głowę, Maggie nie byłaby bardziej zdziwiona. Przez chwilę siedziała oszołomiona. Kiedy powróciła jej zdolność mowy, powiedziała z niedowierzaniem:
 - Ależ to niemożliwe!
 - Chce pani powiedzieć, że w ciągu ostatnich pięciu miesięcy nie miała pani stosunków seksualnych?
 - Nie. Tak, miałam, ale...
 - Stosowała pani jakieś środki zapobiegawcze?
 - Nie, bo nie sądziłam, że to będzie potrzebne. To znaczy... - Zaśmiała się krótkim, pełnym napięcia śmiechem domagającym się zrozumienia. - W przyszłym miesiącu

skończę czterdzieści jeden lat. Oznaki klimakterium zaczęły się już przed dwoma laty, więc... więc myślałam, że już nie muszę się martwić o te sprawy.

- Może zaskoczy to panią, ale co najmniej dziesięć procent pacjentek dzisiaj to kobiety czterdziestoletnie; wiele z nich źle ocenia objawy menopauzy. Może trochę pomoże, jeśli wyjaśnię pokrótce, jak się to zaczyna. Menopauzę powoduje osłabione wytwarzanie przez organizm żeńskiego hormonu, estrogenu. Ale system reprodukcyjny nie przestaje tak natychmiast funkcjonować. W pewnych wypadkach trwa to całe lata, powodując zmiany z miesiąca na miesiąc. W niektórych miesiącach jajniki funkcjonują normalnie i organizm wytwarza dość estrogenów, aby wywołać normalny period. Kiedy indziej jajniki nie wytwarzają dostatecznej ilości hormonów i nie dochodzi do owulacji. W pani wypadku niewątpliwie w miesiącu, w którym miała pani stosunek seksualny, system wyprodukował dostateczną ilość estrogenu, aby spowodować owulację, i dlatego jest pani tutaj.

-Ale... ale co z uderzeniami? Powiedziałam panu, że zgłosiłam się nawet na pogotowie myśląc, że to zawał, i dopiero pielęgniarka i lekarz rozpoznali objawy. Więc jak to należy rozumieć?

- Pani Stearn, musi pani zrozumieć, że takie uderzenia mogą być wywoływane przez inne przyczyny niż menopauza. Pani mąż zmarł śmiercią tragiczną i przedwczesną. Przypuszczam, że nachodzili panią dziennikarze, że miała pani do czynienia z adwokatami, że musiała pani pocieszać córkę i załatwiać formalności. Była pani w ogromnym stresie, prawda?

Maggie skinęła głową, zbyt zmartwiona, żeby zaufać głosowi, czując łzy dławiące w gardle.

- Stres jest jednym z czynników wywołujących uderzenia krwi i tak widocznie było wtedy. Ponieważ była pani w wieku, w którym można oczekiwać początków menopauzy, tak zinterpretowała pani objawy. To zupełnie rozumiała omyłka i, jak powiedziałem, całkiem zwyczajna.

- Ale ja... - Przełknęła ślinę. - Jest pan pewien? Czy to nie może być pomyłka?

- Obawiam się, że nie. Stwierdzam wszystkie symptomy - szyjka maciczna nieco zaczerwieniona, zewnętrzne narządy rodne obrzmiałe, piersi powiększone i wrażliwe, żyły bardzo ubarwione, bywa pani zmęczona, często oddaje mocz, przybiera pani na wadze i ma zapewne mnóstwo innych dolegliwości - kurcze, zgagę, obstrukcje, bóle krzyża, może napady złego humoru i nieoczekiwaną skłonność do łez. Mam rację?

Maggie przypomniała sobie wieczną irytację z powodu Katy, za małe biustonosze i pantofle, nocne wędrówki do łazienki i ten wieczór na „Mary Deare”, kiedy wybuchnęła płaczem bez powodu.

Przygnębiona skinęła głową, potem opuściła oczy, wstydząc się, że zaczęła płakać.

Doktor Macklin przysunął się na swoim krześle, pełen współczucia.

-Rozumiem z tych oznak przygnębienia, że jest pani niezamężna. -Tak.

- No tak... to zawsze trochę komplikuje sprawy.

- I prowadzę pensjonat. - Podniosła błyszczące brązowe oczy i rozłożyła błagalnie ręce. - Jak zdołam to pogodzić z posiadaniem dziecka, do którego trzeba wstawać w nocy, żeby je nakarmić?

Opuściła głowę i otarła łzy wierzchem dłoni. Macklin podał jej trzy papierowe chusteczki, po czym odsunął się z krzesłem czekając, aż Maggie weźmie się w garść. Kiedy się uspokoiła, powiedział:

- Zdaje sobie pani sprawę, oczywiście, że w tej sytuacji aborcja nie byłaby ani bezpieczna, ani legalna.

Podniosła udreżone oczy.

- Tak, zdaje sobie sprawę, w żadnym wypadku bym tego nie brała pod uwagę.

Przytaknął jej i zapytał:

- A ojciec dziecka - małżeństwo nie wchodzi w rachubę?

Napotkała spojrzenie jego miłych, niebieskich oczu, otarła łzy i położyła ręce na kolanach.

- Są pewne komplikacje.

- Rozumiem. Radziłbym jednak pani powiedzieć mu o tym możliwie szybko. Dziś, w czasach przestrzegania praw człowieka, ojciec powinien wiedzieć o przyszłym dziecku i mieć czas na to, by zająć się stworzeniem mu odpowiednich warunków, gdy przyjdzie na świat. Razem z matką.

- Oczywiście, powiem mu.

- A pani córka - w jakim jest wieku?

- Osiemnaście lat. - Na myśl o Katy Maggie podniosła rękę do twarzy. - Cóż za ironia losu! Nie sypiam, martwiąc się o nią i zastanawiając się, czy nie powinniśmy porozmawiać o środkach zapobiegania ciąży. Och, Katy będzie wstrząśnięta!

Dr Macklin wstał i położył Maggie dłoń na ramieniu.

- Niech pani sobie zostawi trochę czasu, przyzwyczai się, zanim powie córce. To pani dziecko, pani życie, pani szczęście, o które należy się przede wszystkim troszczyć. Z całą pewnością nie jest pani teraz potrzebny ciężar oskarżeń.

- Nie... tylko ja... - Maggie poczuła, że traci wątek. Sytuacja, w jakiej się znalazła, była zbyt skomplikowana. Ogarniały ją kolejno smutek i panika. W myślach pojawiały się z szybkością błyskawicy miliony problemów, wszystkie naraz.

Będę miała pięćdziesiąt siedem lat, zanim skończy szkołę. Wszyscy będą wiedzieli, że to dziecko Eryka, który jest ciągle żonaty.

Co powie matka?

Muszę zamknąć pensjonat.

Nie chcę tej odpowiedzialności!

Doktor Macklin mówił, pouczając ją o konieczności wyeliminowania wszelkiego alkoholu i leków uspokajających, pytając, czy pali, wręczając pigułki, radząc, żeby ograniczyła spożywanie soli, zwiększyła - świeżych jarzyn, odpoczy-

wała systematycznie z nogami w górze, odbywała niezbyt forsowne spacerzy, i wyznaczając jej datę następnej wizyty.

Słyszała jego głos spoza zasłony myśli, które przebiegały lawinowo przez jej głowę. Odpowiadała z roztargnieniem: tak, nie, w porządku, zrobię tak.

Po wyjściu z kliniki miała wrażenie, że traci poczucie miejsca, jakby była kimś innym, kimś unoszącym się nad tą kobietą, której echo kroków rozlegało się na chodniku, niby anioł stróż. Ta kobieta właśnie się dowiedziała, że nosi w sobie nieślubne dziecko i jest narażona na wszelkie komplikacje wynikające z tej sytuacji.

Oddzielona od siebie mogła przestać się martwić. Mogła wiedzieć i patrzeć, ale nie mieszać się bezpośrednio, zdystansowana dzięki obojętności osoby, która tylko obserwuje.

Na chwilę ten stan uwolnienia od emocji, które odczuwała w gabinecie doktora, wprowadził ją niemal w euforię. Trwało to jednak tylko dopóty, dopóki nie minęła dwóch spoconych chłopców o rozwichrzonych czuprynach, liżących lody i pędzących na deskorolkach zę słońca w cień miejskiego przejścia, i dopóki nie poczuła szczególnego zapachu, bijącego z otwartych drzwi składu aptecznego i przyległej pralni.

Na parkingu zatrzymała się przy samochodzie czując, jak upał bucha z nagrzanego karoserii, zanim włożyła kluczyk do zamka. W środku ogarnęła ją fala gorąca. Kierownica wydawała jej się tłusta od oleju, a skóra siedzenia paliła przez sukienkę.

Włączyła silnik i regulator temperatury, ale pierwszy podmuch gorąca sprawił, że poczuła mdłości. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma, jakby spadła na nie jakaś zasłona. To odczucie przywołało z całą siłą straszną prawdę: *To ty jesteś w ciąży! Ty jesteś tą lekkomyślną kobietą, która dostrzegała tylko te objawy, jakie chciała! To ty powinnaś była stosować środki, ale tego nie robiłaś, ty wybrałaś przygodę z żonatym mężczyzną! To ty będziesz chodziła na szkolne wy-*

wiadówki po czterdziestce i spędzała bezsenne noce po pięćdziesiątce w oczekiwaniu na powrót do domu z pierwszej randki swego nastoletniego dziecka. I to ty będziesz znosiła pogardę kobiet z małego miasteczka, takich jak twoja matka, przez całe lata.

Chłodne powietrze zaczęło napływać z wentylatorów, kiedy oparła głowę o rozgrzaną kierownicę, a z oczu popłynęły gorące łzy.

Cztery i pół miesiąca.

Cztery i pół - i nigdy nawet przez chwilę tego nie podejrzewała, ona, nauczycielka przedmiotu „życie w rodzinie”, która całe lata uczyła o środkach antykoncepcyjnych tylko po to, aby sama zaniedbać ich stosowania. *Jaka byłam głupia! Więc co zrobisz, Maggie? Powiem Erykowi.*

Myślisz, że zdoła uzyskać rozwód i ożenić się z tobą przed urodzeniem dziecka? Nie wiem... nie wiem.

W przypiływie nadziei, że może tak się stanie, ruszyła w stronę domu.

Rozdział 16

aggie nigdy nie dzwoniła do Eryka, w każdym razie od ostatniego lata, gdy była w depresji i na nowo nawiązała dawne znajomości z namowy doktora Feldsteina. Kiedy tego popołudnia wystukiwała numer, czuła się wystawiona na widok publiczny i obolała. Stało się to, czego się obawiała: słuchawkę podniosła Anna.

- Czarter Seversona - zabrzmiał jej szorstki głos.
- Cześć, Anno. Mówi Maggie Stearn.
- Kto?
- Maggie Pearson.
- Och, Maggie Pearson. A niech mnie!
- Jak się miewasz?
- Znakomicie. Jak wiesz, mam kolejną wnuczkę.
- Słyszałam. Gratulacje.
- A wnuk właśnie skończył szkołę. –Syn Mike'a?
- Tak. A własnego syna mam w domu.
- Tak. O tym też słyszałam.
- Ale połowy są dobre, interes się kręci. Powinnaś kiedyś tego spróbować.
- Chciałabym, ale nie mam zbyt wiele wolnego czasu, odkąd otworzyłam pensjonat.
- Słyszę, że też ci dobrze idzie, prawda?
- Tak, mam prawie codziennie gości.
- No to świetnie. Jeżeli będziesz o nich dbała, wrócą. Wiem to z własnej praktyki.

Zapadło milczenie i Maggie nie potrafiła inaczej go przerwać, jak tylko zapytać wprost:

- Anno, czy jest Eryk?

- Nie. Wypłynął z klientami. Chciałaś coś od niego?

- Możesz go poprosić, żeby do mnie zadzwonił jak wróci?

-Och... - Po chwili zaskoczenia Anna powiedziała: -Oczywiście, oczywiście. Zrobię to. Spodziewam się go koło szóstej.

- Dziękuję, Anno.

- Tak, no to do widzenia.

- Do widzenia.

Kiedy Maggie odłożyła słuchawkę, miała spocone ręce.

Kiedy zrobiła to samo Anna, usłyszała w głowie dzwonek alarmowy.

Eryk wprowadził „Mary Deare” do przystani o szóstej pięć. Anna patrzyła z okna biura, jak żartuje z klientami, prowadzi ich do oczyszczalni ryb, podziwia ich zdobycze i zawiesza siedem łososi na „tablicy chwały” do fotografii. O wpół do siódmej wpadł do biura, wołając:

- Jest coś do jedzenia, mamó?

-Tak. Zrobiłam ci kanapkę z rostbefem, a w lodówce jest mrożona herbata.

Poklepał ją po siedzeniu, kiedy wymijał kontuar. - Dzięki, mamó.

- Aha, Maggie Pearson telefonowała. Chce, żebyś do niej zadzwonił.

Zatrzymał się raptownie, jakby wpadł na niewidzialną ścianę, i odwrócił się, nagle spięty.

- Kiedy? - Chyba koło czwartej.

- Dlaczego nie dałaś mi znać przez radio?

- A po co? I tak nie mógłbyś do niej stamtąd zadzwonić.

Obił się o futrynę i wybiegł, niecierpliwy w każdym ruchu. Kiedy powracający rybacy przyszli po papierosy i fryt-

ki, słyszała, jak telefonuje z kuchni, chociaż nie dochodziły do niej słowa.

Kilka minut później w pośpiechu wpadł do biura.

- Hej, mam, czy mam rejs o siódmej?

- Tak - odpowiedziała, sprawdzając na tablicy. - Cztery osoby.

- A Mike?

- Mike? Nie, jest wolny.

- Kiedy tu będzie?

- Za kwadrans albo coś koło tego.

- Zadzwoń do niego i poproś, żeby wziął mój rejs o siódmej.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale co masz ważniejszego od klientów?

- Muszę jechać do miasta - odpowiedział niejasno, śpiesząc już do kuchni. Chwilę potem usłyszała szum w starych rurach, bo napełniał sobie wannę. Kiedy w piętnaście minut później przechodził przez biuro, był uczesany i ogolony, pachniał odurzająco i ubrany był w białe dżinsy i czerwoną koszulkę polo.

- Złapałaś Mike'a? -Tak.

- Co powiedział? - Że popłynie.

- Dzięki, mam. Jemu też podziękuj.

Trzasnął frontowymi drzwiami, pobiegł w podskokach do samochodu i ruszył, zostawiając za sobą ogon kurzu, podczas gdy Anna obserwowała go z uniesionymi sceptycznie brwiami.

„A więc stąd wiatr wieje” - pomyślała.

Maggie powiedziała, że chce się z nim spotkać w małym kościele baptystów za miastem, na wschód od Sister Bay. Cały krajobraz Door County pełen był takich kościółków, białych i drewnianych - z wysokimi dachami, dzwonnicy, z czterema łukowymi oknami po każdej stronie, parą sosen pochylającą się niby troskliwi pomocnicy oraz przyległym

niewielkim cmentarzem drzemiącym w spokoju pośród krzewów. W niedzielne popołudnia okna były otwarte i dochodziły z nich głosy śpiewu wiernych. Ale dziś był czwartek, żadnych nabożeństw, żadnego samochodu przed kościołem, poza jej wozem. Okna były zamknięte, a zamiast modlitwy rozbrzmiewało smętne gruchanie gołębi siedzących na żerdzi pobliskiego ogrodzenia.

Przykucnęła przed jednym z grobów, kiedy zajeżdżał. Zobaczyła, jak otwiera drzwiczki, po czym wróciła do swojej pracy. Zatrzymał się, aby ją podziwiać, w jasnozielonej sukni, oświetloną jaskrawym światłem zachodzącego słońca, jak podlewa kępę purpurowych kwiatów wodą z pudełka po butach i podnosi się, aby przejść między omszałymi starymi nagrobkami do żelaznej pompy, napełnić pudełko wodą i przenieść je ostrożnie na miejsce. Znowu uklękła, podlewając kwiaty, a gołębie ciągnęły swoje żałobne gruchanie, dzień odchodził i zapach dzikiej koniczyny narastał w gęstniejącej wilgoci.

Szedł bez pośpiechu po żwirze emanującym jeszcze upałem dnia ku aksamitnej trawie, która zapowiadała już chłód nocy, szukając drogi do niej wśród zmarłych ze Starego Świata, których nazwiska z trudem dawało się odczytać z zatartych tablic.

Stanął przy niej w smudze cienia i dotknął czubka jej głowy.

- Co robisz, Maggie? - zapytał niskim głosem, który pasował tonacją do gruchania gołębi. Klęcząc spojrzała przez ramię:

-Podlewam te biedne więdnące floksy. Nie miałam w czym nosić wody.

Odsunęła kartonowe pudełko i pochyliła się, aby powyrywać chwasty rosnące między kępami purpurowych kwiatów.

- Po co? - zapytał.

- Po prostu... - Głos jej się załamał, zdławiony emocją. -Po prostu... potrzebowałam tego.

Jak szybko jej niepokój udzielał się także jemu. Zdławiony głos Maggie sprawił, że poczuł ucisk w piersi, kiedy przysiadł obok niej. Łagodnie ujął ją za łokieć zmuszając, aby spojrzała na niego.

- O co chodzi, Maggie-moja-dziewczynko?

Oparła mu się - nie podniosła głowy i odsunęła się, jakby chciała opóźnić wypowiedzenie ciężących jej słów.

- Jak myślisz, kto te kwiaty posadził? Jak dawno temu? Ile lat kwitną bez opieki? Okopałabym je, gdybym miała czym, i usunęła trawę, która... która je dławi.

Ale to ona zdawała się dławić.

- Maggie, co się stało?

- Czy masz w furgonetce jakieś narzędzia? Zaskoczony jej zdenerwowaniem i niechęcią do mówienia, nie sprzeciwił się:

- Zaraz zobaczę.

W kolanach mu chrupnęło, kiedy się podnosił. Poszedł do samochodu. Po chwili wrócił ze śrubokrętem i podał go jej, przykucając obok i obserwując, jak stara się zruszyć skamieniałą ziemię i rozerwać splątane korzenie. Czekał cierpliwie, aż skończyła tę dość bezcelową robotę, a potem położył dłoń na jej palcach zaciśniętych wokół uchwytu narzędzia.

- Maggie, o co chodzi? - zapytał prawie szeptem. - Czy powiesz mi teraz?

Odchyliła się, opierając ręce na biodrach, i skierowała smutne brązowe oczy prosto na niego.

- Będę miała twoje dziecko.

Szok odbił się skurczem na jego twarzy, uderzył go niczym kopniak w pierś, sprawił, że opadł do tyłu na pięty.

- O Boże! - szepnął pobladły. Spojrzał na jej brzuch, a potem na jej twarz. - Jesteś pewna?

- Tak, jestem. Byłam dziś u lekarza. Przełknął ślinę. Jego grdyka podskoczyła.

- Kiedy?

- To już cztery i pół miesiąca.

- Już tak długo? Potwierdziła ruchem głowy.
- Tak długo, że już nie może być pomyłki? I nie ma dużej obawy, że mogłabyś je stracić?
- Nie - spróbowała szepnąć, ale nie wydobyła głosu. Uśmiech ekstatycznej radości rozjaśnił mu twarz.
- Maggie, to cudowne! - wykrzyknął, obejmując ją mocno. - To niebywałe! - Krzyknął w stronę nieba:
- Słyszeliście! Będziemy mieli dziecko! Maggie i ja będziemy mieli dziecko! Uściśnij mnie, Maggie, uściśnij!

Niewiele mogła zrobić, bo oplatał ją ramionami z całej siły. Ledwo wydobyła głos ze zduszonej jego ramieniem krtani:

- Mam brudne ręce, a ty zwariowałeś.
- Nie szkodzi, uściśnij mnie!

Klęcząc na trawie objęła go brudnymi rękami, przyciskając mu do pleców śrubokręt i chwasty, brudząc jego czerwoną koszulkę.

- Eryku, jesteś żonaty z kobietą, która odmawia rozwodu, a ja ... - my mamy po czterdzieści lat. To nie jest wcale cudowne, to okropne. I wszyscy w mieście będą wiedzieli, że to twoje dziecko!

Trzymał ją za ramiona obiema rękami.

- Pewno że będą, bo im o tym powiem. Dość już zdzierania zelówek w sprawie rozwodu. Odrzucam tamto wszystko jak starą koszulę! Co ma do tego czterdziestka? Jezus, Maggie, pragnąłem dziecka od lat i straciłem już wszelką nadzieję. Jak możesz nie być szczęśliwa?
- To ja jestem niezamężna, pamiętaj.
- Już niedługo. - Z rozjaśnioną twarzą potrząsał jej rękę.
- Maggie, czy wyjdiesz za mnie? Dasz mi dziecko? Załatwimy wszystko, jak tylko będzie to prawnie możliwe.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, stał już na nogach, podniecony, z zielonymi plamami na kolanach białych spodni. -Boże, zostało tylko cztery i pół miesiąca! Musimy

wszystko zaplanować, przygotować pokój dziecienny. Powinniśmy kupić meble... No i ta metoda, Mazdy czy jak on się tam nazywa?

- Lamaze.

- Ach, tak, Lamaze! Poczekaj, niech no powiem mamie. I Mike'owi. Kobieto, ależ będzie zaskoczony! Maggie, czy myślisz, że jeszcze zdążymy mieć drugie dziecko? Dzieci powinny mieć braci i siostry, po jednym z...

- Eryku, przestań! - Wstała i dotknęła go, uspokajającym gestem zdrowego rozsądku. - Posłuchaj.

- Co? - Znieruchomiały nagle jak kamienne nagrobki wokół, spojrzął na nią niewinnym wzrokiem, z twarzą jaśniejącą podnieceniem, różowozłocistą niby zachodnie niebo.

- Najdroższy, zapominasz, że nie jestem twoją żoną. Ten przywilej - przypomniała mu - należy do innej. Nie możesz... nie możesz po prostu pójść do miasta, wołając „Alleluja!”, jak gdybyśmy byli małżeństwem. To byłoby kłopotliwe dla Nancy, nie rozumiesz? I tak samo dla naszych rodziców. Muszę też myśleć o córce i jej przyjaciółkach. Rozumiem, że jesteś szczęśliwy, ale ja mam zastrzeżenia. Otrzeźwiał raptownie, jakby na jego oczach zdarzył się jakiś fatalny wypadek, ostudzający całą radość.

- Nie chodzi o to?

Jak sprawić, żeby zrozumiał?

- Nie chodzi o to, czy chcę, czy nie chcę. Ono jest tutaj - przycisnęła rękę do brzucha - i już w połowie swej drogi, to jest znacznie dalej niż twój rozwód. Oznacza to ogromną zmianę w moim życiu, zapewne koniec przedsięwzięcia, o które tak bardzo zabiegałam. To ja sama będę nosiła odtąd dziecko, dopóki ty nie staniesz się wolny. To ja będę odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami na ulicy, to mnie będzie się nazywać rozbijaczką rodziny. Potrzeba mi trochę czasu, żeby dostosować się do tej sytuacji, powinieneś to zrozumieć, Eryku.

Stał bez ruchu, uświadamiając sobie treść tego, co powiedziała, a gołębie gruchały żałośnie nad ich głowami.

- Nie chcesz go - powtórzył rozbity.
- Nie w atmosferze radosnego zamieszania, które wprowadzasz. To trochę potrwa. Jego twarz stężała, kiedy oskarżycielsko wyciągnął w jej stronę palec.
- Jeśli zrobisz cokolwiek, żeby się go pozbyć, to zabijesz także mnie, rozumiesz?
- Och, Eryku! - westchnęła z rezygnacją - Jak mogłeś pomyśleć coś takiego?

Odwrócił się i podszedł do drzewa klonowego, wpatrując się w gładką, szarą powierzchnię pnia. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem uderzył w drzewo otwartą dłońią. Oparł się o samochód, pochylając głowę.

Wspaniałe letnie słońce wciąż jaśniało na niebie. Nad śladami pozostawionymi na pniu drzewa przez pazury jakiegoś zwierzątka zielona muchołówka powtarzała swój sygnał: fii-bi, fii-bi. Przy najbliższym nagrobku floksy kołysały się i ocierały o granit, podczas gdy pająki i żuczki śpieszyły gdzieś wśród traw, a małe zielone robaczki połyskiwały na liściach niby szklane kulki w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Życie rozkwitało wokół, nawet na cmentarzu, który oznaczał przecież kres życia, nawet w kobiecie, w której sercu ciężar wydawał się nie na miejscu wśród wspaniałości lata.

Obserwowała mężczyznę, którego kochała - zgarbione plecy, ściśnięte ramiona, pochylona głowa. Jak nieszczęśliwie wyglądał, tryumfujący w jednej minucie i stracony na dno rozpacz w następnej! Podeszła do niego i położyła dłonie na jego plecach.

- Poczęcie było dziełem miłości - powiedziała cicho - a ja cię kocham i będę kochała. Ale przyjście dziecka na świat poza małżeństwem nie jest tym, na co ono zasługuje. To z tego powodu czuję się nieszczęśliwa. Jestem przekonana, że Nancy będzie się dostatecznie mocno opierała, żebyśmy nie mogli się pobrać jeszcze długo po urodzeniu dziecka.

Podniósł głowę i powiedział w stronę drzewa:

- Porozmawiam z nią w ten weekend i powiem, że pojednanie nie wchodzi w rachubę. Porozmawiam z adwokatem i poproszę o przyśpieszenie sprawy.

Odwrócił się do Maggie, ale nie dotknął jej, powstrzymany jakimś nowym, instynktownym zakazem. Zdał sobie sprawę, jak prozaicznie wygląda jej sytuacja, jak banalnie brzmią jego odpowiedzi: żonaty mężczyzna pocieszający kochankę obietnicą rozwodu. A przecież nigdy nie oskarżyła go o zwlekanie, nigdy nie nalegała ani nie żądała.

- Przykro mi, Maggie, powinienem dawno to zrobić.

- Tak... ale skąd mogliśmy wiedzieć? Zamyślił się:

- Jak to się właściwie stało, Maggie? Jestem tylko ciekawy.

- Myślałam, że jestem bezpieczna. Od ponad roku miałam pewne symptomy menopauzy. Ale doktor wyjaśnił mi, że nawet gdy ustają regularne miesiączki, zdarzają się okresy, w których kobieta nadal jest płodna. Kiedy powiedział, że jestem w ciąży, poczułam się... - Spojrzała uważnie na swoje ręce. - Poczulałam się taka głupia! Zająć nieoczekiwanie w ciążę w moim wieku, ja, która uczyłam antykoncepcji w Szkole Życia! Na litość boską!

Odwróciła się, pognębiona.

Spoglądał na jej plecy. Skuliła się, bladozielona suknia opięła się na jej łopatkach. Mroczna, bezwzględna prawda ujawniła się przed nim. Smutno, cicho, zapytał:

- Ty go naprawdę nie chcesz, powiedz, Maggie? Pokręciła głową, ale nie była to odpowiedź, raczej skurcz.

- Och, Eryku, gdybyśmy mieli po trzydzieści lat i byli małżeństwem, wszystko byłoby inaczej!

Dla niej było inaczej, to zaczynał rozumieć: miała rodzinę. Nie była nawet w stanie wyobrazić sobie takiej różnicy wieku między swoimi dziećmi. Raz jeszcze owładnęło nim rozczarowanie.

- Weź to - powiedziała wręczając mu śrubokręt. - Dziękuję.

Dzielił ich jakiś dystans, którego nie potrafił określić.

- Przysięgam, że porozmawiam z Nancy.

- Tylko proszę, nie mów jej o dziecku. Wolałabym, żeby jeszcze nie wiedziała.

- Nie, nie zrobię tego, ale muszę komuś powiedzieć. Pozwolisz, że to będzie Mike? Muszę mu wszystko zawsze wypaplać.

- Oczywiście, powiedz Mike'owi. Ja nie wiem, czy nie powiem wkrótce Brookie.

Uśmiechnął się niepewnie, pragnąc jej dotknąć, ale stał bez ruchu. To było niemądre. Nosila jego dziecko, na litość boską, i kochali się tak bardzo!

- Maggie, czy mogę cię objąć? Was objąć? Z cichym łkaniem, które zamarło w jej krtani, podbiegła do niego i wyzwoliła ich oboje z męczarni, wspinając się na palce i obejmując jego szyję. Przyciskał Maggie mocno i czuł, jak na nowo zaczyna bić mu serce.

- Och, Eryku, tak się boję! - wyznała.

- Nie bój się. Będziemy rodziną. Będziemy, zobaczysz -przysiągł. Zamknął mocno oczy i błędnymi dłońmi po jej ciężarnym ciele - plecach, pośladkach, piersiach. Opadł na jedno kolano i przycisnął twarz do jej brzucha. - Cześć, maleńkie - powiedział, wtulony w jej miękką zieloną suknię. - Będę cię bardzo kochał!

Jego oddech grzał jej skórę przez materiał. Jego słowa ogrzały jej serce. Ale kiedy wstał i delikatnie objął ją ramieniem, wiedziała, że to nie wystarczy. Powinna być jego żoną.

Były takie chwile, N.ancy Macafee musiała to przyznać, że Door County wydawało się niemal do przyjęcia. Teraz, latem, w końcu gorącego, trudnego tygodnia, powrót tutaj nie był tak niemiły jak w środku zimy. Było tu niewątpliwie chłodniej dzięki bryzie od wody oblewającej półwysep, po-

do bały jej się także cieniste drzewa i bogactwo kwiatów w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Ale ludzie tutaj to wieśniacy; stare kobiety ciągle chodzą do miasta w chustkach i lokówkach, a starzy mężczyźni noszą czapki odwrócone daszkami do tyłu. Połowy i zbiory owoców stanowiły główny temat pogawędek na ulicy. Sklepy spożywcze marnie zaopatrzone, a dom, w którym mieszkali, okropny.

Jak Eryk mógł lubić to stare pudełko po krakersach? Kiedy się wprowadzali - a nic innego, jak na złość, nie można było znaleźć - obiecał jej, że to tylko na jakiś czas. Czy to jej wina, że chciała czegoś lepszego? Powroty, kiedy Eryk był na miejscu, można było jeszcze znieść. Ale kiedy odszedł, z trudem je wytrzymała, adwokat jednak doradził, żeby nadal mieszkała w domu.

Po powrocie w piątkowy wieczór zaczęła kłać już przy próbie otwarcia tych cholernych drzwi garażu. Kuchnia powitała ją nieprzyjemnym, zastarzałym zapachem. Na kredensie leżał ten sam stos reklamowych ulotek, który zostawiła w poniedziałek. Nikt nie wyczyścił dywanika przy kuchennym zlewie, który poplamiała majonezem. Nikt nie piekł przepiórek i nie szykował chili. Nikt nie chciał wnieść jej walizki na górę.

Ale na stole kuchennym leżała kartka od Eryka: „Nancy, muszę z Tobą porozmawiać. Zadzwoń w sobotę”. Uśmiechnęła się i pobiegła na górę. No dobrze, nie kupił jej modnego apartamentu w Lake Point Towers z widokiem na Gold Coast i całe Chicago u stóp, ale tęskniła za nim, do licha! Chciała, żeby wrócił. Chciała, żeby ktoś otwierał jej drzwi do garażu, chciała mieć przygotowaną kolację, zadbane samochód, wystrzyżony trawnik i kawę perkoczającą w ekspresie w niedzielę rano. A kiedy położy się do łóżka, żeby był w nim ktoś, kto potwierdzi, że wciąż jest kobietą godną pożądania. Na górze rzuciła walizkę na łóżko i zdjęła różowy lniany zakiet. Chociaż pokój zalewało słońce, zapaliła światła wo-

kół lustra i zbliżyła do niego twarz, badając pory na skórze, dotykając różnych miejsc, ścierając smużkę różu z policzka, badając jędrność szyi. Znalazła małą szczoteczkę i podwinęła sobie rzęsy. Wzięła szczotkę do włosów, zdjęła bransoletkę i rzuciła między przedmioty na toaletce, po czym energicznie wyszczotkowała włosy, tak żeby ich końce wiły się na ramionach.

Odłożyła szczotkę i popatrzyła na siebie w lustrze. Ściągnęła brzoskwinioworóżową spódnicę, biustonosz i figi, pozwalając, aby opadły u jej stóp niczym płatki kwiatów u stóp Madonny.

Przeciągnęła ręką po swym płaskim brzuchu, w dół do bioder, a potem w górę, aż po stożkowate piersi, które uniosła tak, aby sutkami spoglądały w lustro.

Och, brakowało jej seksu. Byli w tym dobrzy. Ale myśl o zdeformowaniu ciała ciężą pozostała odrażająca. Niektóre kobiety są do tego stworzone, niektóre nie. Dlaczego on nie może się z tym pogodzić?

W wilgotnej, brzydkiej łazience napełniła wannę, dołała „bąbelków” i zanurzyła się z westchnieniem w wodzie. Z przymkniętymi oczami myślała o Eryku i uśmiechała się. Za długo byłoby czekać do jutra. Włoży nowy kostium od Billa Blassa, użyje perfum Passion, które najbardziej lubił - i wyjdzie mu na spotkanie, aby przekonać się, czy nie zmienił zdania.

Czekając, aż ktoś odpowie na jej pukanie, Nancy rozglądała się z niesmakiem. Jeśli było coś, czego nienawidziła bardziej od własnego domu, to właśnie to cuchnące miejsce. Ryby - Jezus, jak nie znosiła samego słowa! Z trudem przełykała filet z mahimahi, odkąd poznała zapach panujący tutaj. Jak można było w tym odorze pracować, przechodziło wprost jej pojęcie. Każdy kawałek drewna śmierdział! Anna otworzyła drzwi, wyglądając równie źle jak zawsze w okropnym podkoszulku ozdobionym napisem MARATON BABCI'88.

- Cześć, Nancy.

- Cześć, Anno - Nancy ostrożnie dotknęła policzkiem twarzy Anny. - Jak się miewasz?
- Och, wiesz... chłopcy dostarczają mi zajęć. Połowy są naprawdę dobre. A co u ciebie?
- Też jestem zajęta. I samotna.
- Tak... czasem trzeba przez to przejść. Przypuszczam, że przyszłaś zobaczyć się z Erykiem. Jest na dole, zamyka na noc oczyszczalnię.

- Dziękuję.

- Uważaj po ciemku na tych wysokich obcasach!

Nancy weszła na żwir prowadzący do doków i magazynów. Była dziesiąta. Pod drzewami panowała ciemność, ale w pobliżu oczyszczalni ryb świecił pojedynczy reflektor. Wewnątrz prymitywnego budynku słabe światło żarówki padało na betonową podłogę i surowe ściany. Zbliżając się, Nancy podniosła do nosa przegub i wdychała zapach perfum Elizabeth Taylor, Passion.

Od strony jeziora w dole dochodziło nieprzerwane rechotanie żab. Wszędzie cykały świerszcze. Owady brzęczały i uderzały o lampy. Coś wbiło się we włosy Nancy i usiłowało się gwałtownie wyplątać. Z pomieszczenia dochodziły głosy dwóch mężczyzn, podczas gdy plusk wody obmywającej betonową podłogę tłumił kroki Nancy na żwirze.

Zatrzymała się tuż przed drzwiami i słuchała.

- Nie jest specjalnie wniebowzięta. - To był Eryk.

- Nie chce go? - To Mike.

- Nie chce mieć przerwy w życiorysie.

- Możesz jej ode mnie powiedzieć, że też nie chcieliśmy, ale teraz, kiedy mamy Annę, nie oddalibyśmy jej za żadne skarby świata.

- Z Maggie jest trochę inaczej, Mike. Uważa, że nie będzie mogła prowadzić pensjonatu, mając dziecko, które się budzi i płacze w środku nocy. I chyba słusznie.

- Nie pomyślałem o tym.

- Uważa też, że jesteśmy za starzy na dziecko.

- Gównu tam, człowieku. Nie wie, że chciałeś dziecka całe życie?
- Wie i powiedziała, że będzie je kochać. To tylko szok.
- Kiedy się spodziewa?
- Jeszcze cztery i pół miesiąca.

Nancy usłyszała dosyć. Czuła się okropnie. W ciemności pałały jej policzki, a serce tłukło się gwałtownie. Woda nadal się lała, kiedy odeszła, pozostawiając głosy mężczyzn za sobą. W cieniu klonów wsunęła się do samochodu i usiadła czując, jak oczy ją pieką.

Wpędził w ciążę inną kobietę.

Zdruzgotana, przycisnęła dłonie do czoła, czując przyśpieszony puls krwi. Strach, szok i gniew. Strach przed chaosem, ruiną domu i finansów, i całego życia, które chciałyby zmienić, owszem, ale z wyboru, a nie z przymusu. Strach przed utratą mężczyzny, którego zdobyła, kiedy miała dwadzieścia lat, i strach przed niemożnością zdobycia innego, kiedy ma czterdzieści. Szok, bo to się naprawdę stało, kiedy była taka pewna, że jakoś go odzyska, że jej uroda, temperament, inteligencja, ambicja i status oficjalnej małżonki wystarczą do sprowadzenia go z powrotem, kiedy się opamięta. Gniew, ponieważ zlekceważył to wszystko i uczynił z niej pośmiewisko, zadając się z kobietą, o której wszyscy wiedzieli, że jest jego dawną flama.

Jak śmiałeś mi to zrobić! Jestem wciąż twoją żoną! Łzy napłynęły, gryzące łzy żalu na myśl o tym, co wycierpi, kiedy ludzie się dowiedzą.

Do cholery, Severson, mam nadzieję, że twoja śmierdząca łódź zatoni i zostawisz tę żdzirę z bękartem!

Łkała. Uderzyła pięściami w kierownicę. Kobieta odtracona. Która pozwoliła się ściągnąć do tego przekłętą miejsca wbrew swej woli. Która zrezygnowała z życia w mieście - a tak je kochała - aby przyjechać tutaj w roli kapitana Ahaba. Która Wyjeżdżała na pięć dni w tygodniu, zostawiając męża, aby mógł pieprzyć inną kobietę! Gdyby mieszkała w Chicago, nikt by o niczym nie wiedział, ale tu-

taj będą wiedzieć wszyscy - jego rodzina, listonosz, cała ta cholerna flota rybacka!

Kiedy łzy przestały płynąć, siedziała patrząc na mętne światło nad drzwiami, w których pojawiały się cienie mężczyzn przechodzących tam i z powrotem. Mogłaby dać Erykowi to, czego chciał, ale raczej szczerze, niż to zrobi. Dlaczego miałyby mu wszystko ułatwić? Jej duma została zdeptana, niech więc za to zapłaci.

Starannie wytarła oczy, wysiąkała nos, zapaliła światło i sprawdziła swoje odbicie w lusterku. W torebce znalazła ołówek do oczu i szybko dokonała poprawek w makijażu, a następnie zgasła lampkę. Na dole w baraku woda przestała ciec i światło zgasło. Kiedy bracia wyszli na zewnątrz, Nancy wysiadła z samochodu, trzaskając drzwiami.

- Eryku! - zawołała przyjaźnie, idąc w kierunku mężczyzn w cieniu drzew. - Cześć. Znalazłam kartkę od ciebie.

- Nancy? - Jego ton był chłodny, nieprzyjazny. - Mogłaś po prostu zadzwonić.

- Wiem, ale chciałam cię zobaczyć. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. - Jakby po namyśle rzuciła:

- Witaj, Mike.

- Cześć, Nancy. - Odwracając się powiedział: - Zobaczymy się jutro, Eryku.

- Tak. Dobranoc.

Kiedy Mike odszedł, zapadło milczenie, przerywane tylko głosami nocnych ptaków. Stojąc obok Nancy Eryk czuł się zagrożony i zniecierpliwiony.

- Daj mi minutę, umyję ręce i zaraz wrócę.

Odszedł, nie zapraszając jej do środka. Do diabła, może sobie to wreszcie powiedzieć, że nigdy nie lubiła ani jego matki, ani jej domu. Dlaczego więc miałyby być teraz taki szlachetny?

Wrócił po pięciu minutach, w czystych dżinsach i świeżej koszuli, pachnący mydłem, i podszedł szybko do niej, jakby chciał to już mieć za sobą.

- Gdzie chcesz, żebyśmy porozmawiali? - zapytał.

-Jaki szorstki! - zażartowała, chwytając go za rękę i przyciągając ją do swojej piersi.

Wycofał rękę ze zdecydowaną gwałtownością.

- Możemy porozmawiać na pokładzie „Mary Deare” albo w twoim samochodzie. Wybieraj.

- Wolałabym w naszym domu i w naszym łóżku. - Położyła dłoń na jego piersi, ale odsunął się.

- Nie jestem tym zainteresowany, Nancy. Chcę od ciebie tylko rozwodu, im prędzej, tym lepiej.

- Zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia.

- Co? - rzucił obojętnie.

- Poczujesz się szczęśliwy.

- Wątpię. Chyba że to data rozprawy.

- Czego pragnąłeś zawsze najbardziej w świecie?

- Daj spokój, Nancy, nie bawmy się w zgadywanki. Miałem ciężki dzień i jestem zmęczony.

Zaśmiała się z wysiłkiem. Znowu ujęła go za ramię wiedząc, że on tego nie chce, ale pragnąc poczuć fizycznie jego szok. Przez moment ogarnęły ją wątpliwości: to, co robi, jest karygodne. Ale to, co on zrobił - także.

- Będziemy mieli dziecko, najdroższy.

Shock Eryka przypominał porażenie prądem. Stracił oddech. Odstąpił o krok. Wpatrywał się w nią.

- Nie wierzę ci!

- Ale to prawda.- Wzruszyła ramionami z przekonującą nonszalancją. - Mniej więcej od Święta Dziękczynienia. Aha, od wieczora, kiedy posiadał ją na sofie w pokoju gościnnym.

- Nancy, jeśli kłamiesz...

- Dlaczego miałabym kłamać w takiej sprawie? Chwycił ją za przegub, pociągnął w stronę samochodu,

otworzył drzwi i wepchnął do środka, po czym wsiadł za nią, pozostawiając drzwi otwarte, tak że paliło się światelko.

- Chcę widzieć twoją twarz, kiedy to mówisz! - Chwycił

jej głowę obiema rękami i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. Ku swemu zakłopotaniu dostrzegł, że płakała, co zwiększyło jego obawy. Chciał jednak, żeby powtórzyła, chciał mieć pewność.

- Powiedz mi jeszcze raz.

- Od trzech i pół miesiąca jestem w ciąży i noszę twoje dziecko, Eryku Severson - oświadczyła ponuro.

- Więc dlaczego nic nie widać? - Puścił jej głowę i spojrzał z powątpiewaniem na brzuch.

- Zabierz mnie do domu i obejrzyj naga.

Nie chciał tego. Niech Bóg mu wybaczy, nie chciał. Jediną kobietą, z którą chciał być blisko, była Maggie.

- Dlaczego tak długo czekałaś, żeby mi to powiedzieć?

- Chciałam się upewnić, że to nie jest fałszywy alarm. W ciągu trzech pierwszych miesięcy wiele rzeczy może się zdarzyć. Potem jest już bezpieczniej. Nie chciałam za wcześnie budzić w tobie nadziei.

- Więc dlaczego jesteś taka przygnębiona? - Spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

- Z powodu kryzysu w naszym małżeństwie - odpowiedziała rozsądnie, po czym dokonała mistrzowskiego posunięcia w grze: - To ty wyglądasz na przygnębiętego i nie rozumiem dlaczego. W końcu tego właśnie chciałeś, prawda?

Oparł się o siedzenie z westchnieniem, pocierając grzbiet nosa.

- Ale, do diabła, nie teraz!

- Nie teraz? - powtórzyła. - Przecież zawsze podkreślałeś, że nie stajemy się młodszy. Myślałam, że będziesz zachwycony. Myślałam... - Wycisnęła kilka łez, aby przyspieszyć odpowiedź, której oczekiwała. Sięgnął po jej dłoń i lekko gładził ją dużym palcem.

- Przepraszam, Nancy. Pójdę zabrać rzeczy i wrócę dziś do domu, w porządku?

Postarała się, aby jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej żałośnie.

-Eryku, jeśli nie chcesz tego dziecka po wszystkich tych latach...

Uciszył ją, kładąc palec na jej ustach.

- Po prostu zaskoczyłaś mnie, to wszystko. I biorąc pod uwagę fakt, że nasz związek się rozpadł, nie sądzę, by to był najlepszy klimat dla dziecka.

- Czy naprawdę przestałeś mnie kochać, Eryku? - Było to pierwsze szczere pytanie, jakie zadała. Nagle przeraziła ją myśl o tym, że jest nie kochana, że będzie musiała od podstaw budować związek z kimś innym, aby osiągnąć stan przyjaznej bliskości. I jeszcze bardziej, że nie znajdzie nikogo, żeby tego spróbować.

Nie otrzymała odpowiedzi. Zamiast tego puścił jej dłoń i powiedział z wysiłkiem:

- Jedź do domu, Nancy. Wkrótce tam będę. Jutro porozmawiamy.

Patrząc, jak znika w ciemności, myślała: „Co ja zrobiłam? Jak go zatrzymam, kiedy dowie się prawdy?”

Idąc w stronę domu, Eryk czuł się tak jak wtedy, gdy umarł ojciec - bezradny i zrozpaczony. Więcej: jak ofiara. Dlaczego teraz, po latach prób i przekonywania?... Dlaczego teraz, kiedy już nie chciał ani jej, ani dziecka z nią?... Wydawało mu się, że zaraz zacznie płakać, więc skręcił do doku i stanął blisko „Mary Deare”. W żołądku czuł skurcz - reakcję po szoku. Pochylił się z rękami na kolanach, poddając się rozpacz, pozwalając, aby wstrząsnęła jego ciałem, żeby mógł zacząć później myśleć bez emocji. Wyprostował się. „Mary Deare” spoczywała cicho na wodzie, z masztami lekko chwiejącymi się, z linami wiążącymi ją z lądem. Odchylił się, aby spojrzeć w gwiazdy, które ojciec nauczył go rozpoznawać, przekazując mu mądrość przywiezioną ze Starego Kraju. Pegaz, Andromeda i Ryby. Ryby, tak, miał je we krwi, po przodkach, dziedzictwo, które otrzymał, jak kolor włosów i oczu, po jakimś jasnowłosym i niebieskookim wikingu.

Ale ona nienawidziła połowów.

Nienawidziła Fish Creek.

Chciała nadal być kobietą, która robi karierę i spędza cztery noce w tygodniu poza domem.

Odkąd zamieszkał u mamy, rozmawiał szczerze z nią, z Barb i Mike'em. Przyznali, że trudno im było polubić Nancy przez wszystkie te lata. On przyznał, że radość, jakiej doznał u boku Maggie, pozwoliła mu uświadomić sobie, iż nigdy nie był z Nancy szczęśliwy.

Ale teraz Nancy jest w ciąży... nawet jeśli niezbyt szczęśliwa z tego powodu.

Tak samo Maggie.

Ale był mężem Nancy i od lat błagał ją o dziecko. Porzucić żonę teraz stanowiłoby szczyt podłości, a przecież nie był podły. Odpowiedzialność przytłoczyła go ciężarem kuli ziemskiej: dziecko było jego, poczęte z kobietą, która będzie niedobrą, jeśli nie całkowicie obojętną matką, podczas gdy Maggie - kochająca, dobra Maggie - przyjmie dziecko z radością, będzie zawsze przy nim, czuła i odpowiedzialna, tego mógł być pewny. Z dwojga jego dzieci to od Nancy będzie go bardziej potrzebowało. W poczuciu absolutnej beznadziejności skierował się ku domowi mamy, aby spakować rzeczy i wyjść naprzeciw swemu czyścowi.

Rozdział 17

Niewiele spał tej nocy. Leżąc obok Nancy, myślał o Maggie. Jej wizerunek pojawiał się we wszystkich zapamiętanych sytuacjach: kiedy z zadartą głową śpiewała w wannie, śmiała się przy wnoszeniu olbrzymiego pączka, klęczała nad zwiedłymi kwiatami na wiejskim cmentarzu; kiedy przygnębiona wyznawała mu nowinę odmieniającą cały jego świat; kiedy z rezygnacją przewidywała, że Nancy rozdzieli ich na długo. Ileż miała racji!

Trzymał się swojej strony łóżka. Leżąc z rękami pod głową, starał się nawet zgiętym łokciem nie dotknąć włosów Nancy. Myślał o jutrze; oczywiście powie Maggie, ale nie pogłębi swojej winy choćby najmniejszym intymnym kontaktem z kobietą u swego boku.

Zamknął oczy, próbując ocenić siebie i krzywdę, jaką wyrządzi Maggie, cierpiąc na samą myśl o tym. Powieki mu drżały. To, co uczynił, było niewybaczalne. Odpowiadał wobec obu kobiet, winien był wszelkim oskarżeniom, gorszy, niż mogły go o to podejrzewać. Potrafi przyjąć gniew Nancy - uzasadniony, skoro dowie się prawdy - ale co z krzywdą Maggie?

Ach, Maggie, co ja uczyniłem! Tak wiele chciałem dla nas!

Jesteś ostatnią osobą, którą chciałbym skrzywdzić!

Cierpiał w ciemności. Jakieś małe stworzonko biegało po dachu - może mysz - i drapanie pazurków było jak lawina żołądzi toczących się po dachówkach. W dole na Main

Street zapewne nastolatek na motorze bez tłumika puścił sprzęgło sprawiając, że hałas wypełnił przestrzeń. Na stoliku nocnym w zegarze przesunęła się wskazówka z cichym: puff.

Dziecko Nancy stało się o minutę starsze.

Dziecko Maggie stało się o minutę starsze.

Myślał o nie narodzonych jeszcze dzieciach. Jedno legalne. Drugie nazywane okrutnym słowem: bękart. Jak będą wyglądały? Czy rozpozna w nich rysy swojego ojca? Mamy? Swoje na pewno. Czy będą inteligentne? (Po Maggie i Nancy z pewnością.) Czy będą zdrowe, czy chorowite? Łagodne czy wymagające? Jaka będzie decyzja Maggie - wychować dziecko świadome, kto jest jego ojcem, czy wykreślić jego imię? Jeśli dziecko będzie znało ojca, będzie także wiedziało o swym przyrodnim bracie lub siostrze. Będą się spotykali na ulicy, na plaży, w szkole, może już w przedszkolu. Ktoś, jakieś inne dziecko zapyta: jak to się dzieje, że twój tata żyje w innej rodzinie? W jakim wieku dzieci zaczynają być świadome stygmatu nieprawego łoża?

Próbował sobie wyobrazić, jak bierze dzieci na pokład „Mary Deare” i daje im do rąk liny, uczy ich wody i gwiazd, wyjaśnia, jak odczytywać na ekranie sygnały głębinowe. Trzymałby je na obu kolanach (byłyby jeszcze małe), obejmując za brzuszki, tak żeby ich niecierpliwe ręce dosięgały gałki monitora; mógłby im wtedy wyjaśniać: „Kolor niebieski to woda. Czerwona linia to dno, a biała powyżej to ławica białaczy. A ta długa biała linia... to wasz łosoś”.

W planie bardziej rzeczywistym wyglądało raczej nieprawdopodobnie, nawet śmiesznie, żeby dwie matki jego dzieci zgodziły się na coś podobnego, nawet w dzisiejszych tolerancyjnych czasach. Jak głupio wyobrażać sobie coś podobnego! Cóż, będzie wiedział jutro. Jutro zobaczy się z Maggie i będzie cierpiał razem z nią.

Sobotni ranek był nieoczekiwanie chłodny, chmury przeganiał ostry wiatr. Nancy już pracowała w swoim gabinecie,

a Eryk szykował się do wyjścia z domu. Zatrzymał się przy jej drzwiach, wkładając wiatrówkę rękami ciężkimi z niewyspania.

- Zobaczymy się wieczorem - powiedział. To były jego pierwsze słowa, odkąd wstali. Zasnął trochę po czwartej i kiedy się obudził, Nancy była już ubrana, na dole. Wyglądała bardzo po miejsku w dużych okularach, komplecie z grubo tkanego lnu, z pasem, który przypominał fakturą skorupę ananasa, w ciężkich klipsach, z pudełeczkiem jogurtu przy łokciu i włosami ściągniętymi w węzeł. Na widok męża odchyliła się na oparcie krzesła i przesunęła okulary na czoło.

- O której? - Wzięła jogurt i zjadła łyżeczkę.

- Jeżeli będzie taka pogoda, to wcześniej, może nawet po południu.

- Znakomicie. - Uniosła łyżeczkę, zginając rękę w przegubie.

- Przygotuję coś bogatego w wapno i witaminy. - Poklepała się po brzuchu. - Muszę teraz bardzo uważać na właściwe odżywianie. Z uśmiechem dodała: - Miłego dnia, kochanie.

Wewnętrznie wzdragał się przed tą serdecznością i buntował na wzmiankę o ciąży.

- Tobie też - powiedział i poszedł do samochodu. Pogoda odpowiadała jego nastrojowi. W połowie drogi

do Gills Rock zaczął padać deszcz, smagając szyby z odgłosem dartej folii. Na horyzoncie błysnęło i zabrzmiał grom, przetaczając się po niebie. Eryk wiedział dobrze, że poranne rejsy zostały już odwołane, ale dojechał na miejsce, przywitał się z Mike'em i mamą, wypił kubek kawy, odmówił jednak kiełbaski, zbyt przejęty, żeby jeść. Przez jakiś czas spoglądał na telefon w kuchni i książkę telefoniczną wiszącą na sznurku, z numerem telefonu Maggie w Seattle wypisanym na okładce, wspominając, jak dzwonił do niej po raz pierwszy.

Mama powtórzyła pytanie i wykrzyknęła:

- Chłopcze, czy masz zatkane uszy?

-Och... a co?

-Pytałam, czy nie zjadłbyś czego innego - owsianki, a może wolisz kanapkę z mięsem?

- Nie, nic. Nie jestem głodny, mam.

- I nie bardzo w sosie od rana, co?

- Przepraszam. Jeżeli nie jestem ci do niczego potrzebny, to wrócę do Fish Creek.

- Nie. Jedź. Zdaje się, że rozpadało się na dobre.

Nie powiedział, dlaczego zdecydował się wrócić do domu z Nancy, i chociaż Mike stał przy zlewie, popijając kawę i spoglądając na niego wyczekująco, Eryk postanowił niczego nie wyjaśniać. Poza tym mama nie wiedziała o ciąży Maggie i nie był w stanie powiedzieć jej o tym teraz. Może nigdy nie powie. Znowu winny: jak można ukrywać prawdę przed mamą, która zawsze dowiadywała się o wszystkim, jakby miała ukryte antenki nastawione na to, co wyprawiają jej chłopcy.

Kiedy miał osiem lat - dokładnie pamiętał wiek, ponieważ w tym roku jego nauczycielką była panna Wystad i wtedy też zaczął eksperymentować z przekleństwami - wyśmiewał się i robił kawały pewnemu chłopcu. Chłopiec nazywał się Eugene Behrens i przyszedł do szkoły z dziurą na siedzeniu dresu, przez którą wзираła naga skóra. Eugene był również ostrzyżony domowym sposobem i włosy sterczały mu jak u filmowego kłowna Stoogesa.

„Behrens goła dupa!” - krzyczał za nim Eryk. A kiedy Behrens się odwrócił, Eryk zaśpiewał piosenkę:
Behrens gołą dupą świeci, Na głowie ma kupę śmieci, Jak go kopnąć, to polec!

Eugene zareagował na to ucieczką i płaczem, a wtedy Eryk przekonał się, że tuż za nim stoi panna Wystad.

- Chyba powinniśmy wejść do szkoły - powiedziała surowo.

Z tej rozmowy Eryk nie zapamiętał wiele, poza swoim pytaniem: „Czy powie pani mamie?”

Panna Wystad nie powiedziała mamie, ale wymierzyła mu karę chłosty, którą dotąd pamiętał, kazała stanąć przed klasą i głośno przeprosić Eugene'a. Eryk był jeszcze czerwony, obolały i upokorzony.

Jak mama dowiedziała się o tym, nigdy nie odkrył - Mikę przysięgał, że jej nie powiedział. Ale dowiedziała się (choć nigdy nie wspomniała o tym incydencie) i ukarała go dotkliwiej niż panna

Wystad. Pewnego dnia po powrocie ze szkoły zastał ją porządkującą jego szufladę w szafie. Wyjęła spodenki, skarpetki, podkoszulki, sztruksy. Wreszcie dołożyła do stosu nową koszulkę bawełnianą, jego ulubioną, z rysunkiem Supermana w locie. Składając rzeczy, powiedziała obojętnie:

- Jest taka rodzina nazwiskiem Behrens - to naprawdę biedacy, mają dziesięcioro dzieci. Jedno z nich jest chyba w twojej klasie, zdaje się Eugene? W każdym razie ich ojciec zginął w wypadku w porcie parę lat temu i matka ledwo sobie daje radę. Moje kółko kościelne robi zbiórkę używanych rzeczy, żeby im pomóc, więc zabierzesz to jutro do szkoły i dasz chłopcu. Zrobisz to dla mnie, Eryku? - Po raz pierwszy spojrzała wprost na niego. Oderwał wzrok od koszulki z Supermanem i przełknął słowa protestu. - Zrobisz to, prawda, synu?

- Tak, mammo.

Przez resztę roku szkolnego oglądał Eugene'a Behrensa w koszulce z Supermanem. Nigdy już nie wyśmiewał się z nikogo, komu powiodło się gorzej od niego. I nigdy nie próbował ukrywać swoich przewinień przed mamą. Kiedy popadł w tarapaty, maszerował prosto do domu i wyznawał: „Mamo, mam dziś kłopoty” - a wtedy siadali i omawiali sprawę.

Jadąc do Maggie przez letnią ulewę, marzył o tym, żeby wszystko to było równie proste, żeby mógł zwrócić się do mamy i powiedzieć: „Mam kłopoty!” - i żeby mogli usiąść i znaleźć jakieś wyjście, jak zawsze.

To wspomnienie przygnębiło go. Dawno przebaczył Eu-gene'owi Behrensowi, że nosił jego koszulkę z Supermanem, i zastanawiał się, gdzie też on może być teraz; miał nadzieję, że posiada szafę pełną pięknych ubrań i dosyć pieniędzy, żeby żyć w luksusie.

U Maggie światła były zapalone: żółte plamy na tle purpurowego nieba. W podmuchach silnego wiatru drzewa pochylały się i tańczyły. Żółta farba na ścianach domu pociemniała do koloru ochry. Lilie wokół tylnego wejścia przygięte były do ziemi pod ciężarem wody lejącej się z dachu. Kiedy zbiegał po stopniach, krople z liści klonów spadały jak zimny prysznic, rozbijając się na jego głowie, mocząc mu kark i spływając po kurtce. Pod dywanikiem na werandzie chlupnęła woda, kiedy na nim stanął. Widział, że kuchnia jest pusta, ale oświetlona.

Ku niezadowoleniu Eryka drzwi otworzyła Katy z wyrazem zaciekawienia na twarzy, który zamarł, kiedy rozpoznała, kto stoi przed nią.

- Cześć, Katy.

- Cześć - odpowiedziała sztywno.

- Czy jest twoja matka?

- Chodź za mną - poleciła. W pośpiechu zdejmował tenisówki, patrząc, jak dziewczyna znika w krótkim przejściu do pokoju jadalnego, skąd dochodziły głosy. Potrząsnął mokrymi włosami i poszedł za nią. Ujrzał Katy w drzwiach do jadalni, gdzie przy stole siedzieli goście, a Maggie zajmowała miejsce u szczytu.

- Ktoś do ciebie, mamo.

Rozmowa ucichła i wszystkie oczy skierowały się na niego. Zaskoczona Maggie spojrzała na Eryka, jakby był duchem. Twarz jej zaróżowiła się, zanim zdołała się wziąć w garść i wstać z miejsca.

- Co za niespodzianka, Eryku. Przyłączysz się do nas? Katy, podaj mu kubek, proszę. - Przesunęła się, aby zrobić Erykowi miejsce obok siebie, a Katy wyjęła kubek z szafki i ostentacyjnie postawiła go przed nim. Maggie usiłowała

ratować sytuację, przedstawiając go zebranym. - To mój przyjaciel, Eryk Severson, a to moi goście... - Wymieniła trzy nazwiska, ale w zakłopotaniu zapomniała czwartego i rumieniec znowu powrócił, gdy przeproszała. - Eryk prowadzi łódź czarterową w Gills Rock.

Podsunięto mu porcelanowy dzbanek z kawą i talerzyk ciasteczek z dyni, masło i szklanę soku ananasowego, którą napełnił ktoś z końca stołu, jakby stanowili jedną szczęśliwą rodzinę.

Powinien był zadzwonić. Powinien był przewidzieć, że Maggie będzie ze swymi gośćmi przy śniadaniu i że Katy zademonstruje otwartą wrogość. Został więc wystawiony na próbę półgodzinnego gwarzenia z Maggie napiętą jak przewód elektryczny z prawej i Katy emanującą niechęcią z lewej, przy ośmioosobowej widowni udającej, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego.

Kiedy ta męczarnia się skończyła, musiał poczekać, aż Maggie przyjmie czek od pary klientów, odpowie na kilka pytań i spokojnie poprosi córkę o posprzątanie jadalni i wykonanie reszty zaplanowanych na ten dzień prac.

- Nie wychodzę na długo - zakończyła, narzucając na ramiona długi szary sweter i śpiesząc za Erykiem do furgonetki.

Siedzieli w wozie w wilgotnych ubraniach, ciężko oddychając i nie patrząc na siebie. W końcu Eryk westchnął głęboko. Ramiona miał opuszczone.

-Przepraszam cię, Maggie. Nie powinienem przychodzić o tej porze.

- Nie, nie powinieneś.

- Nigdy nie pomyślałem, że bierzesz udział w śniadaniu.

- Prowadzę noclegi ze śniadaniem, pamiętasz? Śniadanie zdarza się tu codziennie.

- Katy miała ochotę zatrzasać mi drzwi przed nosem.

- Katy wie, jak ma się zachowywać, i raczej się tego trzyma. Ale co się stało?

- Czy możemy pojechać trochę dalej? Kawalek w teren. Muszę z tobą porozmawiać.

Roześmiała się z napięciem.

- Oczywiście. - Wolałby, żeby była przygnębiona, ale patrzyła w stronę domu, gdzie za koronkowymi zasłonami w kuchni krzątała się Katy. - Chociaż nie, nie powinnam odjeżdżać. Mam robotę i nie powinniśmy jeszcze gorzej usposabiać Katy.

- Proszę, Maggie. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby problem nie był poważny.

- Zdaję sobie sprawę. Dlatego z tobą wyszłam. Ale nie mogę jechać. Mam tylko minutę.

Z domu wyszedł mężczyzna, którego nazwiska zapomniała, z dwiema walizkami. Przebiegł z wysiłkiem do samochodu po drugiej stronie drogi.

- Proszę cię, Maggie. Westchnęła z rezygnacją.

- Dobrze, ale na krótko.

Silnik krztusił się, ale zaskoczył, gdy Eryk dodał gazu, wrzucił bieg i ruszył z piskiem opon.

Wycieraczki przesuwwały się niczym wskazówki metronomu. Wybrał kierunek na południową autostradę 42, potem na wschód na EE, aż dojechał do bocznej drogi wijącej się między krzakami. Na jej końcu, gdzie za drzewami rozciągał się ugór, zatrzymał samochód. Padało, chmury kłębiły się na niebie, a dzikie kwiaty pochylały główki niby penitenci przed spowiednikiem.

Siedzieli przez chwilę, każde zajęte swoimi myślami, słuchając monotonnego uderzania deszczu o dach samochodu, patrząc na zamglony krajobraz, którego ośrodkiem była opuszczona farma widoczna przez strugi deszczu. Zwrócili się do siebie jednocześnie, jakby wiedzeni tym samym porywem.

- Maggie - zaczął przygnębiony.

- Coś złego, prawda?

- Chodź tutaj - szepnął ochryple i objął ją, zanurzając policzek i nos w jej mokre włosy. - Tak. To coś złego.

- Powiedz.

- To jest gorsze niż wszystko, co możesz sobie pomyśleć.

- Powiedz.

Odsunął się i spojrzął z rozpaczą w jej brązowe oczy.

- Nancy jest w ciąży.

Szok. Niedowierzenie. Chęć odrzucenia tych słów.

- O mój Boże - szepnęła odsuwając się, z dłonią na ustach, wpatrzona w szybę. I dodała jeszcze ciszej:

- O mój Boże!

Zamknęła oczy; widział, jak zмага się ze sobą, przyciskając coraz mocniej palce do ust, aż napotkała opór zębów. W końcu otworzyła oczy i mrugnęła jakby w zwolnionym ruchu, niby wiktoriańska lalka z ołowianym ciężarkiem w głowie. - Maggie... och, Maggie ukochana, tak mi przykro.

Słyszała tylko niewyraźny dźwięk w uszach.

Była szalona. Była zabawką w rękach mężczyzny, który zachował się w typowy sposób. Nie pytała go o nic, nie żądała niczego, po prostu uwierzyła w jego słowa, że ją kocha i stara się o rozwód. Ale matka ją ostrzegęła, córka także. Była go jednak tak pewna, miała do niego tak całkowite zaufanie. A teraz porzuca ją dla żony, porzuca ją w piątym miesiącu ciąży. Nie płakała. Kawałka lodu nie można zmusić do łez. - Zawieź mnie do domu, proszę - powiedziała, prostując się na siedzeniu jak rozbitek, który do końca stara się zachować godność.

-Maggie, proszę, nie rób tego, nie odwracaj się ode mnie!

- Podjąłeś decyzję, to jasne. Zawieź mnie do domu.

- Zamięczałem ją o to przez wszystkie te lata. Jak mogę się teraz rozwieść?

- Oczywiście, nie możesz. Zawieź mnie do domu.

- Nie, dopóki ty...

-Do cholery! - Odwróciła się i uderzyła go w twarz. Mocno. - Nie stawiaj mi ultimatum! Nie masz już żadnego prawa do mnie, do niczego, co zadecyduję i co zechcę zrobić! Żadnego. Ruszaj natychmiast albo pójde piechotą!

- To pomyłka, Maggie, nie chciałem, żeby zaszła w ciążę. To się zdarzyło, zanim jeszcze ty i ja postanowiliśmy coś w naszej sprawie, wtedy kiedy nie wiedziałem, co robić ze swoim małżeństwem! Otworzyła drzwi samochodu i wyskoczyła na mokrą trawę. Zimna woda natychmiast przeniknęła jej do butów. Nie zwracając na to uwagi, ruszyła błotnistą ścieżką, rozpryskując kałuże, tak że zmoczona była po chwili niemal do połowy.

Usłyszała za sobą trzask drzwiczek. Po chwili chwycił ją za ramię.

- Wracaj do samochodu!

Uwolniła się i szła dalej z podniesioną głową i suchymi oczyma, choć deszcz spływał jej po włosach i rozmazywał makijaż.

- Maggie, przeklęty głupiec ze mnie, ale twoje dziecko jest także moim, i chcę być jego ojcem!

- Nic z tego! - zawołała. - Wracaj do żony!

- Maggie, do cholery, przestań!

Szła dalej. Zaklął, po czym trzasnęły drzwiczki samochodu i rozległ się warkot silnika. Potem umilkł na chwilę i znowu zabrzmiał jak pomruk głodnego giganta. Samochód cofnął się i ruszył, rozpryskując błoto. Jechał ścieżką wolno, niczym zmęczony piechur, starając się jej nie wyprzedzić.

Wysunął głowę przez okno.

- Maggie, wsiadaj do tego cholernego samochodu! Machnęła ręką, maszerując dalej w stronę autostrady. Zmienił ton:

- Maggie, proszę!

- Wypadłeś z mojego życia, Severson! - krzyknęła niemal radośnie. Kiedy weszła na asfalt, spróbował wjechać za nią na dwóch kołach, wykręcając tak gwałtownie, że silnik zgasł. I to na dobre.

Pięciokrotne kręcenie kluczykiem nic nie dało. Trzasnął drzwiczkami. Maggie nie odwróciła się, widząc oczyma wyobraźni, jak stoi obok wozu z rękami na biodrach.

- Ty uparta babo! - krzyknął.

Podniosła rękę i pomachała mu: pa, pa!, nie przerywając swego marszu przez deszcz.

Stał, gapiąc się na nią, oblepiony mokrym ubraniem i bardziej wściekły niż kiedykolwiek w życiu.

Takiej reakcji spodziewał się po Nancy, nie po pełnej słodyczy Maggie. Jak cholernie była nieprzewidywalna! Żeby tak go odtrącić! A więc wycofała się. I to nie sama. Jest jeszcze dziecko.

Pozwoli jej ochłonać przez parę tygodni; kiedy poczuje się samotna, zacznie go grzeczniej traktować!

Nie ruszał się, dopóki się nie upewnił, że Maggie nie ma zamiaru zawrócić, potem kopnął w oponę,

otworzył drzwi i przepchnął cholernego starego wycierucha na bok. Kiedy wóz znalazł się na poboczu, zamknął drzwi i znowu spojrzął w stronę Maggie, tak już odległej, że nie rozróżniał koloru jej stroju.

Idź sobie, ty mały uparciuchu w spódnicy! I tak będziesz musiała prędzej czy później zwrócić się do mnie. Pragnę dbać o dziecko, które tłucze się w tobie na deszczu! I na Boga, zatroszcz się o nie dobrze!

Maggie zatrzymała się przy pierwszej farmie po drodze i poprosiła, by pozwolono jej zatelefonować.

- Tato - powiedziała, kiedy Roy podniósł słuchawkę. - Czy jedziesz do pracy?

- Tak, ale co...

- Czy będziesz mógł podjechać po mnie? Jestem na farmie przy drodze EE, kawałek na wschód od czterdziestej drugiej... Chwileczkę... - Zwróciła się do dziewczyny z tłustymi włosami, która ją wpuściła: - Jakie nazwisko?

- Jergens.

Maggie powiedziała do słuchawki: - Wiesz, gdzie mieszkają Jergensowie, na południe od miasta?

- Tak, wiem. Dom Harolda Jergensa, mieszka tam jego rodzina.

- Właśnie tu jestem. Możesz po mnie przyjechać?

Oczywiście, kochanie, ale co, na litość boską, tam robisz?

- Dzięki, tato, pośpiesz się. Jestem cała przemoczona. Odłożyła słuchawkę, zanim mógł zadać następne pytanie.

Kiedy jechali już w stronę miasta, niedaleko drogi EE napotkali autostopowicza. Roy zaczął zwalniać, Maggie jednak nakazała:

- Jedź, tato!

- Ale pada deszcz i...

- Nie waż się zatrzymać, bo wtedy ja wysiądę i pójdę na piechotę!

Minęli mężczyznę, który dawał znak podniesionym kciukiem. Roy obejrzał się.

- Przecież to Eryk Severson!

- Wiem. Niech sobie pomaszeruje.

- Ale Maggie...

Severson pogroził im pięścią.

- Uważaj na drogę, tato, zanim wpakujesz nas do rowu!

Skręcił kierownicą, unikając poślizgu. Kiedy znów jechali prosto, Maggie włączyła ogrzewanie, przeczesła włosy palcami i powiedziała:

- Przygotuj się na szok, tato. I to taki, że możesz wyskoczyć ze skarpetek. - Spojrzała mu prosto w twarz.

- Oczekuję dziecka z Erykiem Seversonem.

Roy wlepił w nią zdumione oczy. Chwyciła kierownicę, żeby znowu nie zjechali z drogi.

- Ale... ale... - wykrztusił niczym silnik z jednym cylindrem i rozejrzał się bezradnie, zapominając o kierunku jazdy i szybkości.

- Matka narobi chyba w majtki z wrażenia - powiedziała Maggie obojętnym tonem. - Przypuszczam, że to na dobre zakończy nasze stosunki. Widzisz, ona mnie ostrzegła.

- Dziecko Eryka Seversona? Tego Seversona? Tego, którego właśnie minęliśmy?

420

- Zgadza się.

- To znaczy, że chcesz wyjść za niego?

- Nie, tato. On już jest żonaty.

- Ja wiem, ale... ale... - Roy znowu nie mógł wykrztusić słowa.

- Jego żona właśnie także spodziewa się dziecka, pierwszego. Ale jeśli dobrze wyliczyłam, moje urodzi się wcześniej. Roy zahamował gwałtownie i zatrzymał się pośrodku szosy.

- Maggie! - wykrzyknął zdumiony.

- Chcesz, żebym ja poprowadziła, tato? Może powinnam.

Wydajesz się trochę roztrzęsiony.

Wyszła z samochodu i obeszła go, zanim Roy uświadomił sobie, co chce zrobić. Szturchnęła go w bok. - Posuń się, tato, jest mokro. - Przesunął się jak przebudzony ze snu na miejsce dla pasażera, a Maggie ruszyła w stronę miasta. - Mieliliśmy romans, ale to już koniec. Mam własne plany i mogę od czasu do czasu potrzebować twojej pomocy, jestem jednak silna. Zobaczysz. Przeżyłam śmierć Phillipa, przeprowadzkę tutaj, sprzedaż domu w Seattle, kłopoty związane z nowym domem i rozkręceniem interesu, i mam zamiar dalej go prowadzić, z dzieckiem czy bez. Myślisz, że dam radę?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. - Matka będzie zmartwiona, prawda?

- Też nie mam wątpliwości.

- Prawdopodobnie wyprze się mnie, w na j dosłowniejszym sensie tego słowa.

- Chyba tak. Twoja matka jest hardą kobietą.

- Wiem. Dlatego mogę cię potrzebować, tato.

- Kochanie, będę przy tobie.

-Wiedziałam, że tak powiesz. - Jego szok mijał pod wpływem zdecydowania i stalowej woli Maggie. - Czy słyszałeś kiedyś o porodach rodzinnych, tato?

- Czytałem o tym.

Rzuciła mu spojrzenie.

- Myślisz, że moglibyśmy spróbować? Ty i ja?

- Ja? - zdziwił się.

-Pomyśl, może chciałbyś zobaczyć, jak rodzi się twoje ostatnie wnuczę?

Zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Chyba bymłtmarł ze strachu.

- Na kursie nauczą nas oboje, jak się nie bać.

Po raz pierwszy przyznała się do strachu, choć pozornie wydawała się silna i opanowana.

- Twoja matka - powiedział mrugając - rzeczywiście narobi w majtki!

- Ciii. Cóż to za język, tato!

Oboje roześmiali się - konspiratorzy, którzy poczuli nagle silną więź. Dojeżdżając do miasta, Maggie wyznała: - Nie powiedziałam jeszcze Katy. Przewiduję kłopoty.

- Oswoi się z tym. Ja też. Twoja matka także. W każdym razie uważam, że powinnaś postąpić tak, jak tobie wydaje się słuszne.

- Absolutnie. Nauczyłam się tego dzisiaj.

Skierowała samochód na szczyt wzgórza przed swoim domem. Deszcz ustał. Na końcach liści drżały krople, powietrze pachniało jak ziołowa herbata - świeżością zieleni, wilgocią, ziemią.

Maggie zaparkowała z boku i ujęła ojca za rękę.

- Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, tato. Kocham cię. -Jak łatwo można mu to było wyznać.

- Ja też cię kocham, ale nie mogę powiedzieć, że nie jestem w szoku. Podejrzewam, że moje skarpetki zostały gdzieś na szosie EE. - Kiedy Maggie przestała się śmiać, Roy spojrział na ich złączone ręce. -

Zadziwiłaś mnie, wiesz? Tyle jest w tobie siły. Tyle... - Zastanowił się, zanim znalazł słowo: - ...zdecydowania. Zawsze byłaś taka. Wiesz, czego chcesz, czego potrzebujesz, i zdobywasz to.

College, Phillip, Seattle, Dom Hardinga, teraz to. - Podniósł szybko oczy. - Nie chcę powiedzieć, że się o to starasz, ale chodzi

o sposób, w jaki sobie radzisz, jak podejmujesz decyzje. Chciałbym być taki. Ale zawsze wybierałem jakoś najłatwiejsze ścieżki. Nie podoba mi się to, ale tak już jest. Twoja matka mną pomiata. Wiem o tym, ona wie i ty wiesz. Ale tym razem oprę się jej, Maggie. Chcę, żebyś to wiedziała. To nie jest koniec świata, i jeżeli chcesz mieć to dziecko, pójdę do szpitala i pokażę wszystkim, że nie muszę się wstydzić.

Łzy, które tak uparcie powstrzymywała, napłynęły jej teraz do oczu, gdy objęła Roya ramieniem i przycisnęła policzek do jego twarzy. Pachniał surową wołowiną, wędzoną kielbasą i wodą po goleniu Old Spice, tak dobrze znajomą kombinacją.

- Och, tato, tak bardzo chciałam to usłyszeć! Katy będzie przygnębiona, a matka... Boję się pomyśleć, jak jej powiem. Zrobię to jednak. Nie dzisiaj, ale wkrótce, więc nie sądz, że zostawiam tobie to zadanie.

Pogłaskał ją po plecach.

- Uczę się czegoś od ciebie. Tylko uważaj. Któregoś dnia mogę zrobić coś, co i ciebie zaskoczy.

Odsunęła się i popatrzyła surowo.

- Tylko nie waż się pojechać na ryby z Erykiem Severso-nem! Jeżeli to zrobisz, poszukam sobie innego partnera do porodu.

Roześmiał się i powiedział:

-Idź do domu i przebierz się w coś suchego, zanim zaziębisz siebie i dziecko.

Patrząc za Maggie, zastanawiał się nad tym, co rozważał już od pięciu lat. Zobaczy, jak Vera przyjmie wiadomość, i wtedy się zdecyduje.

Rozdział 18

Upór Maggie Stearn był doprawdy niezachwiany. Zrobi to! Pokaże wszystkim! Przyzwyczała się już do tego, że w jej życiu pojawi się nowa istota i że będzie wychowywana bez ojca. Wzmacniała siły fizyczne i psychiczne, aby sprostać obu rolom, matki i właścicielki pensjonatu. Nastawiła się na oczekiwanie rozwiązania bez ojca dziecka i zbierała odwagę, aby wyjawic nowinę Katy i Verze. Minął tydzień, potem drugi, ale wciąż nic im nie mówiła. Zaczęła nosić luźne bluzki bez paska, nie zapinane rzeczy.

Pewnego ranka na początku sierpnia, kiedy Katy został jeszcze niecały miesiąc do powrotu do college'u, musiały poradzić sobie ze skutkami burzy. Wiatr zapełnił podwórko liśćmi klonów i połamanymi gałęziami wierzby z sąsiedztwa. Ponieważ Todd miał przyjść dopiero za dwa dni, Maggie i Katy wyszły razem posprzątać.

O jedenastej upał zrobił się niemal tropikalny z powodu parującej wilgoci, której nie rozpędzał ciepły powiew z zatoki.

Przeciwnie, przynosił duszący zapach wodorostów leżących na skałach, gdzie zostały wyrzucone przez burzę. Musiały je szybko uprzątnąć, a także zdechłe ryby, zanim zaczną się rozkładać w słońcu. Maggie pochyliła się, aby podsunąć wiązkę gałęzi pod bambusowe grabie, i wyprostowała trochę za szybko. Poczowała ukłucie gdzieś w środku i natychmiast zakreśliło jej się w głowie. Pozwoliła upaść gałęziom i przycisnęła rękę do

brzucha, czekając z przymkniętymi oczami, aż przeminie zawrót głowy. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała, jak Katy przygląda jej się, trzymając grabie w rękach. Na chwilę znieruchomiały: Maggie w klasycznej pozie ciężarnej kobiety, Katy w skrajnym zdumieniu. Potem wyraz twarzy Katy zmienił się. Uniosła głowę i wykrzyknęła:

- Mamo?... - tonem na wpół pytającym, na wpół oskarżycielskim.

Maggie opuściła rękę pod spojrzeniem córki, które przeniosło się z jej brzucha na twarz i znowu na brzuch. Po chwili Katy zaczęła:

- Mamo, czy ty... chyba nie?... - Ta myśl wydawała się zbyt niedorzeczna, żeby ubrać ją w słowa.

- Tak, Katy - przyznała Maggie. - Jestem w ciąży. Katy, oszołomiona, nie odrywała spojrzenia od brzucha

matki. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Och, Boże! - wyszeptała po kilku sekundach. I znowu, w przerażeniu:

- O, Boże, to okropne! - Konsekwencje tej sytuacji jawiły się przed Katy jedna po drugiej, sprawiając, że wyraz jej twarzy zmieniał się niby filmowany przyspieszoną kamerą obraz więdnącego kwiatu. -

Jak mogłaś pozwolić na coś podobnego? - wyrzuciła z siebie. - Kończysz w tym miesiącu czterdzieści jeden lat i nie możesz być aż tak głupia!

- Nie jestem - odpowiedziała Maggie. - Istnieje inne wytłumaczenie.

- Nie chcę go słyszeć.

- Myślałam...

- Myślałaś! - przerwała jej Katy. - To, co myślałaś, jest aż zbyt oczywiste. Myślałaś, że możesz ciągnąć ten swój mały romans bez niczyjej wiedzy, a tymczasem jesteś w ciąży!

- Tak, już piąty miesiąc.

Katy otrząsnęła się, jakby się otarła o coś wstrętnego. Jej twarz przybrała wyraz odrazy, a w głosie zabrzmiał niesmak:

- To jego, prawda? Żonatego mężczyzny! -Tak.

- To wstrętne, mamó.

- Możesz dowiedzieć się więcej: jego żona też jest w ciąży.

Przez chwilę Katy była zbyt zdumiona, aby odpowiedzieć. W końcu podniosła rękę do góry.

- Och, to wspaniałe! Właśnie zdobyłam sobie przyjaciół w tym mieście. I co im powiem? Że moja matka wpadła przez żonatego mężczyznę, którego opuszczona żona też wpadła w tym samym czasie!

- Zmrużyła oczy i ciągnęła oskarżycielskim tonem: - O tak, wiem o tym. Nie jestem głupia. Pytałam.

Wiem, że nie żyje z żoną od zimy. Więc co, obiecał się rozwieść i ożenić z tobą?

Dławiona poczuciem winy, Maggie poczerwieniała. Katy uderzyła się dłonią w czoło.

- Dobry Boże, mamó, jak mogłaś być tak naiwna? Obiecanka równie stara jak choroby weneryczne. A skoro już o tym...

- Katy, ja nie potrzebuję kazań...

- A skoro już o tym mowa - powtórzyła stanowczo Katy - to powinnaś wymagać prezerwatywy, czy o tym też nie słyszałaś? To się stosuje, uprawiając seks pozamałżeński. Piszą o tym w każdej gazecie!

Jeżeli zadajesz się z kimś, kto podrywa każdą kobietę w mieście...

- On nie podrywa każdej kobiety w mieście! - Maggie rozgniewała się. - Co w ciebie wstąpiło, Katy? Jesteś brutalna i okrutna.

- Co we mnie wstąpiło? - Katy przyłożyła rękę do piersi. Na twarzy miała wyraz niedowierzania. - We mnie? To śmieszne: Chcesz wiedzieć, co we mnie wstąpiło, kiedy moja własna matka stoi przede mną w piątym miesiącu ciąży z żonatym mężczyzną? Przyjrzyj się sobie! Bardzo się zmieniłaś od śmierci taty! Jak mam reagować? Może powinnam rozdawać wszystkim papierosy wraz z nowiną, że będę miała nowego braciszka? - Twarz Katy wykrzywił gniew. - Nie

łudz się, mamó, nigdy nie pomyślę o tym bękarcie jako o swoim bracie albo siostrze. Nigdy! - Rzuciła na ziemię grabie. - Mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, iż tata nie dożył takiego dnia!

Płacząc pobiegła do domu.

Drzwi trzasnęły i Maggie wzdrygnęła się. Patrzyła w tamtą stronę, dopóki z oczu nie zaczęły jej płynąć łzy. Oskarżenia Katy huczały jej w głowie i przygniatało ją poczucie niepowodzenia i winy.

Zasłużyła na każdy zarzut Katy. Była matką, powinna być wzorem, przykładem. A oto co uczyniła! *Och, Katy, Katy, przepraszam. Masz rację pod każdym względem, ale co mogę zrobić? To moje dziecko. Muszę je wychować.*

Stała tak na podwórzu z ciężkim sercem, cicho płacząc, walcząc z poczuciem winy i bezradności, bo w tej chwili nie miała pojęcia, jak wypełniać swoje obowiązki matki. Nie pamiętała żadnego podobnego przypadku, żadna przeczytana książka nie podsuwała właściwego rozwiązania.

No i ironia tej sytuacji: czterdziestoletnia kobieta pouczana przez własną córkę o konieczności zapobiegania ciąży. Jej córka wykrzykująca: „Co pomyślą moi przyjaciele?”

Maggie zamknęła oczy, czekając, aż przygnębienie ustąpi, ale tylko wzrastało, aż poczuła, że za chwilę powali ją na ziemię. Zdała sobie sprawę, że ciągle trzyma w ręku gładkie, rozgrzane grabie.

Odwróciła się w kierunku zatoki i pozwoliła, aby wysunęły się na ziemię, po czym przysiadła na drewnianej ławce, tej z poręczami, którą Eryk dla niej ustawił. Kiedy pracował, wyobrażała sobie, jak siedząc na niej, będzie wyglądała „Mary Deare” pod koniec dnia. Jak będzie chwytać linę rzuconą na brzeg, kiedy zgaśnie silnik, jak będzie szła razem z nim, ramię w ramię, ku domowi skąpanemu w różowym i purpurowym świetle zmierzchu, kiedy woda jest spokojna niczym wiśniowy nektar w szklance.

Powiew był tutaj nieco bardziej orzeźwiający. Dwie bia-łoskrzydłe siewki przeleciały ze swym wezwaniem: czur-uiii

- i usiadły na skałach, aby łowić przepływające resztki. Daleko na wodzie łódź z pomarańczowym żaglem ścigała się z wiatrem.

Maggie myślała o kupieniu żaglówki zaraz po sprowadzeniu się tutaj. Wyobrażała sobie wówczas, że razem z Erykiem żeglują do Chicago, idą na spektakl, jedzą w „Cricket's” i błędzą, trzymając się za ręce, po nabrzeżach portu Belmont, podziwiając łodzie spływające ze wszystkich stron Wielkich Jezior. Zamierzała kupić żaglówkę, ale teraz już tego nie pragnęła, bo czyż może być większa samotność niż samotne żeglowanie?

Tęskniła w tej chwili za Erykiem z taką intensywnością, że niemal traciła oddech. Nie chciała niczego bardziej jak być silną, samodzielną, pełną nakierowaną ku przyszłości woli; wiedziała, że taka będzie, ale w chwili słabości potrzebowała go z obezwładniającą rozpaczą.

Uznała, że to przerażające.

Cóż można w końcu wiedzieć o intencjach drugiego człowieka?

Analizując swoje stosunki z Erykiem uświadomiła sobie, że mógł się nią cały czas tylko bawić, nie mając zamiaru opuszczać swej niezwykle pięknej żony. Historia o Nancy odmawiającej dziecka - czy to było kłamstwo? W końcu żona Eryka jest teraz w ciąży, prawda?

Maggie westchnęła, zamknęła oczy i oparła głowę o drewnianą kratę. Cóż zresztą znaczyła jego szczerść czy brak szczerści?

Ich związek skończył się. Całkowicie. Odepchnęła go, odeszła stanowczym krokiem w deszcz, przestała odbierać jego telefony i lodowato poprosiła, żeby przestał przychodzić, kiedy raz pojawił się u jej drzwi. Ale to oddalenie było udawane. Tęskniła za nim. Ciągle go kochała. Chciała wierzyć, że nie kłamał.

Ptaki odleciały. Żaglowiec stał się plamką na horyzoncie. Drogą na górze przejechał samochód. Życie trwało nadal. Maggie musiała się w nie włączyć.

Sama dokończyła grabienia, zebrała gałęzie w Stos i wróciła do domu, aby się przekonać, że Katy nie ma. Na kuchennym stole leżała kartka: *Pojechałam do babci*. Żadnego podpisu. Żadnego wyjaśnienia. Żadnego znaku miłości.

Ręka Maggie opadła bezwładnie w dół. „Matka” - pomyślała ze znużeniem. Położyła kartkę na stole, zdjęła ogrodnicze rękawice i rzuciła je obok, po czym rozejrzała się po kuchni, jakby była kimś zagubionym w obcym miejscu i usiłowała oddalić to, co nieuniknione.

Podeszła w końcu do telefonu na szafce przy lodówce.

Ostatnia wielka przeszkoda.

Cofnęła się i umyła ręce nad zlewem. Wytarła je. Wpatrywała się w telefon z odległości dziesięciu kroków jak partner w pojedynku, który bada wzrokiem przeciwnika, zanim podniesie rękę. Ponieważ nie mogła już wynaleźć żadnej logicznej przeszkody, zamknęła drzwi do hallu i usiadła na małym białym stołku obok aparatu.

Dalej, miej to już za sobą.

W końcu podniosła słuchawkę i wykręciła numer matki, wyobrażając sobie dom - nieskazitelnie czysty, jak zwykle, matkę schludnie i niemodnie uczesaną, wybiegającą z kuchni.

- Halo - odezwała się Vera.

- Cześć, mamó. Cisza: ach, to ty.

- Czy jest u ciebie Katy?

- Katy? Nie. A powinna być?

- Wkrótce przyjedzie. Jest w drodze, bardzo zdenerwowana.

- Z jakiego powodu? Znowu się kłóciłyście?

- Obawiam się, że tak.

- O co tym razem?

- Mamó, przepraszam, że muszę ci to powiedzieć w taki sposób. Powinnam zrobić to osobiście, nie przez telefon. - Maggie wciągnęła z drzeniem powietrze, wypuściła do pół

oddechu i powiedziała: - Spodziewam się dziecka z Erykiem Seversonem. Kamienne milczenie.

- O miłosierny Boże! - Słowa te zabrzmiały głucho, jakby Vera zakryła usta dłonią.

- Powiedziałam to Katy dziś rano i dlatego wyjechała stąd we łzach.

- Miłosierny Boże na niebie! Margaret, jak mogłaś?

- Wiem, że cię bardzo zawiodłam.

Władcza strona charakteru Very musiała dojść do głosu. Zapytała^zorstko:

- Chyba nie masz zamiaru go urodzić?

Gdyby chwila była mniej dramatyczna, Maggie zapanowałaby nad swym oburzeniem. Odpowiedziała tylko^

- Obawiam się, że jest już za późno, aby cokolwiek zrobić.

- Ale mówią, że jego żona jest także w ciąży?

- Tak. Dlatego sama wychowam dziecko.

- Nie tutaj, mam nadzieję!

Chyba nie oczekiwałaś współczucia, prawda, Maggie?

- Mieszkam tutaj i prowadzę tu interes - odpowiedziała spokojnie.

Vera wykrzyknęła to, czego należało się spodziewać:

- Jak ja spojrzę w oczy znajomym!

Patrząc na mosiężne uchwyty szuflad, Maggie poczuła narastający ból. Zawsze o sobie. Tylko o sobie.

Vera przeszła do gwałtownej tyrady, wybijając słowa:

- Powiedziałam ci, prawda? Ale nie, wolałaś nie słuchać, tylko latałaś za nim. Wszyscy w mieście o tym wiedzieli i wiedzą też, że jego żona jest w ciąży. Już teraz wstydę się spotykać ludzi na ulicy. A co to będzie, kiedy zaczniesz paradować z jego nieślubnym dzieckiem na ręku? - Nie czekając na odpowiedź, Vera ciągnęła: - Jeśli nie masz szacunku dla samej siebie, mogłabyś przynajmniej wziąć pod uwagę ojca i mnie, Margaret. W końcu musimy tu żyć do końca naszych dni.

- Wiem, mamó - odpowiedziała pokornie Maggie.

- Jak spojrzymy po tym wszystkim ludziom w oczy? Maggie zwiesiła głowę.

- Może teraz twój ojciec przestanie cię bronić. Próbowałam zmusić go, żeby powiedział ci coś ostatniej zimy, ale udawał głuchego, jak to zawsze robi. Mówiłam: „Roy, ta dziewczyna zadaje się z Erykiem Seversonem i nie mów mi, że tak nie jest!”

Maggie siedziała w milczeniu, udręczona, wyobrażając sobie, jak czerwieni się twarz Very i podskakują jej korale.

- Mówiłam: „Musisz do niej przemówić, Roy, bo mnie nie chce słuchać”. Może teraz przyzna mi rację, kiedy dozna takiego szoku! Maggie powiedziała spokojnie:

- Tata już wie.

Z drugiego końca miasta mogła wyczuć, jak Vera się zjeżyła.

- Jemu powiedziałaś, a mnie nie? - zabrzmiało pytanie. Była to cicha chwila pełnego satysfakcji odwetu. - Wspaniale - córka nie musi przychodzić najpierw do matki! A dlaczego on mi o tym nie powiedział? - Prosiłam go, żeby nie mówił. Uważałam, że powinnam sama ci to powiedzieć.

Vera chrząknęła, a następnie rzuciła sarkastycznie:

-Dziękuję, że wzięłaś mnie pod uwagę. Bardzo jestem wzruszona. Teraz muszę iść, Katy przyjechała. Przerwała rozmowę bez pożegnania, pozostawiając Maggie ze słuchawką w ręku, z głową opartą o lodówkę i zamkniętymi oczami.

Nie będę płakać. Nie będę. Nie będę.

Więc co dławi cię w gardle?

Tata ujął to najlepiej: Vera jest hardą kobietą.

A jakiej spodziewałaś się reakcji ?

To moja matka! Powinna nieść mi pocieszenie i wsparcie w takiej chwili!

Kiedy doczekałaś się od niej pocieszenia lub wsparcia?

W słuchawce rozległ się sygnał, ale Maggie siedziała bez ruchu, walcząc ze ściskaniem w gardle i starając się zapanować nad chęcią płaczu. Gdzieś w głębi siebie odnalazła zapas siły i wyzwajającego gniewu, zapas z którego mogła czerpać. Gwałtownie odłożyła słuchawkę, otworzyła książkę telefoniczną, znalazła numer lokalnej gazety i zadzwoniła.

- Z działem ogłoszeń proszę.

Zamieściła ogłoszenie w rubryce „Potrzebna pomoc”, następnie zmyła naczynia, zmieniła pościel na czterech łóżkach, wysprzątała trzy sypialnie, wyprała dwie partie ręczników, zamiotła werandę, uporządkowała kwiaty przygniecione deszczem, powitała dwie partie gości, odpowiedziała na osiem telefonów, zjadła kawałek melona, skończyła malować wiklinowy fotel, wzięła kąpiel, włożyła czysty strój (tym razem wygodny, ciężowy, który trzymała dotychczas w ukryciu) i za piętnaście piąta napełniła wazę w salonie cukierkami. Wszystko to z dokładnością położnej. Bez jednej łyzy.

Poczęte jest we mnie. Ja je akceptuję. Ja będę się nim zajmowała. Będę superkobietą. Zrobię to wszystko, na Boga!

Ten nastrój zapału i podniecenia trwał przez całą noc, chociaż Katy nie zadzwoniła ani nie wróciła, i przeniósł się na następny dzień, już drugi bez pomocy w prowadzeniu pensjonatu - z lunchem w biegu (kanapka z indykiem w jednej ręce, ścierka do wycierania kurzu w drugiej), z wypisywaniem gości i błogosławionymi godzinami ciszy po ich odjeździe, dopóki nie przybyła następna grupa.

Ale Maggie zaczęła męczyć ta narzucona sobie dyscyplina. O drugiej drzwi do kuchni otworzyły się i wkroczyła Brookie. Zastała Maggie nad wypełnioną do połowy zmywarką, do której wkładała srebrne sztuce. Stając w drzwiach w pozie samuraja Brookie wbiła w Maggie wzrok pełen wojowniczości.

- Słyszałam - ogłosiła - i uznałam, że przyda ci się przyjaciółka!

Cała fortyfikacja Maggie, która miała bronić jej przed światem, runęła, jakby została ostrzelana z armaty. Srebra spadły na podłogę, gdy pozęgłowała w ramiona Brookie, szlochając niczym pięcioletnie dziecko, które skaleczyło się w kolano.

- Och, Brooookie!

Brookie objęła ją gorąco, z sercem przepelnionym współczuciem i ulgą.

- Dlaczego nie przyszłaś do mnie? Tak się o ciebie martwiłam. Myślałam, że to dlatego, że coś nie tak zrobiłam albo powiedziałam. Sądziłam, że może nie jesteś zadowolona z pracy Todda i nie wiesz, jak mi to powiedzieć. Wyobrażałam sobie różne rzeczy. Och, Maggie, nie możesz przeżywać tego samotnie. Nie wiedziałaś, że możesz mi zaufać?

- Och, Brookie... - Maggie łkała, wyzwalając całą swą rozpacz w błogosławieństwie łez, przytulona do przyjaciółki. - Tak się bałam powiedzieć komukolwiek.

- Bać się? Mnie? - I czułym tonem: - Jak długo znasz starą Brookie, co?

- Ja... wiem, ale... - słowa Maggie przerywało łkanie -ale muszę wyglądać na kompletną idiotkę.

- Nie jesteś idiotką, przestań mówić w ten sposób. -Ale... powinnam wiedzieć... lepiej. I uwierzyłam muuu! - Ostatnie słowo zabrzmiało jak syrena przechodząca w głośny płacz.

- Więc uwierzyłaś mu - powtórzyła Brookie.

- On... powiedział, że... że ożeni się ze mną... jak tylko dostanie roz... - Słowa Maggie utonęły we łzach.

Brookie gładziła jej wstrząsane łkaniem plecy. -Wypłacz się porządnie. Potem usiądziemy, porozmawiamy i poczujesz się lepiej.

Z dziecięcym uporem Maggie wychlipała:

- Nigdy... nie poczuje się... lepiej.

Brookie kochała ją dostatecznie, żeby się uśmiechnąć.

- Ależ tak. I już dosyć. Całą mnie obsmarkałaś. Wytrzyj nos i oczy, a ja zrobię ci herbaty.

Wyjęła dwie torebki z pudełka i podsunęła Maggie krzesło.

- Siadaj. Wytrzymaj nos i odpocznij.

Maggie usłuchała. Brookie nastawiła wodę i otworzyła kredens.

W czasie gdy robiła cytrynową herbatę, i potem, gdy ją piły, Maggie zapanowała nad sobą i wylała wszystkie swoje żale, niczego nie pomijając, wyznając swój ból, utratę złudzeń i własne przewinienia jednym tchem.

- Czuję się taka głupia i naiwna. Brookie, ja nie tylko mu uwierzyłam, ale myślałam, że już więcej nie znajdę w ciąży. Kiedy powiedziałam o wszystkim Katy, zrobiła mi wykład na temat prezerwatyw i byłam tak zawstydzona, że chciałam umrzeć. Potem krzyczała na mnie, że nigdy nie uzna mojego bękarta za swoją siostrę albo brata, spakowała się i pojechała do matki. A matka - nie chcę nawet powtarzać tych połajanek, jakich musiałam wysłuchać, chociaż dobrze sobie na nie zasłużyłam.

- Skończyłaś? - spytała sucho Brookie. - Bo mam parę uwag. Po pierwsze, znam Eryka Seversona całe życie i to nie jest typ, który wykorzystuje kobietę i celowo ją okłamuje. Jeśli chodzi o Katy, to musi jeszcze dorosnąć. I potrzebuje czasu, żeby przyzwycząić się do sytuacji. Kiedy dziecko się urodzi, zmieni zdanie, poczekaj, a zobaczysz. Co do Very - nikt nie powiedział, że wychowywanie naszych matek będzie łatwe, prawda?

Maggie uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- A ty nie jesteś głupia! - Brookie wycelowała palec prosto w nos Maggie. - Myślałabym pewno równie mało o antykoncepcji, gdybym miała uderzenia gorąca i pochrzanio-ne miesiączki.

- Ale ludzie powiedzą...

- Kichaj na ludzi. Niech sobie mówią, co chcą. Tacy, na których ci zależy, uznają twoją rację.

- Brookie, popatrz na mnie. Mam czterdzieści lat. Pomijając już to, że dziecko jest nieślubne, nie ma żadnego po-

wodu by je mieć. Jestem za stara na matkę i istnieje poważne zagrożenie, że dziecko może urodzić się z defektem. A jeśli coś...

- Och, daj spokój. Pomyśl o Bette Midler i Glenn Close. Obie urodziły pierwsze dziecko po czterdziestce bez żadnych problemów.

Pozytywne podejście Brookie odniosło skutek. Maggie uniosła głowę i powiedziała: -Tak?

- Tak. Więc posłuchaj - jak to będzie? Poród naturalny? Potrzebujesz instruktorki? Mam dużą praktykę jako akuszerka! Osoby towarzyszącej?

- Dziękuję za propozycję, ale to będzie mój ojciec.

- Twój tata?

Maggie uśmiechnęła się.

- Kochany stary ojciec.

- To doskonale. Ale gdyby coś zaszło i nie mógł, dzwoń po mnie.

- Och, Brookie - powiedziała Maggie z uczuciem. Najgorsze już minęło, burza się uspokoiła. - Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Te słowa koły, przywracały wiarę w siebie, otwierały jaśniejsze perspektywy. Obie kobiety siedziały oparte o stół, mając przed sobą gliniany dzban w ptaszki, który Maggie kupiła we wcześniejszym okresie swej wojowniczej energii. Teraz powiedziała:

- Chyba nigdy sobie tego nie wyznałyśmy.

- Mnie też się tak zdaje.

- Nie uważasz, że najpierw trzeba dorosnąć, żeby powiedzieć to w sposób naturalny przyjaciółce?

- Tak przypuszczam. Musisz się nauczyć, że lepiej jest, jeśli się to wypowie, niż nie.

Obie się uśmiechnęły, złączone chwilą wzajemnego uczucia.

- Wiesz co, Brookie... -Hm...

Maggie zaczęła obracać zimną już szklankę w dłoniach; nie odrywała wzroku od herbaty.

- Moja matka nigdy mi tego nie powiedziała.

- Och, kochanie... - Brookie ujęła ją za rękę.

Maggie podniosła oczy, zdecydowana poradzić sobie z pustką, którą Vera w niej pozostawiła.

Wychowana została po chrześcijańsku. Wszystko, od reklam telewizyjnych i kartek z życzeniami poczynając, wyrabiało w niej przekonanie, że nie kochać rodziców to grzech.

- Brookie - powiedziała poważnie - czy mogę ci coś wyznać?

- Twoje sekrety są moimi sekretami.

- Wydaje mi się, że nie kocham swojej matki.

Spojrzenie Brookie napotkało smutne oczy Maggie. Ścisnęła mocniej jej dłoń, dodając odwagi. „

- Nie jestem wstrząśnięta, jeśli tego oczekiwałaś.

- Oczekiwałam, że będę czuła się winna, ale nie.

- Co jest tak szczególnego w poczuciu winy, że uważamy, iż powinniśmy poddawać mu się w takiej chwili? - Bardzo się starałam, ale nie odwzajemniła mi się niczym, nie dała mi niczego. Wiem, że przemawia przede mną egoizm. Nie powinno się mierzyć miłości wzajemnością.

- Gdzie to wyczytałaś? Na kartce z życzeniami?

- Nie uważasz mnie za osobę zdegenerowaną?

- Znasz mnie przecież. W tobie jest tylko ból.

- Tak, Brookie, to prawda. To ona powinna mnie teraz trzymać za rękę. Czy za dużo wymagam?

Gdyby Katy była w ciąży, nigdy bym się od niej nie odwróciła. Byłabym przy niej cały czas, ukrywałabym swoje niezadowolenie, bo nauczyłam się czegoś w życiu. Ludzie, którzy się kochają, czasami przynoszą sobie wzajemnie rozczarowanie.

- Oto właśnie zdrowy rozsądek, którym i ja się kieruję. Dzięki temu jest się bliżej rzeczywistości.

- Wracając tutaj myślałam, że będzie to także szansa dla matki na odbudowanie stosunków ze mną, jeśli nawet

nie opartych na miłości, to na akceptacji. Zawsze miałam wrażenie, że mnie nie akceptuje, a teraz... no cóż - powiedziała jasno, że nigdy tego nie zrobi. Brookie, żal mi jej, jest taka zimna, taka... daleka od wszystkiego, co wymaga czułości i troski, i boję się, żeby Katy nie stała się taka jak ona.

Brookie puściła dłoń Maggie i dołączyła herbaty do szklanek.

- Katy jest młoda i łatwo ulega wpływom, ale sądząc z tego, co widzę, kiedy jest z Toddem, nie musisz się obawiać jej chłodu.

- Chyba masz rację. - Maggie zrobiła mokre kółko na stole, stawiając swoją szklankę. - Ale to właśnie sprawa, o której też chciałam z tobą porozmawiać, o nich dwojgu. Myślę, że... że oni... że ich...

Spojrzała na Brookie i zobaczyła uśmiech.

- Usiłujesz powiedzieć: „łączy intymny stosunek”?

- A więc ty też to zauważyłaś?

- Zauważyłam tylko, o której Todd wraca co noc i jak połyka kolację w szaleńczym pośpiechu, żeby jechać po nią.

- To okropne, skoro ja... - Maggie znowu zamilkła, szukając słów dla wyrażenia, o co jej chodzi.

Brookie dopowiedziała bez ogródek:

- Jak masz powiedzieć córce, żeby była ostrożna, skoro ty sama wpadłaś, co?

Uśmiech Maggie był pełen winy.

- Właśnie. Widziałam, co się dzieje, i nic nie mówiłam, żeby nie wyglądać na hipokrytkę.

- Możesz przestać się martwić. Rozmawialiśmy z Toddem na ten temat, a właściwie Gene to zrobił.

- Naprawdę? - Maggie spojrzała zaskoczona.

- Tak. Mamy taki układ - on rozmawia z chłopcami, ja z dziewczętami.

-1 co Todd powiedział?

Brookie machnęła nonszalancko ręką.

- Powiedział: „Nie martw się tato, wszystko klawo, tato”.

Twarze obu kobiet rozjaśniły się; obie, Maggie i Brookie, wybuchnęły śmiechem. Popijając herbatę, rozmawiały o swoich doświadczeniach rodzicielskich, wspominając pierwsze własne doznania erotyczne. W końcu Maggie stwierdziła:

- Dużo się zmieniło, prawda? Zdajesz sobie sprawę, że po prostu siedzimy tu spokojnie, omawiając życie seksualne naszych dzieci, jakby chodziło o nowe ceny jarzyn?

- Hej, a kim my jesteśmy, żeby kogokolwiek osądzać? My, które ryzykowałyśmy kiedyś na tej samej łodzi, że nas przyłapią?

- My? Chcesz powiedzieć, że ty i Arnie też?...

- Tak. Ja i Arnie też.

Spojrzały na siebie. Myślami cofnęły się daleko, do dnia po maturze, widziały siebie na pokładzie „Mary Deare”, kiedy były młode, pełne wigoru, w punkcie zwrotnym swego życia.

Brookie westchnęła, oparła głowę na rękę i w zamyśleniu gładziła brzeg szklanki. Maggie przybrała podobną pozę.

- Eryk był twoim pierwszym mężczyzną, prawda?

- Pierwszym i jedynym poza Phillipem.

- Phillip wiedział o nim?

- Podejrzewał coś. - Maggie podniosła głowę: - A Gene wie o Arnie'em?

- Nie. Ja też nie wiem nic konkretnego o jego dawnych dziewczynach. Po co mielibyśmy sobie o tym mówić? To już bez znaczenia. Kwestia wieku.

- Niestety, mój pierwszy nie jest dziś bez znaczenia. Brookie zastanawiała się chwilę, po czym jęknęła:

- I pomyśleć, że to ja dałam ci jego numer i powiedziałam, żebyś nie była głupia i żebyś zadzwoniła.

- Tak, to wszystko twoja wina, kochanie. Wymieniły smutne uśmiechy.

- Co ty na to, że podrzucę ci czasem dziecko, kiedy będę musiała gdzieś wyjść?

Brookie roześmiała się.

- Nareszcie mówisz rozsądnie! Chyba zaczynasz przywykać do myśli o dziecku.

- Może tak.

- Wiesz, nie chciałam swoich dwóch ostatnich, ale dzieci znajdują jakiś sposób, żeby się w tobie zagnieździć!

To sformułowanie wywołało znowu tak upragniony śmiech. Kiedy się uspokoiły, Maggie wyprostowała się na krześle i oświadczyła poważnie:

- Jeszcze jedno wyznanie i koniec na dzisiaj! Brookie też się wyprostowała. -Strzelaj.

- Dalej go kocham.

-1 to właśnie jest najtrudniejsze, prawda?

- Ale przemyślałam wszystko i powiedziałam sobie: skoro zakochanie się w nim zajęło mi sześć miesięcy, dam sobie co najmniej tyle samo czasu, żeby się odkochać! Jak można się odkochać?

Im dłużej Maggie nie widziała Eryka, tym bardziej za nim tęskniła. Czekala, że to pragnienie obumrze, jak rolnik, który w tygodniach suszy obserwuje walkę roślin o przeżycie i mówi sobie: mech zwiędną, niech się to już wreszcie skończy! Ale niczym chwasty, które potrafią żyć bez wody, miłość Maggie do Eryka nie chciała zwiędnąć.

Minął sierpień, gorący, męczący i trudny miesiąc. Katy wróciła do szkoły bez pożegnania, Todd pojechał na ćwiczenia wojskowe, a Maggie zatrudniła starszą panią nazwiskiem Martha Dunworthy, która codziennie przychodziła sprzątać. Mimo pomocy Marthy dni Maggie były długie i wypełnione różnymi zajęciami.

Wstawała o wpół do siódmej, aby piec drożdżówki, przygotować soki i kawę, nakryć stół do śniadania i doprowadzić się do porządku.

Od wpół do dziewiątej do wpół do jedenastej podawane było śniadanie. Zasiadała przy stole ze wszystkimi gośćmi, aby z nimi porozmawiać, zdając sobie sprawę, że jej sympatia i życzliwość skłoni ich do powrotu. Kiedy ostatni z gości skończył jeść, sprzątała jadalnię, następnie kuchnię, wymeldowywała gości (często całymi grupkami, bo wyjeżdżali zazwyczaj już zaprzyjaźnieni), przyjmowała zapłatę, wypisywała rachunki i rozdawała kartki z widokiem Domu Hardinga, swoje wizytówki oraz słała z werandy przyjazne pozdrowienia odjeżdżającym. Przerywały jej zazwyczaj telefony w sprawie rezerwacji miejsc, które zaczynały się około dziesiątej (coraz liczniejsze, w miarę jak zbliżała się jesień, szczyt sezonu turystycznego w Doors). Miejscowe telefony nie były kłopotliwe: zwykle ktoś z izby handlowej sprawdzał, czy są wolne pokoje. Zamiejscowe pochłaniały znacznie więcej czasu i wymagały odpowiedzi na mnóstwo powtarzających się pytań przed dokonaniem rezerwacji. Kiedy gości już nie było, zapisywała przychody w księgach, odpowiadała na listy, porządkowała rachunki, wkładała ręczniki do pralki (pralnia brała tylko pościel), ścinała i układała kwiaty, wydawała dyspozycje dotyczące sprzątania Marcie i szła na pocztę. Około drugiej zaczynali zjeżdżać nowi goście z odwiecznymi pytaniami, gdzie zjeść, łowić ryby, kupić zapasy na piknik. W wolnych chwilach między wszystkimi tymi zajęciami Maggie przygotowywała sobie coś do jedzenia, szła do banku i załatwiała sprawy osobiste.

Podobało jej się to - naprawdę - ale dla kobiety w ciąży było nieco wyczerpujące. Musiała być na zawołanie właściwie bez przerwy. Nie było mowy o drzemce w ciągu dnia, bo nieustannie coś ją przerywało. Nawet jeśli ostatni gość nie przybył do wpół do jedenastej wieczorem, musiała być na nogach. Wolnych dni w ogóle nie było. Wieczorem, kiedy padała na łóżko, nogi miała obolałe i całe ciało jak zbite, ścisnęła czoło obiema rękami i myślała, że nie da sobie rady z tym wszystkim przy dziecku. Dziecko miało się urodzić gdzieś około Święta Dziękczynienia. Przyjmowała re-

zerwać do końca października, ale czasem wydawało jej się, że to zbyt niebezpieczny termin.

„Gdybym tylko miała koło siebie mężczyznę - myślała w chwilach słabości. -Gdybym tylko miała Eryka". Myśli o nim wciąż powracały, niedobre myśli.

Dwudziestego drugiego września Brookie zadzwoniła z wieściami, które sprawiły, że emocjonalny barometr Maggie spadł na łeb, na szyję.

- Czy wygodnie siedzisz? - zaczęła Brookie.

- Teraz tak. - Maggie usadowiła się na stołku obok lodówki. - O co chodzi?

- Nancy Macaffee poroniła.

Maggie wstrzymała oddech i czuła, jak jej serce szaleńczo przyspiesza rytm.

- To się stało w Omaha, kiedy była w podróży służbowej. Ale, Maggie, obawiam się, że dalszy ciąg nie jest dobry. Mówią, że Eryk zabrał ją w rejs do Saint Martin i Saint Kitts dla podratowania jej zdrowia i ich małżeństwa. Maggie poczuła, że jej chwilowa nadzieja pryska.

- Maggie, jesteś tam? - Tak... jestem.

- Przykro mi, że ci to mówię, ale uważałam, że powinnaś wiedzieć.

- Tak... tak, cieszę się, że to zrobiłaś, Brookie.

- Hej, dziecino, wszystko w porządku?

- Oczywiście.

- Chcesz, żebym przyjechała albo coś?

-Nie. Posłuchaj. Czuję się doskonale. Naprawdę. Widzisz... w gruncie rzeczy już się od niego uwolniłam! -stwierdziła z udaną werwą.

Uwolniła się? Jak można się uwolnić od mężczyzny, którego jedyne dziecko nosi? To pytanie nawiedzało ją w bezsenne noce, kiedy zbliżał się termin, kiedy jej ciało się zaokrągliło, a sen przerywały nieustanne wędrówki do łazienki. Kiedy spuchły jej kostki, twarz obrzmiała, i Maggie zaczęła chodzić do szkoły rodzenia z Royem.

Nadszedł październik i Door County ustroiło się w swe jesienne szaty - klony i brzozy zapłonęły kolorami, sady jabłkowe uginały się pod ciężarem owoców. Jej pokoje były zajęte każdej nocy i wszyscy goście wydawali się zakochani. Przyjeżdżali parami, zawsze parami. Maggie obserwowała, jak idą w stronę jeziora, trzymając się za ręce, siadają na przystani, spoglądając na odbicia klonów, które w spokojnej niebieskiej wodzie robiły wrażenie żywych płomieni. Czasami się całowali. A czasami ryzykowali bardziej intymną pieśczętą i wracali do domu z wyrazem spełnienia w oczach. Obserwując ich, Maggie odsuwała się od okna, kołysząc swój sterczący brzuch. Spędzała dni na gorzko-słodkim oczekiwaniu. Widok par sprawiał, że oczekiwała narodzin dziecka jako najsamotniejszej istoty na świecie.

- Damy sobie radę - przemawiała do niego na głos. - Mamy twojego dziadka i Brookie, i mnóstwo pieniędzy, a także wielki dom. A kiedy będziesz dość duży czy duża, kupimy łódź żaglową i nauczę cię wszystkiego, a potem oboje popłyniemy do Chicago. Damy sobie radę.

Pewnego popołudnia w październiku, kiedy panowało prawdziwe babie lato, zdecydowała się pójść do miasta po pocztę. Włożyła plecione pantofle i brązowy sweter, a w drzwiach zostawiła kartkę:

Wrócę o czwartej.

Klony i topole były już bezlistne, liście opadały jeszcze tylko z dębów wzdłuż Cottage Row, kiedy schodziła w dół wzgórza. Uwijały się wiewiórki, niebo było intensywnie niebieskie, szła po szeleszczących liściach.

Na ulicach nie było już wielkiego ruchu. Z portu odpłynęła większość łodzi. Niektóre sklepy zamknięto, w innych nie było zbyt wielu klientów. Kwiaty przy Main Street zwiędły, tylko nagietki i chryzantemy przetrzymały przymrozki.

Przedsiónek poczty był pusty, kiedy Maggie się tam znalazła. Podeszła prosto do swojej skrzynki, wyjęła listy, zatrzasnęła drzwiczki i odwróciła się, aby ujrzeć Eryka Seversona w odległości dziesięciu stóp od siebie.

Oboje znieruchomieli. Serce zaczęło jej bić szybciej. Jego twarz pokrył rumieniec.

- Maggie... - odezwał się pierwszy. - Witaj.

Stała niby przykuta do miejsca, czując, jak krew usiłuje wytrysnąć jej uszami i zalać ścianę.

Zaczarowana jego obecnością. Wchłaniająca znajomy widok opalonej twarzy, rozwichrzonych włosów, niebieskich oczu. Dostrzegająca coś nowego - brązowe dżinsy, koszulę w kratę, puszystą kamizelkę - w absurdalnym poczuciu, że została oszukana, pozbawiona czasu, kiedy te rzeczy kupował.

- Cześć, Eryku.

Jego spojrzenie zatrzymało się na luźnym swetrze, który skrywał jej wystający brzuch. *Błagam, niech nikt nie wejdzie.* Eryk przełknął ślinę i podniósł wzrok na jej twarz.

- Jak się czujesz?

- Doskonale - odpowiedziała dziwnie wysokim głosem. - Po prostu świetnie... - Nieświadomie osłoniła brzuch trzymanymi w ręku listami. - A ty?

- Bywałem szczęśliwszy - odpowiedział ze spojrzeniem pełnym udręki.

- Słyszałam, że twoja żona straciła dziecko. Bardzo mi przykro.

- Tak... czasami takie rzeczy... wiesz... - Głos mu zamarł, a spojrzenie powróciło do jej talii, jakby przyciągane jakąś magnetyczną siłą. Sekundy wydłużały się niczym lata świetlne, kiedy stał tak, pełen zachwyty i jak zahipnotyzowany patrzył na Maggie. W sąsiednim pomieszczeniu zaterkotała maszyna i ktoś przeciągnął ciężki wózek po podłodze. Kiedy znowu odważył się spojrzeć Maggie w twarz, odwróciła oczy.

- Podobno podróżowałaś - powiedziała, starając się, aby brzmiało to naturalnie.

- Tak, na Karaiby. Myślałem, że to pomoże jej... nam dojść do siebie.

Hattie Hockenbarger, dwudziestoosmioletnia weteranka pracy na poczcie, pojawiła się w okienku, otworzyła szufladę i wyciągnęła stos kartek.

- Cudowny dzień, prawda? - zwróciła się do obojga.

Odpowiedzieli jej roztargnionymi spojrzeniami, ale żadne nie wymówiło słowa, dopóki nie wyszła do drugiego pokoju. Teraz mogli kontynuować rozmowę.

- Miała kłopoty z pozbieraniem się - mruknął cicho Eryk.

- No, tak... - Maggie zamilkła, nie mając nic do powiedzenia na ten temat.

Po kilku sekundach przemówił zachrypłym, nabrzmiałym uczuciem głosem, zbyt cichym, żeby ktoś dalej stojący mógł dosłyszeć:

- Maggie, wyglądasz cudownie.

„Ty też”. Ale nie wypowiedziała tego, nie patrzyła na niego, tylko na plakaty na ścianie, usiłując skryć się za zasłoną błahej paplaniny:

- Lekarz mówi, że jestem zdrowa jak koń, a tata zgodził się być moim partnerem przy porodzie. Dwa razy w miesiącu chodzimy na kurs i dobrze mi idzie z ćwiczeniami, więc...

Dotknął jej ręki i zamilkła, niezdolna oprzeć się ciężarowi jego spojrzenia. Poczowała się zdruzgotana, bo wyczytała z tych oczu, że jego uczucia nie uległy zmianie. Cierpiał tak, jak ona cierpiała.

- Wiesz już - dziewczynka czy chłopiec? - wyszeptał. *Nie pytaj, niech cię to nie obchodzi! Nie, jeśli nie mogę mieć ciebie!* Za chwilę nie zdoła wypowiedzieć słowa przez zaciśnięte gardło. Za chwilę z oczu trysną jej łzy. Za chwilę zrobi z siebie jeszcze większą idiotkę na środku poczty.

- Maggie, czy wiesz? Nie - szepnęła.

- Potrzebujesz czegoś? Pieniądzy, czegokolwiek?

- Nie. - Tylko ciebie.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Althea Munne w towarzystwie Marka Brodie, który mówił:

- Słyszałem, że trener Beck wystawia jutro Muellera. To może być dobra gonitwa. Miejmy nadzieję, że ciepła pogoda... - Spojrzał i zaniemówił. Długo trzymał drzwi, które otworzył dla Althei. Jego spojrzenie przesunęło się od Maggie do Eryka. Maggie wzięła się w garść na tyle, aby powiedzieć:

- Cześć, Mark.

- Cześć, Maggie... Eryku i... - Skinął głową i pozwolił, aby drzwi się zamknęły.

Stali tak we trójkę jak żywy obraz niezręcznej sytuacji, obserwowani przez Altheę Munne i Hattie Hockenbarger, która powróciła do okienka na odgłos otwieranych drzwi.

Spojrzenie Marka padło na brzuch Maggie i policzki mu poróżwiały. Nie dzwonił do niej, odkąd rozeszły się plotki o Eryku.

- No, muszę już iść. Mam nowych gości - zaimprovizowała Maggie, udając radosny uśmiech. - Miło cię było spotkać, Mark. Altheo, cześć, jak się miewasz? - Pośpieszyła do drzwi wyczerpana emocją, czerwona na twarzy i drżąca, bliska łez. Na dworze wpadła na parę turystów, usiłując iść obok chodnika. Miała zamiar kupić po drodze hamburgery na kolację, ale ojciec z pewnością zauważyłby jej zdenerwowanie i zadawał pytania. Wspinała się na wzgórze, nie zwracając uwagi na piękno popołudnia i ostry zapach opadłych liści.

Eryk, Eryk, Eryk.

Jak zdołam tu mieszkać do końca życia, wpadając na niego nieoczekiwanie, tak jak teraz? To było dostatecznie dramatyczne dzisiaj; z jego dzieckiem na rękę będzie nie do wytrzymania. W myślach ujrzała siebie i ich dziecko, syna, jak za dwa lata wchodzi na pocztę i spotykają wysokiego mężczyznę z blond włosami i upartym spojrzeniem, którego nie będzie w stanie od nich oderwać. A dziecko spyta: „Mamo, co to za pan?” Nie zniesie tego. To nie ma nic wspólnego ze wstydem. To sprawa miłości. Miłości, która uparcie odmawia zwiednięcia, mimo wszelkich wysiłków.

Miłości, która przy każdym przypadkowym spotkaniu będzie ujawniać się równie wyraźnie, jak opadłe liście ujawniają jesień.

Po prostu nie jesteś w stanie tego wytrzymać, Maggie. Nie możesz tu mieszkać z jego dzieckiem bez niego, a więc jedynym wyjściem jest wyjechać.

Rozdział 19

To lato było dla Nancy Macaffee pełne napięć. Udawanie ciąży wyczerpało ją nerwowo i nie przywróciło uczucia Eryka, choć miała nadzieję, że tak się stanie. Pozostawał daleki i zasmucony, ledwie jej dotykał i rozmawiał z nią tylko o najbardziej podstawowych sprawach. Więcej czasu niż kiedykolwiek spędzał na łodzi, pozostawiając ją samą przez większość weekendów, na które wracała do domu.

Jedyne oznaki wyrzutów sumienia pojawiły się u Eryka, kiedy zadzwoniła do niego ze szpitala Św. Józefa w Omaha, aby powiedzieć o poronieniu. Zaproponował podróż na Wyspy Bahama, żeby mogła wrócić do równowagi, i zrezygnował na tydzień z czarterów, żeby ją tam zabrać. Na wyspach jednak, pośród uroków tropiku, gdzie miłość ich miała rozkwitnąć, pozostawał zamknięty w sobie i niekomunikatywny.

Po powrocie do domu wzięła sobie miesiąc wolnego, aby spróbować domowego życia. Miała to być ostatnia próba odzyskania jego uczucia. Spędzała dni, telefonując do jego matki po przepisy na pieczenie chleba, piorąc i woskując podłogi, ale nienawidziła każdej minuty tak spędzanego czasu. Jej życie stało się pozbawione sensu bez owego wyzwania, jakie niosły wyniki sprzedaży i pełne napięcia tempo cotygodniowych podróży; bez konieczności strojenia się każdego dnia i zanurzania w bystry nurt biznesu, gdzie ludzie mają szyk, styl i przejawiają ten typ agresywności który ją podniecał. Okres spędzony w domu okazał się jałowy, bo Eryk wyczuł jej niepokój i powiedział kiedyś:

- Powinnaś wrócić do pracy. W domu chyba zwariujesz. W październiku zrobiła to. Ale nadal szukała sposobu

zdobycia go na nowo. Najnowsza taktyka obejmowała jego rodzinę.

- Kochanie - rzekła w pewien piątkowy wieczór, kiedy wrócił do domu stosunkowo wcześnie. - Pomyślałam, że może powinniśmy zaprosić Mike'a i Barbarę na niedzielę wieczór. To z mojej winy nie nawiązaliśmy bliższych stosunków, ale chcę to naprawić. Zaprośmy ich na kolację. Moglibyśmy podać langustę.

- Dobrze - zgodził się obojętnie. Siedział przy stole kuchennym, wypełniając księgę rachunkową; na nosie miał okulary i ostrzygł sobie krótko włosy, co nadawało mu wojskowy wygląd. Co za profil! Prosty nos, mocno zarysowany łuk ust, miła linia policzków - po prostu młody Charles Lindbergh. Patrząc na Eryka, zawsze odczuwała wewnętrzny skurcz, myślała o ich wzajemnej bliskości. Czy on już nigdy do niej nie wróci? Stanęła za oparciem krzesła, położyła Erykowi rękę na ramieniu i pieśczośliwie dotknęła wnętrza jego ucha palcem.

-Hej...

Spojrzał w górę.

- Naprawdę się staram.

Podniósł okulary na czoło i zaczął obracać ołówek w ręce.

- Nancy, mam robotę. Nalegała:

- Powiedziałeś, że chcesz dziecka. Spróbowałam. Powiedziałeś, że się wywyższam nad twoją rodzinę. Przyznaję, że tak było, i pragnę to odrobić. Powiedziałeś, że chcesz mnie w domu. Widzę, że choć tak zrobiłam, na nic się to nie przydało. Co robię źle?

Ołówek znieruchomiał, ale Eryk nie podniósł głowy.

- Nic... - powiedział. - Nic.

Stała z rękoma w kieszeniach spódnicy, przytłoczona świadomością, którą odpychała od siebie przez te wszyst-

kie tygodnie, świadomością, która przepełniała ją strachem i niepewnością. Mąż jej nie kocha. Była tego tak samo pewna jak tego, kogo kocha.

Maggie obudził ósmego listopada o pierwszej w nocy mocny, szarpiący skurcz, który zmusił ją do otworzenia oczu, jakby to było walenie do drzwi. Pomasowała brzuch i leżała zupełnie nieruchomo, pragnąc, aby ból minął, powtarzając sobie, że jest dwa tygodnie przed czasem. Nie pozwól, żeby dziecku coś się stało! Kiedy gwałtowny skurcz powtórzył się, zamknęła oczy, powtarzając nieświadomie słowa modlitwy. Od kiedy zaczęła pragnąć tego dziecka?

Zapaliła światło, wstała, sprawdziła wskazówkę minutnika na zegarku, po czym znów się położyła, wspominając swój pierwszy poród, jakże inny, kiedy Phillip był przy niej. Ciągnęło się to długo, całe trzynaście godzin. W domu najpierw chodzili, potem tańczyli, między bólami śmiali się oboje z jej niezgrabnych ruchów. Phillip niósł walizeczkę i prowadził Maggie drugą ręką, mocno ją trzymając. Kiedy ostry ból przenikał jej ciało niby ostrze brzytwy, spuszczał szyby w samochodzie i zapalał czerwone światło. Jego twarz była ostatnią, jaką widziała, gdy zabierano ją na porodówkę i pierwszą, którą zobaczyła po przebudzeniu. Jakież to dawało poczucie pewności! Jak przygnębiające będzie teraz radzić sobie bez męża! Kolejny atak bólów. Osiem minut... zadzwonić do taty... zadzwonić do doktora.

Dr Macklin powiedział:

- Proszę zaraz przyjeżdżać do szpitala. Roy powiedział:
- Już jadę.

Vera oświadczyła Royowi:

- Nie spodziewaj się, że pokażę się choćby w pobliżu szpitala!

Sięgając po koszulę i buty odpowiedział:

- Nie, Vero, nie spodziewam się. Nauczyłem się nie oczekiwać od ciebie niczego w potrzebie.

Usiadła, z siatką na włosy spiętrzoną niczym gniazdo nad czołem, z twarzą dziwnie przez to pomniejszoną.

- Widzisz, do czego doprowadziła? To tkwi jak klin między nami. Ta dziewczyna okryła nas hańbą i zupełnie nie rozumiem, jak możesz...

Trzasnął drzwiami, zostawiając ją opartą na jednej ręce, ciągle karcącą go z łóżka, które dzielili od ponad czterdziestu lat.

- Cześć, kochanie - powiedział radośnie, kiedy już zjawił się u Maggie. - A więc mała osóbką przychodzi na świat?

Maggie nie sądziła, że może pokochać ojca jeszcze bardziej, ale dwie następne godziny przekonały ją, że to jednak możliwe. Ojciec i córka nie mogliby przejść przez tak intymne doświadczenie bez cudownej, podnoszącej na duchu świadomości, że wiąże ich nowa, jeszcze mocniejsza nić.

Roy był wspaniały, Miał w sobie wszystko to, czego brakowało Verze: łagodność, bezgraniczną miłość, siłę, kiedy Maggie potrzebowała wsparcia, nawet humor, gdy trzeba było podtrzymać ją na duchu. Bała się pewnych momentów - kiedy będzie musiał być świadkiem jej bólu, kiedy jej ciało w ten czy inny sposób będzie badane, a przede wszystkim, kiedy obnaży się w jego obecności po raz pierwszy, Ale on pozostał niewzruszony. Przyjął jej nagość, wspominając pewną starą historię z dzieciństwa.

-Kiedy miałaś chyba pięć lat, może sześć, rodziłaś pierwsze dziecko. Pamiętasz?

Pokręciła przecząco głową na poduszce.

- Nie? - Uśmiechnął się. - Ale ja pamiętam. To było w czasach, kiedy dostarczaliśmy towary ze sklepu do domów. Jeżeli ktoś był chory albo jakaś staruszka nie miała samochodu czy prawa jazdy, zawoziliśmy jej zakupy. Pewnego dnia rozległ się dzwonek, a kiedy poszedłem otworzyć, stałaś tam z lalką zawiniętą w brązową papierową tor-

bę i powiedziałaś, wręczając ją mnie: „Mam córeczkę psyslaną ze szpitala...” Sepleniałaś.

- Och, tato, zmyślasz! - Maggie nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Ależ nie. Przysięgam na swoje przyszłe wnuczę, że nie! - Poklepał jej duży, sterczący brzuch. - Musiałaś coś usłyszeć o szpitalu, dzieciach i doręczaniu, i skojarzyło ci się to wszystko z brązową papierową torbą; w takich rozwoziłem zamówienia.

Roześmiała się, ale w tej samej chwili zaczęły się bóle. Zacisnęła powieki i powiedziała z wysiłkiem:

- Chciałabym, żeby... to było... takie łatwe!

- Jeszcze nie przyj - nakazał. - Krótki oddech. Napnij mięśnie... przez chwilę. Właśnie tak, kochanie. - Kiedy ból ustał, wytarł jej czoło chusteczką zmoczoną w zimnej wodzie.

- Otóż to. Było ślicznie. Zdaje się, że wszystko idzie dobrze.

- Tato - powiedziała patrząc na niego - Nie chciałam, żebyś widział mnie w bólach.

- Wiem, ale będę silny, jeśli i ty będziesz. Poza tym to całkiem interesujące dla starego człowieka.

Kiedy ty się rodziłaś, nie miałem szansy nawet rzucić okiem, bo w tamtych czasach ojców wyrzucało się do zadymionych palarni.

Sięgnęła po jego rękę. Był na miejscu, odpowiedział mocnym uściskiem. Oboje wiedzieli, że powiedzieć teraz „kocham cię” byłoby czymś sztucznym.

Przy stole ginekologicznym, kiedy krzyknęła, a potem natężyła się, aby wyprzeć dziecko ze swego ciała, okazał się jeszcze dzielniejszy.

- Właśnie tak, kochanie! Z całej siły!

Kiedy ukazała się główka dziecka, Maggie otworzyła oczy i ujrzała w lustrze odbicie twarzy Roya, uśmiechniętej i pełnej zachwyty. Otarł jej czoło i powiedział:

- Jeszcze raz, kochanie!

I wtedy właśnie przeżyli tę chwilę, do której zmierza cały cykl życia. Z pokolenia w pokolenie. Przez wieczność.

Dziecko wyśliznęło się na świat i Roy wykrzyknął radośnie:

- Dziewczynka! - po czym dodał zafascynowany: - O Boże!... O Boże! - tym ściszym z nagłą głosem, jakim mówi się, podziwiając doskonale piękny kwiat róży czy zachód słońca. - Popatrz na nią, spójrz na moją prześliczną małą wnuczkę!

Dziecko zakwiliło.

Roy otarł oczy rękawem zielonego kitla. Maggie wyczuła dłońmi mokre nagie ciało na brzuchu.

Dotknęła swojej córeczki po raz pierwszy jeszcze przed przecięciem pępowiny.

Zanim niemowlę zostało wykapanie, trzymali je razem, tworząc żywą więź trzech pokoleń: szorstkie, spracowane dłonie Roya na delikatnym brzuszku dziecka i delikatne ręce Maggie na główce z mokrymi blond włoskami.

- To jakby mieć ciebie na nowo - powiedział Roy. Maggie podniosła mokre od łez oczy, a Roy pocałował ją

w czoło. To był jakby gest błogosławieństwa. Czuwał przy niej, wspaniały, kochający ojciec, oddany i pełen dobrych chęci. Udzielał Maggie - Maggie i dziecku - lekcji miłości w jednym z jej niezliczonych przejawów.

- Tato - powiedziała - dzięki za to, że jesteś tutaj, i za to, że jesteś sobą.

- Dzięki, że mnie zaprosiłaś, najdroższa. Dziewiątego listopada Mike zadzwonił do Eryka.

- Kuzynka Barb, Janice, dała nam znać ze szpitala. Maggie wczoraj w nocy urodziła dziewczynkę.

Eryk zamilkł jak rażony gromem.

- Eryku, jesteś tam? Milczenie. -Eryku?...

- Tak, jestem... Jezus, dziewczynka!

- Sześć funtów. Trochę za drobna, ale wszystko jest w porządku.

Dziewczynka, dziewczynka! Mam córeczkę!

- Urodziła się koło dziesiątej wieczorem. Barb uważa, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Czy Maggie dobrze się czuje?

- O ile wiem, tak.

- Janice ją widziała? I dziecko?

- Nie wiem. Pracuje na innym piętrze. -No tak...

- Posłuchaj, mam nadzieję, że mogę złożyć ci gratulacje. Do licha, nie wiem, co innego powiedzieć.

Eryk oddychał szybko.

- Dzięki, Mike.

- Dobra. Słuchaj, czy z tobą wszystko w porządku? Może chcesz przyjść? Napić się piwa? Przejechać się? - Nie, wszystko dobrze.

- Jesteś pewien?

- Tak... ja., do diabła... - Głos mu się załamał. - Mike, muszę iść. - Po odłożeniu słuchawki zaczął chodzić w kółko oszołomiony, wyglądał przez okna, patrzył na rzeczy, nie widząc niczego. Jak ma na imię? Jakiego koloru włosy? Czy leży w jednym z tych szklanych pojemników, które wyglądają jak ogromne dzieże do ciasta? Czy płacze? Czy się ją przewija? Czy Maggie karmi ją w swoim pokoju? Jak wyglądają razem, Maggie i jej córeczka?

W myślach widział obraz ciemnej głowy pochylonej nad jasną, dziecko ssące butelkę... albo pierś.

Czuł się jak wtedy, w godzinę po śmierci ojca. Bezradny. Oszukany. Tłumiący płacz.

Nancy weszła z zakupami, więc zmusił się do normalnego zachowania.

- Cześć, nikt nie dzwonił? - zapytała.

- Mike.

- Chyba przyjdą dzisiaj?

- Tak, ale prosił mnie, żebym przedtem pomógł mu jeszcze przesunąć stary pojemnik z olejem.

Wyrzucimy go na złom. # Nareszcie namówili mamę na zmianę ogrzewania.

Instalację założono w zeszłym tygodniu. Było to logiczne kłamstwo.

-1 to wszystko? -Tak.

Poruszał się niczym samolot prowadzony przez automatycznego pilota - na górę ogolić się, zmienić ubranie, uczesać włosy i skropić twarz wodą po goleniu - myśląc cały czas: „Zwariowałeś, człowieku! Trzymaj się z daleka od szpitala!”

Ale szykował się dalej, niezdolny do przerwania tego transu, gdyż zdawał sobie sprawę, że to jedyna szansa, aby ją zobaczyć. Kiedy Maggie zabierze ją do domu, może trwać miesiące, lata, zanim dziecko stanie się dość duże, aby spotkał je w mieście.

Jedno spojrzenie, jeden rzut oka na córkę i wyniesie się.

W sypialni przed oświetlonym lustrem Nancy raz jeszcze sprawdził swój wygląd, żałując, że nie włożył dresu i sportowej kurtki. Byłby to odpowiedniejszy strój do przenoszenia starego pojemnika mamy na złomowisko. Biała koszula włożona była zbyt ciasno w dzinsy, ale poprawi ją później; teraz tylko przycisnął ręką niespokojny żołądek. *Czego się boisz?* Odetchnął głęboko, odwrócił się od swego odbicia i zszedł na dół po marynarkę.

Wkładając ją, starał się nie napotkać oczu Nancy. Zapytał tylko:

- Czy mam ci pomóc przy kolacji?

- Robisz doskonały winegret. Może przyprawisz sałatę.

- Dobrze. Będziemy mieli na to mnóstwo czasu. Wybiegł, zanim zdążyła go pocałować na pożegnanie. Miał nową furgonetkę Forda. Żadnych reklam na drzwiach, nic, co by zdradzało, kto jest właścicielem. Jadąc w ponure listopadowe popołudnie w stronę szpitala w Door County, wspominał podobny dzień, tyle że śnieżny, kiedy jechali z Maggie do Sturgeon Bay na wyprzedaż. To wówczas kupili łóżko, na którym ich córka została zapewne po-

częta. Łóżko stojące teraz w pokoju krużgankowym w Domu Hardinga. Kto w nim sypia? Obcy ludzie? A może Maggie zatrzymała pokój dla siebie? Czy w jednym kącie stoi kołyska? A może łóżeczko dziecinne przy ścianie? Fotel na biegunach w drugim rogu?

Boże, jak bardzo za tym tęsknił. Te wszystkie miłe, zwyczajne sprzęty świadczące o tym, że w domu jest dziecko, jakże mu ich brak!

Szpital - trzypiętrowy budynek z cegły - znajdował się w północnej części miasta, gdzie domów było mniej. Oddział położniczy mieścił się na pierwszym piętrze. Eryk znał drogę i nie musiał pytać: był tam już sześć razy oglądać dzieci Mike'a i Barb. Mnóstwo razy stał przed szklaną szybą, patrząc na różowe twarzyczki małych istotek i myśląc, że pewnego dnia zobaczy tam swoje dziecko; w miarę upływu lat uświadamiał sobie, że szanse na to są coraz mniejsze. A teraz jechał windą i przekraczał podwójne drzwi oddziału położniczego, wreszcie jako ojciec, choć musi się wkradać, aby zobaczyć własną córeczkę.

Z dyżurki pielęgniarek wyjrzała pulchna czterdziestoletnia kobieta ze znamieniem na lewym policzku, w grubych okularach powiększających jej oczy i zabarwiających je na różowo. Znał procedurę - kto chciał zobaczyć dziecko, prosił pielęgniarkę, aby przyniosła je do szyby, ale Eryk nie zamierzał prosić. Albo będzie miał szczęście, albo nie.

Kiwnął głową w stronę kobiety i przeszedł, nie mówiąc ani słowa. Mijając otwarte drzwi sal, zerkał do środka i zastanawiał się, gdzie może być Maggie. Mówił sobie, że jeśli ją zobaczy, nie zatrzyma się, a jednocześnie czuł się niemal chory z tęsknoty, wiedząc jak jest blisko. Tuż obok, za jedną z tych ścian, leży na wysokim, twardym łóżku. Jej ciało powraca do zdrowia, jej serce - co z jej sercem? Czy także powraca do zdrowia? Czy nadal boli na wspomnienie o nim, jak jego serce na myśl o niej? Gdyby zapytał o numer pokoju i nagle stanął w drzwiach, jaka byłaby jej reakcja?

Doszedł do okna pokoju niemowląt, nie spotykając nikogo, i zajrzał do środka. Białe ściany ozdobione wizerunkami kolorowych króliczków i misiów. Okno z drugiej strony. Zegar z niebieską tarczą. Trzy zajęte szklane kojce. Jeden z niebieską kartką, dwa z różowymi. Z daleka nie mógł odczytać nazwisk. Stał wstrząśnięty, spocony, czując, jak krew napływa mu do serca, i nie mogąc złapać tchu, jakby ktoś gwałtownie przygiął go do ziemi.

Niemowlę z różową kartką po lewej leżało na plecach. Kwiliło. Zbliżył się do szyby i wyjął okulary z kieszeni. Kiedy je włożył, różowa kartka stała się czytelna.

Suzanne Marian Stearn.

Jego reakcja była natychmiastowa i gwałtowna. Potężna fala uniosła go pod sufit i opuściła na podłogę. Huczało mu w uszach - czy to były uderzenia pulsu? Szczypało w oczy - czy to łzy? Czuł się jednocześnie zaspokojony i pragnący, usatysfakcjonowany i pusty. Żałował, że zaszedł tak daleko, a zarazem był pewny, że połamałby kości każdemu, kto próbowałby go zatrzymać.

Ojcowska miłość. Instynktowna, a przecież prawdziwsza i bardziej żywiołowa niż jakiegokolwiek uczucie, którego dotychczas doświadczył.

Włoski dziecka przypominały jasny roślinny meszek. Otaczały idealną aureolą główkę i były takie jak jego własne na zdjęciu z dzieciństwa, jak Anny i matki Anny. - Suzanne? - szepnął dotykając szyby. Była czerwona i niezadowolona, jej twarzyczkę wykrzywiał grymas złości; oczy miała przysłonięte różowymi powiekami, płakała. Nóżki wierzgały gniewnie w białej pieluszce.

Odizolowany szybą, czuł intensywne pragnienie wzięcia Suzanne w ramiona, choćby miał rozbić szybę. Nigdy nie czuł się tak odsunięty, tak poniechany.

Podnieść ją! Niech ktoś ją podniesie! Ma mokro albo jest głodna, a może boli ją brzusek, nie widzicie? Może światło jest za jasne, może ona chce uwolnić ręce? Niech ktoś jej wyjmie rączki, chce je zobaczyć!

Przez szybę słyszał płacz, słaby, miauczący dźwięk, przypominający głos małej sarenki w oddali. Weszła uśmiechnięta pielęgniarka i podniosła Suzanne ze sterylne go pościelenia, przemawiając czule do niemowlęcia. Na identyfikatorze widniało nazwisko Sheila Helgeson. Była to miła młoda kobieta o kasztanowych włosach i z dołeczkami w policzkach, nie znana Erykowi. Kołysała dziecko na rękę; fałda koszulki odsunęła się, ukazując Suzanne w całej okazałości.

Pod wpływem dotknięcia pielęgniarki dziecko natychmiast się uspokoiło i otworzyło buzię w oczekiwaniu na pokarm. Kiedy nic nie dostało, znowu podniosło krzyk. Sheila Helgeson huśtała Suzanne łagodnie, z uśmiechem spoglądając na mężczyznę za szybą.

- Czas na karmienie! - Odczytał to z ruchu jej warg i ogarnęło go niezwykle silne poczucie straty, kiedy wyniosła dziecko z sali noworodków.

Wróć! Jestem jej ojcem i nie będę mógł przyjść drugi raz!

Skurcz w gardle i ból w piersi. Strach.

Eryk chwycił powietrze szybkimi, krótkimi haustami, usiłując zapanować nad swoim organizmem.

Odwrócił się i odszedł, a jego kroki rozbrzmiewały echem w pustym hallu. Jedno pytanie wystarczyłoby, aby się dowiedzieć, jaki jest numer pokoju Maggie. Mógłby wejść i usiąść przy jej łóżku, wziąć ją za rękę... i co? Użalać się wraz z nią na sytuację? Powiedzieć, że wciąż ją kocha? Że żałuje? Zadać jej jeszcze większy ból?

Nie, najlepsze, co mógł dla niej zrobić, to wyjść stąd.

W windzie oparł głowę o ścianę i zamknął oczy, walcząc ze łzami.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Brookie z wielkim bukietem kwiatów.

Żadne z nich się nie poruszyło, dopóki drzwi nie zaczęły się zasuwać, i Eryk zatrzymał je wychodząc.

Stanęli naprzeciw siebie, poważni, niepewni, co powiedzieć.

- Cześć, Brookie.

- Cześć, Eryku.

Nie byio sensu udawać.

- Nie mów jej, że byłem.

- Będzie chciała wiedzieć.

- Tym bardziej nie należy jej mówić.

- Więc pogodziłeś się z żoną?

- Staramy się. - Jego twarz nie wyrażała radości, kiedy to mówił. - Co Maggie ma zamiar zrobić z pensjonatem? - Na razie go zamknęła. Ma zamiar wystawić dom na sprzedaż wiosną.

Kolejny cios. Przymknął oczy.

- O Boże!

- Uważa, że najlepiej będzie, jeśli zamieszka gdzie indziej.

Dopiero po chwili milczenia zdolny był znowu przemówić.

- Jeśli dowiesz się, że czegoś potrzebuje - jakiejś pomocy, daj mi znać, dobrze?

- Oczywiście.

- Dzięki, Brookie.

- Ależ nie ma za co. Uważaj na siebie.

- Dobrze, tylko nie mów jej, proszę, że byłem.

Podniosła dłoń w geście pożegnania, nie obiecując niczego, i patrzyła, jak dochodzi do drzwi. Idąc do pokoju Maggie, zastanawiała się, jak ma postąpić wobec przyjaciółki - powiedzieć czy nie? Maggie ciągle kochała Eryka, ale bardzo starała się wyzwolić z tego uczucia i przeboleć utratę ukochanego.

Brookie weszła do pokoju Maggie akurat w chwili, gdy pielęgniarka podawała jej niemowlę.

- Cześć, Mag, jak tam biust? - zawołała.

Maggie podniosła wzrok i roześmiała się, podając dziecku butelkę.

- W tej chwili nie najgorzej, dopiero za dzień czy dwa, kiedy pojawi się mleko, będę miała piersi jak dwa melony. Ale lepiej zobacz, co tu trzymam!

-Ach, oto z dawna oczekiwane potomstwo. - Brookie podeszła do łóżka, kiedy tylko pielęgniarka wyszła z pokoju. - Cześć, Suzanne, jak się miewamy w atmosferze niskiej wilgotności? Boże, Mag, jak ona się gapi. To niesłychane. Aż zezuje!

Śmiech Maggie sprawił, że niemowlę w jej objęciach podskoczyło.

- Przyniosłaś kwiaty?

- Dla małej, nie dla ciebie.

- To je rozpakuj, żeby mogła zobaczyć.

- W porządku. - Brookie rozerwała opakowanie.

- Popatrz, Suzanne, to jest gloksynia. Możesz powtórzyć? Spróbuj - glo-ksy-nia. Co, u diabła, Maggie, dzieciak nie umie nawet powiedzieć „gloksynia”? Kogo tutaj karmisz?

Brookie wносиła swoją odmianę miłości: pełną zaczepnego, żywiołowego humoru. Po chwili uścisnęła Maggie i oświadczyła:

- Naprawdę ci się udało. Piękne dziecko!

Kilka minut później zjawił się Roy, dźwigając misia wielkości krzesła i bukiet stokrotek, ale wypuścił z rąk jedno i drugie, kiedy tylko zobaczył wnuczkę. Wdzięczyli się oboje do dziecka, gdy weszła Tani, a w kwadrans potem Elsie Beecham, odwieczna sąsiadka Pearsonów. W całym tym rozgardiaszu Brookie nie miała okazji powiedzieć przyjaciółce o wizycie Eryka.

Radość Maggie z powodu urodzenia Suzanne przyćmiewały chwile wielkiej melancholii. W czasie pobytu w szpitalu bolała ją głęboko nieobecność Very. Próbowwała uzbroić się przeciwko temu odczuciu wcześniej, zdając sobie sprawę, że nie ma się co łudzić, by matka zmieniła zdanie, ale kiedy Roy wpadł po raz drugi z wizytą, nie mogła powstrzymać się od pytania:

- Czy mama przyjdzie? Powiedział smutno:

- Nie, kochanie, obawiam się, że nie.

Maggie widziała, jak bardzo ojciec stara się nadrobić zimną obojętność Very ojcowską troską, ale nawet to nie mogło zaleczyć rany, jaką zadała Maggie matka, odrzucając ją w chwili, która powinna je najbardziej zbliżyć.

Była także sprawa Katy. Roy zawiadomił ją o urodzinach dziecka, ale nie było żadnego telefonu w odpowiedzi. Żadnego listu. Żadnych kwiatów. Wspominając słowa Katy rzucone na pożegnanie, Maggie nie mogła powstrzymać się od łez na myśl o obcości dwóch sióstr i utracie córki.

Myślała także o Eryku. Opłakiwała stratę ukochanego tak jak stratę Phillipa. Żałowała jego smutnego losu, cierpienia, jakiego musiał doznać, pozostając z dala od Suzanne. Zastanawiała się nad jego stosunkami z żoną - jak też wpłynęło na nie posiadanie nieślubnej córki.

Późnym popołudniem drugiego dnia leżała nie śpiąc i myśląc o nim, gdy rozległ się głos:

- Ach, ależ ktoś musi panią kochać!

Ujrzała parę nóg i ogromny bukiet kwiatów opakowanych w zielony papier. Wyłoniła się spoza niego siwa głowa i wesoła twarz.

- Pani Stearn? - Była to jedna z wolontariuszek szpitalnych w liliowym kitlu.

- Kwiaty dla pani.

- Dla mnie? - Maggie usiadła.

- Róże.

- Ale ja już dostałam kwiaty od wszystkich.

Rzeczywiście była ze wszystkich stron obstawiona kwiatami. Dostała je od Brookie, Fish i Lisy (Brookie do nich zadzwoniła), Althei Munne, właścicieli domu towarowego, w którym pracował Roy, od samego Roya, a nawet od Marka Brodie - w imieniu izby handlowej.

- Istotnie ma ich pani mnóstwo - powiedziała kobieta, stawiając wazę na stoliku na kółkach.

- Czy jest bilecik?

- Nie widzę. Może w kwiaciarni zapomnieli dołączyć. - Życzę wszystkiego dobrego!

Kiedy Maggie została sama, rozchyliła papier i to, co zobaczyła, sprawiło, że w oczach zakręciły jej się łzy i przycisnęła dłoń do ust.

Nie, w kwiaciarni nie zapomniano o karcie. Żadna karta nie była potrzebna.

To były różowe róże.

Nie przyszedł, oczywiście, ale kwiaty powiedziały, ile go to kosztowało, i sprawiły, że czuła ucisk w sercu, gdy tylko na nie spojrzała.

Przyszedł jednak ktoś inny, ktoś nieoczekiwany. Maggie była zaskoczona. Późnym popołudniem wrócił Roy - była to jego trzecia wizyta - przynosząc Maggie orzeszki M&M i książkę „Wiktoriańskie motta”, ślicznie ilustrowany zbiór wierszy na pachnącym papierze. Maggie wsunęła nos między strony, wdychając zapach lawendy, ale wyczuła też, że ktoś ją obserwuje, i kiedy podniosła głowę, zobaczyła Annę Severson stojącą w drzwiach.

- Och! - krzyknęła, czując nagły dreszcz obawy.

- Nie wiedziałam, czy mogę wejść, więc wołałam zapytać - powiedziała Anna. Jej włosy były specjalnie mocno zakręcone na tę okazję, a włożyła czerwoną nylonową kurtkę na kamizelkę z poliestru w kolorze jaskrawoniebieskim.

Roy spojrzał na Annę, ale uznał, że Maggie sama musi rozegrać tę sytuację.

Kiedy odzyskała głos, zawołała:

- Ależ oczywiście, Anno, wejdź!

- Witaj, Roy - powiedziała poważnym tonem Anna, wchodząc do pokoju.

- Jak się masz, Anno.

- Nie jestem pewna. Te moje cholerne dzieciaki traktują mnie, jakbym nie miała głowy i nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje dookoła. Można się trochę zezłościć. Z całą pewnością nie przychodzę tutaj, żeby wprawić cię w zakłopotanie, Maggie, ale skoro mam nową wnuczkę - a wnuki są moim szczególnym błogosławieństwem - pomyślałam sobie, że chyba pozwolisz mi ją zobaczyć.

-Och, Anno... - Maggie usiłowała się nie rozkleić i uniosła obie ręce w geście powitania. Anna bez wahania objęła ją, mruczając:

- Już dobrze... dobrze... - i szorstko klepiąc po plecach.

Wsparcie Roya swoją drogą, ale potrzebna była obecność kobiety. Dopiero w uścisku ramion matki Eryka Maggie poczuła, że wypełnia się emocjonalna pustka, jaką odczuwała.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś i że wiesz o dziecku!

- Nie wiedziałabym, gdyby nie Barbara. Te moje chłopaki nigdy nie chcą mi o niczym powiedzieć, durnie, ale Barbara uznała, że powinnam wiedzieć, a kiedy poprosiłam ją, żeby mnie tu przywiozła, była cała szczęśliwa.

Maggie odsunęła się i spojrzała na twarz Anny.

- Eryk nie wie, że tu jesteś?

- Jeszcze nie, ale dowie się, kiedy wrócę do domu.

- Anno, nie wolno ci się złościć na niego. To była moja wina tak samo jak jego - nawet bardziej moja niż jego. - Mam prawo być zła. I rozczarowana. Do licha, to przecież żaden sekret, że strasznie chciał mieć dziecko, a teraz ma, i niech mnie diabli, jeśli nie jest żonaty z niewłaściwą kobietą. Powiem ci, że to przykra sytuacja. Czy zdradzisz mi, co zamierzasz zrobić?

- Wychowam ją sama, a co do reszty, jeszcze nie jestem pewna.

- Zamierzasz jej powiedzieć, kto jest ojcem?

- Każde dziecko ma prawo wiedzieć. Anna kiwnęła głową z aprobatą, po czym zwróciła się do Roya:

- Powinniśmy sobie pogratulować wzajemnie, co, Roy?

- Nie wiem, ale chyba nie zaszkodzi.

- A gdzie Vera?

- Jest w domu.

- Nie chce się w to mieszać, co?

- Można tak powiedzieć. Anna spojrzała na Maggie.

- Zabawne, jak niektórzy ludzie postępują w imię honoru. Chciałabym teraz zobaczyć swoją wnuczkę. Nie, Maggie, odpocznij. Roy, zaprowadź mnie do dziecka, dobrze?

- Z przyjemnością.

Chwilę później stali razem przed szybą, obserwując śpiącą wnuczkę, stary mężczyzna z uśmiechem na twarzy i stara kobieta ze łzami w oczach.

- Jaka ona piękna! - westchnęła Anna.

- Z całą pewnością.

-Moje trzynaste wnuczę, ale równie wyjątkowe jak pierwsze.

- Moja druga wnuczka, ale bardzo tęsknię za pierwszą, bo jest daleko. Za to ta... - Słysząc było w głosie Roya, że wiąże mnóstwo planów z małą dziewczynką.

- Mogę ci powiedzieć, Roy, że nigdy nie akceptowałam kobiety, którą mój chłopak wybrał na żonę. Twoja córka byłaby pod każdym względem lepsza. Boli mnie serce, że nie mogą być razem i wychowywać tego dziecka, ale nie mogę Eryka usprawiedliwiać.

Roy przyglądał się niemowlęciu.

- Inaczej dziś to wszystko wygląda niż w czasach, kiedy byliśmy młodzi, prawda, Anno?

- Z całą pewnością. Człowiek się zastanawia, dokąd ten świat zmierza.

Zamilkli na chwilę, po czym Roy odezwał się:

- Powiem ci jednak, że coś zmieniło się na lepsze! -Co?

- Dzisiaj wpuszczają dziadka na porodówkę. Pomagałem mojej Maggie w urodzeniu tej małej.

Uwierzysz w to, Anno?

- Do licha, ty? - Spojrzała szeroko otwartymi oczami.

- Tak. Ja. Rzeźnik. Stałem przy niej, pomagałem jej prawidłowo oddychać i patrzyłem, jak dziecko przychodzi na świat. To było coś, mówię ci.

- Masz rację. Musiało być.

Wpatrzeni w niemowlę, rozmyślali o cudownych niespodziankach i rozczarowaniach, jakie niesie rzeczywistość.

Anna wróciła do domu o dziewiątej wieczorem i natychmiast zadzwoniła po Eryka.

- Potrzebuję cię tutaj. Świeci się lampka pilota, a ja nie potrafię sobie poradzić z tym cholerstwem.
- Mam przyjść teraz?
- Chcesz, żeby wszystko wyleciało w powietrze razem ze mną?
- Mike nie może sprawdzić, co się stało?
- Mike'a nie ma w domu.
- To gdzie jest? - zapytał Eryk burkliwie.
- Skąd, u licha, mogę wiedzieć? Nie ma go w domu i koniec. Przyjeżdżasz czy nie?
- No, dobrze. Będę za pół godziny.

Odłożyła energicznie słuchawkę i usiadła, aby czekać na Eryka.

Kiedy w dwadzieścia pięć minut później wszedł do kuchni, skierował się prosto do piecyka.

- Nic mu nie jest. Usiądź - nakazała Anna. Spojrzał nieufnie.
- Co to znaczy?
- Znaczy, że nic mu nie jest. Teraz usiądź. Chcę z tobą porozmawiać.
- O czym?
- Pojechałam dziś do szpitala, żeby obejrzeć twoją córkę.
- Co zrobiłaś?
- Widziałam się także z Maggie, Barbara mnie zawiozła.

Zaklął pod nosem.

- Poprosiłam o to ją, bo żaden z moich synów mi tego nie zaproponował. Ładna historia, chłopcze.
- Mamo, ostatnia rzecz, której potrzebuję, to żebyś się wtrącała do tej sprawy.

- A ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Maggie Pearson, to dziecko bez ojca. Co sobie, do diabła, myślałeś, zaczynając z nią! Jesteś żonaty!

Zacisnął szczęki i nic nie powiedział.

- Czy Nancy wie o tym?

- Tak - rzucił.

Anna podniosła oczy do góry i mruknęła coś po norwesku. Eryk wpatrywał się w nią wyczekująco.

- Co to za małżeństwo, do diabła?

- Mamo, to nie twój interes.

- Kiedy sprowadzasz na świat jeszcze jedną moją wnuczkę, to się robi także mój interes!

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że ja też cierpię, co?

- Może bym ci współczuła, gdybym nie była na ciebie taka wściekła. Nie uważam twojej żony za ósmy cud świata, ale to twoja żona i jesteś za nią odpowiedzialny.

- Próbujemy jakoś to z Nancy ułożyć. Zmienia się. Jest inna, od czasu gdy straciła dziecko.

- Jakie dziecko? Urodziłam czworo, a straciłam dwoje, i wiem, jak wygląda kobieta w ciąży. Ona tak była w ciąży jak ja w tej chwili. Eryk zaniemówił.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć, mamo?

- Słyszałeś. Nie wiem, jaką grę ona uprawia, ale nie była w piątym miesiącu ciąży. Nie miała nawet pryszczki na brzuchu. - Mamo, mylisz się. Oczywiście że była w ciąży!

- Wątpię, ale to i tak nie ma teraz znaczenia. Jeżeli podejrzewała, że kombinujesz coś z Maggie, skłamała, żeby cię nie stracić. Ja chcę tylko wiedzieć, kiedy zaczniesz się zachowywać jak mąż - nie obchodzi mnie, której z nich. Ale tylko jednej, Eryku Severson, słyszysz mnie?

- Mamo, ty nic nie rozumiesz. Kiedy zimą zacząłem się widywać z Maggie, chciałem odejść od Nancy.

- I to cię usprawiedliwia, tak? Teraz posłuchaj, synku. Znam cię, wiem, co znaczy dla ciebie córka, i jak widzę, za-

mierzasz kręcić się koło Maggie, podglądać małą, kiedy się da, i bawić się w ojca. Proszę bardzo, jeśli tak wybrałeś. Ale dobrze wiesz, że jeśli to zrobisz, wszystko się zacznie od nowa. Nie jestem taka głupia. Widziałam te róże u niej i zauważyłam, jak jej się zmienia twarz, kiedy na nie patrzy. Jeśli dwoje ludzi czuje coś takiego do siebie i do dziecka, to nie da się tego utrzymać pod kontrolą. Więc idź do swojej córki i do jej matki. Ale najpierw uwolnij się od kobiety, która jest twoją żoną!

Wychowaliśmy cię z ojcem tak, żebyś potrafił rozróżnić, co jest złe, a co dobre. Trzymanie się dwóch kobiet jest niewątpliwie złe. Czy mówię jasno?

Odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- Tak, jasno.

- I czy możesz mi obiecać, że nie staniesz w drzwiach Maggie, dopóki nie będziesz miał w ręku papierka, że jesteś rozwiedziony? Nie było odpowiedzi, więc powtórzyła: -Czy możesz?

- Tak! - rzucił i trzasnął drzwiami.

Rozdział 20

Musiał panować nad sobą ze wszystkich sił, aby natychmiast po powrocie do domu nie rzucić Nancy w twarz oskarżenia swojej matki. Jego uczucia były za gwałtowne, zaskoczenie zbyt świeże, a zresztą okazało się, że Nancy śpi. Leżał obok niej, zastanawiając się, czy mama miała rację. Sprawdzał w myślach daty. Gdzieś na początku lipca Nancy oświadczyła mu, że jest w czwartym miesiącu, a wtedy zwrócił uwagę, że tego nie widać. Co wówczas odpowiedziała? Żeby popatrzył na nią, gdy jest naga. Patrzył i dziwił się jej smukłej linii, ale wyjaśniła mu, że to rezultat codziennych ćwiczeń, że jest w świetnej formie i stosuje dietę, a doktor stwierdził, że dziecko będzie nieduże. Pod koniec sierpnia, kiedy zawiadomiła o poronieniu, powinna być w piątym miesiącu. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądała Barb w piątym miesiącu, ale była inaczej zbudowana, większa, któż zresztą poza ojcem dziecka może dostrzec zmiany w kobiecie z miesiąca na miesiąc? A Maggie? Była już prawie w piątym miesiącu, kiedy porzuciła go w deszczu na drodze, i podobnie jak Nancy, nie nosiła jeszcze wtedy ciążowej sukni. Może jednak mama się myli.

Rano wszedł do gabinetu Nancy pod pozorem przejrzenia rachunków, które zapłacił już przed trzema dniami. Stał przed otwartą szufladą metalowej szafki, kiedy pojawiła się w hallu.

- Hej, Nancy! - zawołał zmuszając się do naturalnego to

nu. - Czy nie powinniśmy dostać rachunku ze szpitala w Omaha?

Zajrzała do pokoju. Wyglądała świeżo i szykownie w szarych spodniach i grubym islandzkim swetrze.

- Już to załatwiłam - powiedziała i chciała odejść.

- Hej, poczekaj chwilę! Odwróciła się zniecierpliwiona.

- O co chodzi? Muszę być u kosmetyczki o dziesiątej.

- Załatwiłaś? To znaczy ubezpieczenie tego nie obejmowało?

Posiadała znakomite ubezpieczenie dzięki firmie Orlane.

- Oczywiście że tak. Zapłacą, kiedy wyślę im rachunek.

- Jeszcze tego nie zrobiłaś? - Nancy była najskrupulatniejszą osobą w prowadzeniu rachunków, jaką znał. Odłożenie czegoś o trzy miesiące zupełnie do niej nie pasowało.

- Co to, jakieś śledztwo? - odpowiedziała niecierpliwie.

- Zastanawiam się tylko. Czy to znaczy, że zapłaciłaś w szpitalu czekiem?

- Myślałam, że raz na zawsze postanowiliśmy: ty zajmujesz się swoimi rachunkami, a ja swoimi - rzuciła i szybko wyszła.

Kiedy został sam, zaczął dokładnie przeszukiwać papiery. Ze względu na jej podróże posiadali osobne konta, ale ponieważ miała zawsze dużo skomplikowanej papierkowej roboty, uzgodnili, że to on będzie płacił wszystkie domowe rachunki. Ubezpieczenie natomiast mieli wspólne, bo obejmowała go jej polisa, musieli więc razem wypełniać związane z tym papiery.

Przeoglądał teczki, ale znalazł tylko rachunki za dentystę z ostatnich kilku lat, swój rachunek za leczenie gardła sprzed dwóch lat i jej coroczne rachunki za ujędrnianie piersi. Przeszukał wszystkie teczki w czterech szufladach szafki, po czym usiadł przy biurku. Był to solidny dębowy mebel, chyba osiemdziesięcioletni. Kupił go dawno temu na aukcji w banku i nigdy do niego nie zaglądał, chyba że

wyjatkowo szukał jakiegoś wycinka czy ołówka. Wysuwając górną szufladę, czuł się jak włamywacz. Bez trudu znalazł jej zużytą książeczkę czekową, starannie odłożoną i opisaną, z ostatnią wypłatą z października. Cofnął się do sierpnia i otworzył spis, położył na biurku i przejrzał pozycja po pozycji. Nic dla szpitala Św. Józefa ani dla jakiegoś nieznanego lekarza czy kliniki. Raz jeszcze sprawdził wszystkie pozycje, żeby się upewnić. Nic.

Wrzesień. Nadal nic.

Październik. Żadnego szpitala.

Zdjął okulary, położył je na suszce, oparł się łokciami o blat i przycisnął ręce do ust.

Czy był aż tak łatwowerny? Czy kłamała, żeby, jak sądzi matka, utrzymać go z dala od Maggie?

Coraz bardziej nękany wątpliwościami, zaczął szukać dalej.

Czeki z Orlane. Rachunki ze sklepów za stroje, których nigdy nie widział. Teczka z korespondencją urzędową z nowojorskim adresem zwrotnym i kopie jej odpowiedzi. Kwity benzynowe. Świadczenia z przeglądów samochodowych. A w środku teczki z napisem „Sprawozdania ze sprzedaży” plastikowa koperta z nazwą i logo firmy handlu nieruchomościami, o której nigdy nie słyszał: Agencja nieruchomości Schwanna.

Otworzył kopertę i rozpoznał komputerowy wydruk szpitalnego rachunku, zanim go jeszcze wziął do ręki. Rozkładał papiery i odczytywał kody, które wzbudziły jego podejrzenie. Na czterech połączonych arkuszach zobaczył u góry nazwę szpitala i zaczął szybciej oddychać.

Chwileczkę. To nie był szpital Św. Józefa w Omaha, ale Centrum Medyczne okręgu Hennepin w Minneapolis. Data przyjęcia i wypisania - nie sierpień 1989, lecz maj 1986.

Trzy lata temu? Co, u diabła?

Zagłębił się w kody i opisy, ale większość z nich nic mu nie mówiła. Halcion Tab 0,5 mg. Oxyto3 In 10U 1C3...

„Środki przeciwbólowe” - pomyślał i czytał dalej. Chux Pkg 5. Posiew. Oddział ginekologiczny. D&C poporodowe. Nie

wiedział dokładnie, co kryje się pod tymi skrótami, ale domyślał się. Więc dokonała tego w maju 1986? Zaschło mu w gardle, kiedy czytał resztę listy. Gdy doszedł do końca, unieruchomił go bolesny skurcz. Wpatrywał się w aluminiową ramę obrazka na przeciwległej ścianie, a konwulsyjne drżenie ciała przenosiło się od nóg aż do ramion. Zagryzł wargi. Dławiło go w gardle. To odczucie narastało z taką siłą, że miał wrażenie, iż się dusi. Po minucie dopiero zdołał wstać z krzesła i odepchnął je z furją, wybiegając z pokoju z rachunkiem w ręku. Do samochodu. Zapуścił gwałtownie silnik i ruszył na wstecznym biegu, wzbijając kłęby kurzu. Pędem zjechał ze wzgórza i wziął zakręt z wyciem silnika. Brutalna zmiana biegu sprawiła, że samochód zakrztusił się, po czym ruszył autostradą niby bombowiec na pasie startowym.

W piętnaście minut później Eryk jak burza wpadł do poczekalni doktora Neila Lange w Ephraim, zdecydowany dostać się do niego za wszelką cenę.

- Muszę się widzieć z doktorem! - oznajmił recepcjonistce w okienku, niecierpliwie bębniąc palcami po blacie.

Patricia Carpenter wyjrzała i uśmiechnęła się. Była pulchna i inteligentna, pomagała mu w algebrze w dziewiątej klasie.

- Cześć, Eryku. Ale chyba nie masz umówionej wizyty?

- Nie, ale to zajmie nie dłużej niż minutę. Spojrzała w swój rejestr.

- Naprawdę ma dziś masę pacjentów. Może udałoby się o czwartej po południu.

Nerwy mu puściły.

- Nie wciskaj mi ciemnoty, Pat! Powiedziałem, to zajmie sześćdziesiąt sekund, a przecież została mu tylko jedna pacjentka przed lunchem, więc nie opowiadaj, że nie mogę się z nim zobaczyć! Możesz mi policzyć jak za poradę telefoniczną, jeżeli chcesz, ale muszę go widzieć!

Patricia milczała, policzki jej poczerwieniały. Zerknęła na starszą panią w poczekalni, która obserwowała wybuch Eryka znad gazety.

- Zobaczą, co się da zrobić. - Odsunęła się na obrotowym krześle.

Kiedy wyszła, uspokoił się trochę i pomyślał, że naprawdę jest durniem, bo przecież Pat miała kiedyś do niego słabość.

Uderzając plikiem zwiniętych papierów o kolano, skinął głową w stronę siwej pani, która spoglądała na niego, jakby rozpoznała jego twarz z listu gończego.

Po kilkunastu sekundach Patricia pojawiła się z powrotem, poprzedzana przez krocącego zamasyście olbrzyma w powiewającym kitlu. Mężczyzna wycelował palec w stojącego przy okienku Eryka. - Chodź, Severson! - Otworzył szerokim gestem drzwi, skrzywiony ze złości, i wskazał koniec korytarza: - Tam.

Eryk wszedł do gabinetu doktora i usłyszał, jak zatrząskują się za nim drzwi.

- Co ty sobie, do diabła, myślisz, wpadając tu i wrzeszcząc na Pat? Mam ochotę wyrzucić cię na zbity pysk! Neil stał z rękami na biodrach, wykrzywił gniewnie wargi, a jego ciemne oczy połyskiwały złością zza prostokątnych szkieł w rogowej oprawie. Był przedstawicielem drugiej generacji lekarzy w rodzinie Lange'ów, zaledwie o trzy lata starszym od Eryka. Przez ręce Neila przechodziły wszystkie dzieci Mike'a i Barb, to on mierzył ciśnienie mamie, a kiedyś chodził z jego siostrą, Ruth.

Eryk wziął głęboki oddech i zmusił się do opanowania. - Przepraszam cię, Neil. Masz rację. Pat też. Przepraszę ją, zanim stąd wyjdę, ale chcę, żebyś mi coś wyjaśnił.

- Co takiego?

- To. - Eryk rozwinął wydruk i podał lekarzowi. - Powiedz mi, za co jest ten rachunek.

Neil Lange zaczął uważnie czytać papier. Kiedy doszedł do połowy, zerknął na Eryka, a potem czytał dalej. Wreszcie skończył, zwinał wydruk i zapytał:

- Co chcesz wiedzieć?

- To dotyczy mojej żony.

- Tak, widzę.
- I przyszło z jakiegoś cholernego szpitala w Minnesocie.
- Też widzę.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

- Wiesz, o co pytam, Neil, więc nie patrz tak na mnie. Czy te skróty znaczą to, co myślę?
- Oznaczają zabieg wyłyżeczkowania macicy.
- Czyli skrobankę, prawda?

Lange milczał chwilę, zanim potwierdził:

- Na to wygląda.

Eryk osunął się na brzeg biurka, chwytając się go mocno obiema rękami. Głowę miał opuszczoną na piersi. Lange powiedział łagodniejszym tonem:

- Nie wiedziałeś o tym do dziś?

Eryk poruszył przecząco głową, wpatrując się we wzór na grubym berberyjskim dywanie.

- Przykro mi, Eryku. - Doktor położył mu rękę na ramieniu.

Eryk podniósł głowę:

- Czy może to dotyczyć czegoś innego?

- Obawiam się, że nie. Tu jest wynik laboratoryjnej próby ciążowej i poświadczenie zabiegu chirurgicznego II, a to zawsze oznacza aborcję. Zabieg wykonano w szpitalu okręgowym, a nie w jednym z tych prywatnych szpitali, które stosują się do wskazań religijnych i odmawiają usunięcia ciąży. Długą minutę zajęło Erykowi pogodzenie się z tym, co usłyszał. Odetchnął głęboko i wyprostował się. - Teraz wiem. - Sięgnął ze znużeniem po papiery. - Dzięki, Neil.

- Jeśli chcesz porozmawiać, zadzwoń do Pat i ustal godzinę, ale nie wdzieraj się tutaj w ten sposób.

Eryk przepraszająco rozłożył ręce.

- Słuchaj, to małe miasteczko - ciągnął Lange. - Ludzie gadają, i jeśli to, co słyszę, jest prawdą, musisz uporządko-

wać swoje życie. Chętnie z tobą o tym porozmawiam nawet poza gabinetem, gdzieś, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał, więc nie dzwoń do Pat, tylko bezpośrednio do mnie, dobrze?

Eryk spojrział na lekarza z rozpaczą w oczach, skinął głową i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się przy recepcji.

-Posłuchaj, Pat, bardzo mi przykro... - Machnął w jej stronę zwiniętymi papierami. - Czasem jestem prawdziwym draniem.

- Och, w porządku...

- Nie, wcale nie w porządku. Lubisz łososia? Wędzonego? Może smażonego?

- Uwielbiam.

- Jakiego?

- Eryku, nie musisz...

- Jakiego?

- Dobrze. Smażonego.

- Dostaniesz. Podrzucę ci jutro na przeprosiny.

Jechał do domu wolno, równie ponury jak listopadowy dzień. Samochody tłoczyły się przed nim na wzniesieniu, ale nie dostrzegał niczego, sunąc za nimi. Kres czegoś - jakie to smutne. Szczególnie smutne jest zakończenie osiemnastu lat małżeństwa takim ciosem. Jego dziecko... Boże, pozbyła się jego dziecka z równą łatwością jak niemodnej szmatki.

Patrzył na drogę i zastanawiał się, czy był to chłopiec, czy dziewczynka, z jasnymi czy ciemnymi włosami, o rysach, w których można by znaleźć podobieństwo do mamy, a może i do ojca? U diabła, dziś jeździłoby na trójkołowym rowerku, prosiło, żeby mu czytać, wdrapywałoby się mu na plecy, uczyło o mewach. Białą Unię na jezdni przesłoniły łzy. Jego dziecko, jej dziecko, które wyrosnąć mogło na rybaka albo na prezydenta, które samo byłoby kiedyś ojcem lub matką. Nancy jest jego żoną, ale on tak mało ją obchodzi, że sama zdecydowała o życiu, które począł. Przez osiemnaście lat miał nadzieję, błagał ją. A kiedy się to wreszcie stało, Nancy zabiła dziecko.

Nie było jej jeszcze w domu, gdy przyjechał, uporządkował więc jej rzeczy w gabinecie, czując przy tym narastający gniew, który zatarł pełen melancholii smutek. Spakował walizki Nancy, potem rozpakował i zajął się własną walizką (nie miał zamiaru dawać jej pretekstu do kontaktów z nim), załadował ją do furgonetki i usiadł przy stole w kuchni, aby czekać na żonę.

Przyjechała po pierwszej. Weszła bokiem przez drzwi, z włosami w kolorze głębokiej czerni, obie ręce mając zajęte pakunkami.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co kupiłam! - zawołała, przynosząc paczki do gabinetu. - Byłam w tym małym sklepie obok...

- Zamknij drzwi - polecił chłodno.

Odwróciła głowę jakby zwolnionym ruchem i spojrzała przez ramię.

- Co się stało?

- Zamknij drzwi i usiądź.

Zamknęła drzwi i podeszła z ociąganiem do stołu, zdejmując skórzane rękawiczki..

- Hej, jesteś naprawdę naburmuszony. Czy dostanę lanie? - spróbowała żartem rozładować nastrój.

- Znalazłem coś dzisiaj. - Obejmując ją lodowatym spojrzeniem, rozłożył szpitalny rachunek na stole.

- Chcesz mi coś o tym powiedzieć?

Spojrzała na papiery i jej zdejmująca rękawiczkę dłoń znieruchomiła. Tylko lekkie ściągnięcie brwi zdradzało zaskoczenie, ale ukryła je, przybierając ton pełen wyższości.

- Czyżbyś grzebał w moim biurku? - spytała urażona.

- Tak, grzebałem w twoim biurku! - powtórzył podniesionym głosem.

- Jak śmiałeś! - Zsunęła rękawiczkę. - To moje rzeczy osobiste i kiedy wychodzę z domu, liczę na to, że...

- Nie rozmawiaj ze mną tym tonem, ty kłamliwa dziwko! - Wstał gwałtownie. - Dowód swojej zbrodni masz przed nosem! - Uderzył palcem w papiery.

- Zbrodni? - Zaskoczona, położyła rękę na piersi. - Jadę do fryzjera, ty grzebiesz w moich osobistych papierach i to ja popełniam przestępstwo, drogi mężu?

- Zabiłaś moje dziecko, droga żono, i nie obchodzi mnie, co mówi o tym prawo, dla mnie to jest zbrodnia!

- Zabiłam twoje dziecko? Nie bądź śmieszny.

- 1986 rok, D&C. Wszystko jest w rachunku.

- Masz hysia na punkcie dzieci, Eryku, wiesz o tym? Stajesz się paranoikiem.

- Więc wyjaśnij mi to!

Wzruszyła ramionami i powiedziała nonszalancko. -Moje miesiączki były nieregularne. To rutynowy zabieg w takich wypadkach.

- Przeprowadzony w tajemnicy w jakimś szpitalu w Minneapolis?

- Nie chciałam cię denerwować, to wszystko. To trwało jeden dzień.

- Nie kłam, Nancy. To tylko czyni cię godną pogardy.

- Nie kłamię!

- Pokazałem ten rachunek Neilowi Lange. Powiedział, że to była skrobanka.

Wyciągnęła szyję jak gąsior, niezdolna wymówić słowa przez zaciśnięte usta.

- Jak mogłaś!

- Nie muszę tego wszystkiego wysłuchiwać. - Odwróciła się.

Chwycił ją za ramię.

- Nie uciekniesz od tego, Nancy! - krzyknął. - Zaszłaś w ciążę i nawet nie raczyłaś mi o tym powiedzieć! Podjęłaś decyzję o pozbawieniu życia naszego dziecka, dziecka, o które błagałem cię przez lata! Ot tak - fiu! - Machnął ręką. - Wyrzucić je jak... jak śmieć! Zabić bez jednej myśli o moich uczuciach! A teraz uważasz, że możesz nic sobie z tego nie robić? - Chwycił ją za bluzkę i szarpnął w górę, tak że stanęła na palcach. - Jaką ty jesteś kobietą?

- Puść mnie! Szarpnął ją jeszcze raz.
 - Czy możesz sobie wyobrazić, co myślałem, kiedy znalazłem ten rachunek? Co czułem? Czy ciebie w ogóle obchodzi, co ja czuję?
 - Ty, tylko ty! - krzyknęła, odpychając go i cofając się. -Zawsze tylko ty. Ty, kiedy mamy zdecydować o miejscu zamieszkania. Ty, kiedy wybieramy dom. Ty, kiedy kładziemy się do łóżka. A co ze mną, z tym, czego ja chcę?
- Wtrącił się:
- Wiesz co, Nancy? Nic mnie już nie obchodzi, czego ty chcesz!
 - Nie rozumiesz. Nigdy cię nie obchodziło!
 - Nie rozumiem? - Poczzerwieniał z wściekłości, powstrzymując chęć uderzenia jej pięścią w piękną twarz. -To chyba ty nie rozumiesz, co zrobiłaś, nie mówiąc mi o tym ani słowa! Chryste, kobieto, czym byłem dla ciebie przez te wszystkie lata - tylko facetem dobrym w łóżku? Byle mieć orgazm, tylko to cię obchodziło.
 - Kochałam cię. Odepchnął ją z obrzydzeniem.
 - Gówno. Wiesz, kogo kochasz? Siebie. Tylko siebie. Zapytała chłodno:
 - A kogo ty kochasz, Eryku? Popatrzyli na siebie w ciszy.
 - Oboje wiemy, kogo kochasz, prawda? - powiedziała.
 - To stało się dopiero wtedy, kiedy nie dało się z tobą żyć. Ale nawet wtedy wróciłem i próbowałem jakoś ułożyć nasze stosunki.
 - Och, bardzo dziękuję! - powiedziała ironicznie.
 - Ale kłamałaś także wtedy. Byłaś w ciąży tak samo jak ja, ale w swojej naiwności ci wierzyłem!
 - Kłamałam, żeby cię nie stracić!
 - Kłamałaś, żeby zaspokoić swoje wypaczone potrzeby. -Zasłużyłeś sobie na to! Całe miasto wiedziało, że jesteś ojcem jej dziecka!

Wojowniczość go opuściła, a poczucie winy złagodziło głos.

- Przykro mi z tego powodu, Nancy. Nie chciałem zranić cię w ten sposób, i jeżeli myślisz, że zrobiłem to świadomie, nie masz racji.

- Ale odchodzisz teraz do niej, prawda?

Widział, jak ból wykrzywił jej usta, i nie powiedział nic.

- Ciągle cię Kocham!

- Nancy, nie. - Odwrócił się.

- Oboje popełniliśmy błędy - powiedziała - ale moglibyśmy spróbować od nowa. Nowy początek.

- Już za późno. - Spojrzał w okno niewidzącym wzrokiem. Tu, w kuchni domu, który on kochał, a ona nienawidziła, poczuł nagle, jak ogarnia go ból z powodu ich wspólnego niepowodzenia.

Dotknęła jego karku.

- Eryku... - powiedziała prosząco. Odsunął się od niej i włożył skórzaną kurtkę.

- Będę u mamy.

Odgłos zasuwanego zamka błyskawicznego. Sygnał ostateczności.

- Nie odchódź! - Zaczęła płakać. Nigdy nie widział jej w takim stanie.

- Uspokój się - powiedział cicho.

- Eryku, tym razem się zmienię!

- Proszę, nie... - Odsunął jej rękę. - To jest nieprzyjemne dla nas obojga. - Podniósł rachunek ze szpitala i wsunął go do kieszeni. - Jutro zobaczę się z adwokatem i powiem mu, niech szybko kończy tę sprawę albo znajdę kogoś innego, kto potrafi to załatwić.

- Eryku... - Wyciągnęła rękę.

Położył obie dłonie na klamce i odwrócił się do Nancy jeszcze raz.

- Z jednej rzeczy zdałem sobie sprawę, gdy czekałem tu dzisiaj na ciebie. Nie powinnaś mieć dziecka i ja nie powinienem był cię nigdy do tego namawiać. To nie byłoby dla

ciebie dobre, tak jak dla mnie nie jest dobre życie bez dziecka. Zmieniliśmy się - w nas obojgu coś się zmieniło. Każde pragnie czegoś innego. Powinniśmy dostrzec to lata temu. - Otworzył drzwi. - Przepraszam, że sprawiam ci ból - powiedział poważnie. - Mówiłem prawdę, kiedy powiedziałem ci, że nigdy tego nie chciałem. Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

W miasteczku tak małym jak Fish Creek nie było tajemnic. W ciągu paru dni Maggie dowiedziała się, że Eryk opuszcza Nancy, i żyła teraz jak na rozżarzonych węglach. Przyłapała się na tym, że staje i poprawia włosy za każdym razem, gdy słyszy samochód przejeżdżający górą. Przy każdym dzwonku telefonu serce zaczynało jej bić jak szalone i biegła, aby czym prędzej podnieść słuchawkę. Kiedy ktoś pukał do drzwi, dłonie jej się pociły, zanim doszła do kuchni.

Oberwała liście z różowych róż, które Eryk jej przysłał, i zawiesiła je główkami w dół, aby zasuszyć, ale kwiaty były martwe, a od niego nie miała dalej ani słowa.

W uszku Suzanne mruzczała: „Myślisz, że przyjdzie do nas?” Suzanne tylko przymykała oczka i odbijało jej się.

Nadeszło Święto Dziękczynienia i wciąż nie było wiadomości od Eryka. Maggie z córeczką spędziły ten dzień u Brookie.

Ósmego grudnia zaczął padać śnieg. Maggie snuła się od okna do okna, obserwując biały kobierzec i zastanawiając się, gdzie może być Eryk i kiedy się do niej odezwie.

Zacząła przygotowania do świąt Bożego Narodzenia i napisała do Katy, zapraszając ją do domu. W odpowiedzi otrzymała szorstkie zawiadomienie: *Mamo, jadę na święta do Seattle ze Smitty. Nic mi nie kupuj. Katy.*

Maggie przeczytała te słowa, walcząc ze łzami, a potem zadzwoniła do Roya.

- Och, tato - poskarżyła się. - Chyba wszystkich unieszczęśliwiłam tym dzieckiem! Mama nie odzywa się do mnie,

Katy też nie ma zamiaru. Ty będziesz miał okropne święta i ja także. Co mam robić, tato? Roy odpowiedział:

- Ubrać Suzanne ciepło i zabrać ją na sanki, pokazać jej zimę i samej rozejrzeć się trochę, jak wygląda śnieg na gałęziach i jak niebo przybiera kolor starego miedzianego czajnika, a potem zdać sobie sprawę, ile jest rzeczy, z których trzeba się cieszyć!

- Ale tato, tak źle się czuję, gdy pomyślę, że odsunęłam od siebie matkę. A jak ty spędzisz święta?

-Może ja też będę musiał przespacerować się trochę i popatrzeć na sosny i niebo, ale jakoś dam sobie radę. Pomyśl o sobie i Suzanne.

- Jesteś taki dobry, tatusiu.

- Widzisz? - odpowiedział Roy z rozbawieniem w głosie.

- Masz już jeden powód do radości.

Tak więc Roy i Brookie podnosili ją na duchu.

Dla Maggie te święta nie były łatwe - cieszyła się maleńką córeczką, ale nie miała przy sobie rodziny. I ciągle nie było wiadomości od Eryka. Na Nowy Rok znowu spędziła parę dni u Brookie i podjęła postanowienie, że zapomni o Eryku Seversonie i pogodzi się z faktem, iż skoro dotąd go nie widziała, to już go nie zobaczy.

Pewnego styczniowego dnia wiozła Suzanne do lekarza na badania, które miała wyznaczone co dwa miesiące. Zatrzymała się pod czerwonym światłem w Sturgeon Bay i spojrzała przypadkiem w lewo. Wtedy zobaczyła Eryka wpatrującego się w nią znad kierownicy czarnej, lśniącej furgonetki. Żadnemu z nich nawet nie drgnęła powieka.

Maggie patrzyła. Eryk patrzył.

Czuła ból w piersi, wzięcie kolejnego oddechu wymagało wysiłku niemal nie do pokonania.

Światło zmieniło się i samochód za nią dawał sygnał, ale nie ruszała z miejsca. Spojrzenie Eryka przeniosło się na parę drobnych rączek wymachujących żwawo w powietrzu

- tylko tyle mógł dostrzec z Suzanne, przypiętej do miejsca

dla niemowlęcia i obserwującej papierową wycinankę powiewającą nad nią.

Sygnał zabrzmiał znowu, tym razem dłużej, Maggie musiała ruszyć i straciła z oczu furgonetkę, która skręciła w lewo i zniknęła z lusterka nad kierownicą.

Zrozpaczona opowiedziała o tym Brookie.

- Nawet nie pomachał ręką. Nie próbował mnie zatrzymać.

Po raz pierwszy Brookie nie znalazła słów pocieszenia.

Z każdym dniem zima robiła się cięższa. Dom Hardinga wydawał się przygnębiający, tak rozległy i pusty, za duży dla nich dwóch. Maggie zaczęła robić na drutach, żeby jakoś zabić czas, ale często opuszczała ręce i odchyłała głowę na oparcie fotela. Jeśli odszedł od niej, dlaczego nie wraca do mnie?

Luty był mokry i Suzanne po raz pierwszy się przeziębila. Maggie nosiła ją nocami na rękach, ledwo żywa z braku snu, marząc, by ktoś wziął dziecko z jej ramion, żeby mogła wreszcie paść na łóżko.

W marcu zaczęły nadchodzić listy z prośbami o rezerwację na lato i Maggie uświadomiła sobie, że będzie musiała podjąć decyzję - wystawić Dom Hardinga na sprzedaż czy też nie. Najlepszym terminem była oczywiście wiosna, kiedy to ożywał sezon turystyczny.

W kwietniu Maggie zadzwoniła do Althei Munne i poprosiła ją, żeby przyjechała i dokonała wyceny domu. W dniu, w którym tablica NA SPRZEDAŻ stała przy drodze, Maggie zabrała Suzanne i pojechały do Tani w Green Bay, bo nie miała siły patrzeć na ten napis i czekać na obcych ludzi, którzy będą chcieli wszędzie wetknąć nos i łązić po domu, w który włożyła tyle serca.

W maju Gene Kerschner zajeżdżał swoim wielkim zielonym traktorem i przytransportował pomost na wodę na lato. Kiedy następnego dnia Suzanne odbywała swoją popołudniową drzemkę, Maggie zabrała się do malowania pomostu na biało.

Kłęcząca zwrócona tyłem do domu, w czerwonej chustce na głowie; właśnie zaglądała pod ławkę z oparciem, kiedy rozległy się kroki. A gdy się obejrzała, ogłuszyła ją eksplozja uczuć.

Na pomost wchodził w białych dżinsach, niebieskiej koszulce i białej czapce szypra Eryk Severson. Patrzyła, jak zbliża się do niej, a gwałtowny przypływ adrenaliny rozgrzewał cały jej organizm. Och, jak widok jednego człowieka zmienić może dzień, rok, życie! Zapomniała o pędzlu trzymanym w ręce. Zapomniała, że jest bosa i ubrana w wyblakłe spodnie od dresu i rozciągniętą szarą koszulkę. Zapomniała o wszystkim poza jego tak długo oczekiwaną obecnością.

Stanął obok puszek z farbą i spojrzął w dół.

- Cześć - powiedział.

Niebo zajaśniało nagle nad jej głową.

- Cześć - szepnęła. Jej puls był coraz szybszy.

- Przyniosłem ci coś. - Podał jej białą kopertę. Trwało chwilę, zanim zmusiła się do wyciągnięcia ręki. Wzięła kopertę bez słowa, patrząc na jego sylwetkę na tle nieba, równie błękitnego jak jego oczy. Słońce odbijało się od czarnego daszka czapki, wyzłacało ramiona Eryka i dolną część twarzy.

- Otwórz, proszę.

Położyła pędzel na brzegu puszek, wytarła ręce o spodnie i drżącymi palcami zaczęła otwierać kopertę, ponaglana jego wzrokiem. Obserwował ją. Wyjęła papiery i rozłożyła je. Kiedy zaczęła czytać, drżenie jej rąk udzieliło się papierowi. Ustalenie faktów, wnioski dla sądu, wyrok i uzasadnienie. Przeczytała nagłówki i podniosła niepewny wzrok.

- Co to jest?

- Papiery rozwodowe.

Szok sprawił, że z jej oczu trysnęły łzy. Opuściła głowę, ale litery rozpląwały się przed oczyma i dwie wielkie słone krople spadły na papier. Zawstydzona zakryła twarz.

-Ach, Maggie... - Przyklęknął i dotknął jej głowy, ciepłej od słońca i okręconej brzydką czerwoną chustką. -Maggie, nie płacz. Czas łez już się skończył.

Poczuła, że obejmują ją jego ramiona i że klęczy przed nią. Wreszcie był przy niej, udreka minęła. Objęła go rękami za szyję i łkając wyznała zdławionym głosem:

- Myślałam że... że nigdy... nie wrócisz.

Jego szerokie dłonie przycisnęły mocno jej głowę.

- Matka kazała mi obiecać, że tego nie zrobię, dopóki nie będę miał rozvodu w ręku.

-Myślałam... myślałam... Nie wiem, co myślałam. -Czuła się jak bełkoczące dziecko, ale była całkowicie nie przygotowana na tę sytuację, a ulga stała się tak wszechogarniająca.

- Myślałaś, że już cię nie kocham?

-Myślałam, że... że będę samotna przez resztę życia... że Suzanne nigdy cię nie pozna... i nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzę bez ciebie.

- Och, Maggie - powiedział przymykając oczy. - Jestem przy tobie i zostanę.

Płakała z twarzą wtuloną w jego szyję, a on głaskał jej włosy przez materiał chustki. W końcu szepnął:

- Tak bardzo za tobą tęskniłem!

Ona także tęskniła, ale nie potrafiła żadnymi słowami wyrazić swoich uczuć. Mieć go z powrotem smakowało jak gorycz przemieniona w słodycz. Utracona część Maggie powracała na swoje miejsce.

Odsunęła się i spojrzała w jego twarz. Jej policzki były mokre i błyszcząły w słońcu.

- Naprawdę jesteś rozwiedziony? Osuszył jej oczy i odpowiedział cicho:

- Tak, naprawdę.

Usiłowała się uśmiechnąć. Ból opuścił jego kochane, błękitne oczy. Eryk powoli opuścił głowę. To był pierwszy pocałunek, czuły, pachnący majem, łzami i odrobiną ter-

pentyny. Jego miękkie usta rozchyliły się na jej ustach -niepewna próba smaku, jakby nie mogli uwierzyć w odmianę losu. Ich języki zetknęły się, Eryk poruszył głowę, usta obojga otworzyły się szerzej. Klęcząc przyciągnął jej biodra do swoich i trzymał ją, jakby miało to trwać zawsze. Nad nimi wielkie bawełniane obłoki przecinały niebo; powiew bryzy poruszył jej włosami, gdy zdjęła chustkę i potrząsnęła głową. Całować, klęczeć pod majowym słońcem ze złączonymi językami, czuć, że ból rozłąki przemija, wiedzieć, że nie rozdziela ich już żadne prawo boskie czy ludzkie!

Wreszcie odsunął twarz, odnalazł oczy Maggie i powiedział jej wszystko swoimi oczami, po czym rozluźnił uścisk. Przez chwilę trwali tak, nieruchomo, niczym okręty, które nie są już puste.

- Przeszedłem piekło, odkąd zobaczyłem cię w Sturgeon Bay - powiedział.
- Chciałam, żebyś się zatrzymał, zmusił mnie do zjechania na bok, zabrał ze sobą.
- Chciałem zostawić furgonetkę na środku drogi, wsiąść do twojego samochodu i jechać gdziekolwiek, do Teksasu, Kalifornii czy Afryki, gdzie nikt by nas nie mógł odnaleźć.
- Nie można dojechać samochodem do Afryki, głuptasie.
- Wydaje mi się, że teraz mógłbym! - Otwartą dłonią przesunął po jej plecach. - Z tobą wszystko jest możliwe!
- Tysiąc razy powstrzymywałam się, żeby do ciebie nie dzwonić.
- Noc po nocy jeździłem koło twojego domu. Widziałem światło w kuchni i pragnąłem wejść i usiąść przy tobie. Żadnego całowania, żadnego seksu... chciałem po prostu być w jednym pomieszczeniu z tobą. Rozmawiać, patrzeć na ciebie, śmiać się, tak jak to robiliśmy.
- Napisałam kiedyś do ciebie list.
- Wysłałaś go?

-Nie.

-I co napisałaś?

Z oczyma wzniesionymi ku niewielkiemu obłokowi odpowiedziała:

- Dziękuję za róże.

Przysiadł na piętach, ona zrobiła to samo, nie puszczając jego ręki.

- Więc wiedziałaś.

- Oczywiście. Były różowe.

- Chciałem sam je przynieść. Tyle miałem ci do powiedzenia.

- Powiedziałaś. Różami.

Potrząsnął smutno głową, wspominając tamten czas.

- Chciałem być z tobą, kiedy się rodziła, przychodzić do ciebie, ogłosić wszem i wobec, że. to moja córka, i posłać cały świat do diabła. - Zasuszyłam te róże i zachowam je dla Suzanne, kiedy będzie starsza, na... na wszelki wypadek. - Gdzie ona jest? - Spojrzał w stronę domu.

- W środku. Śpi.

- Mogę ją zobaczyć? Maggie uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Właśnie na to czekałam.

Wstali z kolan, przy czym jego kolano chrupnęło - w głębi swej samotności tęskniła nawet za tym odgłosem - i trzymając się za ręce ruszyli ku domowi pośród złotych promieni popołudniowego słońca, przez trawnik, nad którym drzewa zieleniły się świeżymi liśćmi, a irysy już kwitły. Weszli przez szeroką werandę do środka, a potem na górę po schodach, którymi tyle już razy chodzili razem.

W połowie drogi Eryk szepnął: - Cały się trzęsę.

- I słusznie. Nie co dzień się zdarza, aby ojciec widział swoją sześciomiesięczną córkę po raz pierwszy.

Zaprowadziła go do pokoju wychodzącego na południe i utrzymanego w żółtej tonacji, z koronkowymi firankami

w głęboko osadzonych, szerokich oknach. Stał tu ogromny drewniany fotel na biegunach, łóżko przy ścianie, a naprzeciw - łóżeczko dziecinnie z toczonego klonu, z wysokim baldachimem, z którego spływały koronki. Łóżeczko księżniczki.

A w nim ona: Suzanne.

Leżała na boku, z wyciągniętymi przed siebie rączkami. Stopki okrywał pastelowy kocyk z naszytymi zwierzątkami. Włoski miała koloru miodu, ęzęsy nieco jaśniejsze, policzki okrągłe i różowe jak brzoskwinie. Jej usteczka były z pewnością najpiękniejsze na świecie, i kiedy Eryk im się przyglądał, coś go dławilo w gardle.

- Och, Maggie, jaka ona piękna! - wyszeptał.

- To prawda.

- I jaka duża. - Patrząc na dziecko, żałował każdego dnia, który minął od czasu, gdy oglądał je przez szybę.

- Ma już jeden ząbek. Poczekaj, sam zobaczysz. - Maggie nachyliła się i łagodnie pogładziła policzek dziecka palcem. - Suzanne - powiedziała łagodnie. - Śpioszku, obudź się i zobacz, kto tu jest.

Suzanne drgnęła, włożyła paluszek do ust i zaczęła go ssać przez sen.

- Nie musisz jej budzić, Maggie - szepnął Eryk, zachwycony, że może stać i patrzeć. Do końca życia tylko stać i patrzeć.

- Wszystko w porządku, śpi już dwie godziny. - Pogładziła włosy dziecka: - Suuuzanne... - zamruczała przecią-

Suzanne otworzyła oczka, po czym znowu je zamknęła i zaczęła trzeć nos piąstką.

Stojąc obok siebie, Eryk i Maggie patrzyli, jak się budzi, robi minki, przekręca się i w końcu podnosi na czworakach niczym mały miś, żeby popatrzeć na obcego mężczyznę, który stoi przy łóżku koło matki.

- Hopsa, mamy cię. Witaj, złotko. - Maggie podniosła rozespiane dziecko i posadziła je sobie na ramieniu. Suzan-

ne natychmiast zaczęła się wykręcać, wiercić i chować główkę. Jedna z jej skarpetek spadła, odsłaniając małą piętę. Maggie poprawiła skarpetkę.

- Popatrz, kto tu jest, Suzanne. To twój tatuś.

Dziecko spojrzało na matkę, po czym przeniosło spojrzenie na obcego, wciąż trochę się wiercąc na rękę Maggie. Na chwilę uspokoiło się, nie spuszczać z Eryka wzroku. Jedną ręką opierało się o pierś Maggie, zginając i prostując kciuk na jej podkoszulku.

- Hej, Suzanne - powiedział łagodnie Eryk.

Dziecko patrzyło bez mrugnięcia, jak zafascynowany kociak, dopóki Maggie nie zaczęła go huścić na ramieniu. Potem zbliżyła twarz do buzi Suzanne.

- To jest twój tatuś, przyszedł powiedzieć dzień dobry. Jak zahipnotyzowany, Eryk wyciągnął ręce i podniósł swoje dziecko na wysokość oczu, skąd z zainteresowaniem przyglądało się czarnemu daszkowi jego czapki. - O Boże, jesteś taka mała. Ważysz tyle co łoś. Łowimy takie na „Mary Deare”. Maggie roześmiała się uszczęśliwiona.

- I wcale nie jesteś większa od nich.

Zbliżył swoją opaloną twarz do gładkiej buzi dziecka, poczuł niemowlęcy zapach pudrowanej skóry i miękkiego materiału ubranka. Trzymał córeczkę na rękę, jedną dłoń podsunął pod jej kark, a ustami pieścił jedwabiste włoski. Przymknął oczy.

- Myślałem, że nigdy się tego nie doczekam - szepnął głosem zdławionym emocją.

- Wiem, najdroższy... wiem.

- Dziękuję ci za nią.

Maggie objęła oboje i oparła czoło o plecki Suzanne. To była chwila świętej wspólnoty.

- Ona jest tak doskonała.

Jakby dowodząc czegoś przeciwnego, Suzanne wybrała ten moment na głośną skargę, odepchnęła Eryka i przytuliła się do matki.

Puścił ją, ale pozostał blisko, gdy Maggie zmieniała jej pieluszkę, podciągała skarpetkę i wkładała miękkie, białe butki. Potem położyli się na łóżku, mając Suzanne pomiędzy sobą, i patrzyli, jak usiłuje ściągnąć buciczki, wymachując nóżkami, jak się ślini i jak zaczyna interesować się guzikami koszuli swego ojca. Czasem przenosili wzrok na siebie. Sięgali ponad dzieckiem, dotykając swoich twarzy, włosów, ramion. Potem leżeli bez ruchu, odsuwając od siebie myśl o konieczności wstania.

Eryk ujął rękę Maggie.

- Zrobisz coś dla mnie? - zapytał łagodnie. -Wszystko. Zrobię dla ciebie wszystko, Eryku Severson.

- Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę? Ty i Suzanne?

- Z największą przyjemnością.

Wyszli razem, Eryk trzymając Suzanne w ramionach, Maggie z butelką soku jabłkowego i ulubionym kocykiem Suzanne - zachwyceni i wciąż trochę porażeni ogromem swego szczęścia, tak przecież prostego i zwyczajnego. Mężczyzna, kobieta i dziecko. Razem, jak powinno być.

Powiew wiatru pieścił twarz dziecka, które przymknęło oczy. Z krzaków dochodził śpiew ptaka.

Nie śpieszyli się, czas był teraz ich sprzymierzeńcem.

- Masz nową furgonetkę - zauważyła Maggie, kiedy podeszli do wozu.

-Tak, stary wycieruch zakończył służbę. - Otworzył drzwi do części pasażerskiej.

Maggie postawiła jedną nogę na stopniu, spojrzała w górę i dopiero wtedy zobaczyła, że samochód udekorowany jest kwitnącymi gałęziami.

- Och, Eryku!

- Mogłem cię poprosić o rękę w domu, ale skoro kwitną wiśnie, uznałem, że powinniśmy to zrobić jak należy. Wsiadaj, Maggie, przed nami jeszcze najlepsza część.

Z uśmiechem, który przerywało czasem łkanie, wsiadła do nowej błyszczącej furgonetki Eryka Seversona, w której

ze wszystkich stron różowiły się kwitnące gałęzie wiśni, niemal zasłaniając tylne okno. Eryk usiadł obok niej.

- O czym myślisz? - zapytał, uśmiechając się do niej i zapuszczając silnik.

- O tym, że cię uwielbiany

- Ja ciebie też. Musiałem tylko wymyślić sposób, żeby ci to jakoś powiedzieć. Uważaj na nasze dziecko.

Jechali pośród wiosny w Door County, wdychając powietrze nasycone zapachami kwiatów, mijając rozległe sady otoczone kamiennymi murami i brzozy jaśniejące bielą pośród świeżej zielonej trawy, pasące się krowy, jaskrawo-czerwone stodoły i stawy pełne kumkających żab.

Dojechali wreszcie do sadu Easleya, gdzie Eryk zatrzymał samochód wśród drzew wiśniowych.

W ciszy, jaka zapadła po wyłączeniu silnika, zwrócił się do Maggie, ujmując jej dłoń.

- Maggie Pearson Stearn, czy wyjdiesz za mnie? - zapytał z zarumienionymi policzkami i oczami wpatrzonymi w jej oczy.

Zanim odpowiedziała, miała wrażenie, jakby słodycz chwil, które spędzili wspólnie, spłynęła na nią, wypełniając wszystkie zmysły - to miejsce, ten mężczyzna, ten zapach sadu.

-Eryku Josephie Severson, poślubiłabym cię w tej chwili, gdyby to tylko było możliwe.

Pochyliła się, aby go pocałować. Susanne siedząca na jej kolanach usiłowała dosięgnąć kwiatu wetkniętego w popielniczkę. Uniósł głowę i szukali swoich oczu, aby raz jeszcze połączyć się w radości, po czym Eryk sięgnął do lewej kieszeni obcisłych džinsów.

- Myślałem, żeby kupić ci wielki brylant, ale to wydało mi się bardziej odpowiednie. - Wyciągnął pierścionek ze szkolnych czasów i wsunął jej na palec lewej ręki. Trzymając w ręku jej dłoń, przypatrywał się tej ozdobie tak samo jak przed dwudziestu czterema laty.

- Wydaje się bardzo na miejscu! - powiedziała z uśmiechem.
- Tak, brakuje tylko niebieskiej nitki. Nie wiem, co się z nią stało.
Pogładziła go po twarzy ręką z pierścionkiem.
- Co powinnam powiedzieć? - szepnęła.
-Powiedz: kocham cię, Eryku, i przebaczam ci to wszystko, przez co musiałam przejść.
- Kocham cię, Eryku, ale nie ma nic do przebaczenia. Spróbowali raz jeszcze się pocałować, ale przeszkodziła im Suzanne, usiłując się podnieść. Stała na nóżkach, chwyciła gałązkę nad sobą i zaczęła nią wymachiwać w powietrzu, o mało nie trafiając Eryka w oko. Uchylił się i zawołał:
- Uwaga, młoda damo! - Chwycił ją za pieluszkę i posadził na kolanach matki. - Nie widzisz, że tu się odbywają oświadczyzny?
Śmiali się, kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce i skierował samochód w stronę Fish Creek, trzymając Maggie za rękę.

Rozdział 21

Pobrali się w pięć dni później na dziedzińcu Domu Hardinga. Prosta uroczystość odbyła się we wtorkowy wieczór. Pan młody miał na sobie szary smoking z lilią (zerwaną z grządki po północnej stronie domu) w klapie, panna młoda - różowy kostium i bukiet z gałęzi kwitnących jabłoni (z sadu Easleya) w ręku. Obecni byli: panna Suzanne Pearson (odziana w komplecik Poły Finders, z waflem Waverly w rączce), Brookie i Gene Kerschnerowie, Mike i Barb Seversonowie, Anna Severson (w bluzce z dawno zapomnianym hasłem reklamującym błękitny poliester firmy Sears Roebuck) oraz Roy Pearson, który sprowadził córkę z werandy, gdzie z porysowanej, zniszczonej płyty płynęła piosenka w wykonaniu Andrew Sisters „Będę przy tobie, gdy zakwitną jabłonie”.

Na świeżej trawie stał stary stół z salonu, a na nim waza z mlecznego szkła z gałęziami różowo kwitnącej jabłoni. Obok czekał urzędnik z urzędu stanu cywilnego w czarnej todze z rękawami powiewającymi w łagodnym wietrze od zatoki. Kiedy piosenka się skończyła i całe towarzystwo zgromadziło się przed nim, powiedział:

-Państwo młodzi chcieli, abym odczytał wiersz, który wybrali z okazji swego ślubu. Pochodzi z tych samych czasów co dom i nosi tytuł „Spełnienie”.

O, otwarłem dla ciebie wrota mego istnienia I wypełniłaś'mnie jak przyptływ.

*A duszę napęlnia słodycz twojej obecności,
Bo sprowadziłaś na mnie spokój;
Spokój bezkresnej wody,
Qiszę morza latem.
Twoje dłonie wypełnia spokój
Jak światłość przyływu w południe;
Nad twoją głową unosi się odwieczny
Spokój gwiazd, a w twym sercu
Zamieszkuje cichy cud zmierzchu.
Jestem zaspokojony.
W całej mej istocie nie ma niepokoju,
Bo otwarłem dla ciebie
Szeroko wrota swego istnienia
I wypełniłaś mnie jak przyływ.*

Kiedy urzędnik skończył czytać, Eryk podszedł do Maggie. Położyła swój bukiet na stole i ujęła ukochanego za obie ręce. W zachodzącym słońcu jej twarz wydawała się złocista, a oczy jasnobrązowe jak żółędzie. Włosy szesane miała do tyłu, w uszach delikatne różowe perły. W tej chwili mogła być znowu siedemnastolatką, a gałęzie jabłoni -tymi, które zerwał wówczas dla niej, aby wyrazić swą pierwszą miłość. Nic, co zrobił w życiu, nie było bardziej właściwe od słów przysięgi, które teraz wypowiedział: - Jesteś moją pierwszą miłością, Maggie, i pozostaniesz jedyną przez resztę mego życia. Będę cię szanował, będę ci wierny i będę pracował dla ciebie i z tobą. Będę dobrym ojcem dla Suzanne i dzieci, które możemy jeszcze mieć, i uczynię wszystko, co zdołam, abyś była szczęśliwa. - Zakończył cicho: - Kocham cię, Maggie.

W chwili milczenia, które nastąpiło, Anna otarła oczy, a Brookie ścisnęła rękę swego męża. Wilgotny blask pojawił się w oczach Maggie, a na jej ustach serdeczny uśmiech.

Spojrzała na ręce Eryka - szerokie, mocne ręce rybaka; na jego oczy, pierwsze, które pokochała, błękitne jak pole cykorii; na szorstką, ogorzałą od wiatru twarz, która w ciągu lat stanie się jej jeszcze droższa.

- Kocham cię, Eryku... znowu. - W kącikach oczu Maggie pojawił się uśmiech i znikł. - Zrobię wszystko, co zdołam, aby nasza miłość zawsze była równie świeża i gorąca jak wówczas, gdy mieliśmy po siedemnaście lat, taka zresztą jest dzisiaj. Będę dbała, aby nasz dom był przystanią szczęścia, będę kochała nasze dziecko i ciebie. Będę się starzała wraz z tobą. Będę ci wierna. Będę na zawsze twoją przyjaciółką. Będę z dumą nosiła twoje nazwisko. Kocham cię, Eryku Severson.

Daleko nad Green Bay rozlegał się krzyk pary mew, a słońce zatrzymało się u końca długiej złotej ścieżki *na* wodzie. Maggie i Eryk wymienili obrączki, pozbawione ozdób, gładkie złote kółeczka, które zdawały się przechwytywać blask i ciepło słońca. Następnie Eryk pochylił się i ucałował dłoń Maggie. Ona uczyniła to samo; podeszli do stołu i piórem, które wręczył im urzędnik, złożyli podpisy na świadectwie ślubu. Ich prawomocność poświadczyli Brookie i Mike. Prosta uroczystość skończyła się w pięć minut po rozpoczęciu.

Eryk uśmiechnął się do Maggie, a potem do urzędnika, który uścisnął im dłonie.

-Wszystkiego najlepszego, państwo Severson. Życzę długiego i szczęśliwego życia.

Eryk wziął Maggie w ramiona i pocałował.

- Kocham panią Severson - szepnął jej do ucha.

Krąg wokół nich zamknął się. Brookie płakała, całując Maggie w policzek i powtarzając:

- Najwyższy czas!

Gene objął ich i powiedział:

- Życzę szczęścia. Zaslugujecie na nie. Mike stwierdził:

- Chyba wygrałeś, braciszku.

Barbara powiedziała:

- Tak się cieszę. Witaj w rodzinie. Anna oświadczyła:

-Potrafiłście zmusić starą kobietę do płaczu. Zeby w moim wieku jednego dnia zyskać nową synową i nową wnuczkę... Weź ją, Eryku, żeby mogła uściskać Maggie!

Kiedy Suzanne znalazła się w ramionach ojca, Anna szepnęła z twarzą przy uchu Maggie:

- Czekałam na ten dzień, odkąd mieliście po siedemnaście lat. Wiem, że uczyniłaś mojego chłopaka szczęśliwym, i kocham cię za to. - A ściskając Eryka powiedziała: -Chciałabym, żeby ojciec dożył tego dnia. Zawsze lubił Maggie i ja też. Gratulacje, synu.

Roy powiedział Maggie:

- Jesteś śliczna jak z obrazka, kochanie, i strasznie się cieszę, że to się wreszcie stało. - Eryka poklepał po plecach. - Nareszcie mam kogoś, z kim mogę pojechać na ryby, i mam zamiar to zrobić!

Skierowali się do domu, szczęśliwi i rozgadani. Suzanne jechała na plecach ojca, z matką u jego boku.

W jadalni czekał szampan i ciastka. Mike wznosił toast:

- Za, szczęśliwą parę, która zaczęła na pokładzie naszej łodzi, kiedy oboje mieli po siedemnaście lat.

Niech się kochają równie mocno po dziewięćdziesiątce!

Były także prezenty. Od Brookie i Gene'a haftowany obrus na ogromny stół jadalny oraz dziesięć serwetek. Od Barb i Mike'a staroświecki lichtarz z kryształowymi wisiorkami i sześć białych żłobkowanych świec do niego. Anna przyniosła kosz rybacki, a w nim obrębione ściereczki do naczyń, szydełkowe serwetki, sześć słoików ulubionego dżemu Eryka i porcelanowy komplet do herbaty, który należał do babci Severson. Ten ostatni prezent wywołał łzy Maggie i sprawił, że serdecznie uściskała Annę. Darem Roya było niewielkie krzesło w stylu Ludwika XVI do salonu. Renowacja mebla była jego dziełem. Zasłużył na uścisk

córki i mnóstwo komplementów ze strony gości. Było także coś od Suzanne (choć nikt nie przyznał się, że to przyniósł): kartka z życzeniami i obrazkiem wiktoriańskiej rodziny -ojca, matki i dziecka - spuszczającej mały stateczek na wodę obrośniętego zielenią stawu, z wierzbami w tle. Ktoś napisał: *Mamusi i Tatusiowi w dniu ślubu - z miłością. Suzanne.*

Kiedy odczytano kartkę, Maggie i Eryk wymienili spojrzenia tak pełne miłości, że wszyscy w pokoju mieli mokre oczy.

Siedzieli przy oknie jadalni, pośród prezentów, a Suzanne była obok, w ramionach dziadka. Eryk dotknął policzka Maggie i wyciągnął ręce po dziecko.

- Dziękuję, Suzanne - powiedział, całując jej pulchny policzek.

- I dziękujemy wam wszystkim. Chcemy, żebyście wiedzieli, czym jest dla nas wasza obecność tutaj. Kochamy was i dziękujemy z całego serca.

Suzanne zaczęła przecierać oczka i ziewać, była to więc odpowiednia pora, aby zakończyć uroczystość. Serdecznie żegnali gości, ale Roy zwlekał z odejściem. Obejmując Maggie powiedział:

- Tak mi przykro, kochanie, że brakowało twojej matki i Katy. Obie powinny tu być.

Trudno było udawać, że to nie boli.

- Och, tato... w życiu nie wszystko może być doskonałe, prawda?

Roy poklepał córkę po ramieniu i odsunął się o krok.

- Chcę, żebyś o czymś wiedziała, Maggie. Nauczyłaś mnie bardzo wiele w ciągu tych kilku miesięcy i żałuję jedynie, że nie stało się to, kiedy byłem młodszy. Tylko człowiek sam może uczynić siebie szczęśliwym. Ty tego dokonałaś, a teraz ja także spróbuję. Zamierzam zacząć od zwolnienia się na trochę z pracy. Wiesz, przez wszystkie te lata, które przepracowałem w domu towarowym, miałem może ze cztery razy urlop i spędziłem go na odnawianiu do-

mu. Teraz chcę na jakiś okres wyjechać, mieć trochę czasu dla siebie.

- Czy matka pojedzie z tobą?

- Nie. Ale nie chcę, żebyś się martwiła. Odezwę się po powrocie, dobrze?

- Dobrze, tato. Ale dokąd...

- Myśl o swoim własnym szczęściu, zgoda, kochanie? Widząc cię szczęśliwą, sam się tak czuję. A teraz dobranoc. - Ucałował Maggie, pogłaskał główkę Suzanne i dał kuksańca Erykowi. - Dziękuję, synu - powiedział ze łzami w oczach i wyszedł.

Stali na werandzie i patrzyli, Eryk z Suzanne w ramionach, Maggie z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jak wspina się po stopniach.

- Tata jest przygnębiony - stwierdziła Maggie.

Eryk położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął ją do siebie.

- Nie z naszego powodu, mam nadzieję. Uśmiechnęła się łagodnie i spojrzała w górę:

- Nie, na pewno nie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Eryk powiedział cicho:

- Chodź, położymy Suzanne spać.

Suzanne była zmęczona i rozespana, zasnęła, zanim jeszcze zdążyła wsunąć sobie paluszek do ust.

Trzymając się za ręce stali, wpatrzeni w córeczkę.

- Czuję się, jakbym dotychczas nie miał życia - powiedział spokojnie. - Jakby wszystko zaczęło się dopiero z tobą... i z nią.

- Bo tak jest. Objął Maggie lekko.

- Moja żona - szepnął.

Przez chwilę stali bez ruchu, jakby przyjmując błogosławieństwo, a potem poszli przez hall do pokoju krużgankowego, gdzie czekało wielkie rzeźbione łóżko.

Roy Pearson wolno jechał do domu. Zrobił duże koło, objechał wzgórze w pobliżu domu Maggie, potem poprowadził wóz przez pole w dół, aż do zakrętu, gdzie stał znak stopu. Skręcił na prawo i przejechał obok domu towarowego, w którym pracował przez całe swoje dorosłe życie, rozpoznając każdy dźwięk, zapach i widok - owoce, naczosnkowane mięso na sandwicze, ostra woń śledzia w occie. Skrzywienie starego odsuwane wieka na pojemniku z mięsem. Brzęk kasy od frontu. (Tak naprawdę starej kasy nie było już od czterech lat, a nowa terkotała, ale ilekroć Roy myślał o kasie, słyszał dźwięk dzwonka.) Helen McCrossen przychodząca w każdy wtorek, punktualnie o jedenastej, tak punktualnie, że można było regulować zegarek, z pytaniem: „Jaka jest dzisiaj leberka, Roy, świeża?” Ciężar tasaka w rękę, odgłos uderzeń w pień rzeźniczy.

Będzie mu brakowało sklepu.

Do domu zajechał od tyłu, zaparkował przy zamkniętym garażu i przeszedł podwórkiem do drzwi. Trawa była wilgotna i zmoczył sobie buty - Vera by krzyczała, gdyby jeszcze nie spała. Ale dom był cichy i ciemny. Przeształ dywanik i przez kuchnię wszedł prosto do składziku pod schodami. Wynurzył się z niego z walizką i tekturowym pudłem, które zaniósł na górę do sypialni.

Vera nie spała, leżała z siatką na głowie, czytając przy lampce zawieszanej na oparciu łóżka.

- No więc? - rzuciła ostro jak do psa. - Mów! Roy postawił walizkę i pudło, i nie odpowiadał.

- Więc poślubiła go? - Tak.

- Kto był? Czy przyjechała Katy?

- Powinnaś była sama przyjść i zobaczyć, Vero.

- Też coś! - Vera wróciła do książki.

Roy zapalił górne światło i otworzył szafę. Dopiero teraz Vera zauważyła walizkę.

- Roy, co ty wyprawiasz?

- Odchodzę, Vero.

- Co takiego?
- Odchodzę.
- Roy, nie bądź głupcem! Odłóż walizkę na miejsce i kładź się do łóżka.
Spokojnie zaczął opróżniać szuflady i pakować rzeczy do walizki. Następnie do pudła. Zdjął trzy wieszaki i położył je w nogach łóżka.
- Roy, gniewiesz spodnie, które właśnie wczoraj wyprasowałam. Odwieś je natychmiast na miejsce!
- Już nie przyjmuję twoich rozkazów, Vero. Słuchałem ich przez czterdzieści sześć lat, ale to koniec.
- Co w ciebie wstąpiło? Oszalałeś?
- Nie, mógłbym raczej powiedzieć, że wróciłem do zdrowych zmysłów. Mam jeszcze przed sobą dziesięć, może nawet piętnaście lat życia i zamierzam zdobyć trochę szczęścia, tak jak to zrobiła moja córka.
- Twoja córka. To ona za tym stoi, prawda?
- Nie, Vero. To ty. Ty i czterdzieści sześć lat komenderowania, gdzie zdjąć buty, jak ustawić choinkę, ile tłuszczu wyciąć ze schabowego, gdzie nie wolno postawić stopy, jak głośno może grać telewizor i tak dalej. Chciałem ci powiedzieć, że to nie jest pochopna decyzja. Myślę o tym już od pięciu lat. To tylko przykład Maggie sprawił, że zdobyłem się na odwagę. Przez ostatni rok obserwowałem ją, jak walczy, aby urządzić sobie życie, jak wbrew wszystkiemu stara się osiągnąć szczęście, i powiedziałem sobie: „Roy, możesz się czegoś nauczyć od tej młodej kobiety”.
- Nie mówisz tego poważnie!
- Ależ tak.
- Ale nie możesz... tak po prostu odejść!
- Nic innego tu nie trzyma, Vero. Nie ma w tym domu ciepła, szczęścia, miłości. Jesteś kobietą niezdolną do tego rodzaju uczuć.
- To śmieszne.
- Czyżby? Gdybym cię teraz zapytał, czy mnie kochasz, mogłabyś odpowiedzieć twierdząco?

Patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami.

- Kiedy to powiedziałaś? Czy okazałaś miłość mnie albo Maggie? Gdzie byłaś dzisiaj? Gdzie byłaś, kiedy rodziła się Suzanne? Tkwiałaś tutaj, napawając się swoją goryczą, gratulując sobie, że znowu postępujesz właściwie. Postanowiłem, kiedy dziecko się urodziło, że dam ci czas, abyś oprzytomniała i stała się matką dla Maggie i babką dla Suzanne, ale dziś, kiedy odmówiłaś pójścia na ślub własnej córki, powiedziałem sobie: „Roy, to nie ma sensu. Ona nigdy się nie zmieni”. I nie wierzę, żeby to nastąpiło.

Ułożył koszule w walizce. Vera patrzyła na niego, niezdolna się poruszyć.

- Czy masz inną kobietę?

- Och, na litość boską. Spójrz na mnie. Jestem dostatecznie stary, żeby przejść na emeryturę, łysy i straciłem zainteresowanie sprawami seksu. Co bym robił z inną kobietą?

Do Vera zaczęło docierać, że może naprawdę zamierza odejść.

- Ale dokąd się wybierasz?

- Na początek do Chicago, żeby zobaczyć się z Katy, przemówić jej do rozumu i uświadomić, że jeżeli będzie dalej w ten sposób postępowała, stanie się taka jak jej babcia. Co potem, nie wiem. Zwolniłem się ze sklepu, ale prosiłem, żeby na razie nic nie załatwiali. Chyba jednak przejdę na emeryturę. Może zabiorę swoje narzędzia, otworzę gdzieś mały warsztat naprawczy i będę robił meble dla lalek mojej wnuczki. Chciałbym też połowić ryby z Erykiem. To tyle.

- Zwolniłeś się z pracy?

Potwierdził ruchem głowy, pakując skarpetki do pudła.

- I nawet mi nie powiedziałaś?

- Właśnie ci mówię.

- Ale... ale co z nami? Czy wrócisz?

Kiedy nadal pakował rzeczy, nie podnosząc głowy, zapytała cichym, załamującym się głosem:

- Czy to znaczy, że chcesz rozwodu?

Popatrzył na nią smutno. Jego głos brzmiał głęboko i poważnie, kiedy odpowiedział:

- Tak, Vero.

- Ale czy nie możemy o tym porozmawiać... czy nie możemy...

Przyłożyła pięść do ust.

- Dobry Boże! - wyszeptała.

- Nie, nie chcę o niczym rozmawiać. Chcę tylko odejść.

- Ale, Roy, czterdzieści sześć lat... nie możesz po prostu odwrócić się tyłem i odejść po czterdziestu sześciu latach!

Zamknął walizkę i postawił ją na podłodze.

- Podjąłem połowę pieniędzy z naszego konta i spieniężyłem połowę depozytów. Resztę zostawiam tobie. Adwokaci dokonają obliczenia podziału wpłat emerytalnych. Zabieram samochód, ale kiedy znajdę jakieś miejsce, wrócę po resztę moich ubrań i narzędzi. Dom możesz zatrzymać. Zawsze był bardziej twój niż mój, sądząc po tym, jak nie pozwalałaś mi brudzić, a także używać różnych rzeczy. Vera siedziała na brzegu łóżka, zaskoczona i przestraszona.

- Roy, nie odchodź... Roy, żałuję.

- Nie wątpię, że teraz tak. Niestety, o kilka lat za późno, Vero.

- Proszę... - zaczęła błagać ze łzami w oczach, ale wyszedł z pokoju do łazienki po swoje rzeczy. Po chwili wrócił i włożył je do tekturowego pudła.

- O jedno musisz się postarać od razu, Vero. Wyrób sobie prawo jazdy. Będzie ci potrzebne.

W oczach Very widać było przerażenie. Jedną pięść trzymała mocno przyciśniętą do piersi.

- Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. Jak się zdecyduję, co robić. Po Chicago chyba pojedę do Phoenix. Mówią, że zimy są tam łagodne i można spotkać wielu ludzi w naszym wieku.

- Phoenix? - szepnęła. - Arizona?

To był drugi koniec świata.

Oparł sobie pudło na biodrze i wolną ręką podniósł walizkę.

- Nie pytałaś o to, ale Maggie i Eryk mieli dziś bardzo ładny ślub. Razem będą bardzo szczęśliwi, a nasza wnuczka jest naprawdę śliczna. Powinnaś pójść tam któregoś dnia i zobaczyć!

Kiedy widział Verę płaczącą w taki sposób, był rok 1967. Otrzymała wtedy wiadomość o śmierci swojej matki. Pomyślał, że to zdrowy objaw: może jednak zdoła się zmienić.

- Sądzę, że kiedy tylko zamknę drzwi, będziesz chciała zadzwonić do Maggie i wyżalić się przed nią, ale chociaż raz w życiu pomyśl najpierw o kimś innym. Pamiętaj, że to jej noc poślubna. Ona nie wie, że cię opuszczam. Zadzwonię do niej za parę dni i wytłumaczę. - Raz jeszcze powiódł wzrokiem po pokoju i zatrzymał spojrzenie na żonie: - Cóż, do widzenia, Vero.

Bez gniewu i gorczy opuścił dom.

Całkowicie zaskoczył Katy, kiedy zadzwonił do niej z hallu domu akademickiego.

- Tu dziadek. Przyjechałem zabrać cię na śniadanie.

Wziął ją do restauracji Perkinsa i zamówił omlet z szynką i serem, a potem opowiedział z troską w głosie o tym, z czym przyjechał.

- Brakowało nam ciebie na ślubie, Katy. - Czekał chwilę, ale nie było odpowiedzi. - To był piękny ślub, nad jeziorem, i chyba nie widziałem w życiu ludzi szczęśliwszych od twojej matki i Eryka. Miała ładny różowy kostium i bukiet z kwiatów kwitnącej jabłoni. Oboje własnymi słowami składali przysięgę. Wszystko było bardzo proste, potem piliśmy szampana i jedli ciastka. Gości mieli niewielu - Kerschnerów, matkę Eryka, jego brata z żoną. I mnie. - Roy upił łyk kawy i dodał, jakby właśnie sobie przypomniał: - Och, był ktoś jeszcze. - Sięgnął do kieszeni i położył na stole fotografię. - Twoja młodsza siostra. - Odchylił się

w krzesło i przesunął palcem po uchu filiżanki. - Bardzo urocza mała dziewczynka. Ma podbródek Pearsonów, wypisz wymaluj. I śliczny ząbek, dokładnie taki sam, jaki miałaś ty i twoja matka. Katy rzuciła okiem na zdjęcie i policzki jej poróżwiały. Podeszła kelnerka i dołała im kawy. Kiedy odeszła, Roy oparł się łokciami o stół.

- Ale to nie jest powód, dla którego tu przyjechałem. Chciałem ci powiedzieć coś innego. Odszedłem od twojej babci, Katy.

Katy spojrzała z niedowierzaniem.

- Odszedłeś? Na dobre?

- Tak. To mój własny pomysł i była bardzo nieszczęśliwa, kiedy ją zostawiałem. Gdybyś znalazła czas, żeby tam pojechać w jakiś weekend, myślę, że sprawiłabyś jej wielką radość. Będzie teraz bardzo samotna... potrzebuje przyjaźni.

- Ale ty... ty i babcia...- Dla Katy było to nie do pojęcia. - Ludzie w tym wieku się nie rozstają!

- Byliśmy małżeństwem czterdzieści sześć lat i przez ten czas obserwowałem, jak stawała się coraz zimniejsza, coraz trudniejsza i niezdolna do wybaczenia, aż w końcu wydawało mi się, że zupełnie zapomniała, co to znaczy kochać. To bardzo smutne, wiesz? Ludzie nie robią się tacy od razu. Zaczyna się od drobiazgów - szukania cudzych błędów, krytyki, osądzania innych - i wkrótce zaczynają myśleć, że cały świat nie ma racji i tylko oni wiedzą, jak postępować. To niedobrze. Twoja babcia miała teraz okazję, aby okazać współczucie, być dobrą dla innych, ale odepchnęła twoją matkę. Potępiła Margaret za coś, za co nikt nie ma prawa potępić drugiego człowieka. Powiedziała: „Jeżeli nie będziesz prowadziła takiego życia, jakie ja uważam za właściwe, to koniec, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego”. Nie odwiedziła twojej matki w szpitalu po urodzeniu Suzanne i nigdy u niej nie była także potem. Nawet nie widziała Suzanne - swojej własnej wnuczki - i odmówiła pójścia na

ślub. Cóż, z tego rodzaju kobietą nie można żyć. Jeśli twoja babcia chce być taka, niech zostanie sama.

- Zamilkł na chwilę, a potem dodał po namyśle: - Tacy ludzie skazani są na samotność, bo nikt nie chce nurzać się w wiecznej goryczy.

Katy siedziała przez jakiś czas, wpatrując się w stół. Kiedy podniosła głowę, miała łzy w oczach.

- Och, dziadku - wyszeptała drżącym głosem - jestem taka nieszczęśliwa...

Przykrył dłonią jej rękę.

- Powinno ci to dać do myślenia, Katy.

Łzy powiększyły jej oczy i zaczęły spływać po policzkach.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję, że przyjechałeś i sprawiłeś, że przejrzałam.

Roy zacisnął palce na jej dłoni i uśmiechnął się dobrodusznie.

W pierwszą sobotę po ślubie Maggie karmiła Suzanne. Eryka nie było od rana. Dziecko siedziało bezpiecznie na wysokim stołku, z ustami umazanymi tartym jabłkiem, kiedy zadzwonił telefon.

Maggie podniosła słuchawkę, trzymając w wolnej ręce ciepły ronderek z jedzeniem.

- Witaj, kochanie!

- Cześć, Eryku.

- Co robisz?

- Karmię Suzanne.

- Powiedz jej cześć.

- Suzanne, tatuś mówi ci cześć... - A do telefonu: - Pomachała ci rączką. Wracasz na lunch?

- Tak. Ranek był dobry, a co u ciebie?

- W porządku. Wzięłam Suzanne na słońce i pełam lilie. Wyglądała naprawdę... - Nagle Maggie urwała. Po chwili powiedziała szeptem pełnym zaskoczenia: - O Boże...

- Maggie, co się stało? - Eryk był zaniepokojony.

- Eryku, tu jest Katy. Widzę, jak schodzi z góry.
- Och, kochanie - powiedział ze zrozumieniem.
- Odłożę słuchawkę.
- Tak, oczywiście... I, Mag - dodał szybko - powodzenia! Katy była ubrana w niebieskie dżinsy i podkoszulek uczelni, przez lewe ramię miała przewieszoną torbę. Samochód zaparkowała na szczycie wzgórza. Schodząc po stopniach, nie spuszczała oczu z drzwi. Maggie podeszła do nich i czekała. U progu werandy Katy zatrzymała się.

- Dzień dobry, mamó.

- Dzień dobry.

W tej chwili przyszło Katy do głowy tylko najbardziej banalne pytanie:

- Jak się miewasz?

- Jestem szczęśliwa. A ty?

- Czuję się okropnie. Maggie odchyliła zasłonkę.

- Wejdz, porozmawiamy o tym.

Z opuszczoną głową Katy weszła do kuchni. Jej oczy powędrowały natychmiast w stronę stołka, na którym siedziało dziecko w marszczonych niebieskich spodenkach na szelkach, ssąc piastkę. Nóżki miało skrzyżowane, a śliniak zadarty aż na uszka. Zamykając cicho drzwi, Maggie obserwowała, jak Katy staje i patrzy. - To jest Suzanne. Właśnie ją karmię. Usiądź, a ja skończę - mówiła Maggie jak do kogoś obcego. Katy usiadła, zafascynowana dzieckiem, a Maggie pochyliła się nad stołkiem, karmiąc Suzanne łyżką. Dziecko wpatrywało się w nowo przybyłą.

- Dziadek odwiedził mnie w środę.

- Wiem. Dzwonił.

- Czy to nie okropne, co się stało z nim i babcią?

- To bardzo smutne, jak rozpad każdego małżeństwa.

- Powiedział mi parę rzeczy o babci, o tym, jakiego ro-

dzaju to osoba... to znaczy... - Katy zająknęła się, na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. - Powiedział, że będę taka jak ona, a ja nie chcę. Naprawdę nie chcę, mamó.

Była w połowie dorosłą kobietą, w połowie dzieckiem, zwłaszcza gdy jej oczy wypełniły się łzami i twarz wykrzywił grymas smutku.

Maggie odstawiła jedzenie i przeszła wokół stołu z otwartymi ramionami.

- Och, Katy, kochanie... Katy oparła się o nią, płacząc.

- Byłam taka okropna dla ciebie, mamó. Przepraszam.

- To był trudny okres dla nas wszystkich.

- Dziadek uświadomił mi, jaką byłam egoistką. Nie chcę tracić ludzi, których kocham. Nie chcę być taka jak babcia.

Trzymając córkę w uścisku, Maggie zamknęła oczy. Odczuwała ten trudny rodzaj radości, jaki jest częścią macierzyństwa. Ona i Katy przeżyły tyle tak różnych chwil w ciągu dwóch ostatnich lat.

Czasem gorzkich, czasem pełnych słodyczy. Katy tuliła się teraz do niej. To była tylko słodycz.

- Kochanie, tak się cieszę, że przyjechałaś do domu!

- Ja też.

- Katy, bardzo kocham Eryka. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Ale miłość do niego nawet w minimalnym stopniu nie umniejsza mojej miłości do ciebie.

- Wiedziałam o tym, byłam tylko... nie potrafię tego wypowiedzieć. Wszystko mi się pomieszało i czułam się zraniona. Ale chcę, żebyś była szczęśliwa, mamó.

- Jestem. - Maggie uśmiechnęła się. - Dał mi prawdziwe szczęście. - Ta uroczysta wymiana zdań pozwoliła Maggie zadać najważniejsze pytanie: - Czy chcesz poznać swoją siostrę?

Katy odsunęła się i otarła oczy grzbietem dłoni:

- Jak myślisz, po co przyjechałam? Podeszły do dziecka.

- Suzanne, to jest Katy. - Maggie wzięła córkę na ręce. Niebieskie oczka Suzanne wpatrzone były w Katy z cieka-

wością. Odwróciła się do matki, potem znowu w stronę młodej kobiety, która stała pełna niepewności, i w końcu posłała Katy szeroki uśmiech i bulgoczący odgłos aprobaty. Katy wyciągnęła ręce i wzięła Suzanne w ramiona.

- Suzanne, hej! - powiedziała z czułością, a potem zwróciła się do matki: - Popatrz tylko, dziadek miał rację, to podbródek Pearsonów. Do licha, mamó, ona jest cudna! - Huśtała dziecko, podsunęła mu palec, za który mała chwyciła, i uśmiechała się prosto w różową twarzyczkę Suzanne. - Och, cudna! - powtórzyła, całkowicie zawojowana, podczas gdy Maggie cofnęła się, aby nie przeszkadzać, pełna cichej radości.

Zabawa trwała, gdy ze dworu dobiegł trzask drzwiczek samochodu i Eryk zaczął schodzić po stopniach. Maggie otworzyła drzwi i uniosła zasłonę.

- Hej - powiedział spokojnym głosem, obejmując ją.

- Hej. Mamy towarzystwo.

Wszedł do środka, spojrzał na Katy i czekał. Stała po drugiej stronie stołu z miną wyrażającą smutek i obawę, podczas gdy Suzanne szeroko uśmiechnęła się na widok ojca.

- Cześć, Katy - odezwał się wreszcie Eryk.

- Cześć, Eryku.

Położył swoją szyperską czapkę na szafce.

- Miła niespodzianka.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyjechałam.

- Oczywiście. Oboje bardzo się cieszymy, że jesteś tutaj. Spojrzenie Katy przeniosło się na Maggie, a potem znów na Eryka. Uśmiechnęła się niepewnie:

- Pomyślałam, że już czas poznać Suzanne. Spojrzał z uśmiechem na dziecko.

- Zdaje się, że cię polubiła.

- Tak, to prawdziwy cud. Ostatnio nie dawałam się chyba specjalnie lubić, prawda?

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy, którą przerwała Maggie.

- Usiądźmy, przygotuję jakieś kanapki.

- Nie, poczekaj - powiedziała Katy. - Niech to najpierw wypowiem, bo nie zdołam chyba nic przełknąć, jeżeli tego nie zrobię. Eryku... mam... przepraszam, że nie byłam na waszym ślubie. Maggie spojrzała na Eryka. Oboje szukali jakiejś odpowiedzi.

- Czy za późno na gratulacje?

Przez chwilę żadne z nich się nie poruszyło. Potem Maggie podbiegła, aby przytulić policzek do twarzy Katy, która znad jej ramienia spoglądała oczyma pełnymi łez na Eryka, on zaś wstał i zatrzymał się niepewnie, patrząc w twarz młodej kobiety, tak bardzo podobną do twarzy jego małej córeczki. Katy trzymała siostrzyczkę na ręku.

Maggie cofnęła się, pozostawiając Eryka i Katy złączonych wzrokiem. Nie był jej ojcem. Ona nie była jego córką. Ale oboje kochali Maggie, która stała pomiędzy nimi z drżącymi ustami, podczas gdy Suzanne przyglądała się wszystkim, otwierając szeroko niewinne oczy.

Eryk zrobił jeszcze krok i położył rękę na ramieniu dziewczyny.

- Witaj w domu, Katy - powiedział po prostu. A Katy uśmiechnęła się.